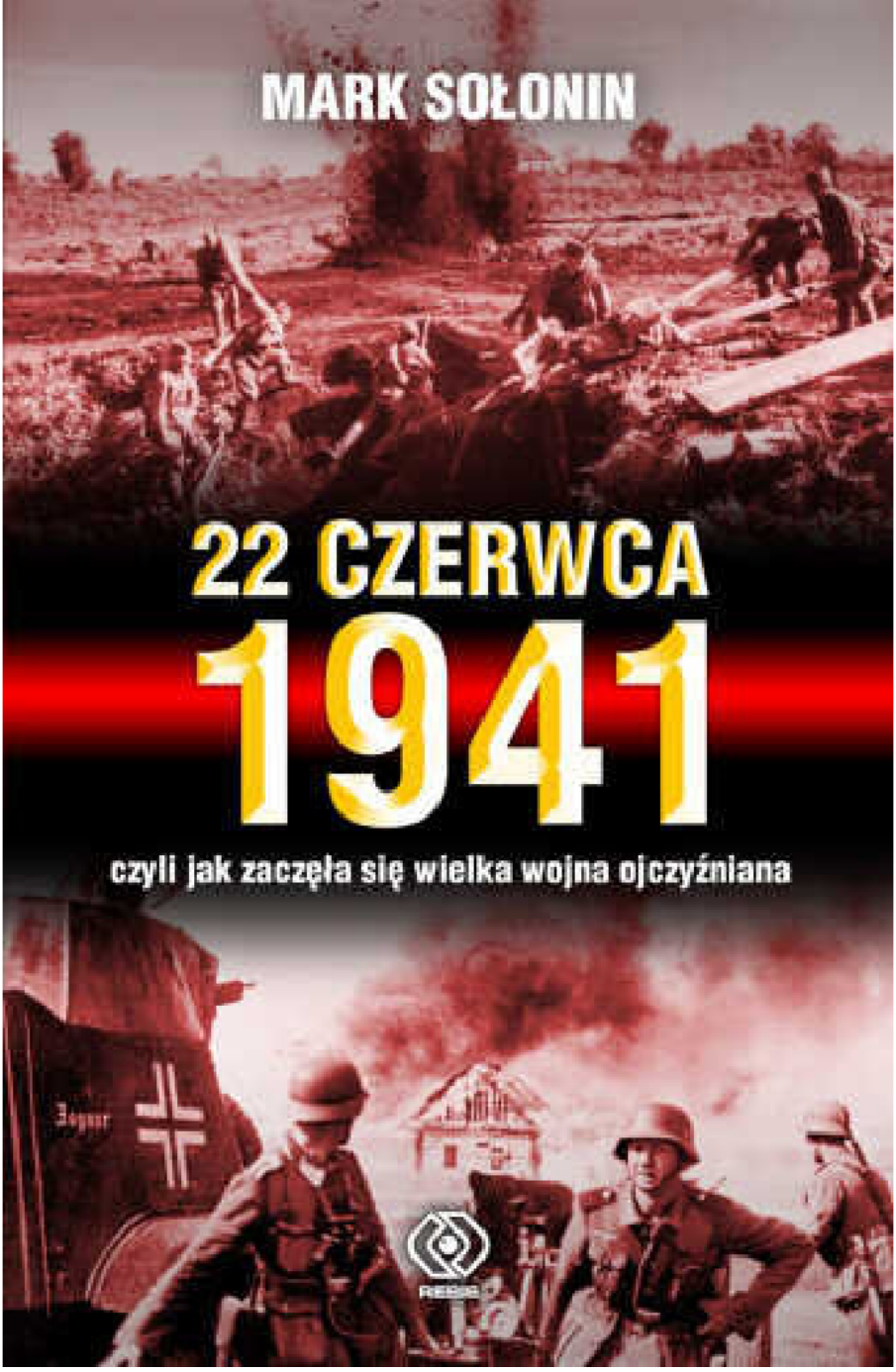
MARK SOŁONIN
22 CZERWCA
1941
czyli jak zaczęła się wielka wojna ojczyźniana

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA
OD TŁUMACZA
DO CZYTELNIKA
PRZEDSŁOWIE
JAK POWSTAŁA TA KSIĄŻKA
OD CZEGO ZACZNIEMY
SENSACJI NIE BĘDZIE
CZĘŚĆ 1 ZAPRZEPASZCZONA WOJNA
WTOREK, 17 CZERWCA
„WPRAWIAJĄC W DRŻENIE ZIEMIĘ ŁOSKOTEM KOLUMN PANCERNYCH…"
„I POSZEDŁ, KOMENDĄ PODERWANY…"
O ŚWICIE 25 CZERWCA 1941 ROKU…
„KIEDY DO WALKI POŚLE NAS TOWARZYSZ STALIN…"
KLĘSKA
PIERWSZY MARSZAŁEK
CZĘŚĆ 2 BAGNO
ZAMIAR
SKAZANI NA SUKCES
ANATOMIA KATASTROFY
MELDUNEK ODDZIAŁU POLITYCZNEGO
MELDUNEK S. W. BORZIŁOWA
OGIEŃ Z NIEBA3
NA SPOKOJNIE ŚPIĄCYCH LOTNISKACH…
WSZYSCY — DO BAŁBASOWA
GŁUPOTA CZY ZDRADA?
DAMA Z FIKUSEM
CZĘŚĆ 3 SIEDMIU NIE BIJE JEDNEGO
„JA W NASZYCH PLANACH KOCHAM SIĘ OGROMNIE"
„GODZINA TWA OSTATNIA NADCHODZI, BURŻUJU…"
„PANCERZ MOCNY I CZOŁGI NASZE SZYBKIE…"
FINAŁ
O TYM, CZEGO NIE BYŁO
RADA WOJENNA
23–25 CZERWCA 1941 ROKU
PANCERNY POMÓR

CZWARTEK, 26 CZERWCA
DOWÓDCA
DWAJ KOMISARZE
27–30 CZERWCA
OSTATNI BÓJ
CZĘŚĆ 4 BIEG NA GLINIANYCH NOGACH
ZNAKI ZAPYTANIA
„NEGATYWNE NASTROJE I ZJAWISKA”
CZŁOWIEK BEZ KARABINU
TYLE I JESZCZE RAZ TYLE
BRZEMIĘ WYBORU
PRZECIWKO WSZYSTKIM
BEZ GŁOWY
„CZĘŚCIEJ STOSUJCIE ROZSTRZELIWANIA, TOWARZYSZE…”
DWIE WOJNY

22 CZERWCA 1941

TŁUMACZYŁ TOMASZ LISIECKI

Mojemu ojcu, Siemionowi Markowiczowi Sołoninowi, szeregowemu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, poświęcam

OD TŁUMACZA

Tę książkę napisać mógł tylko Rosjanin: surową i szczegółową — niczym rzetelna praca badawcza przedniego historyka, poprzetykaną nutkami ironii — jak na najlepszą publicystykę przystało, kontrowersyjną i prawdziwą zarazem. A przy tym sposób narracji jest tak klarowny i prosty, że staje się zrozumiały dla każdego czytelnika, nawet słabo zorientowanego w historii wojskowości.

Sołonin nie stosuje wybiegów do udowodnienia swych racji. A co najważniejsze — opiera swe tezy na najnowszych dokumentach, które ujawnił, jak to sam ironicznie nazywa — *„archiwalny gułag"*. Dokumentów tych nie zrozumiał jeszcze nikt na Zachodzie. Bo naprawdę pojąć to, co wydarzyło się 22 czerwca 1941 roku, może jedynie Rosjanin. Ale zrozumieć wcale nie znaczy: powiedzieć głośno — wbrew schematom, które utarły się w *„świadomości powszechnej"*, uporczywie lansowane przez propagandę komunistyczną i zupełnie nierozumiejących specyfiki radzieckiej historyków zachodnich, również przez tę propagandę zatrutych.

Od czasu **Lodołamacza** Suworowa chyba nikt nie napisał czegoś tak kontrowersyjnego, co wywołałoby zmianę spojrzenia na początkowy okres wojny radziecko–niemieckiej o 180 stopni. Autor, występując przeciwko dotychczasowemu,*„tradycyjnemu"* i utrwalonemu przez komunistycznych (i zachodnich!) historyków ujęciu początków tego konfliktu, sprzeciwia się także niektórym tezom głoszonym przez Suworowa i jego zwolenników. Co najbardziej wstrząsające — wnioski, do jakich Sołonin dochodzi, są bolesne i proste: Armia Czerwona po załamaniu się Wielkiego Planu inwazji na Europę (na skutek ataku niemieckiego)… rzuciła się do panicznej, nie hamowanej przez nikogo ucieczki. Wycofywali się nie tylko prości żołnierze, ale i generałowie; samoloty, czołgi i działa porzucano całymi tysiącami. W ten właśnie sposób zniweczono Wielki Plan, zaprzepaszczono pracę milionów ludzi, na pastwę wroga wydano miliony ofiar wielkiego narodu.

Historia jest przewrotna: nie pozwoliła Aleksandrowi Wielkiemu trwale zdobyć Indii, Napoleonowi — Moskwy, a Stalinowi… No właśnie, dokąd dotarłby Wielki Gospodarz, gdyby zrealizował swój Plan?

Stalin nie był tchórzem, głupcem, szaleńcem ani wojskowym dyletantem. Wręcz przeciwnie — był arcymistrzem strategii i potwierdził to całym swym życiem — od początku do końca. I tylko raz mu nie wyszło… (Wszyscy powinniśmy westchnąć: na szczęście!) Chociaż ceną tej klęski było prawdziwe morze krwi, potu i łez milionów ofiar — Stalin nie żałował ich w imię swych opętańczych idei. A świat

nie żałuje dziś, że szaleństwo dwóch totalitarnych agresorów zwróciło się przeciwko sobie. Zwycięstwo którejkolwiek ze stron przyniosłoby jeszcze większe, niepowetowane straty dla całej ludzkości.

Czy Wielka Wojna Ojczyźniana zaczęła się 22 czerwca 1941 roku? Nie! Związek Radziecki — czy się to komuś podoba czy nie — był uczestnikiem drugiej wojny światowej już od 17 września 1939 roku. Zarówno wtedy — wkraczając na wschodnie obszary Rzeczypospolitej, jak i kilka miesięcy później — napadając na Finlandię — był agresorem. Wielka Wojna Ojczyźniana rozpoczęła się znacznie później — kiedy„(…) *coraz to nowe miliony ludzi zaczynały uzmysławiać sobie, że wojna, w której przyszło im walczyć i umierać, toczy się już nie o wyzwolenie kolejnych «braci klasowych» w Zanzibarze, już nie o triumf wiecznie żywej nauki marksistowskiej, ale po prostu aby oni, ich rodziny i dzieci mogli żyć i mieć nadzieję na lepszą przyszłość*".

Wyzwalanie kolejnych *„braci klasowych"* miało się rozpocząć 7 lipca 1941 roku. Nie wyszło? Westchnijmy raz jeszcze: na szczęście! — i przystąpmy do lektury książki, która przyczyny tej największej w historii klęski militarnej oświetli nam jak reflektor ciemność nocy. To jeszcze nie dzień — ten nastąpi po pełnym otwarciu archiwów rosyjskich (czy rzeczywiście w 2045 roku? — tak chciałby Sołonin, czyli dla nas, współczesnych — nigdy…), ale z pewnością jest to promień nadziei i wiary. Wiary w mądrość.

Tomasz Lisiecki 22 czerwca 2007 roku

DO CZYTELNIKA

„Prawda nie zwycięża. Prawda pozostaje, gdy wszystko inne jest już stracone".

Tymi słowami kończył się dokument programowy czeskiej opozycji ***„Dwa tysiące słów"***. Wtedy, w czerwcu 1968 roku, chyba nikt nie mógł przewidzieć, że zdanie to dokładnie opisywać będzie sytuację, jaka ukształtowała się dzisiaj na bezkresnych terytoriach byłego radzieckiego imperium.

Autorowi książki, którą trzymasz, Czytelniku, w rękach, potrzeba było piętnastu lat i 138 tysięcy słów, aby znaleźć i opisać maleńki kawałek prawdy historycznej — główne wydarzenia nie wykraczają poza ramy czasowe dwóch tygodni lata 1941 roku. Teraz, gdy książka jest publikowana, pragnę wyrazić ogromną wdzięczność ludziom, którzy dobrym słowem, przyjacielskim wsparciem i konstruktywną krytyką pomagali mi w jej tworzeniu.

Przede wszystkim— głównemu bibliografowi Samarskiej Obwodowej Biblioteki Naukowej A. N. Zawalnemu, czołowemu naukowemu współpracownikowi IMEMO K. L. Majdanikowi, sekretarzowi Moskiewskiego Oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego L. A. Naumowowi, docentowi katedry filozofii SamGTU A. S. Stiepanowowi.

Ogromną rolę w napisaniu tej książki odegrały unikatowe dokumenty i materiały, udostępnione na stronach internetowych ***„Korpusy Zmechanizowane Armii Czerwonej"*** (mech–corps.rkka.ru),***„WWS Rosji"*** (airforce.ru), ***„Robotniczo–Chłopska Armia Czerwona"*** (rkka.ru), ***„The Russian Battlefield"*** (battlefield.ru); prowadzącym te strony oraz autorom zamieszczanych tam materiałów wyrażam szczególną wdzięczność.

Ważnym etapem pracy była publikacja pierwszych rozdziałów książki w dzienniku**„Wołżskaja Komuna"**, za co składam głębokie podziękowanie jej redaktorowi naczelnemu W. J. Naganowowi.

Na koniec uważam za stosowne podziękować i Tobie, szanowny Czytelniku. Choćbyśmy, ja i moi koledzy po fachu — historycy i pisarze — nie wiadomo jak się chlubili swoimi *„pętami"*, jakkolwiek by się oburzano, że *„nie szanujemy świętości narodowych"* — teatr zamiera bez widzów, a książka nie istnieje bez czytelników. Jest to tym bardziej słuszne, gdy chodzi o literaturę taką jak ta, która nie jest przeznaczona do lekkiego czytania. Nie ma w niej prostych i krótkich odpowiedzi na te bardzo skomplikowane pytania; praca nad nimi czeka jeszcze całe pokolenia badaczy i każdy czytelnik, który zdobył się na odwagę i miał cierpliwość przeczytać tę książkę, słusznie powinien uchodzić za jej współtwórcę. Tylko dzięki naszym wspólnym wysiłkom tragiczna

prawda o radzieckiej historii przetrwa. Nawet jeśli cała reszta zostanie utracona.

Samara, Rosja, grudzień 2003 roku

Kiedy grzebią epokę,
Żałobny psalm nie rozbrzmiewa,
Pokrzywie, ostowi
Upiększyć ją trzeba…

A potem ona wylania się
Jak trup na wiosennej rzece –
Lecz syn matki nie pozna
I wnuk odwróci się zniechęcony…

Anna Achmatowa ***W czterdziestym roku*** (przeł. T. Lisiecki)

PRZEDSŁOWIE

JAK POWSTAŁA TA KSIĄŻKA

Jestem za moratorium. Słowo honoru. Jeśliby taka decyzja została podjęta na szczeblu rządowym, podporządkowałbym się jej całkowicie i sumiennie. W rzeczy samej, cóż przeszkadzałoby przyjąć ogólne, obowiązujące wszystkich postanowienie: zakazać jakiegokolwiek publicznego rozpatrywania historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Na sto lat od jej zakończenia. Do 2045 roku.

Żadnych książek, żadnych artykułów. W szkolnym podręczniku — krótkie przypomnienie o tym, że w kraju obowiązuje moratorium. I dopiero wtedy, gdy wspomnienia o minionej Apokalipsie przestaną być krwawiącą raną w sercu narodu, kiedy odejdą ostatni weterani, a proch nieznanych żołnierzy stanie się, jak w pieśni — *„po prostu ziemią i trawą"*, dopiero wtedy odtajnimy w s z y s t k i e archiwa dla w s z y s t k i c h chcących z nich korzystać i zaczniemy pracować. Ogólnym wysiłkiem stworzymy prawdziwą, opartą na dokumentach, historię Wielkiej Wojny.

Wszystko to u nas już zrobiono — tylko na odwrót.
Oryginalne dokumenty wojenne zamknięto na cztery spusty, jako szczególnie ważne tajemnice państwowe. Nawet prasę — centralne radzieckie gazety z okresu tuż przedwojennego — wycofano z otwartych czytelni ogólnie dostępnych bibliotek. Wystąpienia Mołotowa i Stalina, teksty porozumień międzynarodowych zawartych przez Związek Radziecki w latach 1939–1940 — to tajemnica. Straszna tajemnica wojskowa.
Na przestrzeni pół wieku ściśle zorganizowaną próżnię wiarygodnej informacji zapełniały standardowe — jak matrioszki — teksty,w których starannie przepisywano wciąż te same, odgórnie ustanowione mity. Historia wojskowa, jako ścisła dziedzina faktów i dokumentów, praktycznie w całości zastąpiona została przez propagandowe zaklęcia. Dochodziło do takich kuriozów, jak wyznaczenie tego samego dygnitarza nomenklatury na stanowisko kierownika Zarządu Propagandy Specjalnej (czytaj: głównego szalbierza) Głównego Zarządu Politycznego Armii Radzieckiej i... Instytutu Historii Wojskowości!
Najważniejsze pytanie, nad którego *„wyjaśnieniem"* trudziła się wąska grupa bezgranicznie oddanych Partii ludzi, brzmiało: dlaczego już w pierwszych tygodniach wojny Armia Czerwona została zmieciona, rozgromiona i w większej części wzięta do niewoli. Jak Wehrmachtowi

udało się dojść do jezior Karelii, do stepów kałmuckich, do gór Kaukazu? Dlaczego pożoga wojenna dotarła do takich miejsc, gdzie obcych wojsk nie widziano od czasów *„wielkiej smuty"* w początku XVII wieku? Jak to się stało, że największe straty poniesiono, najwięcej krwi i potu przelano tylko po to, aby jesienią 1944 roku odzyskać to, co porzucono w kilku pierwszych tygodniach odwrotu?
Pierwszy przyczyny *„czasowych niepowodzeń"* Armii Czerwonej wskazał sam towarzysz Stalin. W znamiennym przemówieniu radiowym do *„braci i sióstr"* 3 lipca 1941 roku, a następnie, w bardziej rozwiniętej formie, w referacie na uroczystym posiedzeniu z okazji 24. rocznicy rewolucji październikowej Stalin wskazał na t r z y c z y n n i k i, które jakoby przyczyniły się do sukcesów Wehrmachtu:
— armia niemiecka została zmobilizowana i rozwinięta wzdłuż granicy ZSRR w czasie, gdy surowo przestrzegający neutralności Związek Radziecki żył zwykłym, pokojowym życiem;
— nasze czołgi i samoloty są lepsze od niemieckich, ale tymczasem mamy ich mało, o wiele za mało;
— za każdy krok w głąb radzieckiego terytorium Wehrmacht zapłacił gigantycznymi, niemożliwymi do uzupełnienia stratami.
Stalin podał konkretną liczbę 4,5 miliona zabitych i rannych Niemców. Dwa tygodnie później Sowinformbiuro[1] pozwoliło sobie zanegować oświadczenie samego towarzysza Stalina — przypadek w historii jego rządów niebywały. Otóż stwierdzono, że straty Wehrmachtu w połowie listopada 1941 roku wynoszą już 6 milionów ludzi.
Oddajmy sprawiedliwość towarzyszowi Stalinowi: kłamał, ale mądrze. Z jego kłamstw rysował się obraz kraju miłującego pokój, ale też dysponującego wielkim potencjałem. Tak, dzisiaj mamy mało czołgów — jutro będzie dużo; to nie my zaczęliśmy mobilizację, ale odtąd zbieramy wszystko dla frontu i zwycięstwa.

[1] — Radzieckie Biuro Informacyjne. Przypisy tłumacza przybliżają jedynie omawianą tematykę, precyzują podawane przez Autora dane, wskazują na polskie źródła lub tłumaczenia w języku polskim — jeśli tłumacz cytuje je z tych źródeł dosłownie. Dodatkowo, dla ułatwienia czytelnikowi posługiwania się tekstem, tłumacz przygotował wykaz skrótów. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

Niemcy nie mogą pozwolić sobie na utratę w ciągu pół roku sześciu milionów żołnierzy, co oznacza, że w najbliższym czasie — *„za pół roku, rok runą pod ciężarem swoich zbrodni"*. Taką perspektywę rysował Stalin, przemawiając z trybuny Mauzoleum na paradzie 7 listopada 1941 roku. Z punktu widzenia propagandy wojennej (która nie ma prawa być prawdziwa) powiedział on to, co trzeba było powiedzieć ludziom idącym do walki.

Po wojnie i po zwycięstwie *„historycy"* radzieccy otrzymali zadanie — kłamstwo wzmocnić, a przy tym uczynić je choć trochę bardziej

prawdopodobnym. Zadanie trudne, ale dali sobie radę.

O tym, że Wehrmacht utracił na początku wojny 4,5 miliona ludzi (a nawet 6 milionów), zapomnieli, przemilczeli i więcej nigdy nie wspominali. Logika bardzo prosta — archiwa niemieckie zostały do tego czasu otwarte, materiały — szczególnie te dotyczące strat składu osobowego — opublikowano, i podtrzymywanie t e g o kłamstwa znaczyło wystawianie się na pośmiewisko całego świata.

W celu wzmocnienia obrazu bezbronności Związku Radzieckiego wzmocniono relacje o tym, że zdecydowana część czołgów i samolotów, znajdujących się na wyposażeniu Armii Czerwonej na początku wojny, przedstawiała beznadziejnie przestarzały chłam, *„nienadający się do jakiegokolwiek porównania"* ze sprzętem przeciwnika. Znacznie uporczywiej i głośniej zaczęto lansować tezę o niespodziewanej napaści. (Stalin starał się tego nie poruszać, używając raczej określenia *„wiarołomna"* — a to dwie różne sprawy. Teza o *„wiarołomstwie"* charakteryzuje Hitlera jako przestępcę; teza o *„niespodziewanej napaści"* stawia Stalina w roli ślepego, naiwnego durnia).

Nikita Chruszczów, gdy tylko doszedł do władzy, także wiele wniósł do historii początku wojny. To właśnie on przedstawił Stalina jako upartego głupca — Richard Sorge i Winston Churchill przesyłali mu jasne ostrzeżenia, a ten i tak nie chciał nikogo słuchać.

Pod koniec lat pięćdziesiątych ostatecznie sformułowana została wersja, którą przez następne dziesięciolecia wbijano do powszechnej świadomości z uporczywością i nieugiętością parowego młota: — po pierwsze, my, pokojowo nastawieni ludzie, nie przygotowywaliśmy się do wojny, nasz rząd walczył o pokój na całym świecie i starał się nie dopuścić do wciągnięcia ZSRR w konflikt; — po drugie, *„historia dała nam mało czasu"*, dlatego niczego (czołgów, dział, samolotów, a nawet odpowiedniej liczby karabinów) nie zdążyliśmy przygotować i nasza armia przystąpiła do walki prawie nieuzbrojona (butelka z płynem zapalającym odgrywała tu rolę kluczową, ponieważ słynny koktajl Mołotowa znają nawet ci, którzy niczego o historii wojny nie wiedzą); — po trzecie, Stalin nie zdecydował się postawić armii w jakiś określony stan gotowości bojowej, wskutek czego niemieckie bomby spadły na *„spokojnie śpiące radzieckie lotniska"*.

Z tych trzech punktów (które na wszelkie możliwe sposoby przewijały się we wszystkich książkach — odszkolnego podręcznika po monumentalne monografie) lekko i łatwo wysnuwano odpowiedź na pytanie o w i n n y c h tej strasznej katastrofy. Winą obarczano:

— historię, która *„dała nam za mało czasu"*;

— Hitlera, który dwa miesiące wcześniej nie uprzedził Stalina o

swoich zamiarach;
— i, w końcu, zbytnią naiwność i łatwowierność statecznego towarzysza Stalina.
Rodzimej partii komunistycznej w schemacie tym pozostała tylko jedna rola — organizatora i natchnienia wszystkich naszych zwycięstw.
Wszystko jasne, proste, logiczne. Jakakolwiek próba zwątpienia w prawdziwość tych mitów oceniana była w skali od *„cynicznego szydzenia z pamięci o poległych"* do *„nowego wysypu literackich własowców"*.
Przyznaję — sam w to wierzyłem. Do ósmej klasy. Potem zaczęły się pojawiać pewne wątpliwości, które z upływem lat jeszcze narastały.
W rzeczy samej, za towarzysza Stalina pracował cały naród radziecki. Pracowali wszyscy mężczyźni. Pracowały prawie wszystkie kobiety. Urlop macierzyński dawano na cztery miesiące: dwa do porodu i dwa po. Potem — niemowlaka od piersi i do warsztatu. Podrostki także pracowały. Kraj pracował od wczesnego świtu (*„świt wita nas chłodem"*) do głębokiej nocy. Zakłady produkcji wojennej na długo przed wojną pracowały na trzy zmiany, od świtu do świtu. Zauważmy przy tym, że nikt z setki milionów robotników nie pracował jako hurtownik, tłumacz, wizażysta, handlowiec, broker, diler... Wszyscy orali równo.
Więc gdzie się podział wytworzony produkt?

Jak to możliwe, że mogliśmy mieć mniej czołgów i samolotów niż Niemcy? Co w tym czasie produkowały te dymiące przez okrągłą dobę fabryki — chusty dla komsomołek? Lodówki i sokowirówki dla komunalnych kuchni?
Niska jakość pracy? Powoli, nie spiesz się, szanowny Czytelniku, z takimi przypuszczeniami. Pozwól, że na początek wysłuchamy zdania ludzi znających się na rzeczy.
W 1936 roku zakłady lotnicze ZSRR oglądał Louis Charles Breguet — dyrektor największej francuskiej firmy lotniczej (produkującej do dziś z firmą Dassault odrzutowe samoloty *„Mirage"*). W sprawozdaniu ze swej podróży do ZSRR pisał: *„Wykorzystując pracę dziesięciokrotnie większej liczby robotników, radziecki przemysł lotniczy produkuje 20 razy więcej samolotów"*. W kwietniu 1941 roku wojskowy attache Niemiec G. Aschenberger z grupą dziesięciu inżynierów zwiedził główne zakłady produkcji lotniczej ZSRR (CAGI, moskiewskie zakłady Nr 1, 22, 24, fabryki silników w Rybińsku i Permie). W sprawozdaniu przedstawionym Göringowi Aschenberger pisał:
„Każdy z tych zakładów był gigantycznym przedsiębiorstwem, gdzie pracowało do 30 tysięcy ludzi na trzy zmiany; praca wspaniale zorganizowana, wszystko przemyślane w szczegółach, oprzyrządowanie współczesne i w dobrym stanie"[2].
A Niemcy miały wtedy dwa i pół raza mniej ludności niż ZSRR. Niemiecka *frau*siedziała w domu i wychowywała swe *kinder*. Starsze

dzieci śpiewały nazistowskie pieśni i maszerowały w szyku, zadzierając nosa — nie po pracy, ale zamiast niej. W drugim roku wojny fabryki lotnicze Niemiec pracowały wciąż na jedną zmianę! Najbardziej deficytowe na wojnie aluminium wykorzystywano na budowę domków ogrodowych i drabin do zrywania gruszek. Moce wytwórcze fabryk niemieckich były przeciążone produkcją adapterów i rowerów, radioodbiorników, samochodów osobowych… i żyletek. Seryjna produkcja pierwszych czołgów bojowych, samolotów, okrętów podwodnych rozpoczęła się dopiero w latach 1935–1936 — mniej niż jedną pięciolatkę do wybuchu wojny światowej.

Kiedyż więc Niemcom udało się osiągnąć tę przesławną *„wielokrotną przewagę w czołgach i samolotach"*? Z czego zdołali ją stworzyć?

W Niemczech nie ma złóż boksytów, niklu, manganu, wolframu, miedzi, kauczuku, ropy… Zwykłego węgla i rudy żelaza też brakowało — przez całą wojnę musieli ją transportować morzem ze Szwecji. Pod bombami lotnictwa aliantów. A pod nogami Stalina była cała tablica Mendelejewa, w tym także złoto, za które we Francji, w Ameryce i w tychże Niemczech można było kupić wszystko: najnowsze urządzenia — całymi fabrykami, najnowsze silniki lotnicze, najlepsze na świecie samoloty transportowe, najtęższe umysły i tajne rysunki techniczne. Wszystkiego tego nie starczyło, aby uzbroić Armię Czerwoną choćby na poziomie odrodzonego Wehrmachtu?

Od rozmyślań nad tymi problemami odciągnęła autora nauka w instytucie lotniczym, potem — projektowanie działa laserowego w *„skrzynce pocztowej"*, a następnie — praca w kotłowni i problemy społeczne epoki głasnosti i przełomu.

O co walczyliśmy — tośmy i dostali. Owszem, dużo mniej, niżbyśmy chcieli, ale w końcu z początkiem lat dziewięćdziesiątych udostępniono dużą liczbę dokumentów sprzed wojny i z jej początku, w wolnej prasie opublikowane zostały objęte wcześniej klauzulą tajności prace radzieckich historyków wojskowości. Oprócz tego jawność, wolność słowa i Internet sprawiły, że przed niezależnymi badaczami otworzyły się archiwa z pracami historyków i pamiętnikarzy niemieckich. Choć po dziś dzień ogromnie dużo materiału dokumentalnego wciąż jeszcze nie udostępnia się społeczeństwu (bez jakiegokolwiek przyzwoitego wyjaśnienia), to tego, co już ujawniono, jest dość, aby szczegółowo i dokładnie ocenić stosunek sił stron według stanu na 22 czerwca 1941 roku.

Oczywiste jest, że o żadnej *„technicznej przewadze Wehrmachtu"* nie mogło być mowy. Działo z pierwszej wojny światowej ciągnęła szóstka koni, głównym środkiem transportu piechoty Wehrmachtu była para nóg na każdego żołnierza, a uzbrojony był on w najzwyklejszy karabin (to tylko w kiepskim kinie radzieckim wszyscy Niemcy w 1941 roku chodzą ze szmajserami, a przecież — zgodnie z etatem— nawet w

elitarnych dywizjach „pierwszej fali" było 11 500 karabinów i w sumie 486 pistoletów maszynowych).
Rozumie się samo przez się, że skrajnie zmilitaryzowane imperium radzieckie, przez długie lata przygotowujące się do Wielkiej Wojny, maksymalnie wykorzystując wszelkie możliwości najbogatszego kraju świata, uzbroiło i wyposażyło swą armię tak, że lepiej nie można. Czołgów i samolotów, dział przeciwlotniczych i ciągników gąsienicowych, lotnisk, a nawet balonów było w Armii Czerwonej więcej niż w armiach Anglii, Francji i Niemiec razem wziętych. Naukowo–techniczny poziom radzieckiej produkcji wojennej nie tylko *„odpowiadał najlepszym standardom światowym"*, ale pod wieloma względami kształtował je. Najlepszy na świecie wysokościowy myśliwiec przechwytujący (MiG–3), najlepsze na świecie działka lotnicze (WJa–23), najlepsze na świecie czołgi (lekki BT–7M, średni T–34, ciężki KW), pierwsze na świecie wyrzutnie rakietowe do prowadzenia ognia salwami (BM–13 *„Katiusza"*), najnowsze systemy artyleryjskie, radiolokatory, wirujące kasetowe bomby lotnicze, czołgi–miotacze ognia i wiele, wiele innych— wszystko to było, i to nie na stołach kreślarskich, nie jako prototypy, ale produkowane seryjnie.
Ześrodkowanie trzymilionowego zgrupowania Wehrmachtu u zachodnich granic ZSRR zostało ujawnione przez radzieckie rozpoznanie z dokładnością do pułku i transportu. Choć autentycznych dokumentów, odsłaniających plany operacyjne dowództwa niemieckiego, nigdy na stole Stalina nie było, ogólna polityczna i wojskowa gotowość hitlerowskich Niemiec do agresji na wschodzie nie była tajemnicą ani dla wyższego kierownictwa państwowego ZSRR, ani dla wyższych dowódców Armii Czerwonej.
Istnieją dokumenty świadczące niezbicie o tym, że tajna mobilizacja i strategiczne rozwinięcie sił zbrojnych Związku Radzieckiego rozpoczęły się p r z e d pierwszymi salwami dział na granicy, a nie po nich. Co zaś się tyczy celów rozwinięcia, ta kwestia pozostaje otwarta. Ostatnie przedwojenne plany osłony mobilizacji i rozwinięcia wojsk zachodnich okręgów opublikowane zostały dopiero pół wieku po ich przyjęciu. A przecież wojska ześrodkowuje się i rozwija w jakimś celu, do prowadzenia jakichś operacji, a nie po prostu, aby stwarzać niepotrzebne problemy wynikające z konieczności ich osłony. Plany osłony także były przecież tylko częścią jakiegoś — utrzymywanego w tajemnicy po dziś dzień — Wielkiego Planu.
Armia Czerwona przygotowywała się do wojny, i to takiej, która powinna rozpocząć się w najbliższych tygodniach, a nawet dniach. W tej sytuacji Niemcy mogli osiągnąć jedynie całkiem ograniczony w czasie i przestrzeni efekt zaskoczenia taktycznego. I nic ponadto.

2 — N. von Below (**Byłem adiutantem Hitlera**, MON, Warszawa 1990, s. 257) również

wspomina tę wizytę i sprawozdanie naczelnego inżyniera Luftwaffe Dietricha Schewenkego: *„Nie mogło już być żadnych wątpliwości, że Rosja zbroi się pełną parą. Świeżo budowane zakłady lotnicze o rozmiarach tak wielkich, z jakimi wizytujący jeszcze nigdy się nie spotkał, są już na ukończeniu. Zakłada się wiele nowych lotnisk. Panuje tam niesamowita krzątanina"*.

OD CZEGO ZACZNIEMY

Jak to często (a może zawsze?) bywa, nowe odkrycia, wyjaśniając stare problemy, prowadzą do nowych, o wiele bardziej złożonych pytań. Gdy chowanie się za parawanem świadomie kłamliwych zmyśleń o *„wielokrotnej ilościowej przewadze Wehrmachtu"* było już niemożliwe, określenie prawdziwych przyczyn bezprzykładnej w historii wojen katastrofy stało się jeszcze bardziej aktualne i skomplikowane.

Mówiąc konkretnie, określenie tych przyczyn rozpoczęło się na wiele l at przed ostatecznym upadkiem KPZR. Nie jesteśmy już *„leniwi i nieciekawi"* (Puszkin), aby wśród setek tysięcy żywych świadków dramatycznych wydarzeń tych lat nie odnaleźć ludzi gotowych zakwestionować świadectwo oficjalnej bredni. Już w czasie chruszczowowskiej *„odwilży"* na świat boży z nieprzeniknionej ciemności tajemnicy wojskowej wypłynęły jakieś liczby, fakty, dokumenty, po których ujawnieniu kontynuowanie wcześniejszych kłamstw stało się całkowicie niemożliwe. Nie można zapomnieć, na przykład, o dwutomowej monografii Daszyczewa **Bankrotstwo stratiegii giermanskogo faszyzma**. Chociaż w całości poświęcona ona była historii niemieckiej i autor celowo unikał jakichkolwiek porównań, to u myślącego czytelnika rozwiewały się ostatnie wątpliwości co do *„wielokrotnej ilościowej przewagi Wehrmachtu w czołgach i lotnictwie"*.

Jeszcze dalej poszli Niekricz i Petro Hryhorenko (Grigorienko). Zasłaniając się mnóstwem zastrzeżeń, usprawiedliwień i wyjaśnień, w końcu napisali czarno na białym, że żadnej ilościowej ani technicznej przewagi Wehrmachtu nad Armią Czerwoną nie było. Dla pierwszego z nich skończyło się to wygnaniem z ZSRR, dla drugiego — zamknięciem w szpitalu psychiatrycznym.

W epoce *„nowego myślenia"* ich dzieło kontynuował (najpewniej — sam tego nie podejrzewając) Wiktor Suworow. Obdarzony niezwykłym talentem publicystycznym, z natarczywością człowieka, który znalazł w końcu prawdziwą przyczynę, Suworow w swej trylogii (**Lodołamacz**, **Dzień M**, **Ostatnia republika**)sprawił, że z kłamliwego mitu o spokojnym, pokojowym i prawie nieuzbrojonym stalinowskim imperium nie pozostał kamień na kamieniu.

Niestety, obalając stare mity, Suworow pospieszył się i zastąpił je nowymi. Okazuje się, że Armia Czerwona była wielka i potężna — ale tylko do godziny trzeciej rano 22 czerwca 1941 roku. Następnego dnia

była ona wykrwawiona i rozbrojona na skutek niespodziewanej napaści hitlerowców. Z trylogii Suworowa płynie pieśń Pierwszego Obezwładniającego Uderzenia: *„W czasie niespodziewanego uderzenia radzieckich czołgistów wystrzelano jeszcze przed tym, zanim dobiegli oni do swoich czołgów, a czołgi spłonęły lub zostały zdobyte bez załóg* (...) *Niespodziewane uderzenie na lotniska oślepiło dywizje pancerne* (...) *Radzieckie samoloty rozpoznawcze nie mogą podnieść się w niebo* (...) *Naszemu cyklopowi wybito oko. Nasz cyklop jest ślepy. Macha on gołymi pięściami i miota się w bezsilnej złości"*. I tak dalej.

Dla zwiększenia prawdopodobieństwa Suworow przedstawił także swoje, o wiele bardziej prawdopodobne wyjaśnienie przyczyn takiej konfuzji — Armia Czerwona sama przygotowywała się do napaści i dlatego, jakoby, zapomniała o wszelkiej ostrożności. W porównaniu z nielogiczną wersją pseudohistoryków komunistycznych (o tym, jak bojaźliwy i naiwny Stalin bał się dać Hitlerowi *„powód do napaści"*) hipoteza Suworowa wygląda o wiele bardziej solidnie.

Nawiasem mówiąc, w tym wariancie mitotwórstwa W. Suworow nie był pierwszy. Grigorienko jeszcze w 1967 roku pisał o tym, jak *„głupi"* komisarz obrony Timoszenko posłuchał jeszcze *„głupszego"* Stalina i wysunął w dniu 22 czerwca całą artylerię na zachód. Powinna ona do zmroku pozostawać w ukryciu— a została wyciągnięta z obozów. Wtedy spadło na nią lotnictwo nieprzyjaciela. I zniszczyło. Całą. Całe s z e ś ć d z i e s i ą t t y s i ę c y dział i moździerzy. Każdy niemiecki bombowiec (a było ich wszystkich na Froncie Wschodnim dziewięćset), unosząc się nad ziemią jak mityczna walkiria z dawnych skandynawskich sag, za jednym zamachem zniszczył po jednym radzieckim pułku artylerii. Kiepsko...

Dalej, w Części 2., w szczegółach, z ołówkiem w ręku rozpatrzymy problem tego, co mogło i co zrobiło, a czego nie mogło zrobić niemieckie lotnictwo. A teraz odwołajmy się do zdrowego rozsądku i zadajmy jeszcze kilka prostych pytań.

Dlaczego same *„hitlerowskie sokoły"* niczego nie wiedzą o swoich wielkich dokonaniach?

O historii Luftwaffe napisano góry książek. Są monografie poświęcone zastosowaniu bojowemu poszczególnych typów samolotów, monograficzne rozprawy o szlaku bojowym prawie każdej eskadry lotniczej, a wszystko to z niemiecką precyzją, z dokładnym wskazaniem fabrycznego numeru każdego samolotu i stopni wojskowych wszystkich członków załogi. A o tym, że 22 czerwca 1941 roku *„rozgromili"* oni całą Armię Czerwoną — ani słowa. Nawet bajdurzący doktor Goebbels niczego i nikomu o tym nie powiedział!

Z drugiej strony, dlaczego nasze *„sokoły"* nie uczyniły czegoś podobnego? Nie, oczywiście nie mogliśmy nikogo gromić w czerwcu 1941 roku. Mieliśmy wtedy nie samoloty, ale *„beznadziejnie przestarzałe grobowce"* i pilotów *„z 6 godzinami wylatanymi na pudełeczkach"*. Ale w latach 1943, 1944 i 1945, wtedy— gdy numeracja radzieckich pułków doszła do tysiąca, kiedy wywalczyliśmy absolutne panowanie w powietrzu — dlaczego wtedy, w ciągu jednego dnia jednym potężnym uderzeniem z powietrza Wehrmacht nie został rozgromiony, pozostawiony bez czołgów, artylerii i składów?

Dlaczego w historii angielskich sił powietrznych nie ma niczego podobnego? A także francuskich i amerykańskich? Amerykanie bombardowali Niemcy (których terytorium jest mniejsze od naszych przedwojennych okręgów wojskowych Zachodniego czy Kijowskiego) od wiosny 1943 roku. Zrzucali oni na każdy obiekt po kilka kiloton bomb w jednym nalocie. W dniu lądowania w Normandii (6 czerwca 1944 roku) każdą dywizję sojuszników wspierało średnio (według wyliczeń znanego amerykańskiego historyka Taylora) [116[3]] 260 samolotów bojowych — 10 razy więcej, niż przypadało na jedną dywizję Wehrmachtu 22 czerwca 1941 roku. I co?— nawet dziesięć miesięcy później, wiosną 1945 roku, Wehrmacht jeszcze walczył, i to nie butelkami z benzyną...

Ale skoro ma być poważnie, to jakoś głupio prowadzić dyskusję na ten temat. Każdy absolwent szkoły średniej powinien wiedzieć, że równania złożonego z 9 niewiadomych w stosunku do jednej można z czystym sumieniem nie ruszać. Ono po prostu nie ma rozwiązania.

Zniszczenie (lub, w skra jnym wypadku, znaczne osłabienie) jednym uprzedzającym uderzeniem armii liczącej na początku wojny 198 dywizji strzeleckich, 13 dywizji kawalerii, 61 dywizji pancernych i 31 dywizji zmotoryzowanych, 16 brygad powietrznodesantowych i 10 brygad artylerii przeciwpancernej było w epoce przedjądrowej absolutnie niemożliwe. Ale nawet z uzbrojeniem XXI wieku do wykonania takiego zadania potrzebne byłoby (po uwzględnieniu rozśrodkowania radzieckiego potencjału wojskowego na gigantycznym teatrze działań wojennych) ogromne zmasowanie sił rakietowo–jądrowych.

[3] — Liczby w nawiasach kwadratowych odnoszą się do wykazu cytowanej przez autora literatury zamieszczonego na końcu książki.

W rzeczywistości głównym środkiem rażenia, którym w 1941 roku rozporządzał Wehrmacht, była artyleria. Główny kaliber: 75, 105, 150 i 210 mm. Maksymalna donośność strzelania — od 10 do 20 kilometrów.

Właśnie za pomocą takich liczb można określić ewentualną głębokość pierwszego uderzenia. Dziewięć dziesiątych radzieckich pułków i dywizji rankiem 22 czerwca znajdowało się poza tą strefą, w odległości 50–1 500 km od granicy, i dlatego ani w pierwszym, ani w drugim, ani w trzecim dniu wojny nawet teoretycznie nie mogły one zostać zniszczone.

Trzeba też zauważyć, że szalony Führer nie wymagał od swej armii aż takiej skuteczności. Planowany czas trwania Blitzkriegu w Rosji mierzono w miesiącach, a nie w dniach, a i Armię Czerwoną zamierzano rozgromić *„śmiałym wysunięciem klinów pancernych"*, a już na pewno nie jednym słabym nalotem junkersów.

Niemniej koncepcja Suworowa dość dobrze wpisała się w tę *„matrycę"*, którą w mentalności jego czytelników ukształtowała wieloletnia propaganda komunistyczna.

Przy całkowitej zewnętrznej sprzeczności i wersja Suworowa, i Stalina– Chruszczowa zgodne są w jednym: przyczyny katastrofy wojennej upatrują one w liczebności i jakości czołgów i samolotów, starannie unikając wszystkiego, co jest związane z działaniem (lub brakiem działań) czołgistów, artylerzystów, lotników, obsługi karabinów maszynowych i ich dowódców.

Trudno powiedzieć, czy fałszywy trop, na który Wiktor Suworow skierował rzesze swych zwolenników, był rezultatem mijania się z prawdą w dobrej wierze, czy też mamy do czynienia z zamierzoną literacką mistyfikacją. Jakkolwiek było, w ostatnich latach w literaturze historycznej dużą popularność zdobyły obie suworowowskie legendy: i ta o *„pierwszym obezwładniającym uderzeniu Wehrmachtu"*, i ta, że klęska Armii Czerwonej spowodowana została tym, że wojska, które szkolono, wyposażono i przygotowano do prowadzenia operacji zaczepnych, zostały 22 czerwca 1941 roku zmuszone do przejścia do obrony.

Liczni *„suworowowcy"* zdążyli już przygotować całą teorię o tym, że armia gotowa do natarcia i armia zdolna do pomyślnego prowadzenia obrony — to dwie różne armie, że istnieją (jak się okazuje), jakieś specjalnie *„ofensywne"* czołgi i samoloty, oraz że tylko w wyniku jednoznacznie ofensywnego charakteru swych planów i uzbrojenia Armia Czerwona okazała się niezdolna do prowadzenia obrony strategicznej.

Absurdalność (jeśli nawet jedynie niezamierzona anegdotyczność) teorii o Armii Umiejącej Tylko Nacierać jest dostatecznie oczywista i nie wymaga wielostronicowego dementowania. Nie trzeba kończyć Akademii Sztabu Generalnego, aby pojąć, że natarcie jest o wiele bardziej złożonym rodzajem działań bojowych aniżeli obrona.

Szczególnie złożonym dlatego, że natarcie stawia bardzo wysokie wymagania przed systemem dowodzenia i łączności, dotyczące elastycznego, szybkiego i nieszablonowego reagowania na dynamicznie zmieniającą się sytuację.

Po prostu nie sposób wyobrazić sobie dowództwa, które zdolne jest do organizacji pomyślnego, zdecydowanego natarcia, a nie potrafi przy tym umiejętnie zorganizować obrony pozycyjnej na własnym — znanym do każdej ścieżki — terytorium; to tak, jak niemożliwe jest znalezienie pianisty jazzowego, który nie potrafi zagrać z nut **Summertime**.

Na koniec, tak zwana armia *„ofensywna"*, wyposażona w najlepsze na świecie *„ofensywne"* czołgi, może wykorzystać sposób prowadzenia obrony zawsze uważany za najlepszy — sama może przejść do kontrofensywy. W historii znajdziemy wiele ilustracji, ale najbardziej jaskrawy, z naszego punktu widzenia, wydaje się przykład wojsk izraelskich.

Armia ta nigdy nawet nie próbowała stać w obronie pozycyjnej — zabójczej w geograficznych warunkach Izraela (minimalna szerokość jego terytorium w granicach określanych przez rezolucję ONZ z 1947 roku wynosiła 18 km). Zarówno w 1967 roku, jak i w 1973 roku strategiczna obrona kraju przed wielokrotnie przeważającymi siłami przeciwnika polegała na przejściu do przeciwuderzenia, przy czym w październiku 1973 roku trzeba je było realizować bez jakiejkolwiek pauzy operacyjnej — od razu po nieudanej próbie zatrzymania natarcia armii egipskiej na linii Kanału Sueskiego.

Czy latem 1941 roku Armia Czerwona działała podobnie?
Oczywiście, że tak.
Oficjalna historia także gotowa jest dziś przyznać, że *„hitlerowskiej strategii Blitzkriegu nie została przeciwstawiona obrona, w tym także manewrowa — z szerokim zastosowaniem zaskakujących i dobrze przygotowanych przeciwuderzeń, ale w rzeczywistości była to strategia błyskawicznego rozbicia włamującego się przeciwnika"* [3].

Jak zawsze błyskotliwie i obrazowo wyraził właśnie tę myśl W. Suworow: *„Reakcja Armii Czerwonej na atak niemiecki to nie reakcja jeża, który najeżył się kolcami, ale ogromnego krokodyla, który ociekając krwią, próbuje atakować"*.

Trafniej tego nie można wyrazić.
Na Kierunku Północno–Zachodnim przeciwuderzenia Armii Czerwonej (pod Szawlami, Dyneburgiem, Ostrowem, Wielkimi Łukami, Starą Russą) trwały od pierwszych dni wojny niemal do połowy sierpnia 1941 roku. Na głównym, zachodnim kierunku strategicznym, na linii Mińsk–Smoleńsk–Moskwa, wielokrotne, praktycznie bezustanne próby

przejścia do zdecydowanego przeciwuderzenia kontynuowano przez całe lato, do 10 września, kiedy to w końcu na rozkaz Stalina wojska frontów Zachodniego, Rezerwowego i Briańskiego przeszły do obrony. Dokładna analiza wszystkich operacji zaczepnych wychodzi poza ramy tej książki. Z drugiej strony ostateczny rezultat tych przeciwuderzeń powinien być znany każdemu sumiennemu uczniowi. Wszystkie te próby przejścia do natarcia nie przyniosły nic prócz utraty setek dywizji kadrowych, dziesiątek tysięcy czołgów i samolotów. Armia Czerwona okazała się nieprzygotowana do natarcia, tak jak okazała się nieprzygotowana do stworzenia solidnej obrony pozycyjnej na tak potężnych granicach, jakie stanowią rzeki południowy Bug, Dźwina, Niemen, Dniepr, Dniestr.
Na tej konstatacji całą dyskusję z *„suworowowcami"* w zasadzie można zakończyć, nawet nie zaczynając. Niemniej żmudna i szczegółowa analiza pierwszych przeciwuderzeń Armii Czerwonej może prowadzić do ważnych wniosków na temat prawdziwych przyczyn jej klęski. Oto, dlaczego autor postanowił oprzeć tę książkę na dokładnym rozpatrzeniu t r z e c h o p e r a c j i z a c z e p n y c h, tych właśnie, o których (nie rozmijając się z prawdą) można powiedzieć, że były to najsilniejsze, dysponujące najlepszym sprzętem bojowym i wyborową kadrą dowódczą przeciwuderzenia Armii Czerwonej .

SENSACJI NIE BĘDZIE

Służba muzom nie znosi rwetesu. Tym bardziej nie cierpi gorączkowego pośpiechu historia wojskowości. Czytelnik musi się uzbroić w cierpliwość. Nie będzie szybkich odpowiedzi na postawione pytania. Nie będzie także popularnych w ostatnich latach *„sensacyjnych dokumentów"*, wstrząsających *„rewelacji"* byłych stalinowskich dygnitarzy i całego tego bulwarowego chłamu.

Przed nami setki stron tekstu trudnego, naszpikowanego liczbami, datami, numerami dywizji i kalibrami dział. Raz po raz będziemy się zatrzymywać przed wszystkim, co *„oczywiste"*, *„zrozumiałe samo przez się"*; przywykliśmy do tego jak do rozchodzonych gumiaków, przekonani, że wiemy— ale co naprawdę skrywa się za tymi utrwalonymi mitami?

CZĘŚĆ 1 ZAPRZEPASZCZONA WOJNA

WTOREK, 17 CZERWCA

W tamtym roku 17 czerwca wypadał we wtorek. Zwyczajny letni, roboczy dzień. Nagłówki gazet centralnych tchnęły spokojem bliskim nudzie. Artykuł wstępny w **„Izwiestiach"** pod tytułem: ***„O kołchozowych towarach codziennego użytku i miejscowej inicjatywie"***. I następne: ***„Rezultaty realizacji nowej pożyczki"*** i ***„Bieg związkowo–komsomolski rozpoczęty"***. Pewne ożywienie następowało dopiero na ostatniej stronie. Tam, gdzie opublikowano gorące wezwanie Gławkonsierwa: ***„Zwracajcie zbędne szklane słoiki i butelki!"*** Z tłem tego pokojowego błogostanu kontrastowały nagłówki drugiej części numeru, poświęconej wydarzeniom z zagranicy: ***„Wojna w Europie"***, ***„Wojna w Syrii"*** (szanowny Czytelniku, czy pamiętasz, kto i z kim walczył w Syrii w czerwcu 1941 roku?), ***„Wojna w Afryce"***, ***„Bombardowania Cypru i Gibraltaru"***, ***„Przygotowania wojenne Stanów Zjednoczonych"***. Każdy czytelnik **„Izwiestii"** mógł w ten sposób docenić owoce mądrej, niezmiennie kochającej pokój polityki zagranicznej Związku Radzieckiego.

Tylko kilkudziesięciu ludzi w całym ogromnym kraju wiedziało, że pierwsze z całej serii potężnych stalinowskich uderzeń, zaplanowanych na lato 1941 roku, już się zaczęło. W tym samym dniu — 17 czerwca — dowódca 1. Korpusu Zmechanizowanego generał major Czerniawski otrzymał od szefa sztabu Leningradzkiego Okręgu Wojskowego generała majora Nikiszewa rozkaz podniesienia alarmem bojowym 1. Dywizji Pancernej.

Niestety, autor nie jest całkiem przekonany co do tego, czy prawidłowo wskazał sztab, którym 17 czerwca kierował generał major Nikiszew. Czy był to jeszcze sztab Leningradzkiego Okręgu Wojskowego czy już sztab Frontu Północnego? Prawidłowa odpowiedź na to pytanie ma bowiem ogromne znaczenie poznawcze.

Fronty w Związku Radzieckim nigdy nie powstawały w czasie pokoju (rozwinięty w końcu lat trzydziestych Front Dalekowschodni może służyć tu tylko jako wyjątek potwierdzający regułę — na granicy z okupowanymi przez Japonię Chinami nieustannie wybuchały większe lub mniejsze konflikty zbrojne). Rozwijanie frontów na zachodnich granicach ZSRR zawsze zapowiadało szybkie rozpoczęcie d z i a ł a ń b o j o w y c h.

11 września 1939 roku na bazie Białoruskiego oraz Kijowskiego

Specjalnego Okręgu Wojskowego utworzono dwa fronty — Białoruski i Ukraiński. Po sześciu dniach rozpoczęła się agresja na Polskę, zakończona w końcu września 1939 roku *„przyłączeniem"* do Związku Radzieckiego 51 procent terytorium przedwojennej Polski. Nawiasem mówiąc, Polska i ZSRR w 1932 roku zawarły Układ o nieagresji, i od tego czasu Związek Radziecki nigdy nie kwestionował prawnych i *„sprawiedliwych"* wschodnich granic Polski.

Wojna się zakończyła i 14 listopada 1939 roku z rozkazu komisarza obrony (nr 0177) fronty ponownie przekształcono w okręgi wojskowe z poprzednimi nazwami [1, s. 328].

9 czerwca 1940 roku spośród dowództwa Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego utworzony został Front Południowy, w którego skład włączono oddziały i związki zarówno Kijowskiego, jak i Odeskiego Okręgu Wojskowego. 28 czerwca o godz. 14.00 wojska frontu przekroczyły granicę z Rumunią i do końca 1 lipca 1940 roku zajęły całą Besarabię i Bukowinę Północną. 10 lipca 1940 roku Front Południowy został rozformowany [1, s. 218].

Finlandię towarzysz Stalin ocenił jednak o wiele niżej niż Polskę czy Rumunię i dlatego nie utworzył frontów na początku pierwszej wojny radziecko–fińskiej (30 listopada 1939 roku). Ale któż z nas się nie myli? Gdy tylko się wyjaśniło, że *„miażdżące uderzenie na fińskie robactwo"* (właśnie takiego stylu użyła w swym numerze z 1 grudnia 1939 roku gazeta z dobrą nazwą **„Prawda"**) utknęło na czas nieokreślony, błąd szybko naprawiono.

7 stycznia 1940 roku działające na Przesmyku Karelskim wojska połączono we Front Północno–Zachodni. Po trzytygodniowym przestoju i znacznym zwiększeniu sił 1 lutego 1940 roku wojska frontu przeszły do zdecydowanego natarcia, zakończonego przełamaniem linii Mannerheima i szturmem Wyborga. Gdy 12 marca podpisano w Moskwie układ pokojowy, Front Północno–Zachodni został rozwiązany (Rozkaz komisarza obrony nr 0013 z 26 marca 1940 roku).

Z całą pewnością wiadomo, że latem 1941 roku trzy fronty (Północno– Zachodni, Zachodni i Południowo–Zachodni) rozwinięte zostały p r z e d inwazją wojsk hitlerowskich na terytorium radzieckie — atakiem, w którego realność towarzysz Stalin nie wierzył nawet wtedy, gdy faktycznie nastąpił.

Już 19 czerwca 1941 roku komisarz obrony ZSRR marszałek Timoszenko wydał Rozkaz nr 0042 o wyprowadzeniu w dniach 22–23 czerwca sztabów tych trzech frontów na polowe stanowiska dowodzenia (odpowiednio w Poniewieżu, stacji Obóz Leśna i w Tarnopolu), przy czym budowa samych stanowisk rozpoczęła się na podstawie rozkazu Timoszenki z 27 maja 1941 roku [2, s. 180; 1, s. 330].

Na przykład już 19 czerwca pojęcia *„front”* i *„okręg”* w dokumentach tych zostały całkiem wyraźnie rozdzielone. W szyfrogramie, który G. K. Żukow wysłał 19 czerwca 1941 roku do dowódcy Frontu Południowo–Zachodniego, stwierdzono: *„Ludowy komisarz obrony nakazał: do 22.06.1941 roku przejść z dowództwem do Tarnopola, pozostawiając w Kijowie podporządkowane Wam dowództwo okręgu* (...) *Wydzielenie i przeniesienie dowództwa frontu utrzymywać w ścisłej tajemnicy”*.

Tekst tego telegramu przywołany został w jak najbardziej oficjalnej pracy rodzimych historyków wojskowości: w monografii **1941 god — uroki i wywody** (**„Rok 1941— lekcje i wnioski”**), wydanej w 1992 roku przez Sztab Generalny ówczesnych Zjednoczonych Sił Zbrojnych WNP [3]. Poza tym, jeszcze w dawnych radzieckich czasach, w książce, która przeszła przez wszystkie szczeble cenzury — wspomnieniach marszałka Bagramiana[4] (przed wojną zastępcy szefa sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego) — mówi się o tym, że na stanowisko dowodzenia do Tarnopola wyjechali oni 21 czerwca, mając rozkaz przybyć tam 22 czerwca [110].

Tę sensacyjną informację można było w pełni ocenić dopiero po tym, jak w 1996 roku **„Wojenno–istoriczeskij żurnał”** (**WIŻ** — oficjalny organ Ministerstwa Obrony) opublikował najbardziej tajne (z gryfem *„Szczególnie ważne”*, wykonane w dwóch egzemplarzach każdy) plany działań wojsk zachodnich okręgów wojskowych dotyczące osłony mobilizacji i operacyjnego rozwinięcia Armii Czerwonej [**WIŻ**, 1996, nr 2–6].

Tak więc według tych dokumentów wysunięcie sztabów na stanowiska dowodzenia do Poniewieża, Obozu Leśna i Tarnopola zamierzano przeprowadzić w dniu M–3, czyli w trzecim dniu mobilizacji. Wynika z tego, że Suworow nie tylko nie przecenił, ale przede wszystkim nie docenił zamiarów i wytrwałości towarzysza Stalina[5]. Stanowi to poważną podstawę do przypuszczeń, że realizowane na wielką skalę operacyjne rozwinięcie Armii Czerwonej do natarcia na Europę faktycznie rozpoczęło się 19 lub 20 czerwca 1941 roku.

[4] — I. Bagramian, **Taki był początek wojny**, MON, Warszawa 1972, s. 111–113.

W literaturze historycznej i wspomnieniowej znajduje się mnóstwo odniesień do godnych uwagi wydarzeń, jakie rozgrywały się w tych dniach.
19 czerwca do oddziałów lotniczych Nadbałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego (NSOW) wpłynął rozkaz o przejściu w stan podwyższonej gotowości bojowej i rozśrodkowaniu samolotów na lotniskach operacyjnych [2, s. 175]. 18 czerwca szef sztabu Okręgu generał lejtnant Klenow wydał następujące zarządzenie: *„Oddziały strefy OPL i środki OPL związków wojskowych przyjąć gotowość Nr 2*

(...)*oddziały OPL, znajdujące się w obozach, natychmiast ściągnąć do miejsc stałej dyslokacji* (...)*czas gotowości — do 18.00 19 czerwca"* [**WIŻ**, 1989, nr 5].
19 czerwca sztab sił powietrznych Frontu Zachodniego na rozkaz dowódcy frontu generała armii D. G. Pawłowa wydzielony został ze składu sztabu Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego i skierowany z Mińska na zachód, w rejon Słonima [4].
Kontradmirał A. G. Gołowko, ówczesny dowódca Floty Północnej, w swoich wspomnieniach zatytułowanych **Wmiestie z flotom** pisze, że 19 czerwca otrzymał *„dyrektywę Głównego Sztabu Morskiego — przygotować do wyjścia w morze okręty podwodne"*.
20 czerwca dowódca odznaczonej Orderem Czerwonego Sztandaru Floty Bałtyckiej wiceadmirał Tribuc zameldował, że *„oddziały floty od 19.06.41 doprowadzone do stanu gotowości bojowej według planu Nr 2"* [**WIŻ**, 1989, nr 5]. Szkoda tylko, że nawet w 1989 roku **„WIŻ"** nie dał żadnych wyjaśnień, czego dotyczył *„plan nr 2"*...
Generał pułkownik P. P. Połubojarow, przed wojną szef Zarządu Pancerno–Samochodowego NSOW pisze, że *„16 czerwca 1941 roku dowództwo 12. KZmech. (korpusu zmechanizowanego) otrzymało dyrektywę nakazującą doprowadzić związki do gotowości bojowej* (...) *18 czerwca dowódca korpusu poderwał związki i oddziały alarmem bojowym i nakazał wyprowadzić je w zaplanowane rejony. W dniach 19 i 20 czerwca rozkaz został wykonany* (...)*16 czerwca zarządzeniem sztabu okręgu doprowadzono do gotowości bojowej także 3. KZmech., który w tym samym czasie ześrodkował się w wyznaczonym rejonie"* [**WIŻ**, 1989, nr 5].
18 czerwca dowódca 8. Armii generał major Sobiennikow otrzymał rozkaz dowódcy NSOW o wyprowadzeniu wojsk na nakazane odcinki osłony granicy państwowej. Następnego dnia, 19 czerwca, przyszła dyrektywa sztabu NSOW, w której nakazywano:
„Pola minowe ustawić zgodnie z planem budownictwa obronnego, zwracając uwagę na utrzymanie tego w pełnej tajemnicy przed przeciwnikiem" [**WIŻ**, 1989, nr 5].
À propos min. główny radziecki historyk początkowego okresu wojny, profesor doktor W. A. Anfiłow, w swej ostatniej książce wzdycha żałośnie:
„Nie rozpoczęto u nas produkcji min przeciwpancernych. 22 czerwca we wszystkich przygranicznych okręgach znajdowało się t y l k o (podkr. M.S.) *494 tysiące min przeciwpancernych"* [40, s. 218].
Niepokój o zachowanie *„pełnej tajemnicy przed przeciwnikiem"* doprowadził do tego, że nawet szef Oddziału Propagandy Politycznej NSOW, towarzysz Riabczy, wieczorem 21 czerwca zarządził:
„Oddziałom propagandy politycznej korpusów i dywizji zakazuje się dawania pisemnych dyrektyw do oddziałów, zadania polityczne stawiać

ustnie przez swoich przedstawicieli" [61].
Konspiracja, konspiracja i jeszcze raz konspiracja... Czemuż to nie można było powierzyć na papierze takich zadań, jak *„być gotowym do obrony pokojowej, twórczej pracy ludzi radzieckich"* czy też *„cudzej ziemi nie chcemy ni piędzi"*?

5 — Ponownie Sołonin niepotrzebnie dworuje sobie z Suworowa. Ten bowiem stwierdza wyraźnie: *„Tajna mobilizacja rozpoczęła się 19 sierpnia 1939 roku. Dzień „M" to nie początek mobilizacji, lecz początek jej ostatniego, jawnego etapu. To chwila, kiedy tajna mobilizacja zostanie powszechnie ogłoszona i stanie się jawna"* (W. Suworow, **Dzień „M"**,Wyd. Adamski i Bieliński, Warszawa 1996, s. 202). Poza tym Sołonin mówi o dniu *„M–3"*; zwracam więc uwagę — w terminologii wojskowej znak oznaczać może nie myślnik, lecz minus. A więc jeśli rozwinięcie SD frontów, które nastąpić miało 22 czerwca 1941 r., oznacza M *„minus"* 3 — to mobilizacja powszechna powinna zostać ogłoszona 25 czerwca... Nasuwa się jednak pytanie: po co ogłaszać mobilizację powszechną przed uderzeniem, skoro wszystkie dywizje przeznaczone do pierwszego uderzenia zostały już uzupełnione w fazie mobilizacji tajnej? Przykłady: 87. i 124. Dywizja Strzelecka (27. Korpus Strzelecki 5. Armii Frontu Południowo–Zachodniego) uzupełnione zostały kontyngentami po 1900– 2000 rezerwistów do pełnych stanów w dniach 15–20 maja 1941 r.; 64. i 108. Dywizja Strzelecka (44. Korpus Strzelecki 13. Armii Frontu Zachodniego)— uzupełnione zostały kontyngentami po 6000 po 1 czerwca 1941 r. itd. W sumie na przełomie maja i czerwca do armii wcielono 813 tysięcy rezerwistów!

Generał major S. Iowlew (podówczas dowódca bohaterskiej 64. Dywizji Strzeleckiej) pisze we wspomnieniach:
„Oddziały 64. Dywizji Strzeleckiej na początku lata 1941 roku stały w obozach w Drogobużu (...)*15 czerwca 1941 roku dowódca Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego generał armii D. G. Pawłow nakazał dywizjom naszego korpusu przygotować się do przedyslokowania w pełnym składzie. Przewozy nakazano rozpocząć 18 czerwca. Stacja przeznaczenia nam nie była znana, znały ją tylko organy komunikacji wojskowych"* [**WIŻ**, 1960, nr 9].
Tak — radzieckie normy zachowania tajemnicy mocno odstawały od ogólnoludzkich. Ale żeby dowódca dywizji w stopniu generała[6], jak*„zek idący na zesłanie"* nie wiedział, dokąd wiozą jego i powierzone mu pułki *„w pełnym składzie"*?
Pułkownik Nowikow, będący na początku wojny szefem sztabu 62. Dywizji Strzeleckiej 5. Armii KSOW, stwierdza, że „(...)*oddziały dywizji wyszły z obozu w Kiwiercach (około 80 km od granicy) i wykonując dwa marsze nocne, do rana 19 czerwca weszły do pasa obrony; rubieży obronnej jednak nie zajęły, ale ześrodkowały się w lasach w jej pobliżu"* [**WIŻ**, 1989, nr 5].
Dziwne to wszystko. Bardzo dziwne. Dlaczego nocą? Na Wołyniu przeważają tereny lesisto–bagienne, w ciemnościach nocy łatwo utopić działo w bagnie i ludzie bez sensu się przemoczą. No i noce w czerwcu najkrótsze, dłużej niż 5–6 godzin się nie pójdzie. Wreszcie — po co na nowej granicy budowano betonowe DOT–y[7] i pieniądze państwowe przez dwa lata zakopywano w ziemię, skoro po wyjściu nad granicę 62.

Dywizja *„rubieży obronnej nie zajęła”*, lecz nie wiadomo po co zaszyła się w lasach?
Chodzą słuchy (mnożące się w pracach radzieckich historyków), że Stalin ze wszystkich sił starał się *„oddalić”* napaść Hitlera na Związek Radziecki. Tak więc, aby *„oddalić”* nieuniknione, trzeba było nie chować dywizji po lasach, nie brodzić po bagnach w nocnej głuszy, ale w upalny słoneczny czerwcowy dzień wezwać do Kiwierc korespondentów gazet centralnych i nakazać im sfotografować kolumny marszowe, i to tak, aby pokazać na zdjęciach wyśmienite wojsko. I dać to na pierwszą stronę dzienników — pod ogólnym tytułem ***„Granica bezpieczna”***!
Także przy ustawianiu pól minowych trzeba było zadbać nie o *„utrzymanie tego w pełnej tajemnicy przed przeciwnikiem”*, ale o to, aby o samym minowaniu dowiedziała się niemiecka agentura.
„Mając do czynienia z niebezpiecznym wrogiem, trzeba było bez wątpienia pokazać mu przedtem całą swą gotowość do okazania oporu. Jeślibyśmy zademonstrowali Hitlerowi naszą prawdziwą potęgę, być może powstrzymałby się przed wojną z ZSRR w tym momencie” — pisze w swoich wspomnieniach [45] generał armii S. P. Iwanow, bardzo doświadczony sztabowiec, jeden z głównych historyków początkowego okresu wojny. Trzeba było działać właśnie tak, jak radzi profesjonalista wysokiego stopnia.
Jeśli Stalin myślał o tym, jak *„oddalić”*, a nie o tym, jak nie wystraszyć…
Tak, dziwne rzeczy działy się w tych dniach, gdy gazety pisały o towarach codziennego użytku i szklanych opakowaniach, ale wróćmy do pytania, od którego rozpoczęliśmy ten rozdział: kiedy utworzono Front Północny?
Wskazywana w większości książek data 24 czerwca 1941 roku jest jawną dezinformacją. Wieczorem 22 czerwca komisarz obrony Timoszenko i szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej Żukow w tekście swojej Dyrektywy nr 3 (jeszcze nieraz powrócimy do rozważań nad tym ważnym dokumentem) w punkcie 3a) stawiają zadania *„armiom Frontu Północnego”* [5, s. 353].
Przygotowujący tę dyrektywę bardzo doświadczeni sztabowcy Watutin i Wasilewski nie mogli przecież wydawać rozkazów w próżnię!
Przed wybuchem wojny, w sobotę 21 czerwca, na posiedzeniu Biura Politycznego KC WKP(b) przyjęto postanowienie o *„powierzeniu tow. Mierieckowowi ogólnego kierowania Frontem Północnym”*, a także podjęto decyzję o wyznaczeniu na stanowisko członka Rady Wojennej Frontu Północnego sekretarza Leningradzkiego Komitetu Miejskiego towarzysza Kuzniecowa [6, s. 358].
Dokładna data i numer dokumentu o utworzeniu Frontu Północnego nie są autorowi znane.

Autor nie ma więc żadnych dokumentów (oprócz opublikowanych

jeszcze w 1987 roku wspomnień dowódcy 1. Dywizji Pancernej W. I. Baranowa) potwierdzających tę ważną okoliczność, że w rozkazie, który 17 czerwca otrzymał dowódca 1. Korpusu Zmechanizowanego, użyte zostały słowa *„bojowy"*, *„alarm bojowy"* itp. Za to dokładnie wiadomo, jak rozkaz ten został wykonany.
Zgodnie z rozkazem należało załadować do transportów kolejowych i skierować do rejonu dyslokacji 1. Dywizję Pancerną. W dywizji znajdowało się: 370 czołgów, 53 uzbrojone w działa samochody pancerne, setki dział i moździerzy (w tym najnowsze, wówczas najlepsze na świecie, 152 mm armato–haubiceMŁ–20 o wadze 7 ton), setki ciągników gąsienicowych, półtora tysiąca samochodów wszystkich typów, a także tysiące ludzi, setki ton paliwa i amunicji [7, 8].
Trudno powiedzieć, ile czasu zajęłaby tak ogromna praca w naszych czasach. Można się domyślać, że tylko na wykonanie *„kompleksowego planu przewozów"* potrzebny byłby tydzień. Nie przypadkiem jednak 1. Dywizja Pancerna była już odznaczona Orderem Czerwonego Sztandaru, a na piersi jej nowego dowódcy — uczestnika wojny w Hiszpanii i Finlandii generała W. I. Baranowa — lśniła złota gwiazda Bohatera Związku Radzieckiego. Weteranami walk w Hiszpanii i wojny fińskiej byli także dowódcy pułków czołgów tej dywizji: Bohater Związku Radzieckiego pułkownik D. D. Pogodin i major P. S. Zytniew.
Nieprawdopodobne, ale to fakt — w nocy z 18 na 19 czerwca ostatnie transporty 1. Dywizji Pancernej wyruszyły ze stacji Bieriezki (na północny zachód od Pskowa).
Słowo *„elitarny"* nie było w tym okresie w modzie, ale właśnie tak należy podejść do opisu 1. Dywizji Pancernej, ba! — całego 1. Korpusu Zmechanizowanego. Korpus sformowano latem 1940 roku na bazie brygad czołgów, które wyróżniły się w okresie wojny fińskiej: 13. odznaczonej Orderem Czerwonego Sztandaru, 20. Czołgów Ciężkich im. S. M. Kirowa odznaczonej Orderem Czerwonego Sztandaru i 1. Czołgów Lekkich. Dowództwo korpusu sformowano spośród dowództwa wspomnianej 20. Brygady Czołgów — właśnie ten związek w lutym 1940 roku przerwał linię Mannerheima na najtrudniejszym odcinku— w rejonie *„wzgórza 65,5"*, otwierając drogę nacierającej piechocie radzieckiej przez 45 (sic!) rzędów zaminowanych zasieków z drutu kolczastego [8].

Dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR w kwietniu 1940 roku 20. Brygada Czołgów odznaczona została Orderem Bojowym Czerwonego Sztandaru, 613 żołnierzy otrzymało ordery i medale, 21 czołgistów dostąpiło tytułu Bohatera Związku Radzieckiego. Równie wielkie zasługi miała 13. Brygada Czołgów, której dowódca — kombryg W. I. Baranow — 21 marca 1940 roku za skuteczne dowodzenie otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego [8].
Jednoznacznie zbrodniczy charakter tej wojny w żadnym wypadku nie

umniejsza wyjątkowości doświadczenia w przełamaniu umocnionego pasa obrony wciężkich warunkach naturalnych, które radzieccy czołgiści zdobyli na Przesmyku Karelskim. Było ich tam niemało: już na początku działań bojowych zgrupowanie wojsk radzieckich liczyło 2 289 czołgów, a później liczba ta nieprzerwanie rosła [1, s. 153].
Bogate doświadczenie bojowe radzieckich czołgistów najlepiej ilustruje to, jak 1. Dywizja Pancerna opuściła miejsce stałego pobytu w osadzie Strugi Krasnyje pod Pskowem.
Generał pułkownik I. M. Gołuszko (wówczas lejtnant, który dopiero co ukończył Kijowską Szkołę Pancerną) opisuje w swych wspomnieniach to, co zobaczył, gdy przybył do byłego obozu 1. Dywizji Pancernej: *„Oprócz sierżanta, który przedstawił się jako szef parku czołgów, nie było tu już nikogo* (…)
Pozostawione czołgi — 20 sztuk BT–5 i BT–7 — były w konserwacji. Obejrzałem je i tylko westchnąłem: jedne bez skrzyni biegów, inne bez akumulatorów, w niektórych zdjęte karabiny maszynowe (…) *Na pytanie, co to wszystko znaczy, sierżant odpowiedział, że pułk, p o d e r w a n y a l a r m e m* (podkr. M.S.)*, zabrał wszystko, co było na chodzie"* [9].
Na wojnie jak to na wojnie. W czasie pokoju dwadzieścia porzuconych, zdekompletowanych czołgów to przestępstwo. Jednakże dowództwo 1. Korpusu Zmechanizowanego już 17 czerwca 1941 roku wiedziało, że skończył się czas pokoju dla niego i powierzonych mu dywizji. A to oznacza, że trzeba było wyrwać się z ciasnej matni dawno rozpoznanego przez przeciwnika obozu, nie tracąc zbędnych minut. Wszystkie niesprawne czołgi ograbić do cna — na części zapasowe dla tych, które pójdą w bój. Dla porządku pozostawiono przy nich chwackiego sierżanta — i naprzód!
No tak, ale— gdzie to*„naprzód"*? W jakim kierunku 17 czerwca 1941 roku ruszyła pierwsza — i według numeru, i według stopnia gotowości bojowej — dywizja pancerna Armii Czerwonej?
Nawet zgodnie z rygorystycznymi zasadami radzieckiej ochrony tajemnicy nie można było ukryć przed żołnierzami i dowódcami 1. DPanc, dziwnego fenomenu, że słońce wstaje z prawej strony drogi marszu, a zachodzi — z lewej. Innymi słowy, pociągi mknęły, gdzie chciały, tylko nie ku granicy zachodniej. Wzgórza i zagajniki Pskowszczyzny zmieniły się w wiekowy sosnowy bór; w końcu las zaczął się przerzedzać, coraz częściej mijali jeziora i bagna bezludnej, kamienistej pustyni.
Rankiem 22 czerwca czołowe transporty zazgrzytały hamulcami po raz ostatni i zamarły. Trzeba się zatrzymać. Pociąg dalej nie pojedzie — linia kolejowa kończy się w polarnej tundrze. Przyjechali: stacja Ałakurtti na Kirowskiej Linii Kolejowej. Jesteśmy w Laponii — w krainie Świętego Mikołaja.
260 kilometrów do Murmańska, 60 kilometrów do granicy fińskiej,

półtora tysiąca wiorst do najbliższego punktu frontu rozpoczętej w tym dniu wojny z Niemcami.

6 — S. I. Iowlew miał stopień pułkownika; stopień generała majora otrzymał dopiero 27.01.1943 r. Autorowi chodziło jednak raczej o etat generalski dowódcy dywizji.
7 — DOT (ros.*dołgowriemiennaja ogniewaja toczka)* — stały punkt ogniowy lub po prostu żelazobetonowy schron bojowy; w odróżnieniu od polowych drewniano–ziemnych punktów ogniowych (ros. DZOT— *dierewiano–ziemlianaja ogniewaja toczka)* DOT–y stanowiły element fortyfikacji stałych. Por. T. Wesołowski, **Linia Mołotowa. Sowieckie fortyfikacje graniczne z lat 1940–1941 na przykładzie 62. Brzeskiego Rejonu Umocnionego**, Białystok 2001, s. 81.

WPRAWIAJĄC W DRŻENIE ZIEMIĘ ŁOSKOTEM KOLUMN PANCERNYCH…

„Lecz bliski już czas wyzwolenia i zapłaty! Armia Czerwona idzie, wprawiając w drżenie ziemię łoskotem kolumn pancernych, zakrywając niebo skrzydłami swych samolotów (…)*”.*

Od razu wyjaśnijmy — słowa te klasyk radzieckiej literatury A. N. Tołstoj napisał w całkiem innym czasie i z innego powodu. W tym dniu (17 września 1939 roku) ci, do których skierowano ten apel, z jazgotem i hukiem wdzierali się na terytorium wschodniej Polski. A wczesnym rankiem 23 czerwca 1940 roku ogromne, wielokilometrowe kolumny czołgów, artyleryjskich ciągników gąsienicowych i samochodów 1. i 10. korpusów zmechanizowanych ruszyły w całkiem innym kierunku.

Przerwijmy na chwilę relacjonowanie zdarzeń z czerwca 1941 roku, aby wyjaśnić, co znaczą słowa *„korpus zmechanizowany”*.
Drugą wojnę światową można nazwać wojną pancerną. Potężne, operacyjnie samodzielne związki pancerne stały się w tym czasie głównym instrumentem realizacji wielkich operacji zaczepnych. W Wehrmachcie latem 1941 roku była to *„grupa pancerna”*, a w Armii Czerwonej — *„korpus zmechanizowany”*. Wyjaśniając więc realne możliwości ofensywne Armii Czerwonej w 1941 roku, nie sposób obejść się bez omówienia struktury radzieckiego korpusu zmechanizowanego. Korpusy zmechanizowane Armii Czerwonej miały jednolitą strukturę, zatwierdzoną po raz ostatni w lutym 1941 roku. W skład tej jednostki wchodziły:
— dwie dywizje pancerne.
— jedna dywizja zmechanizowana[8],
— samodzielny pułk motocyklowy,
— liczne pododdziały specjalne (samodzielny batalion łączności, samodzielny zmotoryzowany batalion inżynieryjny, korpuśna eskadra lotnicza i in.).
Z kolei każda dywizja posiadała w swym składzie cztery pułki. W dywizji pancernej były to dwa pułki czołgów, pułk zmotoryzowany i pułk

artylerii haubic o trakcji mechanicznej.
W dywizji zmechanizowanej znajdowały się dwa pułki zmotoryzowane, pułk czołgów (wyposażony w czołgi lekkie) oraz pułk artylerii armat. Oprócz tego w każdej dywizji znajdował się batalion łączności, batalion rozpoznawczy, batalion pontonowo–mostowy, dywizjon artylerii przeciwlotniczej, liczne służby inżynieryjne. W składzie dywizji zmotoryzowanej (na wypadek spotkania z czołgami przeciwnika) znajdował się dywizjon artylerii przeciwpancernej.
Opracowując taką właśnie strukturę, dowództwo radzieckie dążyło do tego, aby każda dywizja, jak i korpus jako całość, miały maksymalną samodzielność operacyjną. Dowódca korpusu powinien mieć do dyspozycji taran pancerny — cztery pułki czołgów dywizji pancernych, uzbrojone głównie w czołgi średnie i ciężkie, i grupę artylerii — trzy pułki artylerii o ciągu zmechanizowanym (traktory) — zdolną do zgniecenia obrony przeciwnika na odcinku przełamania, oraz zmechanizowaną *„ławę konnicy"* — cztery pułki zmotoryzowane, pułk czołgów lekkich, pułk motocyklowy, poza tym środki obrony przeciwpancernej, łączności, rozpoznania. Także lotnictwo rozpoznawcze — korpuśna eskadra lotnicza, która na wyposażeniu miała 15 samolotów U–2 i R–5 (U–2, jak wiadomo, startowały i lądowały na dowolnej leśnej polanie i zniszczenie ich *„zaskakującym uderzeniem na lotniska rankiem 22 czerwca"* było w ogóle niemożliwe). Spróbujcie wybić oko takiemu cyklopowi...
Podstawę uzbrojenia korpusu zmechanizowanego stanowiło 1 031 czołgów. Rozdzielono je następująco: w pułku czołgów dywizji zmechanizowanej zgodnie z etatem powinny być 264 szybkie czołgi lekkie BT–7; w każdej z dwóch dywizji pancernych przewidywano po 63 ciężkie czołgi KW, 210 średnich T–34, 26BT i 76 czołgów lekkich T–26 (w tym także czołgi–miotacze ognia). Oprócz tego na wyposażeniu pododdziałów rozpoznawczych korpusu było 17 pływających tankietek T–37/T–38.
W skład korpusu zmechanizowanego wchodziły także kołowe samochody pancerne: 49 w dywizji zmechanizowanej i po 95 w każdej dywizji pancernej, 29 w batalionach rozpoznawczych, w sumie — 268 samochodów pancernych BA–10/BA–20. Uzbrojone były w 45 mm armatę 20K i pod tym względem przewyższały niemieckie czołgi Pz. I, Pz. II, Pz. 38(t), stanowiące ogólnie 56% parku grup pancernych Wehrmachtu.
W lutym 1941 roku przyjęto postanowienie o sformowaniu dwudziestu dziewięciu[9]korpusów zmechanizowanych, co oznaczało rozwinięcie wojsk pancernych do trzydziestu tysięcy czołgów: dwa razy więcej aniżeli w armiach Niemiec, Anglii, Włoch i USA razem wziętych.
W tym czasie w Wehrmachcie do agresji na Związek Radziecki utworzono cztery grupy pancerne. Niemiecka grupa pancerna nie miała

ani standardowego składu, ani określonej liczby czołgów.
Najsłabsza 4. Grupa Pancerna generała Hoepnera miała w swym składzie trzy dywizje pancerne (1., 6. i 8.) i trzy dywizje zmotoryzowane, w sumie 602 czołgi[10].
Najsilniejsza zaś 2. Grupa Pancerna Guderiana dysponowała pięcioma dywizjami pancernymi (3., 4., 10., 17. i 18.), trzema dywizjami zmotoryzowanymi, jedną dywizją kawalerii, samodzielnym pułkiem zmotoryzowanym *„Grossdeutschland"* i posiadała 994 czołgi[11].

[8] — Sołonin pisze o dywizji *„zmotoryzowanej"*, podobnie jak większość autorów nie czyniąc rozróżnienia między dywizją zmotoryzowaną a zmechanizowaną. A różnice są znaczne: po pierwsze dywizje zmechanizowane wchodziły w skład korpusów zmechanizowanych i tylko one miały pułk czołgów (niektóre z tych dywizji posiadały więcej czołgów aniżeli niemieckie dywizje pancerne!!!); po drugie — dywizji zmechanizowanych było 33 (fakt — niektóre tylko z nazwy), a zmotoryzowanych — tylko 2 (36. i 57.) i obie znajdowały się na Zabajkalu.
[9] — Autorowi chodzi raczej o zwiększenie liczby korpusów do 29. Ale to też nie tak: pierwsze osiem korpusów utworzono w okresie lipiec–październik 1940 r., decyzja o sformowaniu 9. KZmech. zapadła w połowie października 1940 r., a kolejnych dwudziestu jeden korpusów — 12.02.1941 r. W sumie daje to liczbę trzydziestu korpusów. 7.05.1941 r. rozwiązano dowództwo 29. KZmech. (wykorzystując kadry dla powstających korpusów powietrzno–desantowych i brygad artylerii przeciwpancernej), a jego dywizje stały się samodzielne; w chwili rozwiązania był on skompletowany i posiadał ponad 1000 czołgów.
[10] — Według innych źródeł (T. Jentz, I. Moszczański) 1. DPanc, dysponowała 145, 6. DPanc. — 245, a 8. DPanc. — 182 czołgami, co w sumie daje tylko 572 czołgi! Natomiast 1. i 6. DPanc, posiadały po jednym dywizjonie samobieżnych dział pancernych Pz.J. I (po 47 dział w każdym), co daje 666 czołgów i dział pancernych. Z kolei 3. i 36. DZmot. oraz DZmot. SS *„Totenkopf"* czołgów nie posiadały.
[11] — I tutaj również pewne zastrzeżenie — w dywizjach pancernych samych czołgów było 812; reszta to działa pancerne i czołgi–miotaczeognia z dywizjonów przydzielonych do oddziałów i korpusów 2. GPanc.

W sumie w składzie czterech grup pancernych w dniu 22 czerwca 1941 roku znajdowało się 3 266[12], czyli średnio 817 czołgów na grupę [10, 11].
Gwoli ścisłości należy odnotować, że znacznie ustępując radzieckiemu korpusowi zmechanizowanemu pod względem liczby czołgów (2–3 razy), niemiecka grupa pancerna przewyższała go liczbą składu osobowego (2–3 razy). Na przykład w pełnym składzie grupa pancerna Guderiana powinna liczyć ponad 110 tys. osób, podczas gdy etatowa liczebność korpusu zmechanizowanego Armii Czerwonej wynosiła 36 080 żołnierzy.
Łatwo wyjaśnić tę sprzeczność. Przygotowując się do wojny z ZSRR, Hitler rozkazał dwukrotnie zwiększyć liczbę dywizji pancernych — z 10 do 20. Wykonano to metodą prostego podziału, w drodze zmniejszenia liczby pułków czołgów w dywizji z dwóch do jednego. W rezultacie w niemieckiej dywizji *„pancernej"* na jeden pułk czołgów przypadały dwa pułki piechoty, przy czym główna masa tej piechoty przemieszczała się nie na transporterach opancerzonych (jak w starym kinie radzieckim),

ale na różnorodnych zdobycznych samochodach ciężarowych. Szef sztabu wojsk lądowych Wehrmachtu Halderw swym dzienniku zauważa (zapis z 22 maja 1941 roku), że Guderian w 17. DPanc, posiada 240 różnych typów samochodów [12]. Jak obsługiwać w warunkach polowych takie ruchome muzeum sprzętu samochodowego?
W dywizji zmotoryzowanej Wehrmachtu czołgów w ogóle nie było. Ani jednego. Hoth pisze, że dywizje zmotoryzowane jego grupy pancernej utworzone zostały ze zwykłych dywizji piechoty, samochody zaś otrzymały *„dopiero w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny, a 18. dywizja — na kilka dni przed wyjściem do rejonu ześrodkowania"* [13].
Faktycznie, grupa pancerna Wehrmachtu stanowiła duży związek piechoty zmotoryzowanej, wzmocnionej kilkoma (od 3 do 5) pułkami czołgów. Kontynuując *„zoologiczne"* porównania Suworowa, można powiedzieć, że grupa pancerna Wehrmachtu była potężnym, ciężkim bawołem, a korpus zmechanizowany Armii Czerwonej — zwinnym i zdecydowanym lampartem.
W świecie przyrody wynik walki czterech bawołów z dwoma tuzinami lampartów byłby przesądzony. Nie wątpiąc w możliwości swoich *„lampartów"*, dowództwo Armii Czerwonej stworzyło całkiem śmiałe plany Wielkiego Pochodu.
„Korpusy zmechanizowane, wspierane masą lotnictwa, włamują się w pas obrony przeciwnika, miażdżą jego system obrony ppanc., rozbijają przy okazji artylerię i idą w głębię operacyjną (...)*Szczególnie efektywna będzie koncentracja korpusów zmechanizowanych, gdy miażdżącym ciosem zacisną kleszcze w celu ostatniego uderzenia na przeciwnika* (...)*Uważamy, że przy takich działaniach para pancernych korpusów na kierunku głównego ataku zdolna będzie wykonać niszczące uderzenie w ciągu kilku godzin i oskrzydlić* [przeciwnika na]*całą głębokość taktyczną rzędu 30–35 km. Wymaga to zmasowanego zastosowania czołgów i lotnictwa; a to przy nowych typach czołgów jest możliwe* (...) *— z uczuciem słusznej dumy referował szef Głównego Zarządu Pancerno–Samochodowego, generał armii Pawłow*[13] *na naradzie wyższego dowództwa Armii Czerwonej w grudniu 1940 roku —* (...) *Tempo dalszego natarcia po przełamaniu strefy taktycznej będzie większe i dojdzie do 15 km na godzinę* (...)*Liczymy, że głębokość wtargnięcia na tyły przeciwnika na 60 km nie jest ostateczna. Należy zawsze, w celu przyspieszenia i właściwej organizacji, dążyć do tego, aby od razu w pierwszym dniu przełamać drugi pas obrony i wyjść w przestrzeń operacyjną"* [14].
Gładko to wygląda na mapie, lecz w terenie bywają wąwozy... Na nieszczęście Hitlerowi także — chociaż uważano go za *„szalonego kaprala"* — wystarczyło rozumu, aby nie czekać, lecz napaść samemu. Napaść wcześniej, zanim Stalin zdoła skompletować do ostatniej nakrętki każdy ze swoich dwudziestu dziewięciu korpusów

zmechanizowanych. W rezultacie trzeba było rzucić do walki korpusy o strukturze odbiegającej od opisanej.
Do czerwca 1941 roku nie udało się skompletować do pełnych etatów wszystkich 29 korpusów. O tym — jako jaskrawym i przekonującym dowodzie naszego*„nieprzygotowania do wojny"* — zawsze pieli historycy spod znaku specpropagandy, zapominając wyjaśnić czytelnikom, do jakiej to wojny przygotowywało się (ale nie zdążyło) *„niezmiennie miłujące pokój"* stalinowskie imperium, tworząc pancerną ordę, w której liczba dział przewyższała liczbę szabel w wojskach Batu–chana.

12 — Wraz z czołgami–miotaczami ognia i samobieżnymi działami pancernymi daje to w sumie około 4000–4100 szt.

13 — Dmitrij Grigoriewicz Pawłow był wówczas generałem pułkownikiem; stopień generała armii otrzymał 22 lutego 1941 roku.

„Nie uwzględniliśmy jednak obiektywnych możliwości naszego przemysłu pancernego— gorzko użala się w swych wspomnieniach Wielki Marszałek Zwycięstwa. — Do pełnego skompletowania korpusów zmechanizowanych potrzeba było 16 600 czołgów tylko nowych typów (...)*Takiej liczby czołgów w ciągu jednego roku praktycznie nie można było dostarczyć nawet w najbardziej dogodnych warunkach"*[14].

Jak to możliwe, że były szef Sztabu Generalnego zapomniał o zatwierdzonym przez niego samego 22 lutego 1941 roku programie rozwoju korpusów zmechanizowanych?

Korpusy zmechanizowane podzielono na 19 *„bojowych"*, 7 *„zmniejszonych"* i 4*„zmniejszone drugiej kolejności"*. Do końca 1941 roku w skład korpusów i dwóch samodzielnych dywizji pancernych miały wejść 18
804 czołgi, w tym — 16 655 w *„bojowych"* korpusach zmechanizowanych [16, s. 677].
Innymi słowy, średnia liczba czołgów (877) w 19 *„bojowych"* korpusach zmechanizowanych powinna się równać średniej liczbie czołgów w każdej z czterech grup pancernych Wehrmachtu.
Z punktu widzenia zestawień ilościowych program ten realizowano pomyślnie. Już 22 lutego 1941 roku w składzie korpusów zmechanizowanych znajdowały się 14 684 czołgi. Zaplanowany do końca roku przyrost tej liczby o 4 120 sztuk okazał się znacznie mniejszy od realnych możliwości przemysłu, który w 1941 roku dostarczył 6 590 czołgów (w tym 1 358 KW i 3
014 T–34) [1, s. 598].
Dla porównania odnotujmy, że Niemcy (dla których jakoby *„pracowała*

cała Europa") w 1941 roku wyprodukowały tylko 3 094 czołgi wszystkich typów, w tym 678 czeskich czołgów PzKpfw 38(t).
W 1942 roku produkcja sprzętu pancernego w ZSRR wyniosła już 24 718
czołgów, w tym 2 553 ciężkie KW i 12 527 średnich T–34 [1, s. 598]. W sumie 3 911 KW i 15 541 T–34 w ciągu dwóch lat, przy czym produkcja prowadzona była w takich *„warunkach"*, jakie w lutym 1941 roku Żukow i Stalin mogli dostrzec tylko w koszmarnym śnie: dwa najważniejsze zakłady (największy na świecie Zakład nr 183 i jedyny w kraju producent silników dieslowskich do czołgów — Zakład nr 75) trzeba było ewakuować pod bombami z Charkowa na Ural, a dwa ogromne zakłady leningradzkie (nr 185
im. Kirowa i nr 174 im.Woroszyłowa) znalazły się w pierścieniu blokady. Nie ma żadnych logicznych podstaw do powątpiewania: w normalnych warunkach przemysł radziecki tym bardziej byłby w stanie zagwarantować do końca 1942 roku (jak było to zaplanowane) pełne skompletowanie i przezbrojenie w nowe czołgi 29 korpusów zmechanizowanych (do czego potrzebne byłyby w sumie 3 654 czołgi KW i 12 180 czołgów T–34). Zakończmy prognozy i przejdźmy do oceny tego, co się działo w rzeczywistości. Na początku działań bojowych w składzie 20 korpusów zmechanizowanych, rozwiniętych w pięciu okręgach przygranicznych, znajdowało się 11 029 czołgów [3]. Ponadto dwa tysiące czołgów znajdowało się w składzie trzechkorpusów (5., 7., 21.) oraz w samodzielnej 57. DPanc., które już w pierwszych tygodniach wprowadzone zostały do walki pod Szepietówką, Leplem i Dyneburgiem. W ten sposób Żukowowi przyszło rozpocząć wojnę jedyni z c z t e r o k r o t n ą przewagą liczbową w czołgach. Przy tym liczymy bardzo skromnie, nie biorąc pod uwagę czołgów znajdujących się na wyposażeniu dywizji kawalerii i wojsk okręgów wewnętrznych. W sumie, według stanu na 1 czerwca 1941 roku, w Armii Czerwonej było 19 540 czołgów (znów nie licząc lekkich czołgów pływających T–37/T–38/T–40 i tankietek T–27) oraz 5 197 uzbrojonych w działa samochodów pancernych [1, s. 601].
Stan liczbowy czołgów w poszczególnych korpusach był nierównomierny. Korpusy (1., 5., 6.) miały praktycznie pełne stany; były i takie (17., 20.), które nie miały nawet setki czołgów. Równie zróżnicowany był skład parku pancernego. W większości korpusów nowych typów czołgów (T–34, KW) nie było w ogóle, niektóre (10., 19., 18.) wyposażone były w mocno zużyte BT–2 i BT–5, produkowane w latach 1932–1934, lub nawet w lekkie tankietki T–37/T–38. Z kolei niektóre korpusy miały na stanie setki najnowszych czołgów.
Na pierwszy rzut oka trudno pojąć wewnętrzną logikę takiego formowania. Nie znajdujemy też żadnego związku między numerem porządkowym i stopniem skompletowania korpusu. Na przykład 9.

KZmech. generała Rokossowskiego, którego formowanie rozpoczęło się jeszcze w 1940
roku, posiadał 316 (według innych danych — 285) czołgów, a rozwinięty wiosną 1941 roku, 22. KZmech. na początku wojny miał już 712 czołgów [3].

Ale wystarczy tylko nanieść na mapę przygranicznych rejonów ZSRR miejsca dyslokacji korpusów zmechanizowanych, aby cały zamysł *„Burzy"* ukazał nam się w pełnym blasku.
Siedem najsilniejszych, mających przewagę pod względem liczebnym i (lub) jakościowym nad dowolną grupą pancerną Wehrmachtu korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej rozmieszczono przed wybuchem wojny w następujący, bardzo logiczny sposób.
Główne uderzenie wykonać miały wojska Frontu Południowo–Zachodniego na Kraków–Katowice. Oto dlaczego na samym szczycie *„występu lwowskiego"* rozwinięto trzy korpusy zmechanizowane (4., 8., 15.), posiadające 2 627 czołgów, w tym 721 KW i T–34.W sumie w składzie Frontu Południowo–Zachodniego było aż osiem (!) korpusów zmechanizowanych.
Uderzenie wspomagające na Lublin i Warszawę wykonać miały wojska lewego skrzydła Frontu Zachodniego — tak więc w białostockich lasach, wzdłuż szosy warszawskiej, znajdziemy 6. KZmech (1 131 czołgów, w tym 452 nowe KW i T–34).A jeszcze trzy inne korpusy zaczaiły się w głuszy występu białostockiego.
Do drugiego rzutu frontów Południowo–Zachodniego i Zachodniego, w rejon Szepietówki i Orszy, kierowali się kolejni dwaj *„bohaterowie"* — 5. KZmech. (1 070 czołgów) i 7. KZmech. (959 czołgów).
Przed wojskami Frontu Południowego (Odeski Okręg Wojskowy) i Frontu Północno–Zachodniego (Nadbałtycki Specjalny Okręg Wojskowy) stawiano o wiele skromniejsze zadania: trwale osłonić skrzydła zgrupowań uderzeniowych i nie dopuścić do wtargnięcia przeciwnika na terytorium okręgów. Oto dlaczego w ich składzie odnajdujemy jedynie po dwa korpusy, dysponujące starymi czołgami i to tylko do połowy etatu.
Wszystko proste, jasne i całkiem logiczne. Pewną zagadką wydaje się tylko rozmieszczenie korpusu, od którego rozpoczęliśmy tę część książki.

14 — Tłumaczenie z ros. Por. G. Żukow, **Wspomnienia i refleksje**, MON, Warszawa 1970, wyd. I, s. 266.

I POSZEDŁ, KOMENDĄ PODERWANY...

Pierwszy przed wojną pod względem numeru, *„starszeństwa"* i

skompletowania korpus zmechanizowany znajdował się w składzie Frontu Północnego (Leningradzkiego Okręgu Wojskowego). Dlaczego tam i po co? Chociaż okręg ten tradycyjnie wchodził w skład *„zachodnich przygranicznych okręgów ZSRR"* — jakaż to *„granica zachodnia"*? Od zachodu okręg graniczył z radzieckimi republikami nadbałtyckimi, a z Leningradu do granicy z Prusami Wschodnimi jest 720 kni Okręg był przygraniczny tylko w stosunku do czteromilionowej Finlandii.

Leningradzki Okręg Wojskowy zmienił się we Front Pół nocny. Na pierwszy rzut oka trochę to dziwne. Logiczne było — by nazwać go *„leningradzkim"*, *„bałtyckim"* lub *„karelskim"*. Ale w imperium Stalina przypadki zdarzały się bardzo rzadko.

„W połowie czerwca 1941 roku grupa pracowników kierownictwa okręgu, na której czele stał dowódca okręgu generał lejtnant M. M. Popow, wyruszyła w podróż polową pod Murmańsk i Kandałakszę" — wspomina jeden z uczestników tej podróży, główny marszałek lotnictwa (podówczas dowódca lotnictwa okręgu) A. A. Nowikow [39]. Murmańsk to nie po prostu *„północ"* — to północ za kołem polarnym. Dalej towarzysz marszałek z głębokim oburzeniem opisuje, jak Popow i inni generałowie radzieccy obserwowali tumany kurzu, które wznosiły nad leśnymi drogami maszerujące ku granicy wojska fińskie. Innymi słowy, *„podróż polową"* dowództwo okręgu (frontu) odbywało bezpośrednio przy granicy fińskiej. Rozpoznanie *„leśnych dróg"* na pogranicznym terytorium (w języku wojskowym nazywa się to rekonesansem) tak zajęło dowódcę, że do Leningradu generał lejtnant Popow powrócił dopiero 23 czerwca, a cały pierwszy dzień wojny radziecko– niemieckiej frontem/okręgiem dowodził przybyły z Moskwy w charakterze przedstawiciela Kwatery Głównej generał armii K. A. Mierieckow [18].

Oczywiście można przyjąć, że podróż generała Popowa do Murmańska związana była z przygotowaniem wojsk okręgu do odparcia przewidywanej agresji niemieckiej. Niestety to nie tak. Natarcia Niemców za kręgiem polarnym nikt nie oczekiwał, o czym wymownie świadczą wspomnienia podpułkownika H. Reisena, dowódcy grupy bombowej II/KG30, o pierwszym nalocie na Murmańsk 22 czerwca 1941 roku: „ (…)*Nie napotkaliśmy przeciwdziałania ani myśliwców, ani środków przeciwlotniczych. Nawet samoloty wykonujące zadania szturmowe na małej wysokości nie były ostrzeliwane* (…)*Lotnictwo wroga nie działało w ogóle, maszyny niemieckie latały nad radzieckim terytorium całkowicie bez przeszkód"* [19].

Dziwna więc jest chronologia wydarzeń: generał Popow przed rozpoczęciem działań bojowych wyjeżdża do Murmańska, aby przygotować miasto do*„obrony przed Niemcami"*, ale od razu je

opuszcza, gdy tylko napaść niemiecka staje się faktem...

O przerzucie 1. Dywizji Pancernej można powiedzieć jeszcze i to, że jego celem było *„wzmocnienie obrony Murmańska"*. Można. Papier przyjmie wszystko. Dlaczego jednak uważać generałów radzieckich za kompletnych idiotów? Jeśli chcieli przewieźć dywizję pancerną do Murmańska, toby ją dowieźli — Kirowska Linia Kolejowa prowadzi aż do tego miasta. Ale w jakim celu 260 kilometrów przed miejscem przeznaczenia skręcono w lewo i wyładowywano dywizję w bezludnej i pozbawionej dróg tundrze?

Jak dywizja , wyposażona w lekkie czołgi BT, mogła wzmocnić obronę radzieckiego obszaru podbiegunowego? Powróćmy raz jeszcze do wspomnień dowódcy 1. DPanc, generała W. I. Baranowa: *„Działania czołgistów utrudniał mocno pofałdowany teren. Bezdroża, skały i strome wzgórza pokryte lasem, dolinki i polany porośnięte zagajnikiem, jeziora o kamienistym dnie, górskie rzeki, grząskie bagna* (...) *O użyciu czołgów choćby w składzie batalionu nie mogło być mowy. Walki prowadzono małymi grupami, plutonami, a nawet pojedynczymi maszynami z zasadzek"* [7].

W takim *„przeciwpancernym terenie"* czołg szybki BT całkowicie tracił swój główny atut — manewrowość. A innych szczególnych osiągnięć od tej maszyny bojowej, z pancerzem chroniącym przed kulami karabinowymi i 45– mm działem — nigdy nie oczekiwano. Tak więc dywizję pancerną wywieziono za siódmą górę tylko po to, aby podzielić ją tam na małe grupy i prowadzić walkę *„pojedynczymi maszynami z zasadzek"*? Do wzmocnienia obrony o wiele skuteczniejsze byłoby przerzucenie za krąg polarny tymi samymi pociągami dziesięciu ciężkich pułków artylerii OND i postawienie w zasadzkach nie lekkich czołgów wyposażonych w *„czterdziestkępiątkę"* (której pocisk odłamkowy ważył 1,4 kg), ale ciężkich haubic kaliber 152 mm lub jeszcze lepiej — 203 mm. One wyszłyby na spotkanie przeciwnika z pociskami o wadze 42–100 kg, przed którymi nie ukryjesz się nawet wśród granitowych głazów.

1. Dywizja Pancerna przyjechała do Ałakurtti (w tych dniach, gdy radzieccy generałowie oglądali przez lornetki leśne drogi fińskie) nieprzypadkowo i wcale nie z powodu głupoty, ale w związku ze zdumiewająco pięknym Planem. Do jego omówienia przejdziemy nieco później, a teraz ponownie powróćmy do wydarzeń 17 czerwca 1941 roku.

W tym samym dniu, gdy 1. DPanc, rozpoczęła załadunek na transpo rty odchodzące za koło podbiegunowe, dowództwo 10. KZmech. wyjechało na ćwiczenia sztabowe. Dowództwo okręgu zdecydowało się je przeprowadzić je na północy Przesmyku Karelskiego, w rejonie Wyborga, prawie na fińskiej granicy. O godzinie 9 rano 21 czerwca coś

się zmieniło, ćwiczenia nieoczekiwanie zakończono, a wszystkim dowódcom nakazano natychmiastowy powrót do ich oddziałów [17].

O godzinie 2 w nocy 22 czerwca 1941 roku (w tym samym czasie, gdy transporty 1. Dywizji Pancernej zbliżały się do stacji wyładowczych) na stanowisko dowodzenia 21. DPanc. 10. KZmech., do osiedla Czarna Rzeczka pod Leningradem, przybył sam generał lejtnant P. S. Pszennikow — dowódca 23. Armii, najsilniejszej spośród trzech armii Frontu Północnego. Generał osobiście przekazał dowódcy 21. DPanc, pułkownikowi Buninowi zadanie przygotowania dywizji do wymarszu.

W południe 22 czerwca w dywizji ogłoszono alarm bojowy z wyjściem oddziałów do ich rejonów alarmowych. O godzinie 6 rano 23 czerwca 21. Dywizja Pancerna otrzymała rozkaz bojowy ze sztabu 10. KZmech. o wymarszu w rejon Ila–Noskua (dzisiejszy Swietogorsk w obwodzie leningradzkim), kilka kilometrów od fińskiej granicy. Autor nie posiada *„Dzienników działań bojowych"* innych dywizji 10. KZmech. (24. Pancernej i 198. Zmechanizowanej), ale sądząc po tym, że wyszły one z rejonów stałej dyslokacji w Puszkinie i Oranienbaumie w tym samym czasie co 21. DPanc., i ruszyły w tym samym kierunku, domniemywać można, że 22 czerwca 1941 roku one także otrzymały analogiczne rozkazy od dowódcy korpusu i 23. Armii.
Zapoznajmy się więc bliżej z tym korpusem. 10. Korpus Zmechanizowany (dowódca — generał major I. G. Łazariew), był

znacznie gorzej wyposażony i przygotowany do prowadzenia działań bojowych niż 1. KZmech. W różnych publikacjach podaje się różne liczby uzupełnienia 10. KZmech. czołgami: od 469 do 818 sztuk [3, 8]. Taki brak porządku w liczbach związany jest przede wszystkim z tym, że na wyposażenie korpusu przyjęto mnóstwo czołgów T–26 i BT różnych wersji, które przed wybuchem wojny w pośpiechu spisywano ze stanu w miarę napływu nowego sprzętu.

W dużym stopniu zamieszanie to odnosiło się do 24. Dywizji Pancernej sformowanej na bazie 11. Zapasowego Pułku Czołgów, po którym przejęła ona mocno wysłużony sprzęt szkolny: 139 BT–2 i 142 BT–5 (w sumie 281 czołgów wyprodukowanych w latach 1932–1934). Kiedy 24. DPanc, rozpoczęła marsz do rejonu wyjściowego do natarcia, spośród znajdujących się na stanie 281 czołgów z powodu niesprawności 49 pozostawiono w miejscu stałej dyslokacji, po czym z wyprowadzonych 232 czołgów do masywu leśnego w rejonie Swietogorska dotarło tylko 177 czołgów.

Lepiej przedstawiały się sprawy w drugiej dywizji pancernej 10. KZmech. 21. Dywizja Pancerna powstała z 40. Brygady Czołgów odznaczonej Orderem Czerwonego Sztandaru, która otrzymała go za męstwo w bojach na Przesmyku Karelskim. Na początku wojny 21. DPanc, miała 217 lekkich czołgów typu T–26. Marsz tej dywizji również

był bardziej zorganizowany. W dzienniku działań bojowych 21. Dywizji Pancernej czytamy: *„ W czasie marszu odstawały pojedyncze czołgi i samochody, służby zamykania kolumn dywizji szybko je usprawniały i kierowały na trasy marszu"* [17].

Co się zaś tyczy trzeciej dywizji tego korpusu — 198. Dywizji Zmechanizowanej, to miała ona w sumie kilkadziesiąt sprawnych czołgów i w rzeczywistości była zwykłą dywizją strzelecką z nadzwyczaj sporą liczbą środków transportu.

Prawda najlepiej się znajduje przez porównanie. Do tej prawidłowości, zapomnianej przez komunistycznych*„historyków"*, wracać będziemy nieraz. W porównaniu z 1. KZmech. (1 039 czołgów i 4 730 samochodów różnego przeznaczenia, od cystern benzynowych do chłodni i kabin natryskowych, nowoczesnych ciągników gąsienicowych i najnowszych haubic w pułkach artylerii) 10. KZmech. wyglądał po prostu jak niedozbrojony. Walczyć miał nie ze swoim sąsiadem z okręgu, ale z całkiem innym przeciwnikiem…

W tym samym dniu i godzinie, gdy ogromne, maszerujące z łoskotem i dymiące kolumny czołgów, samochodów pancernych, ciągników gąsienicowych 10. KZmech. ruszyły przez Leningrad na Wyborg, rankiem 23 czerwca 1941 roku szosą leningradzką z Pskowa do Gatcziny ruszyła także główna siła uderzeniowa Frontu Północnego: dwie dywizje (3. Pancerna i 163. Zmechanizowana) ze składu 1. KZmech.

„Mknęły czołgi, wiatr się podniósł, nadciągała pancerna burza…"

Tylko w jakimż to dziwnym kierunku mknęły… Nie na wojnę — ale w drugą stronę. A może jednak na wojnę, tylko zupełnie i n ną?
W tym czasie nad najbardziej odległymi zachodnimi podejściami do Leningradu zawisły czarne chmury.
Od pierwszych godzinwojny w krajach nadbałtyckich, w pasie Frontu Północno–Zachodniego, działania bojowe przeobraziły się w niebywały pogrom. Oto, jak radzieccy historycy wojskowi opisują wydarzenia tych dni w cytowanej już monografii **„Rok 1941— lekcje i wnioski"** (s. 118–119 — dop. tłum.):
„Następstwa pierwszych uderzeń przeciwnika okazały się dla wojsk Frontu Północno–Zachodniego katastrofalne. Wojska armii osłonowych rozpoczęły bezładny odwrót (…)*Tracąc możliwość kierowania, dowództwo frontu nie zdołało podjąć zdecydowanych działań, by odtworzyć położenie i zapobiec odwrotowi 8. i 11. armii"* [3].
Warto zauważyć, że na przeciwniku bezładny odwrót wojsk Frontu Północno–Zachodniego sprawiał wrażenie zawczasu zaplanowanego wycofania! Szef sztabu wojsk lądowych Niemiec F. Halder zapisał 23 czerwca 1941 roku w swoim **Dzienniku wojennym**[15]:
„O zorganizowanym wycofaniu jak dotąd nie może być mowy. Wyjątek

stanowi, być może, Grupa Armii „Północ", gdzie widocznie naprawdę zaplanowane i przygotowane zostało wycofanie za rzekę Dźwinę. Przyczyny takich przygotowań nie zostały na razie ustalone" [12].
Tak, brakowało niemieckim generałom wyobraźni, aby zrozumieć nasze realia...

15 — Tłumaczenie z ros. Por. F. Halder, **Dziennik wojenny**, t. 3, MON, Warszawa 1974, s. 32.

Wróćmy jednak do opisu tych wydarzeń, podanego przez historyków rosyjskich:
„26 czerwca (...) *położenie wycofujących się wojsk znacznie się pogorszyło. 11. Armia* (...) *straciła do 75% sprzętu i do 60 % składu osobowego.* (...)*Jej dowódca, generał lejtnant W. I. Morozow* (...)*zarzucał dowódcy frontu generałowi pułkownikowi F. I. Kuzniecowowi bezczynność* (...)*Rada Wojenna frontu uznała, że nie może on składać meldunków w tak grubiańskiej formie. Przy tym F. I. Kuzniecow wyciągnął błędny wniosek, że sztab armii wraz z W. I. Morozowem dostał się do niewoli i pracuje pod dyktando wroga* (...)*Wśród dowództwa zaczęły się niesnaski. Członek Rady Wojennej frontu komisarz korpuśny P. A. Dibrow meldował na przykład, że szef sztabu generał lejtnant P. S. Klenow wiecznie choruje, praca sztabu nie jest zorganizowana, a dowódca frontu zbytnio się denerwuje"* [3].
Gdy w sztabie Frontu Północno–Zachodniego szukano *„głębiej"*, 26 czerwca 1941 roku w rejonie Dyneburga do niewoli dostał się szef Oddziału Operacyjnego tego frontu — generał major Truchin (później aktywnie współpracował z Niemcami, stał na czele sztabu oddziałów Własowa i zakończył życie w czasie śledztwa 1 sierpnia 1946 roku) [20, s. 164].
By zrozumieć przebieg dalszych wydarzeń, trzeba zaznaczyć, że Naczelne Dowództwo w Moskwie trzeźwo oceniało sytuację i nie żywiło iluzji co do tego, że porozcinane resztki nie kierowanego Frontu Północno– Zachodniego zdołają wytrzymać natarcie wojsk niemieckich. Już 24 czerwca (trzeciego dnia wojny!) przyjęto postanowienie o utworzeniu pasa obronnegona rubieży rzeki Ługa — 550 km na północny zachód od granicy, 90 km od ulic Leningradu [21]. 25 czerwca Kwatera Główna podjęła decyzję o wykonaniu przeciwuderzenia na LVI Korpus Zmotoryzowany, który przedarł się do Dyneburga. Dążąc do tego, aby choć na chwilę zatrzymać natarcie Niemców na naturalnej rubieży obronnej Dźwiny, dowództwo Armii Czerwonej rzuciło do tego kontrataku niekompletny 21. Korpus Zmechanizowany (termin zakończenia formowania korpusu wyznaczony był na 1942 rok), a także 5. Korpus Powietrznodesantowy (!), nie mający do walki z czołgami ani odpowiedniego uzbrojenia, ani dostatecznego przygotowania. Innymi słowy, wyrwę w rozpadającym się froncie próbowano załatać

wszystkim, co było pod ręką.
W takiej oto sytuacji najsilniejszy na Północno–Zachodnim TDW 1. Korpus Zmechanizowany (który nawet po wysłaniu do Laponii 1. DPanc, miał jeszcze sześć razy więcej czołgów aniżeli 21. Korpus Leluszenki!), niszcząc drogi gąsienicami setek czołgów, zmierzał na północ, do Gatcziny, czyli w kierunku przeciwnym do linii frontu!
Sami Niemcy byli całkowicie zbici z tropu niewyjaśnionym dla nich wykorzystywaniem*„pskowskiej grupy pancernej"*. Z początku wydawało się im, że 1. KZmech. wyszedł z Pskowa na południe. 22 czerwca Halder odnotował w swoim dzienniku:
„Rosyjska odwodowa zmotoryzowana grupa operacyjna„Psków" została ustalona na południe od Dźwiny, to jest 300 kilometrów na południowy zachód od dotychczas przyjmowanego rejonu rozmieszczenia! Możemy się z tego tylko cieszyć"[16].
Potem— kolejna wersja (zapis z 24 czerwca):
„Spośród znanych dotąd odwodów operacyjnych do tej pory niejasne jest jeszcze tylko miejsce pobytu grupy pancernej „Psków", która prawdopodobnie została podciągnięta w rejon pomiędzy Szawle i Dźwinę"[17].
Następnego dnia, 25 czerwca, Halderowizameldowano, że (...)*można wątpić, czy 1. Korpus Pancerny (Psków), który w ostatnich dniach został przerzucony przez Dźwinę do rejonu na południe od Rygi, został już użyty w całości, czy tylko częściowo do natarcia przeciwko północnemu skrzydłu Leeba"*[18] [12].
Nie bądźmy zbyt surowi w ocenie pracy niemieckiego rozpoznania wojskowego. Po prostu do głowy nie mogło im przyjść, gdzie należy szukać 1. Korpusu Zmechanizowanego. Nie mieli nawet samolotów rozpoznawczych o takim zasięgu działania, które pozwoliłoby na zidentyfikowanie przemieszczenia jednostek pancernych Frontu Północnego. Gdyby posiadali satelitę rozpoznawczego, to ujawniłby on fantastyczne widowisko.
Od granicy Prus Wschodnich ku Dźwinie dwiema długimi kolumnami w kierunku północno–wschodnim maszerują dwa niemieckie korpusy zmotoryzowane ze składu 4. Grupy Pancernej: XXXXI pod dowództwem Reinhardta i LVIpod dowództwem Mansteina. Dalej na trzystukilometrowej przestrzeni toczy się zwykłe pokojowe życie (jeśli patrzeć na nie z kosmosu). A jeszcze dalej na wschód, w tym samym kierunku północno–wschodnim, w takich samych kłębach dymu i pyłu maszerują dwa radzieckie korpusy zmechanizowane: 1. KZmech. — z Pskowa na Leningrad i 10. KZmech.— z Leningradu na Wyborg.
Co najdziwniejsze — maszerujące radzieckie i walczące niemieckie dywizje poruszały się prawie z jednakową szybkością!
Korpus Mansteina przeszedł 255 km od granicy do Dyneburga w ciągu czterech dni. Średnie tempo marszu — 64 km na dobę.

Korpus Reinhardta przeszedł od granicy do miasteczka Krzyżborg nad Dźwiną w ciągu pięciu dni. Średnie tempo marszu — 53 km na dobę. Dywizje pancerne 10. KZmech. weszły do nakazanego rejonu ześrodkowania na północny wschód od Wyborga, 150 km od Leningradu, dopiero pod koniec dnia 24 czerwca. Dywizje elitarnego 1. KZmech od Pskowa do Gatcziny (200 km w linii prostej) maszerowały dwie doby.
Tempo przemieszczania się radzieckich dywizji pancernych było więc półtora raza wyższe.
Ale przecież korpusy niemieckie nie tylko maszerowały, lecz również (jak dotąd uważano) *„przełamywały zacięty opór Armii Czerwonej"*...
Nieprzystosowanie oddziałów zmechanizowanych do forsownego marszu było pierwszą nieprzyjemną niespodzianką, z jaką zetknęło się dowództwo Frontu Północnego. Słabe tempo marszu nie było związane z jakąś szczególnie małą szybkością radzieckich czołgów (BT po dziś dzień uważać można za najszybszy czołg w historii), ale ze skandaliczną organizacją służby regulacji marszu i ewakuacji niesprawnych maszyn. W specjalnie poświęconym temu zagadnieniu rozkazie dowódcy 1. KZmech. z 25 czerwca 1941 roku [8] zwracano uwagę, że samochody poruszały się w kolumnach samorzutnie, ścigając jeden drugiego, zatrzymując się według życzenia kierowców na nieplanowanych postojach, tworząc korki. Nie było mowy o zbierania pozostających w tyle i remoncie niesprawnych maszyn.
Nieco lepiej wyglądały sprawy w 10. KZmech. Długość marszruty 24. Dywizji Pancernej wynosiła 160 kilometrów, które pokonała ona w 49 godzin! Średnia prędkość marszu — 3,5 kilometra na godzinę (przypomnijmy, że D. Pawłow twierdził, iż korpusy zmechanizowane będą nie tylko maszerować, ale również nacierać w tempie 15 kilometrów na godzinę). W 21. Dywizji Pancernej czołgi w czasie dwudniowego marszu zużyły po 14– 15 motogodzin, co dobitnie świadczy o tym, że nawet w tej najlepiej przygotowanej i dobrze wyposażonej dywizji połowa *„marszu"* zeszła na postoje w korkach i zatorach.
W każdym razie do 25–26 czerwca wszystkie oddziały i związki 1. i 10. KZmech. rozwinęły się w nakazanych im rejonach na ogromnej przestrzeni od Gatcziny do kręgu polarnego, doprowadziły do porządku ludzi i sprzęt po kilkudniowym marszu, wysłały nad granicę fińską (a jak wynika ze wspomnień żyjących uczestników wydarzeń — także z a tę granicę) grupy rozpoznawcze i...
I nic się nie wydarzyło. Siły l ą d o w e Frontu Północnego (14., 7., 23. armie w składzie piętnastu dywizji strzeleckich, dwóch dywizji zmechanizowanych, czterech dywizji pancernych i samodzielnej brygady strzeleckiej) zastygły w nużącym i dziwnym bezruchu.

16 — F. Halder, *op. cit.* s. 28.
17 — *Ibidem*, s. 35.
18 — *Ibidem*, s. 37.

O ŚWICIE 25 CZERWCA 1941 ROKU…

W czasie gdy wojska Frontu Północnego (Leningradzkiego Okręgu Wojskowego) zakończyły te zagadkowe przegrupowania, działania bojowe w krajach nadbałtyckich w dalszym ciągu zmierzały ku katastrofie. Dopiero w rejonie Dyneburga rozpaczliwe, śmiałe uderzenie czołgistów 21. KZmech. Leluszenki na kilka dni powstrzymało posuwanie się wroga. Na wszystkich pozostałych odcinkach Niemcy prawie bez przeszkód przeprawili się przez Dźwinę, wychodząc na *„finałową prostą"* Rzeżyca–Psków–Leningrad.

Jedynym odwodem, po który radzieckie dowództwo mogło sięgnąć natychmiast, były bardzo silne oddziały lotnictwa Leningradzkiego Okręgu Wojskowego. Mosty i przeprawy przez Dźwinę znajdowały się w strefie działania następujących pułków lotnictwa bombowego: 2., 44., 58. (rejon Starej Russy), 201., 202., 205. (rejon Gatcziny) [23]. Czy radzieckie dowództwo wojskowe rozumiało, jak ogromną rolę w utrzymaniu tej ważnej rubieży strategicznej odegrać mogło lotnictwo? Jeszcze jak rozumiało! Kilka dni później, gdy po rozgromieniu Frontu Zachodniego na Białorusi Niemcy rozpoczęli przeprawę przez Berezynę, sam ludowy komisarz obrony Timoszenko wydał rozkaz, w którego wyniku do zniszczenia przepraw rzucono dosłownie wszystko, co tylko mogło latać: od lekkich Su–2 do ciężkich i nieruchliwych jak barka rzeczna TB–3.

Rozkaz Timoszenki żądał nieprzerwanego bombardowania, z małych wysokości. Niemieccy historycy nazwali te dni *„powietrznym Verdun"*. Radzieckie lotnictwo poniosło straszne straty. Pułki bombowców dalekiego zasięgu DB–3, nieprzystosowane dodziałania z małych wysokości, topniały jak śnieg w słońcu. Ginęli lotnicy i nawigatorzy lotnictwa dalekiego zasięgu — profesjonaliści z wyjątkowym w siłach powietrznych Armii Czerwonej stopniem przygotowania. Taką cenę zapłaciła Kwatera Główna za możliwość wygrania kilku dni w celu przerzucenia na Białoruś odwodów z okręgów wewnętrznych. Nigdy potem żaden z historyków i specjalistów wojskowych nie krytykował tej bezlitosnej, ale uzasadnionej sytuacją decyzji komisarza obrony…

Wróćmy jednak do krajów nadbałtyckich. Czy lotnictwo Frontu Północnego mogło przeprowadzić poważne uderzenie na przeprawy na Dźwinie? Przed wybuchem wojny w składzie sześciu wyżej wymienionych pułków lotnictwa bombowego znajdowało się 201 sprawnych samolotów SB. Prócz tego do udziału w zmasowanym uderzeniu lotniczym można było także rzucić trzy pułki lotnictwa bombowego (35., 50. i 53.) ze składu 4. Dywizji Lotniczej (rejon Dorpatu w Estonii), wraz z rozpoczęciem działań bojowych operacyjnie

podporządkowanej Frontowi Północnemu. Daje to jeszcze 119 sprawnych bombowców [23].

Odległość 400–450 km od lotnisk, na których oddziały te bazowały, do Dźwiny pozwalała wykorzystać *„przestarzałe"* bombowce SB z maksymalnym obciążeniem bombowym. Ponadto, w odróżnieniu od tragicznej sytuacji, jaka wytworzyła się nad Berezyną, bombowce można było osłonić na całej trasie przelotu do celu i z powrotem najnowszymi myśliwcami MiG–3 ze składu 7., 159. i 153. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego. Tych właśnie myśliwców, według historyków radzieckich, było bardzo mało: w sumie sprawne były tylko 162 migi. To rzeczywiście mniej, niżby się chciało mieć, ale o półtora raza więcej, niż wynosiła liczebność jedynego na Północno–Zachodnim TDW pułku myśliwskiego JG 54 (98 sprawnych messerschmittów Bf–109 F według stanu na 24 c zerwca 1941 roku) [24].

Jeśli i to wydaje się za mało, w skład Frontu Północnego wchodziły jeszcze 10., 137. i 72. Pułk Lotnictwa Bombowego w rejonie Murmańska i Pietrozawodska, które można było dość szybko przebazować na południe, do Leningradu.

Być może nie jest to dużo, ale w skład 1. Floty Powietrznej Luftwaffe, otwierającej drogę niemieckim dywizjom Grupy Armii *„Północ"*, wchodziło w sumie (według stanu na 24 czerwca 1941 roku) 210 sprawnych bombowców [24]. Na przykład w Komunikacie nr 3 sztabu Frontu Północno– Zachodniego, sporządzonym na godzinę 12.00 22 czerwca, stwierdzono, że *„przeciwnik nie wprowadził jeszcze do działań znacznych sił powietrznych, ograniczając działania do oddzielnych grup pojedynczych samolotów"* [61]. Ocena w pełni zrozumiała, jeśli weźmie się pod uwagę, że realna liczba sprawnych samolotów bojowych wszystkich typów (330 sztuk) wchodzących w skład 1. Floty Powietrznej Luftwaffe była dziesięciokrotnie mniejsza od tego, co wyższe dowództwo Armii Czerwonej spodziewało się tam ujrzeć. Taki właśnie wniosek nasuwa się po lekturze materiałów odtajnionych w 1993 roku, dotyczących *„gry"* operacyjno–strategicznej, prowadzonej przez Sztab Generalny w styczniu 1941 roku [108].

Kolejny problem — czy dowództwo sił powietrznych Frontu Północnego zdolne było do organizacji tak zmasowanego natarcia lotniczego? Kryterium prawdy jest praktyka. Ta zaś pokazała, że było — i to jeszcze jak!

O świcie 25 czerwca 1941 roku wszystkie wyżej wymienione związki lotnicze, a także duże siły lotnictwa Floty Północnej i Floty Bałtyckiej wykonały potężne uderzenie na wroga.

Oto, jak opisał te wydarzenia główny marszałek lotnictwa ZSRR A. A. Nowikowi

„Wczesnym rankiem 25 czerwca znajdowałem się w węźle łączności, rozmieszczonym w podziemiach budynku sztabu okręgu. Ostatnie przygotowania, uściślenie danych, krótkie rozmowy z dowódcami związków lotniczych, i na lotniskach zawyły silniki. Powietrzna armada złożona z 263 bombowców oraz 224 myśliwców i samolotów szturmowych skierowała się na 18 najważniejszych lotnisk wroga. Nalot trwał kilka godzin. Jedna grupa zmieniała drugą (...) *Po raz pierwszy w historii naszych sił powietrznych w tym samym czasie użyto takiej ilości sprzętu bojowego, a przy tym na całym froncie: od Wyborga do Murmańska"* [39].

I tak dalej...

Tylko że uderzenia tego nie wykonano na wojska niemieckie! Armada powietrzna skierowała się na... F i n l a n d ię. Setki ton bomb zrzucono na mosty, drogi, zakłady i stacje kolejowe, miasta i lotniska na całym terytorium kraju, *„od Wyborga do Murmańska"*, jak bez cienia wstydu pisał towarzysz marszałek. *„Naloty powietrzne na nasz kraj, bombardowania otwartych miast, mordowanie ludności cywilnej — wszystko to jaśniej niż jakiekolwiek oceny dyplomatyczne pokazało, jaki jest stosunek Związku Radzieckiego do Finlandii"* — oświadczył deputowanym parlamentu premier Finlandii JohannJukko Rangell [26]. Wieczorem 25 czerwca fiński parlament oświadczył, że Finlandia znajduje się w stanie wojny z ZSRR.

Pozostawmy historykom fińskim prawo do dyskusji nad tym, czy napaść z powietrza była przyczyną przystąpienia Finlandii do wojny, czy też została ona po prostu wykorzystana w charakterze pretekstu przez kierownictwo fińskie, marzące o rewanżu za tragedię *„wojny zimowej"* na przełomie lat 1939–1940. My zaś postaramy się o porównanie tego, co wydarzyło się o świcie 25 czerwca na granicy radziecko–fińskiej, z tym, co się rozpoczęło o świcie 22 czerwca na innej granicy — radziecko–niemieckiej.

Czytelnika, którego obrażają porównania Stalina z Hitlerem, mogę od razu uspokoić: różnic będzie więcej niż punktów zbieżnych. Identyczne były tylko straszliwe metody, którymi posługiwali się obaj tyrani, i te brednie, którymi próbowali mydlić oczy swoim społeczeństwom radzieccy i nazistowscy propagandziści.

Podobnie jak Niemcy, Związek Radziecki nie przedstawił swej przyszłej ofierze żadnych pretensji w związku z nieprzestrzeganiem przez nią umów pokojowych i do ostatniej chwili utrzymywał z nią normalne stosunki dyplomatyczne. Próbowano uśpić czujnośc Finlandii kłamliwymi przejawami przyjaźni i porozumienia. Trzy dni przed rozpoczęciem zmasowanych bombardowań (wieczorem 22 czerwca 1941 roku) poseł ZSRR w Helsinkach Paweł Orłów zapewniał o tym, że rząd radziecki będzie przestrzegać neutralności Finlandii! [26]. Dopiero gdy agresja stała się faktem dokonanym, nazistowskie i komunistyczne

koguty piały o *„wymuszonym, uprzedzającym uderzeniu"*.
Na tym wszystkie podobieństwa się kończą. Dalej są już tylko różnice. O świcie 22 czerwca 1941 roku w pierwszej fali nalotów powietrznych na lotniska radzieckie w krajach nadbałtyckich wzięło udział tylko 76 bombowców i 90 myśliwców Luftwaffe [25, s. 270]. Finlandię bombardowano metr po metrze; to zrozumiałe — było czym bombardować (patrz — opisany już skład lotnictwa Frontu Północnego). Lotnictwo niemieckie przebazowano na lotniska przygraniczne na kilka tygodni (a nawet dni) przed rozpoczęciem działań. Piloci Luftwaffe latali nad nowym, mało znanym terytorium. Stalinowskie sokoły — znanymi w szczegółach trasami: w czasie pierwszej wojny z Finlandią (zima 1939–1940 roku) lotnictwo radzieckie wykonało ponad 80 tys. lotów bojowych. Niemcy musieli pokonać lotnictwo przeciwnika, mające nad nimi przewagę liczebną. Radzieckie siły powietrzne mogły działać, nie zwracając praktycznie uwagi na przeciwdziałanie kilkudziesięciu fińskich myśliwców.
Całkowicie odmienne okazały się także polityczne następstwa 22 i 25 czerwca. *„Wiarołomna"* napaść na ZSRR została przez Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze zakwalifikowana jako przestępstwo obciążające reżim hitlerowski. Związek Radziecki uczestniczył w pracach Trybunału w Norymberdze, ale bynajmniej nie w charakterze jednego z oskarżonych… Historycy niemieccy wykonali w latach powojennych ogromną pracę w celu odsłonięcia mechanizmu przygotowania i rozpętania wojny światowej. Ich radzieccy *„koledzy"* działali bardziej sprytnie.
W większości popularnych książek historycznowojskowych (do listy tych książek zaliczyć trzeba także podręczniki szkolne o historii ZSRR i KPZR) nie ma najmniejszej wzmianki o pochłanianych ogniem pożarów fińskich miastach. W tych nielicznych pracach zaś, w których wspomniano o czerwcowych bombardowaniach Finlandii, atakom radzieckiego lotnictwa przypisuje się całkiem dziwne wyjaśnienie. Otóż okazuje się, że było to mające jedynie obronne cele *„uderzenie na lotniska wroga"*. Otwieramy na przykład solidną monografię M. N. Kożewnikowa[19] [27] i czytamy:
„W celu osłabienia zgrupowania lotniczego wroga i udaremnienia przygotowywanego nalotu na Leningrad Kwatera Główna rozkazała przygotować i przeprowadzić zmasowane uderzenia na lotniska Finlandii i północnej Norwegii, na których bazowały jednostki lotnicze niemieckiej 5. Floty Powietrznej i lotnictwo fińskie".
Oto mistrzostwo! Jedno maleńkie *„i"* — i wszystko można postawić na głowie.
Na lotniskach Norwegii, okupowanej przez Niemców od wiosny 1940 roku, znajdowały się niemieckie jednostki lotnicze w tym wspomniana już grupa bombowa II/KG 30. Rzeczywiście — to one już pierwszego

dnia wojny bombardowały miasto i port w Murmańsku, Kirowską Linię Kolejową.
Na fińskich lotniskach nie było żadnych samolotów niemieckich, a miasta Lenina trzeba było bronić przed nimi w całkiem innym miejscu — na południowo–zachodnich przedpolach. Na fińskich lotniskach bazowało jedynie lotnictwo fińskie, które aż do 1945 roku miało od marszałka Mannerheima zakaz wykonywania jakichkolwiek lotów nad Leningradem [152]. Rozkazu tego rygorystycznie przestrzegano nawet wtedy, gdy linia frontu rozpoczętej 25 czerwca 1941 roku drugiej wojny radziecko–fińskiej przebiegała o kilka minut lotu szybkiego bombowca od Pałacu Zimowego. Także do wybuchu tej wojny lotnictwo fińskie, z powodu swego niewielkiego stanu liczbowego oraz przestarzałego sprzętu, nie stwarzało dla Armii Czerwonej żadnego zagrożenia. Oto dlaczego fińskie lotniska nie były ani jedynym, ani głównym celem uderzeń lotnictwa radzieckiego.
W planie osłony mobilizacji i rozwinięcia wojsk Leningradzkiego Okręgu Wojskowego zadania lotnictwa okręgu (frontu) sformułowane były wystarczająco jasno:
„6. Aktywnymi działaniami lotnictwa wywalczyć panowanie w powietrzu i potężnymi uderzeniami na główne węzły kolejowe, mosty, rafinerie i zgrupowania wojsk zerwać i powstrzymać Ześrodkowanie i rozwinięcie wojsk przeciwnika" [**WIŻ**, 1996, nr 6].
Innymi słowy, zniszczenie lotnictwa fińskiego było tylko jedną z części składowych planów, nie mających nic wspólnego z planami obrony, gdyż tylko w jednym wypadku można było *„powstrzymać ześrodkowanie i rozwinięcie wojsk przeciwnika"* — jeśli przeciwnik rozpocznie rozwinięcie już po naszej napaści.
Towarzysz Kożewnikow za pomocą spójnika *„i"* lekką ręką wrzucił wszystko do jednego worka. Fińskie i niemieckie lotnictwo, fińskie i zajęte przez Niemców norweskie lotniska; absolutnie usprawiedliwione w warunkach rozpoczętej wojny ZSRR z Niemcami naloty radzieckiego lotnictwa na lotniska Luftwaffe w północnej Norwegii (jeśli takie naloty w ogóle były) ze zmasowanym bombardowaniem kraju, którego neutralności stalinowski rząd zobowiązał się przestrzegać.
Niedowierzający czytelnik już wyczuwa podstęp. Oto autor ponownie odnosi się do jakichś *„źródeł"*, z których wynika, że lotnictwa niemieckiego w Finlandii nie było. A cóż to za *„źródła"* i czy można im wierzyć?
Pytanie rzeczywiście ważne. Mówimy tu o wojnie i pokoju. Dlatego odniesiemy się do takiego *„źródła"*, którego podważyć nie można. *„Dwudziestego drugiego czerwca, o czwartej rano, zbombardowali Kijów, a nam oświadczyli..."* Było właśnie tak, jak mówi ta prosta pieśń. Bombardowano Kijów, Mińsk, Kowno, Rygę, Sewastopol i Odessę... Ale dlaczego nie bombardowano L e n i n g r a d u? Czyż można porównać

wojskowe, ekonomiczne i polityczne znaczenie wszystkich tych miast z jednym tylko Leningradem?
Towarzysz Stalin, występując 17 kwietnia 1940 roku na odprawie wyższych kadr dowódczych Armii Czerwonej [140], mówił, że w Leningradzie ześrodkowano jedną trzecią przemysłu wojennego ZSRR. W tym można mu wierzyć. Swój przemysł znał on lepiej od wielu komisarzy ludowych, których rozstrzeliwał raz na dwa lata. Oprócz tego Leningrad to także ważny węzeł kolejowy, baza floty wojennej i główna stocznia kraju. Jakże Niemcy mogli o nim zapomnieć?
Ale oni nie zapomnieli. Dlatego właśnie korpusy pancerne Mansteina i Reinhardta, nie licząc się ze stratami, pędziły przez Dźwinę na Psków, dlatego Hitler wycofał z kierunku moskiewskiego i przerzucił w sierpniu 1941 roku pod Leningrad jeszcze jeden, XXXIX Korpus Zmotoryzowany; wszystko to świadczy o tym, że znaczenie miasta nad Newą było dla dowództwa niemieckiego zupełnie oczywiste. Kiedy, w ślad za nacierającym Wehrmachtem, na nowgorodzkie i pskowskie lotniska zdołano przebazować grupy lotnicze 1. Floty Powietrznej Luftwaffe, zaczęły one wściekle bombardować Leningrad.
Tak więc, szanowny Czytelniku, jeśli chcesz wiedzieć, czy 25 czerwca na lotniskach fińskich stacjonowało niemieckie lotnictwo, to po prostu zapytaj starszych leningradczyków — czy miasto bombardowano w c z e r w c u 1941 roku?
Wróćmy do wspomnień głównego marszałka lotnictwa: *„Do odparcia wroga przygotowywały się także wojska lądowe okręgu. Wszyscy byli wtedy przekonani, że wojskom okręgu przyjdzie walczyć tylko na granicy radziecko– fmskiej — od Morza Barentsa do Zatoki Fińskiej. Nikt w tych dniach nawet nie przypuszczał, że wydarzenia wyglądać będą całkiem inaczej, niż planowaliśmy przed wojną"*.
A więc tak. Gdyby Hitler skutecznie nie pomieszał im szyków, to wojska radzieckie ponownie ropoczęłyby *„działania"* na całej długości granicy z Finlandią, od Morza Bałtyckiego do Morza Barentsa. Wspomnienia A. A. Nowikowa opublikowane zostały w roku 1970. Na długo przed **Lodolamaczem**... Nie będziemy się czepiać słów marszałka. Człowiek ma prawo się mylić. Czasem powiesz prawdę, a potem się zastanawiasz, co z tym zrobić. Zobaczmy lepiej, co w tych dniach pisały centralne gazety radzieckie, w których każde słowo było czytane przez tuziny jawnych i tajnych cenzorów.
24 czerwca**„Izwiestia"** oświadczyły (na razie jeszcze powołując się na *„źródła szwedzkie"*), że *„wśród przeważającej części ludności Finlandii panuje niezadowolenie z rządzącego reżimu"*. Ot co— trwa trzeci dzień wojny, *„następstwa pierwszych uderzeń okazały się katastrofalne"*, a **„Izwiestia"** przejmują się niezadowoleniem zagranicznych *„braci klasowych"*...
28 czerwca, gdy wszystkie przygotowania zostały zakończone,

przyzwyczajeni do poprzednich*„marszów wyzwoleńczych”* Rosjanie usłyszeli całkiem groźny ryk:
„(…)zbryzgany krwią Mannerheim wyciągnięty z naftaliny i postawiony na czele fińskich faszystów (…) *lokaj nazizmu niemieckiego nagrodzony za swoje zasługi* (…)*”*
Cała ta retoryka dosłownie powtarzała nagłówki **„Prawdy”** z 26–29 listopada 1939 roku, kiedy gazeta wyjaśniała tym samym językiem: *„(…)błazen na stanowisku premiera* (…)*dać nauczkę rozzuchwalonym wojakom* (…)*diabelskie psy zostaną wytępione”*.
28 czerwca 1941 roku**„Izwiestia”** publikują duży artykuł ***„Na granicy”***. W każdym wierszu pojawia się myśl o tym, że *„marsz wyzwoleńczy”* do Finlandii zostanie szybko wznowiony: *„Ponownie wróciliśmy do miejsc, znanych z bojowych dni, gdy rozbite oddziały białofinów*[20]*wycofywały się pod miażdżącymi uderzeniami* (…) *na dużej polanie w wysokim sosnowym borze stali uczestnicy niedawnych działań* (…)*ich spokojna wiara w zwycięstwo bierze się z doświadczenia wyniesionego z ciężkich walk na Przesmyku Karelskim. Dla wielu młodych żołnierzy jest to już t r z e c i a k a m p a n i a* (podkr. M. S.)*Uczestniczyłem w walkach z białofinami. Teraz, tak jak w tamtych dniach, ja i ludzie z mojego pododdziału mamy tylko jedno życzenie, tylko jedną myśl”*. Jednym słowem: *„Ugość nas, piękna Suomi…”*
Jeden z najbardziej jaskrawych, wpisujących się w pamięć epizodów z trylogii W. Suworowa — to ta część książki **Ostatnia republika**, w której autor opowiada o tym, jak na angielskim superkomputerze przeprowadzał symulację *„wojny zimowej”* z lat 1939–1940. Suworow wprowadził takie dane wyjściowe: śnieg na półtora metra, temperatura do minus 35 stopni, żelazobetonowe schrony z wielometrową osłoną — a komputer, mrugając wystraszonymi lampami, odpowiadał, że linii Mannerheima nie można przełamać bez bomby atomowej. Lepiej nie próbujcie.

[19] — M. N. Kożewnikow, **Dowodzenie lotnictwem radzieckim w drugiej wojnie światowej**, MON, Warszawa 1981, str. 56.
[20] — Pogardliwe określenie radzieckie odwołujące się do stereotypu tchórzliwych Finów, którzy w obliczu inwazji wroga poddają się bez walki.

Szkoda, wielka szkoda , że Suworow nie wykorzystał okazji i nie zapytał supermaszyny, co ona myśli o czerwcowym (1941 roku) natarciu Armii Czerwonej na fińskim froncie: głębokość pokrywy śnieżnej — zero, głębokość rzeczywistego betonu w ocalałych schronach — żałosne dziesiętne, temperatura łagodnego północnego lata — plus 20 stopni.

Nacierający mają trzykrotną przewagę w artylerii, absolutne panowanie w powietrzu.

Na bliskim zapleczu operacyjnym Armii Czerwonej — wielkie miasto z potężną bazą remontową, zaopatrzeniową i szpitalną. Front Północny dysponował mniej więcej ośmiokrotną przewagą liczebną w czołgach nad przypuszczalnym przeciwnikiem. Mniej więcej, ponieważ oprócz 1. i 10. korpusów zmechanizowanych w każdej z piętnastu dywizji strzeleckich okręgu znajdował się batalion rozpoznawczy, uzbrojony w lekkie czołgi pływające — doskonale nadające się do prowadzenia działań bojowych wśród jezior Karelii. Według stanu na 1 czerwca 1941 roku tylko tych czołgów w składzie Leningradzkiego Okręgu Wojskowego było 180 sztuk [1, s. 475, 482, 597]. Weźmy przy tym pod uwagę i to, że większą część spośród 86 czołgów fińskich stanowiły radzieckie T–26 iBT, zdobyte w czasie *„wojny zimowej"*. Nietrudno ocenić ich stan techniczny, zważywszy na zupełny brak części zapasowych a także stan, w jakim zostały zdobyte.
Tak więc czym, jeśli nie bombą atomową, mogliby Finowie powstrzymać triumfalny marsz Armii Czerwonej na Helsinki?
Sytuacja na Froncie Północnym, gdzie nieliczny i wyczekujący przeciwnik nie mógł przeszkodzić wojskom okręgu w przeprowadzeniu mobilizacji i rozwinięciu sił w planowych ilościach i terminach, była w pewnym sensie wyjątkowa. W czasie gdy na zachodniej granicy ofensywa Wehrmachtu 22 czerwca 1941 roku przerwała planowy tok mobilizacji i rozwinięcia Armii Czerwonej, Front Północny kontynuował działania ściśle według przedwojennych planów. Rozpędzonego 17 czerwca 1941 roku koła zamachowego nie mogło zatrzymać ani hitlerowskie wtargnięcie, ani nawet przedarcie się Niemców za Dźwinę. Nie zwracając uwagi na te *„przykre zakłócenia"*, dowództwo Frontu Północnego krok po kroku realizowało opracowany już scenariusz natarcia na Finlandię. Oto dlaczego działania bojowe na froncie rozpoczętej 25 czerwca 1941 roku drugiej wojny radziecko–fińskiej mogą służyć za swego rodzaju model niezrealizowanej *„Burzy"*.
Niektórzy autorzy piszą, a wielu czytelników zgadza się z nimi, że latem 1941 roku Armia Czerwona mogła — gdyby
Niemcy jej nie wyprzedzili — dojść do Berlina. Z Wyborga do Helsinek znacznie bliżej… I przeciwnik bez porównania słabszy… I Armia Czerwona wykonała uderzenie pierwsza…
Lecz nie udało się dojść… A przecież wszystko było tak dobrze przemyślane…

KIEDY DO WALKI POŚLE NAS TOWARZYSZ STALIN…

Aby docenić dostojne piękno Planu, potrzebna będzie nam mapa — nie plan którejś z bitew Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, ale mapa linii kolejowych i drogowych Skandynawii.

Plan wojny związany jest z drogami. Tak to było już w czasach Batu–chana, tak samo jest współcześnie. Co więcej, ze względu na zależność armii XX wieku od zabezpieczenia materiałowo–technicznego (amunicja, paliwo) jeszcze bardziej wzrosło znaczenie szlaków komunikacyjnych w planowaniu i prowadzeniu operacji.

Finlandię można uznać za *„mały kraj"* tylko pod względem liczby ludności. Jeśli chodzi o terytorium, kraj ten góruje nad Austrią, Węgrami, Belgią, Danią i Holandią razem wziętymi.

Tak samo jak w Rosji, zasiedlenie i zagospodarowanie tego obszaru jest nadzwyczaj nierównomierne. Gęsta sieć kolejowa na południu kraju rzednie w centrum, po czym przekształca się w jedną jedyną nitkę, która rozwidla się na północnym nabrzeżu Zatoki Botnickiej, w rejonie miasta Kemi: jedna gałąź odchodzi na zachód — do Norwegii, wiążąc drogi fińskie z niezamarzającymi portami norweskimi; druga wiedzie na wschód — do granicy z radziecką Karelią. Tamże, przez Rovaniemi, Kemijärvi i Sallę, przebiega jedyna w tym rejonie droga samochodowa łącząca granicę zachodnią (morską) ze wschodnią (radziecką). Jeszcze dalej, na północ od Rovaniemi, przez setki kilometrów błotnistej tajgi i tundry wiedzie droga do Petsamo— najbardziej wysuniętego na północ miasta Finlandii. To największe w Europie kopalnie niklu, stal pancerna i żaroodporne stopy do silników lotniczych — bardzo ważne artykuły eksportu przedwojennej Finlandii. Racja — dzisiaj to rosyjskie miasto Pieczenga.

A teraz nanieśmy na tę mapę rejon wyładunku 1. Dywizji Pancernej (pamiętacie jeszcze, od czego to wszystko się zaczęło?) — prosty, jak wszystko co genialne, plan natarcia na Finlandię objawi się nam w pełnej krasie.

Wyst arczy jedno uderzenie potężnej pięści pancernej (a pod względem liczebności czołgów dywizja Baranowa prawie dwukrotnie przewyższała korpus zmotoryzowany Mansteina!) spod Ałakurtti na Kemijärvi, a 1. Pancerna wyrwie się z leśnej gęstwiny na utwardzoną drogę. Siły armii fińskiej w tym rejonie były zbyt małe, aby zatrzymać radziecką lawinę pancerną: w okręgu Kuusamo znajdowała się tylko 6. Dywizja Piechoty, a 200 kilometrów od pasa przypuszczalnego natarcia, w Suomussalmi, jeszcze jedna dywizja fińska, przy czym ogólna liczebność obu tych dywizji, połączonych w III Korpus pod dowództwem generała majora H. Siilasvuo, liczyła pod koniec czerwca w sumie 10 tysięcy ludzi (półtora raza mniej od pełnego składu radzieckiej dywizji strzeleckiej) [28].

Dalej, posuwając się szosą przez Rovaniemi, 1. Dywizja Pancerna wyjdzie do Zatoki Botnickiej, przetnie tory kolejowe w Kemi — i cała sytuacja operacyjna zmieni się w oczach. Petsamo, odcięte od całego świata, można spokojnie przemianowywać na Pieczengę — w tym celu

w rejonie Murmańska rozwinięta jest 14. Armia (14., 52., 104., 122. dywizje strzeleckie). Fiński nikiel na zawsze jest już stracony dla niemieckiego przemysłu, a fińska armia całkowicie odcięta od wojsk niemieckich — które już się znajdują lub mogłyby być przerzucone do Norwegii.

Naturalnie, bez względu na to, jak słaby byłby przeciwnik, natarcie na głębokość 300 kilometrów nigdy nie będzie *„lekkim spacerkiem"*. Dlatego też do Ałakurtti wysłano doskonale przygotowaną, posiadającą pełne stany i duże doświadczenie bojowe dywizję, z dowódcą, dla którego ta wojna była już trzecią z kolei.

Gwoli sprawiedliwości zauważmy, że teoretycznie istniała także możliwość *„połączenia morskiego w linii prostej"* pomiędzy Niemcami i Finlandią poprzez porty fińskie w Zatoce Botnickiej. Przy tym znaczenie strategiczne linii kolejowej przez Kemi do Norwegii jak gdyby malało. Lecz wszystkieprzedwojenne plany wychodziły z tego założenia, że odznaczona Orderem Czerwonego Sztandaru Flota Bałtycka ma dosyć sił i środków (łącznie z bazą na fińskim półwyspie Hanko) do tego, by raz na zawsze zamknąć zatoki Fińską i Botnicką dla floty niemieckiej.

Najlepszym z posiadanych w tym momencie narzędzi wojny, by wykonać *„błyskawiczny marsz"* szosą z Rovaniemi do Zatoki Botnickiej, były szybkie czołgi BT — zdolne, po zrzuceniu gąsienic, rozpędzić się nawet do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Pojawienie się radzieckiej dywizji pancernej w Ałakurtti wyraźnie wskazywało na treść i cel Planu; dlatego też przerzut zapoczątkowano dopiero 17 czerwca, a następnie dokonano go w ekspresowym tempie, przerzucając z pskowskiego obozu wojskowego dziesiątki czołgów. A wszystko po to, aby pancerna armada pojawiła się na granicy fińskiej w ostatniej chwili.

Opracowywanie tego mądrego i kompleksowego planu rozpoczęło się już jesienią 1940 roku, pół roku po podpisaniu w marcu 1940 roku traktatu pokojowego z Finlandią. 18 września Timoszenko (ludowy komisarz obrony) i Mierieckow (szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej) podpisali dokument nr 103203: ***„Rozważania na temat rozwinięcia Sił Zbrojnych Armii Czerwonej na wypadek wojny z Finlandią"***.

Otóż w tych planach nie ma ani jednego słowa o Niemczech! Nie wspominając w ogóle o możliwym wykorzystaniu fińskiego terytorium przez armię niemiecką, dowództwo radzieckie stawiało takie zadania: *„Wtargnąć do środkowej Finlandii, rozgromić znajdujące się tu siły główne armii fińskiej i opanować środkową część Finlandii* (…)*jednocześnie z głównym uderzeniem wykonać uderzenie w kierunku na Rovaniemi–Kemi, aby wyjściem na wybrzeże Zatoki Botnickiej odciąć północną Finlandię i przerwać bezpośrednie połączenia środkowej Finlandii ze Szwecją i Norwegią"* [16, s. 253].

Główne uderzenie zamierzano wykonać w dwóch kierunkach: przez Savonlinnę na Mikkeli i poprzez Lappeenranta na Heinolę. Godne uwagi jest to, że w czerwcu 1941 roku właśnie w centrum przewidywanego pasa głównego uderzenia, naprzeciw miasta Imatra, skoncentrowany był 10. KZmech.

Z kolei do natarcia przez Rovaniemi na Kemi zamierzano rozwinąć 21. Armię w rejonie Ałakurtti — czyli tam, gdzie 22 czerwca 1941 roku wyładowano 1. Dywizję Pancerną…

Półtora miesiąca po podpisaniu ***„Rozważań…"*** szef rządu radzieckiego Mołotow udał się do Berlina na spotkanie z Hitlerem. Rozmowy trwały dwa dni — 12 i 13 listopada 1940 roku. Z ich stenogramów wynika, że rozpatrzenie *„kwestii fińskiej"* zajęło prawie połowę tego czasu! Co prawda był to dialog głuchych: Mołotow, z monotonią płyty gramofonowej, która się zacięła, powtarzał ten sam zbiór argumentów: cała Finlandia — zgodnie z tajnym protokołem — należy do radzieckiej strefy wpływów, dlatego ZSRR ma prawo przystąpić do *„ostatecznego rozwiązania"* w dogodnym czasie.

Hitler zaś, wpadając w histerię, odpowiadał na to, że nie zniesie żadnej nowej wojny w rejonie Bałtyku, ponieważ da to Anglikom i powód, i sposobność do ingerencji, a Niemcy potrzebują nieprzerwanych dostaw rudy żelaza ze Szwecji [69, s. 41–47, 63–71]. Strony rozstały się bez konkretnych ustaleń, z uczuciem głębokiej nieufności.

25 listopada 1940 roku Mołotow przekazał ambasadorowi Niemiec hrabiemu Schulenburgowi projekt porozumienia co do warunków zawiązania Paktu Czterech Mocarstw, czyli narodowosocjalistycznych Niemiec, faszystowskich Włoch, militarystycznej Japonii i *„niezmiennie miłującego pokój"* Związku Radzieckiego [69, s. 1361. Tego samego dnia ludowy komisarz obrony Timoszenko skierował do dowództwa Leningradzkiego Okręgu Wojskowego dyrektywę o przygotowaniu do wojny z Finlandią. Pierwsze słowa tego dokumentu brzmiały następująco: *„ W warunkach wojny ZSRR t y l k o p r z e c i w k o F i n l a n d i i* (podkr. M.S.) *dla wygody kierowania i materiałowego zabezpieczenia wojsk* (…)*"*

Dalej w dyrektywie stawiano zadanie: *„rozbić siły zbrojne Finlandii, opanować jej terytorium* (…) *i wyjść nad Zatokę Botnicką w 45. dniu operacji"*. Helsinki zamierzano zająć w *„25. dniu operacji"*. Szczegółowe opracowanie wszystkich składowych planu operacji nakazano zakończyć do 15 lutego 1941 roku [16, s. 418–423].

Zagotowało się. Już w marcu 1941 roku zastępca komisarza obrony generał armii Mierieckow przeprowadził z dowództwem Leningradzkiego Okręgu Wojskowego kilkudniową grę operacyjną, w

której toku ćwiczono wyłącznie zadania ofensywne. Dokumentalnym potwierdzeniem tego była, wydana zupełnie niedawno — lecz jeszcze w *„starych dobrych czasach"* — oficjalna **Istorija ordiena Lenina Leningradskogo wojennogo okruga**, **„Historia odznaczonego Orderem Lenina Leningradzkiego Okręgu Wojskowego"**.
Relacjonuje ona, jak to na Przesmyku Karelskim i Półwyspie Kolskim *„odbywały się pouczające wycieczki polowe, w których toku studiowano charakter współczesnej operacji zaczepnej"*. No a już Petsamo generałowie radzieccy uznawali prawie za Pieczengę. Ówczesny szef sztabu 14. Armii (Murmańsk) Ł. Z. Skwirski wspomina, że w lutym 1941 roku, gdy dowiedział się, że z Finlandią negocjuje się podział udziałów w kopalniach niklu, bardzo się zdziwił: *„Po co kupować, jeżeli te kopalnie niebawem i bez tego będą nasze?"* [33].

To, że Związek Radziecki po raz kolejny zamierzał wystąpić w roli wiarołomnego agresora — to nic dziwnego. Dziwne i zdumiewające jest co innego. Całkowicie zmobilizowane do końca czerwca 1941 roku wojska Leningradzkiego Okręgu Wojskowego (Frontu Północnego) zostały wprowadzone do rejonów rozwinięcia, lotnictwo radzieckie kontynuowało rozpoczęte o świcie 25 czerwca zaciekłe bombardowania Finlandii, a operacja lądowa mimo wszystko się nie rozpoczęła. Dlaczego?

Dotychczas nasze opowiadanie opierało się na faktach i dokumentach. W tym epizodzie przechodzimy na grząski grunt domysłów i hipotez. Czytelnik ma pełne prawo opuścić zakończenie tego rozdziału z powodu braku poszlak, ale autor nie widzi żadnego innego wyjaśnienia bezczynności wojsk Frontu Północnego w ostatnich dniach czerwca 1941 roku, jak tylko aresztowaniem Mierieckowa i wycofaniem się z pracy Stalina.
Wojna wojną, a *„organy"* pracowały. Nabierająca rozpędu, niemal przez nikogo nie kierowana maszyna terroru i bezprawia wciągała w swe tryby coraz to nowe ofiary.
W drugim dniu wojny, 23 czerwca 1941 roku, fala aresztowań dotarła na sam szczyt kierownictwa wojskowego: zatrzymanogenerała armii, zastępcę ludowego komisarza obrony, byłego szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej K. A. Mierieckowa, któremu w przeddzień (21 czerwca 1941 roku) decyzją Politbiura KC powierzono *„ogólne kierowanie Frontem Północnym"*.
Lecz Kirił Afanasjewicz Mierieckow nie był w Leningradzkim Okręgu Wojskowym człowiekiem obcym. Od 1939 roku był on jego dowódcą, a następnie, w czasie wojny fińskiej, stał na czele 7. Armii — głównej siły uderzeniowej Armii Czerwonej w walkach na Przesmyku Karelskim.
A teraz przenieśmy wszystkie te okoliczności na język protokołu. Wyjdźmy od tego, że dowództwo Frontu Północnego w czerwcu 1941 roku składało się z ludzi protegowanych, współpracowników i po

prostu przyjaciół *„zdemaskowanego wroga ludu"*. Czuli oddech śmierci na karku. Nie sławna śmierć na polu bitwy, na którą powinien być przygotowany każdy wódz, ale straszna zagłada w pokoju przesłuchań lub rozstrzelanie w piwnicy. Dodatkowo, nieuchronna w tym wypadku, rozprawa z rodziną i bliskimi.
Czy można potępiać generałów Popowa i Nikiszewa (dowódca i szef sztabu Frontu Północnego) za to, że w tej sytuacji nie wykazali własnej inicjatywy, tym bardziej w tak delikatnej kwestii, jak przekroczenie granicy ościennego państwa?
Mieli rozkaz: wprowadzić w życie plan osłony. Wypełnili go wpełni, ściśle i w terminie. Zgodnie z regulaminem.
Nie otrzymali rozkazu: zrezygnować z przedwojennego planu napaści na Finlandię i terminowo przerzucić wszystkie związki zmechanizowane na spotkanie nacierającym na Leningrad Niemcom; dlatego nie wycofali ani jednego czołgu spod fińskiej granicy.
Bombardowanie Finlandii przewidziano zawczasu (w planie osłony określonych zostało konkretnych 17 obiektów przewidzianych do uderzenia bombowego w pierwszej kolejności) — i z powodzeniem je przeprowadzili.
Ale co do przejścia granicy już na etapie ześrodkowania i rozwinięcia wojsk, to w punkcie 8. planu osłony znajdowało się dość niejasne stwierdzenie:
„(...)w sprzyjającej sytuacji (...)na rozkaz Naczelnego Dowództwa być w gotowości do wykonania zdecydowanych uderzeń na przeciwnika" [**WIŻ**, 1996, nr 6].
Prawdopodobnie właśnie dlatego Popow czekał, aż Naczelne Dowództwo samo zdecyduje, czy już nadarzyła się *„sprzyjająca sytuacja"*, czy trzeba jeszcze poczekać.
Ale Naczelne Dowództwo w tym czasie zajęte było zupełnie innymi sprawami.
Szef Sztabu Generalnego G. K. Żukow pierwsze dni wojny spędził na zachodniej Ukrainie, gdzie próbował zorganizować natarcie wojsk ogromnego Frontu Południowo–Zachodniego (o tym, co z tego wyszło, powiemy szczegółowo w Części 3.), a jego pierwszemu zastępcy, szefowi Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Watutinowi, polecono ratować sytuację na Froncie Północno–Zachodnim. Mierieckowa, odpowiedzialnego za północny odcinek frontu, bito w tym czasie gumowymi pałkami i oblewano moczem śledczych. Nowego przedstawiciela odpowiedzialnego za kierunek północno–zachodni Kwatera Główna wyznaczyła dopiero 10 lipca. Z braku kogoś lepszego Stalin zlecił to zadanie marszałkowi Woroszyłowowi. Co prawda szybko się okazało, że z Woroszyłowem jako naczelnym dowódcą kierunku było znacznie gorzej, niż byłoby bez niego — ale dopiero później...
Ludowy komisarz obrony marszałek Timoszenko, zastępca komisarza

obrony marszałek Budionny, były (i późniejszy) szef Sztabu Generalnego marszałek Szaposznikow zebrali się pod koniec czerwca w sztabie Frontu Zachodniego pod Mohylewem i nie mieli czasu myśleć o jakichś tam *„imatrach"*, *„rovaniemi"* i innych*„suomussalmi"*. 27–28 czerwca grupy pancerne Hotha i Guderiana połączyły się na wschód od Mińska i zamknęły pierścień okrążenia wokół 3., 10. i 4. Armii Frontu Zachodniego. Sześćsettysięczne zgrupowanie wojsk radzieckich zostało rozgromione i w większości wzięte do niewoli. 1 lipca 1941 roku czołgi niemieckie doszły do Berezyny. Oznaczało to, że trzecia część drogi od granicy do Moskwy została już pokonana, i to w ciągu zaledwie ośmiu dni!

A cóż w tym czasie porabiał sam Najwyższy Szef?

Otóż Najwyższy, chociaż nie odebrał nawet zwyczajnego średniego wykształcenia, wszystko już zrozumiał. Być może dlatego tak szybko i właściwie to pojął, że jego *„uniwersytetem"* była praca podziemna w nielegalnej organizacji, która już raz z powodzeniem rozbiła armię rosyjską w czasie wojnyświatowej. Stalin doskonale wiedział, jak walą się imperia i giną wielomilionowe armie. Dlatego potrzebował tylko ośmiu dni, aby pojąć, w czym tkwi przyczyna niesłychanego pogromu. Prawda okazała się nadspodziewanie ciężka nawet dla tego człowieka, mającego doświadczenie z syberyjskiego zesłania, krwawej rzeźni wojny domowej i śmiertelnie niebezpiecznego*„rozbratu"* z Trockim w latach dwudziestych.

W nocy z 28 na 29 czerwca Stalin pojechał do swej daczy, gdzie pozostawał w stanie zupełnego wyczerpania przez dwa dni — 29 i 30 czerwca; nie odpowiadał na dzwonek telefonu i z nikim się nie spotykał.

Następstwa tego trudno pojąć współczesnym Rosjanom, którzy przyzwyczaili się do tego, że pierwszy prezydent suwerennej Rosji po kilka miesięcy *„pracował z dokumentami w swej daczy"*.

Ale stalinowski porządek bardzo różnił się od jelcynowskiego. Stalin wnikał we wszystko i dowodził wszystkim. Z jego podpisem wychodziły decyzje o wymianie łopatek sterujących odśrodkowo sprężarką silnika lotniczego AM–35 czy też o wyłączeniu ze składu przewożonego zestawu części zapasowych czołgu T–34*„brezentu i jednego podnośnika"*. Bez jego zgody nie ważono się rozważać kwestii przedstawień baletowych w Teatrze *„Bolszoj"* ani zmiany słów w pieśni *„i padali na ziemię samuraje"* na słowa *„i padały na ziemię wraże stada"* (po podpisaniu 13 kwietnia 1941 roku paktu o neutralności z Japonią). Oto dlaczego dwudniowa nieobecność Stalina na Kremlu sparaliżowała pracę najwyższych kręgów władzy.

Chcecie — wierzcie, chcecie — nie wierzcie, lecz rozkaz do przekroczenia granicy z Finlandią dotarł do 10. KZmech. 23. Armii Frontu Północnego, dopiero gdy towarzysze namówili Wodza Narodów

do powrotu do pracy.
O północy z 1 na 2 lipca 1941 roku 21. Dywizja Pancerna otrzymała rozkaz bojowy:
„...o 6.00 2.07. przejść granicę w rejonie Enso i przeprowadzić rozpoznanie bojowe (...)*, ustalić siły, skład i ugrupowanie przeciwnika. Przez pochwyconych jeńców ustalić numerację jednostek przeciwnika* (...) *po opanowaniu st. Imatra — stację wysadzić i czołgami–miotaczami ognia zapalić las. W razie pomyślnego działania i opanowania rubieży Jakoła– Imatra— utrzymywać je do podejścia naszej piechoty"* [17].

KLĘSKA

Czytasz tekst tego rozkazu i myślisz: jak szybko i nieodwracalni e zmieniają się czasy i obyczaje! Oto jak było wcześniej:
„My wszystkim burżujom na górze pożar światowy rozpalimy".
„Porzuciłem chatę i poszedłem walczyć, aby ziemię w Grenadzie oddać chłopom".
To wiersze. A oto tekst Rozkazu bojowego nr 1 z 15 września 1939 roku:
„Armie Frontu Białoruskiego przechodzą do natarcia z zadaniem wsparcia robotników i chłopów Białorusi i Polski w obaleniu jarzma właścicieli ziemskich i kapitalistów" [1, s. 113].
I co? Nie minęły dwa lata — i ani światowego pożaru, ani powstających z piekła robotników i chłopów. Wszystko proste i praktyczne: stację na terytorium pogranicznym— wysadzić, las podpalić...
Prawda, ani jednego, ani drugiego nie wykonano. W**Dzienniku działań bojowych 21. Dywizji Pancernej**[21]czytamy, że „[Oddział rozpoznawczy] *nie wykonał w pełni swego zadania, do Imatry nie doszedł, lasu* [po stronie] *p–ka nie podpalił, stwierdził tylko, że odcinka tego bronią nieznaczne siły przeciwnika"*.
Oceń sam, szanowny Czytelniku, czy dowódcy w 1941 roku byli bardziej w porządku od radzieckich*„historyków"* kolejnychdziesięcioleci. Tylko u nich (historyków) przeciwnik zawszemiał *„wielokrotną przewagę"*.
Zawsze i wszędzie. Tak na przykład w stworzonej przez kolektywny geniusz grupy historyków wojskowych monografii **Bitwa za Leningrad** (**„Bitwa o Leningrad"**) [pod red. W. J. Zubakowa, Wojenizdat, Moskwa 1964— dop. tłum.] wojska fińskie, przy równej z nami liczbie dywizji, były nie wiedzieć czemu dwukrotnie liczniejsze (220 tysięcy przeciwko 114 tysiącom)...
Pierwszego dnia natarcia, 2 lipca 1941 roku o 23.30, do sztabu 21. DPanc, przybył szef Zarządu Pancemo–Samochodowego sztabu 23. Armii generał major Ławrinowicz i postawił nowe (a faktycznie — wcześniejsze) zadanie bojowe:

[21] — Por. ***Dziennik działań bojowych 21. Dywizji Pancernej***, zapis z 2.07.1941 r. — tekst: www.mechkorps.rkka.ru.

„Od 6.00 3.07. rozpocząć natarcie na Imatrę z zadaniem — opanować Imatrę i przesmyki między jeziorami Imalan–Jarvi, Sajmaa, utrzymując ten ostatni do podejścia oddziałów strzeleckich".

Natarcie dywizji pancernej miały wspierać ogniem cztery dywizjony artylerii 115. Dywizji Strzeleckiej.
Do południa 3 lipca oddziały zajęły pozycje wyjściowe do natarcia. Nastąpił pierwszy zgrzyt we współdziałaniu:
„Artyleria spóźniła się z przygotowaniem i rozpoczęła je dopiero o 13.00, wystrzeliwując w ciągu godziny 50–55 pocisków".
Innymi słowy, każde działo oddało w ciągu godziny jeden, dwa wystrzały. Można się tylko domyślać, że taki *„szkwał ogniowy"* raczej uprzedził białofinów, aniżeli zdusił ich obronę. O godzinie 14.00 dwa pułki (zmotoryzowany i czołgów) 21. Dywizji Pancernej przekroczyły granicę i rozpoczęły natarcie. Aby uniknąć podejrzeń o uprzedzenia, przytoczymy pełny opis tego natarcia, tak jak przedstawiono je w **Dzienniku działań bojowych**:
„Wraz z przejściem granicy państwowej przeciwnik z początku stawiał słaby opór i nasze oddziały szybko podążamy do przodu. Do 18.00 3.07. czołowe kompanie wyszły na północny skraj wzgórza 107,5, gdzie natknęły się na zorganizowany ogień przeciwnika i wycofały się nieco na tyły (...)
Do 22.00 3.07. położenie ustabilizowało się na rubieży: droga leśna na południowy wschód od wzg. 107,5, dwa domki na płn. od Jakoły, wzg. 39,5.
4. kompania 2/21. PSZmot. napotkała silny opór przeciwnika, który przeszedł do ataku, i do 22.00 3.07. w walce wycofała się za naszą granicę. Trzy czołgi zostały spalone i jeden uszkodzony (...)
Decyzją dowódcy dywizji dalsze natarcie zostało zatrzymane i wysłano meldunek bojowy do sztabu 23. Armii w sprawie decyzji wyjścia z walki. Oczekiwaliśmy jej do 2.00 4.07.
O 2.25 przybył szef sztabu 10. KZmech. pułkownik Zajew z rozkazem dowódcy 23. Armii poprzez dowódcę 10. KZmech., w którym nakazywano dywizji wyjście z walki i Ześrodkowanie w rejonie Jaski.
O 2.30 p–k, skrycie obchodząc skrzydła naszych oddziałów, przeszedł do przeciwuderzenia na całym odcinku dywizji. Przeciwuderzenie rozpoczęło się silnym ogniem karabinów maszynowych przy wsparciu moździerzy i artylerii. W tej sytuacji dowódca dywizji śmiało (tak w tekście — M.S.) podjął decyzję o wyjściu z walki.
Wyjście z walki zostało przeprowadzone zgodnie z następującym planem (...)
Do 4.00 4.07. oddziały w sposób zorganizowany wyszły z walki.

Przeciwnik trzy razy przechodził do ataku, ale za każdym razem ponosił klęskę i z dużymi stratami był odrzucany".
I to wszystko.
Leśna droga, dwa domki. Oto i cała droga drugiego marszu wyzwoleńczego. O szóstej wieczorem 3 lipca dywizja pancerna niezgrabnie natknęła się na fińską obronę, a o czwartej rano 4 lipca *„śmiało wyszła z walki"*, prześladowana przez nadmiernie rozgorączkowanych fińskich chłopaków. Na koniec, o godzinie 20.00 5 lipca, przyszedł *„rozkaz o wycofaniu dywizji koleją i transportem samochodowym w rejon Czarnej Rzeczki"*, czyli w rejon przedwojennej dyslokacji korpusu.
Na tym wszystko się skończyło. I tym razem się nie udało przekształcić Finlandii w ubogie rosyjskie Nieczernoziemie. Prawdopodobnie, gdyby całą benzynę, przeznaczoną na przegrupowanie 10. KZmech. z Leningradu do Imatry i z powrotem po prostu wylano na pograniczne terytorium— efekt byłby większy. Przynajmniej las by porządnie podpalono…
Potem nastąpiła klęska.
Ściślej biorąc, klęska korpusu zmechanizowanego (co prawda w wyniku rozdzielenia jednego pancernego*„jądra"* na maleńkie *„drobinki"*) rozpoczęła się już wcześniej.
Gdy tylko 10. KZmech. znalazł się w *„strefie zasięgu"* dowództwa 23. Armii, dowództwo to uznało się za właściciela sklepu, któremu przywieziono na skład *„deficytowy towar"*. Wszystkie rozkazy, wszystkie instrukcje, cała przedwojenna teoria o zmasowanym wykorzystaniu czołgów w składzie wielkich związków, wszystkie lekcje niemieckiego Blitzkriegu na Zachodzie, wielokrotne doświadczenie ćwiczeń sztabowych — wszystko to zostało natychmiast porzucone i zapomniane.
Dziesięć samochodów pancernych do *„dyspozycji sztabu armii"*, pięć czołgów *„do wspólnego działania ze 115. Dywizją Strzelecką"*, batalion czołgów w składzie 24 maszyn *„do dyspozycji dowódcy 43. DS"*, kompania czołgów w składzie 10 maszyn *„do dyspozycji dowódcy 19. Korpusu Strzeleckiego"*, 15 czołgów do składu oddziałów niszczycieli (półwojskowych oddziałów złożonych z pracowników NKWD i okolicznej ludności).

Oprócz oczywistego zaniżenia siły uderzeniowej korpusu zmechanizowanego w wyniku takiego wykorzystania czołgów jest jeszcze jeden, mniej widoczny element.

Czołg (dowolny — niemiecki, radziecki, angielski) z tej okresu był urządzeniem technicznym bardzo kapryśnym, niepewnym i o niewielkim resursie. Wystarczy powiedzieć, że międzyremontowy resurs silnika dla czołgu BT–7 wynosił 200 godzin, dla T–26— 150 godzin. Minimalne, niezbędne dla bojowego zastosowania czołgów warunki

eksploatacji można było stworzyć tylko w ramach dużego związku z rzeczywiście potężną bazą remontową i eksploatacyjną. A o jakim obsługiwaniu technicznym, o jakim remoncie można mówić na przykład w odniesieniu do możliwości oddziału niszczycieli NKWD lub nawet dywizji strzeleckiej, której duża część żołnierzy do czasu powołania do armii nie widziała ani szyn, ani parowozu?

W rezultacie po pierwszej, nawet nieznacznej awarii 10–tonową drogocenną maszynę po prostu porzucano w szczerym polu.
Im dalej, tym gorzej. Ogólne natarcie fińskiej *„Armii Karelskiej"* na Przesmyku Onesko–Ładoskim nastąpiło dopiero 10 lipca 1941 roku. Ale na kilka dni przed rozpoczęciem działań bojowych na pełną skalę dowództwo fińskie zdecydowało się przeprowadzić rozpoznanie walką na kierunku sortawałskim. W sztabie 23. Armii wywołało to popłoch. Już wieczorem 2 lipca do sztabu 21. DPanc., wraz z rozkazem do rozpoczęcia natarcia na Imatrę, wpłynęło zarządzenie do wysłania 41. Pułku Czołgów tej dywizji linią kolejową na kierunek sortawałski, w rejon stacji Elisenvaara, przy czym na załadowanie pułku czołgów na transport dano… 30 minut! Wykonanie przerzutu w tak nierealnym czasie możliwe było tylko dlatego, że po wszystkich poprzednich *„przegrupowaniach"* w 41. Pułku Czołgów, który nie oddał ani jednego wystrzału w kierunku przeciwnika, pozostało raptem 41 czołgów. W takim oto składzie został on wysłany do Elisenvaary. Następnego dnia, 4 lipca, na kierunek sortawałski przerzucono już całą 198. Dywizję Zmechanizowaną ze składu 10. KZmech. O natarciu tego korpusu na Imatrę można już było ostatecznie zapomnieć.
Histeryczne zachowanie dowództwa 23. Armii po pierwszych meldunkach o przekroczeniu granicy przez czołowe oddziały fińskie dobitnie świadczy o tym, że do *„odparcia naciskającego wroga"* na Froncie Północnym nikt nigdy się nie przygotowywał. Wojska nawet nie posiadały map topograficznych własnego terytorium. Wyraźne potwierdzenie znajdziemy we wspomnieniach Gałuszki:
„Przed dowódcą batalionu leżał schemat–mapa, przeznaczony z pewnością dla turystów albo automobilistów (…) *nic innego w dyspozycji dowódcy batalionu nie było. Pododdział dawno wyszedł z rejonu, dla którego przeznaczona była wojskowa mapa topograficzna"* [9].
Ten epizod z pododdziałem, który *„dawno wyszedł"* z rejonu planowanych działań bojowych, zdarzył się w czasie wycofania na Prioziorsk, nie dalej niż 60 km od radziecko–fińskiej granicy!
Tego feralnego dnia, 4 lipca 1941 roku, dowódca 23. Armii generał lejtnant Pszennikow, zamierzał utworzyć, nie przewidywaną w żadnych regulaminach, *„armijną grupę pancerną"*. By osiągnąć, do końca zdekompletowano 10. KZmech.: z 21. DPanc, zabrano 54 czołgi, z 24. DPanc. — 102 czołgi (co prawda głównie stare BT–2) [8].
Tę aktywność, przejawianą przez dowództwo 23. Armii 4 lipca, łatwo

wyjaśnić. W tym dniu właśnie ze Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dotarło w końcu zarządzenie o wyprowadzeniu 10. KZmech. ze składu 23. Armii i przerzuceniu go na południowy–zachód od Leningradu, na front niemiecki [8].
Wbrew szeroko rozpowszechnionej teorii, że *„za Stalina w kraju był porządek"*, generał lejtnant Pszennikow nie zadzwonił do generała armii Żukowa, który *„pozbawił"* go całości korpusu i *„przywłaszczył"* sobie bez mała połowę czołgów 10. KZmech.
Podczas wielodniowego marszu powrotnego od granicy fińskiej ku linii obronnej na rzece Ługa (ponad 250 kilometrów) część pozostałych w korpusie czołgów uległa awarii. W rezultacie 9 lipca postanowiono połączyć 90 sprawnych czołgów w jeden pułk zbiorczy, a pozostałe 98 czołgów rozdzielono pomiędzy pododdziały strzeleckie. Na tym historia 10. KZmech. praktycznie się zakończyła…
Jeszcze wcześniej, 29 czerwca 1941 roku, szef Sztabu Generalnego G. K. Żukow nakazał wyprowadzić 1. KZmech. ze składu Frontu Północnego i przekazać go do dyspozycji Frontu Północno–Zachodniego [5].
Ogromne kolumny pancerne ponownie ruszyły w drogę — tym razem z powrotem, od Gatczyny do Ostrowa. 163. Dywizja Zmechanizowana poszła jeszcze dalej na zachód, do łotewskiej Rzeżycy (160 km od Pskowa), gdzie 3 lipca została zmieciona i rozgromiona przez czołgi niemieckie z korpusu Mansteina.
Potym, jak główną siłę uderzeniową Frontu Północnego wycofano znad granicy fińskiej na zachód, a lotnictwo frontowe opuściło niebo Karelii, by rozpocząć walkę z nacierającymi na Psków i Leningrad niemieckimi dywizjami pancernymi, 10 lipca 1941 roku rozpoczęło się natarcie armii fińskiej na Przesmyku Onesko–Ładoskim.
Jak wiadomo, towarzysz Stalin bardzo nisko oceniał możliwości ofensywne armii fińskiej. Występując 17 kwietnia 1940 roku na naradzie składu dowódców Armii Czerwonej, wielki wódz i nauczyciel powiedział dosłownie:
„Armia fińska jest bardzo pasywna w obronie (…)*Głupcy, siedzą w DOT–ach i nie wychodzą. Liczą, że z bunkrami sobie nie poradzimy. Siedzą i herbatę popijają* (…)*A natarcie Finów grosza złamanego niewarte. Czy po trzech miesiącach walk pamiętacie choć jeden wypadek poważnego, zmasowanego natarcia ze strony armii fińskiej?"* [140].
Trudno zrozumieć, kogo towarzysz Stalin chciał oszukać — siebie czy swoich słuchaczy, kiedy wyśmiewał armię fińską, że nie rzuciła się do przeciwuderzenia na dziesięciokrotnie przeważającego przeciwnika. Lecz latem 1941 roku, kiedy siły stron były już porównywalne, Finowie przestali popijać herbatkę i innym też nie dali.
Pod wypróbowanym kierownictwem *„zgrzybiałego, pachnącego naftaliną Mannerheima"* (starego generała armii cesarskiej, przez 30 lat wiernie i prawdziwie służącego imperium rosyjskiemu, uczestnika wojny

rosyjsko–japońskiej i pierwszej wojny światowej) wojska fińskie zajęły cały Przesmyk Onesko–Ładoski i na początku września wyszły na linię rzeki Swir, łączącej te dwa jeziora. 30 września Finowie opanowali Pietrozawodsk — stolicę Karelo–Fińskiej (tak — właśnie tak, z nadzieją na lepszą przyszłość, przemianowano ją 31 marca 1940 roku) autonomicznej *„republiki"*.
Natarcie Finów na Przesmyku Karelskim zaczęło się jeszcze później — dopiero 31 lipca 1941 roku.
Pięć dni później Pszennikow został zdjęty ze stanowiska dowódcy 23. Armii, lecz również to nie pomogło. Ani żelazobetonowe bunkry rejonów umocnionych: Sortawałskiego, Prioziorskiego i Wyborskiego. Do końca lata armia fińska wyszła na linię starej granicy, przebiegającej na Przesmyku Karelskim do czasu*„wojny zimowej"* 1939 roku. 43., 115. i 123. Dywizję Strzelecką 23. Armii zostały okrążone i rozgromione w rejonie Wyborga, a dowódca 43. DS, generał major W. W. Kirpicznikow, znalazł się w fińskiej niewoli (28 czerwca 1950 roku został rozstrzelany za to, że *„utracił możliwość dowodzenia wojskami, wydał Finom tajne dane o wojskach radzieckich, szkalował ustrój radziecki i wychwalał armię fińską"*, w czerwcu 1957 roku— zrehabilitowany pośmiertnie) [**WIŻ**, 1992, nr 12, s. 116].
Minio że tempo natarcia przeciwnika było całkiem słabe (ani właściwości terenu, ani techniczne wyposażenie pieszej armii fińskiej nie pozwalały na działania według niemieckiego wzoru), w niewoli fińskiej znalazło się 64 188 ludzi [31, 32].
Stanowiło to liczebność pięciu dywizji strzeleckich Armii Czerwonej. Ciężki sprzęt i uzbrojenie 23. Armii utracono praktycznie w całości. W wydanym w 1993 roku przez Sztab Generalny (wówczas już Armii Rosyjskiej) zbiorze statystycznym ***Grif siekrietnosti sniat***[22]czytamy, że do 10 października 1941 roku wojska radzieckie w Karelii i na Półwyspie Kolskim utraciły 546 czołgów [35]. Liczba ta przekracza nawet sumaryczną liczbę czołgów, jakie były do dyspozycji dowództwa Frontu Północnego po wysłaniu 10. KZmech. i 1. Dywizji Pancernej 1. KZmech. na front niemiecki. Możliwe wyjaśnienie tego arytmetycznego *„nieporozumienia"* wynika z tego, że na tyłach Frontu Północnego pracował (i wysyłał wojskom nowe czołgi KW) ogromny Zakład im. Kirowa w Leningradzie.
Mała dygresja: w sumie w trzech operacjach strategicznych przeprowadzonych na północnym skrzydle wojny (nadbałtyckiej, karelskiej i leningradzkiej) w okresie od 22 czerwca do 10 października 1941 roku Armia Czerwona straciła (według danych z ww. zbioru) 4561 czołgów [35, s. 368], co siedem i pół raza przekraczało początkową liczebność 4. Grupy Pancernej Wehrmachtu, która działała w składzie Grupy Armii *„Północ"* na kierunku północno–zachodnim.
Pod koniec sierpnia 1941 roku Keitel skierował do Mannerheima list, w

którym zaproponował Finom wspólne z Wehrmachtem wzięcie Leningradu szturmem. Proponowano też Finom kontynuowanie natarcia na południe od rzeki Swir
w celu połączenia z Niemcami, nacierającymi na Tichwin. Na oferty te prezydent Finlandii Ryti i głównodowodzący Mannerheim 28 sierpnia odpowiedzieli odmownie. 4 września 1941 roku do kwatery głównej Mannerheima w charakterze głównego negocjatora wysłany został szef Sztabu Dowodzenia Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu generał Jodl — lecz rezultat był ten sam [34]. Finowie zabrali to, co uważali za swoje — i nie zrobili dalej ani kroku.

Przyjęło się mówić, że *„historia nie zna trybu przypuszczającego"*. A jednak analiza nieurzeczywistnionych możliwości często pozwala dokładniej i głębiej pojąć sedno tego, co wydarzyło się w rzeczywistości.

W rezultacie krwawej wojny armia fińska wyszła na linię granicy z 1939 roku (a na Przesmyku Onesko–Ładoskim — nawet poza tę granicę). Ale wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej. Otóż co mógł uzyskać, a co straciłby Związek Radziecki, gdyby on sam, szerokim *„gestem dobrej woli"*, zwrócił Finlandii terytorium opanowane w trakcie *„wojny zimowej"*?

Ekonomiczne znaczenie tych rejonów jest nieszczególne — lasów i żurawin w Rosji i bez tego jest wystarczająco dużo.

Nie będziemy omawiać takich kategorii, jak *„autorytet na arenie światowej"* lub*„opinia publiczna"*. Nie ma o czym mówić. ZSRR w tym czasie został już wykluczony z Ligi Narodów, właśnie z powodu agresji na Finlandię. Jedynym sojusznikiem ZSRR na świecie była bratnia Mongolia (dawno już przemieniona w radziecki protektorat). Co do *„opinii publicznej"*, to w stalinowskim imperium wyjątkowo się z nią nie liczono.

Oceniać można tylko wojskowo–polityczne skutki takiego rozwiązania. Niemal na pewno można założyć, że socjaldemokratyczna Finlandia zrezygnowałaby z wymuszonego i nienaturalnego sojuszu z nazistowskimi Niemcami (który w tym wypadku tracił dla Finlandii wszelki sens i cel) i przekształciłaby się w neutralnego sąsiada Związku Radzieckiego. Rezultaty takiego obrotu spraw mogłyby być nadzwyczajne.

Po pierwsze, do krajów nadbałtyckich można by przerzucić (zawczasu, nie czekając na pogrom Frontu Północno–Zachodniego) ogromne siły: dwa korpusy zmechanizowane, piętnaście dywizji strzeleckich, liczne związki lotnicze i artyleryjskie Leningradzkiego Okręgu Wojskowego. Ogólnie rzecz biorąc, ugrupowanie radzieckich wojsk w krajach nadbałtyckich mogłoby zostać zwiększone prawie dwukrotnie.

Później, w lipcu i sierpniu 1941 roku, na front niemiecki (a nie na front nikomu niepotrzebnej nowej wojny fińskiej) mogłyby zostać wysłane

także te rezerwy, które trzeba było wysłać do Karelii. A mianowicie: 88., 265., 272., 291., 314. Dywizję Strzelecką, 3. Leningradzką Dywizję Pospolitego Ruszenia, mnóstwo samodzielnych pułków NKWD i piechoty morskiej [30]. Czy w takim wypadku Niemcy mogliby dojść do przedmieść Leningradu?
Po drugie, jakkolwiek rozwijałaby się operacja obronna na południowo–zachodnich przedpolach Leningradu— nawet tak katastrofalnie, jak to było w rzeczywistości — blokada Leningradu byłaby absolutnie niemożliwa.
Leningrad nie leży na półwyspie. W zasadzie nie można zablokować go z jednej strony. Mając Finlandię w charakterze nawet nie sojusznika, ale zaledwie neutralnego sąsiada — Leningrad można by było zaopatrywać dowolnie długo koleją przez Pietrozawodsk–Sortawałę. Nawet gdyby Niemcy zdołali przejść jeszcze 250 kilometrów wśród lasów i błot od Tichwina do Pietrozawodska (czego dokonać się im nie udało), to i w tym wypadku wzięcie Leningradu głodem byłoby niemożliwe: główny sojusznik ZSRR, bogata i nadzwyczaj szczodra w tym momencie Ameryka, zapłaciłaby Finom za dostawy żywności dla Leningradu. W ostateczności — przywiozłaby swoje artykuły, wykorzystując porty neutralnej Finlandii i Szwecji.
Oczywiście droga morska w warunkach wojny jest nadzwyczaj niepewna, lecz przecież do Murmańska konwojami morskimi sojuszników dowieziono ponad 5 milionów ton wszelkiego dobra. A do tego, aby uratować od śmierci głodowej dwa miliony leningradczyków, wystarczyłby i milion ton konserw mięsnych (lub wspominanego do dziś przez weteranów amerykańskiego proszku jajecznego).
Po trzecie, w rezultacie stałego połączenia kolejowego z Wielką Ziemią potężne pancerne, artyleryjskie i lotnicze zakłady Leningradu mogłyby sprawnie pracować dla frontu i dla zwycięstwa. Przez całą wojnę. Kto policzy, ilu żołnierzy można by w ten sposób ocalić?
Tak — drogo, bardzo drogo kosztowała naród radziecki stalinowska awantura z„*wyzwoleniem braci fińskich spod jarzma kapitalizmu*”.

22 — **Grif siekrietnosti sniat: Statisticzeskoje issliedowanije**, pod red. G– F. Kriwoszejewa, Wojenizdat, Moskwa 1993.

PIERWSZY MARSZAŁEK

Jak już się prawdopodobnie domyśliłeś, Czytelniku, zaplanowany marsz 1. Dywizji Pancernej do brzegów Zatoki Botnickiej się nie odbył. Przeszkodzili w tym Niemcy. 29 czerwca 1941 roku z terytorium okupowanej Norwegii przeszedł do natarcia na Murmańsk samodzielny Korpus Górski Wehrmachtu pod dowództwem generała Eduarda Dietla.

Był to elitarny związek Wehrmachtu, specjalnie przygotowany i wyposażony do prowadzenia działań bojowych na Dalekiej Północy. Wiosną 1940 roku to właśnie strzelcy górscy Dietla odegrali decydującą rolę w walkach z Anglikami podczas niemieckiej agresji na Norwegię. Mimo niewielkich sił (dwie dywizje, 28 tysięcy ludzi) korpus Dietla miał do wykonania strategicznie ważne zadanie: poprzez opanowanie Murmańska i znajdującego się za kołem polarnym odcinka Kijowskiej Linii Kolejowej pozbawić Związek Radziecki dostępu do niezamarzających portów.

Dwa dni później, 1 lipca 1941 roku, przeszedł do natarcia na Kandałakszę niemiecki XXXVI Korpus Armijny w składzie 169. Dywizji Piechoty i dywizji SS *„Nord"*. Zadaniem tego związku Wehrmachtu było wyjście do linii kolei w celu odcięcia broniącej Murmańska części 14. Armii i Floty Północnej od reszty kraju.

Plan wojny ściśle wiąże się z drogami, zwłaszcza jeżeli chodzi o działania bojowe w znajdującej się za kołem polarnym tundrze. Właśnie dlatego rejon rozwinięcia niemieckiego XXXVI Korpusu znajdował się akurat na linii drogi Rovaniemi–Salla (wzdłuż której miała wtargnąć do Finlandii 1. Dywizja Pancerna 1. KZmech.). Za ten błąd, za lekceważenie przeciwnika i złą pracę wywiadu przyszło Niemcom natychmiast zapłacić. Nawet w skrajnie niesprzyjających warunkach, w idealnie *„przeciwpancernym"* terenie 1. Pancerna potwierdziła swą reputację pierwszej.

W relacji współczesnego fińskiego historyka (nawiasem mówiąc, ze współczuciem odnoszącego się do byłych sojuszników Finlandii) zdarzenia te przedstawiały się tak: *„Działająca na południowym skrzydle dywizja SS «Nord» okazała się niezdolna do natarcia na skutek niedostatecznej praktyki bojowej i znacznej słabości w dowodzeniu ze strony oficerów SS. Po pierwszych walkach dywizja została nawet zmuszona do ucieczki, rzuciła się do tyłu i nie mogła wspierać 169. Dywizji Piechoty"*.

Widocznie przyczynili się do tego czołgiści generała Baranowa, skoro SS–mani jakoś tym razem zapomnieli o swojej *„praktyce bojowej"* i tradycyjnym niemieckim przyzwyczajeniu do słuchania dowódców…

Nie udało się jednak pójść za ciosem. Był już lipiec 1941 roku i szef Sztabu Generalnego Żukow rozkazał natychmiast załadować 1. DPanc, na transporty kolejowe i wysłać ją tam, skąd przyjechała — na południowe przedpola Leningradu. Rozkaz, który do sztabu 14. Armii nadszedł już 4 lipca — na samym początku bitwy o Murmańsk — raz jeszcze potwierdza nasze przypuszczenie o tym, iż przedwojenne przemieszczenie dywizji Baranowa za koło podbiegunowe związane było ze wszystkim, tylko nie z planami odparcia agresji niemieckiej.

W tym wypadku wzajemne stosunki generałów radzieckich natychmiast stały się mniej oficjalne. Dowódca 14. Armii generał lejtnant W. A. Frołow nie spieszył się z wykonaniem zarządzenia Sztabu Generalnego i 1. Dywizja Pancerna kontynuowała walkę za kołem podbiegunowym do połowy lipca.

Nie oceniajmy pochopnie. Każdy generał miał swoje racje. Żukow, który odpowiadał za obronę całego kraju, doskonale rozumiał, jak katastrofalne skutki — w wojskowym, ekonomicznym, politycznym aspekcie — może mieć opanowanie Leningradu przez Niemców. Dlatego Sztab Generalny chciał za wszelką cenę stworzyć jakiś front obrony na wschód od Pskowa i Narwy.

Ale i generał Frołow miał swoje racje. Nie wątpił, że drugiego takiego przypadku nie będzie i drugiej takiej pełnowartościowej dywizji pancernej Kwatera Główna nigdy więcej na Półwysep Kolski mu nie przyśle, dlatego też maksymalnie wykorzystać przychylny zbieg okoliczności.

Z dzisiejszej perspektywy jeszcze trudniej ten dramatyczny spór rozstrzygnąć. W lipcu 1941 roku Żukow, ma się rozumieć, nie mógł przypuszczać, że *„anglo–amerykańscy imperialiści"* przyślą w ramach pomocy dla Stalina 17 milionów ton ładunków wojskowych. W rzeczywistości w ciągu trzech długich lat wojny potrzeby Armii Czerwonej i przemysłu zbrojeniowego w zakresie benzyny lotniczej, materiałów wybuchowych, aluminium, samochodów i opon, pociągów, lokomotyw i szyn, środków łączności, antybiotyków pokrywane były przede wszystkim dzięki pomocy płynącej od zaciętych wrogów komunizmu. W związku z tak nieprawdopodobnym obrotem wydarzeń obrona Murmańska i linii kolejowej do niego przekształcała się w zadanie strategiczne o znaczeniu nie mniejszym aniżeli obrona Leningradu i Moskwy, ośrodków przemysłu naftowego Baku i Groźnego.

Latem 1941 roku właśnie 14. Armia generała Frołowa okazała się jedyną armią na całym froncie od Morza Czarnego do Morza Barentsa, która wykonała postawione przed nią zadanie.

Natarcie przeciwnika zatrzymane zostało w strefie nadgranicznej, Niemcom nie pozwolono przedrzeć się do Murmańska i Kolei Kirowskiej, a przy tym elitarny korpus Dietla poniósł ogromne (ponad 50%) straty w ludziach. W połowie października 1941 roku niedobitki 2. i 3. Dywizji Górskiej Wehrmachtu zostały wyprowadzone z Półwyspu Kolskiego na tyły w celu przeformowania.

Niestety, o tym dzisiaj praktycznie nikt nie wspomina, a samemu W. A. Frołowowi nawet nie przyznano tytułu Bohatera Związku Radzieckiego — przypadek zupełnie wyjątkowy, jeśli chodzi o dowódcę

Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w randze generała pułkownika.

Powrócimy jednak z poziomu wielkiej strategii do tragicznych wydarzeń lipca 1941 roku.
Rozgardiasz w dowodzeniu skończył się tym, że faktycznie żaden z wariantów wykorzystania 1. DPanc, jako dużego związku uderzeniowego nie został zrealizowany. Dowództwo rzekomo*„ofensywnej"* Armii Czerwonej nie zdecydowało się na organizację przeciwuderzenia i 1. Dywizję Pancerną — tak samo jak i cały 10. KZmech. w 23. Armii — rozszarpano na strzępy.
Pułk strzelców zmotoryzowanych i jeden batalion czołgów ze składu 1. Pułku Czołgów pozostały i walczyły na kierunku kandałakszaskim w składzie 14. Armii. Poza tym pół setki czołgów, wydzielonych do dyspozycji dowódcy 42. Korpusu Strzeleckiego 14. Armii, połączono w sierpniu 1941 roku w samodzielny batalion czołgów, który z powodzeniem bił się z Niemcami do 1943 roku [8].
Tymczasem Kwatera Główna na nowo zażądała (Dyrektywa nr 00329 z 14 lipca): *„Dywizję pancerną z rejonu Kandałakszy natychmiast przerzucić pod Leningrad"* [5]. I oto, w końcu, 17 lipca 1941 roku, równo miesiąc po tym, jak w *„spokojny"* czerwcowy ranek dywizja została podniesiona alarmem bojowym, transporty 1.Pancernej ruszyły z powrotem na południe — do Leningradu.
Lecz i tym razem dotarcie do frontu wojny z Niemcami nie było jej sądzone…
10 lipca 1941 roku Kwatera Główna (czytaj: towarzysz Stalin) utworzyła Naczelne Dowództwo Kierunku Północno–Zachodniego, na którego czele stanął marszałek Związku Radzieckiego, członek Biura Politycznego WKP(b), zastępca przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, jeden z pięciu członków Państwowego Komitetu Obrony (najwyższego organu władzy państwowej tego okresu) Kliment Woroszyłow.
Towarzysz Woroszyłow całe życie walczył z kułakami i kapitalistami, ale w jego wrogości do świata kapitału nie było, jak to mówią Amerykanie — *„niczego osobistego"*. Była to nienawiść na rozkaz. Na rozkaz też w każdej chwili mogła się ona zmienić w trwałą bojową przyjaźń.
W sierpniu 1939 roku ludowy komisarz obrony Woroszyłow prowadził rozmowy z angielskim lordem sir Reginaldem Draksem— admirałem floty brytyjskiej — oraz francuskim generałem Doumencem o sojuszu wojskowym przeciwko Hitlerowi. We wrześniu tego samego roku ludowy komisarz Woroszyłow wspólnie z hitlerowskim generałem Kóstringiem rozważał kwestie współdziałania Wehrmachtu i Armii Czerwonej w sprawie pokonania i okupacji Polski.
Pod koniec drugiej wojny światowej Woroszyłow w ogóle przekształca się w kogoś w rodzaju wysoko postawionego *„dyplomaty wojskowego"*. Stalin zabiera go z sobą do Teheranu na spotkanie z Rooseveltem i

Churchillem, poleca mu prowadzenie rozmów o zawarciu pokoju z Węgrami i Rumunią, przyjęcie w Moskwie francuskiej delegacji wojskowej na czele z generałem de Gaulle'em itd.
Lecz do *„białofińskich mannerheimowskich band"* towarzysz Woroszyłow żywił prawdziwą, szczerą nienawiść. Zimą 1939–1940 roku armia fińska utarła nosa *„pierwszemu czerwonemu oficerowi"*, co mu dopiekło do żywego.
Po tym, jak Armia Czerwona poniosła w wojnie z *„fińskim robakiem"* większe straty niż Wehrmacht podczas okupacji połowy Europy, Stalin 8 maja 1940 roku wygnał Woroszyłowa z fotela komisarza. Nie wyrzucił go po prostu, ale pozwolił mu podpisać na pożegnanie absolutnie tajny ***„Akt o przejęciu Ludowego Komisariatu Obrony ZSRR przez tow. Timoszenkę od tow. Woroszyłowa"*** [42].
W tym zdumiewającym dokumencie wymienionych zostało dwadzieścia kierunków pracy resortu obrony, w których stwierdzano *„wyjątkowe zaniedbanie"* i załatwianie spraw *„papierkowymi sprawozdaniami"*. Prawda, Woroszyłowowi pozostawiono i tytuł, i członkostwo partii, ale dokument — o tym, że zrujnował on obronę kraju tak wszechstronnie, jak nie mógłby rozwalić jej nawet wrogi agent, który wcisnąłby się na Kreml — leżał *„pod ręką"*. Klim Jefriemowicz o tym wiedział i zawsze pamiętał.
Pragnienie, aby*„dać nauczkę wdzierającym się fińskim wojakom"* i zyskać reputację mądrego i doświadczonego wodza, sprowadziły marszałka Woroszyłowa w trzeciej dekadzie lipca 1941 roku do Karelii. Wagę tej wizyty można docenić dopiero wtedy, gdy przypomnimy sobie, co się działo w tych dniach na południowo–zachodnich przedpolach Leningradu.
Pod koniec czerwca 1941 roku Grupa Armii *„Północ"* sforsowała Dźwinę na całej długości, od Dyneburga do Rygi. Niemcy po dwudniowym zaciętym boju z 3. Dywizją Pancerną 1. KZmech. 6 lipca zajęli miasto Ostrów. 9 lipca praktycznie bez walki, na plecach uciekających w popłochu 118. i 111. Dywizji Strzeleckiej, weszli do Pskowa. 10 lipca G.K. Żukow, w imieniu Kwatery Głównej, posłał dowództwu Frontu Północno–Zachodniego (już 4 lipca poprzedni dowódca został usunięty, a dowodzenie frontem przejął generał major P. P. Sobiennikow) następującą dyrektywę:
„Dowódcy nie wykonujący Waszych rozkazów i — jak zdrajcy — porzucający swe pozycje nie zostali dotychczas ukarani (...) *W efekcie bierności dowódców oddziały Frontu Północno–Zachodniego stale się cofają* (...)*Dowódcy, członkowi Rady Wojennej, prokuratorowi i szefowi Zarządu 3. Frontu nakazuję niezwłocznie wyjechać do czołowych oddziałów i na miejscu rozprawić się z tchórzami i zdrajcami, na miejscu zorganizować aktywne działania zmierzające do zniszczenia Niemców, pędzić i miażdżyć ich"* [5, s. 62].

Niestety, nie udało się rozprawić ze wszystkimi tchórzami i zdrajcami: w połowie lipca 1941 roku walki toczyły już o sto kilometrów od Leningradu. Do utrzymania frontu na rzece Łudzę rzucone zostały dywizje pospolitego ruszenia. Kiepsko uzbrojone, prawie nieprzeszkolone, złożone ze studentów i wykładowców leningradzkich uczelni wyższych, którzy nigdy nie trzymali w ręku broni — pospolite ruszenie zostało zmarnowane na łuskiej rubieży. Ginęli, na zawsze pozostając nieznani, naukowcy, poeci, artyści malarze, ginęła twórcza elita narodu — by bodaj na kilka dni zatrzymać nacisk wroga, dać dowództwu czas na przerzut odwodów.
Hitler, zaniepokojony tym praktycznie pierwszym od początku wojny niepowodzeniem w realizacji swych planów, 21 lipca osobiście przybył do sztabu Grupy Armii *„Północ"* i zażądał od Leeba rychłego zdobycia Leningradu.
W tym właśnie dniu Woroszyłow mocą swej władzy powstrzymał maszerujące na pomoc Leningradowi transporty i wydał rozkaz rozładowania głównych sił 1. DPanc, (dokładnie: 2. Pułku Czołgów w składzie 4 czołgi KW, 13 T–28, 29 BT–7, 57 BT–5, 32 T–26 i 19 samochodów pancernych) w lasach pod Wiedłozierem, 70–80 km na zachód od Pietrozawodska [8]. Wspólne z dwoma pułkami zmotoryzowanymi NKWD (24. i 10. — dop. tłum.) miały one kontratakować i rozgromić Finów.
Absurdalność tej decyzji polega nawet nie na tym, że na szali wojny położono z jednej strony Leningrad, a z drugiej Pietrozawodsk, miasta mające przecież tak odmienny ciężar gatunkowy.
Na nieszczęście marszałek Woroszyłow nie rozumiał, że dywizja lekkich czołgów to nie czarodziejska różdżka, ale narzędzie przydatne do wykonania tylko określonej pracy. Tej samej, którą podczas wojen minionych stuleci wykonywała kozacka konnica: gonić i rąbać uciekających, zdobywać sztaby i składy, palić tabory na tyłach sparaliżowanego strachem wroga. Innymi słowy — wykonywać te zadania, które w czerwcu 1941 roku na kierunku północno– zachodnim wykonały dywizje 4. i 3. Grupy Pancernej Wehrmachtu.
Nawiasem mówiąc, na wyposażeniu nie miały one niczego dobrego: z 1544 czołgów, z którymi 4. i 3. Grupa Pancerna podjęły marsz na Wschód, 1237 (80%) stanowiły lekkie czołgi Pz.I, Pz.II, zdobyczne czeskie Pz. 38(t) z opancerzeniem chroniącym przed kulami i znacznie słabszym (w porównaniu z naszymi T–26 i BT) uzbrojeniem.
W terenie z takimi nazwami, jak Maszoziero, Krosznoziero, Kukkoziero, Wiedłoziero, wśród głuchego iglastego lasu, błot i jezior Karelii, dywizja pancerna Baranowa była skazana na klęskę. Rozpaczliwie bijący się Finowie z 1. Dywizji Piechoty pułkownika Paalu podczas zaciętych walk 23–27 lipca powstrzymali natarcie Armii Czerwonej. Jak wynika z meldunków dowódcy 1. DPanc., zmotoryzowani czekiści wycofywali się

po pierwszych wystrzałach, a fińska piechota niszczyła nasze czołgi z leśnych zasadzek, minowała rzadkie w tych okolicach drogi, w ruch poszły butelki z benzyną i kostki trotylu.
Sam głównodowodzący Woroszyłow nie zdołał, naturalnie doczekać ostatecznych rezultatów swojego dowodzenia. Wkrótce powrócił do Leningradu, gdzie wydał jeden z najznakomitszych swoich rozkazów — o wykonaniu kilkudziesięciu tysięcy stalowych grotów do kopii, którymi pierwszy marszałek zamierzał poprzebijać *„fryców"*, gdy wtargną oni do miasta Lenina.
10 sierpnia dowództwo Pietrozawodskiej Grupy Operacyjnej, po wzmocnieniu 272. Dywizją Strzelecką z odwodu Kwatery Głównej, spróbowało ponownie zorganizować natarcie, lecz skutki były podobne. Dowództwo radzieckie nie wykorzystało czołgów w sposób zmasowany, grupami uderzeniowymi. Pułk czołgów pojedynczymi plutonami i kompaniami rozrzucono na ogromnej przestrzeni wschodniej Karelii. Zdarzało się nawet, że 50–tonowe czołgi KW wykorzystywano do… dostarczania meldunków, w charakterze kurierskiego *„motocykla"*. Z powodu braku w leśnej głuszy benzyny i części zamiennych mnóstwo czołgów trzeba było wkopać w ziemię i wykorzystywać jako nieruchome stanowiska ogniowe albo zwyczajnie porzucić. Pod koniec miesiąca nieliczni czołgiści, którzy ocaleli w tym leśnym pobojowisku, pieszo, z resztkami oddziałów 7. Armii, wycofali się do Pietrozawodska [8].
Tak oto zakończyło się pierwsze z długiej listy niedoszłych przeciwuderzeń Armii Czerwonej latem 1941 roku Dzisiaj tragedię drugiej wojny radziecko–fińskiej mało kto pamięta. Tylko uwięzione w karelskich błotach czołgi, jak i pożółkłe groby — wiele, wiele grobów, dziesiątki tysięcy — pozostają niemymi świadkami tej niepotrzebnej, zagubionej w ciemnych odmętach radzieckiej historii wojny.
Naturalnie nie można zaprzeczyć, że niemieckie natarcie w krajach nadbałtyckich i szybkie wyjście 4. Grupy Pancernej Wehrmachtu na południowo–zachodnie przedpola Leningradu pomieszało szyki radzieckiemu dowództwu. Wkroczenie do Finlandii trzeba było zatrzymać na samym początku, na rozbiegu. Z drugiej strony, sądząc po tym, jak rozpoczęło się radzieckie natarcie, jakie *„sukcesy"* odniosły 1. i 10. KZmech. w czasie, którego Wehrmachtowi wystarczyło na zryw od granicy do Pskowa, trudno uwierzyć, że taka armia mogła gnać i gromić Niemców, forsować głęboką Wisłę i Odrę, zdobywać Europę…
I tu, szanowny Czytelniku, masz prawo się oburzyć. Co to znaczy *„trudno uwierzyć"*? Co to jest — recenzja teatralna czy badanie dziejów wojny?
Uznaję tę krytykę za sprawiedliwą. W kolejnych rozdziałach naszej opowieści będzie mowa o kierunkach głównego uderzenia — o próbach natarcia, w których prowadzeniu nikt (oprócz przeciwnika) nie

przeszkadzał.

CZĘŚĆ 2 BAGNO

ZAMIAR

Wieczorem 22 czerwca 1941 roku o godzinie 21.15 ludowy komisarz obrony Timoszenko zatwierdził i skierował do dowódców okręgów (frontów) zachodnich Dyrektywę nr 3. W dokumencie tym krótko oceniał zgrupowanie i plany wroga: *„Przeciwnik, wykonując główne natarcie z występu suwalskiego na Olitę i z rejonu Zamościa na froncie Włodzimierz Wołyński, Radziechów, uderzenia pomocnicze w kierunkach Tylża–Szawle, Siedlce–Wołkowysk, w ciągu 22 czerwca, ponosząc duże straty, osiągnął niewielkie sukcesy na wskazanych kierunkach"* i stawiał zadania bliższe na 23–24 czerwca: *„Koncentrycznymi ześrodkowanymi uderzeniami wojsk frontów Północno– Zachodniego i Zachodniego okrążyć i zniszczyć suwalskie zgrupowanie przeciwnika i do 24 czerwca opanować rejon Suwałk; potężnymi, koncentrycznymi uderzeniami korpusów zmechanizowanych, całego lotnictwa Frontu Południowo–Zachodniego oraz innych wojsk 5. i 6. A okrążyć i zniszczyć zgrupowanie przeciwnika, nacierającego w kierunku Włodzimierz Wołyński, Brody. Do końca 24 czerwca opanować rejon Lublina"* [5].

Już ten jeden dokument pozwala wysnuć uzasadniony wniosek na temat tego, ile warte są powtarzane przez lata przechwałki sławnych *„czekistów"* o tym, że dokumenty niemieckiego dowództwa lądowały na biurku Stalina pół godziny wcześniej, nim znalazły się na biurku Hitlera.

Po sześciu miesiącach od chwili podpisania przez Hitlera planu *„Barbarossa"* radzieckie kierownictwo wojskowe nie wiedziało o tym, że Wehrmacht najpotężniejsze uderzenie będzie wykonywać siłami 2. Grupy Pancernej[23]Guderiana wzdłuż linii Brześć–Słuck–Mińsk. Kierunek ten w Dyrektywie nr 3 nie został wspomniany nawet jako pomocniczy. A to, co nasze dowództwo oceniło jako *„uderzenie pomocnicze na kierunku Tylża– Szawle"*, w rzeczywistości było początkiem natarcia sił głównych Grupy Armii *„Północ"* na Leningrad.

23 — Ponieważ w dalszej części tego rozdziału mowa będzie aż o trzech grupach pancernych Wehrmachtu, uważam za konieczne, aby w tym miejscu przybliżyć ich strukturę: 2. GPanc. dowodzona przez generała pułkownika Heinza Guderiana wchodziła w skład GA *„Środek"* i rozwinięta została na obszarze Siedlce, Brześć, Dęblin. W jej skład wchodziły cztery korpusy: XXIV Korpus Pancerny (3., 4. DPanc., 10. DZmot., 1. DKaw., 267. DP), XXXXVI KZmot. (10. DPanc., DZmot. SS*„Das Reich"*, PPzmot. *„Grossdeutschland"*), XXXXVII KZmot. (17., 18. DPanc., 29. DZmot., 167. DP), XII KA(31., 34., 45. DP) oraz 225. DP.

3. GPanc. pod dowództwem generała pułkownika Hermanna Hotha także wchodziła w skład

GA *„Środek”* (choć początkowo wykonywała zadania w pasie GA *„Północ”*) i rozwinięta została na obszarze: Suwałki, Sejny, Olecko. W swoim składzie także miała tylko dwa korpusy zmotoryzowane:

Wspólne działania frontów Północno– Zachodniego i Zachodniego nie doszły do skutku. Główne siły uderzeniowe Frontu Północno–Zachodniego: 12. KZmech. generała majora Szestopałowa i 3. (bez 5. Dywizji Pancernej) KZmech. generała majora Kurkina — przestawione zostały nie na południowy zachód, w kierunku Kowno–Suwałki (jak to nakazywała Dyrektywa nr 3), ale na północny zachód, w kierunku Szawli gdzie 24 czerwca doszło do wielkiego starcia pancernegoz głównymi siłami 4. Grupy Pancernej Wehrmachtu. Co się zaś tyczy 5. DPanc. (3. KZmech.), to już rankiem 23 czerwca została ona rozgromiona w rejonie Olity i w dalszych działaniach bojowych frontu praktycznie nie uczestniczyła.

W ten sposób obustronne uderzenie na suwalskie zgrupowa nie Niemców zamieniło się w natarcie prawego skrzydła jednego tylko Frontu Zachodniego. W tej części rozpatrzymy okoliczności i przyczyny klęski, którą zakończyło się to natarcie.

W czasie gdy w sztabie Frontu Zachodniego odbierano i rozszyfrowywano Dyrektywę nr 3, sytuacja militarna jakościowo się zmieniła.
Niemcy sforsowali Niemen. Ściślej, nie sforsowali, lecz przejechali po trzech niewysadzonych mostach w Olicie i Mereczu (Mierkini).*„W ślad za wycofującymi się pododdziałami wojsk radzieckich — pisał nasz główny spec od początkowego okresu wojny, towarzysz Anfiłow — po mostach przez Niemen przemknęły czołgi niemieckie”*. Przemknęły w liczbie trzech… dywizji pancernych (7., 20., 12.). Do końca dnia 22 czerwca 1941 roku czołowe oddziały 3. Grupy Pancernej Wehrmachtu posunęły się w głąb radzieckiego terytorium na 60–70 kilometrów, kierując się na Wilno. Jednakże bez względu na to, jak silny byłby zaczepny zryw Niemców, jakkolwiek słaby byłby opór wojsk 11. Armii Frontu Północno–Zachodniego— to drogi i mosty mają ściśle określoną przepustowość, a czołgi w kolumnach poruszają się w odstępach po kilkadziesiąt metrów. W konsekwencji, gdy rankiem 24 czerwca 7. Dywizja Pancerna Wehrmachtu zajęła Wilno, a 20. i 12. Dywizja Pancerna podchodziły do Oszmian, ariergarda 3. Grupy Pancernej — 19. Dywizja Pancerna i 14. Dywizja Zmotoryzowana — dopiero przeprawiały się przez Niemen [13]. Tak więc to, co historycy wojskowości nazywają zazwyczaj *„niemieckim klinem pancernym”*, stanowiło w tych dniach kilka *„stalowych nitek”*, rozciągniętych wzdłuż dróg zachodniej Litwy na 100–120 km. Z kolei piechota niemiecka, maszerująca z własnymi konnymi tyłami i artylerią o *„trakcji konnej”*, dopiero zaczynała organizować przeprawy pontonowe przez Niemen.

Regulamin wymaga, aby podwładny każdej rangi i na każdym stanowisku przy wykonywaniu postawionego mu przez nadrzędnego dowódcę zadania wykazywał rozumną inicjatywę w wyborze najbardziej skutecznych dróg i metod realizacji rozkazu. Tak właśnie działał dowódca Frontu Zachodniego, Bohater Związku Radzieckiego, kawaler trzech Orderów Lenina i dwóch Orderów Czerwonej Gwiazdy, generał armii D. G. Pawłow. 22 czerwca o godzinie 23.40 rozkazał on swemu zastępcy, generałowi lejtnantowi Bołdinowi (który w tym czasie przybył już z Mińska do Białegostoku, do sztabu 10. Armii — najpotężniejszej armii Frontu Zachodniego) zorganizować grupę uderzeniową w składzie 6. KZmech., 11. KZmech., 6. KKaw. i *„wykonać uderzenie w ogólnym kierunku Białystok, Lipsk, południe Grodno z zadaniem zniszczenia przeciwnika na lewym* (zachodnim— M.S.) *brzegu rzeki Niemen* (...)*do końca 24.06.41 roku opanować Merecz"*.
Jak widać, Pawłow (odchodząc od prostego hołdowania *„literze"* Dyrektywy nr 3) przekierował ostrze natarcia z kierunku północno–zachodniego (z Grodna na Suwałki) bezpośrednio na północ — wzdłuż zachodniego brzegu Niemna, czyli z Grodna na Merecz. Koncepcja tej operacji była genialnie prosta. Energiczne (trwające tylko dwa dni i jedynie na przestrzeni 80–90 km) uderzenie na skrzydło i tyły nacierającej z zachodu piechoty przeciwnika, opanowanie mostów i przepraw przez Niemen — i pułapka, w którą 3. Grupa Pancerna Wehrmachtu sama się wpędziła, się zatrzaskuje. Odcięte od wszystkich linii zaopatrzenia, pozbawione wsparcia własnej piechoty niemieckie dywizje pancerne, które przedarły się do Wilna, zostają okrążone i zniszczone.
Jedenaście miesięcy później, w maju 1942 roku, tę samą koncepcję wcielili w życie Niemcy. Wtedy, w toku żałosnej charkowskiej operacji zaczepnej, wojska radzieckie sforsowały Doniec Siewierski i doszły do przedmieść Charkowa. W tym czasie armia pancerna Kleista sforsowała tę samą rzekę w rejonie miasta Izjum (100 kilometrów na południe od Charkowa) a następnie — posuwając się na północ wzdłuż wschodniego, praktycznie przez nikogo nie bronionego brzegu Dońca Siewierskiego— przecięła linie komunikacyjne wojsk radzieckich, które ostatecznie znalazły się w *„kotle"* na jego zachodnim brzegu. Konsekwencją było okrążenie i klęska pięciu armii radzieckich, przy czym ponad 200 tysięcy żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej znalazło się w niemieckiej niewoli. Zamierzona przez Pawłowa operacja nie mogła zakończyć się tak spektakularnym sukcesem — po prostu dlatego, że w składzie niemieckiej 3. Grupy Pancernej nie było ani 200, ani nawet 100 tysięcy ludzi. Ogólnie natarcie grupy uderzeniowej Frontu Zachodniego było, jak to się mówi — *„skazane na sukces"*.

XXXIX (7., 20. DPanc., 14., 20. DZmot.) LVII (12., 19. DPanc., 18. DZmot.) oraz dwa korpusy armijne — V (5. i 35. DP) i VI (6. i 26. DP).

4. GPanc. generała pułkownika Ericha Hoepnera wchodziła w skład GA *„Północ”* i rozwinięta została w rejonie Tylży. Składała się jedynie z dwóch korpusów zmotoryzowanych: XXXXI (1., 6. DPanc., 36. DZmot., 269. DP) i LVI (8. Panc., 3., DZmot., 290. DP) oraz samodzielnej DZmot. SS *„Totenkopf”*.

SKAZANI NA SUKCES

Na skutek roztropnie nakreślonej we wrześniu 1939 roku *„linii rozgraniczenia interesów państwowych ZSRR i Niemiec na terytorium byłego państwa polskiego"* [70] białostockie zgrupowanie wojsk radzieckich, nie oddając ani jednego strzału, już zawisło nad skrzydłem i tyłami wojsk niemieckich, ściśniętych w ciasnym *„ryjku"* występu suwalskiego.

O to zatroszczył się Stalin. A przyroda (lub sam Pan Bóg) zatroszczyła się o to, by rzeka Niemen skręciła pod Grodnem o 90 stopni, *„otwierając"* w ten sposób drogę nacierającym z Białegostoku na Mierkinie czołgom radzieckim. Innych dużych rzek, o które Niemcy mogliby oprzeć obronę, w tym rejonie po prostu nie ma.

Dzięki temu, że Pawłow zrezygnował z natarcia na zajęte przez Niemców w 1939 roku Suwałki i zdecydował się okrążyć i zniszczyć suwalskie zgrupowanie przeciwnika na t e r y t o r i u m r a d z i e c k i m, Niemcy pozbawieni zostali możliwości oparcia się o zawczasu przygotowaną w sensie inżynieryjnym obronę przeciwpancerną. Zrozumiałe jest, ze w terenie, który Niemcy opanowali dzień lub dwa przedtem, nie było jeszcze — i być nie mogło! — ani pól minowych, ani rowów przeciwczołgowych, ani żelazobetonowych schronów.

W skład zgrupowania uderzeniowego generała Bołdina (według terminologii wojskowej przyjętej w Armii Czerwonej była to *„grupa konno– zmechanizowana"*, w skrócie — GKZ) weszły: cztery dywizje pancerne, dwie dywizje zmechanizowane, jak również odpowiadający liczebnością jednej *„dywizji przeliczeniowej"* korpus kawalerii, mające na wyposażeniu co najmniej 1310 czołgów i 370 uzbrojonych w działa samochodów pancernych — łącznie 1 680 sztuk sprzętu pancernego [78], ponad sześć tysięcy samochodów i trzysta ciągników. Oprócz tego 23 czerwca do zgrupowania Bołdina, do artyleryjskiego wsparcia natarcia, włączony został 124. Pułk Artylerii Haubic odwodu Naczelnego Dowództwa w składzie 48 ciężkich dział.

Jeszcze raz podkreślmy, że są to minimalne spośród przytaczanych w literaturze liczb. Jeżeli zaś wierzyć danym z monografii **„Rok 1941— lekcje i wnioski"**, to liczba czołgów w dywizjach GKZ Bołdina wynosiła 1597 sztuk [3], co o półtora raza przekracza liczebność największej grupy pancernej Wehrmachtu!

Nader charakterystyczne jest także porównanie składu GKZ Bołdina z liczebnością radzieckich armii pancernych końcowego okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Tak więc, w przededniu największej operacji

wiślańsko– odrzańskiej, w styczniu 1945 roku w 4. Armii Pancernej Leluszenki znajdowało się w sumie 680 czołgów i dział samobieżnych; w 2. Armii Pancernej Gwardii w przeddzień szturmu Berlina, 15 kwietnia 1945 roku, było 685 pojazdów pancernych, łącznie z samochodami pancernymi i działami samobieżnymi; w 5. Armii Pancernej Gwardii przed rozpoczęciem operacji wschodniopruskiej (styczeń 1945 roku) było w sumie 590 czołgów i samochodów pancernych [22].

Jak wida ć, ani jedna z radzieckich armii pancernych, które zakończyły w 1945 roku *„pogrom hitlerowskiej bestii w jej legowisku"*, nie posiadała nawet połowy tej liczby sprzętu pancernego, jaka w czerwcu 1941 roku oddana została do dyspozycji generała Bołdina!

Cała ta gigantyczna stalowa armada miała się rzucić na pięć dywizji piechoty Wehrmachtu: 162. i 256. DP ze składu XX Korpusu Armijnego oraz 8., 28. i 161. DPze składu VIII Korpusu Armijnego[24]. W rzeczywistości nad ranem 24 czerwca w rejonie planowanego przeciwuderzenia grupy Bołdina znajdowały się zaledwie dwie dywizje piechoty XX KA; trzy dywizje VIII KA już forsowały rzekę Niemen i nacierały w pasie od Grodna do Druskienik w ogólnym kierunku na Lidę, posuwając się na wschód trzema niemal równoległymi marszrutami [61, 78]. W ten sposób Bołdin w swym natarciu w pasie od Grodna do Merecza miał rzadką sposobność zniszczyć przeciwnika poprzez serię kolejnych uderzeń na skrzydła i tyły.

Innymi słowy, w pierwszych dniach wojny ukształtowała się sytuacja dokładnie odpowiadająca (chociaż zawsze zapewniano nas o czymś przeciwnym) przedwojennym kalkulacjom radzieckiego dowództwa: *„Możliwościami — uzbrojenia, siły żywej, siły uderzeniowej — korpus pancerny odpowiada pięciu niemieckim dywizjom piechoty. A skoro tak, to mamy prawo i jesteśmy zobowiązani powierzać korpusom pancernym zadania dotyczące likwidacji 1–2 dywizji pancernych lub 4–5 dywizji piechoty.*

[24] — Oba korpusy wchodziły w skład 9.Armii generała pułkownika Adolfa Straussa znajdującej się w występie suwalskim.

Dlaczego mówię: 4–5 z takim przekonaniem? Tylko dlatego, że korpus pancerny nigdy nie będzie walczyć jednocześnie z tymi pięcioma dywizjami, które rozwiną się i skierują przeciwko niemu swe środki ogniowe. Zapewne będzie te 5 dywizji niszczył kolejnymi uderzeniami, jedną po drugiej" [14].

To fragmenty referatu ***„Wykorzystanie związków zmechanizowanych we współczesnej operacji zaczepnej"***, z którym generał armii Pawłow (wówczas szef Głównego Zarządu Pancerno– Samochodowego Armii Czerwonej, czyli jej *„główny czołgista"*) wystąpił

na słynnej grudniowej (1940 roku) naradzie wyższych dowódców armii.

Raz jeszcze przypomnijmy, że pod względem liczby czołgów i składu osobowego GKZ Bołdina w przybliżeniu półtora raza górowała nad korpusem pancernym, w pełni skompletowanym według stanu czasu wojny, a w artylerii — dwukrotnie.

Tak przedstawiała się sprawa z ilością. Teraz postaramy się ocenić jakość. Główną siłę uderzeniową GKZ i — ogólnie rzecz biorąc — całego Frontu Zachodniego stanowił 6. Korpus Zmechanizowany generała majora M. G. Chackilewicza. Jak wiadomo, duża część korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej do wybuchu wojny nie zdążyła otrzymać nawet połowy ilości sprzętu ustalonego w etacie. Tym dziwniejsze więc, że 6. KZmech. już w połowie czerwca miał więcej czołgów, niż było zaplanowane na koniec 1941 roku! O szczególnym, elitarnym jego statusie świadczy także obecność w jego wyposażeniu znacznej liczby najnowszych — wówczas najlepszych na świecie — czołgów T–34 i KW. Większość źródeł podaje liczbę 352 czołgów nowych typów (114 KW i 238 T–34).Jeśli dane te są prawdziwe, to 6. KZmech. zajmował drugie miejsce wśród wszystkich korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej, ustępując w tym wskaźniku tylko 4. KZmech. Własowa, w którym znajdowało się 416 czołgów nowych typów. Jeśli zaś wierzyć danym zawartym w monografii **„Rok 1941— lekcje i wnioski”**, to w składzie 6. KZmech. na początku wojny znajdowały się 452 najnowsze czołgi, co bezspornie stawia ten związek na pierwszym miejscu w całej Armii Czerwonej!

Łatwo wyjaśnić taką rozbieżność w liczbach (przytaczanych przez autorów z powołaniem się na zbiory odtajnionych archiwów wojskowych). Sprawozdawczość w Armii Czerwonej — jak i w tysiącach innych urzędów — prowadzi się według stanu na pierwszy dzień miesiąca. Niższe liczby wzięto prawdopodobnie właśnie ze sprawozdań na dzień 1 czerwca 1941 roku. Lecz przecież pierwszego czerwca całodobowa praca radzieckich zakładów zbrojeniowych bynajmniej nie ustała, a wysyłka czołgów nowych typów z zakładów do wojsk trwała nie tylko do 22 czerwca, ale również w kolejnych dniach. Tym bardziej znaczące jest, że spośród 138 czołgów T–34, oddanych wojsku przez przemysł od 1 do 22 czerwca 1941 roku, do Białegostoku (do 6. KZmech.) wysłanych zostało aż 114 [8].

Nie zapominajmy jednak, że korpus zmechanizowany to nie tylko czołgi. By zapewnić zgodne funkcjonowanie bojowe pododdziałów pancernych, zmotoryzowanychi artylerii oraz ciągłe zaopatrywanie ich w amunicję i paliwo, potrzebne było kilka tysięcy samochodów i ciągników artyleryjskich. Ściśle rzecz biorąc — zgodnie z etatem w korpusie zmechanizowanym powinno być 5165 samochodów i 352 traktory.

Z tym sprzętem w całej Armii Czerwonej były wtedy wielkie problemy. Pojazdów brakowało wszędzie. Zamierzano doprowadzić oddziały i związki do stanów etatowych dopiero po wprowadzeniu jawnej mobilizacji — w wyniku przekazania armii z gospodarki narodowej 300 tysięcy samochodów i 50 tysięcy traktorów. 22 czerwca 1941 roku duża część korpusów zmechanizowanych miała znaczne (do 50–60%) braki w środkach transportu. Jednak również w tej kwestii 6. KZmech. był wśród liderów. Znajdowały się w nim 294 traktory (honorowe drugie miejsce wśród wszystkich korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej), a pod względem liczby samochodów i motocykli (odpowiednio 4779 i 1042) górował nad każdym innym. Niniejsze dane pochodzą z książek współczesnych historyków [1, 3]. Sam zaś dowódca korpusu generał major Chackilewicz na odprawie grudniowej (1940 roku) przytaczał znacznie większe liczby: *„W trakcie naszych ćwiczeń obliczyliśmy (nawet gdy odrzucaliśmy po 2500 pojazdów ze składu bojowego — zabierając tylko najpotrzebniejsze do życia i walki), że również wtedy do wyłomu wkraczało 6800 maszyn, bez mała 7000"*.

Wszystko to (jak i samo wystąpienie dowódcy korpusu na naradzie kierownictwa Armii Czerwonej, w obecności komisarza obrony i dowódców okręgów) bardzo wymownie świadczy o roli i miejscu 6. KZmech. w przedwojennych planach radzieckiego dowództwa.

À propos miejsca. Od lata 1940 roku do wybuchu wojny ten najpotężniejszy spośród korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej skrył się w ostępach leśnych na wschód od Białegostoku, i to tak dobrze, że słynne niemieckie rozpoznanie lotnicze nie zdołało nawet stwierdzić jego obecności. Poranny komunikat sztabu 9. Armii (Grupa Armii *„Środek"*) z 23 czerwca 1941 roku brzmi dosłownie: *„Pomimo wzmocnionego zwiadu w rejonie Białegostoku na razie nie stwierdzono jeszcze dużych sił kawalerii i czołgów"*.
Naturalnie rejon dyslokacji 6. KZmech. wybrano nieprzypadkowo. Nawet patrząc na współczesne mapy samochodowe, z Białegostoku można wyjechać tylko w jedną stronę — na zachód, szosą na Warszawę. Dróg na wschód, w głąb Białorusi (a więc także powodów, aby się spodziewać tu natarcia głównych sił przeciwnika), jak nie było w 1941 roku, tak nie ma obecnie. Co więcej, z odtajnionej dopiero w końcu lat osiemdziesiątych pracy historyczno wojskowej byłego szefa sztabu 4. Armii L. M. Sandałowa **Bojewyje diejstwija wojsk 4. armii** (**„Działania bojowe wojsk 4. Armii"**) [79] wiadomo, że *„w marcu–kwietniu 1941 roku, w toku okręgowej gry operacyjnej na mapach w Mińsku studiowano frontową operację zaczepną z terytorium zachodniej Białorusi na kierunku Białystok, Warszawa* (...) *Na ostatni tydzień czerwca sztab okręgu przygotowywał grę ze sztabem 4. Armii, także dotyczącą operacji zaczepnej"*. Do czego tu jeszcze można się było

przygotowywać, jeżeli od ówczesnej granicy państwowej do Warszawy było zaledwie 80 kilometrów — i to szeroką drogą…
Znacznie gorzej wyglądała sytuacja w 11. KZmech. — też posiadał 31 czołgów nowych typów (3 KW i 28 T–34).Na wyposażeniu GKZ Bołdina znajdowały się więc w sumie co najmniej 383 najnowsze czołgi — z silnikiem Diesla, z potężnym uzbrojeniem (pocisk z długolufowej armaty kal. 76 mm przebijał pancerz czołowy dowolnego niemieckiego czołgu z odległości 1000– 1200 m) i niezawodną osłoną pancerną.
Cóż mogła temu przeciwstawić niemiecka piechota? Prawie nic. Podstawowym uzbrojeniem dywizjonu przeciwpancernego dywizji piechoty Wehrmachtu była armata Pak 35/36 kal. 37 mm, zdolna do przebijania pancerza o grubości do 30–35 mm z odległości do 500 metrów. Do walki z radzieckimi czołgami lekkimi BT czy T–26 była ona zupełnie wystarczająca. Ale już po pierwszych spotkaniach z naszymi nowymi czołgami żołnierze niemieccy nadali swej armacie przeciwpancernej przydomek *„kołatki u drzwi"* (mogła ona najwyżej *„postukać"* po pancerzu radzieckiej trzydziestkiczwórki). Pochyłego czołowego arkusza pancernego grubości 45 mm T–34 pocisk z tej armaty nie przebijał nawet przy strzelaniu z 200 metrów. A już o możliwości walki z ciężkim czołgiem KW (pancerz czołowy 90 mm, burtowy— 75 mm) nie było co mówić. Ten 50–tonowy stalowy potwór mógł prasować szyki bojowe piechoty niemieckiej praktycznie bez przeszkód, jak na poligonie.
Dopiero latem 1940 roku Niemcy uruchomili produkcję 50–mm armaty przeciwpancernej, która przyjęta została do uzbrojenia Wehrmachtu w liczbie 2 (dwóch) sztuk na pułk piechoty, a i to jeszcze nie w każdej dywizji armaty te się znalazły! Dziwacznie jakoś na tym tle wyglądają nie kończące się lamenty propagandzistów partyjnych, że *„dla Niemców pracował przemysł całej ujarzmionej Europy"*, a Stalin wierzył Hitlerowi i zajmował się jedynie *„pokojową pracą twórczą"*…
Co więcej, polityczno–wojskowe kierownictwo hitlerowskich Niemiec nie tylko nie dało swej armii żadnych środków walki z nowymi radzieckimi czołgami. Nie wiedziało ono nawet o ich pojawieniu się w wyposażeniu Armii Czerwonej! Dopiero po rozpoczęciu działań bojowych, 25 czerwca 1941 roku, w **Dzienniku**… F. Haldera (szefa sztabu wojsk lądowych) pojawia się następujący zapis:
„Otrzymano pewne dane o nowym typie rosyjskiego ciężkiego czołgu: ciężar — 52 tony; pancerz czołowy — 37 cm(?); pancerz boczny — 8 cm (…) *Działo przeciwlotnicze 88 mm, prawdopodobnie, przebija także pancerz boczny (jeszcze nie jest to pewne)* (…)*Uzyskano informacje o pojawieniu się jeszcze jednego czołgu, uzbrojonego w działo 75 mm i trzy karabiny maszynowe"* [12].
W pamiętnikach Hotha i Guderiana pierwsze wiadomości o *„superciężkim rosyjskim czołgu"* (KW) dotyczą dopiero końca czerwca —

początku lipca 1941 roku.
Rozważanie kwestii, jak to możliwe, że wywiad wojskowy nadzwyczaj agresywnego państwa w ciągu półtora roku nie zauważył pojawienia się w produkcji seryjnej u głównego potencjalnego przeciwnika Niemiec nowych typów czołgów, wychodzi poza ramy naszej książki. To temat na odrębną dyskusję. Postarali się o to wszyscy: i Hitler, który po zawarciu układu o przyjaźni i granicy (28 września 1939 roku) kategorycznie zabronił prowadzenia działalności wywiadowczej przeciwko ZSRR [191, i zagadkowy szef Abwehry admirał Canaris (jednocześnie agent wywiadu angielskiego) i wielu innych.
Dla dalszych rozważań wystarczy, jeśli odnotujemy, że niemieckie dywizje piechoty nie tylko nie otrzymały środków do walki z nowymi radzieckimi czołgami, lecz także samo wyłonienie się z gęstwiny białoruskich lasów ogromnych 50–tonowych pancernych monstrów powinno stać się dla nich straszną niespodzianką.
Każdy dobry uczeń powinien wiedzieć, że Niemcy mieli nadzieję zwyciężyć w bitwie pod Kurskiem, między innymi także dzięki niespodziewanemu masowemu zastosowaniu nowych ciężkich czołgów *„Tygrys"* i *„Pantera"*. Teza ta pojawia się w każdej pracy poświęconej bitwie na łuku kurskim, którą radzieccy historycy po dziś dzień nazywają *„największym starciem pancernym drugiej wojny światowej"*.
Co więcej, ze wspomnień generałów niemieckich wynika, że dowództwo niemieckie wiązało ogromne nadzieje z zastosowaniem nowych czołgów. Co prawda o zaskoczeniu w lecie 1943 roku nie można było już mówić. Hitler sam *„nadepnął na gardło własnej pieśni"*, rozkazując, pomimo sprzeciwów Guderiana, wysłać kompanię pierwszych seryjnych *„Tygrysów"* pod Leningrad. We wrześniu 1942 roku, zostały one wprowadzone do walki w błotnistych lasach i częściowo ugrzęzły w bagnach [65]. W ten sposób nowy sprzęt został nieodwracalnie ujawniony.
Co zaś tyczy się kwestii *„zmasowania"*, to w składzie całego zgrupowania pancernego wojsk niemieckich na łuku kurskim (16 dywizji pancernych i 6 dywizji zmotoryzowanych, trzy samodzielne bataliony czołgów i samodzielna brygada pancerna) znajdowało się ogółem 147 *„Tygrysów"* i 200*„Panter"*.
Łącznie 347 czołgów nowych typów z ogólnej liczby 2361 czołgów. Dysponując takimi oto siłami, dowództwo niemieckie planowało okrążyć i zniszczyć wojska radzieckie w składzie piętnastu armii ogólno wojskowych i trzech armii pancernych (jak również czternastu samodzielnych korpusów) na froncie do 550 km [**WIŻ**, 1993, nr 7].
„Przed GKZ Bołdina, w której składzie było półtora tysiąca czołgów i samochodów pancernych, w tej liczbie 383 czołgi owych typów (T–34 i KW),

stało zadanie o zupełnie innej, o wiele skromniejszej skali: wykonać krótkie (dwa–trzy dni i 80–90 km)*uderzenie na piechotę przeciwnika, a następnie przejść do odwodu dowódcy frontu.*
Efekt zaskoczenia — najważniejszy na wojnie warunek sukcesu — wzmocniony był także przez to, że rozpoznanie niemieckie nie zdołało w porę ujawnić koncentracji potężnego zgrupowania uderzeniowego w rejonie Białegostoku. Dopiero wieczorem 23 czerwca w meldunku oddziału rozpoznania i kontrwywiadu sztabu 9. Armii Wehrmachtu odnotowano pojawienie się w rejonie na południe od Grodna 1. i 2. brygady zmechanizowanej" [61].
Co to oznacza? Żadnych *„brygad zmechanizowanych"* w składzie Frontu Zachodniego nie było, a wśród sześciu dywizji pancernych i zmechanizowanych grupy Bołdina nie było ani jednej z numerem 1. lub 2. Oczywiste jest jedynie to, że ostatecznie Niemcy nie mogli nie dostrzec ruchów ogromnych kolumn pancernych, lecz wydarzyło się to już dosłownie w ostatniej chwili przed rozpoczęciem przeciwuderzenia wojsk radzieckich.
Ale pogromu niemieckich wojsk pod Grodnem i Wilnem nie było.

ANATOMIA KATASTROFY

W ostatecznym rozrachunku w ogóle niczego nie było.
„Na skutek rozproszenia związków, nietrwałości dowodzenia, potężnego oddziaływania lotnictwa przeciwnika nie udało się skoncentrować zgrupowania uderzeniowego w wyznaczonym czasie. Końcowe cele przeciwuderzenia (zniszczenie suwalskiego zgrupowania przeciwnika i opanowanie Suwałk) nie zostały osiągnięte, poniesiono wielkie straty".
Oto dosłownie wszystko, co powiedziano o przebiegu i rezultatach przeciwuderzenia GKZ Bołdina w najpoważniejszej analizie historycznej ostatniego dziesięciolecia — w wielokrotnie wspomnianej już monografii **„Rok 1941— lekcje i wnioski"**.
Za frazą o *„wielkich stratach"* kryje się to, że wszystkie trzy związki, które wzięły udział w przeciwuderzeniu grupy Bołdina (6. i 11. KZmech., 6. KKaw.) zostały całkowicie rozgromione, cały sprzęt bojowy porzucono w lasach i na drogach, duża część żołnierzy znalazła się w niewoli lub poległa, a nieliczni, którzy ocaleli, w ciągu kilku tygodni i miesięcy wydostawali się małymi grupami z okrążenia, a wyszli z niego dopiero wtedy, gdy linia frontu przebiegała pod Rżewem i Wiaźmą.
We wcześniejszych, podstawowych pracach historyków radzieckich (12–tomowej **„Historii Drugiej Wojny Światowej"** i 6–tomowej **„Historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej"**) nie było w ogóle nic prócz mglistej konstatacji, że przeciwuderzenia wojsk radzieckich, przewidziane w Dyrektywie nr 3, okazały się nieskuteczne.

W opublikowanych w ostatnich latach dokumentach z początku wojny niepodobna znaleźć niczego bardziej wyrazistego niż treści takich oto rozkazów, które płynęły ze sztabu Frontu Zachodniego:
„Dlaczego korpus zmechanizowany (chodzi o 6. KZmech. — M.S.) *nie naciera, kto winien? Działajcie, nie zwlekając, nie panikujcie, ale dowodźcie. Trzeba bić wroga w sposób zorganizowany, a nie pędzić na oślep* (...) *Dlaczego nie stawiacie zadań do natarcia korpusom zmechanizowanym?"* [40].

W klasycznych historycznowojskowych pracach generałów niemieckich (Tippelskirch, Buttlar, Blummentritt) o przeciwuderzeniu wojsk radzieckich w rejonie Grodna — ani słowa.
W pamiętnikach H. Hotha (**Panzer–Operationen**) nie znajdujemy żadnych wzmianek o natarciu Armii Czerwonej w rejonie Grodna. Dowódca 3. Grupy Pancernej Wehrmachtu nigdy się nie dowiedział, że w skrzydło i tyły jego wojsk wycelowane było potężne zgrupowanie pancerne przeciwnika.
W powszechnie znanym **Dzienniku wojennym** F. Haldera wspomnienie o działaniach grupy Bołdina pojawia się tylko w zapisach z 25 czerwca 1941 roku:
„Rosjanie, okrążeni w rejonie Białegostoku, prowadzą ataki, próbując przedrzeć się z okrążenia na północ w kierunku Grodna (...)*dość poważne komplikacje na froncie VIII Korpusu gdzie wielkie masy rosyjskiej kawalerii atakują zachodnie skrzydło korpusu* (...)".
Ale już wieczorem tego sama dnia (zapis z 18.00) Halderz satysfakcją stwierdza:
„Położenie na południe od Grodna się ustabilizowało. Ataki przeciwnika odparte"[25].
Później Haldernigdzie nie powraca do opisu tych wydarzeń i jest to dosyć dziwne — mimo wszystko główną siłą uderzeniową GKZ nie były bynajmniej *„duże masy kawalerii"*, ale dwa korpusy zmechanizowane. A o *„poważnych komplikacjach"* na froncie XX Korpusu Armijnego, który powinien pierwszy się zetknąć z nacierającymi radzieckimi czołgami, Halder w ogóle nie wspomina...
Gdybyśmy pisali powieść fantastyczną, to teraz byłby najwyższy czas opowiedzieć o tym, jak z mrocznej otchłani białoruskich bagien podniosło się coś i pochłonęło potężną armię pancerną. Lecz charakter tej książki — studium historyczne — w żaden sposób nie pozwala zrzucić odpowiedzialności za klęskę na siły tajemne.
A GKZ Bołdina wcale nie przepadła bez śladu.
Według opowieści miejscowych mieszkańców, zebranych przez entuzjastów z Mińskiego Stowarzyszenia Historyków *„Ojczyzna"*, *„pod koniec czerwca 1941 szosa Wołkowysk–Słonim zawalona była porzuconymi czołgami, spalonymi samochodami, rozbitymi armatami,*

tak że normalny ruch komunikacyjny był niemożliwy (...) *Kolumny jeńców miały do 10 km długości"* [8].
Słowa o wielokilometrowych kolumnach jeńców mogą się wydać zwyczajną przesadą w ustach ludzi, którzy byli naocznymi świadkami gigantycznej katastrofy. Niestety. Nawet według danych bardzo ostrożnego w szafowaniu liczbami studium współczesnych rosyjskich historyków wojskowości **Grif**... straty bezpowrotne Frontu Zachodniego w pierwszych siedemnastu dniach wojny wyniosły 341 tysięcy ludzi, z których co najmniej 60%, czyli około 200 tysięcy, znalazło się w niewoli. Warto podkreślić, że liczby te odpowiadają znanym od dawna komunikatom niemieckim, zgodnie z którymi w bitwie w rejonie Mińsk–Białystok Wehrmacht zagarnął 288 tysięcy jeńców [**WIŻ**, 1989, nr 9].
Na przyczyny pogromu GKZ mogłyby rzucić światło pamiętniki radzieckichgenerałów — ale mało który je napisał.
Dowódca 6. KKaw. generał major I. S. Nikitin dostał się do niewoli i został rozstrzelany przez Niemców w obozie koncentracyjnym w kwietniu 1942 roku [20, 124].
Dowódca 36. DKaw. z tegoż korpusu generał major J. S. Zybin dostał się do niewoli i aktywnie współpracował z nazistami. Po wyroku Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR został rozstrzelany 25 sierpnia 1946 roku. Nigdy nie został zrehabilitowany [20, 124].
Dowódca 6. KZmech. Chackilewicz poległ 25 czerwca. Okoliczności jego śmierci do dziś pozostają nieznane. Kilka dni później pod miasteczkiem Klepaczi w Rejonie Słonimskim trafiony został samochód pancerny, którym oficerowie sztabu 6. KZmech. próbowali wywieźć ciało poległego dowódcy. Szef artylerii korpusu generał major A. S. Mitrofanow został przy tym śmiertelnie ranny [8].
Jeśli chodzi o 6. Korpus Zmechanizowany to: Dowódca 4. DP generał major A. G. Potaturczew dostał się do niewoli, po oswobodzeniu obozu koncentracyjnego w Dachau został aresztowany przez NKWD i zmarł w więzieniu w lipcu 1947 roku. Pośmiertnie zrehabilitowany w 1953 roku [20, 124].
Dowódca 29. Dywizji Zmechanizowanej generał major I. P. Bikżanow dostał się do niewoli, a po oswobodzeniu do grudnia 1945 roku *„przechodził spec weryfikację w organach NKWD"*. W kwietniu 1950 roku zwolniony, przeszedł w stan spoczynku *„z powodu choroby"*. Dożył 93 lat, lecz wspomnień nie napisał [20, 124].
Po pogromie GKZ dowódca 7. Dywizji Pancernej generał major S. W. Borziłow oraz dowódca 29. Dywizji Pancernej II. KZmech. pułkownik N. P Studniew zdołali wyjść z okrążenia, lecz wkrótce polegli w walkach [8].
Dostali się do niewoli i zginęli w hitlerowskich obozach generałowie majorzy P. G. Makarów i N. M. Starostin — zastępca dowódcy 11. KZmech. i szef artylerii tegoż korpusu [20, 124].

Dowódca 204. Dywizji Zmechanizowanej 11. KZmech., pułkownik A. M. Pirow zaginął bez wieści [8].
Ale los najwyższego dowództwa Frontu Zachodniego był jeszcze bardziej tragiczny.
Dowodzący Frontem Zachodnim, bohater obrony Madrytu i przełamania linii Mannerheima generał armii Pawłow aresztowany został 4 lipca, a 22 lipca 1941 roku — równiutko miesiąc po wybuchu wojny (oj, lubił, lubił towarzysz Stalin teatralne efekty!)— skazany został na rozstrzelanie.
Z tego samego*„tytułu"*, za *„tchórzostwo, bezczynność i panikarstwo, które stworzyły przeciwnikowi możliwość przełamania frontu"* [67, 81], rozstrzelani zostali:
— szef sztabu frontu generał major W. J. Klimowskich;
— szef łączności frontu generał major A. T. Grigoriew;
— szef artylerii frontu generał lejtnant artylerii N. A. Kicz;
— dowódca 4. Armii Frontu Zachodniego generał major A. A. Korobkow;
— zastępca dowódcy sił powietrznych frontu generał major lotnictwa A. I. Tajurski.
Dowódca lotnictwa Frontu Zachodniego, Bohater Związku Radzieckiego, weteran walk w Hiszpanii generał major 1.1. Kopiec zastrzelił się już w pierwszym dniu wojny, 22 czerwca 1941 roku.
Uważny czytelnik na pewno już zauważył w tym budzącym grozę spisie rozstrzelanych generałów brak jednego nazwiska.
To naprawdę bardzo dziwne. Bo i według stopnia (generał lejtnant), i zajmowanego stanowiska (zastępca dowódcy frontu) I. W. Bołdin stał wyżej od wszystkich represjonowanych z wyjątkiem, oczywiście, samego Pawłowa. I jeśli całe dowództwo frontu okazało się winne *„przestępczej bezczynności i rozkładu dowodzenia wojskami"*, to jakże mógł pozostać bezkarny dowódca głównego zgrupowania uderzeniowego Frontu Zachodniego?
Bołdin w żaden sposób nie mógł się usprawiedliwiać brakiem doświadczenia. W jego karierze były już dwa *„marsze wyzwoleńcze"* — na Polskę (wrzesień 1939 roku) i Besarabię (czerwiec 1940 roku).
We wrześniu 1939 roku komkor Bołdin wkroczył do Polski na czele Grupy Konno–Zmechanizowanej Frontu Białoruskiego, która prowadziła natarcie na linii Słonim–Wołkowysk i po zaciętym boju w dniach 20–21 września szturmem wzięła Grodno. Tak więc Bołdinowi początek wojny jawił się jak w pieśni: *„Po drogach znajomych, za kochanym narkomem konie bojowe powiedziemy"*[26].
Rozwiązanie tej zagadki jest bardzo proste. Czekiści po prostu nie mogli wezwać go na rozstrzelanie: od końca czerwca do początku sierpnia znajdował się w okrążeniu i był dla nich niedostępny. A w sierpniu 1941 roku, po pogromie większości armii kadrowej, po

dostaniu się do niewoli dziesiątków generałów (w sumie do końca 1941 roku w niewoli niemieckiej znalazło się ich 63), Stalin stał się bardziej powściągliwy w rozstrzeliwaniu tych dowódców, którzy jeszcze pozostali w szeregach. Co więcej, po wyjściu z okrążenia Bołdin został wyróżniony w rozkazie Naczelnego Wodza, awansowany i wyznaczony na dowódcę 50. Armii (niebawem rozgromionej pod Briańskiem).
Bardzo silny stres nie przeszedł bez śladu. Główny motyw wspomnień Bołdina — tępy i bezduszny żołdak Pawłow — zepsuł wszystko: *„Odchodząc od aparatu, pomyślałem: jak daleki jest Pawłow od rzeczywistości! Mieliśmy za mało sił, aby kontratakować przeciwnika* (...) *Ale co robić? Rozkaz to rozkaz!"*
Wiele lat później, już po wojnie, dowiedziałem się, że Pawłow wydawał mojej nieistniejącej (z czyjej winy nieistniejącej? — M.S.) *grupie uderzeniowej jedno zarządzenie bojowe za drugim*.
Po co Pawłow wydawał te zarządzenia? Do kogo je kierował? (Możliwe, iż Bołdin nie zrozumiał, że zadanie, które haniebnie zaprzepaścił, zostało postawione właśnie jemu — M.S.)*Być może służyły one tylko temu, aby stwarzać przed Moskwą pozory, że niby to na Froncie Zachodnim podejmuje . jakieś środki w celu przeciwdziałania nacierającemu wrogowi"* [80].
To jeszcze nic. W bardzo poważnym dokumencie, w memoriale złożonym w lipcu 1957 roku w toku rehabilitacji Pawłowa i jego *„popleczników"* — Bołdin (w owym czasie generał pułkownik) napisał: *„Pawłow winny jest tego, że błagał Stalina o mianowanie go na stanowisko dowódcy okręgu wojskowego, wiedząc, że z chwilą rozpoczęcia wojny będzie dowódcą wojsk frontu. Pawłow, mając słabe przygotowanie operacyjne, nie mógł być dowódcą wojsk frontu* (...) *Szef sztabu frontu Klimowskich winny jest tego, że trafił pod wpływ Pawłowa i zamienił się w ślepego wykonawcę jego poleceń"* [81, s. 1941.
To, kto miał *„dobre przygotowanie operacyjne"*, Bołdin skromnie przemilczał.
Wszystko będzie bardziej zrozumiałe, jeśli sobie przypomnimy, że przed wyznaczeniem na stanowisko zastępcy dowódcy Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego Bołdin był dowódcą Odeskiego Okręgu Wojskowego. Przyznacie sami: być głównym szefem w Odessie, a potem zostać zastępcą w Mińsku — to jednak duża różnica...
Niemniej — z braku lepszych źródeł — sięgniemy do pamiętników Bołdina. Czym (oprócz *„niewykonalności"* postawionego przed nim zadania) wyjaśnia on klęskę powierzonych mu wojsk?
Bołdin to niepospolity pamiętnikarz. Ma lotną pamięć, przechowującą nawet najbardziej błahe szczegóły. Opisując swój pierwszy dzień wojny, wspomina i duszny skwar, i to, że woda w manierce była ciepła i nie orzeźwiała wyschniętego gardła. W najdrobniejszych szczegółach, na dziesiątkach stronic, opisuje historię swojej tułaczki po lasach w

okrążeniu.
A o tym, co najważniejsze — o przygotowaniu, przeprowadzeniu i rezultatach przeciwuderzenia — mówi bardzo zwięźle i oszczędnie.
Jest pierwszy dzień wojny, wieczór 22 czerwca.
„Dowódca 10. Armii pochyla się nad mapą, ciężko wzdycha i mówi:
— Z czym walczyć? Prawie całe nasze lotnictwo i artyleria przeciwlotnicza rozbite. Amunicji mało.
Kończy się paliwo do czołgów (...)*Już w pierwszych godzinach napaści lotnictwo przeciwnika wykonało naloty na nasze składy paliw. Płoną do tej pory. Na magistralach kolejowych cysterny z paliwem także zostały zniszczone* (...)
Na SD przybył dowódca 6. Korpusu Kawalerii generał major I. S. Nikitin. Wyglądał na zmartwionego.
— Jak sytuacja?— pytam kawalerzystę.
— Źle, towarzyszu generale. Szósta dywizja rozbita...
— Gdzie resztki dywizji?
— Poleciłem ześrodkować je w lesie na północny wschód od Białegostoku".
Bez zbędnych komentarzy porównajmy ten akapit z fragmentem wspomnień szefa sztabu 94. Pułku Kawalerii (z tejże *„rozbitej"* 6. DKaw.) W. A. Grieczaniczenki [83]:
„Około godziny 10–tej 22 czerwca weszliśmy w styczność z przeciwnikiem. Doszło do wymiany ognia. Próby Niemców, aby z marszu przedrzeć się ku Łomży, zostały udaremnione. Na prawo obronę utrzymywał 48. Pułk Kawalerii. O 23.30 22 czerwca na rozkaz dowódcy korpusu generała majora I. S. Nikitina oddziały dywizji dwoma kolumnami forsownym marszem skierowały się do Białegostoku (...) *Do godziny 17.00 23 czerwca dywizja skoncentrowała się w lasach 2 kilometry na północ od Białegostoku"*.
Drugi dzień wojny, 23 czerwca 1941 roku.
„Do świtu sztaby 6. Korpusu Zmechanizowanego i 6. Korpusu Kawaleryjskiego usadowiły się na nowym miejscu w lesie piętnaście kilometrów na północny wschód od Białegostoku. Ten malowniczy leśny zakątek stał się także moim stanowiskiem dowodzenia".
Zgadza się. W protokole z przesłuchania Pawłowa znajduje się potwierdzenie, że wszystkie sztaby, które i bez tego już znajdowały się daleko od terenu walk (odległość od Białegostoku do ówczesnej granicy wynosi około 100 kilometrów), wycofały się jeszcze dalej:
„W drugim dniu oddziały 10. Armii, oprócz sztabu armii, pozostawały na swoich miejscach. Sztab armii zmienił stanowisko dowodzenia, odchodząc bardziej na wschód od Białegostoku, w rejon Wołpy" [67].
Czymzaś zajmowali się nasi generałowie, zebrani w tym *„malowniczym leśnym zakątku"*?
„Czas mija, a mi i tak nie udaje się zrealizować rozkazu Pawłowa o

utworzeniu uderzeniowej grupy konno–zmechanizowanej. Najbardziej nieprzyjemne (tak w tekście — M.S.)*jest to, że nie wiem, gdzie znajduje się 11. Korpus Zmechanizowany generała D. K. Mostowienki. Nie ma łączności ani z nim, ani z 3. Armią, w której skład wchodzi"*.
Wstrząsające wyznanie. Jak zastępca dowódcy okręgu mógł nie znać rejonu dyslokacji korpusu zmechanizowanego? To nie igła w stogu siana. W całym okręgu było ich zaledwie sześć, a jeśli nie brać pod uwagę 17. i 20. KZmech., których formowanie dopiero się zaczynało, to realnie zdolnych do walki korpusów zmechanizowanych było dokładnie cztery.
Wypada przypomnieć, że sztab 11. KZmech. i 204. Dywizja Zmechanizowana stacjonowały w Wołkowysku (85 kilometrów na wschód od Białegostoku), 29. Dywizja Pancerna — w Grodnie (75 kilometrów na na północny wschód od Białegostoku), a 33. DP — w rejonie miasteczka Indura (18 kilometrów na południe od Grodna). Innymi słowy, z *„malowniczego leśnego zakątka 15 kilometrów na północny wschód od Białegostoku"*, w którym ukryli się Bołdin z Nikitinem, do dywizji 11. KZmech. było najwyżej 70 kilometrów. Ale nie zdołano pokonać tej odległości.
Aż do ostatecznej klęski, która nastąpiła 26–27 czerwca, Bołdin nie tylko ani razu nie był w rejonach rozmieszczenia powierzonych mu wojsk, lecz nawet nie zdołał nawiązać jakiejkolwiek łączności z 11. KZmech. Na wszelki wypadek przypomnimy wnikliwemu czytelnikowi, że w składzie GKZ Bołdina znajdowały się dwa szwadrony łączności, konny dywizjon łączności, trzy korpuśne eskadry lotnicze i osiem (!) samodzielnych batalionów łączności.
Najbardziej dociekliwi mogą poznać też ich numery: 4., 7., 124., 185. samodzielne bataliony łączności w składzie 6. KZmech. i 29., 33., 583. i 456. sbf w składzie 11. KZmech. [8].
„Nie dość nieszczęść: o świcie wrogie bombowce zaskoczyły w marszu 36. Dywizję Kawalerii (tę samą, której dowódca przeszedł na stronę Niemców — M.S.)*i zniszczyli ją. Tak że o kontrataku teraz nie mogło być mowy* (...) *Siedziałem w namiocie, ogarnięty ponurymi myślami"* [80].
Naturalnie Bołdin nigdzie ani słowem nie wspomniał o tym, jakie konkretnie siły i środki włączone zostały do składu Grupy Konno–Zmechanizowanej, w jakim ugrupowaniu i jakimi siłami nacierał przeciwnik, tak że stwierdzenie, iż *„zniszczenie"* jednej dywizji kawalerii uczyniło przeciwuderzenie wojsk radzieckich *„całkowicie niemożliwym"*, nie wydawało się czytelnikom aż tak absurdalne, jakie jest w istocie. Uważny czytelnik z pewnością już spostrzegł bardzo dziwną chronologię wydarzeń: według wersji Bołdina, 22 czerwca *„rozbita"* została 6. Dywizja Kawalerii, o świcie 23 czerwca *„zniszczona"* została 36. Dywizja Kawalerii; innych oddziałów kawaleryjskich w składzie jego grupy po prostu nie było. A zaraz potem, 25 czerwca, szef sztabu wojsk

lądowych Wehrmachtu odnotowuje w swoim dzienniku, że w rejonie Grodna *„duże masy rosyjskiej kawalerii atakują zachodnie skrzydło VII Korpusu"*!
Tak, trudno dowódcy kierować wojskiem, jeśli tkwi on w malowniczym lesie, o dziesiątki kilometrów od pola walki, zastąpiwszy rozpoznanie pogłoskami i posępnymi myślami…
„Zadzwonił Chackilewicz, który znajdował się w oddziałach.
— Towarzyszu generale — powiedział zdenerwowany — kończy się paliwo i amunicja.
— Słyszysz mnie, towarzyszu Chackilewicz? — podniosłem głos, starając się przekrzyczeć straszliwy łoskot przelatujących nad nami wrogich samolotów. — Trzymaj się! Natychmiast podejmę wszelkie środki, aby okazać wam pomoc.
Żadnej łączności ze sztabem frontu nie było. Dlatego od razu po rozmowie z Chackilewiczem wysłałem do Mińska samolot z listem, w którym prosiłem o niezwłoczne zorganizowanie przerzutu paliwa i amunicji drogą powietrzną" [80].
Wielokropek nie powinien czytelnika zbić z tropu. Niczego nie opuściliśmy. Właśnie do tego — wysłania listu do Mińska — ograniczyły się *„wszelkie środki"*, podjęte przez pierwszegozastępcę dowódcy frontu.
Trzeci dzień wojny.
„Faktycznie znajdujemy się na tyłach przeciwnika. Z wieloma oddziałami 10. Armii utracono łączność, mało amunicji i zupełny brak paliwa (…) *Z Mińska nadal żadnych informacji (…) Przeciwnik wciąż naciera. Prowadzimy walkę w okrążeniu. A siły mamy coraz mniejsze. Czołgiści zajęli obronę w dziesięciokilometrowym pasie. Trzy kilometry za nimi — nasze stanowisko dowodzenia"*.
I w końcu piąty dzień wojny.

25 — Tumaczenie z ros. W polskim przekładzie **Dziennika wojennego** brzmi to podobnie, ale nie identycznie.
26 — Z popularnej pieśni kawalerzystów 1. Armii Konnej.

„W piątej dobie wojny, nie mając amunicji, wojska zmuszone były się wycofać i w luźnych grupach rozproszyły się po lasach" [80].
„W luźnych grupach rozproszyły się po lasach" — przyznał się; nie każdy radziecki generał w swoich pamiętnikach okazał się zdolny do takiej szczerości.
Oto właściwie wszystko, czego o okolicznościach klęski można się dowiedzieć ze wspomnień Bołdina. Oto standardowe elementy *„okoliczności siły wyższej"*, które radziecka nauka historyczna bierze pod uwagę: nie było łączności, nie było paliwa, skończyła się amunicja.
Dlaczego nie ma łączności? Otóż nieprzyjacielscy dywersanci

poprzecinali wszystkie przewody.
Gdzie podziało się paliwo? Niemieckie lotnictwo zbombardowało wszystkie składy.
Dlaczego nie dowieziono pocisków? Przecież list do Mińska nie doleciał...
Niepotrzebne są, bo przeszkadzają w przyswojeniu jedynie słusznej prawdy szczegóły: ile było przewodów, a ilu było dywersantów, jaki limit przebiegu po jednym zatankowaniu miały radzieckie czołgi, ile pocisków mieści się w przewożonej w czołgu jednej jednostce ognia, jakimi siłami lotnictwo niemieckie mogło zbombardować *„wszystkie składy"* i ile tych składów było w jednym tylko Zachodnim Specjalnym Okręgu Wojskowym — odrzucono je jako zbędne. Odrzucono — jako niepotrzebną — także tę prostą i bezsporną prawdę, że siły zbrojne tworzy się właśnie w tym celu, aby mogły działać w warunkach przeciwdziałania przeciwnika.
Być może najbardziej interesujące i cenne we wspomnieniach Bołdina jest to, czego w nich nie ma.
Aby się zorientować, czego nie ma, sięgniemy po pamiętniki innego generała, który w tych samych dniach czerwca 1941 roku kierował działaniami wielkiego związku zmotoryzowanego.
A zatem H. Guderian, **Wspomnienia żołnierza**[27]:
„22 czerwca (...)*o godzinie 6.50 przeprawiłem się łodzią szturmową przez Bug* (...)*Jadąc początkowo śladami czołgów 18. Dywizji Pancernej* (...) *dojechałem do mostu na Leśnej* (...)*Gdy zbliżaliśmy się do mostu, Rosjanie na nasz widok rzucili się do ucieczki* (...)*Aż do popołudnia towarzyszyłem 18. Dywizji Pancernej* (...)
23 czerwca opuściłem swoje stanowisko dowodzenia o godzinie 4.10 rano i udałem się najpierw do XII Korpusu (Piechoty — dop. tłum.) (...)*Stamtąd udałem się do sztabu XXXXVII Korpusu Pancernego (Zmotoryzowanego — dop. tłum.), w położonej 23 km na północny wschód od Brześcia wsi Bildejki* (...)*Następnie pojechałem do 17. Dywizji Pancernej, dokąd przybyłem o godzinie 8.00* (...)*Potem pojechałem do Prużan* (70 km na północny wschód od granicy — M.S.), *dokąd przeniesione zostało stanowisko dowodzenia grupy pancernej* (...)
24 czerwca opuściłem (...) *o godzinie 8.25 moje stanowisko dowodzenia i wyruszyłem w kierunku na Słonim* (to dalsze 80 km w głąb radzieckiego terytorium— M.S.) (...)*natknąłem się jednak na rosyjską piechotę, która trzymała drogę pod ogniem* (...)*Musiałem tam wkroczyć i ogniem karabinu maszynowego z mego wozu dowodzenia zmusiłem wroga do opuszczenia zajmowanych pozycji* (...)
O godzinie 11.30 przybyłem na stanowisko dowodzenia 17. Dywizji Pancernej na zachodnim krańcu Słonimia (czyli już na głębokich tyłach 10. Armii i GKZ Bołdina — M.S.), *gdzie, prócz dowódcy dywizji, generała von Arnima, zastałem dowódcę korpusu generała Lamelsena"* [65].

„Gdzie prócz dowódcy dywizji (…)*zastałem dowódcę korpusu"*.
A odbywało się to spotkanie trzech generałów na polowym stanowisku dowodzenia, o sto metrów od linii ognia. Oto i całe rozwiązanie zagadki, dlaczego Armia Czerwona na własnym terytorium pozostawała *„bez łączności"*, a armia niemiecka na naszym terytorium — miała łączność.
Historycy partyjni przez dziesiątki lat wyjaśniali nam, że łączność na wojnie zapewnia się za pomocą kabla i radiostacji (których w 1941 roku jakoby nie było). A Guderian w prosty sposób dowodzi, że o zagadnieniu łączności i kierowania wojskami decydują nie przewody, lecz ludzie!
Dowódca czołowej 17. Dywizji Pancernej Wehrmachtu nigdzie nie musiał telefonować. Jego bezpośredni zwierzchnik — dowódca XXXXVII Korpusu Zmotoryzowanego— był razem z nim na tym samym stanowisku dowodzenia i osobiście kierował walką, a wśród nich znajdował się także główny przełożony — dowódca grupy pancernej — po kilka razy na dzień, pod ogniem przeciwnika, w czołgu przedzierał się do każdej ze swoich dywizji. Gdyby Guderian zaproponował im, by się zaczaili na parę dni w *„malowniczym leśnym zakątku"* i stamtąd wysyłali *„samolotem listy do Berlina"*, w najlepszym wypadku przyjęliby to jako żart — rzecz niemądrą i niestosowną na wojnie.
I wcale nie jest to złośliwe bajdurzenie dyletanta. Generał pułkownik Sandałow w swojej książce [82] przytacza taką oto wypowiedź członka Rady Wojennej 4. Armii:
„(…)*ponownie odezwał się Szłykow: Ogromnie złe jest odrywanie się wielkich sztabów od wojsk. To prowadzi do utraty dowodzenia* (…) *Sztab frontu znajduje się gdzieś w rejonie Mińska, ponad trzysta kilometrów od czołowych wojsk. Sztaby armii, aby nie stracić z nim łączności* (???— M.S.)*, też rozlokowują się w głębi, miejscami ponad pięćdziesiąt kilometrów od linii frontu* (…) *A komu, do czarta, jest to potrzebne* (…)*"*.
Złote słowa. Co prawda z dalszej części wspomnień Sandałowa wynika, że już po paru godzinach od tej rozmowy sztab armii po raz kolejny przemieścił się na wschód. No a sztab Pawłowa już 26 czerwca znalazł się pod Mohylewem — 500 kilometrów od granicy!
Co zaś się tyczy kabla, to na Froncie Zachodnim nie było z nim aż tak źle. Zgodnie z memoriałem szefa sztabu frontu generała majora Klimowskicha z 19 czerwca 1941 roku, do dyspozycji służby łączności okręgu znajdowało się 117 tysięcy izolatorów, 78 tysięcy haków i 261 ton kabla [2, s. 44].
Jako ilustrację kwestii rzeczywistego wyposażenia technicznego Armii Czerwonej przytoczyć można jeden z licznych wyroków trybunału wojskowego Frontu Zachodniego. 15 września 1941 roku były dowódca 162. Dywizji Strzeleckiej pułkownik Kołkunow oskarżony został o to, że: *„13 lipca 1941 roku w czasie wyjścia dywizji z okrążenia, z powodu*

tchórzostwa, wydał rozkaz zakopania sprzętu łączności, a mianowicie:
1. 3 radiostacji — RSB, 5AK, 6PK;
2. 2 odbiorników KUB–4;
3. 28 aparatów telefonicznych UNA–I, UPR;
4. 4 centralek — R–20, MB–30, KOF;
5. 2 namierników — 12H2;
6. 23 kilogramów przewodu jednożyłowego;
7. 8 kilogramów przewodu dwużyłowego;
8. 2 aparatów Morse'a" [68].

[27] — Por. H. Guderian, **Wspomnienia żołnierza**, Bellona, Warszawa 1991, s. 124–125.

I to w jednej zwykłej dywizji strzeleckiej. Rozbitej i cofającej się. W dużym artykule z wymownym tytułem ***Przyczyny klęski na Białorusi*** [78] autor zżałosnym westchnieniem informuje czytelników, że zaopatrzenie wojsk Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego w środki łączności radiowej było w opłakanym stanie: *„…radiostacje pułkowe — 41%, batalionowe — 58%, kompanijne — 70%"*.
I jak jest to u nas przyjęte, aby utrudnić właściwe wyjaśnienie sprawy, fakty — ile to w sztukach na jeden pułk lub kompanię strzelecką — opuszczono. Postaramy się uzupełnić to przykre uchybienie. Zgodnie z etatem dywizji strzeleckiej z kwietnia 1941 roku w jednym pułku artylerii haubic powinno się znajdować 37 radiostacji (na 36 haubic), w pułku artylerii — 25 radiostacji (na 24 armaty), 3 radiotacje w pułku strzeleckim i po 5 radiostacji w każdym batalionie strzeleckim. A czyż zestawienie słów: *„radiostacja kompanijna"* nie wskazuje na najwyższy (dla pierwszej połowy XX wieku) poziom wyposażenia technicznego stalinowskiej armii?
Do dyspozycji grup pancernych Wehrmachtu wydzielono w sumie po jednej kompanii dywersyjnej ze składu sławetnego pułku specjalnego przeznaczenia *„Brandenburg"*. W składzie kompanii było 2 oficerów, 220 podoficerów i szeregowych, w tej liczbie 20–30 ludzi ze znajomością języka rosyjskiego [**WIŻ**, 1989, nr 51. I za pomocą takich oto sił Niemcy, jak twierdzi Bołdin, już wczesnym rankiem 22 czerwca 1941 roku: *„…na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów powalili wszystkie słupy telegraficzne i telefoniczne"* — i to tylko w pasie 3. Armii!
Zamkniemy (na razie) książkę Bołdina. Nie będziemy omawiać jego zdolności dowódczych, nie mamy też prawa zarzucać mu braku odwagi. Ale generał Bołdin nie może występować w charakterze świadka klęski grupy konno–zmechanizowanej Frontu Zachodniego. Jego tam (na miejscu klęski) po prostu nie było.
Niestety i od rzeczywistych świadków trudno uzyskać jasną relację dotyczącą jeśli nawet nie przyczyn, to przynajmniej okoliczności

katastrofy.
Sięgnijmy do wspomnień W. A. Grieczaniczenki (szefa sztabu 94. Pułku Kawalerii 6. Dywizji Kawalerii). Pełne są one żywych, nie wymyślonych obrazów przejmującej klęski. Oto jak opisuje on to, co Bołdin krótko określił słowami *„w piątej dobie wojny, nie mając amunicji, wojska zmuszone były się wycofać i w luźnych grupach rozproszyły się po lasach"*:

„Obok nieprzerwanym potokiem sunęły samochody, ciągniki (jak widać, niecałe paliwo spaliło się w zbombardowanych przez Niemców składach — M.S.), *przepełnione furmanki. Próbowaliśmy zatrzymywać wojskowych, którzy jechali i szli razem z cywilnymi uchodźcami. Lecz nikt niczego nie chciał słuchać. Czasami w odpowiedzi na nasze żądania rozbrzmiewały strzały* (czyli amunicja też jeszcze została — na strzelanie do swoich— M.S.). *Wszyscy już twierdzili, że Słonim zajęty, że przed nami wylądowały niemieckie desanty, że zagony czołgów się przerwały i nie ma sensu się tu bronić. 28 czerwca, gdy tylko wzeszło słońce, lotnictwo nieprzyjacielskie rozpoczęło bombardowanie brzegów rzeki Ros i rejonu Wołkowyska. W istocie w tym dniu definitywnie przestały istnieć, jako formacje wojskowe, związki i oddziały 10. Armii. Wszystko się przemieszało i falą toczyło na wschód.*
(…) *Gdy nasza niewielka grupa po południu 30 czerwca wyszła ku starej granicy, panował tam taki sam chaos jak na brzegach Rosu. Wszystkie zagajniki zawalone zostały samochodami, furmankami, szpitalami, uchodźcami, rozproszonymi pododdziałami i zgrupowaniami naszych wojsk"* [83].
Ale już trudno ze wspomnień Grieczaniczenki się dowiedzieć, dlaczego i jak armia nasza dopuściła do takiego stanu. Z jego opisu wynika, że w pierwszych dniach wojny pułk nieprzerwanie i chaotycznie poruszał się po leśnych drogach; w tekście pojawiają się nazwy polskich i białoruskich miasteczek: Sokółka, Krynki, Bierestowica, Sidra…
Pierwszy kontakt z przeciwnikiem nastąpił dopiero wieczorem 24 czerwca:
„O godzinie 21.00 24 czerwca szwadron wszedł w kontakt z przeciwnikiem w dolinie rzeki Biebrza na południe od Sidry. Dowódca pułku, w celu wsparcia oddziału przedniego, wprowadził do walki artylerię. Przeciwnik nie wytrzymał natarcia i wycofał się za rzekę". Nie ma tu przesady. Właśnie w tym dniu, 24 czerwca, w dzienniku Haldera pojawia się zapis o*„dość poważnych komplikacjach na froncie VIII Korpusu Armijnego, gdzie wielkie masy rosyjskiej kawalerii atakują zachodnie skrzydło korpusu"*.
À propos: z wykorzystaniem kawalerii, i to jeszcze wśród białoruskich bagien, nasi partyjni *„historycy"* rozprawiali z żałosnym kręceniem głowy, uznając to za przykład wołającego o pomstę zacofania Armii

Czerwonej i jej całkowitego nieprzygotowania do prowadzenia nowoczesnej wojny. A to ci

dopiero niepowodzenie: w składzie najpotężniejszej, 2. Grupy Pancernej Wehrmachtu, kierowanej przez niezupełnie *„zacofanego"* przecież Guderiana, też była dywizja kawalerii! W dodatkuGuderian wystawił ją, nie wiedzieć dlaczego, właśnie na swoim prawym (to jest południowym) skrzydle, w samymśrodku bagien Polesia.
A jak radzieccy historycy i pamiętnikarze *„walczyli"* z tą dywizją!Bołdin w swoich wspomnieniach doszedł do tego, że zamienił siodła na spadochrony i zakomunikował czytelnikom o obecności w składzie niemieckiej Grupy Armii *„Środek"* nie dywizji kawalerii, ale... desantowej! A przecież łatwo się domyślić.
Otóż ani Guderian, ani Pawłow nie zamierzali nacierać konną ławą po bagnach. Koń w dywizjach kawalerii drugiej wojny światowej pełnił rolę środka transportu, zwiększającego wielokrotnie ruchliwość związku (w porównaniu ze zwykłą piechotą). A bezpośrednio do walki zarówno niemieccy, jak i radzieccy kawalerzyści szli, z zasady, w szyku pieszym. Naturalnie, żaden koń nie może współzawodniczyć z silnikiem, jeśli chodzi o nieustanny, wielogodzinny i wielodniowy ruch. Dlatego gdy przyjaciel Roosevelt podarował towarzyszowi Stalinowi bez mała pół miliona trzyosiowych studebakerów, niezawodnych i łatwo pokonujących teren, epoka kawalerii w Armii Czerwonej się skończyła. Chociaż nie tak od razu. Przecież jeszcze w lipcu 1944 roku w składzie 1. Frontu Ukraińskiego do ofensywy na Lwów–Sandomierz utworzone zostały dwie grupy konno–zmechanizowane pod dowództwem generałów lejtnantów S. W. Sokołowa i W. K. Baranowa, a w wyzwoleniu Pragi w maju 1945 roku wzięło udział dziewięć (!) dywizji kawalerii. Ale w lecie 1941 roku ani my, ani Niemcy nie mieliśmy jeszcze dostatecznej liczby samochodów o zwiększonej mobilności, zdolnych przewozić pododdziały strzeleckie po krętych leśnych drogach w ślad za nacierającymi czołgami, a więc obecność wielkich sił kawalerii była jedną z istotnych zalet Armii Czerwonej.
W praktyce ta oczywista *„teoria"* przedstawiała się tak:
„Związki zmotoryzowane miały się w tym dniu posuwać Po pagórkowatym, piaszczystym terenie, pokrytym gęstym dziewiczym lasem. Ruch po nim (zwłaszcza samochodów produkcji francuskiej) był prawie niemożliwy (...)*Maszyny bez Przerwy grzęzły i wstrzymywały całą idącą za nimi kolumnę, ponieważ możliwość znalezienia objazdu na leśnych drogach*

była zupełnie wykluczona (...)*Piechota i artylerzyści zmuszeni byli stale wyciągać maszyny, które utknęły* (...)*Dla dowództwa prawdziwą*

męką było oglądanie, jak tracą oddech jego «szybkie» wojska".
Tak dowódca 3. Grupy Pancernej Wehrmachtu H. Hoth opisuje w swoich wspomnieniach wydarzenia z 23 czerwca 1941 roku. Przez cały ten dzień, praktycznie nie wchodząc do walki, jego dywizje zmotoryzowane przeszły nie więcej niż 50–60 km.
„75 kilometrów pokonaliśmy bez postojów. Kolumny doprowadzały się do porządku w marszu. Nie było odpoczynków. Już o godzinie 17.00 23 czerwca dywizja skoncentrowała się w lesie 2 kilometry na północ od Białegostoku (...) *Dzień miał się już ku końcowi, gdy dostaliśmy rozkaz wyruszać dalej, w kierunku Sokółki. Marsz–przerzut na 35 kilometrów wykonaliśmy szybko"*.
A to fragmenty ze wspomnień Grieczaniczenki. Nietrudno się przekonać, że w leśnej głuszy zachodniej Białorusi mobilna kawaleria radziecka na krok nieustępowała niemieckiej piechocie zmotoryzowanej.
Na dodatek nasze kawaleryjskie klingi od dawna już przestały być głównym orężem czerwonej jazdy. Pewne pojęcie o strukturze i uzbrojeniu korpusu kawalerii Armii Czerwonej w 1941 roku uzyskać można, na przykład, na podstawie wspomnień legendarnego dowódcy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej generała P. A. Biełowa (w pierwszych miesiącach wojny dowodził on 2. Korpusem Kawalerii, rozwiniętym na Froncie Południowym, w Mołdawii):
„Do kierowania wojskami miał on niewielki mobilny sztab, który poruszał się konno lub samochodami, eskadrę lotniczą, dywizjon łączności i szwadron dowodzenia. Organów tyłowych w korpusie nie było.
Każda z dwóch dywizji kawalerii składała się z czterech pułków jazdy, pułku czołgów, dywizjonu artylerii i dywizjonu artylerii przeciwlotniczej z 76– mm działami, szwadronu łączności i szwadronu saperów z parkiem inżynieryjno–przeprawowym.
W pułku kawalerii (...)*znajdował się szwadron karabinów maszynowych z 16 karabinami maszynowymi na taczankach, bateria 76–mm lekkich dział pułkowych i pododdziały specjalne.*
W pułku czołgów znajdowało się około 50 czołgów BT i 10 samochodów pancernych.
W dywizjonie artylerii konnej była bateria 120–mm haubic i trzy baterie 76 mm dział.
OPL korpusu stanowiły dobrze wyszkolone dywizjony 76–mm dział przeciwlotniczych dywizji kawalerii i plutony poczwórnych karabinów maszynowych w pułkach".
Przyznacie, że na tle tych faktów jakoś zupełnie inaczej zaczyna się postrzegać wynurzenia naszych zawodowych płaczek na temat *„nieprzygotowania Armii Czerwonej do wojny"*...
Zasługuje też na podkreślenie, że 6. Dywizja Kawalerii, w której składzie

walczył pułk Grieczaniczenki, we wrześniu 1939 roku wchodziła w skład GKZ komkora Bołdina i 22 września przejęła z rąk Niemców *„wyzwolony"* Białystok; druga dywizja tego korpusu (36.) także brała udział w *„marszu wyzwoleńczym"*: 19 września 36. Dywizja Kawalerii razem z innymi oddziałami 3. i 11. Armii szturmem wzięła Wilno.
A iluż komisarzy ludowych i marszałków rozpoczynało wojskową karierę w 6. Dywizji Kawalerii i w 6. Korpusie Kawalerii! Jesienią 1919 roku dowódcą 6. DKaw. został S. K. Timoszenko— późniejszy marszałek, ludowy komisarz obrony, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego.
W następnym — 1920 roku, zastępcą szefa sztabu 6. DKaw. został K. A. Mierieckow — późniejszy marszałek, Bohater Związku Radzieckiego, szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej i zastępca komisarza obrony w latach 1940–1941.
W połowie lat trzydziestych 6. Korpusem Kawalerii dowodził G. K. Żukow — późniejszy marszałek, szef Sztabu Generalnego (po Mierieckowie), czterokrotny Bohater Związku Radzieckiego, a po śmierci Stalina — minister obrony ZSRR.
Jesienią 1939 roku 6. KKaw. prowadził do walki jeszcze jeden późniejszy marszałek — A. I. Jeriemienko.
Szefem sztabu pułku artylerii w tej samej 6. DKaw. był również późniejszy marszałek K. S. Moskalenko.
Nawet po uwzględnieniu *„szczególnej roli"* Pierwszej Armii Konnej w formowaniu wyższego składu dowódczego Armii Czerwonej nie można nazwać 6. KKaw. inaczej jak elitarnym związkiem czerwonej kawalerii.
Pozostaje tylko dodać, że początek wojny z Niemcami zastał ten wyjątkowy korpus w polskim mieście Łomża, czyli na granicy z Niemcami!
Powtarzanie — to matka sugerowania. Komunistyczni historycy–propagandziści tyle tysięcy razy opowiadali nam o tym, jak to Wehrmacht, *„mając już dwuletnie doświadczenie w prowadzeniu współczesnej wojny"*, rzucił się na *„źle przygotowane wojska radzieckie"*, że ostatecznie ta nader sporna (a mówiąc wprost — bezsensowna) hipoteza przekształciła się w aksjomat.Lecz spróbujmy posłużyć się głową i zadajmy proste pytanie: kiedy i gdzie Wehrmacht mógł nabrać tego *„dwuletniego doświadczenia w prowadzeniu wojny"*?

Kilkutygodniowe walki w Polsce, trzy–cztery tygodnie aktywnych bojowych działań we Francji, tydzień w Jugosławii.

I tyle. Nawet czysto arytmetycznie to może trochę ponad dwa miesiące, a przecież nie dwa lata!
Z wyjątkiem majowych walk we Francji Wehrmacht miał do czynienia ze źle uzbrojonym i nielicznym przeciwnikiem. Gdzież tu było zebrać doświadczenia wojny pancernej, wojny maszyn i motorów? Czyż mniej doniosłe było doświadczenie Chałchyn–Goł i trzech miesięcy wojny

fińskiej? Tak, Wehrmacht prowadził jeszcze zacięte walki w czasie lądowania w Norwegii, na Krecie, na Pustyni Libijskiej — ale wszystko to walki o znaczeniu lokalnym, w których brały udział w sumie po trzy–cztery dywizje.
Naturalnie kadrowe dywizje Wehrmachtu zostały wyszkolone i przygotowane według najlepszych tradycji pruskiej wojskowości. Ale ile było takich jednostek?
Do wybuchu drugiej wojny światowej Niemcy zdążyli przeszkolić zaledwie 35 kadrowych dywizji piechoty. Na ich bazie utworzono tak zwane *„dywizje piechoty pierwszej fali"* — elita Wehrmachtu. 22 czerwca 1941 roku w składzie grup armii *„Północ"*, *„Środek"*, *„Południe"* dywizji takich było łącznie 24 — jedna piąta ogólnej liczby dywizji piechoty!
Teraz od tych ogólnych obserwacji wróćmy do tragicznej historii klęski 6. Dywizji Kawalerii.
Jak już wiemy, dywizja ta była jedną z najlepszych i najstarszychw całej Armii Czerwonej. Ale jakie przygotowanie, jakie *„dwuletnie doświadczenie prowadzenia wojny"* mogły przeciwstawić jej niemieckie dywizje piechoty o numerach 162. i 256.? Obydwie utworzono już w trakcie wojny, obie po kampanii francuskiej skierowano na wschód, gdzie pozostawały bierne do 22 czerwca 1941 roku. Ale co tu mówić o niemieckiej piechocie, jeżeli nawet w najpotężniejszej 2. Grupie Pancernej Guderiana z pięciu dywizji pancernych dwie (17. i 18.) były *„noworodkami"*. Pierwsza z nich utworzona została w październiku 1940 roku (czyli już po zakończeniu walk w Polsce i we Francji) na bazie 27. Dywizji Piechoty, a druga _ w tym sama miesiącu na bazie 4. i 14. Dywizji Piechoty. Dywizje te nie uczestniczyły w kampanii bałkańskiej, takwięc dzień 22 czerwca 1941 roku był dla nich pierwszym dniem wojny...
Wrócimy jednak do pamiętników Grieczaniczenki:
„25 czerwca artyleria niemiecka otworzyła zmasowany ogień na całą głębokość ugrupowania bojowego pułku. W powietrzu na małej wysokości nieprzerwanie dominowało wrogie lotnictwo (...)*Już w pierwszych godzinach całe nasze ciężkie uzbrojenie zostało wyłączone z walki, radiostacja rozbita, łączność całkowicie sparaliżowana. Pułk ponosił ciężkie straty, został mocno przyciśnięty do ziemi, pozbawiony możliwości prowadzenia jakichkolwiek aktywnych działań. Poległ podpułkownik N. G. Pietrosianc.*
Przejąłem dowodzenie pułkiem, a właściwie — jego resztkami".
Są też inne opisy tych wydarzeń:
„Od rana 25 czerwca 6. Dywizja Kawalerii w rejonie wyjściowym do natarcia (Makowlany, kołchoz „Stiepanowka") poddana została silnemu bombardowaniu z powietrza, które trwało do godziny 12.00. Kawalerzyści zostali rozproszeni i w nieładzie zaczęli się wycofywać do lasu" [8].

Pod koniec dnia 25 czerwca z całej 6. Dywizji Kawalerii Pozostał oddział w sile 300 ludzi, który — pod dowództwem autora wspomnień i starszego lejtnanta J. Gawrońskiego z sąsiedniego 48. PKaw. (oceńcie wojskową rangę dowódcy, który przejął kierownictwo nad niedobitkami pułku!) — rozpoczyna nieprzerwany odwrót, praktycznie nie mając żadnej styczności z przeciwnikiem.
Oto i cały *„krótki kurs historii"* klęski 6. Dywizji Kawalerii.
Silnym i dzielnym mężczyznom przystoi być tolerancyjnymi wobec słabości innych ludzi. W. A. Grieczaniczenko to człowiek nieprzeciętnej odwagi. Właśnie jemu dowódca 3. Armii W. I. Kuzniecow polecił 2 lipca 1941 roku stanąć na czele oddziału osłony grupy przełamania wojsk Frontu Zachodniego. Ale Władimir Aleksiejewicz nie zdołał wyjść z okrążenia — został partyzantem i wyzwolenie Białorusi powitał na stanowisku komisarza 1. Białoruskiej Kawaleryjskiej Brygady Partyzanckiej.
Autor tej książki do tytułu odważnego mężczyzny nie pretenduje. Ale jako specjalisty obeznanego z historią drugiej wojny światowej w jej liczbowym wymiarze nie może go nie dziwić rozmiar strat poniesionych przez 6. Dywizję Kawalerii. Praktycznie po paru godzinach ostrzału artyleryjskiego dywizja straciła ponad 90% swojego stanu etatowego! Czyż straty bojowe mogły być aż tak wielkie?
Wkrótce po zakończeniu wojny, w 1946 roku, Wojenizdat wydał książkę generała pułkownika F. A. Samsonowa **Artilerijskoje nastuplenije** (**„Natarcie artyleryjskie"**). Uogólniając doświadczenia działań bojowych, autor dochodzi do średnich *„norm"*: 150–200 dział na 1 kilometr frontu natarcia i 50 tysięcy pocisków kaliber *„powyżej średniego"* (122 mm) w celu zdławienia obrony dywizji piechoty. To wartości średnie. Faktycznie w końcowym etapie wojny tworzono znacznie większe gęstości.
Jednym z najjaskrawszych przykładów roli artylerii w przełamaniu obrony nieprzyjacielskiej jest wiślańsko–odrzańska operacja Armii Czerwonej (styczeń 1945 roku). Rankiem 12 stycznia przedni skraj obrony wojsk niemieckich został zmieciony przez zmasowany ogień artyleryjski. Generał D. D. Leluszenko w swoich wspomnieniach pisze: „(...)*las był dosłownie jak kosą ścięty przez odłamki pocisków* (...) *wielu jeńców zostało wziętych w transzejach w stanie niepoczytalności, wręcz półobłąkania* (...) *większość żołnierzy 574. Pułku Wehrmachtu zostało zabitych lub rannych"* [22].
Ale do osiągnięcia takiego efektu dowództwo radzieckie stworzyło w pasie przełamania monstrualną wręcz gęstość artyleryjską — 420 dział na kilometr frontu! Na każdym metrze obronywojsk niemieckich rozrywało się (przeciętnie) po 15 pocisków dużego kalibru. W pasie natarcia 5. Armii Uderzeniowej w ciągu jednej godziny zużyto 23 kilotony amunicji — to już potęga *„hiroszimskiej"* bomby atomowej

[107, s. 96].
W pasie natarcia XX i VIII Korpusu Wehrmachtu w czerwcu 1941 roku niczego podobnego nie było i być nie mogło. Według etatów czasu wojny niemiecka dywizja piechoty mogła posiadać maksimum łącznie 74 armaty i haubice kaliber 75–105 mm. Przeciętnie na jedną dywizję XX i VIII Korpusu przypadał pas frontu do 15 kilometrów. Innymi słowy, przeprawiwszy po pontonowych mostach przez Biebrzę i Niemen swe konne tabory z amunicją, Niemcy — nawet po uwzględnieniu ściągnięcia artylerii korpuśnej i rozsądnego zmasowania środków na głównych kierunkach — mogli dysponować maksimum dwudziestoma działami na kilometr frontu natarcia z jedną jednostką ognia na działo. Gdyby takimi środkami ogniowymi można było niszczyć jedną dywizję dziennie, to druga wojna światowa nie trwałaby sześć lat. Zakończyłaby się w miesiąc — z powodu całkowitego wyniszczenia stron…

MELDUNEK ODDZIAŁU POLITYCZNEGO

Sprzeczne i równie niezrozumiałe informacje dotyczą także bardzo krótkiego szlaku bojowego 11. Korpusu Zmechanizowanego. Niemniej już to, co autorowi wiadomo, pozwala na wysunięcie przypuszczenia, że właśnie 11. KZmech. — to*„słabe ogniwo"* w składzie GKZ Bołdina — dał Niemcom najwięcej powodów do niepokoju.

Wszelkie wzmianki o tym korpusie w tradycyjnej historiografii radzieckiej idą w parze z żałosnymi zawodzeniami:
„Ukompletowany w 23% czołgami przestarzałych typów (...) *ukompletowanie transportem samochodowym i ciągnikami wynosiło 15–20% norm etatowych* (...) *ukompletowanie oficerami–czołgistami wynosiło 45–55% stanu etatowego"*.
I tak dalej.
Wszystko to szczera prawda. Na ogół. Lecz przejdźmy do konkretów. Przede wszystkim zastąpmy wszystkie te teoretyczne *„procenty"* konkretnymi liczbami.
Głównym uzbrojeniem korpusu zmechanizowanego są czołgi. W literaturze historycznej spotyka się najróżniejsze liczby: od 237 sztuk [**WIŻ**, 1989, nr 4] do 414 [**„1941 rok— lekcje i wnioski"**].Autor proponuje przyjąć za podstawę liczbę 331 — właśnie tyle czołgów wskazano w dokumencie opracowanym przez bezpośrednich uczestników wydarzeń. Mowa o opublikowanym [**WIŻ**, 1989, nr 9] ***Meldunku politycznym Oddziału Politycznego 11. Korpusu Zmechanizowanego dla Rady Wojennej Frontu Zachodniego z 15 lipca 1941 roku***.
Zwróć, szanowny Czytelniku, szczególną uwagę na datę dokumentu. 15 lipca 1941 roku Pawłow i jego *„poplecznicy"* zostali już aresztowani, lecz proces sądowy się jeszcze nie odbył. Dowódcy, którzy pozostali na wolności, a mieli bezpośredni związek z katastrofalną klęską wojsk Armii Czerwonej, z dnia na dzień oczekują *„zaproszenia"* do piwnicy na rozstrzelanie. Dziś wiemy o tym, że klęskę zrzucono na *„niespodziewaną napaść"* i *„przestarzałe czołgi"*. Ale ludzie pamiętający rok 1937 mogli i powinni byli spodziewać się najgorszego, i nie mogło to nie odbić się na tonie, w jakim sporządzono ów *„meldunek polityczny"*, w którym nie ma ani odrobiny „polityki" . Jest tu natomiast długi wykaz *„zasługujących na uwzględnienie przyczyn"*. Nie nam osądzać komisarzy z 1941 roku, ale historyk po prostu musi wziąć pod uwagą te okoliczności.

Czołgi w 11. KZmech. były rzeczywiście przestarzałe: 242 czołgi T–26, 18 czołgów–miotaczy ognia (nie napisano, na jakim, ale — być może — na jeszcze bardziej leciwym podwoziu), 44 czołgi BT starej

modyfikacji (BT–5). Nowych czołgów — tyle co nic: 24 średnie T–34i 3 ciężkie KW. Ponadto „(…)*około 10–15% czołgów nie wyruszyło w drogę, ponieważ znajdowały się w remoncie*".

Łącznie: około 280 czołgów w gotowości bojowej, w tym prawie wszystkie — lekkie i przestarzałe.

Czy uzbrojony w takie graty związek pancerny może walczyć?

Generał Bołdin w swoich pamiętnikach odpowiada na to pytanie jak zawsze jasno, krótko i obrazowo: *„I czego wymagać można od T–26? Do wróbli z nich strzelać"* [80].

Czyż mamy prawo nie wierzyć generałowi, bohaterowi wojny? Nie, nie mamy. Oglądaliśmy T–26 tylko na zdjęciu w czasopiśmie, a Bołdin widział go na polu bitwy. Wobec tego nie będziemy (tymczasem) mędrkować, lepiej weźmiemy się do lektury jego (Bołdina) wspomnień: *„Przed wieczorem 27 czerwca wyszliśmy na skraj lasu. Widzimy niedaleko trzy czołgi BT–7* (…)*Zobaczywszy nas, czołgiści się podnieśli. Najstarszy zameldował, że w każdym wozie amunicji jest po jednej jednostce, ale nie mają paliwa"*.

I oto właśnie ten moment: *„Polna droga zasnuła się kurzem, a na niej pojawiła się wroga kolumna złożona z 28 czołgów. Każda minuta droga. Rozkazałem czołgistom otworzyć ogień. Nasze uderzenie okazało się dla hitlerowców o tyle niespodziewane, że zanim przyszli oni do siebie i otworzyli w odpowiedzi ogień, zniszczyliśmy dwanaście* (!!!— M.S.) *wrogich maszyn"*.

Czujny czytelnik, mam nadzieję, już zwrócił uwagę na podstęp: BT–7 to zupełnie nie to samo co T–26.

Tak, czołgi niejednakowe, lecz armata — ta sama. I czołg T–26, i czołgi BT–5 i BT–7 oraz samochody pancerne BA–10 i BA–20 uzbrojone były w armatę kaliber 45 mm (w wariancie czołgowym nazywała się ona *„20K wzór 1932/38 roku"*). Co więcej, gdy w 1933 roku w Charkowskim Zakładzie nr 183 im. Kominternu (tak właśnie nazywał się najpotężniejszy zakład produkcji czołgów na świecie!) opracowano dla działa typu 20K zgrabną konstrukcję wieży cylindrycznej, tę samą wieżę zaczęto stosować w najbardziej masowej modyfikacji czołgów T–26 w Leningradzkim Zakładzie nr 174.

Można więc wierzyć Bołdinowi, który opowiada o zniszczeniu 12 czołgów niemieckich w parę minut ogniem z *„przeciwwróblowych"* dział typu 20K? Oczywiście, można.

Po pierwsze dlatego, że widział to na własne oczy.

Po drugie — zupełnie odpowiada to taktyczno–technicznym charakterystykom naszych dział.

Od*„skraju lasu"* do *„bocznej drogi"* w leśnych rejonach zachodniej Białorusi nie było chyba więcej niż 500 metrów. Na takim dystansie standardowy pocisk przeciwpancerny p–240, wystrzelony z armaty 20K, z 80% prawdopodobieństwem przebijał pancerz o grubości do 38 mm

[93]. W czerwcu 1941 roku żaden czołg niemiecki (łącznie z tak zwanym *„czołgiem ciężkim"* Pz. IV ostatniej serii F) nie posiadał pancerza burtowego o warstwie grubości 30 mm, tak więc skrzydłowy ogień radzieckich *„czterdziestekpiątek"* był zgubny dla każdego niemieckiego czołgu. Dużą zaś część czołgów Wehrmachtu— w sumie 65% składu czterech grup pancernych — stanowiły czołgi Pz. I, Pz. II, Pz. 38 (t) i Pz. III pierwszych serii, które posiadały pancerz czołowy nie grubszy niż 30 mm, a burtowy — 15–20 mm. Do takich czołgów nasza 20K strzelać mogła i w czoło, i w burtę — *„i w ogon, i w grzywę"* — prawie jak do wróbli...

Nie mogę pojąć, dlaczego radzieccy *„historycy"* tyle lat ignorowali tę najprostszą, oczywistą zasadę? Oczywiście — 11. KZmech. był słaby i *„niedokończony"* — w porównaniu, na przykład, z 6. KZmech., w którym znajdowały się 352 najnowsze KW i T–34, setki BT ostatniej modyfikacji i sześć tysięcy samochodów. Lecz walczyć miał nie ze swoimi sąsiadami z okręgu, ale z Niemcami! Właśnie z nimi — z ich wyposażeniem, uzbrojeniem i możliwościami — należy porównywać siłę bojową 11. Korpusu Zmechanizowanego.

W składzie wojsk pięciu zachodnich wojennych okręgów znajdowało się 20 korpusów zmechanizowanych. Jeżeli wyeliminować z tego 17. i 20. KZmech., w których (odpowiednio) znajdowały się zaledwie 63 i 94 czołgi (w Armii Czerwonej o 94 czołgach mówi się: *„zaledwie 94"*), to pozostaje jeszcze 18 korpusów zmechanizowanych.

W składzie sił inwazyjnych Wehrmachtu było 17 dywizji pancernych. To z nimi właśnie można i trzeba porównywać nasze korpusy zmechanizowane, między innymi — 11. KZmech.

Zaznaczaliśmy już, że niemieckie dywizje i korpusy pancerne nie miały ściśle określonego składu. Wobec tego do porównania weźmiemy najsilniejszą dywizję pancerną Wehrmachtu, jaka tylko znajdowała się na całym Froncie Wschodem.Była to 7. Dywizja Pancerna pod dowództwem generała majora von Funcka. Takie zestawienie będzie tym bardziej odpowiednie, że 7. DPanc, wchodziła w skład tej samej 3 Grupy Pancernej Wehrmachtu, na której skrzydło i tyły miała wykonać uderzenie GKZ Bołdina.

Podstawowe uzbrojenie dywizji pancernej to czołgi. W 7. DPan DPanc. Wehrmachtubyło ich 265 sztuk[28].

A w naszym*„niedokompletowanym"* 11. KZmech. — 331 czołgów. Nie wiadomo dlaczego przyjęło się uważać (wśród radzieckichpropagandzistów), że u Niemców nigdy nic się nie psuło i liczba czołgów w gotowości bojowej zawsze równała się ich ogólnej liczbie. Nawet jeżeli przyjąć to absurdalne przypuszczenie, także wtedy 11. KZmech. górował nad największą dywizją pancerną Wehrmachtu liczbą czołgów znajdujących się w gotowości bojowej.

Teraz od ilości przejdziemy do jakości. W uzbrojeniu 7. DPanc.

Wehrmachtu znajdowały się:
— 53 czołgi Pz. II;
— 167 czeskich czołgów Pz. 38(t);
— 30 czołgów Pz. IV;
— 15 czołgów *„dowódczych"* uzbrojonych w karabiny maszynowe, w tym 7 na bazie Pz. 38(t) [10].
Dokładna analiza porównawcza charakterystyk taktyczno–technicznych radzieckich i niemieckich czołgów z początku wojny przeprowadzona zostanie w Części 3. (gdy będzie mowa o starciu pancernym na zachodniej Ukrainie). Tymczasem zaś ograniczymy się jedynie do wskazania, że tak zwany ciężki czołg niemiecki Pz. IV tak naprawdę *„nie nadawał się do jakiegokolwiek porównania"* z naszym T–34, a już tym bardziej — z takim monstrum jak KW.
Co zaś się tyczy Pz. II i Pz. 38(t) — były to takie same graty jak i nasze przestarzałe T–26. Słaby silnik benzynowy, wąskie gąsienice, żółwia prędkość (maksymalna prędkość w terenie Pz. 38(t) — tylko 15 kilometrów na godzinę, a T–26 nieco więcej — 18 kilometrów na godzinę), cienki, chroniący przed kulami karabinowymi pancerz. Różnica tylko w tym, że w odróżnieniu od spawanychczołgów radzieckich arkusze pancerne wieży czeskiego Pz. 38(t) zmontowane zostały na nitach, których główki przy trafianiu wrogiego pocisku odrywały się i śmiertelnie raniły załogę. Właśnie tych czołgów najwięcej zniszczono w czasie marszu na wschód — dopocżątku 1942 roku nie *„dociągnął"* żaden z 820 czeskich czołgów, które w czerwcu 1941 roku przekroczyły granice ZSRR.
Można odnieść wrażenie, że 11. KZmech. i 7. Dywizja Pancerna Wehrmachtu miały w przybliżeniu równe możliwości bojowe (jeśli nie brać pod uwagę obecności w 11. KZmech. trzydziestu najnowszych czołgów). Ale to pospieszny i w istocie błędny wniosek.
11. Korpus Zmechanizowany był znacznie silniejszy.
„Czołg to furmanka dla armaty". W tym aforyzmie, którego autorstwo przypisuje się wybitnemu radzieckiemu konstruktorowi systemów artyleryjskich Grabinowi, jest, oczywiście, nieco przesady. Lecz niedużo. Wszystkie parametry czołgu są jednak wtórne w stosunku do rzeczy najważniejszej — uzbrojenia. Czołg stworzony jest nie do jazdy i nie do osłony, lecz do niszczenia — środków ogniowych i siły żywej, stanowisk dowodzenia i węzłów łączności na tyłach przeciwnika, rozbijania kolumn zaopatrzenia i składów w głębi operacyjnej jego obrony.
Otóż do realizacji tych podstawowych zadań wojsk pancernych 11. KZmech. uzbrojony był o wiele lepiej aniżeli 7. DPanc. Wehrmachtu. Dla naszej armaty czołgowej typu 20K opracowany został pocisk odłamkowo– burzący o wadze 1,4 kg. To oczywiście bardzo lekki pocisk (pięć razy lżejszy niż standardowej *„trójcalówki"*), ale mimo wszystko na polu bitwy pewne cele mógł razić (gniazdo karabinów maszynowych,

baterię moździerzy, schron drewniano–ziemny). A dział tego typu w składzie 11. Korpusu Zmechanizowanego było: 286 w czołgach BT i T–26 i jeszcze 141 w wyposażonych w armaty samochodach pancernych [78]. W sumie 427 luf.

Na uzbrojeniu czołgów niemieckiej 7. DPanc. — w sumie 167 dział czołgowych firmy *„Skoda"* A–7 (oznaczenie niemieckie: KwK–38). To armata kaliber 37 mm, a ciężar niemieckiego pocisku odłamkowego (610 g) był dwa razy mniejszy niż odpowiedniego pocisku radzieckiego, co powodowało znacznie mniejsze działanie rażące w stosunku do piechoty czy osłon przeciwnika.
Co się zaś tyczy lekkich niemieckich tankietek Pz. II, to pocisk z ich 20–mm armaty w ogóle nie nadawał się do walki z piechotą i artylerią. To kaliber działek lotniczych i najlżejszych przeciwlotniczych. Nawiasem mówiąc, próby radzieckich działek lotniczych wykazały, że odłamkowo–burzące działanie pocisków 20–mm jest tak małe, że nieosłoniętą siłę żywą przeciwnika można razić tylko przy bezpośrednim trafianiu takiego *„pocisku"* w człowieka [84].
Naturalnie poważna *„praca"* nad rażeniem ogniowym przeciwnika powinna być powierzona nie lekkim czołgom, ale wchodzącej w skład oddziałów pancernych artylerii. I to tutaj przede wszystkim objawia się różnica między radzieckim korpusem (niechby nawet w pełni wyposażonym) a niemiecką dywizją.
Na uzbrojeniu pułków artyleryjskich (liczba mnoga) 11. KZmech., nie licząc artylerii przeciwlotniczej i przeciwpancernej, znajdowało się:
— 16 haubic kaliber 152 mm;
— 36 haubic kaliber 122 mm;
— 21 armat kaliber 76 mm [78].
A na uzbrojeniu jedynego pułku artylerii niemieckiej 7. Dywizji Pancernej, w pełni skompletowanej według etatu z jesieni 1940 roku, mogło się znajdować jedynie:
— 8 haubic kaliber 150 mm;
— 24 haubice kaliber 105 mm;
— 4 armaty kaliber 105 mm.
Ogólna konkluzja jest oczywista: niedozbrojony 11. KZmech. Potęgą ogniową znacznie górował nad największą dywizją Pancerną Niemców. W końcu w składzie każdego radzieckiego korpusu zmechanizowanego znajdowało się więcej ludzi aniżeli w jakiejkolwiek niemieckiej dywizji pancernej. I nic dziwnego: w korpusie były trzy dywizje i mnóstwo samodzielnych oddziałów korpuśnych. Konkretnie, w 11. KZmech. — według stanu na 1 czerwca 1941 roku — służbę pełniło 21 605 żołnierzy i oficerów, a maksymalna liczebność etatowa niemieckiej dywizji pancernej była o półtora raza mniejsza. Do 22 czerwca ludzi mogło być więcej, ponieważ w kraju pełną parą szła tajna mobilizacja

rezerwistów (ogółem na *„wielkie ćwiczenia szkolne”* do wybuchu wojny zdołano powołać 768 tys. ludzi).
Jedyne, w czym 11. KZmech. ustępował 7. DPanc, przeciwnika — to liczba samochodów, co się przekładało na zdolność piechoty zmotoryzowanej, artylerii i służb tyłowych do poruszania się w ślad za nacierającym *„klinem pancernym”*. 15% etatowej liczebności — to *„tylko”* 775 samochodów. O dwa razy mniej aniżeli w posiadającej pełne stany etatowe dywizji pancernej Wehrmachtu. I gdyby 11. Korpus Zmechanizowany rzeczywiście przeszedł do natarcia z rejonu Grodna na Merecz–Olitę (70–90 km), zgodnie z rozkazem Pawłowa, to nie mająca transportu *„piechota zmotoryzowana”* z pewnością pozostałaby w tyle…
W rzeczywistości nie było nawet intencji prowadzenia *„taktycznego przełamania i przekształcenia go w przełamanie operacyjne”*, a więc nie było potrzeby ścigać Niemców — oni sami podeszli pod Grodno. Tak więc swój pierwszy i ostatni bój 11. KZmech. przyjął praktycznie w rejonie swej przedwojennej dyslokacji.
W takiej sytuacji brak samochodów nie mógł być aż tak fatalny w skutkach. Co więcej, ze wspomnianego *„meldunku politycznego”* dowiadujemy się, że o świcie 22 czerwca dowództwo korpusu podjęło absolutnie słuszną decyzję:
„Po alarmie bojowym wszystkie oddziały wyprowadziły cały skład osobowy posiadający uzbrojenie i mogący walczyć, co stanowiło 50–60 proc. całego stanu, a pozostały skład pozostawiono w rejonie dyslokacji oddziałów (…)*Wobec braków wyposażenia w transporcie samochodowym 204. DZmech. pierwszy rzut z rejonu Wołkowyska* (82 km szosą do Grodna — M.S.) *przerzuciła na samochodach, a kolejne przerzucała marszem kombinowanym. Po 7 godzinach (29. DPanc, po 3 godzinach i 33. DPanc. — po 4 godzinach) od ogłoszenia alarmu bojowego oddziały korpusu zajęły rejon koncentracji”*.
W dalszym ciągu zobaczymy, że właśnie tak — na zasadzie *„lepiej mało, ale dobrze”* — działali Rokossowski (9. KZmech.), Fieklenko (19. KZmech.), Leluszenko (21. KZmech.), którzy zredukowali swe niepełne korpusy faktycznie do jednej pełnowartościowej dywizji pancernej.
Okazuje się więc, że radzieccy historycy mieli całkowitą rację. Żadnego *„korpusu zmechanizowanego”* w rejonie Grodna nie było. Do godziny 10 rano 22 czerwca 1941 roku na południe od Grodna pod nazwą *„11. Korpus Zmechanizowany”* skoncentrowała się dywizja czołgów lekkich, niemal we wszystkich parametrach przewyższająca najsilniejszą pancerną dywizję Wehrmachtu.
Najsilniejsza 7. Dywizja Pancerna Wehrmachtu zadała nam wiele klęsk. Bardzo szczegółowo, prawdziwie *„po niemiecku”* napisane pamiętniki dowódcy 3. Grupy Pancernej H. Hotha [13] pozwalają szczegółowo prześledzić bojowy szlak 7. DPanc, w pierwszych dniach i tygodniach

wojny.
Do południa 22 czerwca opanowała ona mosty przez Niemen pod Olitą (45 km od granicy); wczesnym rankiem 23 czerwca w *„nadzwyczaj ciężkim boju pancernym"* rozbiła podchodzącą do Olity radziecką 5. Dywizję Pancerną (z 3. Korpusu Zmechanizowanego); w południe 23 czerwca *„pułk pancerny 7. DPanc, wyszedł na drogę Lida–Wilno*(75 km na wschód od Olity — M.S.)*, maszyny kołowe dywizji pozostały daleko z tyłu"* (ale co godne uwagi — autor wspomnień wcale nie wyciąga z tego wniosku o tym, że dywizja utraciła całkowicie zdolność do walki i przydatna była tylko do polowania na wróble); wczesnym rankiem 24 czerwca *„7. DPanc, po krótkim boju opanowała miasto Wilno* (...)*pułk pancerny dywizji kontynuował marsz na Michaliszki* (Michaliszki — to już Białoruś, 180 kilometrów na wschód od granicy)*; dalej DPanc., która szła na czele XXXIX Korpusu Zmotoryzowanego* (...)*prawie bez walki wyszła 26 czerwca na szosę Mińsk–Moskwa w rejonie Smolewicz"* (to już 30 kilometrów na wschód od Mińska). W ten sposób w ciągu pięciu dni dywizja przeszła 350 kilometrów po leśnych drogach Litwy i Białorusi. Następnie 7. DPanc., po porażce poniesionej przy próbie forsowania Berezyny pod Borysowem, odeszła na północny wschód, przez Lepel na Witebsk. 5 lipca w rejonie Bieszenkowicz (175 kilometrów na wschód od Mińska) *„natknęła się"* na nacierający na Lepel w pełni kompletny 7. KZmech. z Moskiewskiego Okręgu Wojskowego (ten sam, w którego składzie walczył i dostał się do niewoli syn Stalina). Po rozbiciu i odrzuceniu na wschód radzieckich korpusów zmechanizowanych[29] 7. i 20. DPanc, sforsowały Dźwinę pomiędzy Bieszenkowiczami i Ułą, do 10lipca całkowicie

[28] — Ponadto w składzie 7. DPanc, znajdowało się 6 dział samobieżnych SIG33 na bazie czołgu Pz. I oraz 18 samochodów pancernych Panhard 178 (P204 (f)).

[29] — W przeciwuderzenia pod Leplem brał udział także 5. KZmech.

opanowały Witebsk, po czym ich drogi znów się rozeszły: 20. DPanc, odeszła na północny wschód, na Wieliż, a 7. DPanc, przez Diemidow po raz drugi wyszła na autostradę nr 1, tym razem w rejonie Jarcewa (50 kilometrów na wschód od Smoleńska), pokonując w ten sposób dwie trzecie odległości od granicy do Moskwy.

Trzy miesiące później, 6października 1941 roku, to właśnie 7. Pancerna w rejonie Wiaźmy po raz trzeci wyszła na szosę nr 1, zamykając w ten sposób pierścień okrążenia największego w całej wojnie kotła wiaziemskiego. Następnie, w toku krwawej bitwy moskiewskiej, dywizja ta przeszła jeszcze 245 km na wschód, do Jachromy (45 km na północ od obwodnicy otaczającej Moskwę). Dopiero tam, nad kanałem Wołga–Moskwa, została ona (jeżeli wierzyć

sławnemu doniesieniu Radzieckiego Biura Informacyjnego z 13 grudnia 1941 roku) rozbita przez wojska 1. Armii Uderzeniowej. Co prawda, według danych niemieckich, 7. DPanc, walczyła na frontach wschodnim i zachodnim jeszcze do 1943 roku.

Wniosek: dywizja lekkich czołgów, jak się okazuje, może walczyć, może nacierać, może prowadzić skuteczny bój i z piechotą, i z czołgami przeciwnika, może forsować szerokie rzeki i brać szturmem wielkie miasta. Chciałbym raz jeszcze przypomnieć: całą tę drogę 7. DPanc. Wehrmachtu przeszła na czeskich czołgach lekkich i zdobycznych samochodach ciężarowych,które na naszych *„drogach"* ze środków lokomocji piechoty zmotoryzowanej przekształcały się w wozy do pchania.

Już po pierwszych trzech tygodniach wojny 7. DPanc, przejechała 700 kilometrów (licząc po prostej) od granicy do Jarcewa, czyli trochę więcej, niż wynosi odległość z Grodna do Berlina. Czy 11. Korpus Zmechanizowany doszedł do Berlina?

Co najdziwniejsze — historycy komunistyczni zawsze uważali za naturalne, nieuchronne i jedynie możliwe zarazem dwie rzeczy: i to, że niemiecka 7. Dywizja Pancerna już 15 lipca była w Jarcewie, jak i to, że górujący nad nią 11. KZmech. zakończył żywot po trzech dniach walk pod Grodnem.

Szanowny Czytelniku, całkowicie podzielam Twoje zdegustowanie stylem, w jakim napisany jest ten rozdział. Długa przedmowa, długi spis czołgów i dział, rozwlekłe rozważania…

Gdzie zaś obiecany *„szczegółowy opis"* przeciwuderzeń?
Nie ma go. Albo autorowi nie chciało się dobrze poszukać, albo dokumenty się nie zachowały, albo żadnego przeciwuderzenia 11. Korpusu Zmechanizowanego nie było. Z braku innych dokumentów powróćmy do *„meldunku politycznego"*. Cały przebieg działań bojowych 11. KZmech. opisano w nim dosłownie tak: *„Od czasu nalotu samolotów niemieckich na Wołkowysk o 4.00 22.06. nie było łączności ze sztabem 3. Armii i sztabem okręgu, więc oddziały korpusu na własną rękę wyruszyły do rejonu Grodno, Sokółka, Indura, zgodnie z opracowanym planem osłony…* (Wielokropkiem zastąpiliśmy szczegóły nie dotyczące działań bojowych korpusu — M.S.).

W związku z wycofaniem się oddziałów 4. KS cały ciężar działań bojowych — dotyczących osłony wycofania się oddziałów korpusu jak i powstrzymania posuwania się Niemców — spadł na oddziały 11. KZmech; pułk zmotoryzowany 29.DPanc, na rozkaz dowódcy 3. Armii znajdował się w jego odwodzie do walki z desantami powietrznymi w rejonie Grodna, a dywizja walczyła bez piechoty i artylerii, ponosząc szczególnie duże straty od ognia artylerii przeciwpancernej przeciwnika.

W dniach 22 i 23.06. oddziały korpusu prowadziły walkę na froncie Koniuchy, Nowy Dwór, Dąbrowa Białostocka. Pod naciskiem przeciwnika do 24.06. oddziały korpusu wycofały się na rubież Grodno (Folesz)–Kuźnica– Sokółka, utrzymując front na zachód od szosy do Grodna i linii kolejowej Grodno–Białystok (30–70 kilometrów od granicy).

W związku z szybkim wycofaniem się na wschód od Grodna oddziałów, które działały na północ od rzeki Niemen, przeciwnik próbował sforsować rzekę i wyjść na tyły oddziałów korpusu. Wszystkie niemieckie próby sforsowania Niemna zostały udaremnione. W celu powstrzymania posuwania się przeciwnika 26.06. rozkazem armii przerzucono dwa bataliony zmotoryzowane 204. DZmech. przez Łunno na linię rzeki Kotra.

1. batalion strzelców zmotoryzowanych na rozkaz dowódcy korpusu przerzucony został do Łunna w celu utrzymania mostu (30 km na południowy wschód od Grodna — M.S.).

Dotkliwe straty poniesione w walkach od 22 do 26.06. w ludziach i w sprzęcie uczyniły korpus niezdolnym do walki. W dywizjach pancernych pozostawało nie więcej niż po 300–400 ludzi(tj. nie więcej niż 5% pierwotnej liczebności składu osobowego — M.S.), *a w dywizji zmotoryzowanej — po jednym niekompletnym batalionie w pułku, czołgów — do 30 sztuk i do 20 samochodów pancernych. Niewielkie tyły dywizji zostały spalone lub wystrzelane przez lotnictwo przeciwnika, które uganiało się dosłownie za pojedynczymi maszynami.*

Zastępca dowódcy 11. Korpusu ds. politycznych komisarz pułkowy Andriejew".
To wszystko, co komisarz Andriejew zdołał powiedzieć o zagładzie korpusu. Być może on sam nie wszystko wiedział. Tak na przykład, w pamiętnikach H. Hotha pojawia się wzmianka o tym, że 25–28 czerwca niemiecka 19. DPanc, w rejonie Woronowo–Traby (120 kilometrów na północny wschód od Grodna) *„w dalszym ciągu była narażona na ataki przeciwnika przy wsparciu 50–tonowych czołgów* (...) *do 28 czerwca odpierała ataki z kierunku południowego"*. Najprawdopodobniej były to czołgi KW ze składu 29. DPanc., których nieznane , załogi kontynuowały własną wojnę już po klęsce 11. Korpusu Zmechanizowanego...
Przede wszystkim zwróćmy uwagę na to, czego w *„meldunku politycznym"* nie ma.
Po pierwsze: żadnego potwierdzenia niejasnych spostrzeżeń W. Suworowa o tym, jakoby to *„radzieckich czołgistów wystrzelano, zanim dobiegli do swoich czołgów, a czołgi spalono lub zdobyto bez załóg"*. W chwili sławetnej *„niespodziewanej napaści"* dowódcy 11. KZmech., nawet nie mając łączności (!) z nadrzędnymi sztabami, po prostu

wyciągali z sejfów *„czerwone pakiety”* z planami osłony i, jak wynika z dokumentu, praktycznie bez strat wyszli do wyznaczonych imrejonów rozwinięcia.
Po drugie: w tekście nie ma żadnych wyraźnych informacji o przeciwniku — w walce z nim korpus w ciągu 4 dni stracił 9/10 ludzi i sprzętu. Lecz także w tym aspekcie komisarz Andriejew okazał się bardziej uczciwy od późniejszych historyków i pamiętnikarzy, którzy zapełnili swe nadające się na makulaturę książki opisami jakichś *„bojów spotkaniowych z ciężkimi niemieckimi czołgami”*, do których doszło jakoby pod Grodnem.
Po trzecie: dowództwo 11. KZmech. nie wiedziało nic ani o istnieniu GKZ Bołdina, ani o tym, że kilkadziesiąt kilometrów na południe od Grodna powinien działać ogromny i potężny 6. Korpus Zmechanizowany.
Teraz o tym, co w*„meldunku politycznym”* jest.

Źle skrywane pretensje do piechoty 4. KS, która odsłoniła front i tym samym zmusiła 11. Korpus Zmechanizowany do zajmowania się tym, do czego nie był przeznaczony: *„osłoną wycofania”* i *„powstrzymaniem posuwania się Niemców”*, najprawdopodobniej są sprawiedliwe. W protokole z przesłuchania Pawłowa czytamy: *„Po południu 22 czerwca Kuzniecow* (dowódca 3. Armii — M.S.) *z drżeniem w głosie oświadczył, że z 56. Dywizji Strzeleckiej* (jedna z trzech dywizji 4. KS — M.S.)*został tylko numer”* [67].

W meldunku oddziału rozpoznawczego sztabu niemieckiej 9 Armii (23 czerwca, godz. 17.40) w liczbie *„związków rozbitych lub nie przedstawiających żadnej wartości bojowej”* odnotowano już dwie z trzech dywizji 4. KS: 56. i 85. [**WIŻ**, 1989, nr 7].

W końcu 29 czerwca 1941 roku poddał się także sam dowódca 4. Korpusu Strzeleckiego generał major Jegorow (w niewoli aktywnie współpracował z Niemcami, rozstrzelany po wyroku Sądu Najwyższego 15 czerwca 1950 roku, nigdy nie został zrehabilitowany) [20, 124].

To, że 11. Korpus Zmechanizowany poniósł *„szczególnie duże straty od ognia artylerii przeciwpancernej przeciwnika”*, także znajduje potwierdzenie w dokumentach niemieckich. We wspomnianym meldunku oddziału rozpoznawczego sztabu 9. Armii Wehrmachtu czytamy: *„W rejonie Grodna kontratakowały silne grupy pancerne* (29. Dywizja Pancerna i inne oddziały) (...) *22 czerwca zniszczono 180czołgów, z czego sama tylko 8. Dywizja Piechoty w walkach o Grodno zniszczyła 80 czołgów”*.

Ponieważ ani jeden związek 6. Korpusu Zmechanizowanego w walkach 22czerwca nie uczestniczył, wiadomość ta może się odnosić tylko do działań bojowych 11. KZmech. Teoretycznie takie straty są możliwe. 8. Dywizja Piechoty— to kadrowa dywizja

Wehrmachtu„*pierwszej fali*”, walczyła ona od pierwszych dni drugiej wojny światowej, a znajdujące się na jej wyposażeniu 37–mm działa przeciwpancerne mogły przebijać pancerz naszych czołgów lekkich z odległości do półtora kilometra. Teoretycznie.

Inna sprawa, czy zawsze można wierzyć meldunkom o takich stratach przeciwnika.
Jednym z najbardziej wyrazistych starć na Białorusi, które na zawsze weszło do historii, były walki na północnych przedpolach Mińska, gdzie w drodze XXXIX Korpusu Zmotoryzowanego Wehrmachtu stanęły 100. i 64.

dywizje strzeleckie z 13. Armii. Przez trzy doby, w sytuacji ogólnego rozkładu i chaosu, powstrzymywały one natarcie wroga. Za męstwo i bohaterstwo wykazane w tych walkach dywizje te jako pierwsze w Armii Czerwonej uzyskały tytuł gwardyjskich (przekształcono je w 1. i 7. dywizję gwardii). Otóż w meldunku o działaniach bojowych dywizji, który 30 czerwca podpisał dowódca 100. DS generał major Russijanow, stwierdzono, że dywizja zniszczyła 101 (sic!) czołgów ze składu niemieckiej 7. Dywizji Pancernej.
Tej samej, która zdaniem Hotha *„prawie bez walki wyszła 26 czerwca ku szosie Mińsk–Moskwa w rejonie Smolewicz”*. Najprawdopodobniej Russijanow pozwolił sobie na nieścisłość; w rzeczywistości i jego dywizja, i sąsiednie 161. i 64. prowadziły walkę z 20. DPanc. Wehrmachtu (o której Hoth pisze, że *„zmuszona była w ciężkich walkach przebijać się przez linię umocnień”*).
Dla informacji: przed rozpoczęciem wojny w 20. DPanc, znajdowało się 229 czołgów, w tej liczbie 121 czeskich Pz. 38(t), 31 niemieckich Pz. II i aż 44 przedpotopowe tankietki Pz. I uzbrojone w karabiny maszynowe, z silnikiem do 60 koni mechanicznych (w ogóle przyznać trzeba, że w grupie pancernej Hotha znalazły się wyjątkowe graty).
Co w swych meldunkach napisali dowódcy 64. i 161. Dywizji, autor, niestety, nie wie, ale we wspomnieniach generała armii S. P. Iwanowa (wówczas — zastępcy szefa sztabu 13. Armii) jest mowa o dziesiątkach niemieckich czołgów, zniszczonych jakoby przez żołnierzy 64. Dywizji [45]. Niemniej ani 20., ani 7. DPanc. Wehrmachtu po czerwcowych walkach pod Mińskiem nie przestały istnieć, i mówić o ich klęsce było jeszcze o wiele za wcześnie. Oto dlaczego autor uważa, że także do meldunków dowódców niemieckich dywizji piechoty o tym, jak to w ciągu jednego dnia zniszczyły one po 180 radzieckich czołgów, trzeba podchodzić sceptycznie. Czołgi 11. Korpusu Zmechanizowanego zostały, oczywiście, utracone, ale niemieccy artylerzyści nie mieli prawa przypisać tego sobie.
Kończąc ten bardzo mglisty opis działań bojowych 11. Korpusu

Zmechanizowanego, odnotujmy tylko dwa niezaprzeczalne fakty:
— przeciwnik zauważył uderzenie 11. KZmech.;
— próba przejścia do natarcia zakończyła się całkowitą klęską korpusu, utratą całego sprzętu i większej części żołnierzy.
14 lipca 1941 roku na południe od Bobrujska z okrążenia wyszła tylko grupa kilkuset ludzi z dowódcą 11. KZmech. generałem majorem Mostowienką na czele.

MELDUNEK S. W. BORZIŁOWA

Na szczęście dla historyków, nieco lepiej naświetlony został bojowy szlak 6. Korpusu Zmechanizowanego. We wnętrzu *„archiwalnego gułagu"* zachował się meldunek dowódcy 7. Dywizji Pancernej (6. KZmech.) generała majora S. W. Borziłowa do Głównego Zarządu Wojsk Pancerno– Samochodowych Armii Czerwonej z 4 sierpnia 1941 roku [WIZ, 1988, nr 11].

O autorze tego dokumentu musimy powiedzieć chociażby kilka słów. Siemion Wasiljewicz Borziłow do rozpoczęcia wojny niemiecko–radzieckiej mógł słusznie uchodzić za jednego z najbardziej doświadczonych i sławnych dowódców wojsk pancernych Armii Czerwonej. Podczas wojny fińskiej kombryg Borziłow dowodził 20. Brygadą Czołgów Ciężkich — tą samą, która przełamała linię Mannerheima w rejonie *„wzgórza 65,5"* (patrz Część 1.). Dowództwo Czerwonej Armii wysoko oceniło rolę brygady i jej dowódcy. Tytuły Bohatera Związku Radzieckiego przyznano 21 czołgistom, w tym także Borziłowowi.

Niezaprzeczalną zasługą dowódcy są także bardzo małe straty w ludziach poniesione przez jego jednostkę. W ciągu trzech miesięcy walk w bardzo ciężkich warunkach topograficznych i pogodowych jego brygada miała 169 ludzi zabitych i 338 rannych [8]. W sumie nie najgorzej — w porównaniu z tym, że ogólne straty Armii Czerwonej w tej haniebnej stalinowskiej awanturze przekroczyły 330 tysięcy ludzi [35].

Meldunek Borziłowa, pomimo małej objętości, zawiera tyle wartościowych informacji, że warto przytoczyć go bardziej szczegółowo:
„Na dzień 22 czerwca 1941 roku dywizja skompletowana była w składzie osobowym: szeregowców 98 proc., podoficerów 60 proc. i dowódców 80 proc. W sprzęcie: czołgi ciężkie — 51, czołgi średnie — 150, BT–5/7— 125, T–26 — 42 sztuki (w jednej tylko dywizji Borziłowa było więc dwieście najnowszych czołgów T–34 i KW z opancerzeniem przeciwodłamkowym — M.S.). (...)*Oddziały dywizji znajdowały się w rejonie dyslokacji w rejonie m. Choroszcz–Nowosiółki–Żółtki i przygotowywały się do ćwiczeń (planowanych na — M.S.) 23 czerwca 1941 roku, które miały być prowadzone przez sztab armii.*

(J eszcze jedno świadectwo, że w końcu czerwca 1941 roku w Zachodnim Specjalnym Okręgu Wojskowym, oficjalnie już przekształconym przez postanowienie Biura Politycznego KC z 21

czerwca 1941 roku we Front Zachodni, przygotowywano się do wielkiej *„gry"*. Z innych dokumentów wiadomo, że na krótko przed rozpoczęciem tej *„gry"* do czołgów korpusów zmechanizowanych okręgu załadowane zostały pociski, wzmocniono ochronę parków sprzętu i składów. Wydano rozkaz: *„wszystko robić bez sensacji, nikomu o tym nie mówić, szkolenie kontynuować według planu"* — M.S.).

(...) *22 czerwca o godzinie 2.00 otrzymano przez łącznika hasło o alarmie bojowym z otwarciem „czerwonego pakietu"*.
(Jeszcze jedno potwierdzenie, że alarm bojowy dla Frontu Zachodniego ogłoszony został p r z e d *„nagłą napaścią"*. O otrzymaniu w tym samym czasie — o godzinie 2.00 w nocy 22 czerwca — polecenia do otwarcia *„czerwonego pakietu"* z planem operacyjnym jest mowa również we wspomnieniach dowódcy 86. DS 10. Armii Frontu Zachodniego pułkownika Zaszybałowa — M.S.).
(...)*po 10 minutach w oddziałach dywizji ogłoszony został alarm bojowy i do godziny 4.30 oddziały dywizji skoncentrowały się w miejscu zbiórki po alarmie bojowym* (...)*O godzinie 22.00 22 czerwca dywizja otrzymała rozkaz o przejściu w nowy rejon koncentracji — st. Wołpa i następujące zadanie: zniszczyć dywizję pancerną, która przedarła się w rejon Białegostoku* (...) *Dywizja, wykonując rozkaz, napotkała na wszystkich drogach zatory wytworzone z powodu chaotycznego odwrotu tyłów armii z Białegostoku* (...) *Dywizja w czasie marszu i w rejonie ześrodkowania w godzinach od 4.00 do 9.00 i od 11.00 do 14.00 23 czerwca bez przerwy była atakowana przez lotnictwo przeciwnika. W czasie marszu i przebywania w rejonie ześrodkowania do godziny 14.00 dywizja poniosła straty: zniszczonych czołgów — 63, rozbite wszystkie tyły pułków.* (Podobne straty poniosła również 4. Dywizja Pancerna 6. KZmech. W jednym z niewielu ocalałych meldunków JeJ dowódcy generała majora A. G. Potaturczewa stwierdza się, że do 18.00 24 czerwca dywizja skoncentrowała się w rejonie Lebieżany, Nowa Mysz, mając straty do 20–26%, głównie w czołgach lekkich; ciężkie czołgi KW, jak wskazuje się w meldunku, wytrzymywały nawet bezpośrednie trafienia bomb lotniczych— M.S.) [8]*"*.

(...) *dywizji pancernej przeciwnika w rejonie Bielska nie było, przez co dywizja nie została wykorzystana"*.
W przekładzie z rosyjskiego na rosyjski to oznacza, że cały pierwszy dzień wojny dywizja zwyczajnie stała bezczynnie. Na drugi dzień została ona skierowana przez dowódcę 10. Armii Gołubiewa, z powodu panicznych meldunków jego podwładnych, na południe od Bielska, czyli w odwrotnym do Grodna kierunku. Żadnych pancernych oddziałów przeciwnika w pasie 10. Armii po prostu nie było, dlatego też Borziłow nie mógł ich odnaleźć. Nie przeszkodziło to jednak

Bołdinowi wspomnieć w jego powojennych pamiętnikach o *„dużej liczbie czołgów"*, które zaatakowały południowe skrzydło 10. Armii. *„24–25 czerwca dywizja, wykonując rozkaz dowódcy korpusu i marszałka towarzysza Kulika, wykonywała uderzenie z rubieży Stare Dubno–Kuźnica na Grodno* (oto, w końcu, pierwsza wzmianka o udziale 7. DPanc, w zaplanowanym przeciwuderzeniu pod Grodnem— M.S.), *gdzie zniszczono do dwóch batalionów piechoty i do dwóch baterii artylerii przeciwnika, przy tym oddziały dywizji straciły 18 czołgów, które spłonęły lub ugrzęzły w bagnach…"*
Na tym też kończy się opis przeciwuderzenia 6. Korpusu Zmechanizowanego. Dalej zaczyna się opis pogromu.
„Pod koniec dnia 25 czerwca otrzymano rozkaz dowódcy korpusu do wycofania się za rz. Świsłocz".
Rozkaz ten, prawdopodobnie ostatni w swoim życiu, wydał Chackilewicz, wykonując polecenie dowódcy Frontu Zachodniego Pawłowa, który 25 czerwca o godzinie 16.45 rozkazał: *„Natychmiast przerwijcie walkę i forsownym marszem, idąc dniem i nocą, skoncentrujcie się w Słonimie. O rozpoczęciu marszu rano 26 czerwca i o jego zakończeniu zameldujcie. Meldujcie przez radio o stanie paliwa i amunicji"*. Z kolei Pawłow podjął taką decyzję na podstawie dyrektywy Kwatery Głównej i jej przedstawiciela w sztabie Frontu Zachodniego marszałka Szaposznikowa o wycofaniu wszystkich wojsk frontu na linię rzeki Szczara, czyli o 100–150 km na wschód, prawdę powiedziawszy, dopiero później stanie się jasne, że polecenie o odwrocie tylko*„usankcjonowało"* paniczną ucieczkę.
„Według wstępnych danych 4. DPanc. 6. Korpusu Zmechanizowanego w nocy na 26 czerwca wycofała się za rz. Świsłocz, w rezultacie odsłonięte zostało skrzydło 36. Dywizji Kawalerii (…) *O godzinie 21.00 26 czerwca*

oddziały 36. DKaw. i 29. DZmech. (z 6. Korpusu Zmechanizowanego — M.S.)*rozpoczęły bezładny odwrót. Podjąłem działania w celu odtworzenia położenia, lecz bez powodzenia. Wydałem polecenie osłaniania odchodzących oddziałów 29. DZmech. i 36. DKaw.* (tutaj, jak widzimy, Borziłow powtarza dosłownie meldunek polityczny 11. Korpusu Zmechanizowanego— M.S.) *i w rejonie m. Krynki podjąłem drugą próbę zatrzymania wycofujących się oddziałów, gdzie udało się zatrzymać 128. PSZmot.* (Borziłow ciągle próbuje powstrzymać nie wrogi, ale własny pułk ze składu 6. Korpusu Zmechanizowanego) *i w nocy na 27 czerwca przeprawiłem się za rz. Świsłocz na wschód od m. Krynki, co stało się początkiem ogólnego bezładnego odwrotu"*.
„29 czerwca o godzinie 11.00 z resztkami sprzętu (3 maszyny), *oddziałem piechoty i kawalerii doszedłem do lasów na wschód od Słonima, gdzie prowadziłem walki 29 i 30 czerwca. 30 czerwca o godzinie 22.00 skierowałem się z oddziałem w lasy i dalej przez bagna*

pińskie po trasie Homel–Wiaźma (…)*Cały sprzęt porzucony został na terytorium zajętym przez przeciwnika, od Białegostoku do Słonima. Pozostawiony sprzęt zniszczono. Sprzęt porzucony został z powodu braku MPS* (materiałów pędnych i smarów — dop. tłum.) *oraz środków remontowych"*.
Tak, już… Weźmy głęboki oddech i, na początek, postarajmy się wyprowadzić najprostsze, arytmetyczne wnioski.
Na początku działań bojowych w 7. DPanc, znajdowało się 368 czołgów. Osławiona *„niespodziewana napaść"* nie przyniosła dywizji Borziłowa żadnych strat. Jeszcze przed rozpoczęciem pierwszych nalotów dywizja opuściła miejsce stałej dyslokacji i 22 czerwca nie poniosła żadnych odczuwalnych strat. W toku walk zaczepnych w dniach 24–25 czerwca dywizja utraciła tylko 18 czołgów, a i to nie wszystkie zniszczone zostały przez niemiecką artylerię przeciwpancerną — kilka maszyn, jak pisze dowódca dywizji, po prostu ugrzęzło w bagnach.
Borziłow w swoim meldunku nie precyzuje, jakie właściwie czołgi utracono. Niemniej, znając możliwości artylerii przeciwpancernej niemieckich dywizji piechoty, możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że podstawowa siła uderzeniowa dywizji — najnowsze czołgi T–34 i KW— pozostała I nienaruszona (na 90–mm pancerzu ciężkiego czołgu KW pociski

każdego niemieckiego działa przeciwpancernego mogły pozostawić jedynie mniej lub bardziej widoczne wgniecenia).
Nawet po uwzględnieniu faktu, że 63 czołgi utracono w marszu, nad ranem 26 czerwca— do początku pogromu — > w 7. Dywizji Pancernej powinno było pozostać mniej więcej 287 czołgów. Ani jedna z siedemnastu dywizji pancernych Wehrmachtu nie posiadała 22 czerwca 1941 roku w swoim składzie takiej liczby czołgów (przeciętnie na jedną dywizję wypadały 192 czołgi, a w pięciu dywizjach 1. GrupyPancernej Kleista znajdowało się od 143 do 149 czołgów), ani jedna nie miała czołgów takiej jakości jak T–34 i KW, których w dywizji Borziłowa były setki!
I już po trzech dniach odwrotu, praktycznie bez kontaktu z przeciwnikiem (niemiecka piechota nie mogła, mimo najlepszych chęci, dogonić wycofujących się wojsk zmotoryzowanych), z całej 7. Dywizji Pancernej zostaje *„oddział piechoty z trzema czołgami"*.
Co to jest — fantastyka? Czy też historia panicznej ucieczki zdemoralizowanego tłumu, miażdżącego na swojej drodze także tych, którzy usiłowali go zatrzymać?
Poza tym w referacie Borziłowa wskazano też dwie obiektywne (na pierwszy rzut oka) przyczyny klęski dywizji i utraty całego sprzętu: brak materiałów pędnych i smarów oraz nieprzerwane uderzenia lotnictwa

przeciwnika.
We wspomnieniach Bołdina, jak pamiętamy, wymieniono też przyczyny tego, że jego wojska zostały bez paliwa: niemieckie lotnictwo zniszczyło wszystkie składy i zbombardowało wszystkie transporty kolejowe z paliwem.
O co się tu jeszcze spierać? Nie ma paliwa — nie ma również zdolnego do walki korpusu zmechanizowanego. Ale zamiast śpieszyć się z wnioskami, lepiej zadajmy sobie dwa proste pytania.
Ile składów materiałów pędnych na terytorium Białorusi było do dyspozycji grup pancernych Hotha i Guderiana w czerwcu 1941 roku?
Odpowiedź logiczna: jeżeli niemieckie lotnictwo zbombardowało wszystkie składy, to ani jednego. Ale jest również odpowiedź prawidłowa — Niemcy wzięli ze *„spalonych składów"* Frontu Zachodniego do jednej trzeciej całej zużywanej benzyny! [40]
Ile transportów kolejowych z paliwem w czerwcu 1941 roku podążyło do niemieckich dywizji pancernych? Nawet nie otwierając żadnego źródła,

można dać dokładną odpowiedź: ani jednego. Chodzi o to, że niemieckie wagony po naszych szerokich torach kolejowych nie kursują, a *„przestawiania"* na wąską kolej europejską w czerwcu 1941 roku jeszcze nie rozpoczęto.
Niemniej już w końcu czerwca 2. Grupa Pancerna Wehrmachtu wyszła pod Bobrujsk (500 kilometrów od rejonu wyjściowego), a 3. Grupa Pancerna przeszła 450 kilometrów po trasie Suwałki–Wilno–Mińsk–Borysów. Przy tym ani Hoth, ani Guderian nawet słowem nie mówią w swoich wspomnieniach o jakichś problemach z zabezpieczeniem oddziałów w paliwo! I to biorąc pod uwagę, że niemieckie czołgi miały o półtora–dwa razy mniejszy zasięg niż nasze T–34 i BT.
A dziwić się tu absolutnie nie ma czemu. Czołgi w głębokiej operacji zaczepnej nie tankują w *„składach"*, a już tym bardziej — nie z cystern kolejowych.
„Przedstawię pewną informację. W sumie, aby maszyny bojowe zaopatrzyć na 500 kilometrów marszu, potrzeba do ich zatankowania 1200 t paliwa. Tak więc zabezpieczenie maszyn bojowych na dobę bojowego działania, czyli marszu na 125 kilometrów, wymaga 300 t. (...)*W każdym razie paliwa powinno się zabierać tyle, aby całkowicie zagwarantować realizację dwu–, czterodniowego działania i postawionego zadania* (...)*Oprócz pełnego zatankowania maszyn zalecamy, aby na każdą maszynę zabierać co najmniej pół jednostki napełnienia w kanistrach i beczkach*.
(...)*nie ma co się martwić zabieraniem na wierzch czołgu kanistrów i beczek. Jeżeli przedtem baliśmy się, że kanistry z benzyną przy trafianiu pociskami zapalającymi będą się zapalać, to obecnie paliwo dieslowskie*

się nie pali i niemożliwe jest zapalenie go jakimkolwiek pociskiem zapalającym (...)*Pozwala nam to złożyć część paliwa dieslowskiego na czołgach i mieć w ten sposób możliwość najbardziej wydajnego zaopatrywania w paliwo"* [14].
Nie są to spóźnione rady dyletanta. To cytat z wielokrotnie przywoływanego referatu Pawłowa wygłoszonego na naradzie grudniowej (1940 roku). 1200 ton nie będzie się wydawać aż tak dużą liczbą, jeśli przypomnimy sobie, że zgodnie z etatem korpus zmechanizowany powinien mieć w swym składzie 5165 samochodów różnego przeznaczenia, w tej liczbie — do 139 samochodów–cystern w każdej z dwu pancernych d ywizji.
Pawłow proponował, aby przy wprowadzaniu korpusu zmechanizowanego do wyłomu wziąć pod uwagę ilość paliwa potrzebną na 2– 3 pełne zatankowania czołgów. Wywołało to słuszne protesty. Generał major Kurkin (wówczas — dowódca 5. Dywizji Pancernej, a na początku wojny — dowódca 3. KZmech. Frontu Północno–Zachodniego) pozwolił sobie sprzeciwić się generałowi: *„To nie nasza myśl twórcza, lecz rozkaz komisarza ludowego zdecydował w tej kwestii, że obecnie będziemy mieć 4–5 jednostek napełnienia paliwa na pojazdach kołowych"*.
To znaczy nie w składach, lecz bezpośrednio w kolumnach marszowych! A teraz przełóżmy te same *„tankowania"* na bardziej zrozumiałe dla każdego kilometry.
Najbardziej przestarzały w dywizji Borziłowa czołg T–26 mógł po jednym zatankowaniu przejechać 170 kilometrów. A najpotężniejszy i nowoczesny KW — 180 kilometrów (ciężko dźwigać 50 ton stali). Szybkobieżne BT i średnie T–34 mogły pokonać w przybliżeniu po 300 kilometrów.
Uściślijmy: to zasięg minimalny i odnosi się on do poruszania się czołgów w pofałdowanym terenie. Przy poruszaniu się po drogach zasięg przebiegu czołgów wzrasta o półtora do dwóch razy.
W ten sposób nawet dwa tankowania — to już 350–500 kilometrów drogi. A na pięciu tankowaniach korpus Kurkina, po dobrych europejskich drogach, mógł dojść do Paryża (w sumie to 1600 km od Kowna).
Powróćmy jednak od planów Wielkiego Marszu do tragicznej rzeczywistości. Zgodnie z zamiarem dowództwa, 6. KZmech. powinien był wykonać uderzenie z Białegostoku na Grodno i wyjść do końca dnia 24 czerwca w rejon przepraw przez Niemen w Mereczu i Druskienikach. To 120 kilometrów w linii prostej. Nawet jeśli się uwzględni manewrowanie bojowe, zadanie to można było wykonać, nie tankując ani razu, na paliwie, które było w zbiornikach czołgów.
Faktycznie 7. Dywizja Pancerna, chaotycznie kręcąc się na trasie Białystok–Wołpa–Sokółka–Wołkowysk–Słonim, przebyła nie więcej niż

250 kilometrów. Przede wszystkim — po drogach, a nie przez lasy i bagna. Porzucić przy tym cały sprzęt *„z powodu braku materiałów pędnych"* można

by było tylko przy równoczesnym wystąpieniu dwóch niesprzyjających warunków:
— do godziny 22 wieczorem 22 czerwca(czyli do rozpoczęcia marszu) czołgi wciąż nie zostały zatankowane paliwem *„pod korek"* i wyruszyły w drogę z pustymi do połowy zbiornikami;
— paliwa w okręgu 10. Armii i w korpusie po prostu nie było lub wszystkie jego zapasy w składnicach okręgowych i na tyłach dywizji zniszczyło wszechobecne niemieckie lotnictwo.
Czy takie domysły przystają do rzeczywistości?
Zacznijmy od warunku pierwszego. Zgodnie z *„Planem działań wojsk do osłony mobilizacji, ześrodkowania i rozwijania wojsk okręgu"*, zatwierdzonym przez Pawłowa na początku czerwca 1941 roku, „(...) *zapotrzebowanie na paliwo zabezpiecza się następująco: dwie jednostki napełnienia, pozostające w oddziałach* (jedna w zbiornikach maszyn, druga w opakowaniach)*, trzy jednostki napełnienia do maszyn bojowych i sześć jednostek napełnienia do środków transportowych, przechowywanych w składnicach okręgowych"* [**WIŻ**, 1996, nr 3].
Oczywiście nie wszystkie rozkazy wypełnia się dokładnie i w terminie, zdarzają się także wypadki karygodnego rozgardiaszu, lecz chyba nie mogło się to odnosić do Borziłowa, którego brygada jeszcze w czasie wojny fińskiej była wyróżniana za wzorową organizację służby zaopatrzenia materiałowo– technicznego [8].
Teraz o obecności paliwa w składach okręgowych. Ze wspomnianego już ***„Planu osłony..."*** dowiadujemy się, że w rejonie niedoszłego przeciwuderzenia GKZ Bołdina, w trójkącie Białystok–Grodno–Wołkowysk, znajdowało się dwanaście stacjonarnych składów paliwa. Konkretnie: Nr 920, 922, 923, 924, 1018, 1019, 1040, 1044 w pasie 10. Armii oraz 919, 929, 1020, 1033 w rejonie dyslokacji 11. Korpusu Zmechanizowanego (Grodno–Mosty–Wołkowysk).
Odległości pomiędzy tymi składami nie przekraczały 60–80 kilometrów. Nawet dla rozpadającej się półtoratonówki to nie więcej niż dwie godziny jazdy.
Lecz, być może, składy istniały, ale benzyny w nich nie było?
Jeszcze w tzw. *„latach zastoju"* w **„Wojenno–istoriczeskim żurnale"** informowano czytelników, że: „(...)*do 29 czerwca na terytorium Białorusi, zajętym przez przeciwnika, pozostało ponad 60 składów okręgowych, w tej liczbie* (...)*25 składów paliwa* (...)*Ogólne straty do tego czasu wyniosły: w amunicji — powyżej 2000 wagonów (30% wszystkich zapasów frontu), w paliwie — ponad 50 000 t (50% zapasów)"* [**WIŻ**, 1966, nr 8].

Znany paradoks psychologiczny polega na tym, że szklankę ze 100 mililitrami płynu jedni określają jako do połowy pustą, a drudzy — do połowy pełną. Komunistyczni *„historycy"* zaś (w odróżnieniu od normalnych ludzi) zawsze mówili i pi' sali o utraconych *„50% zapasu paliwa"*, ale nigdy nie zwracali uwagi łatwowiernych czytelników na to, że nawet 29 czerwca do dyspozycji wojsk Frontu Zachodniego wciąż pozostawała połowa przedwojennych zapasów paliwa, rzędu 50 000 ton benzyny i ropy.
To, średnio, dziesięć razy przewyższało zapotrzebowanie na paliwo dla czterech w pełni skompletowanych korpusów zmechanizowanych na 500 kilometrów marszu (patrz wyżej).
Lecz czterech takich korpusów zmechanizowanych (czyli 4000 czołgów) w okręgu nie było nawet 22czerwca. Według różnych źródeł, liczba czołgów, które znajdowały się w składzie wojsk Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego na początku wojny, nie przekraczała 2500 sztuk[30]. Do 29 czerwca 1941 roku liczba *„konsumentów"* paliwa w okręgu katastrofalnie się zmniejszyła. Jakże mogło im nie wystarczyć 50 000 ton paliwa?
Lecz jeśli problemy z paliwem jeszcze można jakoś wyjaśnić wielodniowymi chaotycznymi marszami po drogach, na których roiło się od uchodźców i uciekinierów, to jakże GKZ Bołdina, która nie nawiązała walki z głównymi siłami przeciwnika, mogła pozostać bez amunicji?
Minimalna jednostka ognia czołgu BT to 132 pociski, 147 pocisków w czołgu T–26, 116 pocisków w KW, 77 pocisków w *„trzydziestceczwórce"*. Łączny zapas amunicji do czołgów 6. Korpusu Zmechanizowanego wynosił około 105 tysięcy pocisków.
To minimum, i to tylko w czołgach. A w korpusie znajdowało się jeszcze 229 uzbrojonych w armaty samochodów pancernych i 335 *„luf"* dział, haubic i moździerzy różnego kalibru [781. Gdyby wszystko to w końcu uderzyło w ciągu dwóch dni na dwie dywizje piechoty Wehrmachtu, to wydaje się wątpliwe, aby po tym mogły one gdzieś jeszcze nacierać. W tempie 20–30 kilometrów dziennie.
Poza tym, gdyby nawet sto tysięcy pocisków nie wystarczyło, aby przynajmniej zahamować marsz 30 tysięcy żołnierzy niemieckich, to można je było uzupełnić.
„W składach okręgowych zgromadzono około 6700 wagonów amunicji różnego rodzaju".
To zdanie ze wspomnianego już studium***„Tyły Frontu Zachodniego"*** [**WIŻ**, 1966, nr 8]. Współcześni historycy wojskowości precyzują, że to wcale nie tak wiele, jak mogłoby się wydawać dyletantom — zaledwie 85% normy ustalonej przez sztab generalny [3]. Ustalonej zresztą na pierwsze dwa miesiące działań bojowych. Jak więc mogło zabraknąć amunicji na pięć dni?

I teraz właśnie, przyparci do muru, pseudohistorycy komunistyczni zwykle wyciągają swą ukochaną, uniwersalną czarodziejską różdżkę.

30 — M. Kołomijec i M. Makarow w książce **Preludija k Barbarossie** (Strategia KM, Moskwa, 2001, tab. 16, s. 60—61) podają liczbę 3345 czołgów, wliczając w to czołgi–miotacze ognia i czołgi pływające T–27/–37/–38/–40, z tego w pełni sprawnych (kwalifikowanych do I i II kategorii) — 2380 sztuk.

OGIEŃ Z NIEBA

Lotnictw o. Wszechmocne lotnictwo niemieckie. To ono zniszczyło tysiące radzieckich czołgów, spaliło wszystkie samochody–cysterny, zbombardowało 6700 wagonów z amunicją, zniszczyło 60 okręgowych składów z paliwem i amunicją, *„wystrzelało"* 36. i rozbiło 6. Dywizję Kawalerii, a przy tym mogło jeszcze *„bombardować dosłownie każdy nasz samochód"* (tak mówił w swoim ostatnim słowie na rozprawie sądowej dowódca 4. Armii generał Korobkow), straszliwy huk bombowców przeszkadzał Bołdinowi w wydawaniu poleceń przez telefon i tak dalej, i tak dalej...

Za każdym razem, gdy naszym *„historykom"* wojskowym przychodzi wyjaśniać kolejną klęskę, kolejną stratę ludzi i sprzętu, niewykonanie rozkazów i załamanie się wszystkich planów, pojawia się ono — *„niezłomne i legendarne"* lotnictwo niemieckie.

Ze wszystkich mitów o początku wojny ten jest najbardziej absurdalny i najbardziej zakorzeniony zarazem. Każda Maria Iwanowna z katedry historii najnowszej, nie potrafiąca odróżnić naboju od pocisku i czołgu od transportera, opowiada swoim studentom o tym, że *„lotnictwo niemieckie od pierwszych dni wojny zdobyło panowanie w powietrzu, z tą samą niezrozumiałą pewnością, z jaką mówi wnukom, ze trzeba słuchać mamy i taty"*.

Trudno dyskutować z powszechnie obowiązującym błędem, ale cóż — spróbujmy.
Napoczątku posłuchajmy ludzi znających wojnę i lotnictwo wojskowe nie tylko ze słyszenia.
„25 czerwca wojska radzieckie w składzie 11. i 6. Korpusu Zmechanizowanego wykonały przeciwuderzenie w rejonie Grodna. Z Mohylewa zatelefonowali, aby nasza dywizja całym składem wzięła udział w tej operacji. Wieczorem od przybyłego do nas przedstawiciela sztabu frontu dowiedziałem się: oprócz nas przeciwuderzenie wspierają pułki 12. Dywizji Bombowej i 43. Dywizji Myśliwskiej, jak również 3. Korpus Lotnictwa Bombowego Dalekiego Zasięgu, którym dowodził pułkownik N. S. Skripko (obecnie marszałek lotnictwa). *Na tym odcinku frontu lotnictwo wykonało*

wówczas 780 samolotolotów, zniszczyło około 30 czołgów, 16 dział i do 60 obsadzonych samochodów. Sukces nas pobudził" [49].

Dlaczego właśnie to świadectwo jest godne uwagi? Nawet nie chodzi o to, że — jak się okazuje, nie tylko niemieckie lotnictwo wisiało w powietrzu nad rejonem nie przeprowadzonego przeciwuderzenia Grupy Konno– Zmechanizowanej Bołdina — ale zwróćmy uwagę na ostatnie zdanie.

Zniszczenie 30 czołgów i 60 samochodów w rezultacie 780 samolotolotów autor wspomnień ocenia jako duży, dodający skrzydeł sukces! Nie można zapominać, że te liczby także zostały wzięte *„z powietrza"*, z relacji samych lotników, a nie z dzienników strat bojowych dywizji niemieckich. Stopień wiarygodności tych relacji jest historykom lotnictwa dobrze znany. Realne straty przeciwnika były oczywiście dwukrotnie mniejsze. I to ocenia się jako duży sukces? Kim jest autor? Być może zna on zagadnienia zastosowania lotnictwa bojowego nie gorzej od Marii Iwanowny?

Bohater Związku Radzieckiego, dowódca 13. Dywizji Lotnictwa Bombowego generał major F. P. Połynin jeszcze przed drugą wojną światową był znany w całym lotniczym świecie. Co prawda, zgodnie z przyjętymi wtedy w Związku Radzieckim zasadami ochrony najwyższej tajemnicy, mówiono o nim, nie wymieniając nazwiska, jako o dowódcy *„tego samego"* zgrupowania bombowego, które 23 lutego 1938 roku zbombardowało japońską bazę lotniczą na wyspie Tajwan.

Bezprzykładny rajd na dystansie 800 kilometrów nad opanowanym przez Japończyków terytorium Chin został zorganizowany i przeprowadzony przez Połonina w ten sposób, że japońska obrona przeciwlotnicza nie tylko nie potrafiła podjąć żadnego przeciwdziałania, ale nawet nie wykryła samego przelotu 28 bombowców.

Po wojnie w Chinach, w której Połynin brał udział z przerwami od 1933 roku, został on dowódcą lotnictwa 13. Armii w czasie wojny fińskiej. W trakcie tej wojny radzieckie lotnictwo wojskowe (którego liczebność na tym TWD w lutym 1940 roku przekroczyła 3200 samolotów) wykonało 84 tysiące lotów bojowych. Ta liczba jest porównywalna ze wskaźnikami wykorzystania lotnictwa w największych bitwach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej (w bitwie pod Kurskiem— 118 tysięcy lotów od 5 lipca do 23 sierpnia 1943 roku; w bitwie pod Stalingradem— 114 tysięcy lotów od lipca 1942 roku do lutego 1943 roku) [60].

Wojna, która rozpoczęła się 22 czerwca 1941 roku, była dla Połynina trzecią z kolei i chyba żaden z dowódców niemieckich grup bombowych nie miał wówczas większego niż on doświadczenia bojowego.

Sięgnijmy teraz do wspomnień marszałka lotnictwa (w tamtych dniach — dowódcy 3. Korpusu Lotnictwa Bombowego Dalekiego Zasięgu) N. S. Skripki [50].

Już o godzinie 10 rano 22 czerwca jego korpus otrzymał rozkaz skoncentrowania wszystkich sił do rozbicia zmotoryzowanych kolumn

przeciwnika w rejonie Suwałki–Olita. Pierwszy atak bombowy na oddziały 3. Grupy Pancernej nasi lotnicy wykonali o godzinie 15.40 22 czerwca w rejonie Merecza. W sumie w tym dniu samoloty trzech pułków lotnictwa bombowego (96., 207. i 98.) przeciwko dywizjom pancernym Hotha wykonały sto pięćdziesiąt lotów bojowych.
24 czerwca, jak pisze w swoich wspomnieniach N. S. Skripko, *„3. Korpus Lotniczy miał to samo zadanie bojowe — zwalczać niemieckie czołgi i oddziały zmotoryzowane grupy Hotha, która nacierała bezpośrednio na Mińsk"*. W tym dniu jego lotnicy wykonali 170 samolotolotów. 26 czerwca, gdy niemieckie czołgi wyszły już na północne przedmieścia Mińska, lotnicy 3. Korpusu Lotniczego wykonali 254 loty bojowe, wspierając broniące Mińska dywizje strzeleckie. Tego samego dnia atakując kolumnę wojsk 3. Grupy Pancernej na szosie Mołodeczno–Mińsk w rejonie miasteczka Radoszkowicze, dokonał swego wiekopomnego wyczynu kapitan Nikołaj Francewicz Gastello— dowódca 4. eskadry 207. Pułku Lotniczego, weteran walk w Finlandii i nad Chałchyn–Goł.
Jak widzimy, radzieckie lotnictwo wcale nie było bezczynne. Codziennie na kolumny zmotoryzowane 3. Grupy Pancernej H. Hotha wykonywały uderzenia setki samolotów, lecz pancerna grupa Wehrmachtu przy tym nie ginęła, ale kontynuowała, praktycznie non stop, marsz naprzód. Co więcej, w pamiętnikach Hotha nie ma prawie żadnych śladów tych bombardowań, oprócz jedynego tylko zdania w zapisie z 24 czerwca: *„W kolejnych dniach działania lotnictwa przeciwnika się zaktywizowały"*. To wszystko. Hoth skarży się o wiele częściej na złe drogi, pył, pożary leśne, lipcowe ulewne deszcze.
Czytelnik wychowany na tekstach pisarzy radzieckich wie już, że nasze samoloty były *„beznadziejnie przestarzałymi trumnami"*, a lotnicy*„z wylotem*

po sześć godzin" (jeden tylko Połynin, zapewne, umiał latać, ale i ten nie latał, bo dowodził) — oto dlaczego uderzenia radzieckiego lotnictwa nie zrobiły wielkiego wrażenia na niemieckim dowódcy.
Gwoli prawdy należy stwierdzić, że także ludzie z wielkimi gwiazdami na pagonach początkowo podobnie oceniali skuteczność działań radzieckiego lotnictwa w pierwszych dniach wojny. Na przykład Kwatera Główna w Dyrektywie nr 00285 z 11 lipca 1941 roku podkreślała, że *„nasze lotnictwo skutecznie atakowało niemieckie wojska pancerne i zmechanizowane. Do walki z czołgami przystępowały setki samolotów, ale oczekiwanego efektu nie osiągano, ponieważ było to źle zorganizowane"* [5, s. 63]. Dyrektywę tę podpisał szef Sztabu Generalnego Żukow.
W tym konkretnym wypadku generał armii Żukow popełnił błąd. Powodem braku*„oczekiwanego efektu"* była nie tylko i nie jedynie *„zła*

organizacja". O tym można się było przekonać już półtora miesiąca później.
28 sierpnia 1941 roku Wódz Naczelny J. Stalin osobiście polecił (rozkaz nr 0077) *„w celu złamania operacji zgrupowania pancernego przeciwnika na kierunku briańskim przeprowadzić w ciągu 28–31 sierpnia operację sił powietrznych frontów i lotnictwa odwodu Naczelnego Dowództwa* (...)*łącznie w operacji powinno wziąć udział 450 bojowych samolotów"* [5, s. 146].
Operacja *„zgrupowania pancernego przeciwnika"* — to zwrot 2. Grupy Pancernej Guderiana z kierunku moskiewskiego na kijowski, o którego celowość w powojennych pamiętnikach toczyli spór wszyscy ocaleli generałowie niemieccy.
Rozkaz towarzysza Stalina wykonany został dokładnie. W operacji powietrznej (jednej z największych w początkowym okresie wojny) udział wzięły 464 samoloty bojowe (230 bombowców, 55 samolotów szturmowych, 179 myśliwców) [27].
Operację mającą zadać klęskę *„łajdakowi Guderianowi"* (tak właśnie wtedy wyrażał się o nim pupil Stalina, dowodzący Frontem Briańskim generał lejtnant Jeriemienko) Kwatera Główna śledziła z nieustającą uwagą. Kierowanie działaniami lotnictwa powierzone zostało zastępcy dowódcy Sił Powietrznych Armii Czerwonej generałowi majorowi I. F. Pietrowowi.
4 września 1941 roku Stalin wysłał dowódcy Frontu Briańskiego następującą depeszę: *„Briańsk. Jeriemienko dla Piętrowa. Lotnictwo działa*

dobrze (...) *Powodzenia!* (...)*Pozdrowienia dla wszystkich lotników. J. Stalin"* [27].
Nazajutrz, 5 września, stalinowskie pozdrowienie uzupełnione zostało decyzją Kwatery Głównej o przekazaniu do dyspozycji grupy Piętrowa jeszcze dwóch pułków lotnictwa szturmowego i dwóch pułków myśliwców. Zadanie — jak poprzednio: *„Rozgromić i unicestwić Guderiana"* [5, s. 164].
Łącznie w ciągu 6dni operacji lotnictwo radzieckie wykonało wtedy około 4000 samolotolotów [27].
Rezultat?
Nie udało się rozgromić i unicestwić Guderiana: 2. Grupa Pancerna rozbiła wojska Frontu Briańskiego, a następnie prawego skrzydła Frontu Południowo–Zachodniego i pokonując w walce 300 kilometrów, zamknęła w dniach 15–17 września pierścień okrążenia wokół *„kijowskiego kotła"*. Co więcej, *„łajdak Guderian"* na siedemnastu stronach swoich wspomnień, poświęconych przełamaniu 2. Grupy Pancernej Wehrmachtu na tyły Frontu Południowo–Zachodniego, działaniom naszego lotnictwa poświęcił trzy słowa:

„29 sierpnia duże siły przeciwnika przy wsparciu lotnictwa podjęły natarcie z południa i zachodu przeciwko XXIV Korpusowi Zmotoryzowanemu. Korpus zmuszony był powstrzymać natarcie 3. Dywizji Pancernej i 10. Dywizji Zmotoryzowanej"[31] [65].
„Jakże to?" — zawoła zdumiony czytelnik, znający wojnę z *„jubileuszowych"* artykułów prasowych, w których lotnicy *„n–tego pułku"* wciąż łupią niemieckie czołgi jak pestki. *„Cztery tysiące samolotolotów bez widocznego rezultatu? Nie może być!"*
A wszystko jest bardzo proste. Po prostu właśnie taka była ówczesna skuteczność lotnictwa. Już w następnym, 1942 roku, po zdobyciu doświadczeń w prowadzeniu działań bojowych, ta sama *„skuteczność"* została skonkretyzowana w liczbach.
Zarząd Operacyjny Sztabu Głównego Sił Powietrznych Armii Czerwonej w 1942 roku ustalił orientacyjne kalkulacje *„norm możliwości bojowych"* szturmowca Ił–2: w celu rażenia jednego czołgu lekkiego trzeba było wysyłać 4–5 samolotów Ił–2, a w celu rażenia jednego czołgu średniego typu Pz. IV, Pz. III lub działa samobieżnego StuG III potrzebnych było już 12–15

[31] — Por. H. Guderian, *op. cit.*, s. 166.

samolotów! [86, 87]. Innymi słowy, do zniszczenia niemieckich grup pancernych w lecie 1941 roku potrzebne były nie setki i nawet nie tysiące, ale dziesiątki tysięcy *„dobrze zorganizowanych"* lotów. A przy tym omawiane tu normatywy dotyczą wyspecjalizowanego szturmowca Ił–2, nie zaś *„horyzontalnych"* (jak je wówczas nazywano) bombowców SB czy DB.

Nawet absolwent technikum gastronomicznego rozumie, że aby zniszczyć czołg, należy go najpierw trafić, a po trafieniu — przebić jego pancerz, ale przebić tak, aby *„zapancerne oddziaływanie"* okazało się wystarczające do porażenia jego załogi i mechanizmów. Czy w 1941 roku samolot bojowy po. trafił tego dokonać?

Zaczniemy od zadania numer jeden — od celowania.
Każdy widział armatę przeciwpancerną. Jeśli nawet nie na polu bitwy, to choćby w muzeum. Długa, bardzo długa lufa (aby pocisk rozpędzić w niej do trzykrotnej prędkości dźwięku) spoczywa na masywnej stalowej podstawie. W celu zwiększenia stateczności całe działo wyposażono w dwa długie *„ogony"*, które przed strzelaniem zapierają się w ziemię. Celowniczy obsługi działa nie robi nic innego oprócz naprowadzania lufy na cel za pomocą celownika optycznego i pokręteł naprowadzania. Na cokole przed wjazdem do Samary stoi szturmowiec Ił–2. W kabinie pilota mieści się jeden człowiek. Oprócz celowania w czasie walki ma

wiele innych zajęć: nogi na pedałach skrętu, prawa ręka na drążku sterowania wysokością i przechyłem, lewa steruje silnikiem. Niepojęte, jak pilot ustawia niezbędny skok śmigła, zmienia rytm pracy sprężarki, kieruje klapkami chłodnicy, śledzi sytuację w powietrzu, wydaje rozkazy podwładnym (jeśli to dowódca eskadry) i robi uniki przed ogniem dział przeciwlotniczych.
Dwa szybkostrzelne działka WJa–23 umieszczono nie na masywnej podstawie, ale na doświadczającym skomplikowanych zgięć–skręceń i zniekształceń skrzydle, a celuje się *„całym kadłubem"*, za pomocą celownika na szybie czołowej.
Czy w takich warunkach można do czegoś trafić? Można. Ale bardzo, bardzo rzadko. Na przykład w czasie prób poligonowych (czyli przy braku przeciwdziałania przeciwnika) w instytucie uzbrojenia lotniczego *„trzej piloci 245. PLSz., którzy posiadali doświadczenie bojowe, zdołali uzyskać zaledwie 9 trafień w czołg przy łącznym zużyciu 300 pocisków do działek SZWAK i 1290 nabojów do karabinów maszynowych SZKAS"*.

Trafić w czołg — to dopiero początek. Trzeba jeszcze przebić pancerz. Z tym jest jeszcze większy problem. Doświadczalnie ustalono, że najlepsze warunki do celowania istniały przy łagodnym nurkowaniu pod kątem 30 stopni do horyzontu z wysokości 500–700 metrów. Ale w takich warunkach pociski, nawet w wypadku trafienia w pancerz czołgu, prawie zawsze rykoszetowały.

„Z 62 trafień w niemieckie czołgi średnie, uzyskanych w czasie strzelań poligonowych z powietrza, było tylko jedno bezpośrednie przebicie (w pancerzu o grubości 10 mm), jedno uwięźnięcie rdzenia pocisku, 27 trafień w część jezdną, nie powodujących istotnych uszkodzeń, pozostałe trafienia pocisków dawały albo wgniecenia, albo rykoszety". Najlepsze (to jest o minimalnej skuteczności) wskaźniki uzyskano w czasie poligonowego ostrzału lekkich czołgów niemieckich.

„Z 53 trafień, uzyskanych po wykonaniu 15 samolotolotów, tylko w 16 wypadkach nastąpiło bezpośrednie przebicie pancerza, w 10 wypadkach uzyskano wgniecenia w pancerzu i rykoszety, a pozostałe pociski trafiły w jezdną część. Przy tym trafienia 23–mm pocisku przeciwpancernego w część jezdną czołgu nie spowodowały uszkodzeń". Lecz także przy ostrzale czołgów lekkich„(...)*wszystkie 16 bezpośrednich trafień w pancerz czołgów przypadło na ataki pod kątem projektowania 5–10 stopni, wysokości podejścia 100 m, odległości otwarcia ognia 300–400 m"* [85, 86, 87].

Ale w takich warunkach czas prowadzenia ognia ogranicza się do jednej– dwóch sekund, co było praktycznie niemożliwe do osiągnięcia przez pilotów o średnich kwalifikacjach.

Czym w takim razie piloci Luftwaffe zniszczyli tysiąc czołgów 6. i 11. korpusów zmechanizowanych? Być może tylko my posiadaliśmy kiepskie samoloty i słabe działa, u Niemców to wszystko wyglądało inaczej?

Absolutnie słusznie. Niemieckie działka lotnicze posiadały zupełnie inne parametry. Na tle naszego działka Wołkowa–Jarcewa kal. 23 mm podstawowe niemieckie działko lotnicze w czerwcu 1941 roku — MG–FF, wygląda jak zaporożec na tle mercedesa 600.

Nasze WJa –23 opracowano pierwotnie jako środek walki z osłoniętymi celami naziemnymi. Nader ciężkie (według standardów lotniczych) 66– kilogramowe działko rozpędzało pocisk o wadze do 200 g do prędkości 900 metrów na sekundę.

Znajdujące się w uzbrojeniu niemieckich myśliwców i samolotów szturmowych działko szwajcarskiej firmy *„Oerlikon"* MG–FF było o wiele mniejsze i trzy razy lżejsze. Lecz za wszystko, co dobre, trzeba zapłacić. Za niski ciężar trzeba było zapłacić małą energią wylotową (i to działko, jak również jego następca Mauzer MG–151 były wielkokalibrowymi karabinami maszynowymi, których 13–mm nabój musiał rozpędzać 20 mm pocisk). Przeciwpancerny pocisk*„Oerlikona"* miał wagę zaledwie 115 g, a jego prędkość początkowa wynosiła zaledwie 585 metrów na sekundę, to znaczy miał on energię kinetyczną (dzięki niej następuje przebicie pancerza) do czterech razy mniejszą aniżeli pocisk WJa–23.

„Piekielne" działko, opracowane przez Wolkowa i Jarcewa, tak bardzo wyprzedziło swój czas, że już po wojnie pod balistykę i nabój WJa–23 zaprojektowane zostały samobieżne działa przeciwlotnicze, po dziś dzień znajdujące się w uzbrojeniu wielu armii świata! [84].

Oczywiście uzbrojenie samolotów bojowych podczas drugiej wojny światowej nie ograniczało się jedynie do lekkich działek małego kalibru. Były także bomby różnego kalibru (najbardziej rozpowszechnione były odłamkowo–burzące o wadze 100–250 kg). Naturalnie bezpośrednie trafienie takiej bomby wystarczało, by wyeliminować lekki czy nawet średni czołg (ciężki KW, jak to odnotował w meldunku dowódca 4. DPanc. Potaturczew, wytrzymywał nawet bezpośrednie trafienie). Ale w jaki sposób, rzucając niekierowaną bombę, można osiągnąć samo *„bezpośrednie trafienie"*, jeżeli w ruchomy i zwinny cel, jakim jest czołg, nawet z działa jest prawie niemożliwe trafić? Precyzja rażenia bombowego zwykłych *„horyzontalnych"* (jak nazywano je w odróżnieniu od nurkujących) bombowców zależała od wysokości lotu, warunków widoczności, kwalifikacji załogi. W każdym wypadku trafienie w krąg o średnicy do 200–300 metrów uznawane było za świetny rezultat, którym nie każdy mógł się poszczycić nawet w spokojnych

warunkach ćwiczeń poligonowych. W walce, pod ogniem dział przeciwlotniczych przeciwnika, wszystko było o wiele bardziej złożone. Wystarczy powiedzieć, że liczne próby zniszczenia mostów — tak przez radzieckie, jak i niemieckie bombowce — często okazywały się bezowocne. A przecież nawet najmniejszy most kolejowy jest znacznie większy od największego nawet czołgu. W dodatku most, w odróżnieniu odczołgu, stoi w miejscu i się nie porusza.

Znacznie większą precyzję bombardowania zapewniały bombowce nurkujące. Niewątpliwie najbardziej udanym samolotem w tej klasie był niemiecki Ju–87, słynny symbol Blitzkriegu, bez którego nie może się obyć żaden film fabularny dotyczący początku wojny. Pilotowany przez doświadczonego i fizycznie odpornego pilota (przeciążenie na wyjściu z nurkowania dochodziło do 5–6 jednostek) Ju–87 mógł zapewnić precyzję bombardowania mniej więcej do 30 metrów.

To znakomity wskaźnik do walki z piechotą, artylerią i kolumnami samochodowymi przeciwnika. Ale do trafienia czołgu średniego, a tym bardziej ciężkiego radzieckiego KW z jego 90–mm pancerzem, nie wystarczało zrzucić bomby 30 metrów od celu. Potrzebne było właśnie bezpośrednie trafienie, które nawet nurkujący junkers mógł uzyskać jedynie w wyjątkowym wypadku. Potwierdza się to również w meldunkach niemieckich lotników: *„4 października Ju–87 wykonały 202 loty bojowe w rejonie Briańsk– Spas–Diemiańsk, niszcząc 22 czołgi, 450 samochodów i 3 składy paliwa* (...) *7 października Ju–87 ze StG 2. grupami po 25–30 samolotów nieprzerwanie atakowały okrążone wojska* (...)*w ciągu jednego dnia zniszczyły one około 20 czołgów, 34 działa i około 650 samochodów"*.

Wiarygodność tych liczb jest taka sama jak i we wszystkich innych komunikatach wojennych (dopiski na sprawozdaniach Luftwaflfe rozkwitały bujnym marchewkowym kolorem), ale wypada zwrócić uwagę na zestawienie *„zniszczonych w sprawozdaniu"* czołgów i samochodów.

Druga wojna światowa była wojną pancerną. A więc obie strony, ma się rozumieć, starały się jakoś podnieść *„możliwości przeciwpancerne"* swego lotnictwa bojowego.

W przededniu bitwy pod Kurskiem w Związku Radzieckim rozwinięto produkcję seryjną oraz wypracowano taktykę użycia PTAB–ów[32]— małych (o wadze do 1,5 kg) przeciwpancernych bomb lotniczych z ładunkiem kumulacyjnym,zdolnym przepalać 60–milimetrowy pancerz (opracowane I w CKB–22 pod kierunkiem I. A. Larionowa). Szturmowiec i Ił–2 zabierał 192 PTAB–ów w czterech kasetach (po 48 sztuk 1 w każdej). Przy zrzucaniu z wysokości 200 m

łączna powierzchnia rażenia pokrywała pas o wymiarach 15 na 190 metrów, w którym teoretycznie zapewniało się zniszczenie 1 każdego rodzaju sprzętu pancernego Wehrmachtu [87].

32 — PTAB (ros. *protiwotankowaja awiacjonnaja bomba)*— przeciwpancerna bomba lotnicza.

Niemcy poszli całkowicie inną drogą. Zdjęli z nurkującego junkersa wszystkie uchwyty bombowe i zawiesili pod kadłubem potężną (w skali lotniczej) 37–mm armatę przeciwlotniczą Flak–18, która teoretycznie mogła przebić specjalnym pociskiem z rdzeniem węglikowo–wolframowym pancerz radzieckiego T–34.

W pierwszych dniach wielkiej bitwy pod Orłem i Kurskiem obie strony meldowały o nieprawdopodobnym sukcesie w zastosowaniu uzbrojenia nowego rodzaju.

7 lipca skoncentrowane na łuku kurskim wszystkie trzy eskadry bombowców nurkujących (StG 1, StG 2, StG 77) wykonały 946 lotów bojowych, niszcząc przy tym 44 czołgi radzieckie, 20 dział i 50 samochodów.

8 lipca, po wykonaniu 889 lot ów, szturmowce niemieckie zniszczyły 88 czołgów, 5 dział i 40 samochodów. W ten sposób owa rekordowa w toku całej wojny efektywność użycia lotnictwa przeciwpancernego osiągnęła poziom standardów radzieckich: 10lotów na jeden zniszczony czołg.

Masowe i faktycznie niespodziewane zastosowanie PTAB –ów dało jeszcze bardziej oszałamiający rezultat (sądząc, oczywiście, po wynikach meldunków!). Piloci samolotów szturmowych 3. i 9. Korpusu Lotniczego do końca dnia 6 lipca zameldowali o zniszczeniu lub uszkodzeniu PTAB–ami do 90 sztuk sprzętu pancernego przeciwnika. Rano 7 lipca na kierunku obojańskim 1. Korpus Lotnictwa Szturmowego dwiema grupami po 46 i 33 samoloty wykonał uderzenie na ogromne (do 350sztuk) skupisko czołgów przeciwnika.

Po odczytaniu fotografii pola boju wykazano obecność 200 (sic!) zniszczonych niemieckich czołgów i dział pancernych.
Według innych sprawozdań 3. Dywizja Pancerna SS Totenkopf straciła jakoby od uderzeń z powietrza 270 pojazdów pancernych (czołgów, dział samobieżnych i transporterów opancerzonych). Naprawdę w sumie w dywizji tej — w przeddzień bitwy pod Kurskiem — znajdowało się 130 czołgów, w tej liczbie 15*„Tygrysów"*.
Zmniejszając liczby w meldunkach o cztery, pięć razy (inaczej będziemy musieli uznać, że w bitwie pancernej pod Prochorowką z obu stron brały udział tylko widma czołgów), dojdziemy do wniosku, że skuteczność walki lotnictwa z czołgami pod koniec wojny mimo wszystko znacznie wzrosła. Ale do przełomu w walce samolotu z

pancerzem było jeszcze bardzo daleko.
Ochłonąwszy po pierwszym wstrząsie, niemieccy czołgiści przeszli do działań w rozśrodkowanych szykach marszowych i bojowych, co od zaraz obniżało efektywność użycia PTAB–ów.
A niemiecka *„cudowna broń"* (samolot nurkujący z podczepionym działem kal. 37 mm) wymagała od pilota wyjątkowych umiejętności pilotażu (należało wychodzić z nurkowania na wysokości 400–500 m, tj. na dwie, trzy sekundy przed zderzeniem z ziemią) oraz przygotowania strzeleckiego. Nie wypada dziwić się temu, że ogólnie rzecz biorąc, radzieckie straty w czołgach średnich rozłożyły się w toku całej wojny następująco: ogień artylerii przeciwnika — 88%, miny— 8%, a lotnictwo — jedynie 4%! [84, s. 110].
Potrzebny był kardynalny przewrót w uzbrojeniu, związany z pojawieniem się śmigłowca i rakiety kierowanej, zanim lotnictwo stało się najgroźniejszym przeciwnikiem czołgów. Ale to już zupełnie inna historia, innych wojen i innej epoki.
W czerwcu 1941 roku jedynym sposobem podniesienia efektywności ataków powietrznych przeciwko czołgom mogło być Jedynie potężne zmasowanie sił. Przykładem takiego zmasowania są opisane przez Połynina wydarzenia z 26 czerwca, kiedy to przeciwko 3. Grupie Pancernej Wehrmachtu rzucono jednocześnie pięć dywizji lotniczych! A osiągnięty w tym dniu rezultat — 30 zniszczonych niemieckich czołgów — słusznie mógł być uznawany za duży sukces. Podobnie jak — odnotowany w pozdrowieniach samego Stalina — meldunek dowódcy Frontu Briańskiego, Jeriemienki, o zniszczeniu *„100 czołgów, ponad 800 samochodów, 290 wozów konnych, 20 samochodów pancernych"* w toku wyżej wspomnianej największej operacji lotnictwa Armii Czerwonej [27]. Mimo wszystko, za meldunkiem tym kryło się najpewniej zniszczenie kilkudziesięciu czołgów i samochodów grupy Guderiana…
Przejdźmy teraz od tych — koniecznych — dygresji do głównego zagadnienia: jakie siły lotnictwa przeciwnika mogły zostać *„w sposób zmasowany"* użyte przeciwko czołgom radzieckim ze składu Grupy Konno– Zmechanizowanej Bołdina?
Słynna niemiecka dokładność poważnie ułatwiła życie przyszłym historykom. Skład, dyslokacja, techniczny stan niemieckich sił powietrznych rozpisano dosłownie co do dnia [24, 36, 38].
Tak więc na lewym (północnym) skrzydle Grupy Armii *„Środek"*, w pasie od Wilna do Grodna, natarcie 3. Grupy Pancernej i 9. Armii Wehrmachtu wspierał z powietrza VIII Korpus Lotniczy Luftwaffe pod dowództwem generała W. Richthofena. Powiedzmy od razu: był to jeden z najlepszych, najbardziej doświadczonych i słynnych związków Luftwaffe. Wchodzące w skład VIII Korpusu grupy lotnicze walczyły od pierwszych godzin drugiej wojny światowej, przechodząc przez kampanie polską i francuską, bitwę o Anglię oraz bitwę o Kretę. Na

wschodni front przerzucono je ze strefy walk nad Morzem Śródziemnym dosłownie na kilka dni przed rozpoczęciem wojny.
To prawda. Mówiąc ściśle — tylko część prawdy.
Druga, o której radzieccy *„historycy"* zawsze zapominali, zawiera się w tym, że wielomiesięczne nieprzerwane działania bojowe doprowadziły do absolutnie nieodwracalnych następstw w liczbie i stanie technicznym samolotów.
W konkretnych liczbach przedstawiało się to następująco: lotnictwo bombowe VIII KLotn. składało się z trzech grup lotniczych bombowców *„horyzontalnych"* (I*KG 2, III KG 2, III*KG 3[33]). Każda grupa lotnicza Luftwaffe liczyła około 40 samolotów. Nad ranem 24 czerwca 1941 roku w tych trzech grupach sprawnych było odpowiednio po 21, 23 i 18 samolotów. Po uwzględnieniu czterech maszyn dowódczych VIII Korpus Lotniczy mógł w tym dniu poderwać w powietrze łącznie 66bombowców. W dodatku były przestarzałe i wycofane już z produkcji samoloty Dornier Do–17Z.
Główną siłę uderzeniową VIII Korpusu Lotniczego Luftwaffe stanowiły cztery grupy nurkujących Ju–87 (II/StG 1, III/StG 1, I/StG 2, III/StG 2), mające 103 sprawne sztukasy.
Tak dużo było ich rankiem 22 czerwca. Po dwóch dniach, nad ranem 24 czerwca, w składzie czterech grup bombowców nurkujących znajdowało się po 28, 24, 19 i 20 samolotów w gotowości bojowej. Łącznie, po uwzględnieniu maszyn sztabowych — 96 samolotów [24, 36]. Do końca dnia 24 czerwca pozostało ich jeszcze mniej. Co najmniej 9 sztuk ze składu StG 1 zostało w tym dniu zestrzelonych nad Mińskiem przez myśliwce 43. Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego generała Zacharowa [63].
Na ogół powolny i słabo opancerzony *„drapieżnik"* często stawał się łatwym łupem myśliwców (szczególnie przy wyjściu z nurkowania, gdy i pilot, i strzelec byli zdekoncentrowani. Owszem, dowódcę grupy III/StG 1 kapitana H. Mahlkego trzykrotnie zestrzeliwano za linią frontu w rejonach rozmieszczenia wojsk radzieckich. Dwukrotnie sam wydostawał się z powrotem, ale za trzecim razem, 8lipca 1941 roku, wydostała go zza linii frontu specjalna grupa poszukiwawcza. Już 23 czerwca 1941 roku nad szosą Kowno–Wilno zestrzelony został w walce powietrznej dowódca grupy I/StG 2 kapitan Hitschold. Ale nazwisk dziesiątków zwykłych pilotów historia po prostu nie zachowała...
Aby czytelnik mógł właściwie ocenić tę *„wielokrotną przewagę liczebną niemieckiego lotnictwa"*, odnotujmy, że w radzieckich dywizjach bombowych, które wzięły udział w operacji opisanej przez Połynina, według stanu na 1 czerwca 1941 roku znajdowały się 453 sprawne bombowce. I to bez przestarzałych ciężkich TB–3. Warto również zaznaczyć, że maksymalny ciężar obciążenia bomb niemieckiego Do–17Z wynosił 1000 kg, naszego *„przestarzałego"* SB — 1600 kg, a

nowego DB–3f— 2500 kg.
Nieufny czytelnik zapewne pomyślał już, że dostawszy się w strefę działań GKZ Bołdina (a zatem na karty naszej opowieści), VIII KLotn. Luftwaffe był nieliczny i słaby. Bynajmniej. Miał on najwięcej bombowców nurkujących na całym froncie radziecko–niemieckim. W składzie II Korpusu Lotniczego (południowe skrzydło Grupy Armii *„Środek"*) znajdowały się tylko trzy grupy bombowców nurkujących (94 sprawne sztukasy rano 22 czerwca, 88— 24 czerwca 1941 roku) [24, 36].
I to wszystko. W pasie natarcia grup armii *„Północ"* oraz *„Południe"* (kraje nadbałtyckie, Ukraina, Mołdawia) w pierwszych dniach wojny nie było ani jednego nurkującego Ju–87.
Co więcej, siły lotnictwa niemieckiego, które działały na styku radzieckich frontów Zachodniego i Północno–Zachodniego, były za małe, aby w ciągu trzech dni zniszczyć dwa radzieckie korpusy zmechanizowane. Poza tym nie wiadomo, czy w ogóle zostały one na wielką skalę wciągnięte do walki z Grupą Konno–Zmechanizowaną Bołdina.
Przed nimi były zupełnie inne zadania.
Podstawowym zadaniem bombowców nurkujących było wsparcie ogniowe natarcia grup pancernych. Ta taktyka okazała się wielce skuteczna podczas wkraczania do Francji — właśnie na tym współdziałaniu opierały się wszystkie plany operacyjne w lecie 1941 roku. Co więcej, taktykę tę można było wykorzystać jedynie w sytuacji, gdy dwie trzecie niemieckich czołgów uzbrojone były w działka małego kalibru (lub w ogóle nie miały uzbrojenia artyleryjskiego). Bezwsparcia ogniowego ze strony lotnictwa nie miałyby po prostu czym przebijać pasów obronnych przeciwnika. Właśnie dlatego te dwa korpusy lotnicze (II i VIII), w których składzie znajdowały się bombowce nurkujące Ju–87, występowały w pasach natarcia dwóch *„szczególnie silnych zgrupowań pancernych"* (tak zostały one nazwane w planie *„Barbarossa"*), to znaczy grup pancernych Hotha i Guderiana.
Ale dowództwo Luftwaffe nie mogło się skupić li tylko na rozwiązaniu tego zadania, ponieważ od pierwszych dni wojny z ZSRR miało jeszcze jedno, priorytetowe: zdławić wielokrotnie przeważające siły lotnictwa radzieckiego.
W natarciu na Zachodzie w maju 1940 roku Niemcy skoncentrowali na froncie do 300 km (od Rotterdamu do Saarbrucken) 27 myśliwskich grup lotniczych, w których składzie znajdowało się, według różnych danych, 1250 do 1350 messerschmittów Me–109 [57].
Siły myśliwskie aliantów (lotnictwo francuskie, holenderskie, belgijskie, dziesięć eskadr Royal Air Force przerzuconych do północnej Francji) liczyły najwyżej 700 do 750 samolotów [57]. Innymi słowy, Luftwaffe miało prawie dwukrotną przewagę liczebną, uzupełnioną przez

techniczną przewagę Me– 109 nad większością typów samolotów myśliwskich sojuszników.
W tej sytuacji siły bombowe Luftwaffe (49 grup lotniczych, 1985 samolotów wszystkich typów, czyli niemal 7 samolotów na kilometr frontu przełamania) mogły zajmować się swoim podstawowym zadaniem. Zresztą również 7 bombowców na kilometr to całkiem mało. Przedwojenna nauka radziecka przewidywała, że w pasie natarcia armii powinno przypadać 15–20 samolotów na kilometr frontu [14].
22 czerwca 1941 roku Niemcy rozwinęli przeciwko Związkowi Radzieckiemu 22myśliwskie grupy lotnicze (66eskadr), w których składzie znajdowało się łącznie 1036 samolotów. Radzieckie siły powietrzne tylko w składzie lotnictwa okręgów zachodnich miały 64 myśliwskie pułki lotnicze (320 eskadr), posiadające 4200 samolotów [23]. Ponadto jeszcze 763 samoloty myśliwskie znajdowały się w składzie lotnictwa flot marynarki wojennej. A i to dopiero wierzchołek góry lodowej!
Na tyłach czołowego zgrupowania lotnictwa radzieckiego znajdowały się ogromne rezerwy samolotów, zapasowych oddziałów lotniczych i pilotów. Wystarczy powiedzieć, że już w czwartym dniu wojny (25 czerwca) siły powietrzne Frontu Zachodniego otrzymały dwie dywizje lotnicze (ok. 400– 500 samolotów), przerzucone z okręgów wewnętrznych. W siedemnastym dniu wojny (9 lipca) lotnictwo tego samego Frontu Zachodniego otrzymało na uzupełnienie strat jeszcze 452 samoloty [53, s. 18]. Nic dziwnego — ogólna liczebność samych tylko samolotów myśliwskich w lotnictwie Armii Czerwonej wynosiła (według danych najbardziej zachowawczego źródła) 11 500 samolotów [35, s. 359].
Jeśli w tej sytuacji Niemcy mieliby choć cień szansy na osiągnięcie przewagi w powietrzu, to polegałaby ona na tym aby skoncentrować wszystkie siły lotnictwa, również bombowe i szturmowe, na zniszczeniu infrastruktury lądowej radzieckich sił powietrznych.
Tak, tylko co to były za siły? Na froncie od Bałtyku do Morza Czarnego (a to ponad półtora tysiąca kilometrów w linii prostej) Niemcy mieli 35 grup lotniczych, w których skład wchodziło jedynie (czyli po uwzględnieniu nawet uszkodzonych samolotów) 917 bombowców *„horyzontalnych"* i 306 nurkujących. Mniej niż jeden samolot na kilometr frontu!
Te wątłe siły trzeba było jeszcze rozdrabniać, odrywać od wsparcia lądowych wojsk (od walki z GKZ Bołdina w szczególności), przestawiając je na samobójcze — bo takimi mogłyby się one stać w wypadku zorganizowanego oporu — naloty na lotniska radzieckiego lotnictwa myśliwskiego.
Charakterystyczny przykład: w Rozkazie nr 3, podpisanym przez H. Hotha wieczorem 23czerwca, na temat współdziałania z lotnictwem

stwierdza się jedynie:
„VIII Korpus Lotniczy przegrupowuje swe tymczasowe lotniska do przodu, w rejon Wareny, i kontynuuje wykonywanie nalotów na przypuszczalne oddalone na wschód jednostki lotnicze przeciwnika" [**WIŻ**, 1989, nr 79].
Mówiąc krótko — na wsparcie ogniowe z powietrza nie liczcie…
Nie, autor wcale nie zamierza łapać na pospolitym kłamstwie tych uczestników niedoszłego przeciwuderzenia, którzy piszą, iż niemieckie samoloty*„uganiały się dosłownie za pojedynczymi samochodami"*.
Pewna część lotów, które w pierwszych dniach wojny mogło wykonać sto pięćdziesiąt bombowców VIII Korpusu Lotniczego Luftwaffe, skierowana zostają także przeciwko grupie Bołdina. Zapewne jakieś straty w sprzęcie spowodowane zostały właśnie przez te naloty, a za jakimiś samochodami niektórzy rozzuchwaleni w bezkarności piloci Luftwaffe faktycznie się uganiali. Również na ludziach, którym skrzecząca radziecka propaganda obiecywała że nasze lotnictwo będzie latało szybciej od innych, wyżej od innych i bardziej zwrotnie od innych — widok taki robił wyjątkowo przygnębiające wrażenie.
Realne zaś *„osiągnięcia"* Luftwaffe były bardziej niż skromne. Przynajmniej tak pisali o tym w swych relacjach ci dowódcy, którzy nie mieli potrzeby szukać usprawiedliwienia i *„obiektywnych przyczyn"*.
„Straty ponoszone na skutek bombardowań lotniczych i ostrzału z powietrza, mimo niskich wysokości i całkowitej dominacji lotnictwa przeciwnika, okazały się bardzo nieznaczne" [83].
To zdanie z meldunku zastępcy szefa oddziału operacyjnego sztabu 2. Korpusu Strzeleckiego kapitana Garana. Ten właśnie korpus (100. i 161. Dywizje Strzeleckie) choć na kilka dni zatrzymał niemieckie czołgi na północnych przedpolach Mińska.
Oczywiście znaleźć można i inne przykłady. Owszem, każdy ma prawo wierzyć lub nie w mity, które sam wybiera. Podobno wiara przynosi ulgę. A przynajmniej wiara w to, że katastrofalną klęskę Armii Czerwonej przypisać można działaniu niewielkich sił niemieckiego lotnictwa, bardzo ułatwiała — i nadal ułatwia zadanie wszystkim fałszerzom historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.
Ten rozdział już był w zasadzie zakończony, gdy autorowi wpadł w oko taki oto fragment z artykułu o historii powstania i bojowego zastosowania Ju– 87.
„W czwartym dniu wojny przeciwko ZSRR bombowce nurkujące ze składu StG 2 bombardowały koncentrację 60 radzieckich czołgów 80 km na południe od Grodna".

33 — M. J. Murawski w: Luftwaffe— działania bojowe, Lampart, Warszawa 1998, s. 187, przypisuje III/KG 3 do II Korpusu Lotniczego; liczba samolotów jest taka sama.

Ra dzieckie czołgi na południe od Grodna — oto i jest nasz 6. Korpus Zmechanizowany, a data dokładnie odpowiada czasowi

nieudanego przeciwuderzenia grupy Bołdina. Kontynuujmy lekturę: *„Później okazało się, że zdołano wyeliminować zaledwie jeden czołg"*.

NA SPOKOJNIE ŚPIĄCYCH LOTNISKACH…

Wojna w powietrzu — to wojna całkiem osobliwa. Mało ludzi, bardzo dużo kosztownego sprzętu, ogromny rozmach przestrzenny operacji, olbrzymia rola parametrów jakościowych, których w pewnych aspektach nie można zastąpić przewagą ilościową…

Ściśle mówiąc, jeśli chcemy porównywać Luftwaffe z lotnictwem Armii Czerwonej, to trzeba albo pisać odrębną książkę, albo nie poruszać tego — w najwyższym stopniu zmitologizowanego — zagadnienia w ogóle. Niemniej jednak, kończąc naszą opowieść o niedoszłym przeciwuderzeniu wojsk Frontu Zachodniego na kierunku grodzieńskim, zaznaczmy tylko kilka najbardziej zagadkowych*„lotniczych"* tematów — właśnie w związku z wydarzeniami początkowego okresu wojny na Białorusi, ponieważ właśnie w pasie Frontu Zachodniego pogrom radzieckiego lotnictwa nastąpił nadzwyczaj szybko oraz miał najtragiczniejsze następstwa.

Wbijano nam przez lata do głów zestaw kilku *„obiektywnych przyczyn"*, wskutek których lotnictwo radzieckie zostało rozgromione w pierwszych dniach wojny: niespodziewany atak na *„spokojnie śpiące lotniska"*, kiepskie samoloty, brak łączności radiowej, nie wyszkoleni lotnicy, brak lotnisk itp.

Rozpoczniemy od najprostszego pytania. Czy naprawdę wydarzyło się to, czego przyczyny omawiamy już pół wieku?
„Z 250 tysięcy lotów, wykonanych przez radzieckie lotnictwo w ciągu pierwszych trzech miesięcy wojny, na kolumny pancerne i zmotoryzowane przeciwnika wykonanych zostało (…)*"*
Tak — mimochodem, w podrzędnym zdaniu, autorzy monografii**„Rok 1941 — lekcje i wnioski"** wymienili oszałamiającą liczbę — 250 000 lotów bojowych! [3, s. 151].
Dwieście pięćdziesiąt tysięcy lotów w ciągu trzech miesięcy.
To *„zniszczone"* lotnictwo???
Wszystko poznaje się poprzez porównanie. Rekordowym miesiącem dla Luftwaffe był czerwiec 1942 roku, kiedy to wykonała ona (według danych radzieckich posterunków obserwacyjnych) 83 949 lotów bojowych samolotów wszystkich typów. Raz jeszcze podkreślmy — to rekordowy, szczytowy stan aktywności bojowej. Już w październiku tego samego roku lotnicy Luftwaffe

wykonali zaledwie 35 166 lotów [60]. Innymi słowy, *„rozbite i*

zniszczone na ziemi" lotnictwo radzieckie latało latem 1941 roku z intensywnością, którą Niemcyzdołali osiągnąć tylko w jednym miesiącu przez całą wojnę.
Dlaczego jednak w wielkiej ilości meldunków bojowych i powojennych wspomnień na wszystkie sposoby powtarza się jeden i ten sam frazes: *„Podczas [prowadzenia] działań bojowych nie ma naszego lotnictwa* (...)*, naszego lotnictwa nie widać* (...)*podczas walk nie widzieliśmy ani jednego naszego samolotu"*?
Raz jeszcze zwróćmy uwagę, że nawet nie podejmujemy się dyskutować na temat zagadnienia, dlaczego te 250 000 lotów bojowych nie wywarło na Niemcach należytego *„wrażenia"*, dlaczego żaden niemiecki generał w swoich pamiętnikach nawet nie wspomina o działaniach naszego lotnictwa w pierwszych miesiącach wojny. Przy niskiej efektywności naszego lotnictwa mogło być tego tysiąc i jedna przyczyna. Ale dlaczego tego lotnictwa, które wykonało ogromnie dużo lotów bojowych, po prostu n i e d o s t r z e g a l i?
Gdy coś takiego piszą dowódcy strzeleckich lub pancernych jednostek Armii Czerwonej, to można zacząć ich podejrzewać o niezależne lub przymusowe zjednoczenie sił w dążeniu do znalezienia dodatkowych przyczyn wyjaśniających klęskę powierzonych im oddziałów. Lecz dlaczego niemieccy piloci i dowódcy lotnictwa piszą to samo? Dlaczego miałoby im zależeć na pomniejszaniu oporu przeciwnika, którego rozgromili?
Generał Luftwaffe W. Schwabediessen (dowódca korpusu artylerii przeciwlotniczej na początku wojny) na podstawie sprawozdań dowództwa i wspomnień oficerów Luftwaffe napisał książkę [19], poświęconą analizie działań lotnictwa radzieckiego w latach 1941–1945. Z wnioskami *„bitego hitlerowskiego generała"* można się zgadzać lub nie, ale co zrobić z takimi świadectwami bezpośrednich uczestników wydarzeń:
„W 60 lotach do 9 września 1941 roku nasz pododdział spotykał się z radzieckimi samolotami myśliwskimi zaledwie 10 razy" (major Kossart, dowódca eskadry bombowej).
„Z 20 samolotów utraconych przez moją grupę w 1941 roku, zaledwie trzy lub cztery wypadki nie miały wyjaśnienia, i są to jedyne straty, które można przypisać działaniu radzieckim myśliwcom (...)*. Ja sam kilkakrotnie nieomal zderzałem się z rosyjskimi myśliwcami, przelatując przez ich szyk, ale*

oni nawet nie otwierali ognia" (podpułkownik H. Reizen, dowódca grupy bombowej II/KG30).
„Do jesieni 1941 roku albo nie spotykaliśmy się z radzieckimi myśliwcami, albo po prostu nas nie atakowały" (major J. Jodike, dowódca eskadry bombowej).

„Od 22 czerwca do 10 sierpnia 1941 roku wykonałem około 100 lotów i tylko 5 razy spotykałem się z radzieckimi myśliwcami, lecz w ani jednym z tych wypadków nie doszło do poważnej walki" (kapitan Pabst, dowódca eskadry bombowców nurkujących).
„Do końca 1941 roku 21 razy latałem na rozpoznanie strategiczne na głębokie zaplecze rosyjskie i tylko raz napotkałem radzieckie samoloty myśliwskie" (major Schlage).
Tutaj należy się pewne wyjaśnienie. 19 sierpnia 1941 roku ukazał się podpisany przez Stalina Rozkaz komisarza obrony nr 0299, który ustalał porządek nagradzania i materialnego zdopingowania personelu latającego sił powietrznych. Otóż w lotnictwie bombowym bliskiego zasięgu i szturmowym tytuł Bohatera Związku Radzieckiego (i premię do 3000 rubli) nadawano za wykonanie 30 zadań bojowych, w lotnictwie rozpoznawczym— za 40 lotów [90].
Na stronie 54 swojej książki W. Schwabediessen czym takie oto (możliwe że nieobiektywne) uogólnienie: *„W opinii większości dowódców armii, z bardzo rzadkimi wyjątkami, widoczne jest zdumienie w związku ze słabością i nieskutecznością działań radzieckiego lotnictwa, jak również nikłymi jezultatami, jakie osiągnęło ono w 1941 roku"*.
Tak… Ale w sprawozdaniach— 250 000 lotów bojowych. Widocznie nie z dobrego serca 9 września 1942 roku Stalin podpisał Rozkaz nr 0685 ***„O ustanowieniu pojęcia lotu bojowego dla lotnictwa myśliwskiego"*** [90]. Autor nie ma sumienia przytaczać wymienionych w tym rozkazie ocen działania *„stalinowskich sokołów"*. Odnotujmy więc tylko, że zgodnie z pkt. 5 rozkaz został odczytany *„wszystkim pilotom myśliwskim za podpisem"*, lecz żaden z pilotów, którzy dożyli Dnia Zwycięstwa, nie raczył wspomnieć w swych pamiętnikach o Rozkazie nr 0685…
Teraz powróćmy do wydarzeń pierwszego dnia wojny. Każdy uczeń powinien znać na pamięć takie oto zaklęcie: *„O świcie 22 czerwca 1941 roku*

(…)*nagłym uderzeniem* (…)*na 66 lotniskach utracono 1200 samolotów, w tym 800— bezpośrednio na ziemi"*.

Tak pisano we wszystkich bez wyjątku tekstach poświęconych początkowi wojny, od artykułu prasowego do grubych monografii, i przytaczano te właśnie liczby. Czasem w opasłych książkach przytacza się także niewielkie rozszerzenie: *„W tej liczbie w 11. MDL — 127, w 9. MDL— 347, w 10. MDL — 180 samolotów"*. Innymi słowy, ponad p o ł o w a wszystkich strat pierwszego dnia wojny była udziałem tych trzech dywizji lotniczych Frontu Zachodniego, które straciły w tym dniu 654 samoloty.

Jeszc ze większą wagę ma *„wkład"* tych trzech dywizji w osławione

„zniszczenie radzieckiego lotnictwa na ziemi". Najczęściej podawaną liczbą (dalej omówimy jej wiarygodność) obrazującą straty lotnictwa Frontu Zachodniego w wyniku uderzenia na lotniska jest 528 samolotów, co już stanowi d w i e t r z e c i e strat lotnictwa radzieckiego poniesionych na lotniskach na wszystkich frontach.

Żaden z wielu autorów, którzy pisali o wydarzeniach 22 czerwca 1941 roku, nigdy nie przytoczył *„rozbicia"* tej liczby (528 samolotów) na wszystkie sześć dywizji lotniczych Frontu Zachodniego. Ponieważ wiadomo, że lotniska 12. DLB (rejon Witebska) i 43. DLM (rejon Orszy) w ogóle nie były bombardowane w pierwszym dniu wojny [56], a ze wspomnień Połynina wiemy, że jego 13. DLB Bobrujsk) straciła 22 czerwca na ziemi 2 (dwa) bombowce, to możemy z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że właśnie na lotniskach 11., 9., 10. MDL utracono ponad 500 maszyn bojowych. Innymi słowy, dwie trzecie wszystkich strat samolotów *„na spokojnie śpiących lotniskach"* przypadły na trzy z dwudziestu pięciu dywizji.

T r z y z d w u d z i e s t u p i ę c i u.
Precyzuję. Łącznie, jak całkiem zasadnie twierdzą autorzy monografii **„Rok 1941— lekcje i wnioski"**, *„zgrupowanie radzieckiego lotnictwa na zachodniej granicy ZSRR obejmowało 48 dywizji lotniczych"*. Ale — wyłączając z tej listy dywizje lotnicze Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, dużą liczbę dywizji nowo formowanych, dywizje LBDZ (których, z racji ich położenia geograficznego, w żaden sposób nie mogło dosięgnąć pierwsze uderzenie), dochodzimy do najbardziej minimalnej liczby— 25.
Oczywiście, równe i podobne bywają tylko słupy telegraficzne, ale przecież jedna, wspólna dla całej Armii Czerwonej przyczyna —

„niespodziewana napaść" — nie mogła doprowadzić do tak odmiennych rezultatów! Jeśli całe to nieszczęście wydarzyło się dlatego, że *„głupi i uparty Stalin, obawiając się dać Hitlerowi powód do napaści, zabronił doprowadzić wojska do gotowości bojowej"*, to dlaczego skutki tej złej (lub głupiej) decyzji rozłożyły się tak nierównomiernie?
Jak to się stało, że jedna dywizja lotnicza Frontu Zachodniego (9. MDL) straciła cztery razy więcej samolotów aniżeli osiem (!) dywizji frontów Północno–Zachodniego i Południowego razem wziętych?
Cowięcej, te same 11., 9. i 10. Dywizje Lotnicze, rozwinięte w rejonie Grodna, Białegostoku, Brześcia, chociaż uchodziły za *„mieszane"*, faktycznie były dużymi związkami lotnictwa myśliwskiego. W ich skład wchodziło 10 pułków lotnictwa myśliwskiego, 450 pilotów, a w ich uzbrojeniu (według stanu na i czerwca 1941 roku) było 616 samolotów myśliwskich, z czego 520 znajdowało się w stanie gotowości bojowej

[23]. Jednym słowem — to o półtora raza więcej niż liczba sprawnych samolotów myśliwskich w całym przeciwstawnym zgrupowaniu Luftwaffe (2. Flota Powietrzna).
Taka *„nadwyżka"* samolotów związana była z tym, że w czterech pułkach myśliwskich 9. MDL (206 pilotów) obok 237najnowszych migów było jeszcze 130 myśliwców *„starych typów"* (I–16, I–153). W ogóle w okręgu było jeszcze 20 najnowszych samolotów Jak–1, lecz szkolenie na nich w 10. MDL dopiero się rozpoczęło i dlatego nie zostały włączone do ogólnej liczby.
Bombardować lotniska, na których bazują tak uzbrojone pułki myśliwskie, jest równie bezpiecznie, jak wtykać patyk w gniazdo os. Dobrze jeszcze, jeżeli uda się po tym uciec...
Niezbędne są wyjaśnienia także w odniesieniu do sakramentalnej liczby 66.
66 lotnisk— to wcale nie *„wszystkie lotniska okręgów zachodnich"*. Było ich więcej. Dokładnej ich liczby wymienić niepodobna. Oszacowania charakteryzujące rozwój sieci lotniskowej okręgów zachodnich rzadko zgadzają się nawet w książce jednego autora. Możliwe, że jest to związane z tym, że w dobie samolotów o masie startowej do 2ton i prędkości lądowania do 120 kilometrów na godzinę samo pojęcie *„lotnisko"* cokolwiek się rozmywało, ponieważ latem w charakterze lotniska operacyjnego można było z powodzeniem wykorzystywać nawet równe pole po minimalnym tylko przygotowaniu.

Jesienią 1940 roku podjęto decyzję o doprowadzeniu liczebności lotnisk wojskowych do trzech na jeden pułk lotniczy (1 zasadnicze i 2 operacyjne) [1]. Zadanie to, jak i tysiące podobnych decyzji partii i rządu dotyczących przygotowania państwa do Wielkiej Wojny, wykonane zostało pomyślnie. Autorzy wspomnianej monografii [3] podają, że *„łącznie 116 pułków lotniczych nadgranicznych okręgów wojskowych posiadało 477 lotnisk (95 stałych i 382 operacyjne)"*.
Do tak oszałamiającego wyznania dołączono Tabelę nr 5. Drobnym drukiem dodano do niej komentarz, że liczby te — 95 stałych i 382 operacyjne — odnoszą się do stanu w dniu 1 stycznia 1941 roku. W styczniu na zachodzie ZSRR wieją porywiste, zacierające wszelki ślad wiatry. Dopiero z nadejściem wiosny zaczyna się okres prężnych prac budowlanych. W Tabeli nr 5 wykazano także, że w różnym stopniu gotowości znajdowało się jeszcze 278 budowanych lotnisk.
Szczególnie lotnictwo Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego, które poniosło największe straty od *„nagłego uderzenia na 26 lotnisk"*, posiadało (jeżeli wierzyć Tabeli nr 5) 29 głównych, 141 operacyjnych i 55 lotnisk w budowie. Również te dane odnoszą się do stanu w dniu 1 stycznia 1941 roku. Sześć miesięcy później jakaś część *„budowanych"* lotnisk przeszła do kategorii znajdujących się w gotowości bojowej.

9. MDL, która poniosła największe straty w pierwszym dniu wojny, posiadała dla swoich pięciu pułków 21lotnisk operacyjnych i 4 główne [2, 41]. Pogłoski o tym, że te lotniska znajdowały się w odległości strzału armatniego od granicy, są wyraźnie wyolbrzymione. W pasie przygranicznym zostały rozwinięte (i narażone na atak) polowe lotniska operacyjne. Kluczowe zaś mieściły się w pobliżu miast Białystok i Zabłudów (80 km od granicy), rzeki Ros (170 km od granicy), Bielska Podlaskiego (50 km od granicy).
Z pewnością elementarna rzetelność naukowa i przyzwoitość wymagały, aby wypadki tego fatalnego dnia mniej więcej tak zostały opisane:
„O świcie 22 czerwca 1941 roku 637 bombowców i 231 myśliwców Luftwaffe wykonało uderzenie na 31 lotnisk radzieckich sił powietrznych. Do końca dnia liczba zaatakowanych lotnisk wzrosła do 66, co stanowi 14% ogólnej liczby lotnisk w zachodnich okręgach wojskowych.
W absolutnej większości wypadków (w 22 z 25 dywizji lotniczych) *przeciwnik otrzymał zasłużoną odprawę, a straty radzieckiego lotnictwa były*

minimalne. I tylko trzy dywizje lotnicze Frontu Zachodniego (11., 9. i 10. MDL)*poniosły ogromne straty — 654 samoloty, co stanowiło 80% liczby samolotów w tych dywizjach. Przyczyny tych bezprzykładnych w historii drugiej wojny światowej strat dotychczas nie wyjaśniono*".
A straty były rzeczywiście bezprzykładne. W Części 1. mówiliśmy o uderzeniu wykonanym przez lotnictwo radzieckie 25 czerwca 1941 roku na Finlandię, w tym również na fińskie lotniska. Kożewnikow[34] w swej monografii przytacza takie oto liczby i fakty:
„Pierwsze zmasowane uderzenie [wykonano]*na 19 lotnisk. Wróg nie spodziewał się ataku, został faktycznie zaskoczony i nie potrafił zorganizować przeciwdziałania* (...) *W ciągu następnych pięciu dni te same lotniska i rozpoznane przez nasze załogi inne bazy zostały jeszcze kilkakrotnie skutecznie zbombardowane. Lotnicy radzieccy zaatakowali ogółem 39 lotnisk, wykonali około 1000 samolotolotów"* [27].
Opis ten praktycznie dosłownie pokrywa się ze standardowym opisem pierwszego uderzenia Luftwaffe na lotniska radzieckie. Parametry ilościowe są całkowicie porównywalne z działaniami niemieckiej 2. Floty Powietrznej na niebie zachodniej Białorusi. Różnica — a jest to różnica olbrzymia — dotyczy tylko jednej kwestii — rezultatów.
W pierwszym dniu operacji lotnicy radzieccy zniszczyli na lotniskach 30 (sic!) fińskich samolotów, kolejnych 11 zestrzelono w powietrzu. Widać różnicę? Ale być może Finowie posiadali w sumie tylko czterdzieści samolotów? Nie, na fińskich lotniskach było więcej samolotów.
W ciągu sześciu dni operacji, jak pisze marszałek Nowikow, *„wróg stracił w walkach powietrznych i na ziemi 130 samolotów"* [39].

Jednym z najbardziej zakorzenionych (i starannie podtrzymywanych) błędów jest wyobrażenie o tym, że 22 czerwca 1941 roku jedynym obiektem ataku stały się lotniska radzieckich sił powietrznych. Nic podobnego. Liczne radzieckie pułki lotnicze zdążyły, bądź co bądź, przystąpić do wykonania własnych *„wybitnie obronnych"* przedwojennych planów.
„Telefonistka połączyła nas z Windawą:
— Mogilewski? Jak sytuacja? W porządku? W e ź p a k i e t , k t ó r y l e ż y u c i e b i e w s e j f i e , o t w ó r z g o i d z i a ł a j t a k , j a k t a m n a p i s a n o (podkr. M.S.).

[34] — M. N. Kożewnikow, *op. cit*., s. 56.

Dowódca pułku (40. PLB — 52 sprawne SB, 48 załóg — M.S.) *potwierdził, że rozkaz zrozumiał i przystępuje do jego realizacji* (...) *o godzinie dziesiątej dwie 22 czerwca 1941 roku bombowce z czerwonymi gwiazdami wzięły kurs na zachód* (...) Ucieszył się major Mogilewski.
— Nalot na Königsberg, Taurogi i Kłajpedę zakończył się pomyślnie — poinformował telefonicznie. — Był potężny ogień przeciwlotniczy, ale bomby zrzucono dokładnie na obiekty. Nie ponieśliśmy strat.
Było to pierwsze uderzenie naszych bombowców na obiekty wojskowe na tyłach przeciwnika".
Wspomnienia komisarza 6. Dywizji Lotniczej A. G. Rytowa [54], w których znalazło się to przytoczone wyżej nadzwyczajne świadectwo, wydane zostały przez Wojenizdat w 1968 roku. Młody oficer Wołodia Rezun jeszcze wtedy nawet się nie domyślał, że przyjdzie mu zostać Wiktorem Suworowem, autorem **Lodołamacza**...
Komisarz Rytów słusznie szczyci się sukcesem swoich towarzyszy bojowych, ale tak naprawdę nie ma racji. Uderzenie I bombowe 40. PLB nie było pierwszym nalotem na terytorium Niemiec.
„22 czerwca 1941 roku o g. 4.50 25 samolotów SB ze składu 9. PLB lotnictwa Frontu Północno–Zachodniego wyleciało na bombardowanie niemieckiego lotniska pod Tylzitem(Tylżą — dop. tłum.)" [**WIŻ**, 1988, nr 8].
Jak na rzetelnego historyka przystało, A. G. Fiedorow przytacza po tej informacji także źródło archiwalne, na które się powołuje (CAMO, f. 861, op. 525025, d. 2). Szczególnej wartości temu świadectwu dodaje i to, że ogłosił je nie tylko profesjonalny historyk, autor jednej z lepszych *„przedpierestrojkowych"* książek o dziejach radzieckich sił powietrznych [41], lecztakże pilot wojskowy, który od listopada 1941 roku dowodził tym właśnie 9. PLB.
I cóż? Żadnemu z historyków ani pamiętnikarzy niemieckich nawet do głowy nie przyszło nadać tym nalotom znamion jakiejś przypadkowości. Na wojnie jak na wojnie — my bombardujemy ich

lotniska, oni bombardują nasze…
Ciszej, mówcy! Doskonale słyszę wasze okrzyki z sali:
„Ale czy można porównywać nasze siły powietrzne z lotnictwem niemieckim (…) *U nas lotnicy mieli po sześć godzin wylatanych „na pudełeczkach* (…) *Beznadziejnieprzestarzałe samoloty… Żadnej łączności radiowej"*.
Nie ma problemu. Porównajmy Niemców z… Niemcami.
W pierwszym dniu Blitzkriegu na Zachodzie, 10 maja 1940 roku, Luftwaffe wykonała uderzenie na 47 lotnisk francuskich. Goebbels ogłosił wtedy fantastyczny sukces tej operacji, a radzieccy historycy, z uczuciem głębokiej ulgi, powtarzali tę brednię przez sześć dziesięcioleci z rzędu. W rzeczy samej Francuzi w pierwszym dniu stracili na ziemi 20 (sic!) samolotów bojowych, a kolejnych 40 zostało uszkodzonych [57].
Przed rozpoczęciem *„drugiego generalnego natarcia"*, 3 czerwca 1940 roku, Niemcy wykonali jeszcze jedno zmasowane uderzenie na lotniska francuskich sił powietrznych. Rezultat: 16 samolotów zniszczonych i 7 uszkodzonych na ziemi, 32 zestrzelone w toku walk powietrznych, jakie wywiązały się nad lotniskami. Jeszcze wymowniej prezentują się straty lotnictwa angielskiego w toku majowych walk nad Francją. W ciągu pierwszych sześciu dni Królewskie Siły Powietrzne straciły 74 samoloty myśliwskie w powietrzu i tylko 4 na ziemi. W następnych dwóch dniach Anglicy stracili 28 hurricanów w powietrzu — i ani jednego na lotniskach [57].
Naloty Luftwaffe na lotniska południowej Anglii w toku słynnej bitwy o Anglię również nie były skuteczne. W ciągu pierwszych czterech dni ofensywy lotniczej (operacja *„Adlertag"*), od 12 do 15 sierpnia 1940 roku, Niemcy zniszczyli na lotniskach 47 myśliwców angielskich, tracąc przy tym 122 samoloty!
Dodać przy tym należy, że ogólna liczebność trzech niemieckich flot powietrznych, które uczestniczyły w operacji *„Adlertag"*, nie była wcale mniejsza niż na początku operacji *„Barbarossa"*, i jedynym zadaniem bojowym tej armady powietrznej było zdławienie angielskiego lotnictwa; natomiast podczas agresji na ZSRR Luftwaffe musiała wydzielić znaczną część sił do wsparcia ogniowego wojsk lądowych, niszczenia dróg i przepraw na tyłach Armii Czerwonej, rozpoznania operacyjnego i strategicznego itd.
Niewiele skuteczniej działali nasi sojusznicy. Na przykład 5 kwietnia 1944 roku 456 amerykańskich mustangów i Hun derboltów wykonało zmasowane uderzenie na 11lotnisk niemieckiego lotnictwa myśliwskiego, niszcząc na ziemi i w powietrzu łącznie 53 niemieckie samoloty myśliwskie [76, 77]. A to jeden z najbardziej udanych epizodów wojny w dziejach alianckiego lotnictwa.
Więc skąd wzięła się ta super–hiper–ekstraefektywność, którą się Luftwaffe rzekomo wykazała 22 czerwca 1941 roku?

Autor uczciwie uprzedzał czytelnika — sensacji nie będzie. Żadnych *„nieznanych dotąd dokumentów z prezydenckiego archiwum"*, żadnych tajnych i dlatego nikomu nieznanych*„wspomnień doradcy Stalina"*. Nic oprócz nudnego, nieciekawego, skrupulatnego badania jawnych i — w zasadzie — ogólnodostępnych źródeł.
Spece od*„płaszcza i kindżału"* twierdzą, że właśnie takimi drogami zdobywa się największą część całej informacji rozpoznawczej ...
Zacznijmy od początku. Czy w rzeczywistości doszło do zdarzenia, którego przyczyny chcemy ustalić?
To, że 11., 9. i 10. MDL zostały całkowicie rozgromione, żadnych wątpliwości nie budzi. Fakt ten potwierdzają setki naocznych świadków — szeregowcy i dowódcy wojsk lądowych, jak również piloci i dowódcy pułków bombowych Frontu Zachodniego. Wszyscy oni od pierwszego dnia wojny nie mieli osłony myśliwskiej, którą powinny zapewnić właśnie te trzy dywizje. 24 czerwca korpus lotniczy pułkownika Skripki stracił 29 samolotów w 170 lotach bojowych. To ogromne straty. Gdy 17 sierpnia 1943 roku straty Amerykanów doszły do takiego właśnie poziomu (17% w stosunku do liczby lotów), to na całe siedem tygodni zaniechali oni dziennych nalotów na Niemcy.
Nie budzi żadnych wątpliwości także to, że dużą część swych samolotów te trzy dywizje utraciły właśnie na ziemi. Potwierdzeniem tego mogą być relacje niemieckich myśliwców o liczbie zestrzelonych przez nich w powietrzu samolotów radzieckich. Były to liczby niewielkie i stanowiły one zaledwie niewielki odsetek ogólnej liczby strat 9., 10. i 11. Dywizji Lotniczej.
Tak więc lotnicy największego (tak w 2. Flocie Powietrznej, jak i w całym zgrupowaniu Luftwaffe na Froncie Wschodnim) związku lotnictwa myśliwskiego, eskadry JG 51, zameldowali 22 czerwca o 69 zestrzelonych w powietrzu samolotach radzieckich [63]. Wśród nich było tylko 12 myśliwców, pozostałe 57stanowiły bombowce.
12 zestrzelonych myśliwców mogło należeć jedynie do 9. i 10. Mieszanej Dywizji Lotniczej (22 czerwca dywizja myśliwska Zacharowa była dopiero przerzucana z głębokich tyłów w strefę działań bojowych). Co się zaś tyczy 57 zestrzelonych bombowców, to można z dużą pewnością założyć, że były to samoloty z 13. DLB generała Połynina i bombowce dalekiego zasięgu z 3. KLBDZ pułkownika Skripko. Nasze przypuszczenie oparte jest na tym, że wchodzące w skład 9. i 10. MDL pułki bombowców (13. i 39. PLB) strat w powietrzu, jak zostanie to wykazane poniżej, praktycznie nie poniosły. Z drugiej strony i Połynin, i Skripko piszą o dziesiątkach zestrzelonych przez messerschmitty samolotów, które ich pułki straciły w pierwszym dniu wojny.
Na uwagę zasługuje, że oficjalny komunikat dowództwa niemieckiego stwierdzał, iż piloci Luftwaffe zestrzelili w pierwszym dniu wojny 322 samoloty radzieckie.Natomiast nasze samoloty myśliwskie zestrzeliły 22

czerwca około 250–300 samolotów niemieckich, a blisko 50 maszyn zestrzelonych zostało przez środki naziemnej obrony przeciwlotniczej. Właśnie takie liczby znajdują się w dziesiątkach publikacji. Innymi słowy przedstawiane tak przez jedną, jak i drugą stronę liczby zwycięstw w powietrzu były w przybliżeniu równe. Jakie zaś były rzeczywiste rezultaty? Najprawdopodobniej także zbliżone, ale 2–3 razy mniejsze. D. Chazanow, powołując się na archiwum państwowe we Fryburgu, informuje, że w pierwszym dniu wojny Luftwaffe straciła bezpowrotnie na skutek*„oddziaływania przeciwnika"* 57 samolotów, a kolejne 54 maszyny zostały uszkodzone. Niewykluczone, że liczby te mimo wszystko były większe, ponieważ w tym dniu utracono jeszcze 6samolotów, a 50 miało uszkodzenia różnego rodzaju, rzekomo *„bez oddziaływania przeciwnika"* (do kategorii tej Niemcy zaliczali na przykład każdy samolot, który się rozbił przy przymusowym lądowaniu). Absolutnie dokładnych liczb nie poznamy nigdy, ale żadnej *„rzezi źle wyszkolonych pilotów radzieckich przez niemieckich superasów"* również nie było. Taki wniosek potwierdzają wszystkie znane dzisiaj konkretne szczegóły tego fatalnego dnia.

Kijowski historyk I. A. Gulas, który rzetelnie przekopał się przez górę literatury, opracował najbardziej pełny i dokładny (ze znanych autorowi) przegląd wydarzeń pierwszego dnia wojny w powietrzu [58]. Z jego pracy wyłania się następujący obraz wydarzeń.

123. PLM (71 pilotów, 53 sprawne I–153, bazujący w rejonie Brześć–Kobryń), tocząc walkę na przestarzałych czajkach przeciwko myśliwcom z eskadry Móldersa, zestrzelił ponad 20 samolotów niemieckich różnych typów, tracąc w walkach powietrznych jedynie 9 własnych samolotów.

Te dziewięć czajek stanowi (jak wynika z analizy I. Gulasa) największe straty bojowe wśród wszystkich pułków myśliwskich lotnictwa okręgów zachodnich.

Równie zacięte — i ogólnie rzecz biorąc skuteczne — walki powietrzne toczyły pułki 127. (53 pilotów, 65 sprawne I–153) i 122. (50 pilotów, 60 sprawnych I–16) ze składu 11. MDL. Lotnicy tych pułków zameldowali o 20 i 15 zestrzelonych samolotach niemieckich. Przynajmniej jedno z tych zwycięstw okazało się dla Niemców bardzo dotkliwe: na niebie nad Grodnem zestrzelony został dowódca JG 27, najbardziej doświadczony as niemiecki, weteran walk powietrznych w Hiszpanii major W. Schellmann. Ale nie była to jedyna strata wśród dowódców Luftwaffe w tym dniu. Zestrzeleni zostali i polegli: dowódca grupy bombowej II/KG 51 Stadelmeier i dowódca grupy myśliwskiej II/JG 53, odznaczony Krzyżem Rycerskim już w październiku 1940 roku, kapitan Bretnutz.

Oceńmy również osobiste sukcesy myśliwców. Najlepszy podówczas as niemiecki, dowódca JG 51 ppłk Werner Mölders, zameldował o jednej

zestrzelonej czajce (I–153 ze składu 123. PLM) i trzech SB (przypuszczalnie z 13. DLB). Nasz młody lejtnant Iwan Nikołajewicz Kałabuszkin zaś, pilotując powolny dwupłatowiec I–153, zestrzelił 22 czerwca dwa najnowsze Me–109F z eskadry Móldersa, dwa junkersy i jednego heinkla. Andriej Stiepanowicz Daniłow ze 127. pułku na takiej samej czajce zestrzelił 22 czerwca trzy Me– 110 i jednego heinkla. Cztery samoloty niemieckie zestrzelił, po wykonaniu dziewięciu lotów bojowych w pierwszym dniu wojny, dowódca eskadry tego samego pułku lejtnant (późniejszy generał) S. J. Żukowski.

„Przy najmniejszym zorganizowanym oporze Niemcy przerywają atak i oddalają się (...) *unikają nawiązywania walki z naszymi samolotami myśliwskimi; po napotkaniu zorganizowanego oporu ustępują nawet przy przewadze ilościowej z ich strony* (...)*na lotniska radzieckie, gdzie stacjonują prowadzące aktywne działania jednostki myśliwskie, które choć raz stawiły opór niemieckiemu lotnictwu, przeciwnik zaprzestawał zmasowanych nalotów"*. To fragmenty meldunku***„Wnioski z bojowego zastosowania sił powietrznych Frontu Zachodniego"***, podpisanego 10 lipca 1941 roku przez dowódcę lotnictwa frontu pułkownika Naumienkę [90].

Nawet biorąc pod uwagę nieuniknioną przesadę w liczbie zestrzelonych samolotów wroga i nieunikniony subiektywizm wszelkich sprawozdań i meldunków — nie sposób zakwestionować, że radzieckie *„jednostki myśliwskie, prowadzące aktywne działania"*, wykazały w tych dniach nie tylko ogromną odwagę i bohaterstwo, lecz także najwyższy bojowy kunszt.

Sukcesy największej (i najlepiej ze wszystkich uzbrojonej) 9. MDL były w pierwszym dniu wojny bardzo skromne, lecz za to straty poniesione przez nią w powietrzu były minimalne, albowiem:

— żadnych wzmianek o działaniach bojowych i stratach w powietrzu 41. PLM (63 pilotów, 56 MiG–3 i 22 I–16) nie udało się autorowi w ogóle odnaleźć;

— działania bojowe pułków 124. i 126. (103 pilotów, 120 MiG–3 i 52 I–16) znalazły odzwierciedlenie w opisie walk powietrznych, które wczesnym rankiem (od godziny 4 do 9 rano) prowadzili piloci Krugow, Kokariew (wykonał jeden z pierwszych taranów powietrznych), Ałajew, Uszakow, Panfiłow (jeszcze jeden taran), Żurawlew. W sumie zestrzelonych zostało 8 samolotów wroga, a w walkach powietrznych 22 czerwca utracono 3–4 własne.

Najbardziej dokładne informacje znajdujemy w opisie działań bojowych czwartego w kolejności pułku myśliwskiego 9. MDL — 129. (40 pilotów, 61 MiG–3 i 57 I–153). Tu do dyspozycji mamy powojenne wspomnienia byłego komisarza tego pułku W. P. Rulina.

22 czerwca 1941 roku, o godzinie 04.05 dowódca pułku kapitan J. M. Berkal ogłosił alarm bojowy i podniósł wszystkie cztery eskadry w

powietrze. Bombowce niemieckie usiłowały zbombardować polowe lotnisko pułku w miejscowości Tarnowo, ale zaatakowane przez nasze samoloty myśliwskie bezładnie zrzuciły bomby i zawróciły. W tej walce powietrznej piloci Sokołow, Kuzniecow, Nikołajew zestrzelili dwa bombowce He–111 i jednego osłaniającego je Me–109. Młodszy lejtnant Cebienko w walce nad Łomżą zestrzelił jeszcze jeden wrogi myśliwiec. Łącznie rankiem 22 czerwca pułk zestrzelił 6 samolotów, tracąc jeden własny.
1 ze 118.
Czy takie straty mogły doprowadzić do całkowitej klęski tych pułków i całej 9. MDL?
Powtórzmy raz jeszcze: klęska trzech dywizji lotniczych (11., 9., 10.) Frontu Zachodniego mogła nastąpić — i wydarzyła się w rzeczywistości — tylko i wyłącznie n a z i e m i.

WSZYSCY — DO BAŁBASOWA

Oto doszliśmy do momentu, kiedy już trzeba wyjaśnić: dlaczego autor z takim uporemwyważa otwarte drzwi i udowadnia to, z czym nigdy nikt z rodzimych historyków nawet nie dyskutował.

Problem w tym, że okoliczności samego *„zniszczenia na ziemi"* mogły być najrozmaitsze. Na przykład, na zdobyte kilka dni (lub tygodni) wcześniej lotnisko radzieckie przybywa oddział służb tyłowych w składzie jednego feldfebla i dwóch żołnierzy. Feldfebel starannie przelicza *„według ogonów"* porzucone na lądowisku samoloty, po czym żołnierze wylewają benzynę z baków na ziemię i szczękają zapalniczką…

Czy nie m ożna tego uznać za *„zniszczenie na ziemi"*? Co więcej, jeśli feldfebel należał do służb naziemnych Luftwaffe (a tak właśnie było najczęściej), to samoloty można słusznie uznać za *„zniszczone przez niemieckie lotnictwo"*!

Oczywiście radzieccy historycy– propagandziści mieli na względzie całkiem inne *„obrazki"*.
Niespodziewana napaść, spokojnie śpiące lotniska, łatwowierny Stalin, który *„zabraniał zestrzeliwać niemieckie samoloty"*. A przecież, co ciekawe — dzięki wielokrotnemu wbijaniu do głów właśnie taka wersja (sporna i dziwaczna, zaprzeczająca całemu doświadczeniu użycia lotnictwa bojowego w latach drugiej wojny światowej) przekształciła się w niewymagający żadnych dowodów aksjomat.
Czy nie pora już zapytać: kto widział tę *„najbardziej niespodziewaną napaść"* i zniszczone w pierwszych porannych godzinach samoloty? Obszar występu białostockiego, w którym zostały rozwinięte 11., 9. i 10. MDL, bezładnie cofająca się Armia Czerwona porzuciła w pierwszych 2–3 dniach wojny. Przez cały ten czas ani Sztab Generalny w Moskwie, ani dowództwo frontu w Mińsku nie otrzymały ani jednego wyraźnego meldunku o stanie spraw i miejscu pobytu swoich oddziałów. Czy naprawdę któryś z uczestników tego niezwykłego *„marszu–drapaka"* (podczas którego przepadły dziesiątki generałów i tysiące czołgów) potrafił zestawić wiarygodny wykaz porzuconych na lotniskach samolotów? I szczegółową listę uszkodzeń tychże samolotów spowodowanych atakiem wrogiego lotnictwa? A

jeżeli taki *„wykaz"* istnieje, to dlaczego nie opublikowano go w ciągu minionych sześciu dziesięcioleci? Skąd w ogóle wzięły się liczby dotyczące samolotów *„zniszczonych na ziemi"*?
W akademickiej, poważnej monografii Kożewnikowa po informacji o stratach lotnictwa Frontu Zachodniego jest odsyłacz. Do czego? Do

popularnej książki (**Awiacija i kosmonawtika SSSR**)[35]. Jest to tak samo stosowne, jak— na przykład — powoływanie się na powieść w monografii o projektowaniu okrętów podwodnych. Dochodzi do tego w sytuacji, gdy w dziesiątkach innych, znacznie mniej ważnych wypadków Kożewnikow daje — jakjest to przyjęte w analizie historycznej o takiej skali — odsyłacze do zbiorów archiwalnych. Wątpliwe, aby była to przypadkowa niedbałość. Najprawdopodobniej nawet nie miał na co się powołać.

Największa z rozbitych — 9. Dywizja Lotnicza, która poniosła największe straty od *„nagłego uderzenia na lotniska"* — po prostu zniknęła. Żadne jej archiwa się nie zachowały [56]. Dowódca dywizji, bohater Związku Radzieckiego generał major S. Czernych został aresztowany 26 czerwca 1941 roku i później rozstrzelany. A aresztowano go w… Briańsku! W. Anfiłow, który pierwszy opublikował tę informację [40, s. 111], wyjaśnia takie Przebazowanie o tysiąc wiorst od strefy działań bojowych po prostu tym, że dowódca 202. MDL *„uciekł z frontu"*.

Ale być może o swoim niebywałym sukcesie w zniszczeniu lotnictwa Frontu Zachodniego zameldowali lotnicy niemieccy?

O godzinie 13.30 22 czerwca 1941 roku Halder odnotowuje w swoim dzienniku napływające do Sztabu Generalnego Wehrmachtu meldunki o rezultatach pierwszego uderzenia niemieckiego lotnictwa: *„Nasze siły powietrzne zniszczyły 800 samolotów przeciwnika:* (1. Flota Powietrzna — 100 samolotów, 2. Flota Powietrzna — 300 samolotów na Białorusi: pas natarcia Grupy Armii *„Środek"* — M.S.)*, 4. Flota Powietrzna— 400"*.

Do końca dnia liczby te prawie się nie zmieniły:

„Dowództwo Luftwaffe zakomunikowało, że w dniu dzisiejszym zniszczono 850 samolotów przeciwnika" [12].

Dowódca Frontu Zachodniego generał armii D. G. Pawłow aresztowany został 4 lipca i rozstrzelany 22 lipca 1941 roku. Nigdy nie przeczytał dziennika wojennego Haldera. Protokoły przesłuchań Pawłowa po raz

[35] — Por. — M. Kożewnikow, *op. cit.* s. 47.

pierwszy opublikowane zostały w 1992 roku. Ani sam Halder, ani jego wydawcy nie czytali tych protokołów. Niemniej Pawłow wymienia (protokół przesłuchania z 7 lipca) dokładnie taką właśnie liczbę dotyczącą strat lotnictwa frontu jak Halder [67]: *„Łącznie w tym dniu (22 czerwca) utracono do 300 samolotów ws zystkich typów, w tej liczbie także szkolnych"*.

Zwróćmy uwagę, jak zbudowano zdanie: *„do 300…"*, *„wszystkich typów…"*, *„także szkolnych…"*

Mówiąc wprost, Pawłow wie, że straty samolotów bojowych były

znacznie mniejsze, ale, jak to się mówi, *„sytuacja zobowiązuje"* go do przesady.
Haldertakże wyolbrzymia co prawda skalę strat radzieckiego lotnictwa, ale z innego powodu.
Na szczęście mamy możliwość porównać meldunki dowódców Luftwaffe z bardziej wiarogodnymi świadectwami.
21 sierpnia 1941 roku dowódca Sił Powietrznych Frontu Południowo–Zachodniego generał lejtnant F. A. Astachow (nawiasem mówiąc, najstarszy rosyjski lotnik, który dowodził lotnictwem 5. Armii jeszcze w latach wojny domowej) podpisał meldunek o działaniach bojowych lotnictwa frontu na początku wojny [90].
Oto, co na temat *„nagłego uderzenia na lotniska"* powiedziano w tym meldunku:
„Pierwsze naloty przeciwnika na nasze lotniska w strefie przyfrontowej nie w y r z ą d z i ł y poważnych strat naszym oddziałom lotniczym (podkr. M.S.)*, ale w rezultacie słabego kierownictwa ze strony dowódców dywizji i pułków lotniczych* (...)*przeciwnik powtórnymi uderzeniami w ciągu 22.06.41 roku i w następnych dwóch dniach zadał naszym oddziałom lotniczym znaczne straty, niszcząc i uszkadzając na naszych lotniskach w ciągu 22, 23 i 24 czerwca 1941 roku 237 samolotów..."*
Liczba ta — 237 zniszczonych na ziemi (bez uściślenia liczby *„uszkodzonych"*!) samolotów — długie lata błąkała się na kartach książek naszych z bożej łaski pisarzy, lecz przy tym żaden z nich nie powiedział, że są to straty z pierwszych trzech dni, a nie z pierwszego nalotu Niemców. A to bynajmniej nie to samo. 24 czerwca o *„nagłej"* napaści wiedzieli już nawet hodowcy reniferów z Czukotki...

Generał Astachow objął dowodzenie Siłami Powietrznymi Frontu Południowo–Zachodniego dopiero 26 czerwca 1941 roku. Za straty pierwszych dni wojny nie ponosi on odpowiedzialności (22 czerwca Astachow dowodził jeszcze szkołami lotnictwa Armii Czerwonej). Jeśli byłby więc osobiście zainteresowany — to tylko wyolbrzymianiem rozmiaru strat poniesionych przez lotnictwo frontu przez jego poprzednika. Niemniej porównanie jego sprawozdania z notatkami Haldera dowodzi, że niemieccy piloci też ściśle trzymali się zasady *„trzy piszemy, jeden — w pamięci"*.
Najpewniej nie pomylimy się zbytnio, jeżeli oszacujemy ogólne straty bojowe lotnictwa Frontu Zachodniego poniesione w dniu 22 czerwca 1941 roku na 100–150 samolotów, w tej liczbie także kilkadziesiąt samolotów rzeczywiście spalonych przez niemieckie lotnictwo na przygranicznych lotniskach 11., 9. i 10. MDL. Wszystkie pozostałe *„zniszczone na ziemi"* samoloty przepadły, w naszym mniemaniu, w toku przedsięwzięcia pod niewinną nazwą Przebazowanie.
W 129. PLM (9. MDL) odbywało się to następująco. W połowie tego

dnia pułk (myśliwski!) zdecydowano *„wyprowadzić spod uderzenia"*. Przeleciał do Dobżenowki. Następnie — na duże lotnisko do miejscowości Kwatera (to już około 100 kilometrów od granicy). Uwzględniając to, że w pułku było blisko trzy razy więcej samolotów aniżeli pilotów, można założyć, że już w toku tej pierwszej fazy przebazowania dziesiątki nowiuteńkich MiG– 3 porzucono na ziemi, po czym ozdobiły one zwycięskie komunikaty Luftwaffe. Wieczorem tego samego 22 czerwca lotnisko w Kwaterze poddane zostało 15–minutowym działaniom szturmowym dwóch eskadr Me–110. Po tym, jak pisze w swoich wspomnieniach Rulin, *„resztki* (?— M.S.)*pułku przeleciały do Baranowicz"*. Ostatnie pięć migów zostało porzuconych w Baranowiczach z powodu zniszczenia pasa startowego lotniska w wyniku bombardowań niemieckich. W dniu 23 czerwca *„dowódca rozkazał pozostałemu składowi osobowemu zebrać się na lotnisku Bałbasowo — w punkcie zbiórki składu latającego i technicznego pułków lotniczych okręgu"* [66].

Bałbasowo pod miastem Orsza to 550 kilometrów na wschód od granicy. Kiepsko. Gdyby niemieckie myśliwskie eskadry zdecydowały się *„wyjść spod uderzenia"* z podobnym rozmachem przestrzennym, to znalazłyby się na przedpolach Berlina…

Czytelnik powinien się teraz oburzyć: *„A cóż można było jeszcze uczynić, jeżeli lotnisko zostało zniszczone! Dźwigać samoloty na sobie?"*

Przypuszczenie słuszne. Właśnie tak powinno się obchodzić z nadzwyczaj kosztownym sprzętem wojskowym. Dźwigać na sobie. Poczytajcie wspomnienia Pokryszkina, w których lotnik bardzo szczegółowo opisuje, jak ratował swego rozbitego miga po przymusowym lądowaniu, jak ciągnął go dziesiątki kilometrów po drogach odwrotu… Lecz z tematem naszej dyskusji nie ma to żadnego związku. Lotnisko w Baranowiczach było całkowicie zdatne do bojowego wykorzystania.

O godzinie 6 rano 22 czerwca dowódca sił powietrznych Frontu Zachodniego I. Kopiec rozkazał dowódcy 43. DLM G. Zacharowowi jednym pułkiem myśliwskim osłonić Baranowicze — miasto i duży węzeł kolejowy. Do wykonania tego rozkazu G. Zacharow, którego sztab mieścił się właśnie w Bałbasowie, przebazował do Baranowicz swój 162. PLM (54 myśliwce I–16).

„O godzinie dziewiątej rano pułk wylądował w Baranowiczach — pisze w swoich pamiętnikach generał Zacharow — po pierwszych uderzeniach bombowych hitlerowców lotnisko w Baranowiczach prawie nie ucierpiało".

Ale to przecież dopiero po pierwszych uderzeniach… Być może zniszczyli je potem, właśnie wtedy, gdy do Baranowicz przebazowały się *„resztki"* 129. PLM?

„W nocy na 23 czerwca Niemcy próbowali zbombardować lotnisko, lecz

próba została udaremniona i bombardowanie było nieudane (...) *Od rana 23 czerwca wciągu dwóch dni pułk walczył bez przerwy i w tym czasie piloci Piatin, Owczarow, Bierieżnoj i inni odnieśli pierwsze zwycięstwa... Podczas pierwszych trzech dni pułk nie stracił w walkach ani jednego pilota"* [55].

Taka to u nas była *„dziwna wojna"*. Jedni przebazowują się z zachodu na wschód, inni — ze wschodu na zachód. Jedni — do Bałbasowa, inni — z Bałbasowa. Dla jednych lotnisko jest przydatne do tego, aby trzy dni na nim walczyć, nie tracąc przy tym ani jednego pilota. Inni nawet poderwać się z niego nie mogą, wobec tego porzucają najnowsze samoloty Myśliwskie...

W pamiętnikach Zacharowa jest jeszcze jeden, ogromnie ważny szczegół:

„Po wylądowaniu w Baranowiczach (wczesnym rankiem 22 czerwca — M.S.) *piloci 162. pułku zobaczyli kilka bombowców Pe–2 i Su–2, kilka myśliwców MiG–1, MiG–3, a nawet myśliwce Jak–1. Były to załogi z różnych pułków i dywizji lotniczych, którym w pierwszych minutach wojny udało się poderwać pod bombami"*.

Jednym słowem, jacyś piloci 9. dywizji (a tylko w niej znajdowały się migi) rozpoczęli Przebazowanie z własnej inicjatywy, nie czekając na żadne rozkazy, już w pierwszych minutach wojny. Pod wieczór tych jednorazowych *„sokołów"* było znacznie więcej. Zacharowpisze, że na lotnisku w Mińsku odkrył *„samoloty rozmaitych typów, zupełnie nie zamaskowane, wszystko było zapchane sprzętem"*.

Mińsk — to*„zaledwie"* 350 kilometrów od frontu. Znaleźli się jednak i tacy aktywiści przebazowania, którzy w pierwszych godzinach wojny potrafili dolecieć aż do Smoleńska!

„W zatrważający wojenny poranek 22 czerwca 1941 roku na lotniskach naszego korpusu lotniczego zaczęły lądować pojedyncze samoloty myśliwskie pułków lotnictwa armijnego Frontu Zachodniego.

Po zaciętych walkach powietrznych wiele z nich nie mogło już wylądować na swoich uszkodzonych lotniskach, a niektóre od razu zostały przekierowane na lotniska zapasowe, w tym także nasze" [50].

To fragmenty wspomnień marszałka lotnictwa Skripki. Jego 3. Korpus Bombowy Dalekiego Zasięgu (o czym wspominaliśmy już wyżej) stacjonował przed wojną w rejonie Smoleńska (700 kilometrów od ówczesnej granicy państwowej). Mało który myśliwiec doleciałby tam z Brześcia lub Białegostoku, a już o tym, aby takiego przelotu mógł dokonać po *„zaciętej walce powietrznej"*, nawet mowy być nie mogło!

Jeszcze bardziej niesamowicie dźwięczą słowa o tym, że już od rana pierwszego dnia wojny ktoś, nie wiedzieć po co, *„przekierował"* lotnictwo myśliwskie na głębokie tyły. Czyżby lotnictwo myśliwskie tworzono tylko po to, aby po pierwszych wystrzałach rozpocząć brawurowe *„wyjście spod uderzenia"*?

Po południu 22 czerwca 1941 roku zapoczątkowane *„z inicjatywy oddolnej"* Przebazowanie nabrało charakteru masowej ucieczki. W.I. Olimpijew urodził się w roku 1922 i był jednym z nielicznych rekrutów z 1940 roku, którym udało się dożyć zwycięstwa. Na stronie internetowej *„Pamiętam"* opublikowano jego wspomnienia o wojnie, którą Wsiewołod Iwanowicz przeszedł od pierwszego do ostatniego dnia, od Białegostoku po Moskwę i do Berlina. W Białymstoku sierżant Olimpijew służył jako dowódca pododdziału telefonistów sztabu 9. MDL. Oto dlaczego, pomimo tak skromnej rangi, Wsiewołod Iwanowicz widział i wiedział sporo. Jego pamiętniki zasługują na to, aby przytoczyć je dokładnie, kładąc nacisk na niektóre kluczowe słowa: *„Po powrocie z dyżuru do koszar późnym wieczorem 21 czerwca 1941 roku z przepustką na niedzielę w kieszeni już zapadłem w drzemkę, kiedy przez sen usłyszałem głośną komendę. «Do broni». Spojrzałem na zegar — około drugiej w nocy. Alarm bojowy nas nie zdziwił, ponieważ szykowały się kolejne manewry wojskowe* (...)*Prawie się rozwidniło, kiedy nasz specjalny samochód ciężarowy, przeznaczony do rozwijania i zwijania kabla, dotarł na lotnisko wojskowe na peryferiach miasta. Wciąż było cicho. Rzucały się w oczy zamaskowane w okopach wzdłuż pasa startowego 37–mm działa przeciwlotnicze* (a ile było lamentów z powodu braku osłony przeciwlotniczej na naszych lotniskach! — M.S.), *uzbrojone w karabiny patrole miały na głowach hełmy* (...) *Dosłownie na parę minut przed początkiem bombardowania na pasie startowym, jak przekonaliśmy się sami, było cicho, nie było słychać ryku podgrzewanych silników i w ogóle nic nie mówiło o gotowości do startu choćby eskadry dyżurnej* (zgodnie z Regulaminem Bojowym BUIA–40 w każdym pułku po 2 eskadry powinny znajdować się w gotowości do niezwłocznego startu — M.S.). *Podobno lotników nawet nie powiadomiono o tym, że eskadry przeciwnika już przecięty naszą granicę. Trudno to wytłumaczyć złą pracą łącznościowców* (...)*Przez pierwszą połowę dnia dyżurowałem przy telefonie na zapasowym stanowisku dowodzenia dowódcy 9. MDL* (...)*pod koniec dnia 22 czerwca otrzymałem telefonicznie r o z k a z r z u c i ć w s z y s t k o i możliwie jak najszybciej powrócić do sztabu dywizji* (...) *Wszystkie jednostki lotnicze otrzymały r o z k a z*

o p u s z c z e n i a m i a s t a i n a t y c h m i a s t o w e g o wycofania się na wschód (...) *Późnym w i e c z o r e m 2 2 c z e r w c a kolumna jednostek lotniczych opuściła Białystok i już wczesnym rankiem w poniedziałek była daleko za miastem* (...) *W samochodach znajdowali się t y l k o w o j s k o w i z błękitnymi naszywkami* (...)*o świcie 23 czerwca kolumna oddziałów lotniczych poruszała się wzdłuż szosy na Baranowicze (to już 250 kilometrów na wschód od granicy)* (...)*w dniu 24 czerwca kontynuowaliśmy marsz na wschód*.

Ten wtorek był faktycznie kresem 9. MDL (...)*O świcie 25 czerwca zobaczyliśmy w dole zaciemnione miasto Orsza"*.
I w ten sposób znaleźliśmy się w Bałbasowie...
Praktycznie tak samo i z takimi samymi skutkami odbywało się Przebazowanie 10. MDL pułkownika Biełowa. W skład tej dywizji lotniczej, stacjonującej na wschód od Brześcia, w rejonie Kobryń–Prużany, wchodziły dwa pułki myśliwskie (123. i 33.), pułk bombowy (39.) oraz pułk szturmowy (74.).
Pułkownik Biełow doczekał zwycięstwa (ale, co prawda, powitał je w tym samym stopniu pułkownika — okoliczność wśród dowódców lotniczych niebywale rzadka). W najgłębszych *„latach zastoju"* (w 1977 roku) wydane zostały jego wspomnienia o pierwszym dniu wojny. Tytuł — **„Gorące serca"**. Ton narracji — odpowiedni do tytułu. Niemniej na pięciu kartkach tekstu rozrzucono diamenty najcenniejszej informacji [44]:
„20 czerwca otrzymałem telegram z rozkazem dowódcy lotnictwa okręgu: doprowadzić oddziały do gotowości bojowej, urlopy dla oficerów wstrzymać, a znajdujących się na urlopach— odwołać do jednostki (...) *Dowódcy pułków otrzymali również mój rozkaz: samoloty rozśrodkować poza granicami lotniska, składu osobowego nie wypuszczać z rejonu obozu"*.
Tutaj niezbędne jest krótkie uściślenie. Analogiczne rozkazy — o doprowadzeniu do gotowości bojowej, o rozśrodkowaniu i maskowaniu samolotów, o przeniesieniu składu osobowego do koszar — wydane zostały nie tylko w 10. MDL. G. Zacharowna przykład wspomina: *„Wszyscy urlopowicze zostali odwołani i powrócili do oddziałów, przepustki na sobotę i niedzielę odwołałem, zwiększona została liczba dyżurnych kluczy, eskadr"*.
A oto fragment wspomnień podpułkownika P. Cupki o sytuacji w 13. PLB (9. MDL):
„Od świtu do zmroku eskadry zamaskowanych samolotów z podwieszonymi bombami i uzbrojeniem oraz z załogami utrzymywano w pogotowiu. Było to bardzo męczące (...)*lecz innego wyjścia nie było. W pułku było pięć eskadr po dwanaście załóg w każdej. Dyżur pełniły zazwyczaj trzy z nich, pozostałe szkoliły się, latały. Po upływie doby eskadry się zmieniały"* [64].
Te rozkazy nie były płodem lokalnej inicjatywy dowództwa Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego.
G. Zacharow wspomina, jak w końcu 1940 roku był uczestnikiem odprawy u Stalina, w wyniku której *„wydano rozkaz specjalny* (...) *o konieczności przeniesienia składu osobowego oddziałów lotniczych w stan skoszarowania"*. A wybitny as — myśliwiec, Bohater Związku Radzieckiego F. F. Archipienko w swych pamiętnikach wspomina także o osobistych przeżyciach z tego powodu:

„Ukazał się Rozkaz nr 0200 ludowego komisarza obrony, zgodnie z którym dowódcy z wysługą w szeregach Armii Czerwonej poniżej czterech lat zobowiązani byli mieszkać w internatach w stanie skoszarowania (...) *co bardzo przygnębiało takich jak ja, dziarskich i wolnych"* [59].
A teraz zajmijmy się sprawą samolotów, które *„stały na lotniskach rzędami, skrzydło w skrzydło, ustawione jak na paradzie"*.
19 czerwca 1941 roku do okręgu wpłynął Rozkaz ludowego komisarza obrony nr 0042:
„(...)*kategorycznie zabronić liniowo i w skupieniu rozmieszczać samoloty* (...)*zamaskować całą infrastrukturę lotniskową odpowiednio do otaczającego krajobrazu* (...)*przeprowadzone maskowanie lotnisk, magazynów, maszyn bojowych i transportowych sprawdzić z powietrza poprzez obserwację i fotografowanie"* [**WIŻ**, 1989, nr 5].
Pełny tekst tego bardzo ważnego dokumentu opublikowany został niedawno, ale w streszczeniu wspominali o nim w swoich *„przedpierestrojkowych"* wspomnieniach A. M. Wasilewski i M. W. Zacharow. Tak więc od chwili otrzymania tego rozkazu do napaści pozostawały jeszcze dwa dni. A ileż potrzeba dni do tego, by przetoczyć I–16 (ciężar pustego samolotu — półtorej tony) na skraj pasa startowego i nałamać zielonych gałęzi (w czerwcu) do jego zamaskowania?
20 czerwca ukazał się następujący Rozkaz komisarza nr 0043 na ten sam temat:
„3. Do 1 lipca przeprowadzić maskowanie wszystkich urządzeń lotniskowych stosownie do tła terenu (...)
5. Na lotniskach polowych samoloty rozśrodkowywać pod naturalnym i sztucznym ukryciami" [6].

Z zeznań dowódcy Frontu Zachodniego D. G. Pawłowa wynika, że o godzinie 2 w nocy 22 czerwca *„Kopiec i jego zastępca Tajurski zameldowali mi, że lotnictwo doprowadzono do gotowości bojowej całkowicie i rozśrodkowano na lotniskach zgodnie z rozkazem komisarza obrony"* [671.

Ten meldunek w pełni znajduje potwierdzenie również we wspomnieniach Biełowa:
„Około godziny 2 w nocy 22 czerwca daję sygnał «Alarm bojowy». Przekazywany był on telefonicznie i potwierdzony przez radio (a co z całkowitym brakiem środków łączności? — M.S.). *Po kilku minutach otrzymano potwierdzenie z trzech pułków o odbiorze sygnału i jego wykonaniu. Z 74. Pułku Lotnictwa Szturmowego nie było potwierdzenia otrzymania tego sygnału* (Aha! Oto i oni — dywersanci...— M.S.). *Pułkownik Bondarienko wyleciał do 74. PLSZ samolotem Po–2*(jak mogła *„pozostać bez łączności"* dywizja lotnicza, skoro samoloty są świetnym środkiem łączności! — M.S.)*o godz. 3 w nocy i po przybyciu ogłosił*

alarm bojowy…"
A więc wszystkie oddziały dywizji doprowadzone zostały do stanu pełnej gotowości bojowej, skład osobowy pełnił dyżur na lotniskach, samoloty były rozśrodkowane i zamaskowane.
„Lecz jeśli do nas wtargnie wróg zawzięty, będzie on bity — zawsze i wszędzie".
O godzinie 4.15 pierwsze uderzenie wroga spadło na 74. *„PLSz"* (62 *„przestarzałe"* I–152/I–153 i 8 najnowszych Ił–2, 70 pilotów). Biełow opisuje to tak:
„10 messerschmittów przez kilku minut ostrzeliwało samoloty (na ogół w książkach historyków radzieckich nalot na *„pokojowo śpiące lotnisko"* przedłuża się do paru godzin, ale Biełow jest pilotem i kłamać w ten sposób nie może, bo wie, że zapas amunicji Me–109F wystarcza na 50 sekund nieprzerwanego strzelania z karabinów maszynowych i 11 sekund — z działka MG–151 — M. S.) (…)*W rezultacie wszystkie piętnaście I–152 i dwa Ił–2 zostały zniszczone"*.
Pułkownik Biełow zmarł w 1972 roku. Już nie można zapytać go, co znaczy*„wszystkie piętnaście"*, jeżeli wszystkich ich było 62. Nie ma też kogo zapytać, gdzie zapodziało się sześć ocalałych samolotów Ił–2.
„Skład osobowy, który pozostał bez samolotów (???— M. S.)*, zabrał akta, sztandar i pod dowództwem szefa sztabu majora Miszczenki* (A gdzie dowódca pułku? Kiedy i dokąd to się przemieścił? — M.S.)*wyjechał na wschód"*. Można założyć — do Bałbasowa. Na tym bojowe działania 74. pułku się zakończyły.
Tutaj niezbędna jest jeszcze jedna informacja. Szturmowiec Ił–2 uznawany był w tym czasie za absolutnie tajny sprzęt Armii Czerwonej. W. B. Jemielianienko w swych wspomnieniach [48] pisze, jak to w połowie czerwca 1941 roku jego 4. PLSz przezbrajano na Iły–2. Najpierw piloci uczyli się schematów hydraulicznego i elektrycznego *„samolotu N"*, którego nie pokazano im nawet na obrazku. Kiedy z Woroneża przyleciało kilka pierwszych szturmowców Ił–2, pilotom dano nasycić nimi wzrok, a następnie *„wojskowi z czerwonymi naszywkami"* (czyli NKWD–ziści) policzyli samoloty, opieczętowali taśmy pokrowców i wystawili swoją (!) straż.
Następnie przyszła kolej na Przebazowanie 39. PLB. Przed wojną pułk ten (43 SB i 9 najnowszych Pe–2, 49 załóg) bazował w Pińsku, 160 kilometrów od granicy. Nawiasem mówiąc, tylko nieliczne grupy bombowe Luftwaffe rozlokowały się tak daleko od linii przyszłego frontu. Działania bojowe tego pułku (jak wynika z artykułu pułkownika Biełowa) trwały 22 czerwca 1941 roku zaledwie jedną godzinę:
„Z lotniska 39. PLB o godzinie 7 rano wzniosło się dziewięć samolotów pod dowództwem kapitana Szczerbakowa (…) *Niemcy uznali nasze bombowce za własne. Dziewiątka ta z powodzeniem wykonała zadanie. Mniej więcej po godzinie* (około godziny 8–9 rano — M.S.) *na Pińsk*

nadleciało 25–30 wrogich bombowców. Lecz na lotnisku znajdowały się tylko maszyny uszkodzone podczas pierwszego nalotu(w tekście o tym *„pierwszym nalocie"* nie ma ani jednego słowa — M.S.). *Wszystkie sprawne samoloty już przeleciały na inne lotnisko"*. Jakie dokładnie lotnisko — Biełow nie informuje. To dziwne. Trudno było napisać jedno słowo, skoro w tekście wymieniono mnóstwo innych lotnisk?
Były szef sztabu 4. Armii, w której pasie powinna działać 10. MDL, generał pułkownik L. Sandałow opisuje te same wydarzenia całkowicie inaczej:
„Około godziny 10 rano kolejnymi uderzeniami lotnictwo niemieckie rozgromiło również pułk bombowy 10. MDL na lotnisku w Pińsku, niszcząc niemal wszystkie samoloty, w tej liczbie także nowe bombowce Pe–2, które nie zostały nawet zatankowane. W pułku pozostało tylko 10 samolotów SB" [79].

Komu tu wierzyć? Dowódca dywizji zapewnia, że najpóźniej do godziny 9 rano pułk przemieścił się z Pińska na *„inne lotnisko"*. Szef sztabu armii zapewnia, że właśnie o 10 rano nastąpiło zniszczenie niemal wszystkich samolotów 39. PLB na lotnisku w Pińsku. Biełow twierdzi, że już o godzinie 2 w nocy pułk otrzymał sygnał alarmu bojowego. Sandałow utratę samolotów na lotnisku wyjaśnia tym, że nawet najnowsze Pe–2 nie zostały zatankowane.

I to w 8 godzin po ogłoszeniu alarmu bojowego?!
Pewną jasność w kwestii *„innego lotniska"* wnosi świadectwo Sandałowa: *„Dowódca 10. Dywizji Lotniczej ze sztabem i resztkami pułków lotniczychprzeniósł się 22 czerwca do Pińska, a 24 czerwca — w rejon Homla"*.
Homel — to 500 kilometrów na wschód od Brześcia. Niemcy zajęli rejon Homla dopiero 17–19 sierpnia, prawie dwa miesiące po rozpoczęciu wojny. W ten sposób Przebazowanie do Homla niezawodnie wyprowadzało resztki 10. DML*„spod uderzenia"*, ale również całkowicie pozbawiało resztki 4. Armii jakiegokolwiek wsparcia z powietrza. Zresztą wydarzyło się to nawet nie 24 czerwca, ale jeszcze wcześniej. Wciąż z tym samym stoickim spokojem opisuje Sandałow: *„Po południu 22 czerwca dowódca 10. MDL* (...)*wyjechał ze swoim sztabem do Pińska. Później sztab armii już nie miał łączności ze sztabem dywizji lotniczej. Niedobitki tej dywizji nie prowadziły już wspólnych z wojskami armii działań* (...) *22 czerwca dowódca Kobryńskiego Brygadowego Rejonu OPL razem z podporządkowanymi mu oddziałami przemieścił się do Pińska, a później — na tyły"*.
Ot tak, po prostu*„przemieścił się na tyły"*. W tym samym czasie, gdy niemieckie lotnictwo dosłownie szalało nad terenem walk. A co już zupełnie dziwne, Sandałow twierdzi, że przeprowadzenie wszystkich tych zdumiewających przebazowań zostało usankcjonowane przez dowództwo Frontu Zachodniego!

Ze słów Sandałowa wynika niby, że 23 czerwca sztab 10. Dywizji był jeszcze w Pińsku, czyli w strefie działań bojowych. Ale to założenie zaprzecza innym źródłom. Na przykład Skripko przytacza taki oto tekst meldunku kapitana M. F. Sawczenki, który objął stanowisko dowódcy 123. PLM po poległym w walce powietrznej 22 czerwca majorze B. N. Surinie: *„Sztab 10. MDL ewakuował się nie wiem dokąd. Siedzę w Pińsku, dowodzę zgrupowaniem myśliwców* (...)*Wczoraj, 22.06, odbyliśmy osiem walk powietrznych, zestrzeliliśmy 7 bombowców, 3 Me–109 i 1 samolot zwiadowczy* (...)*Dzisiaj grupa wykonała 3 loty bojowe, czekam na polecenia, co robić dalej"* [50].

Przytacza również Sandałow (co prawda w innej swej książce) treść nader dziwnej rozmowy z dowódcą 10. MDL pułkownikiem Biełowem, która odbyła się u niego 22 czerwca: *„— Gdy dywizja przejdzie do Pińska, nie będzie z wami żadnej łączności — zauważyłem. — Dlaczego by nie przebazować waszych ocalałych samolotów w rejon Baranowicz lub Słucka?*

— W Baranowiczach lotnisko zburzone, a w Słucku również wcześniej nie było przygotowanego lotniska — zaprotestował Biełow. — Tak więc, oprócz Pińska, nie mamy się gdzie podziać" [82].

Najdziwniejsza w tym jest nawet nie kolejna wzmianka o *„zniszczonym lotnisku w Baranowiczach"*, ale propozycja Sandałowa przebazowania dywizji lotniczej do Słucka. Obaj pułkownicy mogli w tym czasie nie mieć wiarygodnych informacji o stanie lotniska w Baranowiczach, ale jakże Sandałow mógł nie wiedzieć, że Baranowicze to półtora, a Słuck — dwa razy dalej od Kobrynia niż Pińsk? Jeśli ten dialog mógł mieć jakikolwiek sens, to tylko w tym wypadku, jeśli już o godzinie 14.00 22 czerwca rozmowa zmierzała do przebazowania

10. MDL nie do Pińska, ale do Homla...

Jeszcze jednym nadzwyczaj charakterystycznym przykładem *„wiarygodności"* ogólnie przyjętej wersji zniszczenia lotnictwa Frontu Zachodniego mogą być opisy pogromu 33. PLM (44 samoloty I–16, 70 pilotów), zaczerpnięte z czterech różnych źródeł.

Generał pułkownik L. M. Sandałow w monografii o działaniach bojowych pisze:
„Jednocześnie z przygotowaniem artyleryjskim (o świcie 22 czerwca — M.S.)*lotnictwo niemieckie przeprowadziło serię zmasowanych uderzeń na lotniska 10. MDL. W rezultacie spalone zostało* (...)*75% sprzętu 33. PLM na lotnisku w Prużanach wraz z całym wyposażeniem lotniskowym"*.

75 procent — tylko o świcie. Opisując to, co się wydarzyło około godziny 10 rano, Sandałow twierdzi, że *„pułki myśliwskie straciły niemal wszystkie samoloty i nie mogły realizować zadań bojowych"*.

Inny obraz wydarzeń przedstawia były dowódca 10. Dywizji pułkownik Biełow:

„Nad lotnisko w Prużanach nadleciało 20 heinkli. Działały one pod osłoną niewielkiej grupy Me–109. W tym czasie na lotnisku znajdowała się tylko jedna eskadra. Podniosła się ona na spotkanie i nawiązała nierówną walkę. Niebawem powróciły z zadania pozostałe trzy eskadry (osłaniały one rejon Brześć–Kobryń) i także nawiązały walkę w powietrzu (…) *Piloci rozproszyli niemieckie bombowce, a te bezładnie zrzuciły bomby, prawie nie wyrządzając szkód. W tej walce zestrzelono pięć samolotów przeciwnika* (jedyną stratą w walce, o której pisze Biełow, była śmierć lejtnanta S. M. Gudimowa, który staranował wrogi bombowiec — M.S.) (…) *Niemcy wykonali na lotnisko jeszcze jedno uderzenie bombowe dwunastoma Ju–88, po nim — szturmowy nalot dwunastoma Me–109, a po trzydziestu minutach— jeszcze jeden. W pułku nie pozostał ani jeden samolot zdolny wznieść się w powietrze* (…)*rozkazałem całemu 33. PLM skoncentrować się na lotnisku w Pińsku* (właśnie tam, gdzie kapitan Sawczenko szukał nazajutrz i nie mógł znaleźć samego Biełowa — M.S.)*i czekać na moje zarządzenia. Do godziny 10.00 działania bojowe tego pułku faktycznie się zakończyły"*.

Z dalszego opisu jednoznacznie wynika, że Biełow miał na myśli właśnie godzinę 10 rano. Zapamiętajmy tę okoliczność.

Przyszły marszałek lotnictwa Skripko w tych dniach znajdował się w rejonie Smoleńska, setki kilometrów od miejsca zniszczenia 33. Pułku. Niemniej w jego wspomnieniach również pojawia się *„obiektywna przyczyna"* poniesienia ogromnych strat w wyniku ostatniego nalotu messerschmittów:

„W gotowości bojowej powitał wojnę 33. PLM, bazujący o 75 kilometrów od granicy państwowej, w rejonie Prużan. Piloci tej jednostki wielokrotnie przechwytywali duże grupy niemieckich bombowców He–111 daleko od swojego lotniska (…) *Po jednej z takich walk powietrznych nasi piloci powrócili na lotnisko z prawie pustymi bakami* (…) *W tym momencie nad lotnisko na małej wysokości nadleciało 10 messerów, nie zauważonych przez posterunki sieci wczesnego ostrzegania. Z marszu zaatakowały one kołujące*

do tankowania paliwa myśliwce, ostrzeliwując je ogniem z działek i karabinów maszynowych. Obrony przeciwlotniczej tu nie było, a atak przeciwnika trwał ponad godzinę".

Na tej kropce Skripko kończy opowiadanie o działaniach bojowych 33. PLM. Nie wymienia on ani dokładnego czasu tego fatalnego nalotu, ani konkretnej liczby utraconych przez pułk samolotów.

A oto, w końcu, opis tych samych wydarzeń, wykonany na podstawie dokumentów sporządzonych przez skrupulatnych Niemców:

„O godzinie 21.20 czwarty Staffel (eskadra — M.S.)*grupy myśliwskiej JG*

51 w składzie dziewięciu Bf–109F pod dowództwem oberlejtnanta E. Hochagena zaatakował miejsca postoju samolotów 33. PLM na lotnisku Prużany, potem o 21.31 i 21.38 podeszły jeszcze dwie grupy messerschmittów. Po powrocie do bazy piloci niemieccy zameldowali o zniszczeniu na ziemi 17 radzieckich samolotów" [63].
Potrzebny tu komentarz? Utrata 75% sprzętu w pierwszym uderzeniu (wersja Sandałowa), skuteczne odparcie pierwszego uderzenia i całkowite zniszczenie wszystkich samolotów pułku w kolejnych uderzeniach przeciwnika do godziny 10 rano (wersja Biełowa) i — w końcu, utrata na ziemi zaledwie 17 samolotów (39% z pierwotnej liczby) do godziny 22 wieczorem.
Świadectwa byłego dowódcy dywizji obalają również technicznie poprawną wersję marszałka Skripki. Jeżeli (jak pisze Biełow) *„całemu pułkowi"* w pierwszej połowie dnia 22 czerwca wydano rozkaz przebazowania się do Pińska, to o godzinie 21.20 na lotnisku w Prużanach nie było już nikogo. Nikt nigdzie nie *„zakołował i nie wykołował"*, a Niemcy z powodzeniem szturmowali p o r z u c o n e na ziemi samoloty. Godne uwagi jest to, że także w tym wypadku (opuszczone lotnisko, brak jakiegokolwiek przeciwdziałania) Niemcy zameldowali o zaledwie 17 zniszczonych samolotach— a nie o*„75% sprzętu 33. PLM wraz z całym wyposażeniem lotniskowym"*.
À proposwyposażenia lotnisk. Niemcy też nieustannie się przemieszczali. Już pod koniec czerwca praktycznie wszystkie myśliwskie i szturmowe grupy lotnicze Luftwaffe przeleciały z lotnisk w Polsce na lotniska byłego Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego. Nieco później przeniesiono na wschód także bombowce. 3 lipca 1941 roku ukazała się podpisana przez G.

K. Żukowa dyrektywa Kwatery Głównej o wykonaniu zmasowanego uderzenia na lotniska niemieckiego lotnictwa [5]. Wymieniono w niej około dwudziestu lotnisk, przy czym nie tylko z zachodnich, ale i wschodnich obwodów Białorusi i Ukrainy. W tym dniu, gdy Żukow podpisał dyrektywę, eskadra myśliwska Móldersa bazowała w rejonie gychowa nad Dnieprem, kilka kilometrów od linii frontu [63]. Właśnie z naszych lotnisk (na których, *„jak wszyscy wiedzą"*, niczego— pasów startowych, składów paliw, linii telefonicznych, dróg dojazdowych, schronów dla ludzi — nie było), na których *„niespodziewanym uderzeniem w pierwszym dniu"* zniszczone zostało wszystko, co tam było — lotnictwo niemieckie działało przez całe lato 1941 roku.
Pozostaje tylko dodać, że książka Sandałowa napisana została nie dla pionierów i nawet nie dla studentów historii. Wojenizdat opublikował ją w 1961 roku z nadrukiem*„tajne"* w charakterze podręcznika dla słuchaczy akademii wojskowych. Na niej wykształcono dwie generacje naszych dowódców.

Im szybciej i pomyślniej nacierały w głąb radzieckiego terytorium korpusy zmotoryzowane Wehrmachtu, tym większego rozmachu nabierało Przebazowanie radzieckiego lotnictwa. Już wieczorem 24 czerwca Halder z uczuciem głębokiego zadowolenia zapisuje w swoim dzienniku:
„Lotnictwo przeciwnika, które poniosło bardzo ciężkie straty (orientacyjnie 2000 samolotów)*, całkowicie przebazowało się na tyły"*.
Najbardziej godna uwagi w tym zapisie jest liczba. Im dalej od dnia i godziny *„nagłej napaści"*, tym bardziej rośnie liczba strat w wyniku uderzenia na *„spokojnie śpiące lotniska"*. 2000— to zaledwie początek procesu. Po kilku dniach liczbę zniszczonych 22 czerwca 1941 roku radzieckich samolotów Niemcy szacują na 1811 (zamiast 850!), przy czym 1489 uznano za *„zniszczone na ziemi"*. Osiągnięcia 2. Floty Powietrznej Luftwaffe wzrosły do 28 czerwca pięciokrotnie (1570 wobec 300). Na uwagę zasługuje fakt, że ta liczba bliska jest również tym, które występują w meldunkach dowódców radzieckich (1163 samoloty utracone do 29 czerwca w sprawozdaniu dowódcy sił powietrznych Frontu Zachodniego Naumienki, 1483 samoloty— zgodnie z meldunkiem nowego szefa sztabu frontu generała Małandina) [40, s. 286].

Straty lotnictwa Frontu Północno–Zachodniego w ciągu trzech pierwszych dni wojny*„wzrosły"* 15 razy (1500 wobec 100), a przy tym 1100 z nich uznano za *„zniszczone na ziemi"*. Wszystko to tak zdumiało Góringa (gruby i obrzydliwy, ale jednak pilot myśliwski z pierwszej wojny światowej), że wysłał on specjalną komisję do sprawdzenia tych meldunków. Komisja przejechała się po zdobytych lotniskach i odnalazła na nich ponad dwa tysiące samolotów radzieckich. Ostatecznie całą tę masę porzuconego w panicznej ucieczce sprzętu zapisano na konto *„zniszczonych przez niespodziewane uderzenie na lotniska"*.
Nikt z tym dotąd nie polemizował — ani niemieccy piloci (co zrozumiałe), ani radzieccy *„historycy"* (co jeszcze bardziej zrozumiałe)…
A teraz wrócimy do pytania, które postawiliśmy w poprzednim rozdziale: czym wytłumaczyć ogromną różnicę w liczbie utraconych na lotniskach samolotów w różnych oddziałach lotnictwa Armii Czerwonej? Odpowiedź jest niezwykle prosta. Ponieważ głównym *„myśliwcem"* był niemiecki feldfebel z zapalniczką, to i liczba spalonych przez niego samolotów zależała od tempa natarcia Wehrmachtu na różnych odcinkach frontu radziecko–niemieckiego.
Jak wiadomo, największy sukces w pierwszych dniach wojny Niemcy odnieśli na Białorusi — tam też odnajdziemy dwie trzecie wszystkich zniszczonych na ziemi samolotów.
W Mołdawii tempo posuwania się przeciwnika było zerowe (natarcie

wojsk rumuńskich i niemieckich rozpoczęło się tam dopiero 2 lipca), żadnego przebazowania sił powietrznych Frontu Południowego w czerwcu 1941 roku po prostu nie było — w rezultacie straty lotnictwa także były minimalne. Piloci 4. Korpusu Lotniczego Luftwaffe, atakujący 22 czerwca 1941 roku radzieckie lotniska, zniszczyli w powietrzu i na ziemi (według różnych źródeł) 23–40 naszych samolotów, tracąc (według sprawozdań pilotów radzieckich) ponad 40 swoich [58].
Pułki myśliwskie Frontu Południowego utraciły w pierwszym dniu wojny w sumie po 2–3 samoloty, a 69. PLM nie stracił ani jednego. Później pułk ten pod dowództwem wybitnego radzieckiego pilota i dowódcy L. L. Szestakowa nigdzie się nie *„przenosił"*, przewojował 115 dni na niebie nad Kiszyniowem i Odessą. Na tych samych *„beznadziejnie przestarzałych"* samolotach myśliwskich I–16, z którymi rozpoczął wojnę. W walkach powietrznych piloci 69. Pułku zestrzelili w tym okresie 94 niemieckie i rumuńskie samoloty;

tylko 22 września u derzeniem na dwa lotniska — w okupowanej już w tym czasie Mołdawii — pułk zniszczył 21 samolotów przeciwnika [25, 91].
Kontrast z pogromem sił powietrznych Frontu Zachodniego jest tak rażący, że historykom radzieckim rozkazano jakoś na to zareagować. No, jeżeli partia powie *„trzeba"*...
Opracowana została taka oto *„legenda"*: dowództwo Odeskiego Okręgu Wojskowego jakoby nie bało się naruszyć mitycznego *„zakazu Stalina"*, doprowadziło lotnictwo okręgu do gotowości bojowej, rozśrodkowało je i zamaskowało. Dlatego także straty od pierwszego uderzenia na lotniska były minimalne.
Niestety, wersja ta z jednej strony jest zakłamana, a z drugiej — błędna. Kłamliwa jest ona w tym sensie, że *„Stalin"* (czyli wojskowo–polityczne kierownictwo ZSRR) w ostatnich dniach przed rozpoczęciem wojny wysyłał dyrektywy o podniesieniu gotowości bojowej, o maskowaniu i rozśrodkowaniu lotnictwa do wszystkich okręgów bez wyjątku, i wszyscy dowódcy lotnictwa — w tej liczbie również dowódca sił powietrznych Frontu Zachodniego Kopiec — nie tylko otrzymali te szyfrówkę lecz także złożyli meldunki o ich wykonaniu.
Wyobrażenie zaś o tym, że w okręgu odeskim rozkazy wykonywano lepiej niż gdziekolwiek indziej, jest po prostu błędne.
„Choć od chwili ogłoszenia alarmu do ataku przeciwnika było wystarczająco dużo czasu, oddziały mimo wszystko nie zdołały wyjść spod uderzenia z najmniejszymi stratami (...)*na skutek karygodnej niedbałości i niezorganizowania (,...) Rozśrodkowanie sprzętu było niezadowalające we wszystkich pułkach* (...) *Maskowania prawie że nie ma, szczególnie źle jest w 55. PLM"* [56].
To ustęp z rozkazu, w którym dowódca 20. MDL generał Major

Osipienko podsumował pierwszy dzień wojny. Była to największa dywizja lotnicza Odeskiego Okręgu Wojskowego (325 samolotów według stanu na 1 czerwca 1941 roku) i najlepiej ze wszystkich uzbrojona (122 najnowsze migi w dwóch pułkach myśliwskich), a 55. Pułk, w którym, według opinii dowódcy dywizji, nie było żadnego maskowania, we wszystkich artykułach o początku wojny wymienia się jako jeden z najskuteczniejszych (w tym właśnie pułku rozpoczął swój szlak bojowy nasz najlepszy as, trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego A. I. Pokryszkin). Jako jeszcze jeden szczegół w odsłonie

„nadzwyczajnego zorganizowania" sił powietrznych Odeskiego Okręgu Wojskowego może służyć radziecki samolot Su–2, zestrzelony przez Pokryszkina w pierwszym dniu wojny. Samolot należał do 211. PLB tej samej 20. Dywizji, ale utajnianie doszło do tego, że pilotom myśliwców nie zaprezentowano tego nowego w lotnictwie radzieckim bombowca nawet na obrazku.

Nigdzie w pierwszych tygodniach wojny nie przebazowało się również lotnictwo Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, flot Bałtyckiej i Północnej. W rezultacie Niemcy na tym odcinku frontu nie wiedzieć czemu ani razu nie zdołali uciec się do swego*„cudownego"* sposobu— uderzenia na lotniska.

Przytoczymy tylko jeden, wyjątkowo charakterystyczny przykład. 13. PLM ze składu sił powietrznych Floty Bałtyckiej stacjonował… w Finlandii, na półwyspie Hanko. Od rozpoczęcia drugiej wojny fińskiej (25 czerwca 1941 roku) lotnisko, na którym bazowały myśliwce, znalazło się w zasięgu oddziaływania artylerii fińskiej i było nieustannie ostrzeliwane. Zgodnie z *„logiką"*, z jaką opisywano u nas pogrom lotnictwa Frontu Zachodniego, 13. Pułk powinien zostać zniszczony po kilku godzinach wojny — jak na przykład 74. PLSz z dywizji Biełowa. Faktycznie zaś 13. Pułk walczył na Hanko do jesieni 1941 roku. W tym czasie piloci pułku, weterani znad Chałchyn–goł, A. Antonienko i P Brin'ko, zestrzelili 11 i 15 samolotów wroga. W marcu 1942 roku pułk został przemianowany na 4. Gwardyjski. Ponad półtora roku (do stycznia 1943 roku) z powodzeniem walczył na *„przestarzałych, nie wytrzymujących porównania z samolotami niemieckimi"* myśliwcach I–16. Tylko w ciągu jednego miesiąca, od 12 marca do 13 kwietnia 1942 roku, 4. PLM Gw. zestrzelił 54 samoloty niemieckie, tracąc tylko dwa I–16. Późniejszy dowódca tego pułku oraz Bohater Związku Radzieckiego W. F. Gołubiew, pilotując I–16, zestrzelił 27 samolotów, w tej liczbie dwa najnowsze niemieckie FW–190 [25, 91].

Pozostaje tylko przypomnieć oklepaną prawdę: walczą nie czołgi, ale czołgiści, nie samoloty, ale piloci…

Jeśli jeszcze potrzebne są jakieś dowody na to, że główną przyczyną pogromu pierwszego rzutu lotnictwa Frontu Zachodniegobyło

pospieszne i chaotyczne Przebazowanie składu osobowego, to takim dowodem jest dalszy — po 22 czerwca — los 11., 9. i 10. MDL.

„W drugim dniu wojny te trzy dywizję lotnicze, pozostające w pierwszym rzucie, były niezdolne do walki i zostały wycofane w celu przeformo wania" — tak w swojej monografii pisze Kożewnikow. To absolutna prawda, potwierdzona przez wszystkie inne świadectwa.

Lecz co tu było przyczyną, a co skutkiem?
Nawet jeśli się kierować ogólnie przyjętymi szacunkami strat tych dywizji, to nadranem 23 czerwca powinny się w nich jeszcze znajdować 72, 62 i 51 samolotów. Czy dywizja lotnicza, w której pozostały 72 samoloty, może być uznawana za *„niezdolną do walki"*?
W sąsiadującym z 11. MDL pasie Frontu Północno–Zachodniego działał niemiecki pułk bombowy (odpowiednik radzieckiej dywizji lotniczej) KG 77. Nad ranem 24 czerwca w składzie trzech grup (dywizjonów) tego pułku znajdowało się 67 sprawnych Ju–88. A pułk ten nie był wyjątkiem. Heinkle, z którymi na niebie nad Brześciem i Kobryniem walczyli piloci 123. PLM, wchodziły w skład KG 53. Nad ranem 24 czerwca w składzie trzech jego grup znajdowały się 18, 10 i 22 sprawne bombowce. A grupa powinna liczyć etatowo 40 samolotów! 69 sprawnych junkersów znajdowało się w trzech grupach KG 76, a w składzie KG 27 były 73 heinkle...
Dwadzieścia samolotów na grupę — to jeszcze zbyt wiele. 30 sierpnia 1941 roku w grupie myśliwskiej III/JG 3 działającej w składzie 4. Floty Powietrznej nad Ukrainą znajdował się jeden sprawny Me–109. Cóż Niemcy zrobili z tą grupą?
Wycofali ją w celu przeformowania? Nie. Do 2 września naprawiono 10 uszkodzonych maszyn i w takim składzie (11 samolotów) III/JG 3 pod dowództwem jednego z najlepszych asów Luftwaffe, Oesua (125 zestrzelonych samolotów), osłaniała przyjazd Hitlera i Mussoliniego do Humania.
Czy nadal można uznawać za naturalne i zrozumiałe, że trzy dywizje pierwszego rzutu lotnictwa Frontu Zachodniego, z których w każdej pozostało ponad pół setki samolotów, na drugi dzień wojny po prostu zniknęły?
Porównując radzieckie dywizje lotnicze z pułkami Luftwaffe według liczby pozostających w szyku samolotów, popełniamy poważny błąd metodologiczny. Liczebność oddziału lotniczego to przede wszystkim i głównie liczba załóg. W lotnictwie wojskowym samolot to materiał rozchodowy. A przytym szybko się zużywający. Samolot po kilkudziesięciu

lotach — niezależnie od przeciwdziałania przeciwnika — należy

wycofać z frontu zwyczajnie z powodu zużycia silników. Przytoczmy tylko jeden charakterystyczny przykład. W 1944 roku nasze lotnictwo myśliwskie straciło:
— w walkach powietrznych— 508 samolotów;
— na lotniskach — 55 samolotów (55 przez cały rok!);
— z powodu zużycia — 4452 samoloty [52].
Dlatego, mówiąc o liczebności — na przykład 9. MDL, należy przede wszystkim mieć na względzie nie te 62 samoloty, które pozostały w szyku do 23 czerwca, ale 206 pilotów myśliwskich i 45 załóg bombowców, które znajdowały się w tej dywizji na początku działań bojowych. W pierwszym dniu wojny straty w personelu latającym tej dywizji stanowiły po kilku ludzi na pułk, tak więc mogła i powinna być ona uważana za całkowicie zdolną do walki.
Na czym zaś latać? Było na czym latać…
„Rankiem 22 czerwca 1941 roku dowódca lotnictwa Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego otrzymał podpisane przez generała P. F. Żygariewa zarządzenie o przyjęciu 99 samolotów MiG–3 na lotnisku w Orszy w celu uzupełnienia oddziałów i związków lotniczych tego okręgu" [27].
Migi produkowano w Moskwie, w Zakładach Lotniczych nr 1. Wysłano je do Orszy jeszcze przed rozpoczęciem wojny.
Z chwilą rozpoczęcia działań bojowych, jak już niejednokrotnie podkreślaliśmy, strumień sprzętu wojskowego (także lotniczego) wysyłanego ku granicy zachodniej gwałtownie wzrósł. Lotnictwo Frontu Zachodniego do 9 lipca otrzymało na uzupełnienie strat 452 samoloty. Było więc na czym latać. Było czym walczyć. Oto dlaczego autor upiera się przy tym, że za główną przyczynę klęski 9. MDL należy uznać tę *„długą kolumnę maszyn z wojskowymi w błękitnych naszywkach"*, która — utraciwszy po drodze dowódcę dywizji — sama rozpłynęła się na drodze z Białegostoku do Bałbasowa…
Rozpłynęła się jednak nie cała. Wojna zakończyła się w Berlinie dlatego, że bynajmniej nie wszyscy *„przebazowali się do Bałbasowa"*. Oto w książce generała Zacharowa raptem odkrywamy *„zniszczony przez nagłe uderzenie na lotniska"* 41. PLM.

„Pod Mohylewem w skład 43. Dywizji Lotniczej wcielono 41. i 170. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego. 41. [Pułkiem] *dowodził major Jerszow* (…) *Po tygodniu walk myśliwce majora Jerszowa zestrzeliły ponad 20 samolotów przeciwnika! Lotnicy walczyli bez opamiętania — tak jakby każdy ich bój miał być ostatni"* [55].

GŁUPOTA CZY ZDRADA?

Niepowodzenie wojenne — a straszna katastrofa militarna tym

bardziej — nieuchronnie pociąga za sobą poszukiwanie szpiegów i podejrzenia o zdradę. Ta wersja nie jest aż tak bardzo szalona, jak mogłoby się wydać na pierwszy rzut oka. A przynajmniej szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej generał armii G. K. Żukow w tych dniach usposobiony był bardzo poważnie. 19 sierpnia 1941 roku (równo pół wieku przed puczem Janajewa) wysłał on do Stalina raport: *„Uważam, że przeciwnik bardzo dobrze zna cały system naszej obrony, całe operacyjno–strategiczne zgrupowanie naszych sił oraz nasze najbliższe możliwości. Widocznie u nas, wśród ważnych pracowników, blisko stykających się z sytuacją ogólną, przeciwnik ma swoich ludzi"* [5, s. 361]. W imię prawdy trzeba odnotować i to, że we wszystkich swych powojennych *„wspomnieniach i rozmyślaniach"* Gieorgij Konstantinowicz o tym raporcie nie wspomina ani razu.

Nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów. Wewnętrzny głos podpowiada mi, że jakakolwiek *„wroga agentura"* po prostu odpoczywała z powodu rezultatów niszczenia narodu i armii, które stalinowski reżim uprawiał bez przeszkód przez dwadzieścia lat. Niemniej jednak uważam za stosowne podkreślić fakty, które nie mieszczą się nawet w najbardziej szerokich ramach bezbrzeżnego rozgardiaszu.

Nie będziemy się spierać o to, czy dowództwo Frontu Zachodniego spodziewało się szybkiego rozpoczęcia działań wojennych. Przytoczmy jeszcze jeden fakt z tysiąca podobnych.

„Wniosek, który wysnułem dla siebie, można by ująć w czterech słowach — «z dnia na dzień» (...)*Dowódca sił powietrznych okręgu generał I. I. Kopiec wysłuchał mego meldunku z uwagą, która świadczyła o jego dawnym i pełnym do mnie zaufaniu. Dlatego od razu obaj udaliśmy się z meldunkiem do dowódcy okręgu"* [55]. Tak opisuje G. N. Zacharow rezultaty lotu zwiadowczego, który on (generał major, dowódca dywizji lotniczej) osobiście przeprowadził w czasie jednego z ostatnich przedwojennych dni.

Cóż dowództwo okręgu (frontu) robi w tej sytuacji? Odwołuje artylerię przeciwlotniczą armii pierwszego rzutu na zgrupowanie okręgowe [78]. Między innymi dywizjon przeciwlotniczy 86. DS (10. Armia) znajdował się na początku wojny na poligonie o 130 kilometrów od rejonu rozmieszczenia dywizji, a dywizjony przeciwlotnicze 6. Korpusu Zmechanizowanego i całej 4. Armii — naokręgowym poligonie w rejonie wsi Krupki, 120 kilometrów na wschód od Mińska [8].

Jest to tym bardziej dziwne, że w sąsiednim okręgu kijowskim wydawano przeciwne zarządzenia. 20 czerwca generał lejtnant Muzyczenko, dowódca 6. Armii Kijowskiego SpecjalnegoOkręgu Wojskowego, rozkazał: *„Sztaby korpusów, dywizji i pułków mają się znajdować na miejscu. Z rejonów dyslokacji nigdzie nie wyjeżdżać* (...)

dywizjony przeciwlotnicze niezwłocznie odwołać ze zgrupowania lwowskiego do swoich związków, a po przybyciu postawie zadanie: osłonić z powietrza rejony rozmieszczenia dywizji" [61].

Odnotujmy przy tym, że radzieckie kierownictwo wojskowe wnikliwie studiowało doświadczenia niemieckiego natarcia na Zachodzie (w maju 1940 roku). Informacje czerpano jednocześnie z dwóch źródeł: w Moskwie znajdowali się i niemieccy, i francuscy (vichistowscy) attache wojskowi. Pawłow doskonale wiedział, że *„niemiecki standard"* zakłada zmasowane uderzenie lotnicze już od pierwszych godzin natarcia. Dostatecznie wiele mówiło się o tym na grudniowej (1940 roku) odprawie najwyższego dowództwa Armii Czerwonej, na której Pawłow był jednym z głównych prelegentów.

Znany radziecki generał i historyk S. P. Iwanow daje bardzo ciekawe wyjaśnienie takich działań naszego dowództwa:
„Stalin dążył do tego, aby samym stanem i zachowaniem się wojsk okręgów przygranicznych dać Hitlerowi do zrozumienia, że u nas panuje spokój, jeśli nie beztroska (ale dlaczego do tego zmierzał? — M.S.*). Przy czym działo się to* (...) *całkiem naturalnie. Na przykład oddziały przeciwlotnicze znajdowały się na zgrupowaniach* (...) *W rezultacie, zamiast umiejętnymi działaniami dezinformacyjnymi wprowadzić agresora w błąd co do stanu gotowości bojowej naszych wojsk, w rzeczywistości obniżyliśmy ją do skrajnie niskiego stopnia"* [45].
Dalej. 21 czerwca o godzinie 16— wówczas, gdy słychać już było ryk tysięcy silników sunących ku Bugowi wojsk niemieckich — dowódca 10. MDL otrzymuje nową szyfrówkę ze sztabu okręgu: rozkaz z 20 czerwca o doprowadzeniu oddziałów do pełnej gotowości bojowej i zakazie urlopów odwołać! Pułkownik Biełow pisze, że nawet nie zaczął przekazywać tego zarządzenia swoim podwładnym. Ale po cóż zostało ono wydane! Jak można sądzić na podstawie innych wspomnień, w niektórych oddziałach to zagadkowe zarządzenie zostało wykonane. Na przykład podpułkownik P. Cupko w swoich wspomnieniach pisze, że w tym samym 13. PLB, gdzie *„od świtu do zmroku eskadry zamaskowanych samolotów z podwieszonymi bombami i uzbrojeniem oraz załogami utrzymywano w pogotowiu"*, w końcu stan ten został odwołany: *„Na niedzielę 22 czerwca w 13. Pułku Lotniczym odwołano zakaz wyjść. Wszyscy się ucieszyli: trzy miesiące nie odpoczywali* (...) *Wieczorem w sobotę pozostawiono jako starszego oficera operacyjnego sztabu kapitana Własowa, a dowództwo pułku, wielu pilotów i techników wyjechało do rodzin w m. Roś* (...)
Cały garnizon powierzono pieczy służby wewnętrznej, którą kierował oficer dyżurny zgrupowania młodszy lejtnant (sic! — M.S.) *Usienko"* [64].
No i do pełnego kompletu: w tym pułku 9. dywizji w przeddzień wojny *„bateria przeciwlotnicza została zdjęta z pozycji i wyjechała na ćwiczenia"*. Cała ta tragifarsa zakończyła się tym, że 13. PLB,

wyposażony w najnowsze bombowce nurkujące Ar–2 i Pe–2, został rozbity już w pierwszym dniu i — jak pisze Cupko — *„prawie wszyscy piloci naszego pułku lotniczego, wyczerpani, w brudnym, podartym umundurowaniu, pojawili się na początku lipca w Moskwie"*.
We wspomnieniach P. I. Cupki występuje jeszcze jeden bardzo dziwny epizod. Nie tylko nie potwierdza on, ale wprost zaprzecza wszystkim innym znanym autorowi źródłom. Lecz skoro słynny Politizdat dwukrotnie (w latach 1982 i 1987) wydał jego książkę, to nie będzie grzechem, gdy i tutaj przytoczymy tę historię.
A więc rankiem 22 czerwca załoga tego samego młodszego lejtnanta Usienki wyleciała na rozpoznanie w rejon Grodno–Augustów. Najpóźniej po dwóch, trzech godzinach (czyli nie później niż w południe) Ar–2 powracał na bazowe lotnisko 9. Dywizji w Białymstoku. Samolot Usienki już wylądował, kiedy*„od hangaru oddzielili się i rzucili rozwiniętą tyralierą w kierunku samolotu żołnierze w szaro–zielonych mundurach. Po drugiej stronie hangaru Konstantin nagle dojrzał sześć trzysilnikowych transportowych Ju–52, a jeszcze dalej — około dziesięciu Me–110* (...)*Przy samolotach uwijały się szaro–zielone figurki...*"
Krótko mówiąc, Niemcy skrupulatnie zagospodarowywali lotnisko znajdujące się zaledwie o kilka wiorst od sztabu 9. MDL, sztabu 10. Armii Frontu Zachodniego, Białostockiego Zarządu Obwodowego NKWD i takdalej. W połowie dnia 22 czerwca wszystkie te szacowne organizacje niby to jeszcze nigdzie się nie przebazowały. Piechota niemiecka zaś zajęła Białystok dopiero 24 czerwca.
Jeszcze bardziej zdumiewające świadectwo znajdujemy We wspomnieniach S. F. Dołguszyna. Generał lejtnant lotnictwa, Bohater Związku Radzieckiego, szef katedry taktyki w Akademii Lotniczej im. Żukowskiego rozpoczął wojnę jako młodszy lejtnant w 122. PLM (11. MDL). Siergiej Fiodorowicz wspomina:
„W przededniu wojny służyłem na lotnisku położonym 17 km km od granicy. Każdego dnia pełniliśmy dyżury (...)*W sobotę 21 czerwca 1941 roku przyleciał do nas dowódca okręgu generał armii Pawłow, dowódca lotnictwa okręgu generał Kopiec* (...)*nas z Makarowem wysłali na zwiad powietrzny. Na niemieckim lotnisku poprzedniego dnia było zaledwie 30 samolotów. Sprawdzaliśmy to niejednokrotnie* (! — M.S.)*, lecz tego dnia okazało się, że zostało tam przerzuconych jeszcze ponad 200 niemieckich samolotów"*.
Nie będziemy zbaczać z tematu na rozważenie sensacyjnego świadectwa o tym, że — jak się okazuje — nie tylko niemieckie, lecz również radzieckie samoloty zwiadowcze nieustannie wdzierały się w przestrzeń powietrzną przeciwnika. Ważniejsze jest coś innego — jakie decyzje podjęli generałowie po otrzymaniu informacji o nagłym zwiększeniu nieprzyjacielskiego zgrupowania?
„O godzinie 18 otrzymaliśmy rozkaz dowódcy: zdjąć z samolotów

(samolotów pułku lotnictwa myśliwskiego, bazującego 17 kilometrów od granicy — M.S.)*uzbrojenie i amunicję. Rozkaz to rozkaz — broń zdjęliśmy. Lecz skrzynki z amunicją zostawiliśmy. 22 czerwca o godzinie 2.30 ogłoszono alarm, i zamiast wzbijać się i osłaniać lotnisko, musieliśmy jak najszybciej ponownie instalować działa i karabiny maszynowe w samolotach. Nasz klucz pierwszy zainstalował działa i wówczas pojawiło się 15 wrogich samolotów"* [141, 142].
Co to było?
Bezsensowny zbieg okoliczności?
Gwałtowne zaostrzenie chronicznej rosyjskiej niefrasobliwości?
Szatańska gra Stalina, który wciąż starał się ukołysać Hitlera do snu, zanim wpakuje mu w plecy siekierkę, aż ostatecznie ograł samego siebie?
Spisek?
Nie wszystko jest tak jasne, jak się wydaje, nawet w historii obrony legendarnej twierdzy brzeskiej. W swojej tajnej (do 1988 roku) monografii Sandałow otwarcie i niedwuznacznie pisze:
„Twierdza brzeska okazała się pułapką i na początku wojny odegrała fatalną rolę dla wojsk 28. Korpusu Strzeleckiego i całej 4. Armii (...) *wielu żołnierzy oddziałów 6. i 42. Dywizji Strzeleckiej pozostało w twierdzy nie dlatego, że mieli za zadanie jej obronę, ale dlatego że nie mogli jej opuścić"* [79].
Wszystko absolutnie logicznie. Twierdze przecież buduje się po to, aby trudno było do nich wejść. Analogicznie nasuwa się wniosek, że z dowolnej twierdzy trudno wyprowadzić jednocześnie dużą masę ludzi i sprzętu. Sandałow pisze, że do wyjścia z twierdzy brzeskiej w kierunku wschodnim była tylko jedna (północna) brama, a dalej trzeba było się jeszcze przedostać przez opasującą fortecę rzekę Muchawiec. Strach pomyśleć, co się działo, gdy przez to*„ucho igielne"* pod gradem nieprzyjacielskich pocisków usiłowały się wyrwać na zewnątrz dwie dywizje strzeleckie — bez mała 30 tysięcy ludzi.
Nieco na południe od Brześcia, w miasteczku wojskowym oddalonym o 3 kilometry od linii słupów granicznych, rozmieszczona była jeszcze jedna dywizja: 22. Dywizja Pancerna ze składu 14. KZmech.
„Miasteczko to— pisze Sandałow — *znajdowało się na równym terenie, dobrze widocznym od strony przeciwnika* (...) *oddziały rozmieszczono w skupieniu* (...)*Żołnierze spali na 3–, 4–piętrowych pryczach, a oficerowie z rodzinami mieszkali w domach dowództwa nieopodal koszar* (...) *Po alarmie dywizja wychodziła w rejon Żabinki i na północ od niej* (czyli od granicy!— M.S.). *Musiała się przedostać przez rzekę Muchawiec, przeciąć szosę warszawską i dwie linie kolejowe* (...)*Oznaczało to, że na czas przemarszu dywizji w rejonie Brześcia ustawał wszelki ruch na drogach i kolei"*.
Naturalnie Niemcy docenili i całkowicie wykorzystali tę sposobność.

Oprócz *„własnej”* artylerii 45. Dywizji Piechoty Wehrmachtu do ostrzału

Brześcia wysunięta została artyleria dwóch sąsiednich (34. i 31.) dywizji piechoty, dwanaście samodzielnych baterii, dywizjon ciężkich mortier. Dla zwiększenia *„komfortu pracy”* do korygowania ognia Niemcy podnieśli w powietrze balony na uwięzi z obserwatorami artyleryjskimi. Szkwał ognia dosłownie zmiótł z powierzchni ziemi tysiące ludzi, zniszczył transport samochodowy i artylerię, stojące w ciasnych rzędach pod otwartym niebem. 98. samodzielny dywizjon artylerii przeciwpancernej, batalion rozpoznawczy i niektóre inne oddziały 6. i 42. Dywizji Strzeleckiej zostały zniszczone niemal w całości. 22. Dywizja Pancerna straciła około połowy czołgów i samochodów, od wrogich pocisków zapalił się, a następnie eksplodował skład artyleryjski i magazyn paliw dywizji.

Gdy już trzy dywizje zostały wystrzelane — jak tarcze ćwiczebne na poligonie — Niemcy o godzinie 7 rano zajęli płonące ruiny Brześcia i rozpoczęła się sławiona w wierszach i prozie *„bohaterska epopeja obrony twierdzy brzeskiej”*.

Tu najwyższy czas zadać odwieczne rosyjskie pytanie — kto winien? Twierdza, jako przedmiot nieożywiony, żadnej roli odegrać tu nie mogła. Zdanie z monografii Sandałowa jest zaledwie zwrotem językowym— rolę *„pułapki”* odegrały decyzje podjęte przez ludzi. Kto je podejmował, kiedy i — najważniejsze — dlaczego?

Tradycyjna radziecka historiografia zwykle to wykrzywia: *„Dopuszczono się nieprzemyślanego rozmieszczenia”*. To o czym trzeba było myśleć, aby rozmieścić trzy dywizje tam, gdzie nikogo i niczego oprócz patroli granicznych i pól minowych nawet być nie powinno!

Współczesnemu czytelnikowi dobrze znana jest wersja *„suworowowska”*: Stalin przygotowywał się do wkroczenia i dlatego przybliżył wojska bezpośrednio do granicy. Ale nie będziemy się spieszyć z wyrażaniem na to zgody. Będziemy myśleć i porównywać. Szpital 4. Armii znajdował się… na wyspie pośrodku Bugu — nawet nie na granicy, ale już za granicą. Czy to też tak inteligentnie wymyślono w celu wykonania *„nagłego pierwszego uderzenia”*?

I czyżby Stalin podjął decyzję o zawojowaniu całej Europy siłami jednej tylko 22. Dywizji Pancernej? Sens pytania tkwi w tym, że wszystkie pozostałe sześćdziesiąt dywizji pancernych i trzydzieści jeden dywizji zmechanizowanych Armii Czerwonej nie stacjonowały nad granicą. Mam

nadzieję, iż Czytelnik wybaczy, że nie będziemy publikować całego ich wykazu, lecz nawet korpusy zmechanizowane pierwszego rzutu stacjonowały przed wojną w Szawlach, Kownie, Grodnie, Wołkowysku,

Białymstoku, Kobryniu, Równem, Brodach, Lwowie, Drohobyczu, Stanisławowie… W odległości od 50 do 100 kilometrów od granicy. Ostrzelanie ich z dział o świcie 22 czerwca było w zasadzie niemożliwe. Była jeszcze jedna dywizja (41. DPanc, ze składu 22. KZmech.), która w przeddzień wojny znalazła się bardzo blisko granicy (12–15 kilometrów) — we Włodzimierzu Wołyńskim. Ale to i tak nie 3 kilometry. Różnica — z punktu widzenia możliwości wyjścia spod ognia artylerii — ogromna. Wczesnym rankiem 22 czerwca dowódca otworzył *„czerwony pakiet"* i dywizja forsownym marszem wyruszyła szosą do Kowla. W sprawozdaniu o działaniach bojowych dywizji czytamy: *„O godzinie 4 rano 22.06.41 roku ostrzeliwana była dalekim ogniem artyleryjskim przeciwnika i w okresie mobilizacjiponiosła straty — 10 żołnierzy zabitych"* [8].

Natomiast rzecz najważniejsza polega na tym, że na brzegu rzeki granicznej dywizje czołgów lekkich (a *„brzeska"* 22. DPanc, uzbrojona była tylko w czołgi T–26) nie mają zupełnie nic do roboty. Najpierw artyleria powinna stłumić system ognia przeciwnika, następnie piechota powinna podejść do przepraw i zająć przyczółek na nieprzyjacielskim brzegu — i dopiero potem, z głębi ugrupowania operacyjnego, powinna wedrzeć się w wyłom pancerna orda. Właśnie tak prezentował to na odprawie (w grudniu 1940 roku) naczelny czołgista Armii Czerwonej generał Pawłow, właśnie dlatego w *„czerwonym pakiecie"* rejonem ześrodkowania 22. DPanc, nie był wschodni brzeg Bugu, ale wieś Żabinka — odległa o 25 kilometrów od Brześcia! Cóż przeszkadzało ukryć 22. DPanc. w lasach jeszcze bardziej na wschód od samej Żabinki? Lasów na Białorusi jest akurat wystarczająco dużo. Kto i po co zapędził pancerną dywizję do obozu na równym terenie, dobrze widocznym od strony przeciwnika? Kto i po co zamknął dwie dywizje strzeleckie w *„pułapce na myszy"* — w starej twierdzy?

Odpowiedzi na te pytania zaczniemy gromadzić, poczynając — jak przyjęto to czynić w dawnych czasach — od *„najniższych stopni"*.

J. M. Sinkowski — w przededniu wojny major, szef wydziału operacyjnego sztabu 28. Korpusu Strzeleckiego 4. Armii:

„Dowództwo 28. KS skierowało do dowództwa 4. Armii prośbę o pozwolenie na wyprowadzenie 6. i 42. Dywizji z twierdzy. Pozwolenia nie otrzymało" [44].

F. I. Szłykow — w przededniu wojny członek Rady Wojennej (zwyczajnie mówiąc — komisarz) 4. Armii. Oddajemy wam głos, towarzyszu komisarzu:

„Pisaliśmy do okręgu (tj. dowództwa Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego— M.S.)*, aby zezwolił nam wyprowadzić z Brześcia jedną dywizję, niektóre składnice i szpital. Pozwolono nam przenieść do*

innego rejonu tylko część szpitala" [44].

L. M. Sandałow — w przededniu wojny pułkownik, szef sztabu 4. Armii — w monografii o działaniach bojowych armii pisze:
„Palącym problemem była potrzeba zmiany dyslokacji 22. Dywizji Pancernej, na co jednakże okręg swej zgody nie dał".
Tak więc wyprowadzimy wniosek pośredni. Wszyscy zdają sobie sprawę z błędnej lokalizacji trzech dywizji bezpośrednio na linii słupów granicznych. Ale dowództwu korpusu wycofać dywizji z Brześcia zabrania dowództwo armii, której z kolei zabrania tego uczynić dowództwo okręgu. Co więcej, wokół problemu wycofania wojsk z Brześcia toczy się pełna napięcia walka: korpus prosi o pozwolenie na wyprowadzenie z twierdzy wszystkich oddziałów, dowództwo armii prosi sztab okręgu o zezwolenie na wyprowadzenie choćby jednej dywizji...
A cóż na to dowództwo okręgu?
D. G. Pawłow, generał armii, dowódca Frontu Zachodniego (Specjalnego Okręgu Wojskowego), w czasie rozprawy sądowej zeznał:
„Jeszcze na początku czerwca w y d a ł e m r o z k a z o w y p r o w a d z e n i u w o j s k (podkr. M.S.)*z Brześcia do obozów. Korobkow nie wykonał mego rozkazu i w rezultacie trzy dywizje przy wyjściu z miasta zostały rozbite przez przeciwnika"*.
A. A. Korobkow, generał major, dowódca 4. Armii, złożył w czasie rozprawy następujące zeznanie:
„Nie przyznaję się do winy (...) *zeznaniom Pawłowa kategorycznie zaprzeczam* (...) *Nikt nie wydał rozkazu o wyprowadzeniu oddziałów z Brześcia. Ja osobiście takiego rozkazu nie widziałem"*.

Znalazłszy się ramię w ramię z Korobkowem (siedzieli na jednej ławie oskarżonych), Pawłow od razu zmienia swoje zeznania. Pomiędzy dwoma oskarżonymi generałami odbywa się następujący dialog:
„Oskarżony Pawłow:
— W czerwcu, na moje polecenie, dowódca 28. Korpusu Strzeleckiego Popow otrzymał zadanie Brześcia do obozów.
Oskarżony Korobkow: ewakuacji do 15 czerwca wszystkich wojsk z — Ja o tym nie wiedziałem. Znaczy to, że Popowa trzeba by pociągnąć do odpowiedzialności karnej" [67].
Zwróć uwagę, szanowny Czytelniku, na to, co jest przedmiotem sporu i przewodu sądowego. Generałowie spierają się nie o to, czy rozkazy Pawłowa były słuszne, na czasie, czy odniosły skutek... Oni nie mogą się zgodzić co do tego, czy rozkaz o wycofaniu wojsk z Brześcia został wydany czy nie. Jakże coś takiego może być przedmiotem sporu? Nawet w przedszkolu zarządzenia dyrektora wydaje się na piśmie, rejestruje w dzienniku, składa do teczki z tasiemkami. Rozkaz sztabu

Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego został (lub nie) wydany na trzy tygodnie przed rozpoczęciem wojny. W całkowicie pokojowym okresie. Więc co — niemieccy dywersanci wykradli go z sejfu? I dlaczego dowództwo okręgu wydało ten rozkaz bezpośrednio dowódcy korpusu — *„ponad głową"* dowódcy armii? Tego samego 28. KS, którego dowództwo, według świadectwa majora Sinkowskiego, nie tylko rozkazu, ale nawet *„nie otrzymało pozwolenia na wyprowadzenie dwóch dywizji z twierdzy brzeskiej"*.
Skoro zaczęliśmy mówić o Brześciu, to już najwyższy czas przypomnieć sobie historię obrony tego, co według planów radzieckiego dowództwa powinno było wystąpić w roli *„twierdzy brzeskiej"*. Oczywiście mowa będzie nie o podziemiach przestarzałej warowni, ale o Brzeskim Rejonie Umocnionym (RU nr 62).
Wołga uchodzi do Morza Kaspijskiego, dwa razy dwa to cztery, ufny i naiwny Stalin zniszczył umocnienia na starej (z 1939 roku) granicy państwowej, a na nowej nie zdążył zbudować niczego sensownego. O tym mówi się w każdej książce o wojnie. Tego uczy się w szkole. W obronie tej *„prawdy"* zjednoczyli się wszyscy: od Wiktora Suworowa po ostatniego partyjnego*„historyka"*.

Lecz szydło niepowstrzymanie wychodzi z worka. W numerze 4 z 1989
roku **„Wojenno–istoriczeskij żurnał"** zamieścił tabelę z liczbami odzwierciedlającymi stan rejonów umocnionych na nowej granicy na 1 czerwca 1941 roku. Na tę tabelę redakcja szczodrze wydzieliła 5,5 x 2,5 cm powierzchni strony. Mikroskopijnymi literkami zaznaczono, że w Brzeskim RU wybudowano 128 stałych schronów ogniowych, a kolejnych 380 znajduje się w stadium budowy. Maleńki obszar nie pozwolił na poinformowanie czytelników, że termin zakończenia budowy ustanowiony został na 1 lipca 1941 roku, a praca wrzała od świtu do zmierzchu.
Nawiasem mówiąc, na starej granicy także nikt niczego nie wysadzał. Przeciwnie, 25 maja 1941 roku ukazała się kolejna decyzja rządu o środkach na rekonstrukcję i dozbrojenie *„starych"* rejonów umocnionych. Termin gotowości ustalony został na 1 października 1941 roku. Niektóre schrony Mińskiego RU stoją po dziś dzień. Półtorametrowy beton wytrzymał ostrzał artylerii, a kiedy Niemcy, już podczas okupacji Białorusi, próbowali je wysadzić, prędko się wycofali z tego pomysłu z powodu ogromnego zużycia deficytowych na wojnie materiałów wybuchowych.
Wrócimy jednakże do Brześcia. Jak pisze Sandałow (wówczas szef sztabu 4. Armii, w której pasie budowano Brzeski Rejon Umocniony): *„Na budowę Brzeskiego Rejonu Umocnionego ściągnięte zostały wszystkie oddziały saperów 4. Armii oraz 33. Pułk Inżynieryjny okręgu*

(…) *W marcu–kwietniu 1941 roku dodatkowo ściągnięto 10 tys. miejscowych z 4 tys. podwód* (…) *od czerwca na rozkaz okręgu do prac obronnych wciągnięto już po dwa bataliony z każdego pułku strzeleckiego dywizji"* [79].
16 czerwca decyzją KC WKP(b) i rządu ZSRR ***„O przyśpieszeniu doprowadzenia do gotowości bojowej rejonów umocnionych"*** [3] raz jeszcze wszczęto a larm budowlany.
Nie pomylimy się zbytnio, jeżeli założymy, że do 22 czerwca duża część z 380 niewybudowanych schronów Brzeskiego RU była już gotowa lub prawie gotowa. Prawdopodobnie nikt nie zna dokładnych liczb. Tak więc podsumowanie (w tabeli w **„WIŻ"**) ilości zbudowanych bunkrów w czterech rejonach umocnionych Frontu Zachodniego daje liczbę 332, ale na sąsiedniej stronie, w tekście artykułu, dopowiedziano, że *„do czerwca 1941 roku zbudowano 505 DOT–ów"*. Pawłow i Klimowskich wymieniają na przesłuchaniach jeszcze większą liczbę — 600… [67].

Tak czy inaczej, na każdym kilometrze frontu Brzeskiego Rejonu Umocnionego zostały wkopane w ziemię po trzy betonowe pudła, których ściany wytrzymywały bezpośrednie trafienie pocisku ciężkiej haubicy polowej. Jedno całkowicie wybudowane i urządzone, i jeszcze dwa takie same pudełka, częściowo wykończone. To w uzupełnieniu do stworzonej przez samą naturę rzeki Bug, wzdłuż której przebiegała wtedy granica. Jeżeli nawet przyjąć, że w ani jednym schronie nie zainstalowano nawet jednej sztuki specjalistycznego uzbrojenia, to i w tym wypadku można było stworzyć zwartą strefę rażenia ogniowego, po prostu umieszczając w nich plutony dywizji strzeleckich, standardowo uzbrojone w diegtariewy i maksimy. Karabiny maszynowe były. Według stanu z kwietnia 1941 roku w strzeleckiej dywizji Armii Czerwonej znajdowały się 392 ręczne i 166 ciężkich karabinów maszynowych. Zgodnie z etatem. Faktycznie zaś 22 czerwca 41 roku na wyposażeniu Armii Czerwonej znajdowało się 170 tysięcy ręcznych i 76 tysięcy ciężkich karabinów maszynowych [35, s. 351].
Zresztą wszystkie te improwizacje były zbędne. Jak wynika z zeznań dowódcy Frontu Zachodniego Pawłowa, jedna trzecia bunkrów była już uzbrojona — bynajmniej nie w rozpadające się działa, niby to przeniesione z umocnień na starej granicy.
Towarzysz I. N. Szwiejkin na początku wojny był lejtnantem w 8. batalionie artylerii i karabinów maszynowych Brzeskiego RU. On też zaświadcza:
„Jakość i uzbrojenie DOT–ów w porównaniu z tymi na starej granicy były znacznie lepsze. Tam na batalion przypadały łącznie cztery działa, a resztę uzbrojenia stanowiły karabiny maszynowe. Tu zaś wiele schronów (45% z ogólnej liczby — M.S.)*miało po jednym lub kilka dział sprzężonych z karabinami maszynowymi* (…)*Działa były*

półautomatyczne. Wystrzelone łuski opadały do specjalnej studni na zewnątrz, co było bardzo wygodne. Schrony bojowe wyposażono w bardzo dobrą optykę" [44].
Niezawodnie przygotowany przez komunistycznych *„historyków"* czytelnik już wszystko zrozumiał:
Bunkry niby były, ale przecież głupi Stalin nie pozwolił ich zająć. Aby *„nie dać powodu"*. Wstrząsająca logika. Pomijając to, że ani Stalin, ani Hitler nigdy nie potrzebowali *„powodów"* (gdyż w razie potrzeby prokuro wali je sami w dowolnej liczbie), w porównaniu z samym budowaniem t y s i ę c y betonowych schronów na brzegu pogranicznej rzeki zajęcie ich przez garnizony w ciemnościach nocy nikogo i niczego nie mogło sprowokować. Dlatego też je zajmowano. Co noc.
„W końcu maja częstsze stały się alarmy bojowe, w czasie których zajmowaliśmy swoje DOT–y (...)*Noce spędzaliśmy w nich, a rano, po odboju, powracaliśmy do ziemianek. W czerwcu takie alarmy stały się nieomal codziennością. W nocy na 21 czerwca — także* [był alarm]. *W sobotę 21*
czerwca, jak zazwyczaj, po kolacji oglądaliśmy film. Rzucało się w oczy, że — w odróżnieniu od wcześniejszych sobót — na ławkach nie było widać cywilnych mieszkańców najbliższych wsi. Po filmie przebrzmiał odbój, lecz nie było nam dane długo spać: o godzinie 2 w nocy zostaliśmy poderwani alarmem bojowym i po upływie pół godziny byliśmy już na stanowiskach, dokąd wkrótce przybyły furmanki z amunicją".
To fragment ze wspomnień L. W. Irina, który na początku wojny był słuchaczem kompanii szkolnej 9. batalionu artylerii i karabinów maszynowych Grodzieńskiego Rejonu Umocnionego [83]. Nie ma żadnych podstaw, by powątpiewać, że i Brzeski RU żył wiosną 1941 roku tymi samymi regulaminami i instrukcjami.
Linia Mannerheima, którą historycy drugiej wojny światowej wspominali tysiąc razy, miała łącznie 160 budowli betonowych na froncie do 135
kilometrów, przy czym duża część z nich uzbrojona była w karabiny maszynowe, a tylko kilkadziesiąt tak zwanych DOT–ów — *„milionników"* wyposażona została w działa.
Jak wszystko to zostało wykorzystane? Armia Czerwona z ogromnymi stratami przerywała linię Mannerheima przez cały luty 1940 roku, Niemcy zaś istnienia Brzeskiego Rejonu Umocnionego praktycznie nie zauważyli. W meldunku sztabu Grupy Armii *„Środek"* (22 czerwca 1941 roku, godzina 20.30) znajdujemy tylko zwięzłą konstatację: *„Umocnienia graniczne przerwane zostały na odcinkach wszystkich korpusów 4. Armii"* — czyli akurat w pasie obrony Brzeskiego Rejonu Umocnionego [61]. Nawet w pamiętnikach Guderiana nie znajdziemy ani jednej

wzmianki o jakichś walkach o przełamanie linii obrony tego rejonu. Ale niektóre załogi walczyły do końca czerwca 1941 roku. Niemcy już zajęli Białystok i Mińsk, wyszli pod Bobrujsk, rozpoczęli forsowanie Berezyny, a 3. kompania 17. batalionu artylerii i karabinów maszynowych Brzeskiego Rejonu Umocnionego utrzymywała 4 schrony na brzegu Bugu, w pobliżu polskiego miasteczka Siemiatycze, do 30 czerwca! [44]. Betonowe stropy wytrzymały każdy ostrzał artyleryjski i dopiero po uzyskaniu możliwości otoczenia schronów i przebicia ich ścian ciężkimi fugasami Niemcy zdołali stłumić opór garstki bohaterów.
A cóż robiły pozostałe załogi? *„Duża część żołnierzy 17. batalionu artylerii i karabinów maszynowych wycofywała się w kierunku Wysokiego, gdzie znajdował się sztab 62. Rejonu Umocnionego* (...)*W tym też kierunku wycofywała się część 18. batalionu artylerii i karabinów maszynowych z rejonu Brześcia"* [79]. Tak oto spokojnie i melancholijnie opisuje Sandałow masową dezercję, do jakiej doszło w pierwszych godzinach wojny. Zdarza się. Na wojnie, jak to na wojnie. W każdej armii świata zdarzają się i zdezorientowanie, i panika, i ucieczki. Dlatego też w armii są dowódcy, aby w podobnej sytuacji jednym dodać otuchy, drugich zastrzelić, byle tylko osiągnąć wykonanie zadania bojowego. A cóż uczynił dowódca 62. Rejonu Umocnionego, gdy do jego sztabu w Wysokiem przybiegły tłumy czerwonoarmistów, którzy porzucili swe pozycje ogniowe?
„Dowódca Brzeskiego Rejonu Umocnionego generał major Puzyriew z częścią pododdziałów, które pojawiły się u niego w Wysokiem, już w pierwszym dniu wycofał się do Bielska (40 km od granicy — M.S.), a następnie dalej na wschód" [79]. Jak to— *„wycofał się"*? Pułki lotnicze, jak nam mówią, przebazowały się na głębokie tyły, aby otrzymać tam nowe samoloty. W zamian za porzucone wcześniej na lotniskach. Przypuśćmy. Ale co mógł otrzymać na tyłach towarzysz Puzyriew? Nowy ruchomy bunkier na kółkach?
Być może już słyszał te pytania. Odpowiedź zaś po dziś dzień pozostaje nieznana.
„Ur. w 1890 roku Komendant 62. Rejonu Umocnionego. Zmarł 18 listopada 1941 roku. Danych o miejscu pochówku brak" — to wszystko, co przekazał swoim czytelnikom **„Wojenno–istoriczeskij żurnał"**. Jak, gdzie, w jakich okolicznościach zmarł generał Puzyriew i dlaczego jesienią 1941 roku dalej figurował jako *„komendant"* nie istniejącego rejonu umocnionego — wszystko to ginie w mroku tajemnicy państwowej.
Przełożony generała Puzyriewa, zastępca dowódcy Frontu Zachodniego ds. rejonów umocnionych generał major I. P Michajlin zginął od zabłąkanego odłamka wczesnym rankiem 23 czerwca 1941 roku.
W pamiętnikach Bołdina odnajdujemy pewne szczegóły tego wypadku: *„Wycofując się razem z wojskami, generał major Michajlin przypadkowo*

dowiedział się, gdzie jestem, i przybył na moje stanowisko dowodzenia”. Generał Michajlin nie wycofywał się *„razem z wojskami”*. On je oczywiście wyprzedził.
Stanowisko dowodzenia Bołdina, jak uważny czytelnik pamięta, znajdowało się o 15 kilometrów na północny wschód od Białegostoku, to jest ponad 100 kilometrów od granicy. Żołnierz w ciągu doby tyle nie przemaszeruje…

DAMA Z FIKUSEM

Styl dokumentalnej powieści kryminalnej wymaga połączenia w całość wszystkich wątków fabularnych i czytelnego wskazania głównych zbrodniarzy. Niestety — niczego prócz wielkiej liczby znaków zapytania autor nie jest w stanie czytelnikowi zaproponować. Ustalenie prawdziwych przyczyn największej i bezprzykładnej w historii Rosji tragedii nie było w ciągu minionych sześćdziesięciu lat przedmiotem kompetentnego sądowego lub, przynajmniej, parlamentarnego śledztwa. Taka sytuacja, absolutnie nie do pomyślenia w jakimkolwiek cywilizowanym państwie, stała się zwyczajna dla naszego społeczeństwa i już od dawna nie wywołuje ani protestu, ani nawet zdziwienia.

Materiały źródłowe, jakimi dysponujemy, nie są wystarczające, by potwierdzić hipotezy i stawiać dalej pytania naprowadzające. Jedno z takich pytań pojawiło się przy czytaniu następującego fragmentu ze wspomnień Bołdina.

Jest pierwszy dzień wojny. W południe Bołdin przylatuje z Mińska na lotnisko wojskowe oddalone o 35 kilometrów na wschód od Białegostoku.

„Liczy się każda minuta. Trzeba się śpieszyć do 10. Armii. Na lotnisku nie ma samochodu osobowego. Zabieram półtoratonówkę, wsiadam do kabiny i daję polecenie kierowcy, aby jechał do Białegostoku (…)

Nasza półtoratonówka pędzi po ruchliwej szosie. Lecz nie jest to zwyczajny ruch. To, co na niej widzimy, bardziej przypominaciżbę kompletnie zagubionych ludzi, nie wiedzących, gdzie i po co idą lub jadą (…)

Pojawiło się kilka samochodów osobowych. Na przedzie ZIS–101. Z jego otwartych okien sterczą szerokie liście fikusa. Okazało się, że to samochód pewnego obwodowego naczelnika. W nim dwie kobiety i dwoje dzieci.

— Czy naprawdę w takich okolicznościach nie mają panie czego wozić oprócz kwiatów? Lepiej byście wzięły staruszków lub dzieci — zwracam się do kobiet.

Opuściwszy głowy, milczą. Kierowca odwrócił się — widać, że jemu także jest wstyd. Nasze samochody się minęły.

(…)*na szosie ukazała się emka. W niej inżynier jednej z budów rejonu umocnionego. Oferuję mu przejście do mojej półtoratonówki, a sam biorę jego samochód i kontynuuję podróż do 10. Armii. Trzeba się tam dostać możliwie jak najszybciej. Godzina osiemnasta. Jaskrawe słońce oświetla drogę"* [80].

Przeczytaj, szanowny Czytelniku, ten fragment ponownie. Dwa, trzy

razy. Jest on tego wart. Przed nami klucz do rozwiązania tego, co przyjęto nazywać *„tajemnicą 1941 roku"*.
Przede wszystkim uściślijmy okoliczności czasu i miejsce akcji. Spotkanie z damą z fikusem nastąpiło na wschód od Białegostoku, około 100 kilometrów od granicy, po południu 22 czerwca 1941 roku, czyli w przybliżeniu po 12 godzinach od rozpoczęcia działań bojowych, w 4–5 godzin po wystąpieniu Mołotowa we wszechzwiązkowym radiu. Wojna się rozpoczęła i to już wszyscy wiedzą.
Jednym z wielu skutków tej tragicznej sytuacji jest to, że wszystkie bez wyjątku samochody osobowe muszą być do dyspozycji władz wojskowych. Dowódca okręgu, a pod jego nieobecność pierwszy zastępca dowódcy Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego towarzysz Bołdin jest obecnie najwyższą władzą dla wszystkich osób wojskowych i cywilnych na obszarze Białorusi.
Bołdin nie śpieszy się na ryby. Powinien on niezwłocznie przybyć do sztabu 10. Armii, utworzyć główne zgrupowanie uderzeniowe frontu i kierować jego działaniami. Od tego, jak szybko i w jakim stanie fizycznym przybędzie on na miejsce przeznaczenia, zależy — bez żadnej przesady — życie setek tysięcy ludzi.
Wniosek: Bołdin miał nie tylko prawo, lecz również obowiązek przesiąść się z trzęsącej się kabiny dudniącej i bardzo zawodnej półtoratonówki na skórzany fotel wygodnej szybkiej limuzyny. On — Bołdin, już walczy, jego czas i samopoczucie przestały już być jego własną sprawą, w której można by okazywać osobistą skromność.
Czy sam Bołdin to rozumie? Oczywiście. Kilka razy powtarza, że *„trzeba się śpieszyć"*, i natychmiast rekwiruje pierwszą mijaną po drodze emkę. A potężnego i niezawodnego *„rządowego"* zisa przepuszcza, ograniczając się jedynie do uszczypliwej uwagi, po której wstyd zrobiło się jednemu tylko kierowcy — ale nie pasażerom zisa. Milczenie było ich odpowiedzią. Po czym *„nasze samochody się minęły"*.
W zasadzie wystarczy już informacji, aby określić, jakiemu to *„obwodowemu naczelnikowi"* przysługiwała i ta maszyna, i ten fikus, i dlaczego zis nie jechał sam, ale jako pierwszy w składzie *„grupy samochodów"*.
Białystok w tym czasie to prowincjonalne miasto ze stutysięczną ludnością i kilkoma fabrykami przemysłu włókienniczego. W Polsce był on zaniedbanym miastem na wschodnich peryferiach, w ZSRR stał się odległym zachodnim pograniczem. Zwykli naczelnicy w takich miastach jeździli tramwajami, ich wyżsi (na skalę lokalną) zwierzchnicy — w emkach. Z samochodami osobowymi w ZSRR zawsze był duży problem. W Białymstoku rządowy zis trafić mógł do dyspozycji jedynie trzech ludzi: pierwszego sekretarza komitetu obwodowego Partii Miłośników Kolektywnego Majątku oraz naczelników zarządów obwodowych NKWD i NKGB. I tylko przenikającym do szpiku kości strachem przed

„organami" wytłumaczyć można to, że generał lejtnant, który miał za sobą już dwa *„marsze wyzwoleńcze"* — do Polski i do Rumunii, nie zdecydował się wyrzucić fikusa na pobocze. Po określeniu przynależności pojazdu i kobiety zwróćmy teraz uwagę na doniczkę z fikusem.

Marsze wyzwoleńcze zawsze się łączyły z gwałtownym skokiem dobrobytu władz wojskowych, partyjnych, a przede wszystkim — służb bezpieczeństwa. Po tym, jak krwią dziesiątków milionów wywalczono zwycięstwo, zjawisko to rozkwitło bujną paletą kolorów. Ściągano samochodami, wagonami i transportami. Zdemontowano i przewieziono pod Moskwę luksusową willę Góringa, przetopiono na gałkę do laski złotą koronę Hohenzollernów, specjalnie dla marszałka Żukowa szukano po całym zniszczonym Berlinie jakichś niezwykłych *„piesków rasy angielskiej z bródkami"*...

Podczas rewizji u aresztowanego 24 stycznia 1948 roku K. F. Telegina, generała lejtnanta, członka Rady Wojennej Grupy Wojsk Radzieckich w Niemczech, a mówiąc prościej, najbliższego współpracownika G. K. Żukowa, przejęto:

„(...)*ponad 16 kg wyrobów ze srebra, 218 kuponów tkanin wełnianych i jedwabnych, 21 strzelb myśliwskich, dużo wyrobów zabytkowych z porcelany i fajansu, futra, arrasy francuskich i flamandzkich mistrzów z XVII i XVIII wieku oraz inne kosztowne przedmioty"* [**WIŻ**, 1989, nr 6].

W 1939 roku ten proceder dopiero pączkował, ale już w trakcie marszu wyzwoleńczego do Polski w strefie okupacji radzieckiej pod Lwowem przepadł majątek żony amerykańskiego ambasadora w Polsce Biddle'a (damy z bardzo bogatej rodziny), w tym ogromna kolekcja antyków. Bez mała dwa lata Amerykanie naprzykrzali się radzieckiemu resortowi spraw zagranicznych z prośbą o zorientowanie się w tej sprawie. Ogromnie zdumiewało ich, jak to w państwie, w którym *„zniesiono"* własność prywatną, mogło zginąć bez śladu 200 (sic!) skrzyń z obrazami, futrami, dywanami, srebrem stołowym itd. Ostatecznie cierpliwość naszych dyplomatów się wyczerpała i 5 czerwca 1941 roku zastępca komisarza spraw zagranicznych towarzysz Łozowski oświadczył ambasadorowi USA Steinhardtowi:

„Na zachodniej Ukrainie i zachodniej Białorusi odbywała się wówczas rewolucja. Pan ambasador oczywiście myśli, ze kiedy ludzie dokonują rewolucji, to zastanawiają się tylko nad tym, jak by uchronić czyjeś mienie. Radziecki rząd nie jest stróżem dobytku pana Biddle'a" [69, s. 724].

Tak usprawiedliwione władze radzieckie zwróciły 47 skrzyń i obiecały oddać resztę, *„jeżeli coś jeszcze zostanie znalezione"*.

Całą tę długą historię opowiedziano tu po to, aby uświadomić czytelnikowi, że niedorzeczny fikus nie był chyba jedynym cennym przedmiotem w domu głównego białostockiego naczelnika. Jesienią

1939 roku tam także *„dokonywała się rewolucja”*, a z pałaców Radziwiłłów też znikały urocze drobiazgi.
To, że *„pierwsza dama Białegostoku”* wlokła z sobą fikus, świadczy o tym, że pakowanie odbywało się w skrajnym pośpiechu, w strasznej panice, w stanie bliskim pomieszania zmysłów.
Dlaczego?
Co właściwie tak przestraszyło damę z fikusem i jej męża?
Odpowiedź na to pytanie nie jest tak całkiem prosta, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Dzisiaj wiemy, co zapoczątkowały strzały na granicy wczesnym rankiem 22 czerwca 1941 roku. Lecz kto mógł to wiedzieć wieczorem pierwszego dnia?
Ze wszystkich głośników huczało: *„A jeśli wtargnie do nas wróg zawzięty, będzie on bity zawsze i wszędzie”*. W Moskwie przygotowywano Dyrektywę nr 3, zgodnie z którą do 24 czerwca działania bojowe powinny zostać przeniesione na terytorium przeciwnika.

Jakież mogły być wątpliwości co do realności tych planów, jeśli wziąć pod uwagę faktyczny stosunek sił obu stron? Jeżeli nawet były, to skąd się wzięła ta niedorzeczna pewność, że trzeba uciekać, dokąd oczy poniosą?
Czy mąż owej damy dzięki potędze swego stanowiska służbowego znał rzeczywisty stan rzeczy? Lecz w takim wypadku było jeszcze mniej podstaw do paniki. W pasie obrony 10. Armii, na froncie do 200 kilometrów, nacierało dziesięć dywizji piechoty Wehrmachtu. Z artylerią o ciągu konnym, ani jednego czołgu. Według naszych regulaminów do natarcia na takim froncie trzeba było trzykrotnie więcej sił.
Gdy doniczkę z fikusem pakowano do drogiego samochodu, czołowe oddziały Wehrmachtu kończyły dopiero przeprawę przez graniczny Bug. Nawet jeżeli założyć, że Wielki Szef nie wierzył w zdolność Armii Czerwonej do stawienia jakiegokolwiek oporu, to i w tym wypadku rozsądnych podstaw do pośpiechu nie było. Od granicy do Białegostoku było jakieś 100 kilometrów. Po drodze dwie rzeki: jeśli się posuwać z południowego zachodu — Narew, jeśli z północy — Biebrza. Nie trzeba być Duchem Świętym, aby wiedzieć, że — choć to nie Dniepr lub Wisła — bez mostu przez te rzeki dywizja piechoty z całym swoim różnorodnym dobytkiem się nie przeprawi. A most trzeba jeszcze zbudować… I ile czasu upłynie, zanim przejdzie po nim dywizja Wehrmachtu, to znaczy 15 tysięcy ludzi i 5 tysięcy koni?
Tak więc w Białymstoku nie można się było Niemców spodziewać wcześniej niż koło czwartku, piątku. Czasu na spakowanie było dość. Nie warto było się miotać i w przerażeniu łapać w rękę pierwszego z brzegu fikusa.
Jakaż więc to siła już w parę godzin po tym, jak Mołotow wygłosił przez

radio napisane mu przez Stalina słowa *„wróg będzie rozbity, zwycięstwo będzie nasze”*, wypełniła wszystkie drogi masami *„kompletnie zagubionych ludzi, nie wiedzących, gdzie i po co idą lub jadą”*?
W czasie gdy autorpisał i przepisywał na nowo dalsze rozdziały tego smutnego opowiadania, wydawnictwo Olma–press w 2002 roku wydało książkę pod tytułem **15 wstriecz s gienierałom KGB Bielczenko** [62]. Ten waleczny czekista, który kierował tłumieniem powstań narodowych w AzjiŚrodkowej, Budapeszcie i Tbilisi, w przededniu wojny pracował jako szef Zarządu NKGB w Białymstoku. Na stronie 129 generał zapewnia, że swoją żonę odprawił do Mińska półtoratonówką. Jeżeli to prawda, to fikus

pochodził z domu pierwszego sekretarza komitet u obwodowego Kudriajewa lub szefa Zarządu NKWD Fukina.
Tak czy inaczej, wspomnienia Bielczenki uzupełniają obraz wydarzeń czerwca 1941 roku nadzwyczaj barwnymi pociągnięciami pędzla.
„Na posiedzeniu obkomu (komitetu obwodowego— dop. tłum.) *partii rozpatrywaliśmy decyzje niektórych przygranicznych rajkomów partii dotyczące usunięcia z WKP(b) tych, który zaczęli wysyłać swoje rodziny do naszych obiektów na tyłach”*.
Zatrzymajmy się. Oceńmy. Postarajmy się przypomnieć sobie, co to jest — być wykluczonym z partii w dobie *„nieustannego zaostrzania się walki klasowej”*. A za co, drodzy towarzysze? Czy w Statucie jest choćby jedna linijka o miejscu pobytu żony komunisty? A już tym bardziej — kto i kiedy zabraniał członkowi partii wysłać latem dzieci na wakacje, do babci do Tambowa?
Niemniej jednak podobne rzeczy się zdarzały. I nie tylko w Białymstoku. Otwórzmy raz jeszcze książkę Sandałowa:
„19 czerwca 1941 roku odbyło się rozszerzone plenum obwodowego komitetu partii (…) *Na plenum pierwszy sekretarz obkomu towarzysz Tupicyn zwrócił uwagę na napiętą sytuację międzynarodową i wzrastające zagrożenie wojenne. Wzywał do wzmocnienia czujności* (…)*Na pytania uczestników plenum, czy można wysłać rodziny z Brześcia na wschód, sekretarz obkomu odpowiedział, że nie należy tego czynić, aby nie wywoływać niepożądanych nastrojów”* [79].
Otóż to. Wojna u progu, lecz *„na pierwsze uderzenie wroga niezłomna Armia Czerwona odpowie potrójnym druzgocącym uderzeniem”*. A kto choć na sekundę w to zwątpił — ten tchórz, panikarz i wróg. Takich się nie przyjmuje do grona komunistów.
I oto— gruchnęło. O godzinie 4 rano rozległa się kanonada artyleryjska. *„Od godziny 5 do 6 rano — pisze Sandałow — wojska niemieckiej 2. Grupy Pancernej i 4. Armii zaczęły forsować rzekę Bug”*.
Zaczęły forsować… A trzeba to jeszcze zakończyć. Na wojnie to nie zawsze i nie wszystkim się udaje.

O godzinie 5.45 w kremlowskim gabinecie Stalina rozpoczęła się narada wyższego kierownictwa państwa. Zaczęło się od tego, że komisarza spraw

zagranicznych Mołotowa wysłano na spotkanie z ambasadorem Niemiec hrabią Schulenburgiem, aby się dowiedział, co też dzieje się na granicy.

A w tym czasie…

„Około godziny 6 rano zebrało się biuro białostockiego obkomu partii, na którym na równi z rozwiązywaniem innych pilnych zagadnień przyjęta została decyzja o utworzeniu czieriezwyczajki" (komisji nadzwyczajnej — dop. tłum.). Co jak co— ale to u nas kochają. Jakże tak bez CzK? Pytanie tylko, do rozwiązania jakiego *„naglącego zagadnienia"* utworzono białostocką *„czieriezwyczajkę"*? A oto, do jakiego: *„(…)w celu natychmiastowej ewakuacji rodzin wojskowych, jak również cennego mienia i tajnych dokumentów"*.

Lecz również to jeszcze nie wszystko. W trzeciej godzinie wojny białostoccy towarzysze już mieli wątpliwości co do tego, czy uda się im ewakuować całe cenne mienie. Generał Bielczenko kontynuuje: *„Na posiedzeniu tym biuro obkomu zaproponowało utworzenie bojowych grup czekistowskich przeznaczonych do wysadzenia i zniszczenia obiektów obronnych, baz wojskowych i magazynów w momencie wkraczania wroga do miasta"*.

Żadnego trybu przypuszczającego. Oczywiste jest, że wróg wkroczy do miasta. Nawet szybciej, niż uda się wywieźć zawartość wojskowych składów.

A na koniec — jeszcze trochę o fikusie:

„Rodzinę w pierwszym dniu wojny wysłałem półtoratonówką w stronę Mińska. Razem z nią jechały rodziny moich zastępców (…)Zbiórki odbywały się w popłochu. Jak to zawsze (? — M.S.) *w takich wypadkach bywa, najważniejsze rzeczy zostały zapomniane. Na przykład moja żona nie zabrała ani jednego dokumentu poświadczającego jej tożsamość"*.

Szczegół bardzo interesujący. Zapomniała zabrać czy też mąż zadbał o to, aby przy żonie nie było żadnych dokumentów potwierdzających tożsamość?

Otóż właśnie tak *„zawsze bywa"*, gdy czekista (lub jego żona) udają się na wrogie zaplecze. Lub na spotkanie z ludem pracującym Kraju Rad, który (po raz pierwszy od wielu lat) miał możliwość okazania swej wdzięczności osławionym czekistom i ich żonom…

CZĘŚĆ 3 SIEDMIU NIE BIJE JEDNEGO

JA W NASZYCH PLANACH KOCHAM SIĘ OGROMNIE

Miejsca są tam cudowne. Malownicze lasy: wiekowy dąb, buk, platan. Czyste rzeki, w których do dziś ryb jest pod dostatkiem, a ziemia rodzi obfite plony. A jakąż muzyką starosłowiańską dźwięczą nazwy miast i rzek tej ziemi: Horyń, Uborć, Radomyśl, Turka, Krzemieniec, Sławuta, Korosteń, Jaworów…

Co prawda historia Galicji i Wołynia bardzo daleka była od błogiej pieś ni o ludzkiej miłości. Ogień oszalałej wrogości — religijnej, narodowej, klasowej — nie raz i nie dwa pustoszył ten bogaty kraj. Tutaj, pod Zbarażem i Beresteczkiem, rozjuszeni kozacy Bohdana Chmielnickiego bili się z polską szlachtą, tutaj mierzyli się w zaciętości ze swym przeciwnikiem opiewani przez Izaaka Babla bojcy Pierwszej Armii Konnej i właśnie tu, u bram miasta Dubno, Taras Bulba wydał krótki i straszny wyrok na własnego syna.

W tych właśnie miejscach, obficie zlanych łzami i krwią, w trójkącie Radziechów–Dubno–Brody, rozwinęło się w końcu czerwca 1941 roku jedno z głównych starć drugiej wojny światowej — jedna z największych bitew pancernych XX wieku. Bitwa, znana (choć prawidłowo powinniśmy powiedzieć: prawie nikomu nieznana) jako *„przeciwuderzenie korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego"*.

Przed rozpatrzeniem okoliczności tego *„trzeciego stalinowskiego uderzenia"* — drobne uwagi techniczne. Po tym, jak w 1939 roku wschodnia Polska została w drodze przemocy przekształcona w zachodni skrawek Związku Radzieckiego, wraz ze zsyłką pół miliona Polaków w ciągu kilkudziesięciu lat przeprowadzono także masową *„zsyłkę"* polsko brzmiących nazw z map geograficznych. Stanisławów w 1962 roku przemianowano na Iwano–Frankowsk, Żółkiew w 1951 roku przekształciła się w Niestierów, Radziwiłłów w 1940 roku zmienił się w Czerwonoarmiejsk, Krystynopol w 1953 roku w Czerwonograd itd. .

Podobnie jak w tragicznej historii pogromu grupy konno–zmechanizowanej Frontu Zachodniego pod Grodnem, także na Ukrainie wszystko zaczęło się od Dyrektywy nr 3.

Przypomnijmy raz jeszcze, co o godzinie 21.15 22 czerwca 1941 roku nakazał ludowy komisarz obrony Timoszenko: *„Potężnymi koncentrycznymi uderzeniami korpusów zmechanizowanych,*

całego lotnictwa Frontu Południowo–Zachodniego oraz pozostałych wojsk 5. i 6. Armii okrążyć i zniszczyć zgrupowanie przeciwnika, nacierające w kierunku Włodzimierz Wołyński–Brody. Do końca 24 czerwca opanować rejon Lublina".
Pozostałe siły frontów Południowo–Zachodniego i Południowego (26., 12., 18., 9. Armia) otrzymały czysto obronne zadania: „(...)*skutecznie się osłaniać i nie dopuścić do wtargnięcia przeciwnika na nasze terytorium"* [5].
Pełny tekst tej dyrektywy opublikowany został przez **„Wojenno–istoriczeskij żurnał"** dopiero po 48 latach od jej podpisania [**WIŻ**, 1989, nr 6], ale w wersji skróconej znany był od dawna. A przy tym każdy historyk radziecki uważał za swój obowiązek (lub, mówiąc ściślej — otrzymał zadanie partyjne) robić wymówki naszym naczelnym dowódcom za to, że *„kierując się nieuzasadnioną oceną możliwości wojsk* (własnych — dop. tłum.)*, wydali rozkaz jawnie nierealny, a przez to i niewykonalny"*.
Gdy już szydło wyszło z worka i dzięki ujawnieniu dokumentów stało się jasne, że możliwości Armii Czerwonej (skład, stan liczebny, uzbrojenie, odwody, zabezpieczenie w amunicję i paliwo) pozwalały postawić zadanie opanowania nie tylko samego Lublina (w sumie 80 kilometrów na zachód od granicy), ostrze krytyki skierowało się w inną stronę. Teraz twórców Dyrektywy nr 3 zaczęto krytykować za to, że wskazali zupełnie nierealne t e r m i n y wykonania przeciwuderzenia. Jeden z towarzyszy, sztabowiec z dużym stażem pracy w oddziałach operacyjnych, napisał cały artykuł o tym, że na opracowanie i przygotowanie do przeprowadzenia operacji o takim rozmachu potrzebny jest nie mniej niż miesiąc, a jeszcze lepiej — dwa. Nie będziemy się spierać. Uznamy stanowisko profesjonalisty. Jak dwa, to dwa.
Ale kto powiedział, że planowanie operacji zaczepnej i operacyjne rozwinięcie wojsk na zachodniej Ukrainie rozpoczęło się dopiero późnym wieczorem 22 czerwca 1941 roku?
Ostatnie przedwojenne plany Frontu Południowo–Zachodniego (Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego) nie zostały ujawnione po dziś dzień. Nie ma już państwa, w którego skład wchodziło terytorium tego okręgu, do Boga odeszli wszyscy bez wyjątku nielegalni agenci, których informacje były podstawą opracowania tych planów, dawno temu poszedł do przetopienia ujęty w planach cały sprzęt wojskowy, wielokrotnie w ciągu minionych sześciu dziesięcioleci zmieniła się przepustowość sieci drogowej...
Krótko mówiąc, odpadły wszelkie racjonalne przyczyny utajnienia tych pożółkłych stronic.
Ale nie — zwarte szeregi weteranów nauki partyjno–historycznej chórem odsądzają od czci i wiary *„renegata i zdrajcę"* Rezuna–

Suworowa, a sekretu Wielkiego Planu strzegą jak źrenicy oka.
A szydło niepowstrzymanie wychodzi z worka. Pod koniec 1991 roku, w chwili lekkiej konsternacji, jaka ogarnęła KGB na widok *„brązowego Feliksa"*, dyndającego na stalowej linie nad rozjuszonym wielotysięcznym tłumem, z archiwalnego gułagu wypłynął pewien interesujący dokument: *„Rozważania dotyczące planu strategicznego rozwinięcia sił zbrojych Związku Radzieckiego na wypadek wojny z Niemcami i ich sojusznikami"* [**WIŻ**, 1992, nr 1–2].
Dokument napisany został w jednym egzemplarzu, odręcznie, przez zastępcę szefa Oddziału Operacyjnego Sztabu Generalnego Armii Czerwonej generała majora (przyszłego marszałka i szefa Sztabu Generalnego) Wasilewskiego. W tekście — korekty wprowadzone ręką Watutina lub Żukowa. Data nie została wstawiona, a w nagłówku widnieje tylko miesiąc — maj 1941 roku. Podpisów Timoszenki i Żukowa brak, akceptacji Stalina także nie ma.
Nie będziemy tracić czasu na omawianie dyskusji, jaka się wywiązała po opublikowaniu tego— z całą pewnością — sensacyjnego dokumentu. Tym bardziej że uwagę opinii publicznej zwrócono nie na zawarte w nim rozważania operacyjne, ale przede wszystkim na całkiem banalne (jeśli posługiwać się tylko zdrowym rozsądkiem, a nie propagandowymi sztampami) zdanie:
„Uważam za konieczne, aby w żadnym wypadku nie oddawać inicjatywy w działaniach dowództwu niemieckiemu, uprzedzić przeciwnika w rozwinięciu i zaatakować armię niemiecką, gdy będzie się ona znajdować w stadium rozwijania".
Myśl w pełni oczywista i dla radzieckiego kierownictwa wojskowego bynajmniej nie nowa. Albowiem jeszcze w kwietniu 1939 roku K. A. Mierieckow (w tym czasie dowódca Leningradzkiego Okręgu Wojskowego), występując przy okazji omówienia gry dowódczo–sztabowej prowadzonej przez Radę Wojenną Okręgu, oświadczył: *„Gdy nasi przeciwnicy będą mobilizować swe wojska, przerzucać armie ku naszym granicom, nie będziemy siedzieć i czekać. Nasze przygotowanie operacyjne oraz przygotowanie wojsk powinny się skupiać na tym, aby zadać przeciwnikowi klęskę w momencie, gdy nie zdąży on jeszcze zgromadzić wszystkich swoich sił"* [1, s. 141].
Koryfeusze radzieckiej historii zdołali już wyjaśnić tym wszystkim, którzy zdolni są jeszcze ich słuchać, że majowe ***„Rozważania…"*** to pisany na brudno szkic, zestawiony (na 15 kartkach, z czterema załącznikami i siedmioma mapami) przez generała Wasilewskiego ot, tak sobie, w czasie wolnym od zasadniczej pracy[36]. Nie będziemy marnować czasu na *„dyskusję"* na takim poziomie, ale po prostu porównamy tekst rękopisu ***„Rozważań…"*** z innym, podpisanym i ze wszech miar formalnym dokumentem (w celu ułatwienia percepcji autor podkreślił niektóre kluczowe słowa).

Tak więc oto majowe (z 1941 roku) ***„Rozważania do planu strategicznego rozwinięcia…”***:
„Za pierwszy cel s t r a t e g i c z n y działań wojsk Armii Czerwonej uznać rozbicie sił głównych armii niemieckiej, rozwiniętych na południe od linii Brześć–Dęblin, i wyjście w 30 dniu operacji na froncie Ostrołęka, rz. Narew, Łowicz, Łódź, Kluczbork, Opole, Ołomuniec.
(…) *Za d a n i e b l i ż s z e — rozgromić armię niemiecką na wschód od rz. Wisła i na kierunku krakowskim, wyjść nad rz. Wisła i opanować rejon Katowic. W tym celu: główne uderzenie siłami Frontu Południowo–Zachodniego wykonać w kierunku Kraków, Katowice.*
(…) *uderzenie pomocnicze lewym skrzydłem Frontu Zachodniego wykonać w kierunku Siedlce, Dęblin w celu związania zgrupowania warszawskiego i opanowania Warszawy, a także współdziałania z Frontem Południowo–Zachodnim w rozbiciu lubelskiego zgrupowania przeciwnika.*

36 — Podoba mi się ironia Autora, lecz radzieccy sztabowcy pracowali w tym okresie po 20 godzin na dobę. A już w maju 1941 roku generał Wasilewski na pewno nie miał czasu na zajmowanie się jakimiś *„własnymi”* planami. Nie była to więc jakaś praca *„na boku”*, leczzasadnicza treść jego pracy.

(…) *Skład i zadania frontów rozwijanych na Zachodzie:* (…) *Front Południowo–Zachodni — skoncentrowanym uderzeniem armii prawego skrzydła frontu okrążyć i zniszczyć główne zgrupowanie przeciwnika na wschód od rz. Wisła w rejonie Lublina;* (…) *jednocześnie uderzeniem na froncie Sieniawa, Przemyśl, Lutowiska rozbić siły przeciwnika na kierunkach krakowskim oraz sandomiersko– kieleckim i opanować rejon Kraków, Katowice, Kielce*”.

A oto drugi (bardzo obszerny, opracowany w najdrobniejszych szczegółach) tajny dokument:
„Notatka szefa sztabu Kijowskiego SOW w sprawie decyzji Rady Wojennej Frontu Południowo–Zachodniego dotyczącej planu rozwinięcia na rok 1940” [16, Dokument nr 224, s. 484–498].
Na początek doceńmy wagę wstrząsającej nazwy. Już w dokumencie z 1940 rokuposługiwano się terminem *„Front Południowo–Zachodni*[37]*”*! A teraz zwróćmy uwagę na treść: *„Zadania Frontu Południowo–Zachodniego:*
Bliższe zadanie strategiczne — rozbić, we współdziałaniu z lewym skrzydłem Frontu Zachodniego, siły zbrojne Niemiec w rejonach: Lublin, Kielce, Radom, Kraków i w 30 dniu operacji wyjść na rubież: rz. Pilica, Piotrków (Trybunalski — dop. tłum.)*, Opole, Prudnik…*
Zadanie bliższe — we współdziałaniu z 4. Armią Frontu Zachodniego okrążyć i zniszczyć przeciwnika na wschód od rz. Wisła. W 10 dniu operacji wyjść na linię rz. Wisła i rozwijać natarcie na kierunku Kielce—

Kraków.
Na prawo Front Zachodni (sztab Baranowicze) *ma za zadanie — uderzeniem lewoskrzydłowej 4. Armii na kierunku Drohiczyn, Siedlce, Iwangorod* (Dęblin — dop. tłum.) *— współdziałać z Frontem Południowo– Zachodnim w rozbiciu lubelskiego zgrupowania przeciwnika"*.
Kto zechce znaleźć na mapie Polski wszystkie wyżej wymienione miasta, może się przekonać, że zadania określone w tych dokumentach w pełni

37 — Czy większe wrażenie zrobi na czytelniku to, że nazwy tej używano na długo przed 1939 rokiem? W czasie agresji na Polskę w wielu dokumentach zamiast *„nowej"* (zgodnej z*„duchem czasu"*) nazwy Front Ukraiński — pojawia się *„stara"* — Front Południowo–Zachodni. W ten sposób podpisał swe tajne***Sprawozdanie wstępne** z **działań bojowych Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego przeprowadzonych 17 września 1939 roku** „szef sztabu lotnictwa Frontu Południowo–Zachodniego"* pułkownik Naryszkin (nie czytał gazet, nie sprawdził, w jaki to front przekształcił się jego okręg, czy też po prostu wyciągnął z sejfu *„czerwony pakiet"* z zatwierdzonym wcześniej planem operacyjnym?) — por. **Agresja sowiecka na Polskę w świetle dokumentów. 17 września 1939 r.**, T. 2, Bellona, Warszawa 1996, s. 54–58.

odpowiadają sobie pod względem celów, terminów i rubieży. Co więcej — obecne i oczywiste są zbieżności tekstu. Wynika z tego, że oba te dokumenty opracowywano w ścisłym powiązaniu i na podstawie tych samych dyrektyw wyjściowych.

Tak więc natarcie na Lublin planowano co najmniej na sześć miesięcy przed fatalnym dniem 22 czerwca 1941 roku, przy czym w dokumencie z grudnia 1940 roku planowano rozwinąć w rejonie Lwów–Jaworów–Żółkiew specjalną Armię Konno–Zmechanizowaną, która miała za zadanie, nacierając w kierunku północnym, wraz z 5. Armią zająć Lublin *„pod koniec trzeciego dnia operacji"*.

Tu właśnie widzimy podobieństwo w formie oraz treści z zadaniami postawionymi wieczorem 22 czerwca w Dyrektywie nr 3.
Co więcej (i to należy podkreślić szczególnie), Dyrektywa nr 3 była bardzo ostrożnym, umiarkowanym i lakonicznym dokumentem w porównaniu z przedwojennymi planami Frontu Południowo–Zachodniego. Tak więc, zgodnie z planem z grudnia, natarcie na Lublin było tylko jednym z uderzeń wykonywanych przez wojska Frontu Południowo–Zachodniego. Przy tym z ogólnej liczby 11 dywizji i 13 brygad pancernych frontu do natarcia na Lublin zamierzano użyć wtedy jedynie 6 dywizji i 3 brygady. Przed innymi armiami Frontu Południowo–Zachodniego w grudniu 1940 roku stawiano nie mniej ważne zadania.
W 10–12 dniu natarcia wojska 6., 26., 12. Armii miały za zadanie wyjść na rubież rzek Wisła i Dunajec (głębokość natarcia 120–130 km) i opanować przeprawy przez te rzeki pod Sandomierzem i Tarnowem.
„No i co?— zapyta niedowierzający czytelnik. — *Wszystko to niczego nie*

dowodzi". I będzie miał rację. W każdym sztabie, tym bardziej w Sztabie Generalnym ogromnego, uzbrojonego po zęby Związku Radzieckiego opracowuje się masę różnorodnych planów. Większą część z nich niszczy się potem w określonym porządku, za zgodą przedstawiciela Oddziału Specjalnego. Tak, być może, towarzysz Stalin odrzucił wcześniej wymienione plany dowództwa wojskowego jako przeciwne *„niezmiennie pokojowej polityce zagranicznej ZSRR"*, ale czy nakazał ryć okopy i umacniać obronę?
Nie. To błędne, nie odpowiadające prawdzie historycznej założenie. Plany szeroko zakrojonej operacji zaczepnej Armii Czerwonej z terytorium występu lwowskiego na południową Polskę zostały zatwierdzone i przyjęte do wykonania. Potwierdzają to nie tylko papiery (które można podważyć) czy wspomnienia (które czasami niesumienni ludzie piszą *„na rozkaz"*), ale i f a k t y c z n e r o z w i n i ę c i e wojsk, realizowane wiosną i latem 1941 roku.

GODZINA TWA OSTATNIA NADCHODZI, BURŻUJU...

Zgodnie z przedwojennymi planami na zachodnich granicach ZSRR planowano rozwinąć cztery fronty: Północny, Północno–Zachodni, Zachodni i Południowo–Zachodni. Granice między pierwszymi trzema wyznaczały proste linie, naniesione kolorowym ołówkiem na ściśle tajnej mapie schowanej w szczególnie chronionym sejfie. Ale Front Południowo–Zachodni miał całkiem naturalne granice.

Jego północne skrzydło osłonięte było nieprzeniknionym pasem błot poleskich, które ciągną się z zachodu na wschód, od Brześcia do Mozyrza, na 400 kilometrów w głąb terytorium ZSRR. Polesie to absolutnie niemożliwy do pokonania dla sprzętu bojowego tej epoki bagnisty, pocięty setkami rzeczułek las. Mówią, że były tam wioski, w których przez trzy lata okupacji nie ujrzano ani jednego niemieckiego żołnierza.

Południowe skrzydło frontu opierało się na delcie Dunaju (równie niemożliwa do przebycia sieć większych i mniejszych kanałów) oraz brzegach Morza Czarnego. Terytorium frontu przedstawiało więc faktycznie izolowany, nie posiadający operacyjnej łączności z sąsiadami teatr działań wojennych (dalej będziemy go nazywać *„południowym TDW"*).

Według planu z grudnia 1940 roku na tym TDW zamierzano rozwinąć (z północy na południe) następujące siedem armii: 5., 19., 6., 26., 12., 18., 9., mających w swoim składzie 76 dywizji strzeleckich i 7 dywizji kawalerii.

W majowych (z 1941 roku) ***„Rozważaniach dotyczących planu strategicznego rozwinięcia…"*** na Froncie Południowo–zachodnim planowano rozwinąć osiem armii (nie nazwanych numerami), liczących 74 dywizje strzeleckie i 5 dywizji kawalerii.

Rzeczywiście w końcu czerwca 1941 roku na południowym TDW rozwinięto osiem armii. Sześć armii w pierwszym rzucie nad granicą (z północy na południe): 5., 6., 26., 12., 18., 9. Na' głębokich tyłach operacyjnych frontu rozmieszczano jeszcze dwie armie: 16. Armię w rejonie Szepietówki i 19. Armia w rejonie Czerkasy–Biała Cerkiew. Ogólnie na południowym TDW rozwinięto 62 dywizje strzeleckie (32 w składzie Frontu Południowo–Zachodniego, 13 w składzie Frontu Południowego, 16 w składzie 16. i 19. Armii) i 5 dywizji kawalerii.

Wywód jest prosty: zbieżność *„planów"* i *„faktów"* nie ulega wątpliwości.

Przejdźmy teraz do oceny liczebności głównej siły uderzeniowej Armii Czerwonej — dywizji pancernych i zmechanizowanych.

Zgodnie z planem grudniowym w składzie Frontu Południowo–Zachodniego zamierzano rozwinąć 11 dywizji i 13 brygad pancernych oraz 5 dywizji i 6 brygad zmotoryzowanych. Dokładnie i jednoznacznie nie można porównać planu grudniowego (1940 rok) z majowym (1941 rok) w tej kwestii: w lutym 1941 roku struktura wojsk pancernych została radykalnie zmieniona, brygady rozformowano, a prawie wszystkie dywizje weszły w skład 29 korpusów zmechanizowanych. Jedno pozostało niezmienne: zgrupowanie wojsk zmechanizowanych na południowym TDW znacznie wzrosło (w porównaniu z planem grudniowym) i powinno ono liczyć 28 dywizji pancernych i 15 dywizji zmechanizowanych (z ogólnej liczby 40 pancernych i 20 dywizji zmechanizowanych rozmieszczonych w europejskiej części ZSRR). W tensposób, kierunek południowy (na Kraków–Katowice) stał się w maju 1941 roku kierunkiem głównego uderzenia.

Faktycznie do rozpoczęcia działań bojowych na południowym TDW rozwinięto trzynaście korpusów zmechanizowanych. Oto ich numery: 22., 4., 15., 8., 16., 18., 2. w pierwszym rzucie armii, 9., 19., 24. w odwodzie dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego oraz 5., 25., 26. — w składzie 16. i 19. Armii.

To gigantyczne zgrupowanie posiadało w swym składzie 26 dywizji pancernych i 13 dywizji zmechanizowanych; poza tym wraz z 16. Armią w rejon Szepietówka–Sławuta przybyła (z Mongolii) jeszcze samodzielna 57. Dywizja Pancerna. Razem: 27 dywizji pancernych i 13 zmechanizowanych.

Jaka szkoda, że cała ta informacja nie dotarła wtedy do Hitlera! Być może zastrzeliłby się cztery lata wcześniej…

Przeprowadźmy pierwsze podsumowanie. Rzeczywiste zgrupowanie wojsk Armii Czerwonej na południowym TDW było całkiem bliskie

temu, które przewidywano w przedwojennych planach. To po pierwsze. Po drugie. Taka dyslokacja wojsk— z wyraźną koncentracją sił na jednym kierunku— nie mogła powstać przypadkowo. Z całą pewnością wielomilionowa armia rozwijała się według jakiegoś planu. Jeśli nawet nie we wszystkich detalach, to w podstawowych kwestiach zgadzał się on z owymi napisanymi na brudno szkicami, które jakimś cudem ocalały w archiwach i — w rezultacie jeszcze bardziej niewiarygodnego cudu— zostały odtajnione.
Ale jeśliby nawet ani jeden z tych dokumentów nie został opublikowany, całkiem łatwo ujawnić główne cechy Wielkiego Planu. Wystarczy *„ustawić"* na mapie południowego TDW korpusy zmechanizowane Armii Czerwonej i pokazać stan ich gotowości bojowej. I wszystko od razu stanie się jasne.
Tak więc, w pierwszym rzucie armii rozwinięto (z północy na południe, od Kowla do Tyraspola) następujące korpusy zmechanizowane: Numer korpusu Liczba czołgów W tym T–34 i KW 22. KZmech. 712 31 15. KZmech. 749 136 4. KZmech. 979 414 8. KZmech. 899 171 16. KZmech. 478 76 18. KZmech. 282 0 2. KZmech. 527 60 Razem 4 626 888 Tabela 1.

Na podstawie tego wyliczenia bardziej widoczne staje się silne zgrupowanie uderzeniowe złożone z trzech korpusów zmechanizowanych, których oś stanowił 4. KZmech, który osiągnął prawie 100% stanu etatowego, a co do liczby najnowszych czołgów ciężkich i średnich, równy był wszystkim pozostałym korpusom razem wziętym (w uzbrojeniu znajdujących się w głębi operacyjnej 9., 19. i 24. KZmech. znajdowało się tylko po kilka nowych czołgów).

Nawiasem mówiąc, wszystkie liczby dotyczące przedwojennego stanu liczebnego związków pancernych Armii Czerwonej należy traktować tylko jakoorientacyjne. W tym względzie nie było porządku. Tabela 1. zestawiona została na podstawie solidnej monografii [3], ale we wspomnieniach byłego dowódcy 8. KZmech. generała Riabyszewa przytoczona została liczba 932 czołgów; według danych Kijowskiego Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w składzie 8. KZmech. znajdowało się 813 czołgów, a w pierwszej jawnej publikacji dotyczącej liczby radzieckich korpusów zmechanizowanych [WIZ, 1989, nr 4] podano liczbę 858. Podobna sytuacja występuje także w innych korpusach.

A teraz zobaczmy, gdzie też 22 czerwca 1941 roku znajdował się uderzeniowy 4. Korpus Zmechanizowany?
Otóż w rejonie Lwów–Żółkiew. Czyli właśnie tam, gdzie według *„planu grudniowego"* powinna się rozwijać uderzeniowa *„Armia Konno–Zmechanizowana"* przeznaczona do natarcia na Lublin! 60 kilometrów na południowy–zachód od Lwowa, w rejonie Drohobycz–Sambor,

odnajdziemy 8. KZmech., a 100 kilometrów na północny–wschód od Lwowa, w rejonie Brody–Krzemieniec, rozwijał się 15. KZmech.
Z tego rejonu wyjściowego klin pancerny z równym powodzeniem mógł się zwrócić na Tarnów, Sandomierz albo Lublin. Odległości od linii Drohobycz–Lwów–Brody do tych trzech polskich miast są praktycznie jednakowe: 175–200 kilometrów. Pod względem warunków terenowych najbardziej dogodny był kierunek lubelski: na drodze nacierającej lawiny pancernej nie było ani jednej dużej rzeki, pas natarcia przebiegał praktycznie w *„korytarzu"* pomiędzy rzekami Wieprz i San.
Tak więc o jakim *„pośpiechu"* i *„nierealności"* Dyrektywy nr 3 mówili nam przez tyle latnasi propagandziści? Do natarcia na Lublin zabrakło tylko jednego— rozkazu.
Został on jednak wydany wieczorem 22 czerwca 1941 roku.
Niełatwo wydać rozkaz. A czy wyższe dowództwo Armii Czerwonej zatroszczyło się o to, aby stworzyć zgodną z *„nauką"* trzykrotną przewagę sił po stronie atakujących?
Nie, trzykrotnej przewagi nie było. Stosunek sił obu stron odzwierciedlały inne liczby.
Liczyć można na różne sposoby. Można porównać ogólną liczebność wojsk pancernych, rozwiniętych przez Wehrmacht i Armię Czerwoną na całym południowym TDW. Jest to podejście dostatecznie zrozumiałe. Odległości na zachodniej Ukrainie to nie odległości *„syberyjskie"*, ale *„europejskie"*. Od rejonów rozwinięcia nawet najbardziej oddalonych od granicy 16., 24., 9. i 19. KZmech. (tj. od miast Czemiowce, Mohylów Podolski, Nowogród Wołyński, Berdyczów) do Lwowa jest 250–300 kilometrów.
Nawet przy przemieszczaniu się w szczerym polu z żółwią prędkością 15 kilometrów na godzinę taką odległość można pokonać, zużywając jedynie 20 motogodzin. To dwa–trzy dni miarowego marszu. Po suchych czerwcowych drogach, przy 18 godzinach światła dziennego, można by było zrobić to szybciej. W końcu są także szlaki kolejowe. Do Lwowa, historycznego centrum Galicji, wiedzie pięć linii kolejowych, po których można było przewieźć korpusy zmechanizowane z dowolnego punktu Ukrainy i tym samym oszczędzić drogocenny resurs silników czołgów.
W takim wypadku przeciwko 728 czołgom 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu i 60 czołgom jedynej brygady pancernej armii rumuńskiej dowództwo radzieckie mogło wystawić 5617 czołgów.
To s i e d m i o k r o t n a przewaga ilościowa. A i ta liczba jest zaniżona. Nie ujęliśmy tu czołgów lekkich, znajdujących się w składzie strzeleckich i kawaleryjskich dywizji Armii Czerwonej (w dywizjach piechoty Wehrmachtu czołgów w ogóle nie było). Nie wzięliśmy pod uwagę także ponad tysiąca samochodów pancernych uzbrojonych (podobnie jak wszystkie radzieckie czołgi lekkie) w 45–mm armatę 20K,

której pociski zdolne były do przebicia pancerza dowolnego niemieckiego czołgu z odległości kilometra. W końcu nie ujęliśmy bez mała dwóch tysięcy czołgów znajdujących się w składzie 16. i 19. Armii, które początkowo rozwijały się na prawobrzeżnej Ukrainie, na tyłach Frontu Południowo–Zachodniego.
Można też liczyć inaczej — stosownie do surowych realiów historycznych. Faktycznie w działaniach bojowych pierwszego tygodnia wojny na zachodniej Ukrainie udział wzięło tylko sześć korpusów zmechanizowanych: 22., 15., 4., 8., 9., 19.
Cztery korpusy zmechanizowane (16., 18., 24. i 2.) praktycznie pozostawały bezczynne lub spalały benzynę na bezcelowe przemarsze. Takiego bałaganu nie można chyba zrzucić na karb *„obiektywnych przyczyn"*, ale w istocie tak właśnie było. Z drugiej strony rumuńskie czołgi (a dokładniej mówiąc, czołgi produkcji francuskiej z czasów pierwszej wojny światowej) także nikogo niczym nie niepokoiły. Przy takim podejściu (nie licząc samochodów pancernych) otrzymujemy stosunek sił jak 1 do 5,5.
Jakiż więc inny rozkaz mogli wydać Timoszenko i Żukow przy takiej przewadze ilościowej, jak nie rozkaz przejścia do zdecydowanego natarcia?

Dla porównania: na początku lwowsko– sandomierskiej operacji zaczepnej, w lipcu 1944 roku, wojska 1. Frontu Ukraińskiego miały w uzbrojeniu 2200 czołgów i dział pancernych, a broniące się wojska armii niemieckiej — 900 czołgów i dział szturmowych. Szczególnie podejrzliwym czytelnikom zacytujmy fragment **„Krótkiej historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej"** (skąd też zaczerpnęliśmy te dane): *„Był to jedyny w czasie wojny przypadek, gdy jednemu frontowi* (tj. innych sił i innych czołgów na zachodniej Ukrainie latem 1944 roku nie było! — M.S.)*postawiono zadanie rozbicia całej grupy armii przeciwnika"* [73, s. 336].
A może w czerwcu 1941 roku mieliśmy kiepskie czołgi? Przestarzałe, *„nie nadające się do żadnych porównań"* z czołgami przeciwnika? Uczeni radzieccy w ogromnej większości wydawnictw, książek, wspomnień przekonująco odpowiadają także na to pytanie: nasze czołgi starych typów (czyli T–26, BT, T–28) nie były złe, ale bardzo złe. Do tego stopnia przestarzałe, że w ciągu wielu dziesięcioleci nawet nie wliczano ich do ogólnego stosunku sił obu stron.
I któż to przyłożył rękę i pióro do tej kampanii dezinformacji własnego narodu! Oto sam Marszałek Zwycięstwa w swoich powszechnie znanych **Wspomnieniach i refleksjach**ubolewa nad nędzą naszych czołgów:
„(...) *były one mało manewrowe i wrażliwe na ogień artylerii* (...) *pracowały na benzynie i co za tym idzie, były łatwopalne* (...) *miały*

niedostatecznie solidny pancerz" [15].
Oto małe literackie arcydzieło. Nie można obwiniać Żukowa o oszustwo. Wszystko, co powiedział, do ostatniej literki — to prawda. Każdy czołg na świecie jest wrażliwy (w porównaniu, na przykład, z żelazobetonowym schronem) i mało manewrowy (w porównaniu ze śmigłowcem). Zależy, z czym się porównuje.
Mądry Żukow nie miał ochoty porównywać radzieckich czołgów ze współczesnymi im czołgami niemieckimi. On wcale nie mówi, że niemieckie czołgi były *„bardzo zwrotne i odporne"*, a ich silniki pracowały na czymś innym niż *„łatwopalna benzyna"*. Nie ma wątpliwości, że z tysiąca ludzi, którzy przeczytali wspomnienia wielkiego dowódcy, 999 zrozumiało ten akapit właśnie tak, że nasze czołgi to *„graty"* i *„groby"*, a niemieckie były o wiele lepsze. Oto dzieło mistrza!
A generał Władimirski w grubej, rzetelnej książce [92] pisze po prostu: *„Niemcy przed napaścią na ZSRR bezspornie mieli przewagę jakościową nad naszymi czołgami"*.
Tak po prostu— *„bezspornie mieli"*.
Rodzi się pytanie — kto co miał: czy Niemcy mieli jakościową przewagę w czołgach, czy nasza propaganda partyjna przez tyle lat miała w garści nasze umysły?

PANCERZ MOCNY I CZOŁGI NASZE SZYBKIE...

Zaczniemy od tego, co w ogóle oznacza stwierdzenie:*„czołgi niemieckie były lepsze od naszych"*. Jakie niemieckie były lepsze od jakich radzieckich? Pięciotonowa tankietka Pz. I z dwoma karabinami maszynowymi lepsza od ciężkiego KW z trzycalowym działem? Myślę, że czegoś takiego nie powiedzą nawet najbardziej zażarci agitatorzy. Czy też sprawa dotyczy tego, że najlepszy niemiecki czołg Pz. III przewyższał nasz, wycofany z produkcji w 1934 roku, czołg T–27? To możliwe, tylko po co je porównywać?

Według autora przyzwoita analiza stanu jakościowego parku czołgowego ZSRR i Niemiec jest możliwa przy zachowaniu minimum dwóch warunków:
— porównywane czołgi powinny być tej samej klasy i tego samego przeznaczenia;
— koniecznie należy wykazać liczbę czołgów każdej klasy w ogólnej liczbie czołgów.
Kierując się tymi w pełni oczywistymi wymaganiami, przystąpmy do analizy porównawczej sprzętu przeciwstawnych zgrupowań pancernych.
Jedyna na południowym TDW 1. Grupa Pancerna Wehrmachtu w składzie 9., 11., 16., 13., 14. Dywizji Pancernej miała w wyposażeniu 728 czołgów.
Ze względu na charakterystyki i przeznaczenie można je podzielić na cztery rodzaje:
— tankietki;
— dobre czołgi lekkie;
— czołgi wsparcia artyleryjskiego;
— dobre czołgi średnie.
Do rodzaju*„tankietek"* zaliczymy 8 sztuk Pz. I, 211 Pz. II i 54 tak zwane *„czołgi dowódcze"*, w sumie 273 czołgi (co stanowi 38% ogólnej liczebności 1. Grupy Pancernej).
Oto jak opisuje historię opracowania tych *„groźnych maszyn bojowych"* główny ideolog i twórca niemieckich wojsk pancernych Niemiec H. Guderian:
„Uważaliśmy za konieczne stworzenie na razie takich czołgów, które mogłyby zostać wykorzystane w celach szkoleniowych (...)*ten typ czołgu umożliwiał jedynie zamontowanie karabinów maszynowych w obrotowej wieży. Takie czołgi otrzymały oznaczenie Pz. I, mogły być gotowe do 1934 roku i wykorzystywane w charakterze maszyn ćwiczebnych do czasu, dopóki nie zostaną przygotowane czołgi bojowe* (...)*oczywiście w*

1932 roku nikt nie myślał, że przyjdzie nam przystąpić do walki z tymi małymi ćwiczebnymi czołgami"[38].
Przy tym Pz. I miały także całkiem odczuwalne zalety. Oto jak Guderian opisuje te plusy, które posiadały jego pierwsze czołgi w porównaniu z makietami wykonanymi ze sklejki i kartonu, które do tego czasu wykorzystywano na ćwiczeniach Reichswehry:
„Uczniowie, którzy wcześniej przebijali nasze makiety ołówkami, aby zajrzeć do wnętrza, byli zafascynowani nowymi maszynami pancernymi..."[39] [65].
Jak to tak? Naziści nie wiedzieli, że czeka na nich nie uczeń z ołówkiem, ale czerwonoarmista Sierieda z toporem?
„Śmiałek podkradł się rowem od tyłu, błyskawicznie wskoczył na czołg i uderzeniami topora saperskiego zniszczył karabin maszynowy i zlikwidował załogę czołgu". To nie cytat z **„Prawdy"**. To fragment wspomnień generała armii D. D. Leluszenki [22]. Sławny dowódca Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, który zakończył ją w Pradze na stanowisku dowódcy 4. Gwardyjskiej Armii Pancernej, widział czołgi niemieckie nie tylko na obrazkach. A i komsomolec Iwan Pawłowicz Sierieda to nie zmyślona postać, ale prawdziwy uczestnik wojny, który za swój czyn doczekał się tytułu Bohatera Związku Radzieckiego i pomnika w rodzinnej wiosce Galicynowka.
Kontynuujmy jednak czytanie wspomnień Guderiana:
„Ponieważ produkcja głównych typów czołgów przeciągnęła się na czas dłuższy, niż przewidywaliśmy, generał Lutz powziął decyzję o budowie jeszcze jednego pośredniego typu czołgu, uzbrojonego w 20–mm armatę automatyczną i karabin maszynowy".
Z czym możemy porównać te niemieckie tankietki? Z powodu braku w uzbrojeniu Armii Czerwonej czegoś podobnego, weźmy pod uwagę przestarzały i wycofany już z produkcji czołg T–26, który porównamy z niemieckim Pz. II (tutaj i dalej wykorzystywać będziemy materiały opublikowane w następujących pozycjach wymienionych w bibliografii: 1, 3, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102). Czołg Waga Moc Pancerz Pręd (t) silnika (mm) kość (k.m.) czoło/ (km/h) /burta

[38] — Tłumaczenie z ros. wprzekładzie J. Nowackiego brzmi to podobnie, ale nie tak samo — por. H. Guderian, *op. cit.*, s. 27.
[39] — jw.

Pz. II 9,50 140 30/20 40
T–26 9,75 90 15/10 35
Tabela 2. Zasięg Kaliber Zasięg (km) działa ognia (mm) skutecz nego (m) 190 20 500 170 45 1000

Ogólnie mówiąc, oba te czołgi były siebie warte. Silniki o słabej mocy, mały zasięg, opancerzenie odporne jedynie na kule karabinowe — typowe czołgi lekkie z początku lat trzydziestych.

Chociaż grubość pancerza czołowego Pz. II była dwa razy większa niż w T–26, to i tak nie był on czołgiem z opancerzeniem odpornym na pociski artylerii. Armata 20K kaliber 45 mm, ustawiona na T–26, naprawdę przebijała taki pancerzz odległości 1000 m, podczas gdy pocisk niemieckiej armaty KwK30 kaliber 20 mm mógł przebić pancerz T–26 jedynie na dystansie 300– 500 m.

Takie porównanie parametrów uzbrojenia i opancerzenia pozwalało czołgowi radzieckiemu, przy poprawnym zastosowaniu taktycznym (na polu walki — dop. tłum), praktycznie rozstrzeliwać Pz. II.

Generał Pawłow w swoim referacie na grudniowej (1 940 rok) odprawie wyższych kadr dowódczych tak opisał praktyczne doświadczenie walki z niemieckimi czołgami: *„Doświadczenie wojny w Hiszpanii nauczyło Niemców i pokazało, jakie czołgi są im potrzebne, albowiem lekkie czołgi niemieckie nie mogły się równać w walce z czołgami republikańskimi* (czyli naszymi T–26, a później także BT–5 — M.S.)*i były bezlitośnie rozstrzeliwane"* [14].

Należy także odnotować, że ze względu na charakterystyki balistyczne *„armata"* niemieckiego Pz. II ustępowała parametrom radzieckiej rusznicy przeciwpancernej Diegtariewa kaliber 14,5 mm. Tak więc bardziej odpowiednie dla Pz. II byłoby nazwanie go *„samobieżną rusznicą przeciwpancerną z karabinem maszynowym"*.

Pocisk zamontowanego na Pz. II działka kal. 20–mm zupełnie się nie nadawał do wykonania zasadniczych zadań czołgu — niszczenia środków ogniowych i siły żywej przeciwnika. W tym czasie dla naszej podstawowej armaty czołgowej 20K opracowano *„normalny"* pocisk odłamkowo–burzący o wadze 1,4 kg. Oprócz tego co dziesiąty T–26 (więc — jeśli jest to dokładne, to 1 336 z ogólnej liczby 11 302 wyprodukowanych czołgów tego typu) wyposażony był w ciężki miotacz ognia KS 24/25 z zapasem 350 litrów mieszanki zapalającej do *„wypalenia"* kryjącego się w okopach lub lekkich umocnieniach polowych przeciwnika.

Teraz pozostało już tylko ocenić ilość. Przeciwko 219 *„tankietkom"* 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu tylko w składzie wojsk Kijowskiego Okręgu Wojskowego na dzień 1 czerwca 1941 roku znajdowały się 1894 czołgi T–26 [1]. Stosunek w tej klasie czołgów wynosi 1 do 8,6.

Oprócz tego w okręgu znajdowało się 651 czołgów pływających typów T–37/T–38/T–40. Czasami w literaturze historyczno–wojskowej stawia się je na równi z niemieckimi Pz. I. Według opinii autora takie porównanie jest całkowicie nieuzasadnione. Brak uzbrojenia artyleryjskiego na gąsienicowej amfibii rozpoznawczej jest zrozumiały i usprawiedliwiony. W czasie prowadzenia rozpoznania armaty są

zbędne, za to możliwość przeprawiania się przez rzeki i jeziora czyniła z T–37/T–38 unikatowe maszyny bojowe. Nikt nie zamierzał wykorzystywać ich w charakterze czołgów liniowych, a amfibie te znajdowały się, z zasady, w uzbrojeniu pododdziałów rozpoznawczych dywizji strzeleckich i pancernych.

Teraz przejdziemy do drugiej kategorii — *„dobrych czołgów lekkich"*. Wjednostkach pancernych Wehrmachtu na takie miano zasługiwał z pewnością czołg Pz. III serii D, E, F, uzbrojony w armatę kal. 37 mm. W składzie 1. Grupy Pancernej czołgów takich było równo 100 sztuk. Opracowany w 1936 roku przez firmę Daimler–Benz wóz bojowy był naprawdę dobry.
Komfort, jaki konstruktorzy stworzyli załodze, można było uznać za wzór godny naśladowania. Nie miał go ani jeden radziecki, angielski czy amerykański czołg tego okresu.
W załodze składającej się z pięciu ludzi dowódca zwolniony był od obowiązków celowniczego działa, miał za to do dyspozycji specjalną wieżyczkę dowódczą z przyrządami optycznymi do obserwacji okrężnej.

Jednak nie komfort jest główną zaletą czołgu. Jak niezwykle celnie ujmowała to łubiana przez cały naród pieśń (*„pancerz mocny i czołgi nasze szybkie, i wróg wie o sile ich ognia"*), czołg — to pancerz, ruchliwość i uzbrojenie.
W dwóch z tych parametrów nasz dobry czołg lekki BT–7 nie ustępował *„trójce"*.

Czołg Waga Moc Pancerz Pręd Zasięg Kaliber Zasięg (t) silnika (mm) kość (km) działa ognia (k.m.) czoło/ (km/h) (mm) skutecz /burta nego (m)

Pz. HI 19,5 300 30/30 40 165 37 700 BT–7 13,8 450 22/10 52/72 230/500 45 1000 Tabela 3.

Chociaż czołg niemiecki miał grubszy pancerz, w porównywanych parametrach uzbrojenia wyraźnie ustępował radzieckiemu. Nasz BT mógł razić Pz. III z odległości kilometra, sam pozostając przy tym bezpieczny. Tak samo jak w wypadku Pz. II, wybór 30–mm pancerza czołowego był niewątpliwie błędny — do zapewnienia osłony przeciwpancernej było to za mało, dla osłony przed kulami uzbrojenia strzeleckiego piechoty przeciwnika — zdecydowanie za dużo.

Jeśli zaś chodzi o wskaźniki ruchliwości, kołowo–gąsienicowy BT–7 był po prostu najlepszym czołgiem na świecie. Nawet na gąsienicach rozwijał on niewiarygodną dla czołgów tej epoki prędkość 52 kilometrów na godzinę, a przy pełnym baku miał zasięg o półtora raza większy niż Pz. III. Po bezdrożach BT szedł także z nieosiągalną dla

czołgów tej epoki prędkością 35 kilometrów na godzinę, czyli prawie 10 metrów na sekundę.

Ale i to nie wszystko. W 1940 roku skierowano do produkcji seryjnej BT–7M. Czołg ten wyposażono w silnik diesla o mocy 500 k.m. Biorąc pod uwagę powszechnie znane zalety silnika dieslowskiego (paliwo nie wybucha, tak więc trudno podpalić czołg), zainstalowanie mocnego i ekonomicznego silnika pozwoliło na zwiększenie prędkości maksymalnej do 62 kilometrów na godzinę, a zasięgu — do 400 kilometrów! Po zrzuceniu gąsienic na dobrej

drodze BT –7M mógł się rozpędzić do 86 kilometrów na godzinę, a zasięg na kołach wyrażał się fantastyczną liczbą 900 kilometrów.

Takich czołgów (BT– 7M)w składzie wojsk okręgu kijowskiego na 1 czerwca 1941 roku było 201z ogólnej liczby 1351 czołgów BT–7. Kolejne 169 BT–7M znajdowało się w składzie sąsiedniego okręgu odeskiego i — ze względu na ruchliwość tego czołgu — szybkie pokonanie przez nie 470 kilometrów z Kiszyniowa do Lwowa nie mogło być uważane za niemożliwe do wykonania.

Tak więc w kategorii *„dobry czołg lekki"* wojska radzieckie na południowym TDW dysponowały ogromną przewagą ilościową przy nieznacznej przewadze jakościowej.

Teraz o tym, co nazwaliśmy *„czołgami wsparcia artyleryjskiego"*. Jak już zauważyliśmy, dla związku pancernego walka z podobnym przeciwnikiem nie jest jedynym, a nawet nie najgłówniejszym zadaniem bojowym, ale prędzej — złem koniecznym. Wobec tego, konstruując czołgi, próbowano oddzielić dwa główne zadania czołgu (walka z czołgami przeciwnika i wsparcie ogniowe własnej piechoty) i stworzyć wyspecjalizowane czołgi–niszczyciele oraz czołgi wsparcia artyleryjskiego. Podobnie w lotnictwie tej epoki był podział na bombowce (których zadaniem było niszczenie sił naziemnych przeciwnika) i myśliwce (których zadaniem było niszczenie samolotów). Tak na przykład na bazie czołgu T–34 zamierzano (Postanowienie RKL ZSRR nr 1216–506/ss z 5 maja 1941 roku) stworzyć czołg–niszczyciel, uzbrojony w długolufową armatę kal. 57 mm, zdolną do przebicia pancerza o grubości 80 mm z odległości 1 kilometra. Szybko zaprzestano seryjnej produkcji tego *„niszczyciela"*, ponieważ w trakcie działań bojowych wyjaśniło się, że w uzbrojeniu Wehrmachtu po prostu nie ma czołgów z takim pancerzem (później kilkadziesiąt T–34/57 wzięło udział w bitwie pod Moskwą).
A *„czołgi wsparcia artyleryjskiego"* produkowano seryjnie przez długi czas i u nas, i w Niemczech. Charakterystyczną i zauważalną osobliwością czołgów tej klasy były krótkolufowe trzycalowe armaty.

Prędkość początkowa pocisku, a w następstwie i przebijalność pancerza, była całkiem niska (45–mm radziecka armata przeciwpancerna 20K górowała pod względem przebijalności nad niemiecką 75–mm armatą KwK–37 na wszystkich dystansach!), za to na piechotę przeciwnika spadał ciężki 6–kilogramowy pocisk.
W składzie 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu czołgów wsparcia artyleryjskiego Pz. IV było 1 00 sztuk— po dwadzieścia w każdej dywizji.
A w uzbrojeniu wojsk Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego według stanu na 1 czerwca 1941 roku znajdowało się 215 trzywieżowych czołgów T–28 i 48 pięciowieżowych gigantów T–35. Razem 263 czołgi.
Pomimo tegosamego przeznaczenia zewnętrznie były to całkowicie różne maszyny bojowe.
Czołg Waga Moc Pancerz Pręd (t) silnika (mm) kość (k.m.) czoło/ (km/h) /burta
Pz. IV 22,0 300 50/30 40 T–28 27,8 500 30/20 40 Tabela 4. Zasięg Kaliber Wymiary (km) działa (m) (mm)

200 75 5,9 x 2,9

x 2,7

220 76 7,4 x 2,8 x 2,8

Radziecki trzywieżowy czołg T–28 był znacznie cięższy i o całe 1,5 metra dłuższy, co sprawiało, że w porównaniu z niemieckim Pz. IV na polu walki był całkiem niezgrabny.

Nasz T–28 dzięki dwóm dodatkowym wieżom z karabinami maszynowymi był o wiele lepiej uzbrojony do walki z piechotą przeciwnika. Oprócz tego pewna część T–28 ostatnich serii produkcyjnych wyposażona została w długolufowe 76–mm działa, co przenosi je do kategorii pełnowartościowych czołgów średnich.

Nie wszystko jest też proste, jeśli chodzi o osłonę pancerną. Na pierwszy rzut oka niemiecki Pz. IV posiada o wiele grubszy pancerz. Jednakże po dokładnej analizie wyjaśnia się, że *„czwórki"* serii A, B, C, D, E, produkowane od 1938 roku do początku 1941 roku, miały typowe opancerzenie przeciwkulowe: czoło — 30 mm, burty— 20 mm. Później pancerz czołowy wzmocniony został 20–30–mm pasem pancernym. Ale i nasze T –28 po krwawych doświadczeniach wojny fińskiej zostały wyposażone w pancerz uzupełniający (do 60, a nawet do 80 mm) i w niczym nie ustępowały w tym porównaniu Pz. IV.

Szerokie gąsienice radzieckiego czołgu dawały mu lepsze

możliwości poruszania się. Nacisk jednostkowy na grunt 28–tonowego T–28 był o wiele mniejszy niż w lżejszym niemieckim Pz. IV (0,72 do 1,03 kg/cm2).

W sumie pod względem taktyczno–technicznym oba te czołgi były porównywalnie dobre. Ale radzieccy historycy z uporem nazywali (a i dziś jeszcze nazywają) Pz. IV *„czołgiem ciężkim"*, a znajdujących się w uzbrojeniu Armii Czerwonej setek czołgów T–28 po prostu nie dostrzegają.

A niesłusznie. W zdolnych rękach była to całkiem dobra maszyna bojowa. Generał armii D. D. Leluszenko w październiku 1941 roku objął dowództwo 5. Armii, wchodzącej do walki z niemieckimi dywizjami pancernymi nahistorycznym Polu Borodińskim pod Moskwą. W swoich wspomnieniach pisze jak o wielkim sukcesie: *„Wysłałem na rozpoznanie majora A. Jefimowa. Po upływie półtorej godziny z radością zameldował — jest 16 czołgów T–28 bez silników, ale ze sprawnymi armatami* (...)*Był to dla nas po prostu szczęśliwy traf. Oczywiście trzeba było wykorzystać te czołgi jako nieruchome punkty ogniowe, wkopać w ziemię i ustawić na kierunku Borodino–Możajsk, gdzie wróg wykona główne uderzenie pancerne"*.

Decyzja okazała się trafna.
„Już czwarty czołg niszczy z bliska ze swego T–28 sierżant Sieriebriakow (...) *Przeciwnik usiłował wyjść w rejon Możajska, ale przywitany został ogniem na wprost naszych okopanych czołgów T–28. Tracąc wiele sprzętu, wróg na krótki czas zatrzymał się"* [22].
Więc tak: 16 maszyn T–28 bez silników — to*„po prostu szczęśliwy traf"*, a znajdujące się latem 1941 roku w uzbrojeniu Armii Czerwonej 292 sprawne czołgi T–28 (z silnikami, ma się rozumieć) — to drobiazg, niewart nawet wspomnienia...
Czy można po tym jeszcze się dziwić, że o 48 pięciowieżowych T–35, znajdujących się w uzbrojeniu 67. i 68. Pułku Czołgów 34. Dywizji Pancernej 8. Korpusu Zmechanizowanego Frontu Południowo–Zachodniego nasi *„historycy"* nawet jjje wspominają. Wielka mi rzecz — pół setki stalowych gigantów, przewyższających ogólną liczbą armat czołgowych (48 trzycalówek i 96 luf 45–mm armat 20K) dowolną dywizję pancerną 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu!
Nie ma się o co spierać — według wszelkich czynników ruchliwości te *„lądowe pancerniki"* ustępowały dowolnemu motocyklowi (później zobaczymy, jak dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego ganiało 8. Korpus Zmechanizowany, w tym także jego czołgi ciężkie po zawiłej krzywej na setki kilometrów). Ale cóż winny jest ciężki czołg, że tak próbowano go wykorzystać? A przecież 48 pięciowieżowych monstrów, nawet wkopanych w ziemię, mogłoby w określonym czasie utworzyć rejon umocniony, praktycznie niemożliwy do pokonania dla piechoty i

lekkich czołgów przeciwnika.
I — w końcu — najlepsze, co znajdowało się w uzbrojeniu dywizji pancernych Wehrmachtu latem 1941 roku— dobre czołgi średnie Pz. III serii H i J.
„Najlepsze" to nie opinia autora dyletanta, ale wniosek złożonej z autorytetów komisji państwowej (48 osób — inżynierów, konstruktorów, szpiegów), która pod kierunkiem komisarza Tewosjana trzykrotnie w latach 1939–1940 objechała, obłaziła i — wybaczcie — obwąchała wszystkie niemieckie fabryki pancerne, a ze wszystkiego, co zobaczyła, wybrała do zakupu tylko czołg marki Pz. III. I to nie dlatego, że towarzysz Stalin pożałował pieniędzy. Na dobre rzeczy, na zakup lub kradzież zachodniej technologii wojskowej Stalin nie żałował pieniędzy. W Niemczech, pod osłoną układu o przyjaźni, zakupione zostały: Me–109 — pięć sztuk, Me–110 — sześć sztuk, dwa Ju–88, dwa Do–215, jeden najnowszy egzemplarz Me– 209 (Niemcy drugiego egzemplarza po prostu nie posiadali, bo i ten by zabrano), baterię 105–mm dział plot., 210–mm ciężkie haubice, rysunki techniczne najnowszego pancernika *„Bismarck"*, specjalne nie rdzewiejące w wodzie morskiej 88–mm armaty dla okrętów podwodnych, sześć peryskopów, oprzyrządowanie hydroakustyczne, dalmierze optyczne dla artylerii morskiej, 330–mm działa morskie, radiostacje czołgowe, celowniki do bombardowań z lotu nurkowego, 4 komplety przyrządów do doświadczeń z artyleryjskimi systemami balistycznymi itd., itp…
I tylko jeden typ niemieckiego czołgu. Wszystkie pozostałe 1 po prostu nie zainteresowały naszych inżynierów.
Pz. III serii H i J stały się *„najlepsze"* dzięki dwóm okolicznościom: nowej 50–mm armacie KwK–38 i pancerzowi czołowemu o grubości 50 mm. Początkowo seria H weszła do 1 produkcji z typowym dla czołgów niemieckich 30–mm pancerzem czołowym, ale potem spajano z nim uzupełniający 30–mm pas pancerny; w ten sposób grubość osłony pancernej czołgu wzrosła do 60 mm. A to oznacza, że przekształcił się on w czołg z pancerzem odpornym na pociski przeciwpancerne — nasza *„czterdziestkapiątka"*, jeśli nawet mogła przebić taki pancerz, to tylko na bardzo małym dystansie 100 metrów, co w boju nie zawsze jest możliwe— ale zawsze śmiertelnie niebezpieczne.
Poza tym nie możemy zapomnieć, że czołg na polu walki to nie tramwaj na szynach. Przy poruszaniu się w terenie pofałdowanym *„trójce"* trudno było nie wystawić pod ogień swoich wysokich burt i wieży, chronionych 30–mm pancerzem, którą (powtórzmy to jeszcze raz) wszystkie nasze czołgi lekkie, a także uzbrojone w armaty samochody pancerne — przebijały pociskiem z armaty 20K z odległości kilometra. Tak więc twierdzenie o opancerzeniu odpornym na pociski w Pz. III seriiH i J jest dosyć naciągane.
Najlepszych nie może być dużo. Z zasady. Tak więc w 3. Grupie

Pancernej Wehrmachtu czołgów tego typu nie było. Ani jednego. W 4. Grupie Pancernej było ich tylko 71 na ogólną liczbę 602 czołgów.
W 1. Grupie Pancernej dobrych czołgów średnich Pz. III serii H i J mogło być 255 sztuk.
Takie nieokreślone sformułowanie — *„mogło być"* — związane jest z tym, że w znanych autorowi źródłach wykazano 1 tylko liczbę *„trójek"*, uzbrojonych w nową 50–mm armatę.
A takich czołgów w 1. Grupie Pancernej było 255 sztuk. Ale chodzi o to, że w tę armatę zostały przezbrojone czołgi Pz. III I wcześniejszych serii (E, F, G) z 30–mm czołowym pancerzem przeciwkulowym. Dlatego zakładając, że wszystkie miały pancerz czołowy odporny na pociski przeciwpancerne, mocno zawyżany jakość niemieckich dywizji pancernych działających na południowym TDW.
W korpusach zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego do rzędu dobrych czołgów średnich zaliczyć należy 555 czołgów T–34. Kolejnych 50 znajdowało się w 2. KZmech. Frontu Południowego pod Kiszyniowem.
Jak widać, w Armii Czerwonej także najlepszych nie było zbyt wiele. Tylko dwa razy więcej niż u Niemców. Ale i to bardzo dużo, jeśli wziąć pod uwagę absolutną przewagę w kategoriach taktyczno–technicznych.
Czołg Waga Moc Pancerz Pręd (t) silnika (mm) kość (k.m.) czoło/ (km/h) /burta
Pz. III J 21,6 300 50/30 40 T–34 28,5 500 45/40 50 diesel Tabela 5.
Zasięg Kaliber Zasięg (km) działa rażenia (mm) (m)

145 50 prawie 0 300 76 1000

Zdecydowanie we wszystkich głównych kategoriach — ruchliwości, opancerzenia, uzbrojenia — T–34 przeważał nad najlepszym w czerwcu 1941 roku niemieckim czołgiem Pz. III serii J.

Długolufowa 76– mm armata T–34 przebijała pancerz czołowy najlepiej opancerzonych czołgów niemieckich (Pz. III serii J, Pz. IV serii F) z odległości 1000–1200 metrów. W tym czasie ż a d e n czołg Wehrmachtu nie mógł zniszczyć T–34 nawet z 500 metrów. Przy strzelaniu na najmniejszych dystansach (100–300 metrów) najlepsza niemiecka 50–mm armata czołgowa KwK–38 teoretycznie mogła przebić pancerz o grubości 45– 50 mm. Choć jednak pancerz kadłuba T–34 miał grubość *„jedynie"* 45 mm (lita wieża miała ściany o grubości do 52 mm), to jednak był on ustawiony pod dużym kątem (40–60 stopni od czoła i na bokach), co nawet tylko geometrycznie zwiększało grubość pancerza do 60–65 mm. W praktyce tak duży skos pancerza powoduje zazwyczaj rykoszety jednolitego pocisku przeciwpancernego.

Niemiecka KwK –38 mogła przebić pancerz czołowy T–34 tylko specjalnym pociskiem podkalibrowym z rdzeniem wolframowym (przebijalność do 65 mm z odległości 300 metrów), ale z powodu

deficytu wolframu amunicja taka była wielką rzadkością.

Dzięki szerokim (550 mm) gąsienicom T–34, chociaż ważył o 6—7 ton więcej od najcięższych czołgów niemieckich, miał nacisk jednostkowy na grunt 0,72 kg/cm2 (wobec 0,9–1,0 niemieckich Pz. III). Stąd też zdolność pokonywania terenu po bezdrożach, błocie i śniegu.

I w końcu główna *„tajemnica"* T–34: zwarty i bardzo mocny silnik dieslowski. Nawet mając silniki tysięcy zdobytych czołgów radzieckich jako wzorce do naśladowania, niemiecki przemysł i tak nie zdołał stworzyć niczego podobnego. Niemcy jak rozpoczęli, tak i zakończyli wojnę z *„łatwopalnymi"* czołgami z silnikami benzynowymi. Ale diesel — to nie tylko stosunkowo duża odporność na zagrożenie pożarowe. To także niskie zużycie paliwa, pozwalające T–34 pokonać na pełnym baku ponad 300 kilometrów, co odpowiada odległości z Lwowa do Radomia, Krakowa i Koszyc. I w końcu do tego wszystkiego ciężka (według norm niemieckich) maszyna rozwijała prędkość większą aniżeli najlżejszy i najszybszy niemiecki czołg Pz. II.

Wszystkie te rozważania wcale nie są abstrakcyjnie teoretyczne. We wspomnieniach niemieckich praktyków (generałów Guderiana, Blumentritta, Hotha, Schneidera) nietrudno znaleźć mnóstwo dowodów na to, jaki szok przeżył Wehrmacht po napotkaniu nowego radzieckiego czołgu: *„W 1941 roku czołgi te były najsilniejsze ze wszystkich* (...)*czołgi T–34, jak to się dotychczas nie zdarzało, przedarły się przez szyki bojowe 7. Dywizji Piechoty, dotarły do pozycji artylerii i dosłownie rozjechały znajdujące się tam działa* (...)*nasze działa przeciwpancerne okazały się bezsilne wobec rosyjskich czołgów T–34* (...)*wybuchła panika"*

To wspomnienia — powiedzieć można — beletrystyka. A oto i poważny dokument: ***„Instrukcja dla wszystkich oddziałów Frontu Wschodniego dotycząca walki naszych czołgów z rosyjskimi T–34"***. Wydana 26 maja 1942 roku przez Dowództwo Wojsk Szybkich (Schnellen Truppen) Wehrmachtu. Oto, czym uraczyło dowództwo swoich żołnierzy: *„T–34 jest szybszy, bardziej zwrotny, ma lepsze możliwości pokonywania bezdroży aniżeli nasze Pz. III i Pz. IV. Ma silniejszy pancerz. Możliwości przebijania jego 7,62–cm działa przewyższają nasze działa 5– i 7,5–cm. Doskonałe rozmieszczenie skośnych pasów pancernych zwiększa możliwość rykoszetów* (...) *Walka z T–34 naszą armatą 5–cm KwK–38 możliwa jest jedynie na krótkich dystansach strzelaniem w boki i tył czołgu* (...) *koniecznie trzeba strzelać prostopadle do powierzchni pancerza"* [87].

Świetna instrukcja. Bardzo dokładna i prawdziwa. Jak zauważono, jeśli strzelać pod kątem prostym do burtowego pancerza T–34, to KwK–38 może ją przebić. Z 300 metrów.

Ale w instrukcji (wbrew słynnej niemieckiej dokładności) nie ma żadnych wskazówek co do tego, jak przenieść lufę działa niemieckiego czołgu w takie położenie. Jeśli pod ręką nie ma ciężkiego transportowego śmigłowca, to pozostaje tylko jeden sposób: wejść na spadzisty stok wzgórza (ze spadem nie mniejszym niż 40 stopni) i poprosić załogę czołgu radzieckiego o podjechanie bliżej i najlepiej tyłem. Tak więc, jak widać, dowództwo wysyłało wojskom nieżyciowe instrukcje...

Po opracowaniu czołgu z takimi charakterystykami łatwo było dostać zawrotu głowy od sukcesów. Ale nie po to towarzysz Stalin jeszcze 5 maja 1941 roku uprzedzał absolwentów swoich akademii wojskowych: *„Państwa giną, jeśli zamykają oczy na niedociągnięcia, oczarowane swymi sukcesami, spoczywają na laurach"* [69, s. 650]. Dlatego, bynajmniej nie zadowalając się oddaniem do produkcji seryjnej T–34, w tym samym dniu, 19 grudnia 1939 r°ku, tym samym postanowieniem nr 443/ss do uzbrojenia Armii Czerwonej przyjęto czołg ciężki KW–1.
Jeśli T–34 można jeszcze — choć z licznymi zastrzeżeniami — porównywać z najlepszym w momencie wybuchu wojny radziecko–niemieckiej czołgiem przeciwnika Pz. III serii J, to osiągające 48 ton monstrum KW było nieporównywalne z żadnym czołgiem niemieckim. Pancerz czołowy do 95 mm i burtowy do 75 mm czyniły go absolutnie nieosiągalnym dla czołgów i najlepszych (50–mm) armat przeciwpancernych Wehrmachtu. Wydajny diesel W–2k rozwijał moc do 600 KM, co pozwalało stalowemu gigantowi poruszać się po szosie z prędkością tylko niewiele ustępującą szybkości lekkich czołgów niemieckich (35 kilometrów na godzinę). Ta sama co w T–34, 76–mm armata Grabina F–34 mogła latem 1941 roku rozstrzeliwać dowolne czołgi niemieckie na dowolnych dystansach, pod dowolnymi kątami jak ćwiczebne tarcze strzelnicze. Niewiarygodne, ale nawet pod względem pokonywania terenu ciężki czołg radziecki (przy nacisku na grunt w sumie 0,77 kg/cm2) przeważał nad przeciwnikami.
Jak wynika z dziennika wojennego F. Haldera, generałowie niemieccy początkowo nie wierzyli nawet w istnienie czołgu o takich parametrach. Za to u żołnierzy niemieckich jakiekolwiek wątpliwości prysły bardzo szybko. *„Po pojawieniu się naszych czołgów, szczególnie KW, piechota ucieka, a czołgi również nie podejmują walki* (...)*czołgi KW doprowadzały do stratowania przeciwnikai za każdym razem jego czołgi się wycofywały"* — to fragmenty referatu o działaniach bojowych 10. Dywizji Pancernej 15. KZmech. w czerwcu 1941 roku.
Podobnie jak na Słońcu występują plamy, tak i nasz KW nie był pozbawioną wad *„superbronią"*. Całkiem nieprzypadkowo pod koniec wojny zobaczenie tych czołgów na froncie było praktycznie niemożliwe. Głównym mankamentem 50–tonowego giganta była słaba i zawodna

transmisja (przejęta z amerykańskiego czołgu A–23 piętnaście lat wcześniej). Dopiero gdy pod koniec1942 roku wypuszczono seryjną modyfikację KW– 1S z nową skrzynią biegów i ciężarem zmniejszonym do 42,5 tony, czołg ten nabrał *„drugiego oddechu"*.
„Oto dlaczego Niemcy doszli do Moskwy! — zawoła dociekliwy czytelnik. — *Transmisja KW była do niczego"*. Nie spieszmy się z wnioskami. Po to w oddziałach pancernych, oprócz czołgów, są jeszcze dowódcy, aby każda maszyna była wykorzystywana z uwzględnieniem tak słabych, jak i silnych stron. Zrozumiałe, że nie każdy KWmógł wytrzymać takie *„wyścigi w kółko"*, jakie dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego urządziło swoim korpusom zmechanizowanym (później opowiemy o tym w szczegółach). Tam, gdzie ciężkie czołgi wykorzystywano racjonalnie i zgodnie z przeznaczeniem, odkrywały one wszystkie swoje możliwości bojowe. Niemało napisano o fenomenalnych osiągnięciach KW. My ograniczymy się doprzypomnienia dwóch epizodów z jego sławnej biografii bojowej.
Były dowódca XXXXI Korpusu Zmotoryzowanego generał Reinhardt pisze:
„Z trzech stron prowadziliśmy ogień do stalowych monstrów Rosjan, ale bezskutecznie (...)*Po długiej walce musieliśmy się wycofać, aby uniknąć zupełnej klęski. Rosyjskie giganty podchodziły coraz bliżej. Jeden z nich zbliżył się do naszego czołgu, który beznadziejnie ugrzązł w bagnistym stawie* (lekki niemiecki czołg ugrzązł, a ciężki KW *„zbliżył się"* — M.S.). *Bez wahania czarne monstrum przejechało po czołgu i wgniotło go w błoto gąsienicami. W tym momencie pojawiła się 150–mm haubica* (...)*Artylerzyści otworzyli ogień bezpośredni i trafili — jakby piorun strzelił. Czołg zatrzymał się* (...) *Nagle ktoś z obsługi działa krzyknął: «On znowu ruszył!» Rzeczywiście, czołg ożył i zaczął się zbliżać do działa. Jeszcze minuta i połyskujące metalem gąsienice czołgu dosłownie jak zabawkę wgniotły haubicę w ziemię"*.

19 września 1941 roku załoga czołgu KW nr 864 ze składu 1. batalionu czołgów 1. Pułku Czołgów 1. Dywizji Pancernej (tej samej, od której zaczęła się nasza opowieść, gdy wspominaliśmy o jej marszrucie za kołem podbiegunowym) pod dowództwem starszego lejtnanta Zinowija Kołobanowa znajdowała się w zasadzce na drodze z Ługi do Gatcziny. Tam nastąpiło spotkanie jedynego KW z kolumną około czterdziestu czołgów niemieckich. Kiedy ta bezprzykładna walka się zakończyła, 22 czołgi niemieckie dymiły w polu, a czołg, który otrzymał 156 trafień bezpośrednich, powrócił do swojej dywizji.

Zrozumiałe, że opisane osiągnięcia są największymi z największych i nie staną się średnią normą statystyczną. Właśnie dlatego autor wcale

nie wzywa do pomnożenia liczby ciężkich czołgów KW, znajdujących się w uzbrojeniu Frontu Południowo–Zachodniego (a było ich 278 sztuk), razy 22 i zrównania otrzymanej liczby z ogólną liczbą czołgów 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu. Na wojnie tak nie jest. Takiej liczby (6116) sprawnych czołgów nie było we wszystkichoddziałach Wehrmachtu, od Brestu w Bretanii do Brześcia na Białorusi. Dlatego, podsumowując ten rozdział, ograniczymy się tylko do prostego i dostatecznie uzasadnionego wniosku: korpusy zmechanizowane Frontu Południowo–Zachodniego miały wielokrotną przewagę ilościową w czołgach nad 1. Grupą Pancerną Wehrmachtu przy absolutnej przewadze jakościowej.

Przy minimalnie rozumnym kierowaniu tą gigantyczną ordą pancerną bój spotkaniowy na zachodniej Ukrainie powinien się zakończyć tylko jednym rezultatem— korpusy zmechanizowane Armii Czerwonej powinny były po prostu rozgnieść i zetrzeć w pył grupę pancerną Kleista.

Jak karalucha.

Praktycznie tak właśnie się stało. Tylko że na odwrót.

FINAŁ

Minęły dwa tygodnie od wybuchu wojny. Przebrzmiało starcie pancerne w trójkącie Radziechów–Brody–Dubno. Zakończyło się również ponowne przeciwuderzenie korpusów zmechanizowanych 5. Armii. Wojska niemieckiej Grupy Armii *„Południe"* włamały się w przestrzeń operacyjną Frontu Południowo–Zachodniego i błyskawicznie zbliżały do tak zwanej linii Stalina (rejony umocnione na starej granicy polsko–radzieckiej). Do wieczora 8 lipca na dużej części frontu został przełamany Nowogrodzko–Wołyński Rejon Umocniony. Niemiecki III Korpus Zmotoryzowany skierował się na Żytomierz, a XXXXVIII Korpus Zmotoryzowany jeszcze rankiem tego dnia opanował Berdyczów, obalając w ten sposób zamiar dowództwa radzieckiego co do planowego odwrotu rozgromionych dywizji Frontu Południowo–Zachodniego za linię starej granicy państwowej.

W tej sytuacji 7 lipca 1941 roku przygotowany został następujący dokument: *„Meldunek dowódcy Frontu Południowo–Zachodniego dla szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej o stanie korpusów zmechanizowanych frontu"* [8].

Ze względu na objętość dokument to niewiel ki. Przytoczymy go prawie w całości. Dla ułatwienia wraz z każdą nazwą geograficzną podana zostanie odległość od granicy zachodniej, a wraz z liczbami

określającymi resztki sprzętu w korpusach zmechanizowanych przedstawiony zostanie odsetek strat (w odniesieniu do ilości sprzętu na początku wojny). Oprócz tego korpusy przedstawione zostaną w tej kolejności, jaką przyjęto w Części 2., to znaczy najpierw korpusy zmechanizowane pierwszego rzutu z północy na południe, następnie dwa korpusy odwodowe frontu.

Dane dotyczące 16. i 24. KZmech., jako niebiorących udziału w bitwie pancernej, zostały pominięte.
Oto więc dokument:

„Ściśle tajne
Szefowi Sztabu Generalnego Armii Czerwonej
melduję stan korpusów zmechanizowanych:
— 22. Korpus Zmechanizowany ześrodkowany w rejonie Korostenia (320 km), ma w swoim składzie 340 maszyn bojowych (52%);

— 15. Korpus Zmechanizowany ześrodkowany w rejonie Berezowki (300 km), ma w swoim składzie 66 maszyn bojowych (91%);
— 4. Korpus Zmechanizowany ześrodkowany w rejonie Iwnicy (360 km), ma w swoim składzie 126 maszyn bojowych (87%);
— 8. Korpus Zmechanizowany ześrodkowany w rejonie Koziatynia (380 km), ma w swoim składzie 43 maszyny bojowe (95%);
— 9. Korpus Zmechanizowany ześrodkowany w rejonie Korostenia (320 km), ma w swoim składzie 164 maszyny bojowe (48%);
— 19. Korpus Zmechanizowany ześrodkowany w rejonie Korczewki (270 km), ma w swoim składzie 66 maszyn bojowych (85%).
Wszystkie korpusy w okresie walk od 22.06.1941 roku, poniosły straty w ludziach wynoszące około 25–30%.
RadaWojenna Frontu Południowo–Zachodniego uważa za celowe (...) *dowództwa korpusów zmechanizowanych i dywizji pancernych, oddziały dywizyjne i korpuśne, a także pułki czołgów dywizji pancernych i wszystkie*
urządzenia tyłowe wycofać w rejon Nieżyna, Pryłuk, Piriatina, Jagotyna... (To już za Dnieprem, 250 kilometrów na wschód od rejonów, w których resztki
korpusów zmechanizowanych znajdowały się w dniu 7 lipca — M.S.).
Podpisy: Kirponos, Purkajew, Żurawlew".

Dla porządku niewielkie wyjaśnienie. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że sytuacja w korpusach zmechanizowanych 9. i 22. była znacznie lepsza od średniej. Straciły one niby *„tylko"* połowę swego sprzętu bojowego.

Niestety, liczby te świadczą jedynie o tym, że dowództwo Frontu

Południowo–Zachodniego (które 6 lipca przemieściło się za Dniepr, do Brodów pod Kijowem) nie miało pełnej informacji o stanie powierzonych oddziałów. Już po ośmiu dniach, 15 lipca 1941 roku, w meldunku szefa Zarządu Pancerno–Samochodowego tegoż frontu ***„O stanie i ilości sprzętu korpusów zmechanizowanych frontu"*** mówi się, że w składzie 22. KZmech. znajduje się tylko 30 czołgów (zamiast 340), a w 9. KZmech. — 32 czołgi (zamiast 164). Uwzględniając fakt, że w ciągu tego tygodnia korpusy zmechanizowane praktycznie wycofywano ze strefy działań bojowych za Dniepr, takie *„zmniejszenie liczebności"* prawdopodobnie związane było nie z wielkimi stratami, ale po prostu z otrzymaniem bardziej wiarygodnych meldunków. Wniosek ten w pełni się zgadza z materiałami zawartymi w monografii Władimirskiego (w tym czasie — zastępca szefa Oddziału

Operacyjnego sztabu 5. Armii, której w pierwszych dniach wojny podporządkowane zostały 22. i 9. KZmech.), który pisze, że już 29 czerwca w 22. KZmech. pozostały łącznie 153, a w 9. KZmech. — 32 czołgi.A przecież po 29 czerwca nastąpił dzień 1 lipca, gdy 22. Korpus Zmechanizowany przeszedł do powtórnego przeciwuderzenia w kierunku Dubna.

Poniósł przy tym realne (a nie papierowo– sprawozdawcze) straty. Komentarz do tych meldunków jest praktycznie zbędny. To klęska. Niesłychana, bezprzykładna klęska. W ciągu zaledwie dwóch tygodni Front Południowo–Zachodni utracił ponad cztery tysiące czołgów (to więcej, niż wynosiła ogólna liczba czołgów Wehrmachtu na całym Froncie Wschodnim).
Nie ma wojen bez strat. Ale w czym się wyraża rezultat przeciwuderzenia korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego, za który zapłaciły one utratą 80% swego parku czołgów? Autorzy niesławnej 12–tomowej**Historii Drugiej Wojny Światowej** opowiadali ciekawskim czytelnikom, że *„natarcie hitlerowców na kierunku głównego uderzenia Grupy Armii «Południe» zostało zahamowane* (...) *ich siły główne zostały wciągnięte w przewlekłe walki"*.
Znów powtórzymy to samo pytanie — co osiągnięto?
W maju 1940 roku, po ześrodkowaniu silnej pancernej pięści (dziewięć dywizji pancernych, 2574 czołgi) na 150–kilometrowym odcinku od Liege do Saarbrucken, Niemcy przerwali obronę armii francuskiej i belgijskiej w ciągu dwóch tygodni, od 10 do 24 maja, i wyszli nad kanał La Manche, pokonując 300–350 kilometrów. Średnie tempo natarcia wynosiło 26 kilometrów na dobę. Historycy radzieccy dziś jeszcze nazywają to *„triumfalnym marszem Wehrmachtu przez Europę Zachodnią"*.
Dlaczego więc przełamanie 1. Grupy Pancernej, dokonane również w

ciągu dwóch tygodni na 350–400 kilometrów w głąb zachodniej Ukrainy, nazywa się *„przewlekłymi walkami"*?
Zgodnie z przedwojennymi planami dowództwa radzieckiego, wojska Frontu Południowo–Zachodniego w 10–12 dniu natarcia powinny były osiągnąć rubież rzek Wisła i Dunajec, co odpowiada średniemu tempu 10–12 kilometrów na dobę. To plany. A w rzeczywistości *„zahamowane"* natarcie niemieckiej Grupy Armii *„Południe"* w głąb Ukrainy dokonało się w tempie 20–25 kilometrów na dobę. A dlaczego by naszym historykom nie

przypomnieć, ile dni (lub miesięcy) trwało wyzwolenie zachodnich rejonów Ukrainy w 1944 roku?
Już 15 lipca 1941 roku ukazała się podpisana przez Żukowa Dyrektywa Kwatery Głównej o rozformowaniu korpusów zmechanizowanych. Ich krótka historia na tym się zakończyła. A co z przeciwnikiem? Być może i w jego zgrupowaniu pancernym po tych*„przewlekłych walkach"* pozostały jedynie szczątki.
Nie, historia 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu dopiero się rozpoczęła. Po przerwaniu linii rejonów umocnionych na starej granicy państwowej i wyjściu pod Kijów i Białą Cerkiew niemieckie dywizje pancerne skręciły o 90 stopni i runęły na południe Ukrainy, na tyły bezładnie wycofujących się wojsk 6. i 12. Armii Frontu Południowo–Zachodniego. 25 lipca Kwatera Główna zdecydowała o przekazaniu tych armii Frontowi Południowemu. Zanim najwyższe kierownictwo wyjaśniło, kto za co odpowiada, w pierwszych dniach sierpnia obie armie (a dokładniej — ich resztki) okrążone zostały w rejonie Humania i się poddały. Do niewoli trafiło około stu tysięcy ludzi, z dowódcą 12. Armii generałem majorem P. G. Poniedielinem i dowódcą 6. Armii generałem lejtnantem I. N. Muzyczenką na czele.
Po kolejnym miesiącu walk (do 4 września 1941 roku) straty bezpowrotne 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu wynosiły 186 czołgów, czyli j e d n ą d w u n a s t ą strat Frontu Południowo–Zachodniego, jakie poniósł on w ciągu dwóch tygodni wojny. Prócz tego setki czołgów zostało uszkodzonych i czasowo były one niezdolne do walki, tak że ogólna liczba czołgów 1. GPanc. znajdujących się w gotowości bojowej zmniejszyła się dwukrotnie — do 391 sztuk [11].
W takim składzie 1. GPanc. sforsowała Dniepr w rejonie Krzemieńczuga i 12 września 1941 roku skierowała się na północ, na spotkanie z nacierającą przez rzekę Desna 2. Grupą Pancerną. 15 września obie grupy połączyły się w rejonie Łubny–Łochwica (170 kilometrów na wschód od Kijowa), okrążając w ten sposób 21., 5., 37., 26. i 28. Armię.W gigantycznym worku kijowskim do niewoli niemieckiej dostało się, według meldunków dowództwa Wehrmachtu, ponad sześćset tysięcy ludzi. 20 września pod wioską Szumiejkowo niedaleko Łochwicy

polegli: dowódca Frontu Południowo– Zachodniego generał pułkownik M. P. Kirponos, szef sztabu frontu generał major W. A. Tupikow i członek Rady Wojennej M. A. Burmistienko.

Nie spoczywając na laurach, 1. Grupa Pancerna Kleista ruszyła ponownie, tym razem wykonując zwrot o 180 stopni, i praktycznie bez pauzy operacyjnej 24 września rozpoczęła natarcie na południe, ku Morzu Azowskiemu. Pokonując w ciągu 15 dni 450 kilometrów, Niemcy okrążyli i wzięli do niewoli w rejonie Melitopola jeszcze 100 tysięcy żołnierzy, po czym, zawracając o 90 stopni na wschód, przeszli jeszcze 300 kilometrów i do 21 listopada 1941 roku zajęli Taganrog i Rostów nad Donem. Wynik: ponad półtora tysiąca kilometrów po prostej (nie licząc niezbędnego w toku działań manewrowania), po*„przeciwpancernych"* drogach radzieckich, czołgami o wąskich gąsienicach i słabych silnikach benzynowych. Czy potrzebne są jeszcze jakieś dowody na to, że przeciwuderzenie korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego w czerwcu 1941 roku nie tylko nie doprowadziło do zniszczenia 1. Grupy Pancernej, ale nie miało najmniejszego nawet wpływu na jej gotowość bojową?
Wracając do problemu strat korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej, odnotujmy, że do końca 1941 roku na całym Froncie Wschodnim Wehrmacht utracił bezpowrotnie 2765 czołgów i dział szturmowych, czyli w ciągu pół roku wojny straty niemieckie i tak nie dorównały poziomowi strat jednego tylko Frontu Południowo–Zachodniego w ciągu dwóch pierwszych tygodni walk.
Tylko w jednym sytuacja na Froncie Południowo–Zachodnim jakościowo różniła się od tej, jaka zaistniała w pierwszych tygodniach wojny na Froncie Zachodnim. Na Białorusi Niemcy, nacierając dwiema grupami pancernymi od strony Brześcia i Wilna na Mińsk, okrążyli dużą część sił Armii Czerwonej. Klęski wojsk na polu bitwy dopełnił pogrom, jakiego dokonał Stalin w dowództwie Frontu Zachodniego. W wyniku tego ani dokumenty sztabowe, ani dobrze poinformowani świadkowie prawie nie ocaleli i historykowi pozostaje odtwarzanie obrazu zdarzeń niemal tak, jak czynią to paleontolodzy, rekonstruując szkielet dinozaura na podstawie paru skamieniałych kości.
Ale na Ukrainie wydarzenia rozwinęły się inaczej. Na całym południowym TDW, od Polesia do Morza Czarnego, w dyspozycji dowództwa Wehrmachtu znajdowała się jedna tylko grupa pancerna i w pierwszych dniach wojny Niemcom nie udało się przeprowadzić większej operacji zmierzającej do okrążenia wojsk radzieckich. Nawet tracąc cały sprzęt bojowy, dywizje radzieckie zdołały się wycofać na wschód, ocalały dowództwa, sztandary i dokumenty.
Reakcja Stalina na fiasko przeciwuderzenia Frontu Południowo–Zachodniego była zaskakująco łagodna. Wszyscy dowódcy korpusów

zmechanizowanych frontu, którym pisane było pozostać przy życiu, awansowali. Najwyżej zaszedł dowódca 9. KZmech. K. K. Rokossowski, który zakończył wojnę w stopniu marszałka i jako dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego dowodził wieloma frontami i Paradą Zwycięstwa. Jeszcze lepsza przyszłość czekała dowódcę 4. KZmech. Własowa. Po rozformowaniu korpusów zmechanizowanych wyznaczono go na dowódcę najsilniejszej we Froncie Południowo–Zachodnim 37. Armii; po klęsce tej armii w *„worku kijowskim"* umiejętnie dowodził 20. Armią w bitwie pod Moskwą, po czym Stalin dał mu 2. Armię Uderzeniową — i tu błyskotliwa kariera została przerwana i potoczyła się pod górę, prosto na szubienicę, na której ten znany zdrajca zakończył swe życie. Błyskawicznie wspiął się po drabinie służbowej dowódca 8. KZmech. Riabyszew. Po rozformowaniu korpusu dowodził 38. Armią, a od 30 września 1941 roku— już całym Frontem Południowym. Opuszczone przez niego stanowisko dowódcy 38. Armii objął jeszcze jeden były dowódca korpusu zmechanizowanego— N. W. Fieklenko (19. KZmech.). Marszałkowskich gwiazd dosłużyli się i dowódca 1. Brygady Artylerii Przeciwpancernej Frontu Południowo–Zachodniego K. S. Moskalenko, i szef Oddziału Operacyjnego sztabutego frontu I. Ch. Bagramian, i dowódca 20. Dywizji Pancernej (9. KZmech.) K. J. Katukow.

Z tego powodu nie możemy narzekać na brak opisów czerwcowych walk na zachodniej Ukrainie w literaturze wspomnieniowej i historycznej. Ocalało wiele cennych dokumentów, wliczając w to opublikowane na stronie internetowej *„Korpusy Zmechanizowane Armii Czerwonej"* meldunki dowódców dywizji pancernych 15., 19. i 22. KZmech.

Jednym słowem — jest nad czym pracować. Ale zanim zaczniemy szczegółowo rozpatrywać rzeczywisty przebieg tego trzeciego w naszym wykładzie i w rzeczywistości najsilniejszego *„stalinowskiego uderzenia"*, zmierzymy się z tym, czego w rzeczywistości nie było. Po prostu, aby więcej nie powracać do omawiania tych mitów.

O TYM, CZEGO NIE BYŁO

Jak już, szanowny Czytelniku, odgadłeś — sprawa ponownie będzie dotyczyć potęgi niemieckiego lotnictwa, *„pierwszego obezwładniającego uderzenia"* i innych cudów.

W Części 2. próbowaliśmy znaleźć (ale nie znaleźliśmy) potwierdzenie strasznych opowieści o tym, jak to *„po zaskakującym uderzeniu radzieckich czołgistów powystrzelano jeszcze przed tym, nim dobiegli oni do swoich czołgów, a czołgi spalono lub zdobyto bez załóg"*. Niczego podobnego jednak na Froncie Zachodnim nie zaobserwowano.

Być może W. Suworow miał na względzie początek działań bojowych na zachodniej Ukrainie. Być może to w pasie Frontu Południowo–Zachodniego *„radzieckie samoloty rozpoznawcze nie zdołały się podnieść w powietrze* (…) *Naszemu cyklopowi wybito oko. Nasz cyklop jest ślepy. Macha tylko stalowymi kułakami i ryczy w bezsilnej wściekłości"*.

Kto wybił oko cyklopowi? I czym? W składzie V Korpusu Lotniczego Luftwaffe, działającego wspólnie z Grupą Armii *„Południe"*, nad Ukrainą znajdowało się siedem bombowych 1 Pięć myśliwskich grup lotniczych. W sumie (wraz z niesprawnymi) rankiem 22 czerwca 1941 roku w ich składzie znajdowało się 266 bombowców *„horyzontalnych"* (163 Ju–88 i 103 He–111) i 174 myśliwce Me–109 [24].

Nad Frontem Południowo–Zachodnim nie było ani jednego bombowca Ju–87 (tak ukochanego przez wszystkich filmowych dokumentalistów symbolu Blitzkriegu), ani jednego myśliwca bombardującego Me–110. Wynika z tego, że możliwości bombardowania ruchomych celów punktowych (jakimi są czołgi i samochody pancerne) przez samoloty V Korpusu Lotniczego Luftwaffe były bliskie zeru.

Lotnictwu niemieckiemu przeciwstawiały się siły powietrzne Frontu Południowo–Zachodniego oraz dwa (2. i 4.) korpusy lotnictwa bombowego dalekiego zasięgu, liczące co najmniej 944 bombowce (bez uwzględniania przestarzałych ciężkich TB–3) i 1166 myśliwców (w tym 253 najnowsze MiG–3 i Jak–1) [23]. Oznacza to, że nawet w ilości myśliwców *„nowych typów"* radzieckie siły powietrzne miały przewagę nad przeciwnikiem o półtora raza!

A to dopiero początek, jeśli weźmiemy pod uwagę, że zgodnie z przedwojennym ***„Planem osłony mobilizacji i rozwinięcia wojsk Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego"*** w 4 dniu mobilizacji na Ukrainę planowano przerzucić jeszcze osiem dywizji lotniczych i

doprowadzić ogólną liczebność lotnictwa na południowym TDW (z uwzględnieniem lotnictwa Frontu Południowego, samolotów rozpoznawczych i szturmowych) do 6760 samolotów bojowych [16].

Niemcy nie zdołali pokonać z marszu tak przeważających sił. Nie pomogły ani ich starania, ani chaos, w którym pogrążały się wszystkie systemy dowodzenia i łączności Frontu Południowo–Zachodniego. W rezultacie dowództwo V KLotn., które tymi cherlawymi siłami chciało zaatakować ponad 160 lotnisk, jakimi na wschód od Dniepru dysponowało lotnictwo Frontu Południowo–Zachodniego — po prostu nie miało sił i środków, aby jeszcze uganiać się za tysiącami radzieckich czołgów, samochodów pancernych, ciągników i dział. W związku z tym rozwinięcie korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego i ich wysunięcie do rejonów wyjściowych do natarcia przeszło niemal bez przeszkód ze strony niemieckiego lotnictwa.

Z północy na południe, od Polesia do Karpat, realny obraz wydarzeń był następujący [8, 61, 92, 105]:
22. KZmech. Sztab korpusu, 19. Dywizja Pancerna i 215. Dywizja Zmechanizowana przed wojną dyslokowane były w Równem (około 150 kilometrów na wschód od granicy). O stratach w pierwszych godzinach wojny nic nie wiadomo. Czołowa 41. Dywizja Pancerna znajdowała się o wiele bardziej na zachód, w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego (15 kilometrów od granicy). Jak już wspomniano w Części 2., dywizja ta poniosła straty: *„od 4.00 22.06.41 roku ostrzeliwana była dalekim ogniem artyleryjskim przeciwnika i podczas mobilizacji poniosła straty: 10 żołnierzy zabitych"*.
15. KZmech. Rejon przedwojennej dyslokacji: Brody–Krzemieniec (100–135 kilometrów od granicy).
O godzinie 4.45 otrzymano informację o przekroczeniu przez wojska niemieckie naszej granicy państwowej, ogłoszono alarm bojowy, otworzono pakiet z dyrektywą sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego. Swoją drogą — w informacji o działaniach bojowych 15. Korpusu Zmechanizowanego podana została także data zatwierdzenia planu operacyjnego: 31 maja 1941 roku. Zgodnie z tą dyrektywą dywizje korpusu zaczęły wychodzić do rejonów ześrodkowania. Jedyną wzmiankę o stratach pierwszego dnia wojny znajdziemy w meldunku dowódcy 37. Dywizji Pancernej:
„Pod koniec dnia 22.06.41 roku w rejonie ześrodkowania oddziały dywizji po raz pierwszy zostały zbombardowane przez lotnictwo przeciwnika. Szczególnie silnie bombardowano rejon ześrodkowania 73. Pułku Czołgów, ponieważ znajdował się on w pobliżu lotniska w Brodach, jednakże strat w sprzęcie nie było. Od ognia lotniczych karabinów maszynowych zginęło dwóch żołnierzy".
4. KZmech. Rejon przedwojennej dyslokacji: Lwów (80 kilometrów na wschód od ówczesnej granicy).

Ten korpus ruszył do działań wcześniej od innych. Już 20 czerwca 1941 roku ogłoszono alarm bojowy w 8. Dywizji Pancernej i 81. Dywizji Zmechanizowanej. Z obozu pod Lwowem odwołano też dywizjony artylerii przeciwlotniczej tych dywizji, które jednocześnie otrzymały zadanie osłony rejonów rozmieszczenia wojsk. W 32. Dywizji Pancernej, która znajdowała się we wschodniej części Lwowa, alarm bojowy ogłoszono o godzinie 2 w nocy 22 czerwca i rozpoczęła ona marsz ulicami miasta w stronę szosy jaworowskiej. Korpuśny pułk motocyklowy opuścił miejsce dotychczasowej dyslokacji jeszcze wcześniej, tak że już o godzinie 9.45 wszedł do walki z Niemcami przeprawiającymi się przez San pod miasteczkiem Liack (chodzi prawdopodobnie o dzisiejsze Laszki nad rzeką Szkło — dop. tłum.), 70 kilometrów na zachód od Lwowa.
Informacji o stratach w czasie marszu w wyniku bombardowań przeciwnika nie ma.
8. KZmech. Rejon przedwojennej dyslokacji: Drohobycz–Stryj (70–100 kilometrów od granicy). Już 19 czerwca 1941 roku dowódca korpusu D. I. Riabyszew rozkazał wyprowadzić dużą część ludzi z koszar w Drohobyczu do rejonu ześrodkowania. 20 czerwca, zgodnie z zarządzeniem sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego, wszystkie czołgi, także znajdujące się w konserwacji, zostały do pełna zatankowane iotrzymały komplet amunicji. O trzeciej rano 22 czerwca ze sztabu armii nadeszło zarządzenie *„być w gotowości i oczekiwać rozkazu"*. O godzinie 10 rano otrzymano rozkaz, po którym korpus został poderwany alarmem i do końca dnia doszedł do granicznej rzeki San na zachód od Sambora.
Rankiem 22 czerwca lotnictwo niemieckie bombardowało Drohobycz, lecz — jak dokładnie opisuje to w swoich wspomnieniach komisarz tego korpusu (zastępca dowódcy do spraw politycznych, szef oddziału propagandy politycznej) N. K. Popiel — *„oddziały korpusu w wyniku bombardowania strat niemal nie poniosły"*.
W toku marszu w rejon rozwinięcia jeden z pułków zmotoryzowanych 7. Dywizji Zmechanizowanej stał się celem nalotu i stracił 70 zabitych oraz 120 rannych. Były to największe straty 22 czerwca w ludziach wszystkich korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego.
Siły lotnictwa niemieckiego na tym odcinku były na tyle nieduże, że opisując sytuację w drugiej połowie dnia 24 czerwca, Popiel zauważa: *„Wrogie lotnictwo jawnie zaczęło nas lekceważyć. Samoloty obojętnie przelatywały nad naszymi kolumnami, zachowując swe bomby dla jakichś innych celów"* [105].
Problem tkwił oczywiście nie w *„lekceważeniu"* (8. KZmech. pod względem liczby czołgów przewyższał 1. GPanc. Wehrmachtu), ale w elementarnym braku sił, samolotów, bomb.

Aby czytelnik mógł samodzielnie ocenić, na ile takie stratywynikłe z *„pierwszego obezwładniającego uderzenia"* mogły obniżyć gotowość bojową korpusów zmechanizowanych, przedstawimy stan osobowy niektórych z nich:
— 4. KZmech.— 28 097;
— 8. KZmech.— 31 927;
— 15. KZmech. — 33 935;
— 22. KZmech. — 24 087 ludzi [8].
To dane z 1 czerwca 1941 roku. W związku z tym, że od końca maja 1941 roku w kraju tajna mobilizacja była w pełnym toku, 22 czerwca liczba żołnierzy i oficerów wskazanych korpusów była, najprawdopodobniej, jeszcze wyższa.
16. KZmech. wchodził w skład 12. Armii, rozciągniętej na 350–kilometrowym froncie w Karpatach, od Przełęczy Użockiej do granicy z Mołdawią. W pierwszych dniach wojny był to jeden z najbardziej pasywnych odcinków, na którym nieliczne oddziały węgierskie nękały siły 12. Armii. Generał B. Aruszanian, podówczas szef sztabu 12. Armii, pisał: *„22 czerwca 1941 roku przeciwnik nie prowadził aktywnych działań przeciwko armii"* . Dywizje 16. Korpusu Zmechanizowanego, rozwinięte w rejonie Stanisławów– Czerniowce–Kamieniec Podolski, dopiero rankiem 23 czerwca nawiązały walkę z przeciwnikiem.

9. KZmech. był w odwodzie frontu i znajdował się na głębokich tyłach, w rejonie Szepietówka–Nowogród Wołyński (220–250 kilometrów na wschód od granicy). Rankiem 22 czerwca 1941 roku, działając na podstawie przedwojennego planu operacyjnego, korpus rozpoczął wymarsz na Równe– Łuck.

K. K. Rokossowski w swoich wspomnieniach[40] pisze: *„Lotnictwo niemieckie pojawiało się dość często. Przeważnie były to bombowce, przelatujące nad nami na dużej wysokości, i co dziwne, bez osłony myśliwskiej"* [111].

Nic w tym dziwnego. Nieliczne myśliwce Luftwaffe związane były walką nad przygranicznymi lotniskami, a do tego zasięg działania Me–109 po prostu nie pozwalał im na patrolowanie nieba nad Szepietówką.

19. KZmech. był w odwodzie frontu i znajdował się na głębokich tyłach w rejonie Żytomierz–Berdyczów–Koziatyń (350–380 kilometrów od granicy). W pierwszym dniu wojny nie był atakowany przez Luftwaffe. Rozkaz o wymarszu w rejon Równego przyszedł dopiero wieczorem, o godzinie 18 22 czerwca 1941 roku. W czasie marszu na zachód od Nowogrodu Wołyńskiego kolumny 40. Dywizji Pancernej *„niejednokrotnie były narażone na naloty powietrzne przeciwnika, wskutek których 2 ludzi zostało zabitych, a 4 rannych"*. Dalej w informacji o działaniach 40. DPanc. 19. KZmech. mówi się, że 24–25 czerwca *„w czasie marszu dywizji do rejonu Klewania przeciwnik*

niejednokrotnie próbował atakami z powietrza powstrzymać ruch dywizji (...)*W rezultacie bombardowań dywizja nie poniosła strat"*. 43. Dywizja Pancerna w czasie przemieszczenia do Równego nie cierpiała z powodu działań lotnictwa przeciwnika — jak można sądzić z meldunku dowódcy o działaniach dywizji.

To wszystko, co się zdarzyło. Tak w rzeczywistości wyglądało *„zaskakujące obezwładniające uderzenie niemieckiego lotnictwa"*. Autor uważa za konieczne przeprosić za obcesowy ton tego rozdziału. Zrozumiałe, że dla rodzin czerwonoarmistów, do których domów przyszły

40 — Tłum. z ros., por. K. K. Rokossowski**, Żołnierski obowiązek**, MON, Warszawa 1973, s. 33.

pierwsze zawiadomienia o śmierci ich najbliższych, straty te były największym w ich życiu smutkiem, a nie *„jedynymi stratami"*. Ale historia wojen posługuje się dość specyficznym językiem, w którym przebieg pierwszego dnia wojny może być opisany jedynie następująco: korpusy zmechanizowane wyszły do nakazanych im rejonów wyjściowych do natarcia i w wyniku uderzeń wrogiego lotnictwa poniosły znikome straty.

Żadnego *„pierwszego obezwładniającego uderzenia"* być nie mogło i w rzeczywistości nie było.
Natworzywszy górę papieru o tym, czego nie było i być nie mogło, *„historycy"* radzieccy usypali drugą, aby zaprzeczyć temu, co się naprawdę zdarzyło. Chodzi o tak ważny czynnik przygotowania do wojny jak mobilizacja.
W każdej bez wyjątku książce mówiono, że *„historia dała nam mało czasu"*, że nasza armia mogła być *„w pełni gotowa do wojny nie wcześniej niż w 1942 roku"* i dlatego trzeba było ze wszystkich sił odwlekać, odwlekać i jeszcze raz odwlekać starcie z Niemcami...
Po co odwlekać?
Czym jest *„pełna gotowość do wojny"*, autor nie może sobie nawet wyobrazić. A już tym bardziej nie może zrozumieć — ile lat (lub stuleci) potrzeba, aby osiągnąć ten zagadkowy stan.
Co innego mobilizacja. To wykaz absolutnie konkretnych przedsięwzięć, które wskazane imiennie osoby piastujące określone stanowiska powinny zrealizować w terminach określonych z dokładnością do dni i godzin. Powstrzymując się od dalszych dyletanckich wyjaśnień, przytoczmy od razu większy cytat z monografii generała Władimirskiego (wówczas zastępcy szefa Oddziału Operacyjnego sztabu 5. Armii), który — z racji swojego stanowiska służbowego — o przedsięwzięciach mobilizacyjnych wiedział niemal wszystko (autor

podkreślił kluczowe słowa):
„P l a n y m o b i l i z a c y j n e zostały opracowane we wszystkich związkach strzeleckich. Systematycznie podlegały one kontroli wyższych sztabów, były uściślane i usprawniane. Przypisywanie do związków i oddziałów stanu osobowego, środków transportu mechanicznego, koni, wyposażenia tyłowego z zasobów gospodarki narodowej było w zasadzie zakończone (...)

Dyw izje miały pełne uzbrojenie strzeleckie, z wyjątkiem niektórych jego rodzajów (automatów PPD, wielkokalibrowych karabinów maszynowych) (...)
Dywizje strzeleckie miały pełne uzbrojenie artyleryjskie, z wyjątkiem 37–mm dział przeciwlotniczych, których brak sięgał 50 procent. Wyposażenie pułków artylerii korpuśnej w sprzęt wynosiło 82 procent (...)
Zabezpieczenie w środki t r a n s p o r t u m e c h a n i c z n e g o dywizji strzeleckich wynosiło 40–50 procent. Brak samochodów i traktorów planowano uzupełnić z zasobów gospodarki narodowej wschodnich obwodów Ukrainy (...)
Od 20 maja 1941 roku cały stan szeregowych i podoficerów rezerwy ściągnięto na 45–dniowe ćwiczenia szkolne w dywizjach strzeleckich. Pozwoliło to doprowadzić liczebność każdej dywizji strzeleckiej do 12–12,5 tys. ludzi, czyli do 85–90 p r o c e n t s t a n u c z a s u w o j n y ...”
Czy pamiętasz, szanowny Czytelniku, ile tysięcy razy okłamywano nas, mówiąc, że *„dywizje Armii Czerwonej pozostawały na etatach czasu pokoju i do 22 czerwca były dwa razy mniejsze od niemieckich”*? Czy pamiętasz, jak nasz Wielki Marszałek Zwycięstwa pisał w swoich wspomnieniach o tym, że *„na początku wojny w przygranicznych okręgach znajdowało się 19 dywizji uzupełnionych do stanu po 5–6 tysięcy ludzi, a 144 dywizje liczyły po 8–9 tysięcy ludzi”*?
Faktycznie, według danych monografii **„1941 rok— lekcje i wnioski”**, w 103 dywizjach strzeleckich okręgów przygranicznych liczebność stanu osobowego wzrosła:
„21 dywizji — do 14 tys. ludzi, 72 dywizji — do 12 tys. ludzi i 6 dywizji strzeleckich— do 11 tys. ludzi” [3, s. 82].
Wróćmy jednak do książki Władimirskiego:
„Przewidywany w planach mobilizacyjnych oddziałów p r z e b i e g m o b i l i z a c j i pokrótce wyglądał następująco.
Każdy oddział dzielił się na dwa rzuty mobilizacyjne. Pierwszy rzut mobilizacyjny stanowiło 80–85 procent stanu oddziału (...)*Termin gotowości pierwszego rzutu do wymarszu w celu wykonania zadań bojowych ustalono na 6 godzin.*
Drugi rzut mobilizacyjny oddziału obejmował 15–20 procent stanu oddziału, a także całość przybywających w ramach mobilizacji rezerw. Termin

gotowości dla drugiego rzutu oddziałów (...) *ustalono: dla związków, dyslokowanych w pasie przygranicznym, a także dla wojsk OPL i sił powietrznych — n i e p ó ź n i e j n i ż w p i e r w s z y m d n i u m o b i l i z a c j i, a dla wszystkich pozostałych związków — w c i ą g u d o b y* (...)
Wszystkim związkom i oddziałom przydzielano ukryte przed obserwacją z powietrza rejony mobilizacji w pobliżu ich miejsc dyslokacji, a także określano porządek wyjścia oddziałów w te rejony i osłony ich w czasie mobilizacji.
Na wniosek komisji sztabów armii i okręgu, nadzorujących stan gotowości mobilizacyjnej związków i oddziałów strzeleckich w maju–czerwcu 1941 roku, wszystkie dywizje strzeleckie i oddziały korpuśne u z n a n o z a g o t o w e d o m o b i l i z a c j i w o k r e ś l o n y c h t e r m i n a c h" [92].
A teraz nabierzmy odwagi i spróbujmy zrozumieć to, co przeczytaliśmy. Tradycyjna wersja była taka: Armii Czerwonej potrzebny był jeszcze co najmniej cały rok, aby przygotować się do wojny. Niemcy nie chcieli po rycersku zaczekać i napadli na *„nieprzygotowaną do wojny"* armię.
W nieco uszlachetnionym wariancie ta skostniała wersja brzmiała tak: w celu pełnego zakończenia przedsięwzięć mobilizacyjnych potrzebne były jeszcze dwa–trzy tygodnie, ale szybkie posuwanie się Wehrmachtu w głąb kraju uniemożliwiło mobilizację, co też stało się przyczyną...
Tajna mobilizacja była już praktycznie zakończona. Dywizje strzeleckie (główny kościec armii tej epoki, a ponadto — główna siła w obronie!) w zasadzie zakończyły mobilizację, a planowane terminy ich gotowości do prowadzenia działań bojowych liczono już nie w dobach, ale w godzinach. Niewielka *„doczepka"* (drugi rzut mobilizacyjny) mogła zostać doprowadzona do pełnej gotowości w zaledwie dzień, dwa. W jakiż więc sposób *„zaskakująca napaść"* Niemiec mogła pozbawić Armię Czerwoną tych niezbędnych godzin? Czyż ZSRR pod względem rozmiarów podobny był do Luksemburga lub Danii, które Wehrmacht zajął w ciągu jednego dnia? Trzeba podkreślić i to, że na początku wojny nasze dowództwo wojskowe nie miało żadnych wątpliwości co do realności wskazanych terminów uzupełnienia i doprowadzenia oddziałów do pełnej gotowości bojowej.

Broń strzelecka i artyleryjska głównych rodzajów (patrz powyżej) już znajdowała się w oddziałach.
A wspomniane przez Władimirskiego*„40–50% etatowej ilości środków transportu mechanicznego"* w przełożeniu na bardziej konkretny język stanowi 250 samochodów wszystkich typów i 50 traktorów w jednej dywizji strzeleckiej. Chodzi o to, że same *„stany etatowe"*,

przewidywane przez stalinowskie plany przygotowania do Wielkiej Wojny, były ogromne. Tak więc w pułku haubic dywizji strzeleckiej Armii Czerwonej miały być dwa ciągniki (potężne dieslowskie Komintern i Woroszyłowiec) na jedną haubicę (!), 37 radiostacji (w tym dwie o dużym zasięgu na podwoziu samochodu specjalnego), 90 samochodów ciężarowych i 3 osobowe. W samodzielnym dywizjonie przeciwpancernym (wciąż tej samej dywizji strzeleckiej) na 18 *„czterdziestekpiątek"* naliczono 24 samochody i 21 ciągników. Przy czym w charakterze ciągnika wykorzystywano opancerzone gąsienicowe ciągniki Komsomolec — stworzone na bazie czołgu lekkiego T–38, uzbrojone w karabin maszynowy w jarzmie kulistym i w całości odpowiadające pod względem możliwości bojowych niemieckim tankietkom Pz. I, które wszyscy radzieccy historycy niezmiennie zaliczają do rzędu czołgów. Do lipca 1941 roku wyprodukowano i przekazano wojsku 7780 tych ciągników [1481.

Znacznie gorzej wyglądały sprawy z gotowością mobilizacyjną korpusów zmechanizowanych. To zrozumiałe. Po pierwsze, korpus zmechanizowany już z nazwy potrzebuje ogromnej liczby samochodów i traktorów (ciągników gąsienicowych), których znaczna część zgodnie z planem powinna być wykorzystana w gospodarce narodowej niemal do dnia ogłoszenia jawnej mobilizacji. Po drugie, stalinowska gigantomania, której następstwem było sformowanie 29 korpusów zmechanizowanych po tysiąc czołgów w każdym, przewyższała realne możliwości ekonomiczne kraju.

Pamiętając o tym wszystkim, zanim wyciągniemy wnioski, zapoznamy się z konkretnymi faktami, zaczerpniętymi z tej samej monografii Władimirskiego:

„22., 9. i 19. Korpus Zmechanizowany formowano w kwietniu 1941 roku na bazie byłych brygad pancernych i na początku wojny znajdowały się one jeszcze w stadium organizacji[41] *(...) Dysponując odpowiednio dużym stanem osobowym* (dywizja pancerna — 9 tys. ludzi, czyli 80 procent, dywizja zmechanizowana — 10,2 tys. ludzi, czyli 90 procent stanu na czas wojny)*, związki zmechanizowane miały braki w składzie dowódczym i podoficerskim* (40–50 procent)... *Szczególnie źle oglądały sprawy z uzupełnieniem oddziałów, jeśli chodzi o dowódców czołgów i pododdziałów, a także kierowców mechaników i innych specjalistów"*.

Nie można przy tym zapomnieć, o jakich korpusach pisze Władimirski. Według przedwojennych planów radzieckiego dowództwa wojsk pancernych 19. KZmech. nie mieścił się nawet wśród dziewiętnastu *„bojowych korpusów zmechanizowanych"* i formowany był według zmniejszonych stanów, a 22. i 9. KZmech. miały zakończyć formowanie dopiero w 1942 roku. Brak czołgistów w tych korpusach jest w pełni *„zrównoważony"* brakiem w nich etatowej liczby czołgów. Tak więc w 22. KZmech. było 712 czołgów (69%), w 9. KZmech. — 316 czołgów

(31%), a w 19. KZmech. — 453 czołgi (44%).
Wehrmacht, którego liczebność od jesieni 1940 roku zaczęła gwałtownie wzrastać, napotykał te same problemy:
„W dywizjach pancernych i zmotoryzowanych oficerowie kadrowi stanowili 50% składu dowódczego, w dywizjach piechoty — od 35 do 10% (...) *Pozostali byli rezerwistami, których profesjonalne przygotowanie było znacznie niższe"* [**WIŻ**, 1989, nr 5, s. 72]. Jedynie w tekstach propagandzistów radzieckich pojawiało się *„dwuletnie doświadczenie prowadzenia współczesnej wojny"*. Z pięciu dywizji 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu w kampanii w Polsce nie uczestniczyła żadna, we Francji — tylko dwie (9. i 11. DPanc.), 14. DPanc, do*„Barbarossy"* zdołała jedynie powalczyć w Jugosławii, 13. i 16. DPanc, (utworzone w październiku 1940 roku na bazie dywizji p i e c h o t y) do 22 czerwca 1941 roku w ogóle nie uczestniczyły w jakichkolwiek działaniach bojowych.
A teraz ponownie wróćmy do książki Władimirskiego, aby wyjaśnić, jak wyglądały sprawy ze sprzętem i uzbrojeniem wojsk zmechanizowanych:
„W uzbrojenie s t r z e l e c k i e oprócz karabinów i karabinków dywizje pancerne i zmechanizowane były wyposażone następująco: ręczne karabiny maszynowe — 50%, automaty — do 40% (wierny tradycji radzieckiej historiografii zasłużony generał nie zdecydował się napisać wprost, że w broń strzelecką podstawowych rodzajów — karabiny i karabinki — wojska wyposażone były w pełni — M.S.)...
W s p r z ę t a r t y l e r y j s k i dywizje pancerne i zmechanizowane były wyposażone następująco: 76–mm działa — w 70%, 122–mm haubice — średnio w 87%, 152–mm haubice — od 33 do 66%, 37– mm działa przeciwlotnicze — od 33 do 50%.
Dywizje pancerne i zmechanizowane nie miały też pełnego stanu środków t r a n s p o r t u m e c h a n i c z n e g o. Na stanie było po 22–38% samochodów, a ciągników — po 20–40%. 1 W pułkach artylerii haubic brakowało ciągników artyleryjskich, co obniżało ich manewrowość".
W przełożeniu na konkretne liczby wyglądało to tak. W 22. KZmech. z zakładanych w etacie 5165 samochodów było 1382 (27% stanu etatowego), ciągników — 129 sztuk (37%). W sumie 927 samochodów i 67 ciągników znajdowało się w 19. KZmech., a w 9. KZmech. — 1027 samochodów i 114 ciągników [8].
Sytuacja w uderzeniowych korpusach zmechanizowanych (4., 8. i 15.), które formowanie rozpoczęły znacznie wcześniej, była o wiele lepsza[42]. Skład dywizji 15. KZmech. przed wojną wyglądał następuco: szeregi: 94– 100% przewidzianego stanu, podoficerowie: 45–75%, oficerowie: 50–87%, przy czym braki w składzie dowódców można wyjaśnić głównie brakiem pracowników politycznych i personelu administracyjno–gospodarczego.

8. KZmech. jeszcze przed wezwaniem przypisanego mu składu osobowego pod pretekstem*„wielkich ćwiczeń szkolnych”* w czerwcu 1941 roku miał 89% stanu osobowego, jego pułki artylerii miały w uzbrojeniu 88 armat i haubic (88% stanu etatowego), 45–mm armat przeciwpancernych było także powyżej normy (49 zamiast 36). W korpusie znajdowało się 3237 samochodów i 359 ciągników (o 7 sztuk powyżej normy!) [1, 8,1131.
Problemy ze środkami ciągu mechanicznego były jednak powszechne. Nawet najlepiej przygotowana 10.Dywizja Pancerna 15. KZmech. posiadała w sumie 64 cysterny samochodowe (ze 139 zakładanych w etacie), 800 samochodów (z 918 zakładanych w etacie), przy czym większość stanowiły półtoratonówki GAZ–AA; z powodu ich niewielkiej ładowności dywizja pozostawiła w miejscu przedwojennej dyslokacji 450 ton różnorodnego dobytku. A to jedna z najstarszych dywizji pancernych w okręgu. W innych dywizjach i pułkach (szczególnie w zmotoryzowanych) problemy z transportem samochodowym były jeszcze większe.
Na przykład gdy w 32. DPanc, wzorcowego 4. KZmech. znajdowało się w sumie 417 samochodów wszystkich typów, 212. Dywizja Zmechanizowana (15. KZmech.)*„posiadająca niemal pełen skład osobowy, nie miała maszyn do przewozu ludzi i nie mogła zapewnić sobie dowozu amunicji, żywności i MPS”*. Pułk artylerii 37. DPanc. (15. KZmech.) posiadał w uzbrojeniu 16 haubic kaliber 122 i 152 mm i w sumie 5 ciągników do ich transportu. A ważyły one odpowiednio po 2,5 14 tony, ręcznie więc ich nie popchniesz. Pułk strzelców zmotoryzowanych 37 DPanc. (37. PSZmot. — dop. tłum.) *„nie miał pełnego stanu samochodów, stacjonował 100 km od dywizji, dlatego na początku działań bojowych nie mógł współdziałać z nią”*.
Lecz ocena tych (jak i wielu innych) faktów powinna być wyważona. Bo czyż można zgodzić się z autorami, którzy stwierdzają, że *„tak zwane korpusy zmechanizowane stanowiły w istocie zwykłą piechotę ze wzmocnieniem pancernym”*. Nawet korpusy zmechanizowane drugiego rzutu (9. i 19. KZmech.) posiadały po tysiąc samochodów. Czyż można to nazwać *„zwykłą piechotą”*?
Czy pułk haubic wspomnianej już 37. Dywizji Pancernej naprawdę znajdował się w położeniu bez wyjścia? Dywizja posiadała 239 sprawnych czołgów BT i 32 T–34. Każdy z nich mógł zostać wykorzystany w charakterze ciągnika gąsienicowego, o wiele silniejszego i szybszego niż ówczesne traktory. Właśnie tak działali Niemcy, którzy swe lekkie czołgi *„dozbrajali”* działem na przyczepkę. W naszej armii wymyślono na to specjalną nazwę — *„jeż”*.
Jednakże bez mobilizacji środków transportu z gospodarki narodowej i doprowadzenia wyposażenia oddziałów do norm etatowych gotowość bojowa korpusów zmechanizowanych bezwzględnie się obniżała.

Mechanizm wojenny rozpadał się na oddzielne elementy: piechotę bez czołgów i czołgi bez wspomagającej je piechoty.
Taka sytuacja — tragiczna i absurdalna zarazem— wytworzyła się w niektórych oddziałach artylerii. Przed wojną dywizyjne i korpuśne pułki artylerii przechodziły z trakcji konnej na mechaniczną (traktorową). W pełni zmechanizowane (*„ani jednego konia, tylko silniki"* — jak pisze w swych wspomnieniach Moskalenko) miały być także wszystkie brygady artylerii przeciwpancernej. Wydawałoby się — ogromna przewaga nad Wehrmachtem, który przystąpił do marszu na Wschód i z wielkim tabunem 750 tysięcy koni.
Lecz gdy rozpoczęła się wojna, niemieckie konie były naprawdę, a z przypisanymi Armii Czerwonej ciągnikami i samochodami zaczęło się dziać coś, co się w głowie nie mieści.Z jednej strony, było ich bardzo dużo. W monografii**„1941 rok— lekcje i wnioski"** przytacza się następujące dane:
„Do 1 lipca określone potrzeby mobilizacyjne zostały w większości zaspokojone (...) *pozyskano z gospodarki narodowej 243 t y s i ą c e s a m o c h o d ó w i ponad 3 1 , 5 t y s i ą c a c i ą g n i k ó w* (...)*w trakcie mobilizacji pozyskano i przekazano na wyposażenie wojsk* (...) *8 2 % s a m o c h o d ó w c i ę ż a r o w y c h i s p e c j a l n y c h i 80% c i ą g n i k ó w g ą s i e n i c o w y c h z zapotrzebowania określonego w planie mobilizacyjnym"*.
A teraz przełóżmy te procenty z *„planu mobilizacyjnego"* na bardziej zrozumiałe liczby.
Zgodnie z etatem do pełnego wyposażenia korpusu zmechanizowanego potrzebne były 352 ciągniki. Oznacza to, że do skompletowania wszystkich dwudziestu korpusów zmechanizowanych rozwiniętych w okręgach zachodnich trzeba było przekazać w sumie 7000 ciągników. Przy czym liczba ta jest świadomie zawyżona: nie uwzględniamy faktu, że sporo ciągników już znajdowało się w tych związkach, i mówimy tu jedynie o dokompletowaniu. Przy tym korpusy, które dopiero zaczęły formowanie (17. i 20. na Froncie Zachodnim, 9. i 24. na Froncie Południowo–Zachodnim) po prostu nie potrzebowały aż trzech setek ciągników; było ich tam dość.
Kolejnymi jednostkami wyposażanymi w środki ciągu mechanicznego w pierwszej kolejności były brygady artylerii przeciwpancernej (BAPpanc.) Odwodu Naczelnego Dowództwa. W całej Armii Czerwonej było ich dziesięć. Każda z nich etatowo powinna otrzymać 120 armat przeciwpancernych różnego kalibru. W sumie — 1200 ciągników do pełnego zabezpieczenia środkami ciągu mechanicznego wszystkich BAPpanc. Dane te są również mocno zawyżone: wiele brygad dopiero rozpoczęło formowanie i dlatego w czerwcu 1941 roku nie posiadały jeszcze wszystkich określonych w etacie dział.
W końcu główna siła robocza wojny — piechota. W każdej ze 155

dywizji strzeleckich, rozwiniętych w europejskiej części ZSRR (wliczając dywizje znajdujące się na głębokich tyłach, za Wołgą, czy też w Archangielskim Okręgu Wojskowym), znajdował się pułk artylerii haubic, który zgodnie z etatem powinien mieć 36 haubic kaliber 122 i 152 mm oraz 72 ciągniki do ich transportu. To dodatkowe 11 160 ciągników.
Razem: 7000 + 1200 + 11 160 = 19 360
Wywód jest prosty i oczywisty: ciągników mobilizowanych w pierwszym tygodniu wojny było o p ó ł t o r a r a z a w i ę c e j, niż było to potrzebne do wyposażenia armii czynnej. A przy tym według bardzo *„rozpasanych"* norm i bez wliczania tych traktorów (ciągników), które już w wojskach się znajdowały.
W różowym świetle przedstawiało się również zaopatrzenie armii w samochody. W całej Armii Czerwonej na początku wojny było ponad trzysta dywizji (ustalenie dokładnej liczby jest niemożliwe, ponieważ liczebność armii rosła gwałtownie niczym bambus). Według stanu na 22 czerwca 1941 roku w armii już znajdowało się 273 tysiące samochodów wszystkich typów [3, s. 363]. Do 1 lipca z gospodarki narodowej do armii trafiło jeszcze 234 tysiące.
W sumie: 1 7 0 0 s a m o c h o d ó w n a j e d n ą d y w i z j ę!
Odnotować należy też, że *„w pełni zmechanizowany"* — według twierdzeń radzieckich propagandzistów — Wehrmacht miał tyle samo pojazdów kołowych (500 tys.), przy czym do końca 1941 roku jazda po naszych drogach doprowadziła do kompletnego zużycia 106 tysięcy samochodów [11].
I tutaj należałoby się cieszyć z ogromnych osiągnięć stalinowskiej industrializacji, ale tak naprawdę nie ma z czego. Otwieramy meldunki dowódców radzieckich korpusów i dywizji i praktycznie w każdym czytamy: *„Sprzęt, przewidziany w planie mobilizacyjnym, po ogłoszeniu mobilizacji nie został dostarczony"*. Jakże to? Gdzież więc podziało się *„234 tysiące samochodów i ponad 31,5 tysiąca ciągników"* ?
Rokossowski (wówczas dowódca 9. KZmech.) pisze, że skład osobowy pułków zmotoryzowanych oraz dywizji tego korpusu, który po wybuchu wojny pozostał bez koni i maszyn, musiał — dosłownie — na własnych plecach nieść moździerze, ręczne i ciężkie karabiny maszynowe oraz amunicję, tak że *„w końcu opadał z sił i tracił wszelką zdolność bojową"*. Jak to się stało, że dywizje korpusu zmechanizowanego nie otrzymały ani 1700, ani nawet 170 samochodów?
A oto meldunek dowódcy 10. DPanc. (15. KZmech.):
„Samochody z gospodarki narodowej zgodnie z planem mobilizacyjnym mieliśmy otrzymać pod koniec M–2 (tj. w drugim dniu mobilizacji — M.S.)*: «GAZ–AA» — 188 i «ZIS–5» — 194. Ani jednej maszyny — ani w dniu M–2, ani żadnego kolejnego dnia dywizja nie otrzymała"*.

„Od dowódcy 2. BAPpanc. pułkownika M. I. Niedielina nadeszła informacja, że nie otrzymał on jeszcze ciągników z gospodarki narodowej i nad granicę może skierować tylko jeden dywizjon" — to z kolei fragment wspomnień Bagramiana [110].
„Nieprzypadkowo Niedielin został później dowódcą Strategicznych Wojsk Rakietowych ZSRR: zdołał, w sytuacji ogólnego chaosu, skierować nad granicę cały dywizjon artylerii (12 armat przeciwpancernych). *A 5. BAPpanc., jak pisze Władimirski, jeszcze nawet 29 czerwca*(w siódmym dniu wojny!) *z powodu braku środków ciągu mechanicznego pozostawała w Nowogrodzie Wołyńskim"* (250 kilometrów na wschód od granicy — M.S.).
Taka sama sytuacja wytworzyła się w pozostałych BAPpanc. na wszystkich frontach. Ani jedna brygada, oprócz 1. BAPpanc. Moskalenki, nie wypełniła swych zadań w walce z niemieckimi czołgami. Wszyscy radzieccy historycy jednym głosem we wszystkich książkach mówią o jednej przyczynie — braku środków ciągu. Jakże to? Gdzież więc podział się cały sprzęt — i ten, który jeszcze przed 22 czerwca znajdował się w oddziałach, jak i ten, który mobilizowano w tych dniach?
Wszystko to, powie czytelnik, oddzielne, poszczególne przypadki. Oto więc uogólniony obraz sytuacji:
„Skrajnie źle wyglądało przekazywanie w ramach mobilizacji środków transportu mechanicznego (...)
W punktach przekazywania zgromadzono tysiące samochodów i ciągników wymagających remontu. Były wypadki, kiedy samochody przybywały do punktów przekazywania komend wojskowych bez paliwa lub z powodu jego braku w gospodarstwach nie przybywały w ogóle (...)*Tak więc z MOW*(tj. centralnego, stołecznego okręgu — M.S.)*do Zach. SOW nie udało się skierować samochodów własnym transportem; w trzeciej dobie mobilizacji odprawiono jedynie czwartą część samochodów* (...) *często z powodu ogromnego pośpiechu środki transportu samochodowego ładowano na transporty kolejowe i odprawiano na front bez kierowców i paliwa* (...) *1320 transportów (50 347 wagonów) z samochodami stało na liniach kolejowych"* [3].
Pośpiech był zaiste ogromny. 6 lipca 1941 roku towarzysz < Tutuszkin, zastępca szefa Zarządu 3. (kontrwywiadu) Ludowego Komisariatu Obrony, meldował towarzyszowi Stalinowi:
„W Zarządzie Komunikacji Wojskowych do 1 lipca nie prowadzono zestawień liczby przewozów wojsk (...) *nie ma danych o miejscu położenia dziesiątków transportów* (...)
Transport ze sztabem 19. Armii i dowództwem 25. Korpusu Strzeleckiego zamiast na stacji Rudnia (między Witebskiem a Smoleńskiem — M.S.) *skierowany został na st. Homel. Winni tego pozostali bezkarni* (...)
Od 26 czerwca dwa transporty czołgów z Zakładów Kirowskich

(najnowsze ciężkie KW — M.S.)*przez kilka dni przeganiano w trójkącie Witebsk, Orsza, Smoleńsk* (...)*Zarząd nie posiada informacji, gdzie się teraz znajdują* (...)*27 czerwca 47 transportów kolejowych przeznaczonych dla Frontu Południowo–Zachodniego ze środkami transportu, których usilnie potrzebuje front, wyładowano na st. Połtawa, Charków* (tj. setki kilometrów od miejsca przeznaczenia — M.S.) (...) *Skierowane na Front Południowo–Zachodni 100 tysięcy min nie dotarło do miejsca przeznaczenia, a gdzie się znajdują te transporty, Zarząd nie wie"* [112, s. 199].

Towarzysz Tutuszkin nie wspomina o przyczynach takiego stanu rzeczy. Generał Władimirski wskazuje niektóre z nich:

„Wieczorem 26 czerwcaRada Wojenna 5. Armii wysłuchała meldunku szefa Oddziału Organizacyjno–Mobilizacyjnego pułkownika Szczerbakowa i zastępcy szefa sztabu armii do spraw tyłów pułkownika Fiedorienki o przebiegu mobilizacji wojsk i organów tyłowych armii. Ustalono, że mobilizacja wojsk i tyłów armii, która zgodnie z planem mobilizacyjnym powinna zostać zakończona o 24.00 25 czerwca, to jest w trzecim dniu mobilizacji (licząc od godziny 00.00 23 czerwca), *faktycznie została przedwcześnie zakończona.*

Główna masa szeregowych rezerwy — urodzonych w zachodnich obwodach Ukrainy — albo nie zdążyła się zjawić w oddziałach, albo uchyliła się od stawiennictwa w czasie mobilizacji. Tylko związki 15. Korpusu Strzeleckiego, przed którym natarcie przeciwnika zostało powstrzymane, udało się częściowo uzupełnić szeregowymi rezerwy i końmi z najbliższych im rejonów".

Ten całkowicie nieoczekiwany i żenujący rezultat Władijairski wyjaśnia *„psychologicznym oddziaływaniem nagłej napaści przeciwnika na nastroje miejscowej ludności, szybkim przekroczeniem linii frontu na wschód i wywrotową działalnością wrogiej agentury* (tj. banderowców — M.S.) *na naszym terytorium"*.

Ale i to jeszcze nie wszystko:

„Dowódcy i technicy z rezerwy, środki transportu i kierowcy przypisani ze w s c h o d n i c h (!!! — M.S.)*obwodów także nie przybyli do armii"*. Lecz tej informacji Władimirski już w ogóle nie komentuje...

Jeszcze raz podkreślmy rzecz najważniejszą. A r m i a C z e r w o n a n i g d y n i e b y ł a p o z b a w i o n a u z b r o j e n i a. W toku tajnej przedwojennej mobilizacji otrzymała ona ogromne, znacznie większe niż przeciwnik zasoby ludzi, dział, czołgów i ciągników. Przerwanie planowego uzupełnienia osłabiło jej możliwości bojowe, ale nie sprowadziło ich do zera.

Niemniej pierwsze uderzenie pogrzebowego dzwonu przebrzmiało. Słynny stalinowski *„porządek"* już przy pierwszym spotkaniu z prawdziwym, uzbrojonym przeciwnikiem zmienił się w bezprzykładny chaos i anarchię. Jednolity w teorii mechanizm armijny zaczął się

rozsypywać na poszczególne trybiki, zanim oddane zostały pierwsze strzały.

41 — 9. KZmech. utworzono jeszcze w listopadzie 1940 r. w składzie formowanych od podstaw 19. i 20. DPanc, oraz 131. DZmech. — sformowanej na bazie 131. DS. W marcu 1941 r. 19. DPanc,

przekazano do 22. KZmech., a zamiast niej przystąpiono do tworzenia 35. DPanc. 19. KZmech. rozpoczął formowanie w marcu 1941 r.: 40. DPanc. na bazie 39., a 43. DPanc, na bazie 35. BPanc.; 213. DZmech. sformowano na bazie 22. BZmot. 22. KZmech. sformowano na bazie 15. BZmot. (por. Internet — strona„*Miechanizirowannyje korpusa RKKA*", http://mechkorps.pka.ru.).

42 — Wysoką gotowość bojową 15 KZmech., który rozpoczął formowanie dopiero w marcu 1941 r., osiągnięto (podobnie jak uczyniono to z 22. KZmech.) poprzez zabranie z 4. KZmech. dobrze wyszkolonej DPanc, (w zamian za 32. DPanc.), a 37. DPanc, sformowano nabazie ściągniętej z krajów nadbałtyckich 18. BPanc.

RADA WOJENNA

Teraz, gdy skończyliśmy już ze wszystkimi niezbędnymi wyjaśnieniami, odstępstwami, informacjami, przejdziemy do rzeczy najprostszej — czyli opisu działań bojowych.

Jak już stwierdzono, Dyrektywa nr 3 różniła się znacznie od przedwojennych planów Frontu Południowo–Zachodniego. Z jednej strony, zakres postawionych zadań się zmniejszył: z dwóch kierunków operacyjnych (na Lublin i Kraków) pozostał tylko jeden. Z drugiej strony, na współdziałanie z lewym skrzydłem Frontu Zachodniego nie można było liczyć (a właśnie ta koncepcja dwustronnego oskrzydlenia lubelskiego zgrupowania Niemców zbieżnymi skrzydłami frontów Południowo–Zachodniego i Zachodniego była niezmiennie obecna we wszystkich przedwojennych planach). Dyrektywa nr 3 stawiała przed wojskami lewego skrzydła Frontu Zachodniego zadanie typowo obronne — *„powstrzymywać przeciwnika na kierunku warszawskim"*.

W rzeczywistości 4. Armia Frontu Zachodniego w rejonie Brześć–Kobryń została dosłownie zmieciona uderzeniem najsilniejszej niemieckiej 2. Grupy Pancernej, rozpoczęła bezładny odwrót i o jej udziale w jakiejkolwiek operacji zaczepnej wraz z 5. Armią Frontu Południowo–Zachodniego nie mogło nawet być mowy. Tak więc drugie, północne ramię *„pancernych kleszczy"*, które miały się połączyć w rejonie Lublina za plecami nacierającego na Łuck–Brody zgrupowania przeciwnika, trzeba było utworzyć z marszu, z tych całkiem ograniczonych sił, jakimi dysponowała 5. Armia.

Ale przed nocą z 22 na 23 czerwca (kiedy, jak wynika ze wspomnień marszałka Bagramiana, otrzymano Dyrektywę nr 3) sytuacja na froncie

5. Armii znacznie się zaostrzyła.

Dowództwo niemieckie rzeczywiście zmasowało siły na kierunku głównego uderzenia, ześrodkowując na 70–kilometrowym odcinku granicy od Uściługa do Krystynopola (dziś Czerwonograd) siedem dywizji piechoty. Wszystkie mosty przez nadgraniczny Bug, ochraniane przez wojska NKWD, zostały opanowane przez Niemców w stanie nienaruszonym. W meldunku sztabu 1. GPanc. odnotowano: *„Najważniejszy most pod Soka lem opanowano nieuszkodzony. Przeprawa przez Bug przebiegała spokojnie. Piechota zdobyła wzgórza po wschodniej stronie Bugu, nie napotykając przy tym żadnego oporu"* [40, s. 227].

Do wieczora 22 czerwca piechota niemiecka sforsowała Bug, odrzuciła od granicy i częściowo okrążyła dwie dywizje strzeleckie 5. Armii. Na opanowane przyczółki przeprawiły się dwie dywizje pancerne, które przeszły do natarcia: 14. Dywizja Pancerna na Łuck, 11. Dywizja Pancerna na Radziechów.

Bohaterska walka nielicznych garnizonów rejonów umocnionych Włodzimiersko–Wołyńskiego i Strumiłowskiego (według opowiadań ludności miejscowej, niektóre schrony prowadziły ogień prawie do końca czerwca!) nie mogła, niestety, zmienić ogólnej sytuacji operacyjnej.

Jedynym związkiem uderzeniowym, którym dysponowało tym rejonie dowództwo 5. Armii, była 41. Dywizja Pancerna ze składu 22. KZmech. Pod względem liczby czołgów (425sztuk, według danych Władimirskiego) 41. DPanc, przewyższała obie niemieckie dywizje pancerne razem wzięte. Co prawda, z wyjątkiem 31 superciężkich czołgów KW–2, były to przestarzałe T–26, niewątpliwie ustępujące niemieckim Pz. HI/L50, których po pół setki przypadało na każdą dywizję grupy Kleista.

Wszystkie te porównania pozostały jednak czystą teorią. Dowódca 41. DPanc., otwierając rankiem 22 czerwca 1941 roku*„czerwony pakiet"*, znalazł tam rozkaz dotyczący przemieszczenia się z Włodzimierza Wołyńskiego na północ, w rejon Luboml–Kowel. Rozkaz został wykonany, wskutek czego 41. DPanc, dosłownie otworzyła drzwi nacierającej na Włodzimierz Wołyński 14. Dywizji Pancernej Wehrmachtu. Odnotujmy przy okazji, że *„czerwony pakiet"* dostatecznie wyraźnie wprowadzał 41. DPanc, do rejonu wyjściowego do natarcia na Lublin, co może służyć za jeszcze jedno potwierdzenie tego, że takie natarcie planowano na długo przed wybuchem wojny.

Wydawałoby się, że w takiej sytuacji dowództwo 5. Armii ma dwa warianty wykorzystania 41. DPanc.: do natarcia na Lublin (zgodnie z postanowieniami Dyrektywy nr 3) lub do przeciwuderzenia na skrzydło

nacierającego wzdłuż szosy Uściług–Łuck głównego zgrupowania przeciwnika. Ale nie zrealizowano ani jednego, ani drugiego. Przeszkodziło, w czym nie ma nic dziwnego, nasze lotnictwo rozpoznawcze, nad którego

„zniszczeniem" już w pierwszych godzinach wojny tak bardzo ubolewał W. Suworow.

Tymczasem ono latało, rozpoznawało, było go dużo (315. 1316. Pułk Lotnictwa Rozpoznawczego, 62 sprawne samoloty, w tym 38 najnowszych szybkich samolotów rozpoznawczych Jak–4) i zameldowało sztabowi 5. Armii i Frontu, że z Brześcia na Kowel, przez lasy i błota Polesia, przemieszczają się niezliczone hufce wroga. Jak pisze Bagramian [110], skład tego nieistniejącego w rzeczywistości zgrupowania oceniono na dwa tysiące czołgów (i to wtedy, gdy faktycznie w żadnej grupie pancernej Wehrmachtu nie było nawet tysiąca czołgów).

Niestety, rozpoznanie 5. Armii w ciągu prawie trzech dni nie zdołało wyjaśnić sytuacji, czyli wsiąść na motocykl i w ciągu dwóch godzin przejechać 130 kilometrów szosą z Kowla do przedmieść Brześcia (do samego Brześcia, opanowanego przez Niemców już pierwszego dnia wojny, nie można by wjechać). Skończyło się na tym, że nie tylko 41. DPanc., ale też 215. D.Zmech. poszła drogą Równe–Łuck–Kowel w poleskie błota, na spotkanie z mitycznymi czołgami przeciwnika.

Tak się złożyło, że na drodze nacierającej wzdłuż szosy na Łuck 14. DPanc. Wehrmachtu znalazła się tylko Brygada Artylerii Przeciwpancernej pod dowództwem K. S. Moskalenki. I to ona uratowała sytuację. Mimo że 1. BAPpanc. weszła do walki w bardzo niedogodnym ugrupowaniu — z marszu wprost do działań, nie maskując dział, na nieprzygotowanych stanowiskach ogniowych — męstwo żołnierzy i dowódców, doskonałe wyszkolenie i przygotowanie obsługi dział oraz talent wojskowy dowódcy brygady okazały się silniejsze od czołgów wroga. Wyszedł także na jaw brak doświadczenia w prowadzeniu walk pancernych u dowódców niemieckich: 14. DPanc, sformowana została w październiku 1940 roku na bazie 4. Dywizji Piechoty i w jej *„wykazie z przebiegu służby"* mieściła się tylko niesławna napaść na Jugosławię w kwietniu 1941 roku.

Oddając cześć bohaterstwu żołnierzy, nie zapominajmy jednak o jakości radzieckiego uzbrojenia. Najsilniejsze działa (76–mm przeciwpancerne i 85– mm przeciwlotnicze), w które brygada była wyposażona, przebijały niemieckie czołgi na wylot, a z lekkich Pz. II zrywały wieże ze strzępami ciał załogi.

W sprawozdaniu operacyjnym 5. Armii nr 9 zamieszczono informację o tym, że *„w okresie od 23 do 27 czerwca 1. BAPpanc. zniszczyła i uszkodziła około 150 czołgów przeciwnika”* [75, s. 40]. Liczba ta, rozumie się, jest przesadzona. W 14. DPanc. Wehrmachtu znajdowało się w sumie 147 czołgów i czekał ją jeszcze marsz do Stalingradu, gdzie została zniszczona. Ale to, że zamiast zwycięskiego marszu szosą na Łuck czołgom niemieckim przyszło przez trzy dni przedzierać się, z dużymi stratami, przez stanowiska ogniowe 1. BAPpanc., nie wywołuje żadnych wątpliwości.

Niestety, na kierunku radziechowskim nie było drugiej takiej brygady (chociaż w składzie Frontu Południowo–Zachodniego znajdowały się cztery BAPpanc.), a przede wszystkim— nie było drugiego takiego Moskalenki. Pod koniec dnia 22 czerwca oddziały czołowe niemieckiej 11. Dywizji Pancernej wyszły w rejon Radziechowa (35 kilometrów od granicy).

Bardziej na południe, w pasie obrony od Rawy Ruskiej do Przemyśla piechota niemiecka ze zmiennym szczęściem próbowała odrzucić od granicy 6. i 26. Armię. *„Na pozostałych kierunkach położenie nie wzbudzało niepokoju*— pisze we wspomnieniach Bagramian— *a całkiem spokojnie było w pasie 12. Armii, zajmującej obronę w Karpatach i Bukowinie”*.

Taka była ogólna sytuacja Frontu Południowo– Zachodniego w czasie, gdy w nocy z 22 na 23 czerwca na stanowisku dowodzenia w Tarnopolu zebrali się na naradę generał pułkownik Michaił Pietrowicz Kirponos (dowódca frontu), generał lejtnant Maksim Aleksiejewicz Purkajew (szef sztabu frontu), komisarz korpuśny Nikołaj Nikołajewicz Waszugin (był *„członkiem Rady Wojennej Frontu”*, ale dalej nazywać go będziemy po prostu komisarzem), a także przybyli w charakterze pełnomocnych przedstawicieli Kwatery Głównej generał armii, szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej Gieorgij Konstantinowicz Żukow i pierwszy sekretarz KC KP(b) Ukrainy, przyszła głowa jądrowego mocarstwa Nikita Siergiejewicz Chruszczow[43].

Grupa ta miała podjąć historyczną decyzję. Ogromne siły, zebrane we Front Południowo–Zachodni, wyjątkowo dogodne granice (przy których lwowskie zgrupowanie wojsk radzieckich nawisało nad głębokimi tyłami przeciwnika), należyta osłona obydwu skrzydeł frontu od strony bagien Polesia i Karpat — wszystkoto pozwalało postawić zadanie okrążenia i pełnego rozbicia Grupy Armii *„Południe”*. A taki rozwój sytuacji zawaliłby Niemcom cały plan Blitzkriegu, nieuchronnie zmusiłby ich do ściągnięcia wojsk z głównego kierunku operacyjnego Mińsk–Smoleńsk–Moskwa. Jednym słowem, historia zmieniłaby bieg…

43 — Co do udziału w Radzie Wojennej Żukowa i Chruszczowa — możemy mieć wątpliwości. Szczegółowo zagadnienie *„podróży"* Żukowa do Tarnopola rozpatruje W. Suworow w książce **Cofam wypowiedziane słowa**, REBIS, Poznań 2006. Jeśli już tam (do Tarnopola) dotarł, to najprawdopodobniej w nocy lub rano 23 czerwca, a więc już po naradzie Rady Wojennej. Nie zmienia to jednak faktu, że jako przełożony miał on wpływ na podjęte przez Radę decyzje i sądząc z dalszego przebiegu zdarzeń, raczej zaaprobował je, niż zmienił.

Ze wspomnień uczestniczącego w tym zebraniu Bagramiana (wówczas — szefa oddziału operacyjnego frontu) wiadomo, że Purkajew i Waszugin mieli całkowicie odmienne opinie.

Szef sztabu uważał, że należy wycofać wszystkie wojska na wschód, na linię rejonów umocnionych za starą polsko–radziecką granicą państwową, i dopiero potem, po ustabilizowaniu frontu obrony, przejść do natarcia.

Komisarz frontu żądał natychmiastowego przystąpienia do wykonania Dyrektywy Kwatery Głównej o przejściu do przeciwuderzenia.
Autor, siedząc w miękkim krześle przed komputerem, nie uważa, że ma prawo do rozważania, kto z nich miał rację. Tym bardziej że obaj mieli rację, przy czym każdy swoją.
Szef sztabu jak nikt inny rozumiał, że dla pełnej mobilizacji wojsk frontu (tj. powołania rezerwistów, mobilizacji środków transportu z gospodarki narodowej, rozwinięcia tyłów) zgodnie z przedwojennym planem potrzeba trzech–czterech dni. Przeciwnik nie będzie czekać i jego natarcie może zerwać zorganizowaną mobilizację — oto dlaczego lepiej się wycofać na zawczasu przygotowaną potężną rubież obronną i już za nią przygotować się do wykonania przeciwuderzenia.
Komisarz lepiej od innych wiedział, ile tysięcy razy czerwonoarmistom wpajano, że Armia Czerwona będzie *„najbardziej ofensywną ze wszystkich armii"*, że wroga będą gromie *„na cudzej ziemi"* itd. Wycofanie się w pierwszych dniachwojny, i to na odległość 200–250 kilometrów — mogło osłabić morale wojsk, a to nie mniejsze zagrożenie niż brak ciągników i samochodów. Do tego propozycja Purkajewa zawierała jeszcze inny, polityczny podtekst: pospieszne wycofanie z *„wyzwolonego"* we wrześniu 1939 roku terytorium byłoby pośrednim przyznaniem się do nieuzasadnionego ich zdobycia. Komisarz nie mógł dopuścić do tego. I — w swoim mniemaniu — miał rację.

Armia opiera się na jednoosobowym dowodzeniu. Po to na froncie jest dowódca, aby zebrawszy całą mądrość swoich podwładnych, podjąć jedną, obowiązującą wszystkich decyzję. A w sytuacji, jaka się wytworzyła na Froncie Południowo–Zachodnim, nie było aż tak trudno połączyć przeciwstawnych propozycji.

„Szczęście jest po stronie większych batalionów" — mawiał Napoleon. *„Bóg wojny nie lubi utalentowanych awanturników, on lubi wielkie armie"* — pisał sto pięćdziesiąt lat temu amerykański historyk Taylor. I w tym sensie Żukowowi i Kirponosowi poszczęściło się niesłychanie. Do dyspozycji dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego było dostatecznie dużo sił, aby przejść do twardej obrony w pasie 5. Armii, i do wykonania miażdżącego uderzenia siłami *„trzech herosów"* (15., 4. i 8. KZmech.) w kierunku Lwów–Lublin, na skrzydło i tyły całego, nacierającego na froncie Łuck–Radziechów, zgrupowania przeciwnika. Na stole przed generałami leżała mapa. Z tym samym zarysem *„granicy obustronnych interesów państwowych na terytorium byłego państwa polskiego"*, który 28 września 1939 roku, przy sygnowaniu Układu o przyjaźni i granicy z nazistowskimi Niemcami, Stalin podpisał aż w dwóch miejscach.
I teraz, w nocy z 22 na 23 czerwca 1941 roku, Żukow miał wszelkie podstawy, by wznieść toast kryształową szklanką za mądrość i genialną przenikliwość towarzysza Stalina.
Nie oddając nawet jednego strzału, korpusy zmechanizowane Frontu Południowo–Zachodniego już rozwijały się na tyłach wojsk niemieckich, a ich oddziały czołowe stały 50–80 km na zachód od Zamościa, w którym mieścił się sztab niemieckiej Grupy Armii *„Południe"*. Zgrupowanie uderzeniowe złożone z trzech korpusów (15., 4. i 8. KZmech.) miało w swym składzie ponad dwa i pół tysiąca czołgów, w tej liczbie 720 czołgów T–34 i KW, odpornych na oddziaływanie 37–mm armat przeciwpancernych, jakie 1 znajdowały się w wyposażeniu niemieckich dywizji piechoty. Uderzeniem na skrzydło i tyły głównych sił Grupy Armii *„Południe"*, rozwiniętych przed wojną w rejonie Zamość–Lublin, dowództwo radzieckie od pierwszych dni wojny mogło narzucić przeciwnikowi swoją wolę, zmuszając go do pospiesznej zmiany planów, przegrupowania wojsk, co wiązało się ze stratą czasu i inicjatywy. To tylko minimum.

Maksymalnie wykorzystując układ sił, można było okrążyć i zniszczyć 6. Armię niemiecką — nie czekając, aż dojdzie ona do Stalingradu. Do natarcia na Lublin wojska Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego przygotowywały się co najmniej pół roku. Marszruty, rubieże, możliwe środki zaradcze przeciwnika — wszystko to zostało przez dowódców przyswojone i rozpracowane. W końcu takie natarcie uczyniłoby absolutnie bezcelowym także przełamanie niemieckich dywizji pancernych, które docierając pod Dubno–Równe, same w ten sposób zapędziły się w głębokie sidła bez wyjścia.
Z drugiej strony, niezależnie od sukcesu (lub porażki) uderzenia pancernego na Lublin, dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego miało wszelkie możliwości zatrzymania natarcia Niemców na Łuck i

Równe. W ciągu kilku dni głębokość obrony 5. Armii mogła zostać wielokrotnie zwiększona. Dwa korpusy strzeleckie (31. i 36.) jeszcze 18 czerwca 1941 roku, według zatwierdzonego przez samego Żukowa rozkazu, rozpoczęły wymarsz na zachód. Do końca dnia 23 czerwca korpusy te (sześć dywizji strzeleckich) znajdowały się w odległości 90–100 km, to jest czterech marszów dobowych, od linii Kowel–Łuck–Dubno [92].
Jeszcze wcześniej (do rana 23 czerwca) dwie dywizje — 135. Dywizja Strzelecka oraz 19. Dywizja Pancerna ze składu 22. KZmech. — powinny były wejść w lasy na zachód od Łucka.
Do 24 czerwca na rubież rzeki Styr podchodziły dwa korpusy zmechanizowane z odwodu frontu: 9. i 19. KZmech. (roM poczęły one marsz rankiem 22 czerwca).
Wreszcie gdyby się zorientowano, że nie ma żadnego zgrupowania przeciwnika nacierającego z Brześcia na Kow,można było także skierować do aktywnych działań kryjąc się w kowelskich lasach dywizje 22. KZmech.: 41. Dywizję Pancerną i 215. Dywizję Zmechanizowaną.
Tak więc sześciu dywizjom piechoty (298., 44., 168., 299., 111., 75., 57.), dwóm zmotoryzowanym (25. i 16.) i czterem pancernym (14., 13., 11. i 16.) dywizjom Wehrmachtu, nacierającym w pasie Łuck–Radziechów, Front Południowo–Zachodni mógł przeciwstawić siedem strzeleckich, trzy zmotoryzowane i sześć dywizji pancernych — a i to nie licząc tych dwóch dywizji strzeleckich (87. i 124.), które jeszcze przed wybuchem wojny zajmowały pas obrony od Uściługa do Sokala. Łącznie zgrupowanie wojsk radzieckich na kierunku radziechowskim o 2,5 raza przewyższało przeciwnika

liczbą czołgów. Nawet biorąc pod uwagę, że trzy czwarte tych maszyn stanowiły przestarzałe T–26 oraz tankietki T–38, a 9. i 19. KZmech. nie zostały zmobilizowane i wyposażone w etatowe środki transportu, stosunek sił obu stron według wszelkich kanonów nauki wojennej pozwalał na powstrzymanie panicznej ucieczki i rozpoczęcie planowego odwrotu na wschód wojsk 5. Armii od jednej rubieży do drugiej.
O utworzenie takich rubieży obronnych zadbała sama przyroda. Z południa na północ, praktycznie w równych odległościach co 50–70 km, pas przypuszczalnego natarcia przeciwnika przecinają dopływy Prypeci: Turia, Stochod, Styr, Horyn, Słucz... Władimirski w swej monografii określa te rzeki jako*„wodne przeszkody o znaczeniu operacyjno–taktycznym”*. Miały one szerokość koryta — od 15 do 70 m, doliny— od 0,5 do 2 km, brzegi rzek miejscami były błotniste, dno muliste . Krótko mówiąc, teren dostatecznie przeciwpancerny. Zwłaszcza jeśli przerzucić ku mostom i przeprawom cztery brygady artylerii przeciwpancernej, którymi Front Południowo–Zachodni

dysponował.
Jeszcze raz podkreślmy, że w wytworzonej sytuacji od wojsk 5. Armii nie wymagano, aby*„trwały do ostatniej kropli krwi"* . Konieczne i wystarczające było powstrzymanie natarta Niemców, związanie walką ich dywizji pancernych, niedopuszczenie do ich wycofania się w kierunku Lublina. Zorganizowany i planowy odwrót wojsk radzieckich na 200–250 onietrów od granicy do rubieży rzek Horyń lub Słucz nie krył niczego strasznego. Dla Francji wycofanie na 200 kilometrów oznaczało upadek Paryża, dla Niemiec wycofanie na 150 kilometrów od granicy francuskiej oznaczało utratę całego przemysłowego Zagłębia Ruhry. Ale w Związku Radzieckim geografia była zupełnie inna. Ani w ekonomicznym, ani operacyjnym wymiarze utrata rejonów Wołyńskiego i Równieńskiego zachodniej Ukrainy nie mogła mieć groźnego wpływu na przebieg wojny.
Niestety, na radzie wojennej w Tarnopolu Żukow i Kirponos nie zdecydowali się ani na zorganizowany odwrót w pasie 5. Armii, ani na szeroko zakrojone natarcie siłami trzech korpusów zmechanizowanych na kierunku lubelskim.
Dowódcy 5. Armii generałowi majorowi M. I. Potapowowi rozkazano nacierać z zadaniem *„rozbicia włodzimiersko–wołyńskiego zgrupowania przeciwnika i odtworzenia położenia na granicy"*. Nacierać natychmiast, nie czekając na podejście odwodów frontu (dwóch korpusów strzeleckich i dwóch zmechanizowanych). A ponieważ jeszcze 24 czerwca Żukow wierzył w istnienie potężnych zmechanizowanych sił przeciwnika na kierunku kowelskim, to*„twardym i stanowczym tonem"* (tak pisze w swej książce Władimirski) nakazał on Potapowowi zagiąć prawe skrzydło armii i *„trwale osłonić Kowel przed uderzeniem przeciwnika z kierunku brzeskiego"*. Zauważmy, że grupa pancerna Guderiana przedarła się już spod Brześcia do Słonima, a kierunek jej przemieszczania (na Mińsk–Bobrujsk) nie budził żadnych wątpliwości. W rezultacie w celu wykonania natarcia na Włodzimierz Wołyński Potapow zdołał wydzielić tylko te dwie dywizje, które podchodziły do Łucka — 135. Dywizję Strzelecką oraz 19. Dywizję Pancerną.
Dowódcy 6. Armii generałowi lejtnantowi I. N. Muzyczence rozkazano, by natychmiast zaatakował nacierające na Radziechów–Beresteczko zgrupowanie pancerne przeciwnika siłami jednego tylko 15. KZmech., nie czekając na Ześrodkowanie w rejonie miasta Brody dwóch pozostałych korpusów zmechanizowanych (8. i 4.). Decyzja o przemieszczeniu 4. i 8. KZmech. na wschód od granicy, w rejon miasta Brody (100–150 km), wyraźnie świadczyła o tym, że na planie natarcia z występu lwowskiego w kierunku Lublina postawiono już krzyżyk. Z głębokiej operacji zaczepnej (której teoretyczne opracowanie niezmiennie przytacza się jako przykład wysokiego poziomu radzieckiej nauki wojennej) zdecydowano się zrezygnować w imię pochopnego

„łatania dziur" pospiesznie organizowanymi czołowymi atakami pancernymi.
Bez wątpienia najdelikatniejsze, co można powiedzieć o przyczynach takiej *„sztuki operacyjnej"*, to to, że decyzja nie była najtrafniejsza. *„Wróg, rozpoczynając wojnę zaskakującym uderzeniem, dyktował nam swoją wolę, łamał nasze plany"* [105].
Tak oto, używając zaledwie tuzina słów, N. K. Popiel[44] powiedział praktycznie wszystko: i o planach przedwojennych (w związku z którymi jego korpus w pierwszych godzinach wojny wyruszył ku przeprawom przez rzekę graniczną), i o tym, że niemieckiej napaści w tych planach w żaden sposób nie przewidywano, i o dowództwie frontu, pozwalającym wrogowi od pierwszych dni wojny*„dyktować nam swoją wolę"*.

44 — Komisarz brygadowy N. K. Popiel na początku wojny był zastępcą ds. politycznych dowódcy (komisarzem) 8. KZmech.

„Szczęście jest po stronie większych batalionów..."

Gdyby siły stron na południowym TDW były mniej więcej równe, to podjęta w nocy z 22 na 23 czerwca decyzja o kontratakowaniu przeciwnika rozproszonymi uderzeniami oddzielnych oddziałów i związków doprowadziłaby do natychmiastowej, katastrofalnej klęski Frontu Południowo–Zachodniego. Podobnej do tej, jaka stała się udziałem wojsk Frontu Zachodniego na Białorusi oraz Frontu Północno–Zachodniego na Litwie.

Ale nienadaremnie ogromny, najbogatszy kraj świata przez dwadzieścia lat głodował, gnieździł się w barakach i *„komunałkach"*, nie na próżno w czasie pokoju w kraju robotników i chłopów matkę karmiącą odrywano od dwumiesięcznego maleństwa do warsztatu, nie po to najtęższe głowy wielonarodowego społeczeństwa radzieckiego dzień i noc ślęczały nad rysunkami czołgów i samolotów. Rezultat tego wielkiego wysiłku był *„ważny, grubiański, pamiętliwy"*[45]. Do dyspozycji Żukowa, Kirponosa, Muzyczenki i pozostałych dowódców przekazane zostały tak gigantyczne siły zbrojne, takie ilości najnowszego uzbrojenia, że, wydawałoby się, samą masą mogły skompensować nieudolność kierownictwa.

W rzeczy samej, *„jeden jedyny"* 15. KZmech, któremu nakazano, aby nie czekając na podejście dwóch innych korpusów zmechanizowanych, zaatakował radziechowskie zgrupowanie przeciwnika, miał 749 czołgów — o pięć razy więcej niż walcząca z nim 11. Dywizja Pancerna Wehrmachtu. W dodatku136 maszyn miało takie parametry, o jakich niemieccy czołgiści mogli tylko pomarzyć.

Nawet na kierunku łuckim, gdzie czołowe uderzenie na dość

poturbowaną przez artylerzystów Moskalenki 14. Dywizję Pancerną Wehrmachtu wykonać miały *„tylko”* dwie świeże dywizje radzieckie (19. Pancerna i 135. Strzelecka), stosunek sił, wydawałoby się, także nie wskazywał na zbliżające się nieszczęście. W składzie 19. DPanc, były 163 czołgi lekkie (129 T–26 i 34 BT) [8]. Także w 135. Dywizji Strzeleckiej znajdowały się 54 przeciwpancerne *„czterdziestkipiątki”*.

Wydawałoby się…

45 — Ten cytat, wrzucony tu na zasadzie ironicznej, żartobliwej przenośni, odnosi się do generała G. K. Żukowa — zob. W. Suworow, **Cofam**… *op. cit.*

23 25 CZERWCA 1941 ROKU

Analizę sposobu realizowania decyzji podjętych 23 czerwca 1941 roku przez Radę Wojenną w Tarnopolu zaczniemy od najważniejszego — najsilniejszego w całym Froncie Południowo–Zachodnim 4. Korpusu Zmechanizowanego generała Własowa. Nie zajmie to wiele czasu i papieru: 4. KZmech. nie odegrał prawie żadnej znaczącej roli w zaplanowanym przeciwuderzeniu.

Znajdujące się w dyspozycji autora źródła nie dają żadnego zrozumiałego wyjaśnienia tak nieprawdopodobnego obrotu zdarzeń. Dowództwo Armii Czerwonej wiązało z tym korpusem wielkie nadzieje. Generał armii G. K. Żukow, który po Chałchyn–goł został dowódcą Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego, powierzył formowanie 4. KZmech. staremu towarzyszowi broni, bohaterowi walk nad Chałchyn–goł M. I. Potapowowi. Wtedy, w sierpniu 1939 roku, pułkownik potapow, dowodząc południową grupą pancerną wojsk radzieckich, w błyskotliwy sposób przeprowadził operację okrążenia i rozbicia armii japońskiej.

W nowym miejscu służby Żukow szlifował i Potapowa, i jego korpus. W sierpniu i wrześniu 1940 roku, opierając się na 4. KZmech., przeprowadzono serię wielkich ćwiczeń wojskowych, których tematami były: *„Wprowadzenie korpusu w wyłom"*, *„Działania korpusu zmechanizowanego w głębi operacyjnej obrony przeciwnika"*, *„Marsz i bój spotkaniowy"*. W ćwiczeniu sprawdzającym w dniach 26–28 września osobiście uczestniczył ludowy komisarz obrony Timoszenko i ówczesny szef Sztabu Generalnego Mierieckow. Wypracowane w czasie ćwiczeń wskazówki przekazane zostały w formie pisemnej dowództwom wszystkich korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej [8].

Gdy M. I. Potapow przejął dowództwo nad 5. Armią, na stanowisko dowódcy 4. KZmech. została wyznaczona wschodząca gwiazda generalicji radzieckiej — dowódca 99. Dywizji Strzeleckiej A. A. Własow. Na uzbrojenie 4. KZmech. napłynęło 414 najnowszych czołgów T–34 i KW— akurat tyle, ile znajdowało się we wszystkich pozostałych korpusach zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego razem wziętych.

Już w nocy z 22 na 23 czerwca 1941 roku Żukow, który przybył na stanowisko dowodzenia Frontu Południowo–Zachodniego, żądał od dowódcy 6. Armii Muzyczenki, *„aby jak najszybciej przerzucił 4. KZmech. na prawe skrzydło armii"* [110], czyli w rejon zamierzonego przeciwuderzenia z rejonu Brodów na Radziechów. Generał lejtnant najzwyczajniej w świecie odrzucił jasny rozkaz generała armii,

przedstawiciela Kwatery Głównej i szefa Sztabu Generalnego. Główne siły korpusu Muzyczenko skierował na lewe skrzydło swej armii, w rejon Jaworów–Krakowiec, to jest tam, gdzie niemiecka piechota próbowała przerwać obronę 6. Armii.

Co prawda w literaturze wspomnieniowej napotyka się wzmianki o tym, że dwa bataliony czołgów i batalion strzelców zmotoryzowanych pod dowództwem pułkownika Łysenki wraz z czołowymi oddziałami 15. KZmech. pomiędzy godziną 7.00 a 20.00 23 czerwca 1941 roku prowadziły walki na południowo–wschodnich krańcach Radziechowa. Przytacza się także liczby zniszczonych w tej walceczołgów i dział przeciwnika. Ale pojawia się problem: w meldunku dowódcy 10. Dywizji Pancernej 15. Korpusu Zmechanizowanego o walce pod Radziechowem w dniu 23 czerwca czytamy: *„4. KZmech., z którym dywizja miała współdziałać, nie wyszedł w rejon wyjściowy do ataku"*. Jak to wszystko wytłumaczyć? Marszałek Bagramian — bohater wojny, dowódca wielu frontów, gdy pisał wspomnienia, był honorowym dowódcą wszechzwiązkowej gry pionierskiej *„Cicha błyskawica"*. Być może dlatego niektóre strony jego wspomnień napisane są takim językiem, jakim marszałek rozmawiał z młodymi leninowcami. Oto jak opisuje on reakcję Żukowa na działania Muzyczenki: *„Szef Sztabu Generalnego był posępny. Milcząc, kiwnął tylko w odpowiedzi na moje powitanie (...)Żukow uważał za błąd to, że Kirponos pozwolił dowódcy 6. Armii wyciągnąć 4. KZmech. z prawego skrzydła armii, gdzie wróg wykonywał główne uderzenie, na lewe i wprowadzić go do walki na tym drugorzędnym kierunku"*. W odpowiedzi na jawne niewykonanie rozkazu — sposępniał. I to wszystko? Nie. Następnie rozkaz został powtórzony. *„Generał Kirponos sformułował zadania bojowe wojsk: dowódcy 6. Armii nakazuje się, by twardo utrzymując zajmowany front, natychmiast wyprowadził z walki 4. KZmech. i przerzucił go na Radziechów, do wsparcia 15. KZmech."* [110].

W odpowiedzi na powtórne upomnienie Muzyczenko rozwinął 32. DPanc., która rozpoczęła marsz na Radziechów, o 180 stopni w kierunku przez Lwów na Jaworów, na lewe skrzydło swej armii. W dniu 24 czerwca ogromne, wielokilometrowe kolumny 32. Dywizji Pancernej wpłynęły do Lwowa zewschodu, napotykając na wąskich uliczkach średniowiecznego miasta kolumny 8. KZmech., który wykonując rozkaz dowódcy frontu, zmierzał z zachodu na wschód, przez Lwów w kierunku Brodów. Tylko brak granatników przeciwpancernych (*„pancerfaust"* został opracowany dopiero trzy lata później) u zasiadających na strychach banderowców uratował czołgistów radzieckich od zupełnej klęski. Dopiero rankiem 25 czerwca 32. Dywizja Pancerna*„wyrwała się z ulicznych korków"* i połączyła z siłami głównymi 4. KZmech. w rejonie Jaworów–Niemirów.

Rozpaczliwie namawiając Muzyczenkę, generał pułkownik Kirponos rankiem 24 czerwca przekazał najlepiej przygotowaną 8. Dywizję Pancerną 4. Korpusu Zmechanizowanego pod rozkazy dowódcy 15. KZmech. generała Karpeza (mówiąc wprost — *„jak nie kijem go, to pałą"*). Po upływie dwóch dni, późnym wieczorem 25 czerwca, *„generał Karpezo zwrócił się z prośbą o odłożenie początku natarcia, dopóki nie podejdzie 8. Dywizja Pancerna* (…) *Dowódca korpusu pytał, kiedy 8. Pancerna podejdzie; pokładał w niej wielkie nadzieje. Ale rozczarował się: 8. Dywizja Pancerna, jak przekazał nam generał Muzyczenko, dopiero co wyszła z rejonu na zachód od Lwowa. W najlepszym wypadku mogła ona przybyć po upływie doby"* [110].

Bagramian w ogóle nie komentuje ani tego, że wyjście 8. DPanc, rozpoczęło się z tak ogromnym opóźnieniem, ani tego, że na wykonanie marszu na 110 kilometrów z Żółkwi do Brodów dywizja pancerna potrzebowała *„w najlepszym wypadku doby"*.

Faktycznie, jak wynika z informacji o działaniach bojowych 15. KZmech.*„8. Dywizja Pancerna do końca 26.06.41 roku ześrodkowała się w rejonie Buska*(miasteczko na brzegu Bugu, akurat w połowie drogi z Żółkwi do Brodów — M.S.)*"* [8].

W końcu 28 czerwca 8. DPanc, wraz z 15. KZmech. zaatakowała przeciwnika w rejonie miasteczka Łopatin (na skrzyżowaniu dróg na Radziechów i Beresteczko). W meldunku o działaniach bojowych 15. KZmech. stwierdzono:

„Dzięki aktywnym działaniom 8. Dywizji Pancernej lewe skrzydło korpusu zostało zabezpieczone z zachodu i 10. oraz 37. Dywizja Pancerna zdołały się wycofać na rubież rz. Radostawka".

Nie jest to błąd w druku. Rezultatem *„aktywnych działań"* dywizji pancernej w natarciu było to, że dwie inne dywizje pancerne, nękane przez piechotę przeciwnika, zdołały się wycofać dzięki jej pomocy. Chociaż i to osiągnięcie nie jest bezsporne. Na przykład w meldunku o działaniach 10. DPanc, czytamy coś wręcz przeciwnego: *„Drogi odwrotu dywizji zostały odcięte przez czołgi i piechotę przeciwnika, gdy 8. Dywizja Pancerna*(sąsiad z lewej)*, mająca zadanie osłonić z zachodu działania* (naszej — dop. tłum.) *dywizji, nie zdołała się przebić przez silnie umocniony rejon przeciwpancerny"*.

Szósty dzień wojny — a u Niemców, w głębi radzieckiego terytorium, rejon przeciwpancerny już gotowy, a nawet *„silnie umocniony"*?
Do tej walki ograniczył się udział 4. KZmech. w starciu pancernym na zachodniej Ukrainie. Z nielicznych dokumentów wynika, że główne siły korpusu, po kilku niemrawych i bezskutecznych próbach odrzucenia

piechoty niemieckiej z powrotem ku granicy, rozpoczęły odwrót na wschód. W meldunku operacyjnym sztabu Frontu Południowo–Zachodniego z 27 czerwca czytamy:
„4. Korpus Zmechanizowany, który nocą podjął marsz z rejonu Sądowa Wisznia, od godziny 6 rozpoczął Ześrodkowanie w rejonie lasu na północ od Obroszyna(wycofanie na 40 kilometrów w kierunku przedmieść Lwowa — M.S.) (...)*przed frontem korpusu 26.06.41 roku działały oddziały przeciwnika w sile do batalionu* (batalion piechoty przeciwko korpusowi zmechanizowanemu— M.S.). *W rejonie Mościsk nie wykryto przeciwnika. Korpus nie podjął walki* [8].
Następnie tempo wycofania wciąż rosło: 29 czerwca 4. KZmech. zostawił za sobą Lwów, 3 lipca był już w Zbarażu (135 kilometrów na wschód od Lwowa), a ranek 9 lipca zastał go w rejonie miasteczka Iwanopol (180 kilometrów od Zbaraża). W końcu, 12 lipca, resztki 4. KZmech. przeszły p° mostach kijowskich przez Dniepr i ześrodkowały się w rejonie priłuk (120 km na wschód od Dniepru, 650 kilometrów od granicy).
Ostateczna wersja radzieckiej historiografii głosi, że *„4. KZmech. pomyślnie osłonił wycofanie wojsk 6. Armii"*. Pomyślniej już nie można — korpus zmechanizowany, *„osłaniający wycofanie się piechoty"*, prześcignął ją o 200 kilometrów, w czasie zaś — o dwa miesiące.
Za to wszystko Własowowi nic się nie stało. To znaczy potem go oczywiście powieszono, ale za coś zupełnie innego. A latem 1941 roku awansował i został dowódcą 37. Armii.
Co zaś się tyczy generała Muzyczenki, to jego także uznawano za niewinnego. Jawny sabotaż rozkazów nadrzędnego dowództwa, haniebna klęska dwóch najsilniejszych korpusów zmechanizowanych (4. i 15.), pełna utrata dowodzenia (nawet bardzo pobłażliwy wobec cudzych porażek Bagramian pisze, że *„z meldunków bojowych, które otrzymaliśmy od niego, wynikało, że dowództwo 6. Armii nawet w przybliżeniu nie zdawało sobie sprawy z rzeczywistego położenia swoich związków"*)i w końcu okrążenie i dostanie się do niewoli 6. Armii pod Humaniem — wszystko to puszczono w niepamięć.
W maju 1945 roku, po powrocie z niewoli niemieckiej, Muzyczenko powrócił do armii czynnej, a nawet... nagrodzono go trzema orderami (Order Lenina i Order Czerwonego Sztandaru w 1946 roku i jeszcze jeden Order Czerwonego Sztandaru w 1957 roku)!
Jeśli porównamy to z tragicznym losem wystrzelanego do nogi dowództwa Frontu Zachodniego (rannego w walce dowódcę 14. Korpusu Zmechanizowanego S. I. Oborina zabrano na rozstrzelanie wprost ze szpitala), to przyznać trzeba, że towarzysz Stalin był zaiste wielkim człowiekiem. Nie każdy może pojąć logikę jego straceń i łask...
W starciu pancernym w *„trójkącie"* Radziechów–Brody–Dubno nie wziął udziału także 16. Korpus Zmechanizowany. Pierwsze cztery dni wojny

korpus ten (tak jak i cała 12. Armia) praktycznie stał bezczynnie na granicy z Węgrami. Następnie przekazano go do bezczynnego Frontu Południowego. Chodzi o to, że Tiuleniew — dowódca tego frontu — *„odkrył"* w Rumunii aż 6 nieistniejących dywizji pancernych i zmotoryzowanych przeciwnika i natychmiast zażądał wsparcia;] Tiuleniew był wielkim człowiekiem: według stopnia generał armii (w całej Armii Czerwonej było tylko pięciu ludzi w tym stopniu) i były dowódca stołecznego okręgu wojskowego. Pq. wierzono mu 16. KZmech. i skierowano z jednego pasywnego odcinka na drugi — jeszcze bierniejszy front wojny.

Następnie, gdy katastrofa na Białorusi stała się czymś oczywistym, 4 lipca 1941 roku Kwatera Główna nakazała natychmiast przerzucić koleją 16. KZmech. na Front Zachodni, w rejon Mozyrza.
Ale korpusowi nie było sądzone porzucić południowego TDW. Już w czasie rozpoczętego przemieszczenia, 8 lipca, korpus został wyładowany z transportów i rzucony do walki w rejonie Berdyczowa, gdzie czołgi niemieckie przerwały linię rejonów umocnionych na starej granicy państwowej. Przez kilka dni, ściślej — do 15 lipca — w rejonie Berdyczów– Koziatyń trwała zacięta bitwa, w której toku oddziały 16. KZmech. poniosły ogromne straty i korpus jako związek pancerny praktycznie przestał istnieć. Jego resztki, w tym także mężny dowódca komdyw A. D. Sokołow, poległy w kotle pod Humaniem…
Zupełną klęską zakończyły się działania 22. Korpusu Zmechanizowanego na kierunku włodzimiersko–wołyńskim. Przede wszystkim fatalną rolę w pierwszych dniach wojny odegrała śmierć dowódcy korpusu generała majora S. M. Kondrusiewa (ze wspomnień marszałka Moskalenki wynika, że ta tragedia zdarzyła się w pierwszym dniu wojny i to na jego oczach, ale generał Władimirski w swojej monografii pisze, że Kondrusiew poległ wieczorem 24 czerwca w całkiem innych okolicznościach).
Dalsze wydarzenia z trudem poddają się logicznej ocenie. Po śmierci Kondrusiewa dowodzenie 22. KZmech. przejął generał major Tamruczy. Jednakże wielokrotnie wspomniany ***Opis działań bojowych 41. Dywizji Pancernej Frontu Południowo–Zachodniego za okres od 22 do 29 czerwca 1941 roku*** [CAMO ZSRR, f. 229, op. 712, 1. 443–144]podpisany został przez czasowo pełniącego obowiązki (czpo — dop. tłum.) dowódcy 22. KZmech. komisarza Lipodajewa i czpo szefa sztabu (jakiego sztabu— nie powiedziano) starszego lejtnanta Korieckiego.
Co to wszystko znaczy? Dlaczego obowiązki dowódcy korpusu pełnił komisarz pułkowy? I jakże to stanowisko szefa sztabu — nie dywizji pancernej, ale całego korpusu zmechanizowanego — zajmował starszy l e j t n a n t? Gdzie byli wtedy majorzy, podpułkownicy i pułkownicy?

Wszystko to forma. Nie będziemy niepotrzebnie się czepiać formy i przejdziemy do treści. Jak już odnotowaliśmy, główna siła uderzeniowa — 41. Dywizja Pancerna— wyszła z głównego kierunku operacyjnego, z szosy Włodzimierz Wołyński–Łuck–Równe w lesisto–bagienny rejon Kowla. Po

śmierci Kondrusiewa dywizja faktycznie przeszła pod rozkazy dowódcy 15. Korpusu Strzeleckiego, wyniesionego przez Żukowa pułkownika I. I. Fieduninskiego. W książce **Dzień „M"** W. Suworow z zachwytem pisze o tym pułkowniku, który latem 1941 roku dowodził generałami. Ale to tylko skromny początek! 8 października 1941 roku generał major Fieduninski przyjął z rąk generała armii Żukowa dowodzenie nad całym frontem, i to jeszcze jakim— Leningradzkim! Co prawda po 18 dniach ten błyskotliwy wzlot kariery nagle się skończył, a pod koniec Wielkiej Wojny Ojczyźnianej generał Fieduninski odszedł w cień.
Jednak w lipcu 1941 roku pułkownik Fieduninski wykorzystywał znajdujące się w jego rękach zgrupowanie pancerne tak, jak dowódca 23. Armii P. S. Pszennikow dysponował 10. Korpusem Zmechanizowanym na Przesmyku Karelskim. (Pamiętasz jeszcze, Czytelniku, Część 1.?) Dywizję od razu porozrywano na oddzielne pułki, bataliony i kompanie czołgów, którym nakazywano to poszukiwanie po błotnistych lasach nieistniejących niemieckich*„desantów"*, to ochronę sztabów, to osłonę odwrotu 15. KS spod Kowla w ostępy Polesia.
Już na pierwszej stronie ***Opisu działań bojowych 41. Dywizji Pancernej***... czytamy:
„23.00 23.06.41 wyznaczono kompanię czołgów z batalionu kapitana Kułakowa do walki z 8 samolotami, które wylądowały w rejonie Nowosiółki. (Jakże to? Czołgi do walki z samolotami? — M.S.)*Jeżdżąc przez całą noc, kapitan Kułaków nie napotkał ani desantu, ani samolotów* (...)
O 17.00 24.06.41 na podstawie zarządzenia dowódcy 15. Korpusu Strzeleckiego wraz z 45. DS kompania czołgów wykonała atak w kierunku Lubomia i straciła 3 czołgi. Atak wykonano bez wsparcia piechoty".
Rozumiesz coś z tego, Czytelniku? Kompania atakowała wraz z dywizją (mops ze słoniem, ale słonia przy tym nie było)? A oto opis tego samego epizodu z monografii Władimirskiego:
„O 14.30 24 czerwca 15. Korpus Strzelecki siłami wprowadzonego do walki odwodu korpuśnego — 104. Pułku Strzeleckiego — wraz z 61. Pułkiem Strzeleckim 45. Dywizji Strzeleckiej przy wsparciu pociągu pancernego i kompanii czołgów 41. Dywizji Pancernej kontratakiem odrzuciły przeciwnika z Lubomia". Cóż więc się wydarzyło: pomyślny, potężny, zorganizowany atak piechoty i czołgów czy też...

D alej w tekście nie ma żadnych wzmianek o stratach bojowych czołgów, ale oto pojawia się zdanie: *„Po wszystkich tych operacjach ze 116 czołgów pozostało 6 sztuk"*. Co to znaczy*„ze 116 czołgów"*? Na początku działań bojowych 41. Dywizja Pancerna posiadała nie 116, ale 415 czołgów (a według danych Władimirskiego jeszcze więcej — 425). Gdzie podziała się cała ta pancerna armada?
Wróćmy ponownie do ***Opisu działań bojowych***…:
„W czasie odwrotu oddziałów 15. KS decyzją dowódcy garnizonu (jakiego garnizonu? Jaki z niego*„przełożony"* dla dywizji pancernej?— M.S.)*5 czołgów KW wysadzono…"* Czymyślicie, że tak łatwo wysadzić 52–tonowego stalowego żółwia KW–2? O wiele prościej byłoby zlać z nich ropę, zakopać w ziemię i wykorzystywać jako DOT–y — gotowe, potężne i nieosiągalne dla artylerii polowej przeciwnika.
Błądząc po lasach i bagnach, resztki topniejącej jak mgła o świcie 41. Dywizji Pancernej dopiero pod koniec czerwca połączyły się z siłami głównymi 5. Armii. I tak się złożyło, że to właśnie 41. DPanc, postawiła kropkę nad *„i"* w historii starcia pancernego na zachodniej Ukrainie. Ale o tym— później.Dwie pozostałe dywizje 22. Korpusu Zmechanizowanego (19. DPanc, i 215. DZmech.) stacjonowały przed wojną w Równem. Po wykonaniu nocnego marszuwyszły one nad ranem 23 czerwca w rejon Łuck– Kiwierce. Zgodnie z decyzją dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego 22. KZmech. powinien był wraz ze 135. Dywizją Strzelecką, przy wsparciu 1 BAPpanc., kontratakować przeciwnika pod Włodzimierzem Wołyńskim o świcie 24 czerwca.
Dalszy przebieg wydarzeń nie jest w pełni jasny. Ze wspomnień Moskalenki wynika, że 23 i 24 czerwca 1. BAPpanc. prowadziła zacięte walki z nacierającymi wzdłuż szosy na Łuck czołgami przeciwnika bez jakiegokolwiek współdziałania z oddziałami 22. KZmech. Nad ranem 24 czerwca brygada utrzymywała rubież pod miasteczkiem Torczyn (25 kilometrów na zachód od Łucka).
Z drugiej strony, z monografii Władimirskiego wynika, że *„19. Dywizja Pancerna do rana 24 czerwca nie przybyła jeszcze na rubież wyjściową, i dlatego przeciwuderzenie, wyznaczone na godzinę 4 24 czerwca, zostało przeniesione na późniejszy termin* (…)*Przybyła o godzinie 13 24 czerwca do*

lasu na północ od Szelwowa 19. DPanc, miała w swym składzie w sumie 45 sprawnych czołgów T–26 i 12 samochodów pancernych (…) *O godzinie 14 24 czerwca we współdziałaniu ze 135. Dywizją Strzelecką 19. DPanc, zaatakowała przeciwnika w kierunku Pasieki, Wojnica (a to 25 kilometrów na wschód od rubieży obrony 1. BAPpanc. pod*

Torczynem) (...) *o godzinie 17 24 czerwca przeciwnik, wprowadzając do walki czołgi, ponownie zaatakował 135. Dywizję Strzelecką i 19. Dywizję Pancerną* (...) *W toku dwugodzinnego boju 19. Dywizja Pancerna, tracąc dużą część swych czołgów, a 135. Dywizja Strzelecka i 1. Brygada Artylerii Przeciwpancernej — znaczną liczbę ludzi i sprzętu artyleryjskiego, rozpoczęły wycofanie na rubież 12–16 kilometrów na zachód od Łucka"* [92].
Trudno połączyć ze sobą te dwa opisy walk na szosie Włodzimierz Wołyński–Łuck. Autor skłania się ku wersji Moskalenki, który był świadkiem i głównym bohaterem tych wydarzeń. Najpewniej 1. BAPpanc. i 19. DPanc, działały oddzielnie, przy czym w rejonie Wojnicy w dniu 24 czerwca grupa uderzeniowa z 19. DPanc, i 135. DS mogła napotkać tylko część sił niemieckiej 14. Dywizji Pancernej, gdyż jej siły główne próbowały w tym czasie przełamać obronę brygady Moskalenki na przedmieściach Łucka, tj. znajdowały się znacznie na zachód od Wojnicy.
Jedyne, co nie ulega wątpliwości — to tragiczny rezultat boju spotkaniowego pod Wojnicą. Oddajmy głos marszałkowi Rokossowskiemu:
„(...)*Pod wieczór 25 czerwca na SD naszego korpusu pod Klewanią* (90 kilometrów na wschód od Wojnicy — M.S.)*przybył piechotą dowódca 19. Dywizji Pancernej* (...) *generał major Siemienczenko w stanie rozstroju nerwowego, z zabandażowaną prawą ręką. Oświadczył, że jego dywizja została całkowicie rozbita* (...)*Wkrótce znalazł się także jeden z komisarzy pułku tego korpusu, który opowiedział o śmierci generała Kondrusiewa i o tym, że korpus rozbity. Dekadencki ton i zagubienie dowódcy dywizji i komisarza pułku zmusiły mnie do dość ostrego napomnienia ich i poradzenia, by natychmiast zaprzestali rozprawiać o klęsce korpusu*[46]" [111].

[46] — Tłum. z ros. Oto kolejny dowód, że nie można polegać na dawnych polskich przekładach. W polskim tłumaczeniu wspomnien K. Rokossowskiego **Żołnierski obowiązek**, *op. cit.* s. 39, w tym krótkim fragmencie wszystko jest tak samo, ale inaczej: nie ma daty (wręcz sugeruje się, że chodzi o 26 czerwca— a więc dzień następny),pominięto nazwisko Siemienczenki, nie wspomniano nawet o komisarzu...

Niestety, „*rozprawianie*" o klęsce korpusu nie było bezpodstawne. Oto jak Moskalenkoopisuje spotkanie z resztkami 22. KZmech., do którego doszło 25 czerwca: „*Niespodziewanie na most rzuciły się pododdziały tyłowe i artyleria o ciągu konnym ze składu oddziałów 27. Korpusu Strzeleckiego i 22. Korpusu Zmechanizowanego. Ulegając panice, kilkuset ludzi, przeszkadzając sobie wzajemnie, próbowało przeprawić się na wschodni brzeg. Ich konie łamały nogi między szynami, wozy i działa tworzyły bezładną masę. Zrobił się korek. Atu*

jeszcze Niemcy otworzyli ogień artyleryjski w kierunku mostu. Powstał niesamowity rozgardiasz" [75].

O tym, jak wyglądały sprawy z 19. DPanc., wymownie świadczy to, że na przemarsz z Łucka do Wojnicy (50 kilometrów) dywizja ta potrzebowała półtora dnia, przy czym ze 163 czołgów do miejsca walki dotarło tylko 45. W walce podWojnicą zginęli dowódcy wszystkich trzech pułków tej dywizji. Najpewniej straty te nie były wynikiem męstwa, ale niezorganizowanej próby czołowego ataku na niemieckie czołgi (wśród których znajdowała się pewna liczba Pz. III z 50–mm działami) lekkimi czołgami T–26 z opancerzeniem odpornym jedynie na kule.

Jeszcze bardziej *„zagadkowe"* wydarzenia rozegrały się w 215. Dywizji Zmechanizowanej. Nazwa *„zmechanizowana"* nie powinna nas dziwić. To u Niemców dywizja zmotoryzowana składała się ze zwykłej piechoty, posadzonej na zdobyczne francuskie, belgijskie, czeskie ciężarówki — i ani jednego czołgu. A na wyposażeniu 133. Pułku Czołgów 215. DZmech. znajdowało się przed wojną 129 czołgów BT (tj. niewiele mniej niż w 14. Dywizji Pancernej Wehrmachtu, gdzie w sumie było 147 czołgów).

Chociaż rankiem 23 czerwca dywizja otrzymała rozkaz o natarciu wraz z 19. DPanc, na Włodzimierz Wołyński, kontynuowała ona jednak działania zgodne z *„czerwonym pakietem"* i maszerowała na Kowel. Dopiero 25 czerwca (już po klęsce 19. DPanc.) 215. DZmech. na północnym skraju Włodzimierza Wołyńskiego napotkała wyruszającą z miasta na wschód 298. Dywizję Piechoty Wehrmachtu.

Przed natarciem na Włodzimierz Wołyński 215. DZmech. przekazany został (na uzupełnienie jej *„własnego"*) także jeden z pułków czołgów 41. DPanc. Niemniej, jak pisze Władimirski, w boju 25 czerwca dywizja ta działała jako związek piechoty, *„bez pułku czołgów"* (???). Spotyka się

stwierdzenia, że pułk czołgów 215. DZmech. pozostał w tyle, ponieważ *„zużył całe paliwo"* — mimo iż długość marszruty Równe–Łuck–Kowel– Włodzimierz Wołyński wynosi 190 kilometrów szosą, a w składach 5. Armii znajdowało się paliwo w ilości 33 (trzydziestu trzech) jednostek napełnienia! [92].

Bój spotkaniowy z piechotą niemiecką skończył się tym, Ze (jak pisze Władimirski) już następnego dnia, 26 czerwca, *„215. Dywizja Zmechanizowana ześrodkowała się w rejonie Sofijanówki, 50 km na wschód od Kowla"*. Innymi słowy, dy. wizja została rozgromiona i odrzucona na 80 km na północny wschód od miejsca walki (na ten marsz paliwa, jak zawsze, wystarczyło). 129 czołgów BT ze składu 133. PCz. przepadło bez jakiejkolwiek wzmianki w znanych autorowi

źródłach. Co prawda pod koniec czerwca w 215. DZmech. znajdowało się (według danych Władimirskiego) 15 czołgów, ale były to T–26, *„przybyłe"* prawdopodobnie do dywizji z innych jednostek.

Oto i cała krótka historia 22. Korpusu Zmechanizowanego. Śmierć dowódcy, utrata dowodzenia i rozpad *„pancernej pięści"* na pojedyncze drobinki, śmierć nielicznych uczestniczących w walce czołgistów w boju pod Wojnicą, gdzie do pierwszego i ostatniego ataku na wroga zamiast 712 czołgów korpusu, poszło zaledwie 45 maszyn bojowych. Bojowy, uderzeniowy batalion…

Podobnie nie mieszczą się w głowie wydarzenia, do jakich doszło na kierunku radziechowskim, tam gdzie 15. Korpus Zmechanizowany powinien był kontratakować nacierającą w głąb obrony wojsk radzieckich 11. Dywizję Pancerną Wehrmachtu.

W składzie 15. KZmech. były trzy dywizje: 10. i 37. Dywizja Pancerna oraz 212. Dywizja Zmechanizowana. Przed wojną stacjonowały one, odpowiednio, w Złoczowie, Krzemieńcu i Brodach.

Jak już odnotowaliśmy, *„212. Dywizja Zmechanizowana, mając prawie pełne zabezpieczenie w składzie osobowym czerwonoarmistów, nie posiadała odpowiedniej liczby samochodów do przewozu ludzi"*. Należne dywizji środki transportowe z gospodarki narodowej nie nadeszły, wskutek czego 212. DZmech. przeobraziła się w zwykłą piechotę, która z powodu braku koni była szczególnie mało ruchliwa. Czynnik i ten, a także chęć ochrony tyłów korpusu przed mitycznymi*„desantami powietrznymi"* Niemców, doprowadziły do

tego, że 212. DZmech. do końca czerwca 1941 roku *„broniła"* (dalej wyjaśnimy czytelnikowi, dlaczego wzięliśmy ten wyraz w cudzysłów) m. Brody i w przeciwuderzeniu nie brała udziału. 1

A jak działały dwie dywizje pancerne korpusu? W każdej radzieckiej dywizji pancernej znajdowały się dwa pułki czołgów jeden pułk strzelców zmotoryzowanych i jeden pułk arty–haubic. Nie była wyjątkiem od reguły także 37. DPanc., ale jej 37. Pułk Strzelców Zmotoryzowanych został bez środków transportu i *„nie mógł współdziałać wraz z dywizją na początku działań bojowych"*.

W ten sposób, nie oddając nawet jednego strzału, 15. KZmech. już został niemal bez piechoty (w działaniach bojowych 23–26 czerwca wziął udział jedynie pułk strzelców zmotoryzowanych 10. DPanc.) i bez większej części etatowej artylerii. Oprócz powszechnego dla całej artylerii Armii Czerwonej problemu z brakiem ciągników gąsienicowych i ciężarówek, w sprawozdaniach dowódców 15. KZmech. i 10. DPanc, czytamy o rzeczach, które trudno nazwać inaczej niż sabotażem.

„W ciągu pierwszych 3 dni walk w 19. i 20. Pułku Czołgów 10. DPanc, było w sumie po 96 pocisków przeciwpancernych na pułk (etatowa jednostka ognia wynosiła od 114 do 188 pocisków na jeden czołg) i ani jednego pocisku przeciwpancernego do dział 76–mm(tj. główna siła uderzeniowa dywizji — czołgi T–34 i KW— okazała się po prostu niezdolna do walki z dowolnymi czołgami przeciwnika! — M.S.). *W pułku artylerii 37. DPanc, znajdowało się 12 haubic 122–mm bez pocisków* (strzelać z nich można, ale trafić w cel — nigdy— M.S.) (...)*Artyleria pułkowa, wysłana do pułków, była niemal w całości niesprawna* (jak to?!?— M.S.) (...)*Artyleria przeciwlotnicza miała skrajnie ograniczoną ilość pocisków* (...)*Podczas całej operacji 10. DPanc, nie miała skąd pobrać nawet jednego pocisku do 37–mm dział przeciwlotniczych"* (najlepsze na świecie mobilne działa przeciwlotnicze, które powinny były, według wszystkich planów przedwojennych, należycie osłonić zwycięski marsz radzieckich kolumn pancernych, przekształciły się w zbędny ciężar, który porzucano na drogach odwrotu).

Na tle takich faktów jak coś pospolitego brzmi informacja o tym, że *„wsparcia dywizji ze strony naszego lotnictwa w ciągu całego okresu prowadzenia działań bojowych nie było. Nawet danych rozpoznawczych od lotnictwa dywizja nie otrzymała ani razu"*. I to przy wielokrotnej przewadze ilościowej Sił Powietrznych Frontu Południowo–Zachodniego nad lotnie, twem przeciwnika!

Czytając to, aż ma się ochotę zgodzić ze zdaniem historyków komunistycznych o tym, że Armia Czerwona nie była gotowa do wojny. Co prawda oni zawsze wyjaśniali to tym, żj *„historia dała nam za mało czasu"*. Autor uważa, że historia dała im (komunistom) zbyt wiele czasu. Tak dużo, że starczy, ło go na to, aby odszukać i zniszczyć praktycznie wszystkiej myślących specjalistów wojskowych, a dowodzenie frontem i tyłami powierzyć niezdarnym i ignoranckim parweniuszowi którzy znajdujących się o sto kilometrów od granicy czołgistów nie zdołali nawet zaopatrzyć w pociski przeciwpancerne...

Działania bojowe 15. KZmech. rozpoczęły się o godzinie 9.50 22 czerwca 1941 roku, gdy oddział czołowy 10. DPanc, w składzie 3. batalionu 20. Pułku Czołgów i 2. batalionu 10. Pułku Strzelców Zmotoryzowanych wyruszył ku granicy wzdłuż trasy Sokołówka, Toporów, Radziechów. Wieczorem 22 czerwca napotkał on przeciwnika *„w sile do dwóch batalionów piechoty z działami przeciwpancernymi"* (prawdopodobnie były to oddziały 57. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, która przerwała obronę wojsk radzieckich w rejonie Sokal–Krystynopol).

„Podczas walk zniszczono 6 dział przeciwpancernych przeciwnika i do plutonu piechoty. Nasze straty — 2 czołgi. Do końca 22.06. oddział czołowy zajął Radziechów". Był to pierwszy i, niestety, ostatni sukces 10.

Dywizji Pancernej i całego 15. Korpusu Zmechanizowanego. Dalej rozwój wydarzeń wyglądał następująco: O godzinie 18 22 czerwca marsz rozpoczęły siły główne 15. KZmech. Zadanie postawione przed nim przez szczebel nadrzędny było jasne: *„zniszczyć sokalskie zgrupowanie przeciwnika, nie dopuścić do jego wycofania na zachodni brzeg rzeki Bug"* (czyli dowództwo radzieckie było w tym czasie zajęte tym, jak tu nie pozwolić agresorowi w y c o f a ć s i ę na pograniczne terytorium).

Rozkaz ten wykonano następująco:
— *„19. Pułk Czołgów 10. DPanc., idący po bezdrożach i mokradłach, ugrzązł w bagnach w rejonie Kopty, Olesko* (około *15*kilometrów od miejsca rozpoczęcia marszu — M.S.)*i na nakazaną rubież nie wyszedł w terminie"*.

— *„20. Pułk Czołgów i 10. Pułk Strzelców Zmotoryzowanych 10 DPanc, dopiero o godzinie 15 doszły do Radziechowa* (55 kilometrów po prostej od miejsca przedwojennej dyslokacji 10. DPanc, w m. Złoczów). *Pułk artylerii tej dywizji* (10. PAH — dop. tłum.) *do tego czasu znajdował się na drodze marszu"*;
— *„37. DPanc., mająca za zadanie do godziny 18 ześrodkować się w rejonie Opłucka w gotowości do wykonania uderzenia w kierunku na Łopatyń* (ogólna długość marszu 65 kilometrów po prostej z Krzemieńca — M.S.) *o godzinie 14 dnia 23 czerwca 1941 roku otrzymała od przybyłego dowódcy 15. KZmech. generała majora Karpeza zadanie zniszczenia czołgów przeciwnika w rejonie Adamów* (...)*Później okazało się, że czołgów przeciwnika w rejonie Adamów nie było. Kierując dywizję na Adamy, dowódca 37. DPanc, kontynuował potem wykonanie zadania zmierzającego do ześrodkowania dywizji w rejonie Opłucka, ale z opóźnieniem 5–6 godzin"*.
Gdy oddziały 10. i 37. Dywizji Pancernej błądziły po lasach i bagnach, 11. Dywizja Pancerna Wehrmachtu o godzinie 5.15 23 czerwca napotkała na skraju Radziechowa ten sam oddział czołowy 10. DPanc., który zajął miasto wieczorem 22 czerwca. Wywiązał się zacięty bój, w którym dywizji niemieckiej stawiły opór nie 15. Korpus Zmechanizowany, a nawet nie jedna z jego dywizji, lecz jedynie dwa bataliony. *„Oddział czołowy utrzymywał zajmowaną rubież do godziny 13.30 i po zużyciu pocisków odszedł na rubież Majdan Stary. Rezultat walki: zniszczono 20 czołgów przeciwnika, 16 dział przeciwpancernych i do plutonu piechoty. Straty: czołgów BT — 20 sztuk, T– 34 — 6 sztuk, poległo 7 ludzi, rannych 11 ludzi"*.
W końcu, o godzinie trzeciej po południu, na pole walki podeszły dwa pułki 10. Dywizji Pancernej. *„Atak pułku zmotoryzowanego i 20. Pułku Czołgów 10. Dywizji Pancernej bez wsparcia artylerii, przy widocznej*

przewadze sił po stronie przeciwnika, rozmieszczonych na dogodnej rubieży, był nieudany i Radziechów pozostał w rękach przeciwnika. Zniszono 5 czołgów przeciwnika i 12 dział przeciwpancernych".
Ten dziwny bój 23 czerwca, podczas którego czołgiści radzieccy byli zmuszeni drapać pancerz wrogich czołgów pociskami odłamkowymi, okazał się jedynym poważnym starciem pancernym na kierunku radziechowskim. Potem każda ze stron zajęła się swoimi sprawami. Niemcy, którzy poczuli zwiększający się napór na południowe skrzydło 1. GPanc., przeszli z Radziechowa do Beresteczka (gdzie już wieczorem 23 czerwca opanowali ważne przeprawy przez rzekę Styr), a z Beresteczka — szosą na Dubno. Nie napotykając poważnego oporu, 11. Dywizja Pancerna opanowała mosty na rzece Ikwa i wieczorem 25 czerwcazajęła Dubno — ważny węzeł drogowy wiążący Łuck, Równe, Lwów i Tarnopol.
W ślad za tym 24 czerwca w zarysowujące się włamanie została wprowadzona jeszcze jedna dywizja pancerna 1. GPanc. (16. DPanc.), która pod koniec dnia 25 czerwca oddziałami czołowymi wyszła na szosę Dubno– Tarnopol w rejonie Krzemieńca (130 kilometrów na wschód od granicy państwowej).
W pasie Radziechów–Łopatyń–Beresteczko dywizje pancerne zmieniła niemiecka piechota (57. i 75. DP), która wykorzystując zwlekanie dowództwa 15. KZmech., pospiesznie utworzyła rubież obronną wzdłuż brzegów małych leśnych rzeczułek: Radostawka, Słonowka, Sytienka, Płaszówka.
A w tym czasie oddziały 15. Korpusu Zmechanizowanego, jak bokser na ringu przed atakiem, podejmowały jakieś chaotyczne ruchy w głębi *„trójkąta"* Radziechów–Brody–Busk. Jeśli porównanie z boksem okaże się dla czytelnika niepoważne i nieprzyzwoite w opowieści o tragicznych wydarzeniach wojny, to działania dowództwa 15. KZmech. można porównać do zagonionego wilka, który się miota, ale nie może się zdecydować na wyjście ze zorganizowanej przez myśliwych matni. Najbardziej dociekliwym czytelnikom, gotowym godzinami ślęczeć nad mapą, przytoczymy skrócony dokumentalny zapis tego *„marszu"*:
„Dowódca 15. Korpusu Zmechanizowanego w rozkazie bojowym nr 4 z 24.06.41 roku zdecydował, osłaniając się z kierunku Radziechowa, uderzeniem w kierunku Sokołówka, Brody zniszczyć przebijające się na Brody zmotoryzowane oddziały przeciwnika.
10. Dywizji Pancernej, po zmianie jej przez oddziały 37. Dywizji Pancernej, nakazano przejść w rejon: Smolno, Ponikowica (na południe od Brodów — dop. tłum.) *i być w gotowości do uderzenia w kierunku Radziwiłłowa. O godzinie 17, znajdując się w marszu w rejonie Buska, dowódca dywizji otrzymał rozkaz dowódcy 15. Korpusu Zmechanizowanego: dywizja ma powrócić do poprzedniego rejonu ześrodkowania — do lasu na południe od Chołojowa* (10 kilometrów na

płd. zach. od Radziechowa — dop.

tłum.) . *Po zawróceniu dywizja o świcie 25.06.41 roku powróciła w rejon Chołojowa i zajęła obronę na rubieży na południe od niego. 37. Dywizji Pancernej postawiono zadanie na rubieży Szyszkowce–Toporów–Czanyż–Adamy osłonić wycofanie 10. Dywizji Pancernej do 20.00 24.06.41 roku, po czym, po przeprawieniu się przez rz. Styr na odcinku Monastyrek–Ruda Brodzka, wejść w lasy na zachód od Lasowa i być w gotowości do wykonania uderzenia w kierunku na Leszniów* (tj. na północny wschód — M.S.). *O godzinie 2 dywizja dotarła do rubieży południowego brzegu rz. Radostawka, gdzie otrzymała zadanie: przejść do obrony wzdłuż południowego brzegu rz. Radostawka i być w gotowości od 13.00. 25.06.41 roku przejść do natarcia w kierunku Ochładów, Radziechów* (...) *O godzinie 23 dywizja, wykonująca rozkaz dowódcy korpusu, czołem sił głównych przeprawił się przez rów* (tak w tekście — M.S.)*na wschód od Turzie. Tu otrzymano osobisty rozkaz dowódcy korpusu: pozostając na miejscu i kontynuując utrzymanie zajmowanej rubieży, przygotować uderzenie w kierunku Chołojowa* (...) *O godzinie 8.30 25.06.41 roku korpusowi postawiono zadanie zajęcia pozycji wyjściowych do przejścia do natarcia w celu rozbicia grupy szybkiej przeciwnika i wyjścia w rejon Sokala* (ponownie na zachód — M.S.). *Dowódca 15. Korpusu Zmechanizowanego wydał 10. Dywizji Pancernej rozkaz wyjść w rejon Toporów, Chołojów i być w gotowości do wykonania uderzenia w kierunku Radziechowa* (...)
37. Dywizja Pancerna otrzymała zadanie przygotowania przeprawy przez rz. Radostawka i bycia w gotowości do ataku w kierunku Ochładów– Radziechów (...)
O 8.00 26.06.41 roku na stanowisko dowodzenia 37. DPanc, przybył szef sztabu 15. Korpusu Zmechanizowanego, który na podstawie zarządzenia dowódcy frontu postawił zadanie do wycofania na wschodni brzeg rz. Seret, na wschód od Żałości Nowe[47] (...)*Oddziały 37. DPanc, rozpoczęły odwrót, organizując silną osłonę tyłów. O 12.00 26.06.41 roku na stanowisku dowodzenia dywizji otrzymano nowy rozkaz dowódcy 15. KZmech. — natychmiast skierować dywizję z powrotem* (...)*i być w gotowości do natarcia w kierunku Beresteczka. Na podstawie rozkazu 37. DPanc, wykonała zwrot o 180° i ponownie wyszła na rubież rz. Radostawka"*. I tak dalej.

[47] — 35 kilometrów na płd. wsch. od Brodów, 30 kilometrów na płn. wsch. od Tarnopola.

W przekładzie na prosty język oznacza to, że oddziały 10. i 37. DPanc., nieprzerwanie zmieniając się nawzajem na różnych rubieżach wyjściowych, poganiane rozkazami sztabu frontu, przygotowywały się to do natarcia na Beresteczko, to do ponownego natarcia na

Radziechów, to do odparcia ataku nieistniejącego przeciwnika, *„przełamującego"* się na Brody, a to w końcu do odwrotu na Tarnopol...

Zgodnie z prawdą odnotować należy, że momentami cierpliwość dowódców średniego stopnia pękała i zaczynali oni przejawiać zniesioną w 1917 roku*„inicjatywę osobistą"*: *„O godzinie 10 26 czerwca z inicjatywy osobistej dowódcy podpułkownika Prolejewa 19. PCz. zaatakował przeciwnika w rejonie wzgórz na południowy wschód od Radziechowa. W rejonie Dębliny Ochładowskie pułk napotkał zorganizowany ogień dział przeciwpancernych. W wyniku ataku zniszczono do 70 dział przeciwpancernych, 18 czołgów i do batalionu piechoty. Straty pułku: 9 czołgów KW i 5 czołgów BT–7* (...) *W celu przeciwdziałania dużym oddziałom rozpoznawczym dowódca 20. Pułku Czołgów wprowadził grupę w składzie 15 czołgów, a następnie wykonał kontratak siłami 20. Pułku Czołgów i* (10. — dop. tłum.) *Pułku Zmotoryzowanego przy wsparciu dwóch baterii 10. Pułku Artylerii Haubic* (...)*Wraz z pojawieniem się naszych czołgów czołgi przeciwnika walki nie podjęły i wycofały się za linię wzgórz, gdzie przeciwnik utworzył silną obronę przeciwpancerną. W wyniku walki* (...) *stwierdzono 56 zmiażdżonych i zniszczonych dział przeciwpancernych i 5 zniszczonych czołgów przeciwnika* (...)*Nasze straty: 4 czołgi KW i 7 czołgów BT–7, nie powróciły po walce 4 załogi czołgów, w tym dowódca oddziału major Gowor"*.

Cały ten bałagan zakończył się o godzinie szóstej wieczorem 26 czerwca sceną w pełni zasługującą na film grozy.
Zacytujmy słowa marszałka Bagramiana:
„Wrogie lotnictwo wykryło stanowisko Zmechanizowanego. W wyniku zmasowanego poniósł ogromne straty".
dowodzenia 15. Korpusu bombardowania jego sztab

W informacji o działaniach bojowych 15. KZmech. wydarzenie to opisano konkretniej:

„18 samolotów przeciwnika dokonało silnego nalotu na sta nowisko dowodzenia (...)*Bombardowanie trwało 50 minut, w rezultacie zraniono 2 czerwonoarmistów, a jeden poległ"*.

18 samolotów, 50 minut bombardowania, straty — 3 ludzi?

W toku tego nalotu poległ dowódca korpusu generał major Ignatij Iwanowicz Karpezo. Tu, w lesie pod miasteczkiem Toporów, towarzysze broni pochowali generała. I wtedy na SD korpusu przybył Iwan Wasilewicz Łutaj, zastępca dowódcy korpusu do spraw politycznych, mówiąc krótko — komisarz korpusu. Przybył, wysłuchał meldunku o śmierci dowódcy i — nakazał rozkopać świeżą mogiłę.

Pisarz –frontowiec W. W. Karpow, członek ostatniego KC KPZR, pierwszy sekretarz Związku Pisarzy ZSRR, w książce wychwalającej

mądrość Marszałka Zwycięstwa Żukowa daje takie wyjaśnienie działań komisarza: Iwan Wasilewicz, powiada, stracił przytomność umysłu z powodu gorąca i zaczął walczyć ze sobą nad mogiłą jak roztrzęsiona panna...

Trudno w to uwierzyć. Nasi komisarze zarówno biografie, jak i wychowanie mieli zbyt surowe, aby zachowywać się w ten sposób. Coś jednak widocznie zaniepokoiło Łutaja i — raczej z naganem w ręce aniżeli ze łzami w oczach — zdecydował się osobiście przekonać o przyczynie śmierci dowódcy korpusu.

Mogiłę rozkopano — Karpezo żył, co prawda bez świadomości — był ciężko kontuzjowany.
Czujność i wytrwałość, przejawiane przez Łutaja, ocaliły życie generała, ale nikomu nie udało się ocalić 15. KZmech. od klęski, ku której niepowstrzymanie zmierzał.
W czasie gdy 15. Korpus Zmechanizowany krótkimi skokami miotał się w zaklętym trójkącie Radziechów–Brody–Busk, a 4. Korpus Zmechanizowany wykonywał posuwisto–zwrotne ruchy wzdłuż trasy Lwów– Jaworów–Lwów, trzeci nasz *„bohater"* — 8. KZmech. generała Riabyszewa — poruszał się ku rejonowi przyszłego starcia pancernego, szerokim, zamaszystym zygzakiem, jak narciarz w slalomie gigancie.
Na początku wojny 8. KZmech. wchodził w skład 26. Armii, która według przedwojennych planów miała nacierać na kierunku Sambor–Rzeszów–Tarnów. Już o godzinie 10 rano 22 czerwca ze sztabu armii wpłynął rozkaz, zgodnie z którym korpus został poderwany alarmem bojowym i do końca dnia, mijając Sambor, wyszedł bezpośrednio nad graniczną rzekę San.
Tam też doszło do pierwszego bojowego starcia czołowego batalionu czołgów majora Sytnika z niemiecką piechotą. We wspomnieniach Popiela opisano je tak:
„Biegnące szaro–zielone figurki ginęły pod gąsienicami trzydziestekczwórek i KW. Ci, którzy ocaleli, rzucali się do rzeki i próbowali ratować się wpław. Ale czołgowe kaemy dokończyły dzieła".
Nie dano korpusowi pójść za ciosem. Wieczorem 22 czerwca, o godzinie 22.40, wpłynął nowy rozkaz: do godziny 12 23 czerwca 8. KZmech. (który już przeszedł 80 kilometrów na zachód z Drohobycza do Sanu) powinien się ześrodkować w rejonie Kurowicz (25 kilometrów na wschód od Lwowa, odwrót od granicy na 120 kilometrów) i przejść pod rozkazy i dowódcy 6. Armii Muzyczenki. Kolumny pancerne ruszyły z powrotem, maszerując okrężną drogą ponad 150 km wzdłuż trasy Sambor–Drohobycz–Stryj–Lwów. Dalszy przebieg wydarzeń jest niezrozumiały. Bagramian we wspomnieniach pisze, że po odprawie w sztabie Frontu Południowo–Zachodniego, na której przyjęto decyzję o ześrodkowaniu 4. i 8. Korpusu Zmechanizowanego w rejonie Brodów, rankiem 23 czerwca *„Żukow w towarzystwie przedstawicieli sztabu*

frontu wyjechał do 8. Korpusu Zmechanizowanego generała lejtnanta p I. Riabyszewa, aby na miejscu zapoznać się ze stanem jego wojsk i przyspieszyć ich wyjście z rejonu Lwowa na Brody". Jednakże ani we wspomnieniach Riabyszewa, ani Popiela nie ma nawet wzmianki o wizycie szefa Sztabu Generalnego. Najważniejsze, ma się rozumieć, nie są wizyty, ale to, że 8 KZmech. wysłano w zupełnie inną stronę.
W połowie dnia 23 czerwca, gdy główne siły dywizji pancernych znajdowały się mniej więcej na rubieży m. Nikołajew (38 kilometrów szosą na południowy zachód od Lwowa), a 7. Dywizja Zmechanizowana już wyszła na przedmieścia Lwowa, Muzyczenko nakazał skierować 8. KZmech. na zachód i do godziny 19 23 czerwca ześrodkować się w lesie na południe od Jaworowa (w tym samym rejonie, gdzie Muzyczenko, wbrew rozkazom dowódcy frontu, skierował główne siły 4. KZmech.). Ogromne, wielokilometrowe kolumny czołgów, ciężarówek, samochodów pancernych po raz drugi w ciągu doby zmieniły kierunek o 180 stopni i ponownie ruszyły ku granicy.
8. KZmech., wykonując nużący nocny marsz, po przejściu 80–90 kilometrów wyszedł pod Jaworów. Tam, późnym wieczorem 23 czerwca, dowódcy korpusu wręczono pakiet z nowym (a w gruncie rzeczy starym, można powiedzieć, *„wyjściowym"*) rozkazem dowództwa frontu: ponownie zwinąć korpus i do końca dnia 24 czerwca wyjść w rejon Brodów.
Tym razem jednak, z powodu korków i ulicznych walk we Lwowie, nie udało się wykonać jeszcze jednego forsownego marszu w nakazanym terminie: do wieczora 24 czerwca siły główne korpusu ześrodkowały się w Busku, a 34. Dywizja Pancerna, która nie zdołała się wydostać z labiryntu lwowskich ulic, wyszła przez Żółkiew (Niestierów) ku rzece Bug Pod m. Kamionka Bużska. W tym czasie Kamionka była już zaJęta przez czołowe oddziały przeciwnika i przez miasto trzeba było przebijać się w walce.
Nie całkiem jasne jest także to, kiedy w całości 8. KZmech. Uszedł z rejonu wyjściowego do natarcia. Riabyszew pisze, że *„w drugiej połowie 25 czerwca związki i oddziały korpusu ześrodkowały się w północny zachód od Brodów*". Ale ze wspomnień Bagramiana wiemy, że o godzinie 4 rano 26 czerwca *„otrzymano meldunek od generała Riabyszewa. Dowódca korpusu zameldował, że jego 34. Dywizja Pancerna podchodzi do Radziwiłłowa, 12. Dywizja Pancerna — ku Brodom, a 7. Dywizja Zmechanizowana w całości jest jeszcze pod Buskiem, na brzegu Bugu*".
Jedyne, co nie budzi wątpliwości, to że w trakcie przedyslokowania 8. KZmech. z Drohobycza do Brodów (145 kilometrów w linii prostej) sprzęt gąsienicowy musiał przebyć o własnych siłach około 450 kilometrów, setki ton paliwa poszło z dymem, a kierowcy byli zmęczeni trzema bezsennymi nocami w marszu.

W sposób o wiele bardziej zorganizowany przebiegło wysunięcie korpusów zmechanizowanych drugiego rzutu — 9. KZmech. Rokossowskiego i 19. KZmech. Fieklenki.
Rokossowski już w pierwszych godzinach wojny wykorzystał swą władzę do opanowania okręgowej składnicy samochodowej w Szepietówce i posadził na *„wywłaszczone"* ciężarówki swoją 131. Dywizję Zmechanizowaną. Dzięki tej samowoli dywizja, pomimo zerwanej (jak i wszędzie) mobilizacji środków transportowych z gospodarki, zdołała już 23 czerwca wyjść w rejon Łucka, przeganiając w marszu obie dywizje pancerne 9. KZmech. Wtedy dowódca 5. Armii generał Potapow wyciągnął tę dywizję ze składu korpusu (*„dokonano tego ponad głową dowódcy korpusu"* — jak gniewnie wspomina w swoich pamiętnikach Rokossowski) i postawiono jej zadanie przejścia do obrony na rubieży rzeki Styr.
Decyzja ta, chociaż osłabiła i bez tego bardzo skromne i możliwości niedokompletowanego 9. KZmech., była właściwa i na czasie. 131. Dywizja Zmechanizowana uratowała wtedy sytuację i nie dopuściła do przełamania frontu 5. Armii, wyraźnie zarysowującego się po klęsce 22. Korpusu Zmechanizowanego i 27. Korpusu Strzeleckiego[48].
24 czerwca dywizje pancerne 9. Korpusu Zmechanizowanegowyszły w rejon ześrodkowania i przystąpiły do walki z czołowymi oddziałami 13. Dywizji Pancernej Wehrmachtu, próbującej się przedrzeć ku szosie Łuck– Równe w rejonie Klewania (40 kilometrów na wschód od Łucka). *„20. DPanc, o świcie 24 czerwca czołowym pułkiem z marszu zaatakowała znajdujące się na biwaku w rejonie Ołyki zmotoryzowane .oddziały niemieckiej 13. Dywizji Pancernej, zadając im duże straty, biorąc jeńców i duże ilości zdobyczy wojennej* (...)*Po umocnieniu się dywizja przez cały dzień pomyślnie odpierała ataki podchodzących oddziałów pancernych przeciwnika"*. Sukces tym bardziej robiący wrażenie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że 20. DPanc, posiadała na początku działań bojowych w sumie 36 (trzydzieści sześć) czołgów, w tym 30 wycofanych z produkcji jeszcze w 1934 roku, lekkich BT–5. Dowódcy 19. KZmech. generałowi majorowi N. W. Fieklence się tak nie powiodło: w Żytomierzu i Berdyczowie nie było bezpańskiej bazy transportowej, a i droga marszu 19. KZmech. była o 100 kilometrów dłuższa niż korpusu Rokossowskiego.
Niemniej 19. KZmech. już rankiem 25 czerwca, po przejściu ponad 200 kilometrów na całkowicie zużytych szkolno–bojowych czołgach T–26, wyszedł w rejon wyjściowy. Szybkie tempo marszu zapewniły mądre i pełne inicjatywy przedsięwzięcia jego dowódcy. Faktycznie Fieklenko zrobił to, co wyższe dowództwo powinno zrobić w skali całych wojsk pancernych Armii Czerwonej — zmniejszyć zbyt dużą liczbę związków zmechanizowanych i uzupełnić pozostałe do norm etatowych.
Jak pisze Władimirski, *„przed wymarszem każda dywizja pancerna 19.*

Korpusu Zmechanizowanego została podzielona na dwa rzuty — szybki i

[48] — Autor podaje omyłkowo 31. KS, jednakże znajdował się on jeszcze w marszu.

pieszy. Do rzutów szybkich włączono sprawne czołgi, połączone w pułki czołgów (po jednym zbiorczym pułku w dywizji)*, a także skład osobowy pułku strzelców zmotoryzowanych i pododdziałów specjalnych dywizji, który mógł zostać przewieziony posiadanymi środkami transportowymi*.

Do rzutów pieszych włączono cały pozostały skład dywizji dla którego nie było środków transportu, a niesprawne czołgi pozostawiono w bazie remontowej w Nowogrodzie Wołyńskim (...) *213. Dywizja Zmechanizowana, z powodu braku środków transportu przemieszczająca się marszem kombinowanym, do rana 25 czerwca podciągała w rejon Połonnoje* (czyli pozostała o 150 kilometrów w tyle za siłami głównymi korpusu, następnie walczyła w składzie 16. Armii generała Łukina pod Szepietówką, i w działaniach bojowych 19. KZmech. nie wzięła udziału). *W ten sposób także 19. KZmech.* (tak jak i korpus Rokossowskiego) *został bez piechoty zmotoryzowanej, co jeszcze bardziej obniżyło jego skromne możliwości bojowe*.

19. KZmech., jako p i e r w s z y ze wszystkich korpusów Frontu Południowo–Zachodniego, przystąpił do bitwy pancernej pod Dubnem. W nocy na 26 czerwca oddziały czołowe 40. i 43. Dywizji i Pancernej wyszły na przedmieścia Dubna, gdzie wywiązał się bój spotkaniowy z piechotą i czołgami 11. Dywizji Pancernej Wehrmachtu, a następnie — z szybko przerzuconymi w ten rejon siłami przeciwnika — 13. Dywizją Pancerną oraz 299. i 111. Dywizją Piechoty.
Oddając sprawiedliwość inicjatywie i zdecydowaniu generała Fieklenki, musimy także zwrócić uwagę na to, że w związku z załamaniem się całego systemu łączności i dowodzenia Frontu Południowo–Zachodniego dowódca 19. KZmech. w ciągu czterech dni wyzwolony był od otrzymywania jakichkolwiek rozkazów z wyższych szczebli dowodzenia. Nie wiemy, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby Fieklenko (jak na przykład dowódca 8. KZmech. Riabyszew)*otrzymywał po trzy różne rozkazy na dobę"*.

PANCERNY POMÓR

Z wszystkich tych do ciekań wynika, że spośród 16 pancernych i 8 zmechanizowanych dywizji Frontu Południowo–Zachodniego w działaniach bojowych pierwszych czterech dni wojny aktywny udział wzięły jedynie cztery dywizje: dwie pancerne (10. i 19.) i dwie zmechanizowane (215. i 131.).

To, że większa część zmechanizowanych sił frontu nie weszła do walki w pierwszych dniach wojny, nie byłoby jeszcze czymś złym, jeśli pauza ta zostałaby wykorzystana do zorganizowanej mobilizacji oddziałów i ich dokompletowania.

Jeśliby... I oto doszliśmy, w końcu, do jednej z głównych *„tajemnic"* czerwca 1941 roku. Rzecz będzie, ma się rozumieć, nie o tym, *„dlaczego Stalin przespał wojnę"*, ale o tym, dlaczego i pancerne, i lotnicze, i wszystkie inne oddziały oraz związki Armii Czerwonej opanował zagadkowy*„nie odnotowany spadek"* ilości sprzętu bojowego.

Jak sen, jak poranna mgła rozpłynął się — nie podejmując nawet walki z siłami głównymi przeciwnika, najpotężniejszy 4. KZmech. Kiedy 12 lipca resztki korpusu dotarły na wschodni brzeg Dniepru, wyjaśniło się, że: — ze 101 czołgów KW w szyku pozostało 6;
— z 313 czołgów T–34 pozostało jedynie 39;
— z 565 czołgów lekkich do Priłuk dotarły jedynie 23 czołgi BT.
Rozumie się, że pewna część czołgów lekkich mogła zostać utracona w walkach na ulicach Lwowa, nie obeszło się bez strat także w czasie starć z piechotą niemiecką w dniach 23–26 czerwca w rejonie Niemirów–Jaworów. Dokumenty i materiały źródłowe pozwalają jedynie na założenie, że kilkadziesiąt czołgów 4. Korpusu Zmechanizowanego uczestniczyło w składzie grupy zbiorczej komdywa Sokołowa w walkach pod Berdyczowem (7–15 lipca). Jednakże wszystkie te wyliczenia w żaden sposób nie dają wyjaśnienia przyczyn zagadkowego zniknięcia dziewięciuset czołgów. W dodatku najwięcej ich utracono już w pierwszych 5–10 dniach wojny. Na przykład spośród 150 czołgów 63. Pułku Czołgów 32. DPanc, do 3 lipca sprawne i gotowe do walki były jedynie 32 maszyny [8].

Należy przyjąć, że jedną z najlepszych w okręgu była 8. Dywizja

Pancerna 4. KZmech. Założenie takie można wysnuć choćby na podstawie tego, jak 8. DPanc, była uzbrojona: 50 KW, 140 T–34, 68 trzywieżowych T– 28, 31 BT–7 i 36 T–26— w sumie 325 czołgów. Liczbą najnowszych czołgów jedyna tylko 8. DPanc, przewyższała cztery

korpusy zmechanizowane frontów Północnego i Północno–Zachodniego.

A oto, jak dowódcę 8. Dywizji Pancernej opisuje N. K. Popiel: *„Patrzę na niego z podziwem — natura nie pożałowała temu człowiekowi niczego: ani urody, ani mądrości, ani odwagi, ani czaru* (...)*Czerwonoarmiści opowiadają legendy o jego wyczynach w Hiszpanii i Finlandii. Fotczenko ma już cztery ordery* (...)*Dowódcy w lot rozumieją każde jego słowo. Przełożeni na odprawach stawiają go za wzór. I nie jest to tania popularność, owoc lekkiej kokieterii. Fotczenko oddany jest służbie wojskowej"*.
Teraz pozostaje nam tylko otworzyć meldunek 15. KZmech.
I przeczytać, w jakim stanie dywizja ta przybyła do rejonu wyjściowego w celu wykonania przeciwuderzenia pod Beresteczkiem: *„Przekazana do wzmocnienia 15. Korpusu Zmechanizowanego 8. Dywizja Pancerna posiadała zbiorczy pułk czołgów w składzie 65 czołgów"*. 65 z 325. A przecież, będąc w składzie 4. KZmech., dywizja praktycznie nie uczestniczyła w poważnych walkach. O tym, gdzie przepadły po cztery z każdych pięciu czołgów 8. DPanc., historia na razie milczy...
Jak już zauważyliśmy, w walkach pierwszego tygodnia wojny nie uczestniczyła także 41. DPanc. 22. KZmech., jednakże z 415 czołgów (31 KW i 384 T–26 różnych modyfikacji) do 29 czerwca w szyku pozostało 106 czołgów T–26 i 16 KW [8, 92]. Po siedmiu dniach wojny przepadły 293 czołgi! Wspominaliśmy już, że spośród 163 czołgów 19. Dywizji Pancernej na miejsce bitwy pod Wojnicą dotarło tylko 45. Bez śladu przepadł pułk czołgów 215. Dywizji Zmechanizowanej tego samego 22. KZmech.
Autor, jak na razie, nie dysponuje dokładnymi danymi o rozmiarach niebojowych strat 8. KZmech. Źródła podają całkowicie różne ich oceny. Na przykład w znanym przeglądzie działań związków zmechanizowanych frontów, sporządzonym w Głównym Zarządzie Pancerno–Samochodowym Armii Czerwonej już po rozformowaniu korpusów zmechanizowanych [**WIŻ**, 1988, nr 11], stwierdzono, że 8. Korpus Zmechanizowany *„w czasie*

przemarszów pozostawił na drogach niemal 50% posiadanego sprzętu bojowego".
Dowódca 8. Korpusu Zmechanizowanego Riabyszew we wspomnieniach pisze, że *„w czasie marszu o długości niemal 500 kilometrów korpus* (...) *utracił około połowy czołgów starszych typów"*, co nie jest jednoznaczne z poprzednim stwierdzeniem. Dalej Riabyszew przytacza dane o stratach i ilości pozostających w linii czołgów, których zsumowanie pozwala wyciągnąć wniosek co do tego, że także po

walkach i stratach pierwszego dnia natarcia (26 czerwca) korpus dysponował jeszcze sześcioma setkami czołgów (w tym ponad 110 KW i T–34), co stanowiło nie połowę, ale dwie trzecie jego stanu wyjściowego.
Wreszcie ze wspomnień N. K. Popiela wynika, że 25 czerwca, w momencie wejścia w rejon wyjściowy do przeciwuderzenia w rejonie Brodów, w korpusie było około siedmiuset czołgów.
Konkretne wyobrażenie o tym, jak wyglądał *„pomór"* czołgów, daje u n i k a t o w y d o k u m e n t opublikowany na stronie internetowej *„Korpusy Zmechanizowane RKKA"*. To pełny wykaz wszystkich ciężkich pięciowieżowych czołgów T–35 ze składu 34. DPanc. 8. KZmech. ze wskazaniem daty, miejsca i przyczyny utraty czołgu.
Przypomnijmy, że czołgi te (w lecie 1941 roku bezsprzecznie przestarzałe) stanowiły połączenie potężnego uzbrojenia ze słabym, odpornym jedynie na kule karabinowe opancerzeniem. Dowolna niemiecka armata przeciwpancerna mogła bez problemu przebić pancerz burtowy tego wysokiego na trzy metry cudaka. Wydawałoby się, że straty bojowe wśród czołgów tego typu powinny być szczególnie duże. Ale w rzeczywistości tylko przy 6 na 47 czołgów (13%) jako przyczynę utraty wskazano *„zniszczony w boju 30 czerwca"* (to ostatni bój 8. KZmech. pod Dubnem, o którym opowiemy nieco później). Gdzież więc wszystkie pozostałe?
Jeden czołg przepadł bez wieści, dwa ugrzęzły w bagnie, dwa spadły z mostu do rzeki. Pozostałe 36 czołgów (77%) utracono z powodu różnego rodzaju niesprawności technicznych. Na przykład czołg nr 715/62 został porzucony przez załogę we
Lwowie z powodu *„uszkodzenia napędu wentylatora"*, przy czym stało się to 29 czerwca, czyli po pięciu dniach, odkąd 34. DPanc, porzuciła ten rejon i ruszyła ku Brodom. Czołg nr 234/42 pozostawiono w północnej

dzielnicy Lwowa, jakoby z powodu *„spalenia sprzęgła głównego"*, dopiero 3 lipca, czyli w cztery dni po opanowaniu miasta przez Niemców!
W ogóle *„historia"* i *„geografia"* w tym zestawieniumają się nijak do siebie. Co najmniej w wypadku 12 czołgów jako miejsca ich utraty wskazano rejony, które dywizja opuściła kilka dni wcześniej. Główną techniczną niesprawnością, będącą przyczyną utraty 22 czołgów, były uszkodzenia układu przeniesienia napędu i transmisji (*„spalenie sprzęgła"*), co w równym stopniu może być związane ze zużyciem sprzętu, jak i z nieumiejętnym (albo zamierzonym) działaniem mechanika–kierowcy.
Dwa ostatnie w wykazie czołgi uszkodzone zostały 9 lipca w rejonie Wołoczyska (50 kilometrów na wschód od Tarnopola), i na tym historia

„bojowego zastosowania" T–35 się zakończyła.
O wiele lepiej od innych została udokumentowana historia klęski 15. KZmech. — mamy do dyspozycji trzy meldunki o działaniach bojowych (jako korpusu w całości i każdej jego dywizji pancernej z osobna) [8]. Na podstawie tych dokumentów wiemy, że w 10. Dywizji Pancernej według stanu na 22 czerwca znajdowały się 363 czołgi. Wśród nich były także technicznie niesprawne, dlatego do marszu przystąpiło 318 czołgów, czyli 88% stanu wyjściowego. Nawiasem mówiąc, to bardzo dobry, jak na ówczesną technikę, współczynnik: na przykład w Wehrmachcie (według stanu na 1 czerwca 1941 roku) w gotowości bojowej znajdowało się 92% stanu wyjściowego czołgów [1, s. 484]. W boju pod Radziechowem (23 czerwca), a także w innych, dokładnie wyliczonych w meldunku o działaniach bojowych 24–26 czerwca 10. DPanc, straciła 53 czołgi. Pytanie dla pierwszoklasisty: ile czołgów powinno pozostać w dywizji?
W meldunku o działaniach 15. KZmech., podpisanym przez pułkownika Jermołajewa (który zastąpił na stanowisku dowódcy korpusu kontuzjowanego generała Karpeza), czytamy:
„Do końca dnia 26.06.41 roku oddziały korpusu posiadały: 10 Dywizja Pancerna— czołgów KW — 10, T–34 — 5, T–28 — 4, BT–7 — 20 sztuk".
W całej dywizji pozostało 39 czołgów?!
Przyznaję — czytając to zdanie po raz pierwszy, nawet nie bardzo się zdziwiłem: błąd, jaki nie powinien się zdarzyć… Ale nie, dalej w meldunku przytacza się ogólną liczbę czołgów w całym korpusie. Wszystko się zgadza,

błędów nie ma: 10. DPanc, jeszcze przed głównymi wydarzeniami przekształciła się w mocno poturbowaną kompanię czołgów.
Bardzo szczegółowy meldunek 10. DPanc, pozwala skonkretyzować skład tego *„nie odnotowanego spadku"*:
— KW: wyruszyło 63, utracono w walce 13, pozostało 10, *„nie odnotowano"* — 40;
— T–34: wyruszyło 37, utracono w walce 6, pozostało 5, *„nie odnotowano"* — 26;
— T–28: wyruszyło 44, utracono w walce 0, pozostały 4, *„nie odnotowano"* — 40;
— BT–7: wyruszyło 147, utracono w walce 32, pozostało 20, *„nie odnotowano"* — 95;
— T–26: wyruszyło 27, utracono w walce 0, pozostało 0, *„nie odnotowano"* — 27.
Mała uwaga: pod Radziechowem, w wieczornym boju 22 czerwca, utracono jeszcze dwa czołgi, których typu w dokumentach nie wymieniono.
W sumie w ciągu pięciu dni nie wiadomo gdzie p r z e p a d ł o 228

czołgów (w tej liczbie 40 KW i 26 T–34), które — co bardzo ważne — na początku działań uznano za c a ł k o w i c i e s p r a w n e!
Tutaj autor uważa za konieczne przerwać opisywanie *„pancernego pomoru"* w korpusach zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego i coś czytelnikowi wyjaśnić.
Kwestię odpowiedzialności osobistej każdego dowódcy czołgu, dowódcy pułku i dywizji za utratę porzuconej na poboczu maszyny powinien rozpatrzyć trybunał wojskowy. Autor tej książki nie uważa się za prokuratora wojskowego, nie ma jego uprawnień i do miana tego nie pretenduje. Ale żaden sumienny historyk nie ma prawa ignorować — a tym bardziej ukJYwać przed czytelnikiem— owego masowego zjawiska.
Jeśli trzy czwarte (dokładnie — 72%) sprawnych i znajdują, cych się 22 czerwca w gotowości bojowej czołgów 10. Dywizji Pancernej w ciągu pięciu dni przepada nie wiadomo gdzie oznacza to jedynie, że tej dywizji pancernej w rzeczywistości n i e b y ł o. Była tylko masa uzbrojonych ludzi bez dowódców, która stopniowo przekształciła się w masę nieuzbrojonych, a następnie — w kolumnę jeńców wojennych, żałośnie majaczących na zakurzonej drodze…
Niedowierzający czytelnik z pewnością pomyśli, że specjalnie *„wykopaliśmy"* najbardziej niedołężną dywizję i teraz *„spekulujemy na temat pewnych niedostatków"*. Niestety nie.
10. DPanc, była jedną z lepszych — w każdym razie jedyną dywizją pancerną, której pomyślne działania w starciu pancernym na zachodniej Ukrainie zauważyli autorzy klasycznej 12–tomowej **Historii Drugiej Wojny Światowej**:
„W walkach pod Radziechowem wyróżnili się żołnierze 10. Dywizji Pancernej (…)*Wielu żołnierzy, dowódców i pracowników politycznych dywizji odznaczono orderami i medalami"*[49].
Początkowo o wiele mniejsze były straty niebojowe w 37. Dywizji Pancernej 15. KZmech., chociaż i ona, tak jak 10. DPanc., przez trzy dni błąkała się po lasach wokół Radziechowa. Z 316 czołgów, będących na wyposażeniu 37. DPanc, przed wojną, do marszu przystąpiło 285 (90%). Z tego pod koniec 26 czerwca w linii pozostawało aż 211 czołgów (26 T–34, 177 BT–7, 8 T–26).
Niestety, 37. DPanc, także szybko doszła do *„wspólnego mianownika"*: już 8 lipca z 211 czołgów w linii pozostały 2 czołgi T–34 i 12 BT — i to po tym, jak w jedynym boju28 czerwca (co wynika z meldunku dowódcy 37. DPanc.) utraciła ona nie więcej niż 20 czołgów.
Cóż więc się stało?
Lubię radzieckich *„historyków"* za wytrwałość i pomysłowość. My jeszcze nie zdołaliśmy zadać pytania, kiedy oni mają gotową odpowiedź: *„Czołgi radzieckie były niepewne, prymitywne, zużyte, z przechodzonymi resursami silników, jednym słowem — stalowe trumny"*.

Takie wyjaśnienie, które najpewniej wyda się dość prawdopodobne współczesnemu *„Rosjaninowi"*, publikujemy dlatego, że dzisiaj nawet gniazdka wtykowe, sznurek i lampki Rosja kupuje w wysoko rozwiniętej Malezji czy Singapurze. Ale nie zawsze byliśmy taką zapadłą dziurą, nie zawsze...
W maju 1933 roku, w ramach wieloletniej współpracy Armii Czerwonej i Reichswehry, grupa niemieckich oficerów z generałem Bokkelbergiem zwiedziła wiele radzieckich zakładów przemysłowych. Jak jest to u nas przyjęte, każde słowo, które wymienili między sobą Niemcy, utrwalano na

49 — Por. **Historia Drugiej Wojny Światowej 1939–1945**, t. 4, MON, Warszawa 1979, s. 55.

piśmie, a ich pisemne meldunki z podróży przechwytywano. W rez ultacie wiadomo było, jakie wrażenie wywarło na Niemcach to, co zobaczyli w Rosji Radzieckiej: *„Zakład Lotniczy nr 1* (dawny Duks) — *pięknie wyposażony* (...) *kombinat chemiczny Bobriki — supernowoczesny, fabryka silników lotniczych w Aleksandrowsku— także nowoczesny zakład, dobre zarządzanie* (...)*ogólny wniosek: nowo budowane zakłady przemysłowe sprawiają wyjątkowo dobre wrażenie* (...) *współpraca z radzieckim przemysłem zbrojeniowym ze względów techniczno–wojskowych byłaby bardzo pożądana"*.

Podczas zwiedza nia Charkowskiej Fabryki Traktorów Bokkelberg, *„oszołomiony rozmachem produkcji, olbrzymimi rozmiarami hal fabrycznych i najnowszym amerykańskim oprzyrządowaniem"*, powiedział dosłownie: *„Chciałoby się mieć taki magnes, aby za jednym zamachem przerzucić tę fabrykę do Niemiec"* [71, s. 318].

W dokumentach nie mają potwierdzenia także bajki o nadzwyczajnym zużyciu naszego sprzętu bojowego u progu wojny. Przeciwnie, gigantyczna pojemność naszej produkcji zbrojeniowej pozwalała bardzo szybko odnowić park sprzętu pancernego.

Otwieramy ***„Meldunek o działaniach bojowych 10. Dywizji Pancernej na froncie walki z niemieckim nazizmem"*** [8] i czytamy:
„Czołgi KW i T–34 wszystkie bez wyjątku były maszynami nowymi i do rozpoczęcia działań bojowych przepracowały po 10 godzin (przeszły dopiero proces docierania) (...)
Czołgi T–28 miały, średnio, zapas 75 motogodzin.
Czołgi BT–7 posiadały zapas od 40 do 100 motogodzin (...)
Czołgi T–26 w większości były w dobrym stanie technicznym i przepracowały w sumie zaledwie po 75" (ze 150 motogodzin, po których następował planowy remont średni).
Innymi słowy, nawet najbardziej *„zużyte"* czołgi — spośród

znajdujących się na stanie 10. DPanc., posiadały zapas 40 motogodzin, co przy bardzo skromnej — jak na czołg szybki — prędkości 20 kilometrów na godzinę przekłada się na zasięg w granicach 800 kilometrów. Z takim zapasem motogodzin można było przejść spod Brodów do Lublina i z powrotem. Dwa razy.

Otwieramy ostatnie przedwojenne ***„Zestawienie ilościowe i stan techniczny maszyn bojowych według stanu na 1 czerwca 1941 roku"*** [104] czytamy, że spośród 5465 czołgów Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego zupełnie nowe, jeszcze nie eksploatowane, były 1124 czołgi, kolejne 3664czołgi (67%) uważano za *„w pełni sprawne i nadające się do wykorzystania"*, a tylko 677 czołgów (12%) wymagało średniego i kapitalnego remontu.

Mało tego, w tym samym meldunku o działaniach bojowych 10. DPanc, napisano:
„Żołnierze i dowódcy dywizji mówią o naszych czołgach jako o bardzo pewnych maszynach".
Żołnierze i dowódcy, z pewnością, przesadzają. Jakość wykonania radzieckich czołgów daleka była od ideału. Inżynierowie amerykańscy z poligonu ćwiczebnego w Aberdeen, badający pod koniec 1942 roku nasze czołgi T–34 i KW, zauważyli ogólnie znane zalety: *„Kształt korpusu T–34 jest lepszy niż we wszystkich innych znanych maszynach* (…) *armata F–34— bardzo dobra, prosta, działa niezawodnie i jest łatwa w obsłudze* (…) *przyrządy celownicze — najlepsze na świecie, nie mogą się z nimi równać żadne z istniejących lub opracowywanych w Ameryce* (…) *diesel bardzo dobry, lekki* (…)*oba czołgi pokonują wzniesienia lepiej niż jakikolwiek z czołgów amerykańskich* (…)*radiostacje są zwarte i świetnie rozmieszczone w maszynach"*, ale przy tym bardzo sceptycznie odnieśli się do jakości wykonania tych cudownych czołgów: *„Silnik obrotu wieży okropnie iskrzy, w rezultacie przepalają się bezpieczniki regulacji szybkości obrotu, kruszą się zęby kół zębatych (…) Sworznie ogniw gąsienic są po prostu źle hartowane i wykonane z kiepskiej stali, w rezultacie bardzo szybko zużywają się i gąsienice często się rwą* (…) *filtr powietrza w ogóle nie oczyszcza powietrza wpadającego do silnika, przedostający się do cylindrów pył prowadzi do bardzo szybkiego ich zużycia* (…)*analiza chemiczna zębów kół zębatych układu przeniesienia napędu wykazała, że ich hartowanie jest niewłaściwe i nie odpowiada żadnym amerykańskim normom dla podobnych części mechanizmów* (…)*nadzwyczaj niedbała obróbka mechaniczna i kiepska stal"* [87].
Rozumie się, krytyczne uwagi inżynierów amerykańskich wyglądałyby o wiele bardziej wiarygodnie, gdyby czołgi amerykańskie (a samych tylko shermanów M4A2 w ramach Lend–Lease dostarczono do ZSRR ponad cztery tysiące) cieszyły się miłością radzieckich czołgistów. Należy mieć na uwadze i to, że Amerykanie badali *„trzydziestkęczwórkę"* produkcji wojennej (co tłumaczy niskie kwalifikacje robotnic i podrostków przy

warsztatach, dotkliwy brak stali szlachetnych, tysiące wdrażanych *„racjonalnych propozycji"* zmierzających do maksymalnego uproszczenia konstrukcji i zmniejszenia kosztów jej produkcji).
Ale nie to jest najważniejsze. Sedno tkwi w tym, że ani przed latem 1941 roku, ani później tak masowego *„pomoru"* czołgów radzieckich nigdy nie odnotowano.
Pierwszym epizodem wojennego zastosowania czołgów BT była wojna w Hiszpanii. Tak więc w 1937 roku *„beteszki"* w drodze na front aragoński wykonały 500–kilometrowy marsz szosą na kołach (pozwalały na to teren i pogoda) bez żadnych awarii. Półtora roku później, latem 1939 roku, czołgi ze składu 6. Brygady Czołgów wykonały 800–kilometrowy marsz nad Chałchyn–goł, tym razem na gąsienicach i także prawie bez uszkodzeń.
W sierpniu 1945 roku czołgi BT frontów Zabajkalskiego, i 2. Dalekowschodniego wzięły udział w tak zwanej mandżurskiej operacji strategicznej. Wtedy brygady pancerne 1 musiały przejść po 800 kilometrów przez górskie grzbiety \ Wielkiego Chinganu— i stare *„beteszki"* (najnowsze z nichwyprodukowane zostały pięć lat wcześniej) wytrzymały taką próbę. A przecież jeśli nawet założyć, że czołgi przez całe pięć lat po prostu były w konserwacji, to i w tym wypadku ich stan techniczny mógł się tylko pogorszyć: popękały węże gumowe *„wycisnęły"* się podkładki uszczelniające, korozja podjadła styki...
Historia czołgu T–34, jak pisano o tym we wszystkich książkach, rozpoczęła się od tego, że w marcu 1940 roku dwa pierwsze czołgi doświadczalne o własnych siłach przeszły 3000 km po trasie Charków–Moskwa–Mińsk–Kijów–Charków. Przebyły tę trasę w czasie wiosennych roztopów, po drugorzędnych drogach (z powodu zachowania tajemnicy nie mogły maszerować po głównych magistralach, a nawet wykorzystywać mostów w porze dziennej). Taki marsz dał się sprzętowi we znaki — paliły się okładziny na tarczach sprzęgła, uszkodzone zostały koła zębate przekładni, paliły się hamulce. W końcu międzyremontowy przebieg dla czołgów średnich określono nie na 3000 (jak przewidywano w wymaganiach technicznych), ale na 1000 kilometrów.
W czasie siarczystych mrozów w styczniu 1943 roku, w toku operacji zaczepnej *„Don"*, radzieckie brygady pancerne przeszły ponad 300 kilometrów po zaśnieżonym dońskim stepie i rozgromiły znaczne siły niemieckiej Grupy Armii *„A"*, która latem 1942 roku przedarła się ku rejonom naftowymMozdoku i Groźnego. W maju 1945 roku czołgi 3. i 4. Armii Pancernej przeszły 400 kilometrów spod Berlina do Pragi. : W terenie górzysto–lesistym, w ciągu pięciu dni i bez znacznych strat z powodów technicznych.
Legendarna *„trzydziestkaczwórka"* przeszła całą wojnę, w wielu armiach świata pozostawała ona na wyposażeniu do połowy lat

sześćdziesiątych. I nikt nigdy nie skarżył się na to, że rozsypuje się ona po przejściu 60 kilometrów (odległość z Brodów do Radziechowa). W armii fińskiej pewna ilość zdobycznych ciągników artyleryjskich Komsomolec przesłużyW do 1961 roku! Bez części zapasowych, bez instrukcji eksploatacji wśród fińskich śniegów i bagien. Nie mniej wyrazista jest także statystyka ciężkich ciągników artyleryjskich Komintern. Przed wojną przemysł wyprodukował i przekazał wojsku 1712 maszyn. Paniczne Przebazowanie pierwszych miesięcy wojny doprowadziło do tego, że 1 września 1942 roku w linii pozostały tylko 624 ciągniki. Ale przez kolejne trzy lata wojny utracono w sumie… 56 sztuk [87].

Zdaniem autora, klucz do zrozumienia przyczyn masowych strat sprzętu bojowego w lipcu 1941 roku znaleźć można nawet w tym samym meldunku dowódcy 10. DPanc. 15. KZmech. Czytamy w nim: *„Spośród 800 maszyn kołowych, które rozpoczęły marsz, utracono: 210 maszyn w wynikuwalk, 34 samochody pozostały z kierowcami w okrążeniu przeciwnika z powodu niesprawności technicznych oraz braku materiałów pędnych i smarów, 2 maszyny zniszczono na punkcie zbornym uszkodzonych maszyn* (…)*6 samochodów utkwiło na przeszkodach* (…) *41 samochodów pozostawiono przy wycofaniu się dywizji z powodu niesprawności technicznych"*.

Dlaczego mówimy tu o pojazdach kołowych? — spyta zniecierpliwiony czytelnik. Nie będziemy się spieszyć z odpowiedzią.

Będziemy liczyć, zadawać pytania i myśleć.

Liczba pozostawionych i uszkodzonych ciężarówek nie przewyższała 10% ich ogólnej liczby. Cóż więc to za wielce zawodne i mające olbrzymie problemy w terenie maszyny? Odpowiadamy: 503 GAZ–AAi 297 ZIS–5.

Czy wiesz, co to takiego— półtoratonówka GAZ–AA? Nie, nie możesz tego wiedzieć. Przedni most na jednym resorze, a i ten w poprzek ramy, tylny most zawieszony na dwóch blokach — półresorach, wał przegubowy bez przegubu, gaźnik bez filtra powietrza (zwykła dziura i zasysa wszystko, jak w odkurzaczu). Przy zawrotnej prędkości 40 kilometrów na godzinę utrzymać ten pojazd we właściwym kierunku mogła tylko głęboka koleina. Po dwóch, trzech*„kursach"* z kołchozowego klepiska do miejskiego elewatora kierowca półtoratonówki z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku przekazywał ją do remontu: trzeba było ściągnąć łożyska wału korbowego, przemyć zasysający jak odkurzacz gaźnik oraz wykonać inne naprawy.

I takie oto maszyny niemal bez uszkodzeń przeszły co najmniej 500 kilometrów (w meldunku podano liczbę 3000 kilometrów) od granicy do Dniepru, gdy w czasie tego samego marszu wszystkie czołgi miały uszkodzenia albo grzęzły w bagnie? Jak można to pogodzić? Czyż

biedna półtoratonówka dysponowała większą możliwością pokonywania terenu i odpornością na ataki z powietrza aniżeli opancerzone maszyny gąsienicowe, z których część (BT–7, T–34) według wszelkich wskaźników mobilności uważana była za najlepsze czołgi na świecie?
No i znowu… wykopał cyferkę, przyczepił się do niej i rozdmuchał pojedynczy przypadek w całą teorię — pomyśli pewnie ten i ów czytelnik. Krytykę uznaję za słuszną. Spróbujmy więc uogólnić sytuację. Dlatego ponownie zaczerpniemy z oficjalnego źródła — wielokrotnie cytowanej monografii rosyjskiego Sztabu Generalnego **Grif**…
Twórcy tego dzieła pracowali uczciwie. Na czternastu stronach przeliczono straty w uzbrojeniu i sprzęcie bojowym według lat wojny. Czołgi osobno, działa osobno, haubice 122–mm oddzielnie od haubic 152–mm itd. Straty wyrażono nie tylko w liczbach absolutnych, ale także w procentach od *„zasobów"*, czyli ogólnej liczby sprzętu znajdującego się w wojskach na początku wojny i napływającego z przemysłu (z Lend–Leasu, po remoncie).
Tak więc w drugim półroczu 1941 roku odsetek strat był zadziwiająco wysoki. 73% czołgów, 70% dział przeciwpancernych, 60% haubic, 65% ręcznych karabinów maszynowych, 61% moździerzy… Chociaż, wydawałoby się, co można uszkodzić w moździerzu? Przecież to tylko rura… Na tym tle jak promień światła w ciemności przedstawiają się szacunki strat w samochodach: tylko 33,3% w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku.
Cuda! Prymitywne półtoratonówki i ZIS–y okazują się dwa razy bardziej niezawodne i długowieczne niż moździerze? Kabiny ze sklejki okazały się trwalsze od opancerzonych korpusów czołgów? I paliwo się znalazło?
Samochód — to przecież nie koń, a już tym bardziej nie czerwonoarmista — jakkolwiek by *„wpływać na świadomość"*, bez paliwa nawet nie ruszy…
Odpowiedź jest jasna, chociaż bardzo drastyczna: dla zdemoralizowanego, owładniętego paniką tłumu czołgi i działa, karabiny maszynowe i moździerze stanowią ciężar. Mało że czołgi pełzną powoli, to jeszcze ze względu na ilość zmuszają do walki. Oto dlaczego zaczęto pospiesznie się ich pozbywać. A ciężarówkę — nawet tę najsłabszą — oszczędzano. Ona o wiele lepiej nadaje się do tego, aby się przebazować na głębokie tyły, a nawet fikusa ze sobą zabrać.
Właśnie w tym— w czynniku ludzkim, a nie w*„złym hartowaniu zębów kół zębatych"* dostrzega autor główną przyczynę masowego pomoru czołgów Armii Czerwonej w lecie 1941 roku.

CZWARTEK, 26 CZERWCA

Tego właśnie dnia o godzinie 9 rano, zgodnie z nową decyzją dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego, powinnosię rozpocząć przeciwuderzenie czterech korpusów zmechanizowanych na włamujące się w kierunku Dubna zgrupowanie pancerne przeciwnika. Właśnie ten dzień był pierwszym dniem pancernego starcia.

Jednakże zanim przystąpimy do szczegółowego opisu prze biegu i rezultatów tej operacji, postaramy się jak najdokładniej przedstawić przebieg czterodniowego rozwijania wojsk radzieckich, ich dyslokację, a także skład i rozmieszczenie sił przeciwnika.

Żadnej linii frontu, w dosłownym znaczeniu, w tym dniu na zachodniej Ukrainie nie było. Były poszczególne rejony działań bojowych, oddzielne rubieże obrony oddziałów 5. i 6. Armii, które nie utraciły jeszcze zdolności bojowej, a także drogi i mosty, po których (często przeszkadzając sobie nawzajem) faszerowały zmechanizowane kolumny dywizji pancernych Wehrmachtu i Armii Czerwonej.

Sytuacja na północnym skrzydle Frontu Południowo– Zachodniego przedstawiała się następująco. Na prawym skrzydle 5. Armii generała Potapowa, w lesisto–bagiennym rejonie ukraińskiego Polesia, piechota niemiecka powoli przemieszczała się w kierunku Kowla. W pasie obrony 6. Armii generała Muzyczenki piechota niemiecka odrzuciła wojska radzieckie na 40–50 km od granicy, na rubież miast Jaworów i Żółkiew (Niestierów).

Na kierunku głównego uderzenia, wąskim na 50 kilometrów *„korytarzem"* na styku 5. i 6. Armii, nacierały dwa korpusy zmotoryzowane przeciwnika: III KZmot. (14. i 13. Dywizja Pancerna, 25. Dywizja Zmotoryzowana) oraz XXXXVin KZmot. (11. i 16. Dywizja Pancerna oraz 16. Dywizja Zmotoryzowana). Maszerowały one praktycznie równolegle: III KZmot. wzdłuż szosy Uściług–Łuck–Równe, a XXXXVIII KZmot. w kierunku Sokal–Beresteczko–Dubno. Pod koniec dnia 25 czerwca niemieckie kolumny pancerne rozciągnęły się na dziesiątki kilometrów, tak że wskazanie dokładnego miejsca dyslokacji każdej z wymienionych dywizji jest praktycznie niemożliwe.

Największego skoku dokonał XXXXVIII KZmot.: nacierająca w pierwszym rzucie 11. DPanc., po zajęciu Dubna siłami głównymi, oddziałami czołowymi już nacierała na Mizocz–Ostróg; dywizje drugiego rzutu korpusu (16. Pancerna i 16. Zmotoryzowana) rozciągnęły się na 50 kilometrów wzdłuż drogi Beresteczko–Kozin–Krzemieniec.

III KZmot. Wehrmachtu, który w pierwszych dniach wojny napotkał na szosie łuckiej zacięty opór wojsk radzieckich, 25 czerwca za cenę dużych strat zajął Łuck, ale nie zdołał posunąć się dalej w kierunku

Równego. Wtedy też niemieckie dowództwo zdecydowało nieco przebudować szyki: 14. DPanc, i 25. DZmot. zaczęły się w walce przełamywać na północny wschód, ku rzece Horyń w rejonie Cymań–Klewań–Dierażno, a 13. DPanc, skierowała się na południe na Dubno, prawdopodobnie w celu wyjścia na szosę Dubno–Równe. W ten sposób trzy spośród czterech niemieckich dywizji pancernych (13., 11. i 16.) ześrodkowały się rankiem 26 czerwca w okolicach miasta Dubno.

Na początku działań bojowych w składzie tych trzech dywizji znajdowało się w sumie 438 czołgów, w tym 139 Pz. z 50-mmarmatą oraz 60 Pz. IV. Oto i całe siły przeciwnika które teoretycznie mogłyby wziąć udział w *„największym starciu pancernym pod Dubnem"*. Wliczając straty poniesione przez Niemców w toku czterodniowego natarcia, czołgów w gotowości bojowej powinno być znacznie mniej. Co zaś się tyczy jeszcze jednej dywizji pancernej wchodzącej w skład 1. GPanc. Wehrmachtu (9. DPanc.), to znajdowała się ona w odwodzie dowódcy grupy i w tym czasie nie przeszła jeszcze granicy radzieckiej — z bardzo prostej przyczyny zresztą.

26 czerwca Halder zapisał w swoim dzienniku[50]:
„Znajdujący się jeszcze w odwodzie korpus pancerny v. Wietersheima[51] *nie może na razie pójść na front z powodu złego stanu dróg, które i bez tego zajęte są przez tabory i nie mogą być wykorzystane do przerzutu czołgów"* [12].
Cóż mogło przeciwstawić tym siłom dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego?
22. KZmech. był już rozgromiony, 16. KZmech. przekazany w skład Frontu Południowego, nieliczny i słaby 24. KZmech. pozostawał w odwodzie frontu, najsilniejszy 4. KZmech. pod dowództwem Własowa i Muzyczenki po prostu ignorował rozkazy dowództwa frontu i wzbraniał się przed planowanym udziałem w przeciwuderzeniu. Rankiem 26 czerwca w starciu pancernym mogły więc wziąć udział jedynie cztery korpusy: 9., 19., 15. i 8.
Klin wbity przez niemieckie dywizje pancerne podzielił zgrupowanie uderzeniowe Frontu Południowo–Zachodniego na dwie nierówne części:
— *„północną"* (9. KZmech. Rokossowskiego i 19. KZmech. Fieklenki), która powinna była wykonać uderzenie na Dubno z północnego wschodu, z rejonu m. Równe;
— *„południową"* (8. KZmech. Riabyszewa i 15. KZmech. z przydzieloną mu 8. Dywizją Pancerną 4. KZmech.), która miała nacierać na Dubno–Beresteczko z południa, z rejonu m. Brody.
Od razu odnotujmy i ten wielce znaczący fakt, że dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego nie tylko nie zorganizowało trwałego współdziałania i łączności pomiędzy oboma zgrupowaniami, ale także nie przekazało dowódcom wiadomości o planach i działaniach

sąsiadów.
Na przykład generał Riabyszew pisze, że dopiero w drugiej połowie dnia 27 czerwca na stanowisko dowodzenia korpusu *„przybył szef wojsk pancerno–samochodowych frontu generał major P. N. Morgunow. Oświadczył* (...) *że z północnego wschodu na Dubno powinny wykonać uderzenie na przeciwnika także 9. Korpus Zmechanizowany generała majora K. K. Rokossowskiego z rejonu Klewani, a 19. Korpus Zmechanizowany generała majora N. W. Fieklenki — z rejonu Równego. Informacja ta była dla mnie niespodzianką. Morgunow wyjechał do 15. Korpusu Zmechanizowanego i żadnych dyspozycji nie wydał"* [113].
W sprawozdaniu o działaniach bojowych 43. Dywizji Pancernej (19. KZmech.) czytamy:
„W ciągu całego marszu, aż do 26.06.41 roku, żadnej informacji od wyższych sztabów o położeniu na froncie sztab dywizji nie otrzymał".
A co się zmieniło po 26 czerwca? Dalej czytamy:
„Żadnych danych o przeciwniku i działaniach naszych oddziałów na froncie sztab dywizji nie miał, nasze lotnictwo także nie pomogło zorientować się w sytuacji" [8].
Dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego W. S. Archipow — wówczas dowódca batalionu rozpoznawczego 43. Dywizji Pancernej — we wspomnieniach pisze:

[50] — Tłumaczenie z ros.; por. Halder, *op. cit*., s. 41. [51] — Chodzi o XIV Korpus Zmotoryzowany.

„Kiedy wieczorem 26 czerwca (...)*nasza dywizja doszła do Dubna, nikt z nas nie wiedział, że z południa pomyślnie posuwa się na spotkanie z nami 8. Korpus Zmechanizowany generała D. I. Riabyszewa* (...) *podobna sytuacja powtórzyła się również następnego dnia, kiedy* (...)*my i nasi sąsiedzi — piechota z 36. Korpusu Strzeleckiego, wyszliśmy na przedpole Dubna, ale nie wiedzieliśmy, że do miasta wdarła się już 34. Dywizja Pancerna pułkownika I. W. Wasiliewa z 8. Korpusu Zmechanizowanego"* [109].

A oto jak 28 czerwca widział sytuację Popiel, który akurat znajdował się w ugrupowaniu bojowym tejże 34. Dywizji Pancernej, która wdarła się do Dubna: *„Gdzież one, obiecane przez Radę Wojenną frontu korpusy które miały przyjść nam z pomocą? Jesteśmy sami, jedni jedyni, bez sąsiadów, łączności, wiadomości* (...)*Front nie wiadomo gdzie"* [105].

I to wtedy, gdy rankiem 28 czerwca 1941 roku zgrupowania *„północne"* i *„południowe"* dzieliły zaledwie kilometry!
Otwieramy wspomnienia marszałka Rokossowskiego, czytamy[52]:
„Nikomu nie powierzono koordynowania działań trzech korpusów. Wprowadzano je do walki częściami i z marszu (...) *Z oderwanych*

informacji w jakiejś mierze udawało się wyciągnąć wnioski co do tego, co się dzieje na naszym kierunku. Jak mają się sprawy na odcinkach pozostałych armii Frontu Południowo–Zachodniego, nie wiedzieliśmy. Widocznie generał Potapow też nie był w lepszej sytuacji. Jego sztab, przez cały okres mojego dowodzenia 9. Korpusem Zmechanizowanym, ani razu nie zdołał nam pomóc w tej sprawie" [111].
Należy wspomnieć i o tym, że wszyscy dowódcy we wszystkich meldunkach jednym głosem mówią o braku jakiegokolwiek współdziałania z lotnictwem, które nie osłaniało szyków bojowych nacierających oddziałów pancernych i w żaden sposób nie pomagało im informacją rozpoznawczą. Racjonalnego wyjaśnienia znaleźć w tym wszystkim nie sposób, ponieważ lotnictwo Frontu Południowo–Zachodniego miało w tym czasie do dyspozycji co najmniej półtora tysiąca samolotów i wykonywało (jeśli wierzyć meldunkom) średnio po 550 samolotolotów dziennie! Gdzież więc one latały? Jakież mogło być wtedy ważniejsze zadanie niż wsparcie natarcia uderzeniowego zgrupowania pancernego frontu?

52 — Por. K. Rokossowski, op. *cit.* s. 38–41.

Jakoś nieswojo zajmować się opisem tak nieudolnego i niedorzecznego dowodzenia i po raz trzeci cytować myśl Napoleona o wojennym szczęściu. Lepiej przytoczmy jej rosyjski odpowiednik — *„przed łomem nie ma ochrony"*.

Nawet po uwzględnieniu strat i bałaganu pierwszych dni wojny Front Południowo–Zachodni dysponował jeszcze ogromnymi siłami. Jakkolwiekby było, w składzie samego tylko *„południowego"* zgrupowania uderzeniowego, nie zważając na zagadkowy*„pomór pancerny"* pierwszych dni wojny, było jeszcze około ty. siąca czołgów — dwa razy więcej niż u przeciwnika. Bezsporna była także przewaga jakościowa: około dwustu najnowszych KW i T–34 przeciwko 139 średnim (w każdym znaczeniu tego słowa) czołgom Pz. III z 50–mm armatą w trzech dywizjach niemieckich.
Godny odnotowania szczegół: Halder, którego zapisy w ***Dzienniku*** w pierwszych dniach wojny przesiąknięte były duchem wiary we własne możliwości, 26 czerwca 1941 roku pisze:
„Przeciwnik przez cały czas podciąga z głębi nowe świeże siły przeciwko naszemu klinowi pancernemu (...) *przerzut dywizji piechoty do osłony południowego skrzydła jest niemożliwy z powodu braku wolnych sił. Będziemy pokładać wiarę w Bogu"*[53].
Oczywiście F. Halder, który zaprzedał duszę reżimowi hitlerowskiemu, nie powinien wzywać imienia Boga nadaremnie. Ale sądząc po tym, jak rozwijały się dalsze wydarzenia, Niemcy nie popełnili błędu. Trzeba

przyznać, że dowództwo niemieckie znalazło najpewniejsze, najbardziej odpowiadające sytuacji rozwiązanie: niemieckie dywizje pancerne ocalały przed nieuniknionym pogromem… salwując się u c i e c z ką. Właśnie tak. Żadnego starcia pancernego (podobnego do bitwy pod Prochorowką w lipcu 1943 roku) w czerwcu 1941 roku nie było. Czołgi niemieckie uciekły z pola walki pod Dubnem — ale uciekły nie na własne tyły, lecz do przodu — na w s c h ó d, na głębokie tyły Frontu Południowo–Zachodniego. A zadanie rozbicia radzieckich korpusów zmechanizowanych powierzono niemieckiej piechocie, która wykorzystując niemrawość dowództwa radzieckiego, wcześniej zdołała dojść na piechotę od granicy do rubieży Beresteczko–Dubno, aniżeli radzieckie dywizje pancerne rozwinęły się tam do natarcia.
Oczywiście, jeśli w czerwcu 1941 roku Wehrmachtowi przeciwstawiłaby się zorganizowana, kierowana, doświadczona i chcąca walczyć armia, to taka decyzja dowództwa doprowadziłaby niemieckie wojska na Ukrainie do klęski. Rzucona pod czołgi piechota zostałaby zmiażdżona, a odcięte od linii zaopatrzenia oddziały pancerne same wpadłyby w potrzask, w którym musiałyby zginąć bez paliwa i amunicji.
Ale niemieccy generałowie już zrozumieli (lub intuicyjnie wyczuli), z kim mają do czynienia. Panika, jaka ogarnęła wojska i dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego po przełamaniu czołgów niemieckich na Ostróg– Szepietówkę, okazała się najbardziej efektywnym orężem, o wiele silniejszym aniżeli małokalibrowe armaty czołgów niemieckich, a opór i wytrzymałość niemieckiej piechoty — silniejsze od pancerza i ognia korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej.
Powróćmy jednakże do przedstawienia kolejności wydarzeń.
Rankiem 26 czerwca z rejonu na południe od Równego ruszyła do walki 43. Dywizja Pancerna 19. Korpusu Zmechanizowanego. Niestety,*„pomór pancerny"* dotknął także tę, okrytą w tych tragicznych dniach wiekopomną chwałą dywizję: z 237 czołgów do ataku poszła zbiorcza grupa pancerna w składzie 2 czołgi KW, 2 czołgi T–34 i 75 czołgów T–26.
O rozwoju wydarzeń wiemy z ocalałego meldunku dowódcy 43. DPanc, pułkownika I. G. Cybina:
„Dowództwo 43. Dywizji zatrzymało wycofującą się piechotę i artylerię 228. Dywizji Strzeleckiej, podporządkowało je i wydało rozkaz wejścia do walki wraz z dywizją pancerną. Po zaprowadzeniu niezbędnego porządku podjęto decyzję o natychmiastowym ataku (…)
Artyleria dywizji (43. PAH), ciągnięta przez traktory z szybkością 6 km na godzinę, znajdowała się jeszcze w marszu i do rozpoczęcia ataku nie zdołała otworzyć ognia.
Do dyspozycji dywizji nie było ani jednego samolotolotu, tek że sztab dywizji nie mógł otrzymać żadnych informacjio tym, co dzieje się w głębi obrony przeciwnika, podczas gdy w tym samym czasie lotnictwo

przeciwnika panowało w powietrzu, korygowało ogień artylerii i prowadziło obserwację naszych działań (...)
O 14.00 czołgi dywizji przeszły do ataku, mając na czele dwa czołgi KW i dwa czołgi T–34, z marszu rozwinęły się i huraganowym ogniem obezwładniły system obrony ppanc i szyki bojowe niemieckiej piechoty, która w nieładzie zaczęła się wycofywać na zachód. Nękając piechotę przeciwnika nasze czołgi napotkały ogień czołgów niemieckich z zasadzek i z miejsca, ale wysunięte do przodu KW i T–34(których w dywizji było zaledwie cztery sztuki! — M.S.) *zaatakowały czołgi przeciwnika, a w ich ślady poszły także czołgi T–26* (...)
Czołgi przeciwnika, nie wytrzymując ognia i zdecydowania pancernego ataku, rozpoczęły odwrót, zatrzymując się na skrzydłach, ale szybko zostały wystrzelane przez nasze czołgi, manewrujące na polu walki. Czołgi KW i T– 34, nie mające wystarczającej ilości pocisków przeciwpancernych (?!? — M.S.), *prowadziły ogień pociskami odłamkowymi i obezwładniały i niszczyły czołgi oraz działa ppanc. przeciwnika swą masą* (...)
Bój trwał około czterech godzin (...)*Przeciwnik, wycofując się do Dubna, wysadził za sobą mosty, pozbawiając w ten sposób dywizję możliwości włamania się do Dubna na plecach wycofującej się piechoty"* [8].
Być może mniej dokładnie, ale za to widząc wszystko na własne oczy, opisał ten dzień dowódca batalionu rozpoznawczego 43. DPanc. W. S. Archipow (który wojnę rozpoczął jako Bohater Związku Radzieckiego, a zakończył ją z dwoma tymi tytułami). We wspomnieniach pisze on: *„Kiedy wieczorem 26 czerwca gnaliśmy faszystów do Dubna, nie był to już odwrót, ale prawdziwa ucieczka. Oddziały 11. Dywizji Pancernej wymieszały się, ogarnęła je panika. Uwidoczniła się ona i w tym, że oprócz setek jeńców zdobyliśmy wiele czołgów i transporterów opancerzonych oraz około 100 sprawnych motocykli, porzuconych przez załogi. Na podejściach do Dubna, już o zmierzchu, czołgiści 86. Pułku zauważyli, że do ogona ich kolumny przyczepiło się osiem średnich czołgów niemieckich — widocznie uznali nasze za swoje. Ich załogi poddały się wraz z maszynami po pierwszym żądaniu naszych towarzyszy. Jeńcy, z zasady, spieszyli z zapewnieniami, że nie są narodowymi socjalistami, i bardzo ochoczo składali zeznania. Aby zobaczyć podobny stan psychiczny wojsk hitlerowskich, masowe poddawanie się i panikę musiałem czekać bardzo długo — stało się tak dopiero po Stalingradzie i bitwie pod Kurskiem"* [109].
Nie, szanowny Czytelniku, cud oczywiście się nie zdarzył. Dywizja Cybina, która jeszcze przed walką przekształciła gię faktycznie w batalion

czołgów lekkich, nie zdołała zdobyć Dubna i rozgromić ściśniętych w tym mieście dwóch dywizji pancernych (11. i 13.) oraz trzech dywizji

piechoty (299., 111., 44.) przeciwnika, uzbrojonych w setki 37–mm dział przeciwpancernych, przeciwko którym nasz stary T–26 ze swoim odpornym na kule 15–mm pancerzem był bez szans.
Niewiele zdołał pomóc także 9. KZmech. Rokossowskiego. W trakcie walki 26 czerwca nie zdołał on przerwać obrony 299. DP Wehrmachtu i wyjść na północno–zachodni skraj Dubna.
W ciągu kolejnych dwóch dni położenie *„północnego"* zgrupowania wojsk radzieckich znacznie się pogorszyło. Niemcy podciągnęli z rejonu Łucka jeszcze dwie dywizje ze składu III Korpusu Zmotoryzowanego (14. Pancerną i 25. Zmotoryzowaną) i sami przeszli do natarcia z rejonu Dubna na Równe i dalej, ku rzece Horyń. Rokossowski wspomina: *„Wyjechaliśmy z grupą oficerów na wzgórze w rejonie toczących walkę oddziałów 20. Dywizji Pancernej, skąd obserwowałem przemarsz z Dubna w stronę Równego ogromnej kolumny samochodów, czołgów i artylerii przeciwnika. Az południa ku naszej rubieży obrony ciągnęły długie kolumny oddziałów niemieckich"*.
W ciężkich walkach resztki 9. i 19. Korpusu Zmechanizowanego do 29 czerwca zostały odrzucone na 40–70 kilometrów od Dubna, w rejon Klewań– Tuczyn–Goszcza, gdzie umocniły się na rubieży rzeki Horyń. Lecz swoje zadanie żołnierze i dowódcy Rokossowskiego i ^ieklenki wypełnili z honorem: nieliczne i źle uzbrojone zgrupowanie *„północne"* ściągnęło na siebie trzy spośród czterech ywizji pancernych III i XXXXVIII Korpusu Zmotoryzowanego Wehrmachtu, w ogromnym stopniu ułatwiając zadanie o wiele silniejszemu zgrupowaniu *„południowemu"*. Mówiąc obrazowo, odciągający atak 19. i 9. Korpusu Zmechanizowanego zmusił Niemców do zwrócenia się twarzą na północny wschód, przez co wystawili swe niemal nieosłonięte plecy poS uderzenie ogromnego pancernego *„topora"*.
Najprawdopodobniej Niemcy wtedy tego jeszcze nie rozumieli. Dziwne i żałosne jest to, że dowódcy Armii Czerwonej sądząc po tym wszystkim, nie znali ani realnego stosunku sił ani dogodności swego położenia.
Oto jak Popiel (w którego odwagę wątpić nie można) opisuje naradę, która się odbyła w sztabie 8. KZmech. w przeddzień natarcia:

53 — Jeszcze jeden przykład, jak polskie tłumaczenie z rosyjskiego różni się od przekładu z niemieckiego (por. F. Halder, *op. cit.* s. 4l)

„Jutro zajmujemy rejon wyjściowy i we współdziałaniu z korpusem Karpeza wykonujemy uderzenie skrzydłowe na zgrupowanie przeciwnika, składające się, jeśli wierzyć rozpoznaniu, z pięciu dywizji pancernych i czterech dywizji zmotoryzowanych (...)*Dodałem na skrawku papieru — pięć pancernych i cztery zmotoryzowane — to około dwa tysiące*[54] (?!?—

M.S.) *czołgów* (...)*Przewaga liczebna i techniczna Niemców poraziła nas"* itd.

Jeśli taką informacją (a ściślej — dezinformacją) dysponowali ojcowie– dowódcy, to czyż należy dziwić się przygnębiającemunastrojowi żołnierzy?
„Doszły mnie strzępy zdań:
— U nich (u przeciwnika — M.S.)*na twoją „betkę"* (czołg BT — M.S.) *czołgów i dziesięć armat* (...)
— Ciekawe, bracia, ilu w naszej kompanii dożyje do jutrzejszej kolacji" [105], A przecież to nie są drobiazgi. Trudno liczyć na sukces, kiedy żołnierze idą do walki z uczuciem, że skazani są na zagładę... Zdanie o*„przewadze technicznej Niemców"* także nie jest przypadkowe. Z dalszego opisu wynika, że Popiela (a nie był on szeregowym czołgistą, ale zastępcą dowódcy korpusu) nikt absolutnie nie informował o słabych i silnych stronach sprzętu przeciwnika: *„Najsłabiej znaliśmy pancerne związki wroga. Mieliśmy pewne wyobrażenie o czołgach używanych w Hiszpanii. Ale, po pierwsze, działały tam wyłącznie lekkie maszyny, a po drugie, po Hiszpanii Niemcy wprowadzili, co oczywiste, zmiany w konstrukcji czołgów"*. Nieprawdopodobne. To po co komisja Tewosjana objeździła w 1940 roku wszystkie niemieckie zakłady pancerne? Dlaczego zakupiono najlepszy w tym czasie niemiecki czołg Pz. III, dlaczego przegoniono go po całym poligonie

54 — Naprawdę dziwne wyliczenie — Popiel prawdopodobnie obliczał siły niemieckie, biorąc pod uwagę stan etatowy... radzieckich dywizji pancernych (375 x 5 = 1875 czołgów) i zmechanizowanych (275 x 4 = 1100 czołgów), tylko że w sumie daje to niemal 3000 czołgów po stronie niemieckiej (1000 na straty?) — a więc niemal tyle, ile było ich w całym zgrupowaniu Wehrmachtu na Froncie Wschodnim! Gdyby liczył według stanu etatowego dywizji przeciwnika, to wynik byłby mniejszy od 1000 (dywizje pancerne po 150–200 czołgów, w dywizjach zmotoryzowanych — po... 0!).

Natomiast najdziwniejsz e jest to, że żaden z dowódców radzieckich, wspominając o siłach przeciwnika, nigdy nie powołał się na przedwojenne dane rozpoznania, gdzie wszystko było znane — od rozmieszczenia sztabów armii po stan, wyposażenie i rozmieszczenie ostatniego batalionu. Zresztą, zgodnie z dobrą tradycją radziecką, — we wszystkich przedwojennych (i powojennych!) ćwiczeniach opierano się zawsze na realnych siłach potencjalnego przeciwnika. I nagle, po 22 czerwca 1941 r., o tym zapomniano?! Panika czy też powojennych manipulacji w trakcie *„badań historycznych"* i pisania 9 *„wspomnień"*? Najpewniej i jedno, i drugie...

doświadczalnym w Kubince? Gdzie w takim razie poszły wyniki tych doświadczeń, w których trakcie *„trójki"* ujawniły wszystkie swe charakterystyki, nawet te ukryte?

„Niemcy ostrzelali most i prosto w pancerz czołowy przeprawiającego się czołgu trafia pocisk (...)*A on, jakby się nic nie stało, skręca w prawo i kieruje się w naszą stronę. Wychodzi cało, niemieckie działa przeciwpancerne nie przebijają pancerza czołowego. Pożyteczne odkrycie! Podnosi ono ducha naszych ludzi* (...)*Przekazuję w sieci dowódcy pułku swoje obserwacje o niemieckiej artylerii*

przeciwpancernej. W odpowiedzi słyszę głos Wołkowa:

— Dziękuję za dobre wieści".

Pożyteczne odkrycie?! Przecież Związek Radziecki w latach trzydziestych zakupił w Niemczech tę samą 37–mm armatej przeciwpancerną! Przy czym, kiedy w czasie doświadczeń poligonowych wyjaśniło się, że realna przebijalność okazała się niższa od deklarowanej, wybuchł wielki skandal, który rozstrzygnięto dopiero po miesiącu (okazało się, że radzieckie normy oceny przebijalności były znacznie surowsze od niemieckich) [87]. Co z tego wynika — czy wszystkie te protokoły z doświadczeń, okraszone groźnymi nadrukami *„ściśle tajne"*, po prostu poszły w zapomnienie, zamknięte w sejfach? Czy tak wyglądał osławiony stalinowski *„porządek"*?

Gdy 8. KZmech. zmuszony został do zmarnowania czterech dni na bezsensowne marsze, dowództwo frontu zażądało, aby rozpocząć natychmiastowe natarcie — lecz nie na Dubno, ale spod Brodów na Beresteczko. Wybór kierunku uderzenia był co najmniej dziwny. Nawet na mapie samochodowej Ukrainy z 2002 roku między tymi miastami nie znajdziemy jednej przyzwoitej drogi. Teren porośnięty jest lasem i poprzecinany mnóstwem rzeczułek. A z Brodów na Dubno wiedzie główna magistrala, która ciągnie się w całkowicie odkrytym terenie — ani jednej *„zielonej"* plamki na mapie.

Korpus musiał rozpocząć atak bez rekonesansu, bez poważnego rozpoznania sił przeciwnika, bez przygotowania artyleryjskiego. Z obiecanej dywizji lotniczej do końca dnia na niebie nie pojawiła się nawet jedna eskadra. Rozwinięte na lewo od pasa natarcia korpusu zmechanizowanego dwie dywizje strzeleckie (139. i 141.), jak pisze Popiel,*„nawet nie słyszały o natarciu korpusu. A mogłyby bardzo pomóc"*.

A jednak *„przed łomem nie ma ochrony"*. Bez względu na całe to skandaliczne przygotowanie i zorganizowanie natarcia 26 czerwca 8. KZmech. odniósł p o w a ż n y s u k c e s.

12. Dywizja Pancerna generała majora T. A. Miszanina 1 przy wsparciu artylerii i piechoty zmotoryzowanej pokonała bagnisty teren i do godziny 11 rano sforsowała rzekę Słonówkę. Do godziny 16 w zaciętym boju 24. Pułk Czołgów tej dywizji opanował miejscowość Leszniów (20 kilometrów na północ od Brodów). Pod Leszniowem doszło do pierwszego starcia pancernego. Popiel opisuje to tak: *„Przed nami było około pięćdziesięciu czołgów niemieckich (...) Czołgi* (teraz jest to oczywiste)*średnie — Pz. III iPz.lV"*.
Liczby te, ma się rozumieć, są mocno przesadzone. W niemieckiej 11. Dywizji Pancernej przed rozpoczęciem działań bojowych było w sumie 67 takich czołgów. Potem były straty poniesione w boju 23 czerwca

pod Radziechowem, nie obeszło się bez strat także przy przełamaniu z Radziechowa na Dubno. W dniu 26 czerwca 11. DPanc, częścią sił prowadziła walki na północ od Dubna z 19. KZmech. i równocześnie rozpoczęła marsz na wschód, z Dubna na Ostróg. Tak więc z czołgami 8. KZmech. pod Leszniowem (50 kilometrów na zachód od Dubna) mogła się spotkać tylko niewielka grupa czołgów niemieckich.
Tak czy inaczej, ze wspomnień Popiela wynika, że nieliczne ocalałe czołgi niemieckie zmuszone były ratować się ucieczką:
„Niemcy zadrżeli i pod osłoną plutonu Pz. IV rzucili się do ucieczki. Uciekali otwarcie, nieporadnie, jak tchórze (...) *Nasze KW wstrząsnęły wyobraźnią hitlerowców"*.
Nacierająca na prawym skrzydle 8. Korpusu Zmechanizowanego 34. DPanc, pułkownika I. W. Wasiliewa pod koniec dnia 26 czerwca zajęła miasteczko Chotyń (25 kilometrów na północ od Brodów) i wyszła na drogę Beresteczko–Krzemieniec. Do Beresteczka pozostało mniej niż 15 kilometrów. Oddziały 34. Dywizji Pancernej zniszczyły trzy bataliony zmotoryzowane, 10 czołgów i 12 dział, wzięły do niewoli ponad 200 żołnierzy i oficerów XXXXVIII Korpusu Zmotoryzowanego Wehrmachtu [105].
Wydawałoby się, że jeszcze trochę — i sukces można będzie przekształcić w przełamanie operacyjne. I nie są to jedynie hipotezy dyletanta. Generał Riabyszew w powojennych wspomnieniach pisze:
„Sytuacja dla 8. Korpusu Zmechanizowanego układała się pomyślnie. Niemieckie zgrupowanie nie było osłonięte w sposób zwarty, ale na pewnych odcinkach jego wojska były rozrzucone wzdłuż dróg. Z kolei związki 8. Korpusu Zmechanizowanego zajmowały dogodne położenie na skrzydłach i tyłach wrogich dywizji (...)*Kierując do sztabu frontu meldunek o pomyślnych działaniach korpusu; przypuszczałem, że dowódca podejmie decyzję o rozwinięciu sukcesu korpusu, rozgromieniu wroga i odrzuceniu go ku granicy"* [113].
Sprawa była prosta — zmusić w końcu do aktywnych działań miotający się po lasach 15. Korpus Zmechanizowany zorganizować współdziałanie z piechotą i artylerią, osłonić nacierające czołgi z powietrza — a wtedy ocalić Niemców od klęski mógłby tylko cud. Jednakże czasami cuda się zdarzają. Najczęściej dokonują ich sami ludzie. Jak to w dawnych czasach bywało: położył przestępca głowę na szafot, zamachnął się kat toporem, a tu raptem wyskakuje goniec z rozkazem *„naszego dobrego króla"* o okazaniu litości...
Tak więc, jeśli *„przestępca"* to niemieccy okupanci, *„szafot"* to Dubno, a *„topór"* — korpusy zmechanizowane Armii Czerwonej, to kto w takim razie wystąpił w roli *„dobrego króla"*?

DOWÓDCA

Według N. K. Popiela wydarzenia przebiegały następująco: *„Do ziemianki* (stanowisko dowodzenia 34. Dywizji Pancernej pułkownika Wasiliewa — M.S.)*wpadł Oksen (szef wydziału specjalnego korpusu— M.S.). Ledwie się witając, nie przepraszając, co było niespotykane u zrównoważonego, zawsze uprzejmego oficera, podszedł do mnie. — Na tyłach dywizji zatrzymano sześciu czerwonoarmistów, twierdzą oni, że dywizja Miszanina* (12. DPanc. — M.S.)*szybko się wycofuje, dwaj generałowie się poddali* (...)*Zaklinają się, że widzieli odwrót dywizji na własne oczy, a o niewoli generałów usłyszeli od innych. Dywizja, jeśli wierzyć ich słowom, lawinowo wycofuje się przez las na południe"*.
Nie udało się nawiązać łączności radiowej ze sztabem korpusu ani z SD dywizji pancernej Miszanina. Radiostacje milczały. Mocno zaniepokojony Popiel rzucił się czołgiem T–34 przez zapylony po wielokrotnych dziennych bombardowaniach las iglasty ku Brodom. W lesie na wschodnim skraju miasta, w tym miejscu, gdzie w ciągu dnia znajdował się sztab korpusu, nikogo już nie było:
„Żywej duszy. Puste ziemianki. Wiatr leniwie przegania strzępy papieru".
Wkrótce na leśną polanę zajechał samochód majora Pietrenki — zastępcy szefa rozpoznania korpusu. On też potwierdził i uwiarygodnił niesamowite wydarzenia:
„Dywizja Miszanina wycofała się z poprzednich pozycji (...) *Po drodze kilkakrotnie natknęliśmy się na żołnierzy Miszanina. Łżą jak popadnie. Dowódców nie widać* (...)*Twierdzą, że generał Miszanin nakazał wycofać się do Brodów, a sam wraz z dowódcą korpusu się poddał"*.
Styl tej książki — to dokumentalna analiza historyczna, a nie kryminał do poduszki. Dlatego nie będziemy dalej podsycać ciekawości czytelnika, tym bardziej że nic zagadkowego się nie wydarzyło. Żadnych promieni X, niemieckich dywersantów, żadnych trzęsień ziemi w bagnistym lesie — po prostu 8. Korpus Zmechanizowany kolejny raz nakryła fala uderzeniowa kolejnego szaleńczego rozkazu dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego.
Marszałek Bagramian w swoich pamiętnikach z dumą oświadcza: *„W sztabie frontu nie czuło się żadnego zakłopotania!"*

Nie będziemy się spierać. Uwierzymy na słowo. Zakłopotania nie było. Wszystkich pozostałych rzeczy — łączności, rozpoznania, wiarygodnej informacji o stanie wojsk własnych i przeciwnika, twardości i konsekwencji w podejmowaniu decyzji — także nie było. Wieczorem 26 czerwca, na podstawie budzących trwogę wieści (które jak wszy na jeńcu lęgną się na tyłach zdemoralizowanej armii), sztab Frontu Południowo–Zachodniego doszedł do wniosku, że rozpoczęte

rankiem przeciwuderzenie już zakończyło się niepowodzeniem. Sprawozdanie operacyjne sztabu Frontu nr 09 z 26.06.1941 roku (na godzinę 20.00 — dop. tłum.) stwierdza:
„8. Korpus Zmechanizowany o 9.00 26 czerwca niezdecydowanie atakował oddziały zmechanizowane przeciwnika z rejonu Brody i (...)*został zatrzymany przez przeciwnika w rejonie wyjściowym* (?!? — M.S.) *do ataku"*.
Ocena sytuacji przyjęta w tym samym czasie, gdy 19. i 9 Korpus Zmechanizowany z dwóch stron gnały solidnie przetrzepanych Niemców do Dubna, zupełnie nie odpowiadała rzeczywistości.
A już decyzja podjęta na podstawie tej oceny była zupełnie dziwna. *„Głos zabrał szef sztabu Frontu* — wspomina Bagramian[55]. — *Jego myśl sprowadzała się do tego, że* (...)*podchodzące z głębi korpusy strzeleckie* (36. i 37.)*należy rozwinąć na linii Dubno–Krzemieniec–Złoczów z zadaniem, aby twardą obroną powstrzymywały wroga. Korpusy zmechanizowane należy wyprowadzić za tę rubież"* [110].
Gdzie tu logika, gdzie ślad zdrowego rozsądku? Jeśli nawet chodziło o to, że korpusy zmechanizowane frontu, mające jeszcze półtora tysiąca czołgów, okazały się niezdolne do rozgromienia wroga lub — przynajmniej — zatrzymania .i jego marszu, to jakże można było mieć nadzieję, że dwa korpusy strzeleckie dadzą sobie radę z takim zadaniem? Czyż w sztabie frontu jeszcze nie wiedziano, że dywizje strzeleckie, w których skład w znacznej części wchodzili rezerwiści z zachodnich obwodów Ukrainy, rozbiegają się masowo już po pierwszych wystrzałach? I jak można postawić zadanie *„wyprowadzić za tę rubież"*, kiedy żadnej przygotowanej rubieży obronnej na linii Dubno–Krzemieniec–Złoczów jeszcze nawet w zamierzeniu nie było, a piechota 36. i 37. Korpusu Strzeleckiego dopiero wchodziła w ten rejon?
Godne uwagi jest, że również G. K. Żukow (szef Sztabu Generalnego i pełnomocny przedstawiciel Kwatery Głównej na Froncie Południowo–Zachodnim) otwarcie ostrzegał przed taką decyzją:
„Dowiedziawszy się, że Kirponos zamierza podchodzące z głębi korpusy strzeleckie (36. i 37.)*rozmieścić w obronie na rubieży Dubno–Krzemieniec– Nowy Poczajów, zdecydowanie sprzeciwił się takiemu wykorzystaniu wojsk drugiego rzutu frontu.*
— Jeśli wykonywać uderzenie, to wszystkimi siłami frontu!
26 czerwca, przed odlotem do Moskwy, G. K. Żukow raz jeszcze zażądał od Kirponosa, aby zebrał wszystko, co możliwe? do decydującego przeciwuderzenia" [110][56].
To, że przyjęta wieczorem 26 czerwca decyzja jest zupełnie nieopłacalna (a Bagramian nawet w swoich powojennych wspomnieniach bez cienia skrępowania nazywa ją *„najbardziej odpowiadającą zmieniającej się sytuacji decyzją operacyjną"*), stało się

oczywiste już po kilku godzinach, rankiem 27 czerwca.
Kontynuujmy czytanie wspomnień Bagramiana:
„Nie zdążyliśmy jeszcze otrzymać meldunku o powrocie 8. i 15. Korpusu Zmechanizowanego na poprzednie pozycje, gdy po sztabie rozniosła się wieść: nazistowskie czołgi skierowały się na Ostróg. W sztabie frontu — niepokój (ale nawet śladu zakłopotania! — M.S.). (...) *Zdenerwowany pułkownik Bondariew zameldował, że dzisiaj* (27 czerwca — M.S.)*o świcie niemiecka 11. Dywizja Pancerna wykonała zdecydowany zryw z rejonu Dubna. Odrzuciwszy na południe znajdujące się w marszu oddziały prawoskrzydłowej dywizji 36. Korpusu Strzeleckiego, posuwa się ona teraz niemal bez przeszkód na Ostróg"*[57].
Oto i cała *„rubież obronna, zajęta przez korpusy strzeleckie"*!
Ale jeszcze wcześniej, zanim niemieckie dywizje pancerne rozpoczęły *„ucieczkę"* z pola walki pod Dubnem na wschód, na decyzję dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego zareagowała Moskwa. W nocy z 26 na 27 czerwca w sztabie frontu zadziałał aparat łączności wysokiej częstotliwości *„BODO"*. Bagramian wspomina[58]:

55 — Tłumaczenie z ros. — por. I. Ch. Bagramian, *op. cit*., s. 187.

56 — Tamże, s. 181.
57 — jw., s. 189.
58 — jw., s. 188.

„Biegnę do rozmównicy, chwytam za taśmę, czytam: « Przy aparacie generał Małandin (zastępca szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej — M.S.). *Witajcie. Natychmiast zamel. dujcie dowódcy, że Kwatera Główna nie zgadza się na odwrót i nakazuje kontynuowanie przeciwuderzenia. Nie dawać agresorowi nawet dnia spokoju. Wszystko»*.

Spieszę do Kirponosa. Po wysłuchaniu mojego meldunku cicho zaklął" . Ciche przekleństwa wyższego dowództwa głośno odbiły się w wojskach. O świcie 27 czerwca Popiel znalazł, w końcu, na południowym krańcu Brodów sztab swego korpusu:
„Dostrzegliśmy na poboczu KW dowódcy korpusu. Wokół czołgu, nie zatrzymując się, w tę i z powrotem, jak kierownik w zakładzie, chodził Riabyszew. Widziałem dowódcę korpusu w różnych sytuacjach. W takim stanie
— nigdy... Riabyszew, ledwie kiwnął na mnie, wydobył z kieszeni na piersi
złożony na dwoje papier:
— Zobacz.
Na kartce kilka wierszy skreślonych kaligraficznym pismem. Krągłe, w równych odstępach literki, przytulone jedna do drugiej, pochylone w prawo. «37. Korpus Strzelecki broni się na froncie Now. Poczajów–

Podkamień–
Złoczów.
8. Korpus Zmechanizowany ma się wycofać za linię 37. KS i wzmocnić jego ugrupowanie bojowe swoimi środkami ogniowymi. Wycofanie rozpocząć
natychmiast».
Poniżej podpis: «Dowódca Frontu Południowo–Zachodniego generał pułkownik Kirponos». A nad nawiasem — zamaszysty, zdołu do góry, zawijas
(...)
Z południa zbliżał się do nas jakiś samochód osobowy. Zatrzymał się niedaleko. Wysiadł z niego znajomy pułkownik ze sztabu frontu. Nieogolony, z
czerwonymi od bezsennych nocy oczami, przywitał się z nami sucho i wręczył
Riabyszewowi kopertę. Dmitrij Iwanowicz zerwał lakową pieczęć i ujrzeliśmy
te same okrąglutkie, jakby zmęczone pochylone w prawo literki i ten sam podpis— zawijas. Tylko tekst całkowicie inny — korpus ma od rana nacierać
z rejonu Brodów na Werbę–Dubno i do wieczora opanować Dubno. I Riabyszew zmieszany popatrzył na pułkownika:
— A poprzedni rozkaz?
Pułkownik nie miał ochoty wdawać się w dyskusję.

— Wypełniacie, jak wam wiadomo, ostatni.
Pułkownik już wracał ku swojej maszynie. Dogoniłem go.
— Mam kilka pytań...
Pułkownik odwrócił się niezadowolony.
— Jakie jeszcze pytania? Rozkaz otrzymaliście — wykonujcie" [1051.
Przerwiemy na chwilę nasze opowiadanie o tragicznych wydarzeniach czerwca 1941 roku, aby bliżej przedstawić człowieka, który pod słowami
„Dowódca Frontu Południowo–Zachodniego" postawił swój podpis–zawijas. Ludzie, którzy znali osobiście generała Kirponosa, różnie o nim mówią. Marszałek K. S. Moskalenko pisze o nim ciepło i z szacunkiem:
„Był on człowiekiem stworzonym do służby wojskowej i w czasie wojny z białofinami dał się poznać jako odważny i posiadający silną wolę dowódca
(...) *odważny, bohaterski dowódca poległ w dniach ciężkiej próby, pozostawiając po sobie dobrą i świetlaną pamięć w sercach tych, którzy go*
znali".
Komisarz Popiel daje dowódcy frontu bardziej niejednoznaczną ocenę:

„Niezaprzeczalnie odważny i stanowczy człowiek, ale jeszcze nie dojrzał do takiego stanowiska. Nie raz rozmawialiśmy o tym między sobą, rozmawialiśmy spokojnie, nie widząc w tym w czasie pokoju większego problemu, zapominając, że okręg przygraniczny z początkiem działań bojowych przekształci się we front".
Michaił Pietrowicz Kirponos poległ na polu walki 20 września 1941 roku w czasie próby wyjścia z okrążenia na wschód od Kijowa. Jakiekolwiek były
okoliczności jego śmierci (spotyka się trzy wersje: śmierć w walce, samobójstwo, oddział specjalny wypełnił tajny rozkaz Stalina o niedopuszczeniu do wzięcia do niewoli wyższych oficerów dowództwa frontu) — oddał swe życie za Ojczyznę i ta okoliczność zmusza autora do
powstrzymania się od skrajnych ocen.
Damy generałowi Kirponosowi prawo do opowiedzenia o sobie samym — mamy bowiem do dyspozycji życiorys, napiSa. 1 ny przez niego 21 października 1938 roku [**WIŻ**, 1989, nr 7] Zacytujemy go z niewielkimi skrótami i bardzo krótkimi komentarzami:
„Urodziłem się 9 stycznia 1892 roku w m. Wierkijewka w guberni czernihowskiej, w rodzinie chłopa–biedniaka. W gospodarstwie było pół dziesięciny ziemi, chata i nic więcej. Mój ojciec długo pracował jako

destylator w herbaciarni (jakiż to*„chłop"*?— M.S.) *w naszym miasteczku*
(...)
Naukę rozpocząłem w szkole parafialnej przy cerkwi w 1899 roku. W 1900 roku przeszedłem do szkoły ziemskiej w swoim miasteczku (...)*Ogólne*
wykształcenie — ukończyłem 3 klasy szkoły ziemskiej i w 1903 roku wstąpiłem
do 2–letniej Borzienskiej Szkoły Ogrodniczej, ale nie mogłem się tam uczyć z
powodu ciężkiej sytuacji materialnej rodziców (...)
W grudniu 1909 roku rozpocząłem pracę w Leśnictwie Korowiakowskim jako stróż leśny, w 1912 roku zostałem przeniesiony do Leśnictwa Michajłowskiego na stanowisko nadzorcy upraw (praca w szkółkach leśnych)
z pensją 12 rublina miesiąc. W leśnictwie tym pracowałem do września 1915
roku, tj. do czasu mobilizacji do armii carskiej (...) *Służyłem w 216. Zapasowym Pułku Piechoty* (...) *W maju 1917 roku ukończyłem szkołę felczerską* (tj. w działaniach bojowychpraktycznie nie uczestniczył — M.S.). *Na froncie rumuńskim przebywałem w 258. Pułku od sierpnia 1917 roku*

do lutego 1918 roku jako felczer kompanii (...) *W czasie rewolucji październikowej prowadziłem wśród żołnierzy agitację za bolszewizmem. Byłem tam przedstawicielem komitetu pułkowego, członkiem rewolucyjnego*
komitetu dywizyjnego (...)
Po powrocie z frontu rumuńskiego byłem inicjatorem organizacji czerwonych oddziałów partyzanckich do walki z kontrrewolucją (...) *We wrześniu 1918 roku z Ukrainy uciekłem na terytorium RSFRR, gdzie wstąpiłem w szeregi 1. Dywizji Radzieckiej powstańczych wojsk Ukrainy* (...)
Zajmowałem stanowiska: pom. szefa sztabu dywizji, przedstawiciela trybunału
rewolucyjnego, dowódcy 2. Pułku Bohuńskiego (...) *1 czerwca 1919 roku rozkazem tow. Szczorsa wyznaczony zostałem na pomocnika komendanta*
Szkoły Czerwonych Dowódców w m. Żytomierz (...)*W związku z chorobą przeszedłem do pracy nieliniowej — sekretarza komisarza wojskowego tej*
samej szkoły (...)*W maju 1920 roku skierowany zostałem do 2. Kijowskiej Szkoły Czerwonych Sierżantów, w której pracowałem na stanowiskach od szefa oddziału gospodarczego do komisarza szkoły*.
W latach 1923–1927— nauka w Akademii Wojskowej Armii Czerwonej im. Frunzego. W styczniu 1931 roku wyznaczony zostałem na szefa sztabu 51.
Dywizji Strzeleckiej w Odessie, w kwietniu 1934 roku ze stanowiska szefa

sztabu dywizji wyznaczony zostałem na komendanta Kazańskiej Szkoły
Piechoty, gdzie pracuję do chwili obecnej.
Praca społeczna: W okresie walki z opozycją prowadziłem aktywną pracę mającą na celu demaskowanie i usuwanie z Charkowskiej Szkoły Czerwonych
Sierżantów «odszczepieńców», utrzymując ścisłą współpracę z organami CzK.
W okresie nauki w Akademii Wojskowej ujawniałem antypartyjne oblicze opozycjonistów. W 1927 roku został przeze mnie ujawniony jako trockista
politruk Poliszczuk.
W związku z jego zdemaskowaniem ujawnieni zostali także inni trockiści (...) *W Kazańskiej Szkole Piechoty brałem aktywny udział w ujawnieniu wrogów ludu Gobasowa, Jusupowa, Obrywajewa, Pawłowskiego i in.* (...) *W*
1937 roku z mojej inicjatywy aresztowany i osądzony został zastępca przewodniczącego zielenodolskiej rady miejskiej za przestępczy stosunek

do
układania list wyborczych...
Nigdy żadnych wahań i odstępstw od generalnej linii partii nie miałem i nie mam.
W 1937 roku nałożono na mnie karę partyjną — naganę bez wpisania do
akt — za to, że machnąłem ręką na mydlenie oczu przy zdawaniu norm GTO
2. stopnia.
Ożeniłem się w 1911 roku z ob. (tak w tekście — M.S.)*Olimpiadą Wasiliewną Poliakową (córką rymarza), rozwiodłem się z nią w 1919 roku.*
Córki po rozwodzie wychowywały Sl? przy mnie (...)*Drugi raz ożeniłem się w*
1919 roku z Zofią Aleksandrowną Piotrowską. Z drugą żoną mam trzy córki. Żona moja urodziła się w Żytomierzu, była Polką. Jej ojciec pracował
jako strażnik w Banku Państwowym, żyli przez cały ; czas bardzo biednie. Przed rewolucją ojciec żony pracował w restauracjach jako kelner, a matka
gotowała obiady domowe bez wynajmowania siły najemnej.
Brat żony, Jan Piotrowski, w 1924 lub 1925 roku uciekł do Polski, gdzie on jest i co robi, ani ja, ani moja żona nie wiemy (...)*Ojciec żony w 1930 roku*
został zesłany z Żytomierza do Ałma–Aty, gdzie wyjechały jego żona i córka
Rozalia (...)*Żona uważa, że ona już nie ma ojca, matki, brata i siostry, i nie*
interesowała się i nie interesuje ich losem (bezwzględna wobec wrogów ludu
— M.S.). *Za co zesłano ojca żony, ani ja, ani moja żona nie wiemy, ale ona*
rozumie, że jej ojciec widocznie zasłużył na to, i dlatego żadnego współczucia
dla niego nie przejawiała i nie przejawia".

Taka to i biografia. Człowiek wybitnie skromny, niezbyt ambitny (pomiędzy 17 i 23 rokiem życia pracował jako leśnik), wyrosły w rodzinie wiejskiego lumpenproletariatu. Do służby wojskowej nigdy nie ciągnął, od frontu„*wojny imperialistycznej*" uchylał się jak tylko mógł.

Troskliwy ojciec i mąż — inny szybko by się rozwiódł z córką represjonowanego Polaka. „*Piętno*" w aktach osobowych zmywał gorliwą współpracą z „*organami*". Szczyt kariery — trzy lata na

stanowisku szefa sztabu dywizji. Do tego czasu— i potem— na stanowiskach nieliniowych, od szefa oddziału gospodarczego do komendanta szkoły piechoty na zapadłej prowincji. Wzmianka o nauce w Akademii Wojskowej im. Frunzego nie powinna nas zmylić: czego i jak uczono w tej *„akademii"*, i jeśli słuchaczami byli ludzie nie posiadający podstawowego wykształcenia? W gruncie rzeczy był to zamknięty, *„elitarny"* likwidator analfabetyzmu, w którym ludzi z awansu społecznego, nieznających w dostatecznym stopniu abecadła, podciągano do poziomu średniej szkoły podstawowej.

A by czytelnik mógł właściwie ocenić wartość biografii dowódcy Froncu Południowo–Zachodniego, pokrótce przedstawimy dane dowódcy niemieckiej Grupy Armii *„Południe"* feldmarszałka Gerda von Rundstedta.

Był on o 17 lat starszy od Kirponosa, urodził się w 1875 r oku w rodzinie generała pruskiej armii. Ukończył szkołę wojskową w Oraniensteinie, w 1893 roku został porucznikiem. W1907 roku ukończył Akademię Wojskową. W latach I wojny światowej — oficer Sztabu Generalnego, następnie — szef sztabu 53. Korpusu Armijnego na Froncie Wschodnim, a pod koniec wojny— szef sztabu 15. Korpusu Armijnego we Francji. Za zasługi bojowe i męstwo odznaczony Krzyżem Żelaznym 1. i 2. klasy oraz Orderem Domu Hohenzollernów. Po klęsce Niemiec pozostał w wojsku i służył w Reichswehrze.

P od koniec 1932 roku Rundstedt wyznaczony został na dowódcę 1. Grupy Armii w Berlinie. W listopadzie 1938 roku przeszedł w stan spoczynku, w związku z tym że opowiadał się przeciwko okupacji sudeckiej części Czechosłowacji (co stałoby się z generałem radzieckim, który — na przykład — *„opowiadałby się przeciwko"* wyzwoleniu zachodniej Ukrainy?). W maju 1939 roku powrócił do służby w Wehrmachcie. W czasie inwazji na Polskę dowodził Grupą Armii *„Południe"*, która zdobyła Warszawę. W czasie kampanii francuskiej Rundstedt dowodził Grupą Armii *„A"*, która przerwała

front pod Sedanem i okrążyła siły główne sojuszników pod Dunkierką. Po zwycięstwie nad Francją otrzymał najwyższy stopień feldmarszałka. Wyznaczenie dowódcy tego formatu na stanowisko jednej z trzech grup armii Wehrmachtu na Froncie Wschodnim wydaje się zrozumiałe i logiczne. Ale w jaki sposób jego przeciwnikiem został były komendant Kazańskiej Szkoły Piechoty?

Wszystkiemu winna jest wojna. Fińska. Komendant szkoły piechoty powołany został do armii czynnej na stanowisko dowódcy 70. Dywizji Strzeleckiej. W ostatnich dniach wojny dywizja Kirponosa osiągnęła sukces — straszny, krwawy i absolutnie bezsensowny.

W związku z warunkami traktatu pokojowego miasto Viipuri (Wyborg) miało zostać przekazane Związkowi Radzieckiemu. Nie było po co go szturmować — trzeba było spokojnie doczekać do godziny 12 dnia 13 marca 1940 roku. Ale ktoś (być może dowódca Frontu Północno–Zachodniego S. K. Timoszenko, być może — sam Gospodarz) zdecydował, aby niesławne i całkiem wątpliwe *„zwycięstwo"* uwieńczone zostało bohaterskim szturmem czegokolwiek i gdziekolwiek. W ramach ogólnego planu szturmu Wyborga 70. Dywizji Strzeleckiej powierzono obejście miasta przez lód Zatoki Fińskiej i *„odcięcie drogi wycofania okrążonych w mieście wojsk fińskich"* — i to wówczas, gdy przebieg i termin tego wycofania były już ustalone w czasie rozmów w Moskwie!

Co zrozumiałe, Finowie nie odmówili sobie przyjemności, aby dać porządną nauczkę rozzuchwalonemu agresorowi. Pociski ciężkich dział baterii brzegowychpoczyniły ogromne wyrwy w tafli lodowej, a woda wciągnęła żywych i martwych czerwonoarmistów. Dowódca dywizji Kirponos szedł na czele atakującej tyraliery — towarzysz Stalin mógł być wielce zadowolony z uległości swoich poddanych.

Na tych, którzy zdołali wprawić wodza w stan zadowolenia, posypała się lawina nagród, awansów, nowych stanowisk. Komandarm 1. rangi Timoszenko został marszałkiem i ludowym komisarzem obrony ZSRR, dowódca 7. Armii szturmującej linię Mannerheima, komandarm 2. rangi Mierieckow został generałem armii i szefem Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. Nie zapomniano również o męstwie Kirponosa: otrzymał on złotą gwiazdę Bohatera i stanowisko dowódcy 49. Korpusu Strzeleckiego.

I tu powinien się towarzysz Stalin zatrzymać, ale nie — spodobał mu się skromny i odważny, świeżo upieczony generał major Kirponos. W czerwcu 1940 roku, przeskakując od razu kilka stopni drabiny służbowej, były komendant Kazańskiej Szkoły Piechoty wyznaczony został na stanowisko… dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojskowego! Pod rozkazami Kirponosa znalazło się zgrupowanie wojsk równe armii dużego państwa europejskiego. Ale tego było za mało!

W lutym 1941 roku Stalin wyznacza G. K. Żukowa na stanowisko szefa Sztabu Generalnego, a zwolniony przez niego gabinet dowódcy Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego — największego okręgu wojskowego Związku Radzieckiego — od 22 lutego 1941 roku zajmuje Kirponos, który w ciągu 9 miesięcy otrzymał trzeci awans na wyższy stopień wojskowy (na generała pułkownika). Ani Anglia, ani USA nie posiadały w tym czasie armii o takich rozmiarach jak ta, którą przyszło dowodzić felczerowi kompanijnemu z czasów pierwszej wojny światowej, już od 1920 roku pełniącemu jedynie funkcje nieliniowe.

Oto jak Rokossowski opisuje swój meldunek, który 15 lipca 1941 roku składał dowódcy Frontu Południowo–Zachodniego:
„Bardzo zdziwiło mnie szybko rzucające się w oczy jego zakłopotanie (...) *próbował się opanować, ale to mu się nie udało. Mojej zwięzłej informacji o sytuacji na odcinku 5. Armii i korpusu słuchał to z roztargnieniem, to znów często przerywał, podbiegając do okna i wykrzykując: «Co robi OPL? Samoloty latają, a nikt ich nie zestrzeliwuje. Skandal!»*
(...)*Tak, to było zakłopotanie — w zaistniałej sytuacji inny dowódca frontu, moim zdaniem, nie miałby pretensji do OPL* (...) *Odnosiło się wrażenie, że on albo nie zna sytuacji, albo jej znać nie chce. Wtedy też doszedłem do wniosku, że na barki tego człowieka złożono zbyt wielkie i odpowiedzialne obowiązki, i biada powierzonym mu wojskom"* [111][59].
I biada powierzonym mu wojskom...

[59] — Tłumaczenie z ros.

DWAJ KOMISARZE

„Rozkaz otrzymaliście — wykonujcie".

Dowództwo, które teraz (rankiem 27 czerwca) musiało zademonstrować przed Kwaterą Główną, że jest gotowe *„nie dawać agresorowi nawet dnia spokoju"*, 8. Korpusowi Zmechanizowanemu także nie dało nawet dnia spokoju na przegrupowanie i rozwinięcie na nowych rubieżach wyjściowych. A korpus bardzo tego potrzebował.

Po pierwsze, zasadniczo zmieniły się i kierunek, i głębokość zamierzonego natarcia. Prawda, zmiany były uzasadnione: równolegle do drogi z Brodów do Dubna biegnie nasyp linii kolejowej, teren odkryty, dogodny do natarcia czołgów. Ale na tę drogę dywizje pancerne korpusu musiały jeszcze wyjść z lasów wokół Leszniowa–Chotynia, a po zaciętym boju w dniu 26 czerwca— także uzupełnić zapasy paliwa i amunicji.

Po drugie, z powodu ustawicznych zmian rozkazów nie obyło się bez smutnych następstw. Jedne sztaby otrzymały rozkaz o odwrocie, a drugie — nie. W ten sposób oddziały korpusu zostały rozrzucone na głębokości 20–30 km. A w 12. Dywizji Pancernej zapanował chaos — wycofanie wojsk zmieniło się w paniczną ucieczkę, a do tego jeszcze lotnictwo niemieckie wykryło skupisko oddziałów tej dywizji w Brodach. Demoralizacja w dywizji była taka, że ciężko kontuzjowanego w czasie bombardowania generała Miszanina po prostu zataszczono do porzuconego czołgu i tak pozostawiono w Brodach samego, pod *„nadzorem"* również rannego ordynansa. Aby doprowadzić dywizję do

porządku i skierować ją na rubież wyjściową do natarcia,niewątpliwie trzeba było czasu. Ale teraz sztab frontu bardzo się śpieszył.

Dobroduszny (przynajmniej w swoich pamiętnikach) Bagramian opisuje to w ten sposób:
„Dowódcy korpusów zaczęli natychmiast przestawiać dywizje na nowe kierunki, ale wykonanie tego nie było takie proste. Generał Riabyszew pochłonięty był tym zadaniem, kiedy na jego SD wpadł Waszugin. Gorący, energiczny Nikołaj Nikołajewicz gniewnie zbeształ dowódcę korpusu za opieszałość".

„Gniewnie zbeształ..." Zdarza się. Ale ze wspomnień N. K. Popiela możemy się dowiedzieć, co konkretnie kryło się za tymi słowami:
„Riabyszew odwrócił się, podniósł z ziemi furażerkę, poprawił kombinezon i niemal defiladowym krokiem ruszył na spotkanie czołowej maszyny. Wychodził z niej niewysoki wojskowy z czarnymi wąsami. Riabyszew wyciągnął się.
— Towarzyszu członku Rady Wojennej Frontu (...)
Otwierały się drzwi samochodów. Przed nami pojawiały się coraz to nowe osoby — pułkownicy i podpułkownicy. Niektórych poznałem — prokurator, przedstawiciel Trybunału Wojskowego... Z półtoratonówki zamykającej kolumnę wyskakiwali żołnierze.
Ten, do którego zwracał się dowódca korpusu, nie chciał słuchać meldunku, nie podniósł dłoni do skroni. Szedł, wysoko podnosząc wyczyszczone buty, przez zagajnik, prosto na Riabyszewa. Kiedy zbliżył się, popatrzył z dołu na pomarszczone i kościste oblicze dowódcy korpusu i stłumionym z wściekłości głosem zapytał:
— Za ile się sprzedałeś, judaszu?
Riabyszew stał wyprostowany jak struna przed członkiem Rady Wojennej, zmieszany, nie wiedząc, co powiedzieć, a my wszyscy z zakłopotaniem patrzyliśmy na niewysokiego komisarza w dobrze skrojonym mundurze.
Dmitrij Iwanowicz odezwał się pierwszy:
— Może byście wysłuchali, towarzyszu komisarzu...
— Ciebie, zdrajco, sąd połowy wysłucha. Tutaj, pod sosną, cię wysłuchamy i pod tą sosną rozstrzelamy...
Nie wytrzymałem i wystąpiłem do przodu.
— Jeszcze nie wiadomo, jakimi względami kierowali się ci, którzy rozkazem nakazują oddawać wrogowi teren zdobyty w walce.
Komisarz korpuśny zatrzymał się... W głosie członka Rady Wojennej pojawiło się ledwie wyczuwalne zmieszanie:
— Kto wam kazał oddawać teren? Co wy pleciecie? (W głowie się nie mieści: czyżby Kirponos i Purkajew podjęli decyzję o wycofaniu korpusów zmechanizowanych bez uzgodnienia tego z Waszuginem?—

M.S.)
Dmitrij Iwanowicz melduje. Członek Rady Wojennej maszeruje przed nami z rękoma splecionymi na plecach… Popatrzył na zegarek i nakazał Dmitrijowi Iwanowiczowi:
— Za dwadzieścia minut zameldujecie mi swoją decyzję…
Komisarz korpuśny nie dał czasu ani na rozpoznanie, ani na przegrupowanie dywizji. Czym więc nacierać? Riabyszew wstaje i kieruje się ku spacerującemu samotnie komisarzowi korpuśnemu.
— Korpus zdoła zakończyć przegrupowanie dopiero jutro rano.
Członek Rady Wojennej mówi z oburzeniem:
— Za dwadzieścia minut decyzja… i naprzód.
— Czym «naprzód»?
— Rozkazuję natychmiast rozpocząć natarcie. Nie rozpoczęcie — odsunę od dowodzenia, oddam pod sąd.
Trzeba podjąć samobójczą decyzję — wprowadzić korpus do walki częściami" [105].
I tu autor zmuszony jest przeprosić czytelnika za jedno (pierwsze i ostatnie) liryczne odstępstwo od tematu.
W ostatnim dziesięcioleciu namnożyło się u nas antykomunistów. Najbardziej zacięci — to byli pracownicy oddziału agitacji i propagandy KC KPZR. Czytasz czasami,jak gniewnie ujawniają oni i surowo napiętnują *„totalitarny reżim"*, i myślisz: *„Biedaku, jakżeś ty wśród nich przez tyle lat cierpiał i męczył się, dusił się od ideologicznego gniotu w swym pięciopokojowym mieszkaniu przy nabrzeżu Moskwy!"*
Ja wśród nich nigdy nie byłem, swój stosunek do reżimu totalitarnego wyraziłem czynem w latach 1987–1991 i od tego czasu o żadne antykomisarskie niepokoje się nie martwię. Nie będę wyciągać starej i nieprzyzwoitej plotki o*„tępych komisarzach"*, którzy przeszkadzali naszym mądrym generałom w dobrym dowodzeniu. Bywali różni komisarze. Bywali też różni generałowie. Ten sam N. K. Popiel podnosił ducha bojowego czerwonoarmistów nie w gabinecie partyjnym, ale w wieży idącego na czele czołgu. I jeśli sądzić według rezultatów — a grupa operacyjna 8. KZmech. pod dowództwem Popiela okazała się jedynym związkiem pancernym w całej Armii Czerwonej, który na początku wojny zadał Niemcom poważny, odczuwalny cios — to musimy uznać, że talentu dowódczego Bóg komisarzowi Popielowi nie poskąpił.
Z tych samych powodów, szanowny Czytelniku, nie będziemy się spieszyć z *„surową oceną"* komisarza Waszugina za jego niepohamowane chamstwo.

Chciał przecież jak najlepiej. Wyszło tak, jak tylko wyjść mogło, gdy byłego dowódcę pułku z wykształceniem, które dzisiaj pozwalałoby starać się o pracę technika sanitarnego, postawiono na stanowisku

członka Rady Wojennej okręgu (z wybuchem wojny— frontu).
Komisarz Waszugin nie przesiadywał na tyłach, nie ładował *„zdobycznego"* dobra na zisy, od pierwszych dni wojny miotał się na froncie, codziennie ryzykując banderowską kulę w plecy lub wpadnięcie pod bomby bezkarnego i bezczelnego niemieckiego lotnictwa. On widział, że dzieje się coś niewiarygodnego: setki porzuconych na poboczach czołgów i dział, maszerujące bez ładu i składu tłumy byłych czerwonoarmistów, pootwierane na oścież drzwi komitetów rejonowych parni, których korytarze zawalone były śmieciami — strzępami legitymacji partyjnych i tomów nieśmiertelnych dzieł klasyków marksizmu.
Komisarz Waszugin widział tylko jedno wyjaśnienie — sabotaż. Czyż nie miał racji? Znał tylko jeden sposób na zaprowadzenie porządku w rozpadającej się na jego oczach armii — rozstrzelanie na miejscu. A czyż jest na to, szanowny Czytelniku, jakiś inny sposób? Co mogło w tej sytuacji, wśród tych *„kadr"*, które tak wytrwale hodowała partia, być realną alternatywą dla wyjazdów na front z trybunałem i grupą likwidacyjną?
A że komisarz Waszugin skierował swój gniew nie na tych, którzy zawinili? Prawda. Ale czy tylko to stanowi o jego osobistej winie, czy też jest to nieodwracalne nieszczęście, które spada na każdego, kto z radością zaprzedał duszę nieludzkiej, bezprawnej władzy?
Komisarz Waszugin na wszystkie te pytania sam dał sobie odpowiedź. Dwa dni później, po powrocie do sztabu frontu, poszedł do swego gabinetu służbowego i zastrzelił się.
A komisarz Popiel przeszedł przez całą wojnę, dożył zwycięstwa. O całe 48 lat przeżył Waszugina także o mało co nie rozstrzelany przez niego bohater wojny domowej, jeszcze przed Wielką Wojną Ojczyźnianą odznaczony trzema Orderami Czerwonego Sztandaru generał lejtnant Riabyszew. Na podstawie ich wspomnień postaramy się odtworzyć tragiczną historię klęski 8. Korpusu Zmechanizowanego.
Rankiem 27 czerwca w lesie na południowym skraju Brodów podjęta została następująca decyzja: utworzyć grupę uderzeniową w składzie 34. Dywizji Pancernej pułkownika Wasiliewa, 24. Pułku Czołgów 12. Dywizji Pancernej, 27. Pułku Strzelców Zmotoryzowanych 7. DZmech., korpuśnego (2. — dop. tłum.) pułku motocyklowego. Do wzmocnienia grupy przekazano także 15 czołgów T–34 ze składu 23. Pułku Czołgów 12. DPanc. Logika, zgodnie z którą właśnie te związki Weszły w skład grupy uderzeniowej, była bardzo prosta — do natarcia na Dubno powinny pójść te związki, które albo nie otrzymały nocnego rozkazu o odwrocie, albo nie pospieszyły się z jego wykonaniem.
Druga (mieszana) połowa korpusu — 7. Dywizja Zmechanizowana (bez 27. PSZmot.), 12. DPanc, (bez 24. PCz.), pododdziały wzmocnienia i techniczne — powinnyrozpocząć natarcie następnego dnia, 28 czerwca.

Na dowódcę grupy uderzeniowej Waszugin wyznaczył Popiela, dając mu na drogę dobrą radę partyjną: *„Zajmiecie do wieczora Dubno, otrzymacie nagrodę. Nie — wykluczymy z partii i rozstrzelamy"* [105].
Jeśli wyjdziemy z etatowej struktury korpusu zmechanizowanego Armii Czerwonej, to zauważymy, że grupa Popiela dysponowała nadzwyczaj potężną siłą uderzeniową: zebrano w niej trzy z pięciu pułków czołgów korpusu zmechanizowanego. Oczywiście wniosek taki nie jest równoznaczny z liczbami, które podaje w swoich wspomnieniach Riabyszew. Tak więc pisze on, że w korpusie (bez grupy Popiela) pozostały 303 czołgi, w tym 46 KW i 49 T–34.
Tak czy inaczej siły zebrane w grupie uderzeniowej były niemałe: ponad dziesięć tysięcy ludzi, około 300 czołgów, w tej liczbie nie mniej niż sto KW i T–34, kilkadziesiąt pięciowieżowych gigantów T–35.
O godzinie 14 27 czerwca 1941 roku stalowa lawina ruszyła na Dubno. Oddajmy głos dowódcy grupy uderzeniowej, komisarzowi N. K. Popielowi:
„Broniące wsi Granowka batalion piechoty i kompania czołgów przeciwnika zostały zaskoczone i rozproszone. Żołnierze niemieccy rzucali się w spodniach tylko ku działom, czołgom, do okopów — i stawali w płomieniach.
Z nieprzyjacielską osłoną Wołkow poradził sobie tak szybko, że siły główne nie musiały nawet przyhamować.
Całą szerokością drogi jechali nasi motocykliści. Na prawo od nich, za linią kolejową ciągnęły czołgi z działami skierowanymi w lewo. Gdy ze wzgórza zobaczyłem rozlewającą się lawinę, poczułem tę szczególną radość, jaką daje poczucie prawdziwej siły (...)
Bój rozwinął się na szerokim, mieniącym się złotem żytnim polu dziesięć kilometrów na południowy zachód od Dubna (...)*Do zmierzchu skończyliśmy z okrążonym zgrupowaniem przeciwnika. Piechota przeczesywała pole, wyciągając z żyta to szefa sztabu 11. Dywizji Pancernej, to szefa rozpoznania, to jeszcze kogoś"*.
Według słów Popiela, nie licząc zniszczonego sprzętu wroga, zdobyto 30 sprawnych czołgów oraz około 50 porzuconych przez Niemców dział. Rozgromiono tyły 11. Dywizji Pancernej Wehrmachtu. Zwycięstwo nie przyszło bez strat. W tej walce w płonącym czołgu zginął dowódca pułku czołgów Nikołaj Dmitriewicz Bołchowitin[60]. Ale i niemiecka piechota, nieugięcie broniąca miasta, miała okazję doświadczyć, co to takiego — uderzenie strasznego pancernego *„topora"*:
„Na moście, na siedzeniach i drzwiach dymiących maszyn, w koszach rozbitych motocykli — trupy. Nawet na drzewach strzępy ciał, zakrwawione, szarozielone skrawki (...) *Na nasze czołgi teraz strach patrzeć. Trudno stwierdzić, jaka jest prawdziwa ich barwa ochronna, czy aby nie czerwonobrunatna, której nie może zmyć drobny deszczyk"*.

Dubno— główny węzeł drogowy, przez który szło zaopatrzenie dla nacierających na Równe i Ostróg niemieckich dywizji pancernych — znalazło się w rękach wojsk radzieckich.

60 — Podpułkownik, dowódca 67. PCz. 34. DPanc. — dowodzenie po nim objął major A. P. Sytnik.

27 30 CZERWCA

Dotąd autor nie szczędził (dla niektórych czytelników — zbyt wiele) krytycznych uwag pod adresem Armii Czerwonej z 1941 roku. Zgodnie z prawdą czas już powiedzieć także o tym, że przeciwnik był wyjątkowo silny oraz że w tym czasie nie mogła dać sobie z nim rady żadna inna armia.

Oczywiście siła Wehrmachtu nie polegała na *„wielokrotnej przewadze ilościowej"*, której w rzeczywistości nie było, i nie na mitycznej *„nagłej napaści"*, a już tym bardziej nie na *„przewadze technicznej"* lichych niemieckich tankietek. Ich siła opierała się na czymś innym: na obowiązującej wszystkich — od generała do szeregowego — wierze w swoją niezwyciężoność, w przewagę nad każdym przeciwnikiem, na niezłomnej stanowczości dowództwa i wytrwałości wojsk.

Odnotować przy tym należy, że przełamanie radzieckiego klina pancernego na tyły zgrupowania uderzeniowego Wehrmachtu nie wywołało u generałów niemieckich nawet cienia zamieszania. Nie wznoszono panicznych okrzyków: *„Okrążają nas"*. Ani jedna dywizja pancerna Wehrmachtu nawet na godzinę nie przerwała nieugiętego marszu na Wschód.

Po wyrwaniu się z potrzasku pod Dubnem 11. DPanc, już 27 czerwca opanowała Ostróg, sforsowała rzekę Horyń i ruszyła szosą prosto na Szepietówkę — ważny węzeł kolejowy prawobrzeżnej Ukrainy. Dywizje III Korpusu Zmotoryzowanego Wehrmachtu (13. i 14. DPanc., 25. DZmot.), rozwijając natarcie z Dubna na północny wschód, do końca 28 czerwca zajęły Równe i już następnego dnia wyszły ku rzece Horyń w pasie Goszcza–Tuczin.

W tym czasie do lokalizacji przełamania radzieckich czołgów pod Dubnem dowództwo niemieckie pospiesznie ściągało z innych odcinków frontu pięć dywizji piechoty (44., 299., 111., 75. i 57.), a'także część sił 16. Dywizji Pancernej i 16. Dywizji Zmotoryzowanej ze składu

XXXXVIII Korpusu Zmotoryzowanego.

Zauważmy, że samo pojawienie się niemieckiej piechoty pod Dubnem (120 kilometrów od granicy) już w piątym, szóstym dniu wojny jednoznacznie świadczy o tym, jak w rzeczywistości wyglądał *„zacięty opór"* wojsk radzieckich. Dla piechoty (maszerującej naprawdę na piechotę) 20 kilometrów dziennie to tempo marszu forsownego. W październiku 1939 roku właśnie na

tych terenach, na terytorium okupowanej wschodniej Polski, w celu wycofania wojsk niemieckich i radzieckich na ustaloną linię nowej granicy ustanowiono właśnie taki — 20 kilometrów dziennie — grafik dla kolumn marszowych [1, s. 130]. Innymi słowy — w czerwcu 1941 roku Niemcy po prostu maszerowali, gdyż przy takim tempie posuwania się piechota niemiecka walczyć po prostu nie mogła...

Ruchliwości wojsk niemieckich, szybkości i stanowczym decyzjom niemieckich generałów należało przeciwstawić nie mniejszą operatywność sztabów radzieckich. Niestety, w lecie 1941 roku zadanie takie było ponad siły dla dowództwa Armii Czerwonej. Z przykrością przychodzi skonstatować, że ocena ta odnosi się także do najlepszych spośród najlepszych, nawet do tych, którzy męstwem i ofiarnością zasłużyli na wieczną pamięć wdzięcznej potomności.

Po opanowaniu Dubna w nocy z 27 na 28 czerwca grupa popielą zatrzymała się i nie podejmując nawet jednej próby wykorzystania tego powodzenia, zajęła się organizacją obrony okrężnej. To nie przeciwnik, ale błędna decyzja dowództwa zatrzymała dalsze posuwanie się klina pancernego na tyły zgrupowania uderzeniowego przeciwnika. We wspomnieniach N. K. Popiel pisze właśnie w ten sposób: *„Oto ono, miasto odbite wrogowi. Żołnierze spacerują po ulicach, oglądają domy, dziury w pancerzach czołgów, żartują z wychodzącymi z piwnic «panienkami»* (...)*Niemieckie lotnictwo się nie pojawia. Front nie wiadomo gdzie, nawet kanonady nie słychać. Jaka tu jeszcze obrona!*

Trzeba było przełamać to beztroskie zwycięskie upojenie (...) *Pracownicy polityczni, dowódcy, komuniści, komsomolcy, agitatorzy — cała siła oddziaływania wychowawczego powinna przestroić myślenie żołnierza, wpoić mu jedną niezaprzeczalną zasadę: sukces zapewni jedynie niezłomna obrona"*.

Nie jest całkiem jasne, kto był autorem tej samobó jczej decyzji. Popiel w swej książce w ogóle nie wyjaśnia, co też zmusiło jego i pułkownika Wasiliewa do powstrzymania dalszego natarcia wzdłuż szosy Dubno–Równe, na tyły III Korpusu Zmotoryzowanego przeciwnika. Co prawda Popiel pisze, że wydany rankiem 27 czerwca rozkaz żądał od niego: „ (...)*wybić przeciwnika z Dubna, następnie*

przejść do obrony okrężnej w rejonie Dubno–Smordwa–Piełcza i być w gotowości do natarcia w składzie zgrupowania uderzeniowego" [113].

Z drugiej strony, ze wspomnień Bagramiana można wnioskować (chociaż otwarcie tego nie mówi), że żadnego *„zatrzymania"* po opanowaniu Dubna nie planowano.

Jeszcze raz powtórzmy: żołnierze i dowódcy grupy Popiela przebili się na tyły operacyjne przeciwnika, zadali mu ogromne straty, a następnie twardym oporem związali sześć dywizji wroga. Ich wyczyn powinien zostać złotymi literami wpisany w historię Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Niemniej należy powiedzieć otwarcie, że podjęta rankiem 28 czerwca decyzja o przejściu do obrony była całkowicie błędna — *„zwycięskiego upojenia"* w wojskach pancernych nie należy przełamywać, ale wykorzystywać je do rozwinięcia natarcia.

„Natarcie czołgów staje się bezcelowe, jeśli nie przechodzi ono w pościg. Tylko ściganie [przeciwnika] *może umocnić sukcesy osiągnięte we wcześniejszych walkach. Dlatego każdy dowódca wojsk pancernych powinien dążyć do kontynuowania natarcia wszystkimi znajdującymi się w gotowości bojowej czołgami i prowadzić je, aż starczy paliwa* (...)*Siła woli człowieka w tym wypadku nie powinna ustępować wytrwałości silnika czołgu* (...) *Tylko w taki sposób można ułatwić kolejne walki lub w ogóle ich uniknąć* (...)*Każdy wygrany kwadrans jest cenny i może mieć decydujący wpływ na przebieg działań bojowych"* — tak pisał H. Guderian, wybitny teoretyk wojny pancernej,wielokrotnie potwierdzający w praktyce poprawność swoich teorii [65].

Wtóruje mu także H. Hoth — dowódca 3. Grupy Pancernej Wehrmachtu. W swej książce **Panzer–Operationen** (**„Operacje pancerne"**) pisze on:
„Sukces, osiągnięty dzięki śmiałym i zdecydowanym działaniom związków pancernych, należy wykorzystać do utrzymania w swoich rękach inicjatywy operacyjnej (...)*Krępowanie związkom pancernym ruchliwości, która jest ich najlepszą obroną, utrzymywanie ich w ciągu dłuższego okresu w jednym miejscu sprzeczne jestz charakterem i przeznaczeniem tego rodzaju wojsk"* [13].
Niestety, grupa Popiela pozostawała bezczynnie w Dubnie nie kwadrans, ale dwa i pół dnia!
W tym czasie przeciwnik zdążył wiele zdziałać: odrzucił 9. i 19. KZmech. na 70 kilometrów na północny wschód od Dubna, dywizje piechoty utworzyły

wokół Dubna szczelny pierścień okrążenia, wzbudzono panikę przełamaniem 11. Dywizji Pancernej na Ostróg–Szepietówkę.

Za to dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego nie zdołało ani ocenić, ani wykorzystać osiągniętego pod Dubnem sukcesu. Ale o jakim *„wykorzystaniu sukcesu"* w ogóle mówimy, skoro w ciągu trzech dni grupa Popiela nie otrzymała od sztabu frontu żadnej informacji, żadnej pomocy, żadnych rozkazów! Dopiero wieczorem 30 czerwca samolotem dotarł do grupy nowy rozkaz frontu: znaleźć i zniszczyć jakąś mityczną *„grupę 300 czołgów przeciwnika, znajdujących się w lesie bez paliwa i amunicji"*. Łączność radiową z Popielem nawiązało i uporczywie próbowało podtrzymać... jedynie rozpoznanie niemieckie. W języku rosyjskim w imieniu generała Riabyszewa wrogi radiotelefonista dziękował za *„waleczność i bohaterstwo"* i próbował poznać rozmieszczenie sztabu grupy. W trakcie walk pod Dubnem nikt inny nie nawiązał łączności ze sprawną (!) radiostacją.
Kolumna samochodów z paliwem i amunicją dla grupy Popiela zatrzymana została na szosie Brody–Dubno. Zatrzymana zwyczajnie, przez znajdującego się tam dowódcę jakiejś wycofującej się dywizji kawalerii (najprawdopodobniej była to 3. DKaw. ze składu 6. Armii), i skierowana z powrotem, ponieważ *„Dubno dawno już w rękach Niemców"*. Nikt się z nikim nie chciał kłócić, ciężarówki zawróciły pospiesznie na tyły, a w tym samym czasie w czołgach 34. DPanc. Wasiliewa zostało po 20 pocisków...
Czytasz to i myślisz: co to jest — opis działań bojowych regularnej armii czy opowiadanie o tym, jak podpici turyści w górach szukali się po całym lesie?
Sądząc po tym wszystkim, największy niepokój dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego w tych dniach i godzinach wywoływało przełamanie niemieckiej 11. Dywizji Pancernej (a mówiąc ściśle, tego, co z niej pozostało po walkach z 15., 19. i 8. Korpusem Zmechanizowanym Armii Czerwonej) na Ostróg–Szepietówkę.
Przede wszystkim Kirponos i Chruszczów uzyskali od Kwatery Głównej zgodę na wykorzystanie do sparowania niemieckiego przełamania oddziałów 16. Armii Łukina, która w pierwszych dniach wojny przybyła z Dalekiego Wschodu w rejon Proskurów–Izjasław–Szepietówka. Tak, niemieckie wtargnięcie pokrzyżowało wszystkie przedwojenne plany i już 26 czerwca 1941 roku 16. Armię nakazano przerzucić na Front Zachodni do Smoleńska. Dzięki energicznym i zdecydowanym działaniom dowódcy armii Łukina 109. Dywizja Zmechanizowana i 114. Pułk Czołgów samodzielnej 57. Dywizji Pancernej zostały zawrócone z załadunku na transporty kolejowe i wysunięte ku Ostrogowi. Następnie Łukin przyłączył do swej grupy 213. Dywizję *„Zmechanizowaną"* 19. Korpusu Zmechanizowanego, która, jak uważny czytelnik pamięta, z powodu braku środków transportu poruszała się piechotą z Kazatynia na zachód, ku zajętemu już przez Niemców Równemu. Grupa Łukina liczebnie co najmniej dwukrotnie przeważała nad 11. Dywizją Pancerną

Wehrmachtu.
Oprócz tego do walki z przełamującymi się na Ostróg czołgami niemieckimi została wciągnięta większa część lotnictwa frontu, która (jeśli wierzyć meldunkowi dowódcy sił powietrznych) — „(…) *w okresie 28.06.– 29.06. wychodzącą w rejon Ostroga grupę pancerną przeciwnika (do dywizji) działaniami naszych bombowców we współdziałaniu z wojskami Szepietowskiego Rejonu Umocnionego odrzuciła i rozproszyła po lasach*". Odrzuciła i rozproszyła… Zapamiętajmy więc, że nawet do 4 września (według danych niemieckich) straty 11. DPanc, wyniosły w sumie zaledwie 40 czołgów [11].
Prócz tego dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego poleciło utworzyć *„odcinającą rubież obronną"* wzdłuż linii Wiszniowiec–Bazalia–Starokonstantynów, czyli 60–70 kilometrów na południe od kierunku marszruty niemieckiej 11. DPanc. Na rubież tę wysunięte zostały ostatnie rezerwy frontu: 24. Korpus Zmechanizowany (222 czołgi lekkie), trzy brygady artylerii przeciwpancernej i 199. Dywizja Strzelecka. Związki te na wskazanej rubieży pozostawały bezczynne, bez żadnego kontaktu z przeciwnikiem, który nie dążył do przełamania w kierunku południowym, ale gnał prosto na wschód — na głębokie tyły Frontu Południowo–Zachodniego.
Poza tym, według słów Bagramiana, Kwatera Główna zdecydowała (należy przypuszczać, że na podstawie budzących grozę meldunków, jakie napływały do Moskwy), że front własnymi siłami *„nie zdoła powstrzymać lawiny niemieckich czołgów"* (na początku walk w 11. DPanc, znajdowały się 143 czołgi).
Już 29 czerwca Żukow w rozmowie telefonicznej z Kirponosem podkreślił, że *„Kwatera Główna żąda, aby szczególną uwagę skupić na rozwoju wydarzeń na kierunku szepietowskim* (…) *W tym celu oddziały pancerne Łukina w pełnym składzie* (13. i 17. Dywizja Pancerna, 115. PCz. 57. Dywizji Pancernej, nie mniej niż 900 czołgów — M.S.) *rzucić na Zdołbunów–Mizocz"* [110].
Niemal rozpaczliwie blefujące dowództwo niemieckie, rzucające porządnie przetrzepaną 11. Dywizję Pancerną do rajdu kawaleryjskiego na tyły wojsk radzieckich, liczyło na uzyskanie właśnie takiego efektu… Przez całe to zamieszanie o 8. i 15. Korpusie Zmechanizowanym po prostu zapomniano. Później o tym, co tam zaszło, nawet nie wspominano.
28czerwca nad brzegami leśnych rzeczułek Radostawka i Ostrówka (nie oznaczonych na żadnej ze znajdujących się w posiadaniu autora map[61]) faktycznie zakończyły się działania bojowe 15. KZmech.
Po całym bałaganie ze zmianą rozkazów, po kilkudniowej *„bieganinie"* po lesistym rejonie Radziechów–Brody, dopiero nad ranem 28 czerwca 15. Korpus Zmechanizowany ruszył do natarcia. W rejonie Beresteczka (na które korpus teraz nacierał) już w tym czasie nie było czołgów

niemieckich (13., 14., 11. Dywizja Pancerna odeszły na 100–120 kilometrów na wschód, a 16. DPanc, toczyła walki z grupą Popiela w rejonie Dubna). 15. KZmech. napotkał jedynie niemiecką 297. Dywizję Piechoty.

Opisy walk z 28 czerwca, znajdujące się w meldunkach dowódców 15. KZmech., 10. i 37. Dywizji Pancernej, są bardzo rozwlekłe i pogmatwane [8]. Krótkie ich streszczenie wygląda tak:

„W ciągu dnia oddziały toczyły walki w rejonie uroczyska Wola Adamowska, Ksawerówki w celu opanowania Łopatynia (...)*nacierające oddziały 10. DPanc, zostały zatrzymane przed torfowiskami, w których rejonie jedyna droga okazała się niedogodna do przeprawy czołgów... W toku walki o Łopatyń na rubieży rz. Ostrówka nacierające oddziały zostały okrążone* (dywizja pancerna została okrążona przez piechotę przeciwnika? — M.S.). *Do godziny 21 piechota przeciwnika z działami przeciwpancernymi przeniknęła z kierunku Opłucko, Kolesniki i zamykając pierścieniem szyki bojowe oddziałów, rozpoczęła w lasach walkę z czołgami* (...) *Pozostawianie 10. DPanc, w tym rejonie na noc, w okrążeniu, było bezcelowe i mogło doprowadzić do utraty całej dywizji...*

61 — Nawet na wojskowej mapie w skali 1:500 000 oznaczona z nazwy jest tylko rz. Radostawka — lewy dopływ Styru, natomiast rz. Ostrówka (w pobliżu Łopatynia) płynie ok. 5 km na północ od Radostawki.

Po sforsowaniu rz. Styr 6 –8 czołgów 74. Pułku Czołgów 37. DPanc, znalazło się pod silnym ogniem artylerii przeciwnika ze strony uroczyska Las Dębnik i zostały uszkodzone. Ponosząc znaczne straty i nie mając dostatecznego wsparcia czołgów (przed walką w 37. DPanc, znajdowało się 211 czołgów, w tym 26 T–34 — M.S.), *pułk strzelców zmotoryzowanych 37. DPanc, był zmuszony wyhamować natarcie i przejść do obrony na zachodnim brzegu rz. Styr* (...)*Przeciwnik, osłaniając siłami do batalionu* (batalion piechoty przeciwko dywizji pancernej! — M.S.) *przeprawy na zachodnim brzegu rz. Styr, ponosząc ogromne straty, rozpoczął pospieszny odwrót w kierunku wzgórza 202,0, ur. Las Dębnik* (...) *W związku z czasową utratą dowodzenia 73. Pułkowi Czołgów z dużym trudem udało się przeprawić na zachodni brzeg rz. Styr* (...) *Dało to możliwość resztkom batalionu przeciwnika, broniącego przeprawy pod Stanisławczykiem, na wycofanie się do lasu* (...) *Nie powiodła się próba przeprawy przez rz. Ostrówka po mostach na północ od wzgórza 202,0, gdy czołowe 2–3 czołgi, które podeszły do mostu, od razu zostały trafione i zaczęły się palić. Kilka czołgów próbowało obejść most z prawa i lewa, ale okazało się to niemożliwe; czołgi ugrzęzły w bagnie i zostały trafione ogniem artylerii przeciwnika* (...) *Z nastaniem ciemności dowódca 15. Korpusu Zmechanizowanego wydał rozkaz o wycofaniu oddziałów 10. Dywizji pancernej na wschód w rejon 37. DPanc, do*

wspólnych działań w celu opanowania Łopatynia, a następnie, w związku z dokonującym się już (co to znaczy— *„dokonującym się już"*? — M.S.)*wyjściem z walki 37. Dywizji Pancernej — rozkaz o wycofaniu i powrocie na pozycje wyjściowe"*.

Trudno uwierzyć, że wszystko to działo się na własnym te rytorium, praktycznie w rejonie przedwojennej dyslokacji 15. Korpusu Zmechanizowanego, czyli tam, gdzie każda droga, ścieżka, rów, bród, most powinny być doskonale znane. Trudno również uwierzyć, że oto przed nami opis działań bojowych korpusu zmechanizowanego, w którego składzie znajdowały się pododdziały pontonowo–mostowe, saperskie, inżynieryjne, remontowo–ewakuacyjne, rozpoznawcze.

Na każdy czołg 15. Korpusu Zmechanizowanego przypadało (według stanu na 1 czerwca 1941 roku) 45 ludzi. Z tej liczby wewnątrz czołgu znajdowało się co najwyżej pięciu członków załogi KW (w BT — trzech ludzi). Pozostali powinni byli osłaniać działania bojowe czołgistów. Zapewniać łączność, rozpoznanie, remont, paliwo, amunicję, mosty, przeprawy i — najważniejsze — dowodzenie…

W meldunku dowódcy 15. KZmech. stwierdza się, że w ciągu dnia tej *„zaciętej"* walki 10. DPanc, straciła siedmiu ludzi:
1 zabitego i 6 rannych. Można by się cieszyć, że Armia Czerwona już pod koniec czerwca 1941 roku nauczyła się walczyć *„małą krwią"*. Niestety, dalej w meldunkach pojawiają się takie liczby, które odbierają ochotę do radości.
Tak więc 10. Dywizja Pancerna w okresie walk 23–28 czerwca i wycofania za Dniepr straciła: 210 ludzi zabitych, 587 rannych, 3353 ludzi zaginęło bez wieści, *„pozostało w marszu"* itp. Nawet jednak przy tym stosunku strat dywizja Ogurcowa potwierdziła swą reputację jednej z najlepszych. W końcu do Piriatynia (za Dniepr) wyszło 756 oficerów, 1052 podoficerów, 3445 szeregowych, w sumie — 56% stanu początkowego (w dniu 22 czerwca). Dalsze losy samego Siergieja Jakowlewicza Ogurcowa były tragiczne. W toku zaciętych walk pod Berdyczowem dostał się do niewoli, w kwietniu 1942 roku uciekł, wstąpił do oddziału polskich partyzantów i poległ w walce 28 października 1942 roku pod Tomaszowem, 100 kilometrów od Lublina, do którego nie zdołała dojść jego dywizja pancerna…
37. Dywizja Pancerna, której cały udział w *„przeciwuderzeniu korpusów Frontu Południowo–Zachodniego"* upłynął na bezskutecznych próbach odrzucenia batalionu piechoty niemieckiej pod miasteczkiem Stanisławczyk, utraciła 75% stanu osobowego. W rejon ześrodkowania pod Piriatyniem wyszło 467 oficerów, 423 podoficerów i 1533 szeregowych. Mówiąc wprost, w czasie odwrotu za Dniepr dywizja się niemal zupełnie *„roztopiła"*…
A 212.Dywizja Zmechanizowana z 15. KZmech. przepadła w całości.

Niemal bez śladu. Jeśli we wszystkich meldunkach dowódców 15. KZmech. twierdzi się, że 212. DZmech. *„broniła Brodów"*, to Riabyszew i Popiel w swoich wspomnieniach zgodnie mówią o tym, że nie stwierdzili obecności żadnych naszych wojsk w Brodach. Już 1 lipca, w czasie rozpoczętego ogólnego odwrotu oddziałów 15. KZmech., w rejonie Olejowa zaginęli dowódca dywizji generał major Baranów i szef sztabu pułkownik Pierszakow. S. W. Baranów został ranny, dostał się do niewoli i zmarł na tyfus w obozie dla jeńców wojennych pod Zamościem w lutym 1942 roku. Po utracie sztabu 212. DZmech. rozsypała się szybko i definitywnie — do Piriatynia do 12 lipca dotarło w sumie 745 ludzi...

Zupełną klęską zakończyły się także próby przebicia się do grupy Popiela w Dubnie pozostającej w dyspozycji Riabyszewa części 8. KZmech (7. Dywizja Zmechanizowana, pułk czołgów i zmotoryzowany z 12. DPanc.).

Pomimo potężnego tarana pancernego (Riabyszew pisze, że w składzie wojsk jego grupy, oprócz dwóch setek czołgów lekkich, było jeszcze 46 KW i 49 T–34) nie udało się przebić obrony niemieckich 57. i 75. Dywizji Piechoty. We wspomnieniach Riabyszewa opis tych dwóch tragicznych dni — 27 i 28 czerwca — grzeszy sporą niedokładnością. Na przykład, pisze on, że Niemcy stracili w ciągu dwóch dni 150 czołgów — liczba wprost fantastyczna, jeśli wziąć pod uwagę, że jedyna działająca w tym rejonie 16. Dywizja Pancerna Wehrmachtu rozpoczęła wojnę, mając na wyposażeniu 146 czołgów, a jej siły główne zajęte były walkami pod Dubnem. Niemniej, nie budzi wątpliwości, że za rozbicie 8. KZmech. przyszło Niemcom zapłacić ogromnymi (według ich kategorii) stratami. Na przykład 28 czerwca grupa niemieckich czołgów przedarła się na stanowisko dowodzenia dywizji pancernej Miszanina. W walce, jaka się wywiązała, dziesięć naszych czołgów (6 KW i 4 T–34), jak pisze Riabyszew, *„zdołało zniszczyć wszystkie z 40 włamujących się wrogich maszyn. Sami nie ponieśli strat dzięki temu, że działa niemieckich czołgów nie przebijały pancerza czołowego naszych ciężkich i średnich czołgów"* [113].

Ale stalowy pancerz nie mógł zastąpić braku elementarnego porządku. *„Kontuzjowany, ledwie mówiący Miszanin nie był w stanie dowodzić. Ale stanowczo odmówił wyjazdu do szpitala i nie wychodził z czołgu. Pułkownik Niestierow*(zastępca dowódcy 12. DPanc. — M.S.)*gorączkował się, krzyczał, wydawał rozkazy, a potem je zmieniał* (...)*Dywizja w gruncie rzeczy pozostała bez dowódcy"* — tak opisuje sytuację Popiel i sądząc z tego, jak rozwijały się zdarzenia później, ta surowa ocena była bardzo bliska rzeczywistości.

Wieczorem 28 czerwca niemiecka piechota zmotoryzowana z czołgami wyszła na tyły 8. KZmech., odcinając drogę odwrotu wzdłuż szosy na Brody. Znowu wybuchła panika. Poległ generał Miszanin, który w szyku

pieszym poprowadził żołnierzy do ataku. Katastrofie zdołały zapobiec zdecydowane działania dowódcy korpusu. Riabyszew osobiście stanął na czele grupy czołgów, która przebiła *„wrota"* w niezbyt jeszcze szczelnym wrogim pierścieniu, i utrzymała drogę na Brody, póki nie przeszły po niej wszystkie ocalałe pododdziały 7. DZmech. i 12. DPanc. Odwrót przekształcił się w chaotyczną ucieczkę, przy czym nowy dowódca 12. Dywizji Pancernej pułkownik Niestierow zdołał nawet wyprzedzić swoich podwładnych. Rankiem 29 czerwca on i jego zastępca do spraw politycznych Wiłkow, jak pisze Bagramian, *„przybyli na SD frontu do Tarnopola"*, gdzie zameldowali Kirponosowi o klęsce korpusu. Tego samego dnia, 29 czerwca, sztab frontu wydał rozkaz o wycofaniu 15. i 8. KZmech. na tyły, za rubież obrony 37. Korpusu Strzeleckiego, ale w tym czasie rozkaz ten*„uprawomocnił"* tylko faktyczne załamanie się frontu.

O sytuacji w tych dniach jaskrawię świadczy krótkie stwierdzenie z meldunku o działaniach bojowych 15. KZmech.: *„Szosa na wschód od Złoczowa cała zapchana płonącymi samochodami nieprzebranych kolumn"*.

Riabyszew twierdzi, że gdy do 1 lipca 8. KZmech. wycofał się do Tarnopola, miał w swoim składzie *„ponad 19 tysięcy żołnierzy i dowódców, 207 czołgów, w tym 43 KW i 31 T–34"*.

Siły, jak widzimy, były niemałe. *„Działając przeciwko nacierającej 1. Grupie Pancernej przeciwnika— pisze we wspomnieniach Riabyszew — 8. Korpus Zmechanizowany mógł jeszcze przez kilka dni powstrzymywać go, zadając straty i zmniejszając tempo posuwania się w głąb naszego terytorium. W tym wypadku pozostające w linii czołgi i artyleria korpusu zostałyby wykorzystane do końca z maksymalnym oddaniem w walce"* [113].

Ale żywioł odwrotu już opanował i wojska, i sztab, który 30 czerwca przemieścił się do Proskurowa, 3 lipca — do Żytomierza (250 kilometrów na wschód od Brodów), 6 lipca — do Browarów (to już z a Dnieprem). Do Władywostoku było jeszcze daleko, ale dalsze *„zmiany dyslokacji"* sztabu Frontu Południowo–Zachodniego przerwał zatrważający ryk z Moskwy [112, s. 199]:

„Otrzymaliśmy wiarygodne informacje, że wy wszyscy, od dowódcy Frontu Południowo–Zachodniego do członków Rady Wojennej, ulegliście panice i zamierzacie przeprowadzić wycofanie wojsk na lewy (wschodni — M.S.) *brzeg Dniepru*.

Uprzedzam was, że jeśli wykonacie choć jeden krok w stronę wycofania wojsk na lewy brzeg Dniepru, nie będziecie do ostatniej możliwości bronić rejonów umocnionych na prawym brzegu Dniepru, to wszystkich was dosięgnie surowa kara jako tchórzy i dezerterów.

Przedstawiciel PKO (Państwowego Komitetu Obrony— dop. tłum.) *J.*

Stalin".
12 lipca, w odpowiedzi na ten telegram, do Moskwy wysłano inny:
„Przeciwnikowi udało się przerwać na Żytomierz i Kijów dlatego, że nie mieliśmy odwodów (???— M.S.).
Mimo to nie daliśmy przeciwnikowi możliwości wdarcia się do Kijowa z marszu (...)*Zapewniamy Was, towarzyszu Stalin, że postawione przez Was zadanie zostanie wypełnione*.
Chruszczów, Kirponos".

OSTATNI BÓJ

Nie, to nie zbieg okoliczności, że okrążające Dubno z e wszystkich stron dywizje niemieckie rozpoczęły natarcie dopiero w południe 30 czerwca — już po odrzuceniu oddziałów 15. i 8. Korpusu Zmechanizowanego spod Brodów na Tarnopol. Jak sfora psów na zaszczutego niedźwiedzia, na grupę Popiela runęły cztery dywizje piechoty (299., 111., 44., 75.), 16. Dywizja Pancerna i 16. Dywizja Zmotoryzowana Wehrmachtu. Dwudniową pauzę, podarowaną im przez nieroztropne dowództwo radzieckie, Niemcy w pełni wykorzystali — podciągnęli potężne siły artylerii, zgromadzili duże zapasy amunicji.

Natarcie rozpoczęło się po silnym, dwugodzinnym przygotowaniu artyleryjskim. *„Nasze czołowe pozycje zniknęły w dymie i pyle. Obłoki zakryły słońce* (...)*Zanikła granica pomiędzy polem i lasem, zniknęła droga, znikł horyzont"* [105]. Niemal niebyło czym odpowiedzieć: w pułku artylerii 34. DPanc, pozostały pojedyncze pociski. Ale *„niedźwiedź"* był jeszcze bardzo silny. Ciężkie czołgi KW, po zużyciu zapasu amunicji, taranowały czołgi niemieckie, wgniatały w ukraiński czarnoziem wrogie działa. W toku walki udało się zdobyć kilka niemieckich baterii haubic z dużym zapasem pocisków, które następnie spadły na głowę wroga. Pod koniec dnia bój ucichł. Niemcy praktycznie ani na kilometr nie posunęli się w kierunku Dubna, ponieśli ogromne straty, stracili dowódcę 44. DP (dostał się do niewoli i zginął w czasie bombardowania od odłamka bomby). Ale i położenie grupy Popiela było krytyczne: kończyło się paliwo i amunicja, rozbite zostały wszystkie radiostacje, bataliony medyczne przepełnione były innymi.

Późnym wieczorem 30 czerwca po długich rozmyślaniach dowódcy podjęli następującą decyzję: tyły, czołgiści pozbawieni maszyn (nie mieli nawet karabinów), batalion medyczny pod osłoną jednego pułku czołgów przebiją nocą pierścień okrążenia pod stacją Werba i ruszą na południe, do Tarnopola. Na czele tej grupy stanął pułkownik Pleszakow, dowódca 27. Pułku Zmotoryzowanego, *„stary wojak — jak pisze o nim Popiel — który Order Czerwonego Sztandaru otrzymał pod Pierekopem,*

a Lenina — na Przesmyku Karelskim". Do każdego z szesnastu czołgów tej grupy włożono po kilka pocisków — nadzieję pokładano głównie w zaskoczeniu, zdecydowanym nacisku i taranie pancernym. Pomysł się sprawdził.

Zadowoleni i nierozważni Niemcy spali. Oddział Pleszakowa praktycznie bez walki uszedł na południe. Niemal po tygodniu na szosie Tarnopol–Proskurów dogonił on wycofujące się na południe oddziały 8. KZmech.

Siły główne grupy Popiela (które do tej chwili zmniejszyły się do 80 czołgów i kilku baterii artylerii) od rana 1 lipca miały nacierać wzdłuż szosy Dubno–Brody na południowy zachód, czyli tam, gdzie według Popiela, powinien znajdować się Riabyszew z dwiema dywizjami 8. Korpusu Zmechanizowanego.

Fatalną rolę w podjęciu tej decyzji po raz kolejny odegrał brak łączności i informacji. Żadnych naszych wojsk w rejonie Brodów już nie było. Trzeba było się przebijać nie na południe, ale na północ, wzdłuż szosy Dubno– Młynów, tam gdzie przygotowywano przeciwuderzenie 5. Armii.

Właśnie tak — w sytuacji ogólnego chaosu i rozpoczęcia niekierowanego wycofania wojsk 6. Armii i innych oddziałów Frontu Południowo– Zachodniego — dowódca 5. Armii generał major M. I. Potapow przygotowywał nowe natarcie na Dubno. W charakterze głównej siły uderzeniowej miała wystąpić 41. Dywizja Pancerna 22. Korpusu Zmechanizowanego.

M am nadzieję, że uważny czytelnik jeszcze pamięta, jak dywizja ta w pierwszych dniach wojny miotała się pomiędzy Włodzimierzem Wołyńskim i Kowlem, jak ją *„rozbierano na części"*, jak w czasie odwrotu przez głuche lasy ukraińskiego Polesia utraciła dwie trzecie swoich czołgów. Ale na wszystko przychodzi kres — w ostatnich dniach czerwca 41. DPanc, i resztki 215. DZmech. wyszły na spotkanie z siłami głównymi 5. Armii na rubieży rzeki Styr, na północ od Rożyszcz.

Według danych zaczerpniętych z monografii Władimi rskiego, 29 czerwca
41. DPanc, miała w swym składzie 106 czołgów T–26 i 16 ciężkich KW (ze
152–mm haubicą), a kolejne 15 czołgów lekkich T–26 znajdowało się w składzie 215. Dywizji Zmechanizowanej. Można powiedzieć, że dywizje te, po utracie 72% początkowej liczby czołgów, były już rozgromione. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę liczbę czołgów 41. DPanc, i 215. DZmech., odpowiadały w sumie jednej niemieckiej dywizji pancernej. Zgodnie z decyzją generała Potapowa, grupa pancerna, nacierając z

północnego zachodu na Młynów–Dubno, powinna z rejonu na zachód od Równego wykonać uderzenie na skrzydło i tyły III Korpusu

Zmotoryzowanego przeciwnika, którego dywizje były już dość mocno wyczerpane i wykrwawione wielodniowymi zaciętymi walkami z 1. BAPpanc. Moskalenki, a następnie — z oddziałami 22., 9. i 19. Korpusu Zmechanizowanego nad rzeką Horyń. Przeciwuderzenie miało szansę powodzenia. Ale tak się nie stało…
„Kiedy wojska lewego skrzydła 5. Armii kończyły przygotowania do przejścia do natarcia — pisze Władimirski — otrzymano nowy rozkaz dowódcy Fr. Płd.–Zach., w którym 5. Armii postawiono zadanie (…) *rozpoczęcia odwrotu z nastaniem ciemności 1 lipca i wycofania na rubież rzeki Słucz do rana 5 lipca* (…)*w związku z krótkim terminem wycofania* (…) *działania zaczepne należy zakończyć nie później niż do wieczora 1 lipca"* [92].
Nie można nie zauważyć wytrwałości, z jaką dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego zr y w a ł o k a ż d e z o r g a n i z o w a n e d z i a ł a n i a z a c z e p n e podległych mu wojsk. Niemniej 1 lipca o godzinie 15 natarcie się rozpoczęło. Do godziny 10–11 dnia 2 lipca czołgiści 41. DPanc., po rozgromieniu około trzech batalionów niemieckiej piechoty zmotoryzowanej, byli już 15 kilometrów od Dubna. Jeśli działania wojsk 5. Armii byłyby skoordynowane w czasie i miejscu z przełamaniem grupy Popiela, to najpewniej kilka tysięcy żołnierzy i kilkadziesiąt czołgów udałoby się wyprowadzić z okrążenia. Niestety, *„północne"* i *„południowe"* zgrupowania wojsk radzieckich nie podjęły żadnego współdziałania. W czasie, gdy 41. DPanc, przebijała się do Dubna z północy, czołgiści grupy Popiela ruszyli do swego ostatniego natarcia na Kozin (30 kilometrów na południowy zachód od Dubna).
Cóż możemy powiedzieć o tym boju, jeśli jego uczestnik i dowódca pisze tak:
„W zasłonie krwawej mgły powstają oddzielne epizody, sceny. Jak bym się starał, nie zdołam po kolei przedstawić tej ciągnącej się przez cały dzień, z niczym nieporównywalnej bitwy (…)
Soczysta trawa wokół pożółkła od dymu (…)*Niemilknący łoskot wypełnia powietrze, niesie się po lesie. Nie wiesz, gdzie nasze, a gdzie niemieckie czołgi. Wokół czarne stalowe pudełka, z których wystrzeliwują języki płomieni"* [105].

Poległ dowódca 34. Dywizji Pancernej pułkownik I. W. Wasiliew, zaginęli bez wieści zastępca dowódcy do spraw politycznych M. M. Niemcew i dowódca 24. Pułku Czołgów 12. Dywizji Pancernej podpułkownik P. I. Wołkow, poległo, zaginęło bez wieści, znalazło się w

niemieckiej niewoli tysiące żołnierzy i dowódców. Riabyszew w swoich wspomnieniach podaje nawet dokładną (?) liczbę — 5363 zaginionych bez wieści.

Pod koniec dnia 1 lipca w lesie pod osadą Kozin zebrali się ci, którzy wyszli — około tysiąca ludzi.
„Nakazałem uporządkować skład osobowy— wspomina N. K. Popiel. — *W tym dniu ludzie widzieli już wszystko. Nie zdziwiliby się, gdyby zza krzaków podniósł się do ataku niemiecki pułk. Ale formować szyki? Po co? Nie zbzikował aby komisarz brygadowy?"*
Nie. Bez wątpienia właśnie ta decyzja Popiela — *„jesteśmy częścią regularnej armii, mamy regulamin, dyscyplinę, sztandar"* — uratowała ludzi od hańby i śmierci w niewoli. Po włączeniu okrążonych z innych oddziałów grupa przeszła w walce 250 kilometrów po ogromnym łuku Dubno–Sławuta– Korosteń i pod koniec lipca 1941 roku wyszła w rejon rozmieszczenia oddziałów 5. Armii w rejonie Biełokorowicz.
A natarcie 41. Dywizji Pancernej i 215. Dywizji Zmechanizowanej 5. Armii na Młynów Niemcy powstrzymali, ale musieli przy tym wprowadzić do walki odwód dowódcy Grupy Armii *„Południe"*. Rankiem 2 lipca 99. Dywizja Piechoty Wehrmachtu i Dywizja Zmotoryzowana SS *„Adolf Hitler"*, szybko przerzucone przez Łuck, wykonały uderzenie na tyły zgrupowania uderzeniowego wojsk radzieckich. Nasze wykrwawione w poprzednich walkach dywizje nie wytrzymały nacisku tych doborowych łotrów, a i rozkaz sztabu frontu żądał szybkiego wyprowadzenia oddziałów z walki. Wieczorem 2 lipca 41. DPanc, i 215. DZmech. wraz z innymi związkami 5. Armii rozpoczęły odwrót na rubież rzeki Słucz...
Tak oto zakończyła się ta bezprzykładna bitwa, jedno z największych starć pierwszych tygodni wojny. Postarajmy się teraz podsumować pierwsze, najprostsze, statystyczno–kalendarzowe rezultaty.
W przeciwuderzeniu korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo– Zachodniego wzięły udział:
— 23 czerwca pod Radziechowom 20. Pułk Czołgów 10. DPanc. 15. KZmech.;

— 24 czerwca na szosie łuckiej pod Wojnicą grupa czołgów w sile około batalionu ze składu 19. DPanc. 22. KZmech.;
— 26 czerwca na północno–zachodnich podejściach do Dubna zbiorcza grupa czołgów 43. DPanc. 19. KZmech. w składzie 79 czołgów;
— 26 czerwca w kierunku Brody–Beresteczko 8. KZmech. w niemal pełnym składzie (przed walką utracono nie więcej niż jedną trzecią czołgów i innego sprzętu bojowego);
— od 27 czerwca do 1 lipca w Dubnie i na południowych podejściach do niego 34. DPanc, i 24. Pułk Czołgów 12. DPanc. 8. KZmech.;

— 1 lipca na północny zachód od Dubna grupa czołgów 22. KZmech. o liczebności pułku czołgów.
Nawet proste podsumowanie arytmetyczne (niebiorące pod uwagę tak ważnego faktu, że wszystkie te oddziały i związki działały oddzielnie i w różnym czasie) pokazuje, że w starciu wzięła udział m n i e j n i ż j e d n a c z w a r t a wszystkich wojsk pancernych Frontu Południowo–Zachodniego.
Z wyjątkiem grupy Popiela ani jeden związek nie prowadził natarcia w ciągu więcej niż jednego dnia.
Natarcie zgrupowania *„północnego"* (9. i 19. KZmech.) i *„południowego"* (15. i 8. KZmech.) ani razu nie odbywało się pod jednym dowództwem, na zbieżnych kierunkach i w jednym czasie.
Jedynie w pułkach czołgów grupy Popiela straty bojowe były podstawową przyczyną utraty sprzętu bojowego. We wszystkich pozostałych oddziałach i związkach od 70 do 90 procent czołgów utracono z przyczyny tak zwanych *„usterek technicznych"*, *„braku materiałów pędnych"*, *„utkwienia w bagnie"* itp.
Do pola walki nie dotarły. Należy przypuszczać, że dopiero na tej podstawie, gdy Niemcy zebrali i przeliczyli wszystkie porzucone na poboczach dróg czołgi, zrozumieli — co im zagrażało…

CZĘŚĆ 4 BIEG NA GLINIANYCH NOGACH

ZNAKI ZAPYTANIA

17 września 1939 roku wojska Armii Czerwonej w składzie frontów Białoruskiego i Ukraińskiego wtargnęły do Polski. Od wiarołomnej napaści na kraj, z którym podpisano pakt o nieagresji (zawarty w 1932 roku, w 1937 roku przedłużony do 1945 roku), datuje się udział Związku Radzieckiego w drugiej wojnie światowej.

Dwa lata później, jesienią 1941 roku, licznym sojus znikom i wrogom Związku Radzieckiego wydawało się, że dla niego wojna się już kończy. Zadanie, postawione przed Wehrmachtem w planie *„Barbarossa"* (*„główne siły rosyjskich wojsk lądowych, znajdujące się w zachodniej Rosji, powinny zostać zniszczone w śmiałych operacjach w następstwie głębokiego, szybkiego wyjścia klinów pancernych"*), zostało wykonane już w połowie lipca 1941 roku.
Wojska frontów Zachodniego i Północno–Zachodniego (ponad 70 dywizji) zostały zmiecione, rozgromione i w większej części wzięte do niewoli. Przeciwnik zajął Litwę, Łotwę, prawie całą Białoruś, sforsował Dźwinę, Berezynę i Dniepr.
16 lipca Niemcy zajęli Smoleńsk. Dwie trzecie odległości od granicy zachodniej do Moskwy już przeszli. Wojska Frontu Południowo–Zachodniego bezładnie wycofały się za linię starej polsko–radzieckiej granicy, czołowe oddziały pancerne Wehrmachtu zajęły Żytomierz i Berdyczów, wyszły na przedmieścia Kijowa. Niemcy zajęli (a dokładniej mówiąc — przeszli) terytorium o powierzchni ponad 700 tys. km2, co w przybliżeniu odpowiada trzem powierzchniom części Polski okupowanej przez Wehrmacht we wrześniu 1939 roku. Utracono praktycznie cały sprzęt i ciężkie uzbrojenie wojsk okręgów zachodnich. W zbiorze **Grif**...na s. 368 przytoczono astronomiczne liczby dotyczące strat frontów Północno–Zachodniego, Zachodniego i Południowo–Zachodniego: do 6–9 lipca te trzy fronty utraciły 11,7 tys. czołgów, 4 tys. samolotów, 19 tys. dział. Szczególnie ciężkie, niemożliwe do uzupełnienia straty poniosły wojska pancerne — główna siła uderzeniowa Armii Czerwonej...
Podejmowane wielokrotnie w pierwszych tygodniach próby zorganizowania jakichś przeciwuderzeń porażają nieporadnością, rozgardiaszem, brakiem woli. Zostały one załamane na brzegach jakichś nieoznaczonych na żadnych mapach rzek Radostawka,

Ostrówka, Czernogostinica i *„kanału na wschód od Turze"*. Czy można po tym poważnie rozpatrywać następstwa osławionego *„zaskakującego uderzenia"*, o którego przygotowaniu w ostatnich latach toczyła się tak burzliwa dyskusja? Czy taka armia mogła się przedrzeć do Europy, sforsować szeroką Wisłę, Odrę i Dunaj? Czyż niektóre taktyczne zalety *„pierwszego uderzenia"* mogły spowodować taką niechęć zasadniczej masy żołnierzy do walki oraz taki brak umiejętności prowadzenia walki u zasadniczej części dowódców? Potężne korpusy zmechanizowane (6., 4., 15. KZmech.), uzbrojone w najlepsze na świecie czołgi T–34 i KW, roztopiły się, zniknęły, pozostały po nich tysiące porzuconych czołgów, samochodów pancernych, samochodów tarasujących wszystkie drogi Litwy, Białorusi i zachodniej Ukrainy?

To, co radzieccy historycy skromnie nazwali *„starciem przygranicznym"*, było w istocie całkowitym pogromem pierwszego rzutu strategicznego Armii Czerwonej (co do liczby dywizji — przeważającej nad dowolną armią Europy, a w ilości czołgów — nad wszystkimi państwami razem wziętymi). Ci prawda dowództwo niemieckie szybko musiało przyznać, że okrążone i rozgromione armie okręgów zachodnich (NSOW, Zach. SOW, KSOW) stanowiły tylko część *„sił głównych rosyjskich wojsk lądowych"*. W miejsce rozbitych dywizji z głębi ogromnego kraju podchodziły wciąż nowe, nowe i nowe...

W konkretnych liczbach ten wir śmierci wyglądał następująco. Na początku wojny Front Zachodni (3., 10., 4., 13. Armia) miał w swoim składzie 44 dywizje. Po tym, jak niemal wszystkie one zostały zniszczone w ogromnym*„kotle"* pomiędzy Białymstokiem i Mińskiem, Kwatera Główna utworzyła faktycznie nowy Front Zachodni w składzie pięciu armii: 16., 19., 20., 21., 22.[62] W ślad za nimi 14 lipca na tyłach Frontu Zachodniego rozwinięto Front Odwodowy w składzie sześciu armii: 24., 28., 29., 30., 31. i 32. W końcu lipca 1941 roku na kierunku zachodnim rozwinięto jeszcze trzy armie: 33., 43. i 49.

W toku dwumiesięcznej bitwy smoleńskiej na kierunku zachodnim wprowadzono do walki 104 dywizjei 33 brygady. Na dwa pozostałe kierunki strategiczne (leningradzki i kijowski) Kwatera Główna skierowała jeszcze 140 dywizji i 50 brygad [21]. I całe te nieprzebrane masy wojsk zostały rozgromione, okrążone i wzięte do niewoli w nowych kotłach — pod Smoleńskiem i Rosławlem, Humaniem i Kijowem, Wiaźmą i Briańskiem. Niemcy opanowali Kijów, Charków i Odessę, zablokowali Leningrad, wyszli ku Moskwie.

Do końca września 1941 roku tylko w toku siedmiu zasadniczych operacji strategicznych Armia Czerwona straciła 15 500 czołgów, 66 900 dział i moździerzy, 3,8 mln sztuk uzbrojenia strzeleckiego. Straty lotnictwa już pod koniec lipca sięgały 10 000 samolotów bojowych [35, s. 368]. Ze stratami przeciwnika nawet nie ma co porównywać — Wehrmacht po prostu nie posiadał takich ilości ciężkiego uzbrojenia.

3 września Stalin, próbując jednocześnie przestraszyć i wzruszyć Churchilla, pisał do niego: *„Bez tych dwóch rodzajów pomocy* (rzecz dotyczyła lądowania Anglików we Francji i dostaw do ZSRR 400 samolotów i 500 czołgów miesięcznie — M.S.)*Związek Radziecki albo poniesie klęskę, albo* (...)*na długo utraci zdolność do prowadzenia aktywnych działań na froncie walki z hitleryzmem"* [72, s. 233].
Dziesięć dni później Stalin dopuścił się tego, za co oskarżano i rozstrzelano dziesiątki tysięcy ofiar Wielkiego Terroru: wezwał brytyjskich imperialistów do wtargnięcia do kraju zwycięskiego proletariatu. 13 września prosił on Churchilla *„o lądowanie 25–30 dywizji w Archangielsku lub przewiezienie ich przez Iran do południowych rejonów ZSRR"* [72, s. 239].
Wstrząśnięty takim rozwojem wydarzeń Churchill pisał do Roosevelta: *„Nie mogliśmy uniknąć wrażenia, że oni* (kierownictwo rosyjskie — M.S.) *prawdopodobnie myślą o separatystycznym pokoju"*.
Potomek lorda Marlborough jakby czytał w myślach! Właśnie w tych jesiennych dniach 1941 roku Stalin i Beria podejmowali szczególne wysiłki, aby *„nawiązać kontakt"* w celu podpisania zawieszenia broni za cenę przekazania Niemcom większej części okupowanego terytorium. I gdyby Hitler posłuchał mądrej rady swoich podwładnych i zakończył wojnę ze Związkiem Radzieckim na takich właśnie warunkach, na jakich 24 czerwca 1940 roku podpisał rozejm z Francją (czyli zmniejszenie armii do 10 dywizji piechoty, rozbrojenie francuskiego lotnictwa i floty wojennej, demilitaryzacja gospodarki), to historia Starego Świata wyglądałaby inaczej...
Więc cóż się stało z wielomilionową Armią Czerwoną? Dlaczego okazała się ona niezdolna ani do obrony, ani do natarcia? Dlaczego ogromne, najbogatsze państwo, nieustannie 1 przygotowujące się do wojny z rozbestwioną uporczywością totalitarnego despotyzmu, wraz z rozpoczęciem tak długo oczekiwanej przez jego przywódców wojny znalazło się na skraju przepaści?
Czytelnik, który miał cierpliwość doczytać do tego miejsca, zapewne już dostrzegł gigantyczną przepaść pomiędzy rozmachem i jakością materiałowo– technicznego przygotowania stalinowskiego imperium do wojny a zupełnym brakiem przygotowania Armii Czerwonej do efektywnego wykorzystania tych zasobów. I jeśli nawet trzykrotna przewaga ilościowa okazała się niedostateczna choćby do tego, aby zapobiec niebywałej klęsce, to co mogła zmienić przewaga pięciokrotna? Siedmiokrotna? Nie — rzecz nie w liczebności czołgów, dział, samolotów i moździerzy. Mogło ich być więcej lub mniej, ale w równej mierze niczego by to nie zmieniło. Niczego oprócz ilości trofeów, jakie wpadły w ręce Wehrmachtu.
Oto dlaczego w poszukiwaniu przyczyn katastrofy militarnej autor proponuje przerwać potok liczb, dat, numerów dywizji, motogodzin i

kilometrów, milimetrów pancerza i milionów ton amunicji, które zrzucił na głowę czytelnika, i rozpocząć od kilku żywych obrazów, *„szkiców z natury”*, wykonanych przez uczestników tych tragicznych wydarzeń.

62 — Ponadto na początku lipca szybko odtworzono i uzupełniono rozbite dywizje 3., 4. i 13. Armii (od 20.07. dywizje rozwiązanej 4. Armii weszły w skład 13. Armii), które wraz z 21. Armią utworzyły Front Centralny.

NEGATYWNE NASTROJE I ZJAWISKA

Zaczniemy od samego początku. Od gorącego letniego dnia 22 czerwca 1941 roku. O godzinie 4 rano dowódca 9. KZmech. generał major K. K. Rokossowski otrzymał telegram ze sztabu 5. Armii z zarządzeniem nakazującym otwarcie *„czerwonego pakietu”*. W pakiecie znajdował się plan operacyjny działań korpusu, w związku z którym 9. KZmech. wyruszył z rejonu przedwojennej dyslokacji (Szepietówka, Nowogród Wołyński) na Równe–Łuck. Droga była daleka. Do samego Równego ponad 100 kilometrów. Cały ten długi wstęp dajemy dlatego, że epizod, o którym opowiemy dalej, zdarzył się rankiem drugiego dnia wojny, n a g ł ę b o k i c h t y ł a c h, 200 kilometrów od linii frontu.

Otwórzmy książkę marszałka Rokossowskiego **Żołnierski obowiązek**: *„Droga wiodła poprzez ogromne pole bujnie rosnących zbóż, osiągających wzrost człowieka. Nagle to w jednym, to w innym miejscu, w gąszczu zbóż, zaczęli się pojawiać najpierw pojedynczo, potem grupami dziwnie odziani ludzie, którzy zobaczywszy nas, szybko się chowali. Jedni byli w bieliźnie, inni — w koszulach na gołym ciele i wojskowych spodniach lub mocno zniszczonym chłopskim ubraniu* (...) *Rozkazałem wyłowić ukrywających się i dowiedzieć się, kim są. Okazało się, że to tak zwani «wychodzący z okrążenia»* (...) *Pytani próbowali na wszelkie sposoby wykazać, że ich oddziały zostały rozbite i zginęły, oni zaś cudem się uratowali i w obawie przed niewolą przebierali się* (...) *Kontynuując marsz do rejonu ześrodkowania, wielokrotnie widzieliśmy* (...)*chaotyczny ruch samochodów pędzących na łeb, na szyję pojedynczo i grupami; bardziej przypominało to paniczną ucieczkę niż zorganizowaną ewakuację* (tutaj, jak nietrudno stwierdzić, Rokossowski niemal dosłownie przytacza wspomnienia Bołdina i Grieczaniczenki — M.S.).
Wielokrotnie musieliśmy wydawać rozkazy do zaprowadzenia porządku i zatrzymania wojskowych, próbujących pod różnymi bezpodstawnymi pretekstami uciec jak najdalej od frontu”.

Jak pamiętasz, uważny Czytelniku, Grieczaniczenko (por. Część 2.) opowiadał o tym, jak w odpowiedzi na jego próby zatrzymania

„uciekinierów" huknęły wystrzały. Były to pierwsze dni wojny na Froncie Zachodnim.

A jak rzecz się miała na Ukrainie?

Czytajmy dalej wspomnienia Rokossowskiego[63]:

„W ciągu dnia na SD korpusu doprowadzono generała bez broni, w poszarpanym mundurze. Zmęczony i ledwo żywy opowiedział o tym, że wykonując rozkaz sztabu frontu, zobaczył na zachód od Równego samochody z naszymi żołnierzami, pędzące na złamanie karku jeden za drugim na wschód. Generał dostrzegł panikę i zdecydował się zatrzymać jedną z maszyn. W końcu mu się to udało. W samochodzie było około 20 ludzi. Zamiast odpowiadać na pytania, dokąd uciekają i z jakiej są jednostki, wciągnęli generała na nadwozie i chórem zaczęli przesłuchiwać. Następnie uznali go za przebranego dywersanta, zabrali dokumenty, broń i wydali na niego wyrok śmierci. Generał sprytnie wyskoczył z pędzącej maszyny, stoczył się z drogi i ukrył w gęstym zbożu…

Przypadki ostrzeliwania osób próbujących zatrzymać uciekających zdarzały się także na innych odcinkach.

Żołnierze uciekali z frontu prawdopodobnie z obawy, aby nie zostali zawróceni (…)

24 czerwca (w trzecim (!) dniu wojny— M.S.) *w rejonie Klewani* (150 kilometrów od granicy) *zebraliśmy wielu w gorącej wodzie kąpanych żołnierzy, wśród których znalazło się także niemało oficerów. Większość tych ludzi nie posiadała broni. Na naszą hańbę wszyscy, oficerowie także, odpruli swoje dystynkcje. W jednej z takich grup moją uwagę przykuł siedzący pod sosną starszy człowiek, z wyglądu i manier wcale niepodobny do żołnierza. Wraz z nim była młoda sanitariuszka* (jakież tempo — trzeci dzień wojny, a już zdążyli i naszywki odpruć, i PPŻ sobie zafundować! — M.S.). *Zwracając się do siedzących* (siedzących przed generałem! — M.S.), *a było ich nie mniej niż stu ludzi, rozkazałem oficerom podejść. Nikt się nie ruszył. Podnosząc głos, powtórzyłem rozkaz po raz drugi i trzeci. Ponownie w odpowiedzi milczenie i nikt się nie poruszył* (a oto i *„problem z łącznością"*, którą na wojnie określa się nie poprzez ilość przewodów i radiostacji, ale poprzez chęć jej ustanowienia — M.S.). *Wtedy podszedłem do najstarszego z «okrążonych» i nakazałem mu wstać. Następnie zapytałem go o stopień. Słowo «pułkownik» wydobył on z siebie z taką obojętnością, a jednocześnie z tak nagłym wyzwaniem, że jego widok i ton rozwścieczyły mnie. Wyciągnąłem pistolet i byłem gotów zastrzelić go od razu, na miejscu. Apatia i zuchowatość natychmiast z pułkownika odeszły. Gdy zrozumiał, czym się to może skończyć, upadł na kolana i zaczął prosić o*

litość…"
A czym by ta scena mogła się zakończyć, gdyby w rękach jednego z *„okrążonych"* znalazła się broń? *„Uznali go za przebranego dywersanta, zabrali dokumenty, broń i wydali na niego wyrok śmierci"*. I nazwisko Rokossowskiego znalazłoby się w długim spisie poległych radzieckich generałów, z powszechną w nim adnotacją: *„Miejsce pochówku nieznane"*.
A teraz ponownie sięgnijmy po wspomnienia N. K. Popiela **W tiażkuju poru**.
W odróżnieniu od korpusu Rokossowskiego, dyslokowanego na głębokich tyłach okręgu, 8. KZmech. generała lejtnanta Riabyszewa stacjonował w rejonie Drohobycz–Stryj, o sto kilometrów od granicy. I zamiast ordynarnej farsy z *„okrążonymi w kalesonach"*, już od pierwszych dni wojna pokazała Popielowi swe prawdziwe, tragiczne oblicze:
„Niemieckie myśliwce z wdzierającym się w duszę wyciem i siejąc z kaemów, przelatują nad głowami. Po każdym podejściu — jęki, krzyki. Żołnierze rozbiegają się w zboże, ciągnące się po obu stronach drogi. Potem długo się zbierają. Stoją obok rannych i zabitych, oglądają uszkodzone pojazdy. Nie spieszą się na nadwozia — na ziemi jakoś bezpieczniej. A kiedy w końcu zasiadają na swoich miejscach, okazuje się, że nie ma Piętrowa lub Sidorowa. Zaczynają się poszukiwania, dowódcy ochrypłymi głosami wykrzykują nazwiska. Na drodze korek, a w tym czasie ponownie zjawiają się samoloty".
To obrazy z wieczoru pierwszego dnia wojny. A oto dzień drugi:
„Dzisiejszy marsz różni się od wczorajszego. I to wcale nie na lepsze. To już droga odwrotu (…)*Wśród samochodów z rannymi — ciężarówki wiozące jakiś dobytek. Nie wiadomo — osobisty czy państwowy* (…) *Oto półtoratonówka, której całe nadwozie zajmuje kredens z czarnego drzewa*.
Ranni są nie tylko na pojazdach. Majaczą wzdłuż szosy opierając się na laskach, podtrzymują ranioną rękę zdrową (…)*Zdarzają się żołnierze, u*

których nie widać oznak zranienia. Być może bandaże pod odzieżą, a być może (…)*Łapię się na niedobrych podejrzeniach* (…)
Z północy, z lasu, w galopie wyskakują zaprzęgi artyleryjskie bez dział. Postronki odrąbane. Czerwonoarmiści jadą wierzchem. Kiedyś, dawno temu, chyba w dwudziestym roku, widziałem coś podobnego. Obsługi dział po odrąbaniu postronków uciekły, porzuciły działa (…)
Z Bałykowem wyskakujemy z samochodu.
— Z jakiego oddziału, skąd?
Ten, który siedzi na przedzie, bez pasa, bez pilotki, ściąga uzdę:
— A pójdźcie tam sami, łyknijcie tego, to będziecie wiedzieć, kto i skąd!
Bałykow otworzył kaburę. To pomaga im zmienić ton.

— Towarzyszu komisarzu, wszystkich czołgi zdusiły. Zostaliśmy sami. Chcecie— wierzcie, chcecie— nie wierzcie: u nich tysiące czołgów. (Jak mamy w to nie wierzyć? O tych *„tysiącach czołgów"* przez sześćdziesiąt lat pisano we wszystkich książkach — M.S.)*Co tu można «czterdziestkąpiątką» zdziałać… Trzeba ku starej granicy uderzać* (…) *Kiedy do Jaworowa było już około 15–20 kilometrów, w wąskim przejściu pomiędzy rozbitymi ciężarówkami i przewróconymi furmankami moja «emka» niemal nos w nos zderzyła się z maszyną sztabową. Wyminąć się nie można. Wyszedłem na drogę. Za napotkanym samochodem ciągniki taszczyły haubice* (w naprędce *„przygotowanym"* do wojny z całym światem Wehrmachcie haubice ciągnęła szóstka koni — M.S.). *Zainteresowało mnie — co to za oddział, gdzie podąża. Z samochodu wyskoczyli major ze starannie wywiniętymi husarskimi wąsami i mały, okrągły kapitan. Przedstawili się: dowódca pułku, szef sztabu.*
— Jakie macie zadanie?
Major zmieszał się.
— Ratujemy sprzęt…
— Jak to — ratujecie? Otrzymaliście taki rozkaz?
— Nie mieliśmy od kogo otrzymać: sztab korpusu pozostał w Jaworowie, a tam już Niemcy. Zdecydowaliśmy więc ratować sprzęt. Przyda się na starej granicy (…)
Zrozumiałem: artylerzyści samowolnie porzucili stanowiska ogniowe. Rozkazałem zatrzymać się, połączyć z najbliższym sztabem jednostki strzeleckiej i rozwinąć działa na północ.

Wąsaty major nie spieszył się z wykonaniem rozkazu. Musiałem go pogonić:
— Jeśli spróbujecie ponownie «ratować sprzęt», pójdziecie pod sąd. A szefa sztabu proszę do mnie do samochodu, pojedziemy do Jaworowa. W Jaworowie Niemców nie było (…)*Okrągłego kapitana–artylerzystę przekazałem dyżurnemu operacyjnemu"*.
Po dwustu kilometrach bezcelowego miotania się 8. KZmech. otrzymał trzeci w ciągu dwóch dni rozkaz: wycofać się spod Jaworowa na wschód, ku Brodom. To jeszcze 130 kilometrów, a wszystkie drogi na Brody wiodą przez Lwów.
„O ósmej rano 24 czerwca, kiedy pułk motocyklowy wjechał na zazwyczaj ruchliwe ulice Lwowa, spotkała nas niedobra cisza (…)*Z rzadka rozlegały się pojedyncze wystrzały. Im więcej maszyn wkraczało do miasta, tym wystrzały stawały się częstsze* (…)*Pułk motocyklowy musiał wykonać zadanie całkiem nieodpowiadające jego przeznaczeniu — prowadzić walki na strychach. Właśnie tam znajdowały się punkty obserwacyjne i dowódcze wrogich grup dywersantów* (tak, podlegając wewnętrznej samocenzurze, nazywa Popiel banderowców — M.S.), *ich punkty ogniowe i składy amunicji. Przeciwnik kontrolował każdy nasz*

ruch, a my go nie widzieliśmy i dobrać się do niego nie było łatwo. Starcia były zacięte (…)*W żaden sposób nie można zrozumieć, gdzie nasi, gdzie wróg — mundury na wszystkich takie same, czerwonoarmistów. Niełatwo było zaprowadzić porządek także na centralnej magistrali. Ludzie uciekali w panice* (…)
Podszedł do mnie Oksen (szef oddziału specjalnego korpusu — M.S.).
— Chciałbym przedstawić — zaczął meldować — nauczyciel Osip Stiepanowicz Kusznir, pojmany na strychu z karabinem maszynowym. Ostrzeliwał się do ostatniego naboju (…)*Kusznir nie chciał odpowiadać na moje pytania.*
Milczał. Potem podniósł głowę, odgarnął do tyłu wełnistą czuprynę, popatrzył mi w oczy i spokojnie przemówił:
— Dostaliście mnie, ja bym tyle czasu na was nie czekał. Każcie rozstrzelać.
Wiedziałem: od nacjonalizmu do faszyzmu — jeden krok… Przede mną, Ukraińcem komunistą, stał Ukrainiec faszysta. Migdalić się z nim nie było co".

63 — W polskim przekładzie nie znajdziemy wielu z przytaczanych tu opisów, a i pozostałe — brzmią całkowicie inaczej. Dlatego tłumacz posługuje się tekstem oryginalnym — por. K. Rokossowski, *op. cit.,* s. 36–42.

Wieczór tego samego dnia, 24 czerwca 1941 roku.
„Doganiam dziwną procesję. Lejtnant z dwoma czerwonoarmistami (u wszystkich trzech karabiny w rękach) *konwojują tęgiego człowieka z podniesionymi do góry rękami, w bluzie bez pasa. Zatrzymany ospale porusza nogami — widocznie już pożegnał się z życiem.*
— Kto on?
— Szpieg, towarzyszu komisarzu brygadowy, prowadzimy na rozstrzelanie.
«Szpieg» odwraca się:
— Nikołaju Kiryłowiczu, kochany…
Rzuca się do mnie szef artylerii korpusu pułkownik Czistiakow. Jest tak zdenerwowany, że nie jest w stanie mówić. Wszystko wyjaśnia za niego lejtnant:
— Bez dokumentów, bez samochodu. Interesuje się jakimś pułkiem haubic. Naszywki pułkownika, a brzuch jak u burżuja (…)
Już w moim samochodzie, gdy po dziesięciu minutach pułkownik Czistiakow przyszedł w końcu do siebie, opowiada mi w szczegółach. We Lwowie na samochód Czistiakowa napadli — ni to spadochroniarze, ni to banderowcy. (Ależ jacy spadochroniarze, Nikołaju Kiryłowiczu? Na całym Froncie Wschodnim nie było a n i j e d n e j dywizji powietrzno–desantowej Wehrmachtu — M.S.). *Pułkownikowi przyszło ratować się ucieczką. Mapnik z dokumentami został na siedzeniu w samochodzie".*

Awięc pułkownik Czistiakow dobrze na tym wyszedł. Gdyby trafił w ręce oddziału specjalnego— trzeba by było odpowiedzieć nie za niedoskonałość figury, ale za tajne dokumenty porzucone w szczerym polu…
To oczywiście tylko drobne, pojedyncze uchybienia. Główne — starcie pod Dubnem— było dopiero przed nimi.
Wieczorem 28 czerwca 7. Dywizja Zmechanizowana i 12. Dywizja Pancerna 8. KZmech. rozpoczęły bezładny odwrót. Oto jak wyglądało to w szczegółach:
„Riabyszew wsiadł do emki i pognał do Brodów. Po drodze napotykał grupy żołnierzy, płonące maszyny, rannych leżących w przydrożnych rowach. Rubieży, wyznaczonej dywizji Niestierowa (12. DPanc. — M.S.)*, nikt nie zajmował* (…)
Jacyś czerwonoarmiści powiedzieli, że piechota zmotoryzowana poszła na południe, prawdopodobnie do Tarnopola. Dowódca korpusu skierował się na szosę południową i po dwudziestu kilometrach dogonił ogon rozciągniętej kolumny. Nikt niczego nie wiedział. Niestierowa i Wiłkowa (dowódca 1 zastępca do spraw politycznych 12. DPanc. — M.S.) *nie widzieli. Riabyszew próbował zatrzymać samochody. Z kabiny półtoratonówki sennie przemówił spokojny głos:*
— Jaki tam jeszcze dowódca korpusu? Nasz generał to zdrajca. Uciekł do faszystów. (Zwróć uwagę, szanowny Czytelniku, na tę spokojną intonację: *„sennie przemówił"*, *„spokojny głos"*, generał do nazistów uciekł, a my dajemy drapaka na tyły … — M.S.)
Riabyszew pociągnął za klamkę kabiny, złapał mówiącego za koalicyjkę (szeregowi żołnierze jeździli bez koalicyjek — M.S.)*, wywlókł na zewnątrz*.
— Ja jestem waszym dowódcą korpusu.
Nie chowając pistoletu do kabury, Riabyszew ruszył wzdłuż kolumny, zatrzymując kompanie, bataliony, nakazując zajmowanie pozycji obronnych frontem na północny–zachód (…)
W sztabie frontu, dokąd wezwano dowódcę korpusu, panowała nerwowość i niedowierzanie. Dojechał do Rady Wojennej ani razu przez nikogo nie zatrzymywany (…)*Sztab przygotowywał się do zmiany dyslokacji. W krzątaninie i wszechobecnym pośpiechu z marszu wydawano zawiłe rozkazy, które często po dziesięciu minutach zmieniano. Za pierwszym oficerem łącznikowym wysyłano następnego… Sztab frontu odchodził do Proskurowa"* (117 kilometrów na wschód od Tarnopola, 150 — od ginącej w Dubnie grupy Popiela).
W toku tych wszystkich*„zmian dyslokacji"* Riabyszew spotkał w końcu zastępcę do spraw politycznych 12. DPanc.:
„Wieczorem Riabyszew napotkał grupę ludzi. Podszedł. Usłyszał głos Wiłkowa (…)*Komisarz pułkowy gorąco perorował:*
— Czas zrozumieć, towarzysze, że znajdujemy się w okrążeniu. Odessa

zajęta przez przeciwnika, generał Kirponos — sprzedawczyk i zdrajca. Nadzieja tylko w nas samych…
— Skąd macie takie wiadomości? — krzyknął rozwścieczony Riabyszew. Dowódcy odwrócili się".

Zgodnie z bardzo trafnym spostrzeżeniem W. Suworowa, *„dla badacza najważniejszy jest fakt, dla propagandzisty — intonacja"*. Faktem było to, że *„następnego dnia Riabyszew porozumiał się z Radą Wojenną frontu i skierował Wiłkowa do jej dyspozycji"*. To znaczy awansował. A co się tyczy intonacji, to spróbujcie zamienić słowa *„krzyknął rozwścieczony"* na *„zapytał zdumiony"* i przeczytajcie ten wers jeszcze raz.

Niestety, wykład Wiłkowa na temat *„Ratuj się kto może"*, odbywał się w grupie dowódców. Pamiętacie — dowódcy się odwrócili. I cóż? Tym razem żaden pistolet nie został wyciągnięty z kabury. A przecież za takie apele się rozstrzeliwuje. Wszędzie. Nawet w najbardziej dobrodusznych krajach za podżeganie i sianie paniki w strefie działań bojowych jest tylko jeden wyrok — rozstrzelanie.

Ale być może porządki w Armii Czerwonej odznaczały się w tych dniach wszechobecną liberalnością. Nic strasznego nie stało się także drugiemu dezerterowi: *„Minęło wiele lat i obecnie, wspominając Niestierowa, niezmiennie postrzegam go bardziej jako zarozumiale rozpartego w fotelu dowódcę dywizji aniżeli tchórzliwie oszukującego na tyłach* (…) *Przez wiele lat niczego o Niestierowie nie słyszałem, nawet nie interesowałem się nim. Dwa lata temu w gorący lipcowy dzień spotkałem go na Kreszczatiku. Krągły brzuch opasał odprasowany płaszcz, w ręku duża żółta teczka"* [105].

Dobrze. Załóżmy, że dowódcy trochę dorośli. Albo że wystrzelali wszystkie naboje w swoich TT–kach, podrywając żołnierzy do ataku. Na Wiłkowa i Niestierowa kuli zabrakło.

Ale gdzie są *„organy"*? Gdzież sławne, wiecznie żywe WCzK — GPU — NKWD? Gdzie jak gdzie, ale w tymresorcie amunicji zawsze było pod dostatkiem. Przecież tyle tysięcy, milionów ludzi zamordowali oni z paragrafu 58–10, za *„antyradziecką agitację"*! Pewnego razu w Iwanowie zdemaskowali sabotażystów, którzy w miejscowej fabryce wyprodukowali tkaninę. W jej deseniu,*„za pomocą lupy można było zauważyć faszystowską swastykę i japoński hełm"*. Jakże mogli nie przejrzeć dezertera Wiłkowa czy Niestierowa?

Odpowiedź jest całkiem prosta: pot zalewał im oczy. Lato, żar, uciekać trudno…

„11 lipca 1941 roku

Ściśle ta jne Do Szefa Głównego Zarządu Propagandy Politycznej Armii Czerwonej komisarza armijnego 1. rangi tow. Mechlisa (...)*Należy stwierdzić, że wielu pracowników organizacji partyjnych i radzieckich porzuciło swe rejony na pastwę losu, uciekając wraz z ludnością, siejąc panikę. Sekretarz KR KP(b)U i Przewodniczący RKK rejonu chmielnickiego 8.07. porzucili rejon i zbiegli.*

5 lipca kierownictwo rejonu januszpolskiego także uciekło w panice. 7 lipca sekretarz Ulianowskiego KR KP(b)U, przewodniczący RIK, prokurator, szef milicji haniebnie uciekli z rejonu. Bank Narodowy porzucili na pastwę losu. W rejonowym oddziale łączności pozostawili mnóstwo drogocennych rzeczy, przekazy pieniężne, przesyłki itp. W rejonie tym oddział milicji porzucił bez ochrony około 100 karabinów".

To tylko jeden z wielu meldunków, które szef Zarządu Propagandy Politycznej Frontu Południowo–Zachodniego komisarz brygadowy Michałow metodycznie wysyłał do Moskwy.

„ 11 lipca 1941 roku
Ściśle tajne
(...) *W niektórych rejonach organizacje partyjne i radzieckie sieją wyłącznie zamieszanie i panikę. Niektórzy przewodniczący wyjechali wraz z rodzinami na długo przed ewakuacją tych rejonów. Kierownicza kadra rejonów grodneńskiego, nowogródzko–wołyńskiego, korosteńskiego, tarnopolskiego uciekła w panice na długo przed wycofaniem naszych oddziałów, przy czym zamiast wywieźć państwowe dobra materialne, będącym do ich dyspozycji transportem wywozili rzeczy osobiste. W rejonie korosteńskim pozostawiono archiwum rajkomu KP(b) i różne rzeczy organizacji rejonowych w otwartych pomieszczeniach. W Proskurowie po panicznej ucieczce z miasta kierownictwa rejonowego i obwodowego wysadzono elektrownię i uszkodzono wodociągi. Nasze oddziały, wycofujące się do Proskurowa, zostały bez światła i wody*".

„ 12 lipca 1941 roku
Ściśle tajne
(...) *nie wykorzeniono jeszcze przypadków paniki, tchórzostwa, braku organizacji i dezercji. Te haniebne wypadki zdarzają się w wielu oddziałach frontu. Tłumy żołnierzy i dowódców, grupami i w pojedynkę, z bronią i bez broni, kontynuują marsz na tyły, siejąc panikę. Na przykład dowódca 330. Ciężkiego Pułku Artylerii OND i komisarz batalionowy w czasie nalotu niemieckiego lotnictwa na Dubno i następującego po nim natarcia czołgów przeciwnika nakazali porzucić sprzęt, dobytek i wyjść z miasta. Już w drodze dowódcy nakazali powrócić, zabrać sprzęt i amunicję. Zanim doszli na 1,5 km od porzuconego dobytku, dowódca pułku uznał wystrzały naszej artylerii przeciwlotniczej za spadochroniarzy*(do dziś w całej historycznej

literaturze radzieckiej pełno jest niemieckich desantów, które wciąż tną, tną i tną nasze przewody— M.S.)*i nakazał zawrócić"*.

„ 14 lipca 1941 roku
Ściśle tajne
(...) *Mamy do czynienia z negatywnymi nastrojami i zjawiskami. Niektórzy dowódcy samodzielnie dokonują rozstrzeliwań. Na przykład sierżant bezpieczeństwa państwowego rozstrzelał trzech czerwonoarmistów, których schwytał na szpiegostwie. Czerwonoarmiści pytali o swoją jednostkę. Sam sierżant — tchórz, przesiadywał na tyłach i pierwszy ściągnął odznaki stopnia. W bandycki sposób postąpił lejtnant z 45. Dywizji Strzeleckiej. Osobiście rozstrzelał dwóch czerwonoarmistów, szukających swojej jednostki, i jedną kobietę, która z dziećmi prosiła o posiłek.*

Obaj przestępcy przekazani zostali pod sąd Trybunału Wojskowego" [68].

Szanowny Czytelniku! Jeśli po przeczytaniu tych dokumentów pomyślałeś może o jakiejś *„ukraińskiej specyfice"* (banderowcy, niepodległościowcy, *„ludzie Zachodu"*), tobłąd. Żadnej specyfiki. Wszystko — jak wszędzie.

Już drugiego dnia wojny dowództwo Frontu Zachodniego i sztaby podległych mu armii wymieniały się meldunkami takiego rodzaju:
„Ogromną masę samochodów zajęły rodziny dowództwa, które przewożone są w dodatku przez czerwonoarmistów, a rannych z pola walki się nie ewakuuje (...)
Cała droga z Wilna do Mołodeczna zajęta przez wycofujące się oddziały piechoty, artylerii i czołgów (...)
Źle dowodzone oddziały, nękane przez lotnictwo przeciwnika atakami z niskiej wysokości, wycofują się w bezładzie (...) *dowódcy korpusów przejawiają chwiejność, przedwcześnie wycofując oddziały, a przede wszystkim sztaby*.
Wzdłuż szosy pińskiej skupiło się bardzo dużo różnych pododdziałów i pojedynczych żołnierzy, którzy oderwali się od swoich jednostek i wycofują się na wschód (...)*dowódca pułku motocyklowego, znajdującego się w rejonie Antopola, nie jest w stanie zatrzymać wycofujących się i prosi o wysłanie specjalnej grupy dowódców z przedstawicielami oddziału specjalnego i prokuratury"* [40, 79].
Homel — to nie Ukraina i nawet nie zachodnia Białoruś. Ale sceny — te same.

„ 29 czerwca 1941 roku
Ściśle tajne
Biuro homelskiego obkomu informuje Was o tym, co zaszło f na początku

działań bojowych i trwa do dziś.
1. Demoralizujące zachowanie dość znacznej liczby dowódców: ucieczka z frontu pod pozorem prowadzenia ewakuacji rodzin, grupowe ucieczki z oddziałów demoralizująco oddziaływają na ludność i sieją panikę na tyłach.
27 czerwca grupa kołchoźników Kornalińskiej Rady Wiejskiej zatrzymała i
rozbroiła grupę około 200 wojskowych, która porzuciła lotnisko i skierowała
się do Homla (*„sokołów"* kołchoźnicy pojmali, ale co stało się z samolotami
bojowymi? Można przypuszczać, że one także weszły do stanu *„zniszczonych*
o świcie 22 czerwca zaskakującym uderzeniem niemieckiego lotnictwa" —
M.S.).*Kilka niewielkich grup i pojedynczych żołnierzy rozbroili kołchoźnicy z*
rejonu uwarowiczskiego" [114].

Tego samego dnia, 29 czerwca 1941 roku, sekretarz rejonowego komitetu partii z białoruskiego miasteczka Łuniniec meldował telefonicznie do Moskwy:

„Dotąd od Drohiczyna do Łunińca i dalej na wschód, do Żytkowicz (odpowiednio 100, 200, 260 km na wschód od przygranicznego Brześcia — M.S.), *o p ó r p r z e c i w n i k o w i s t a w i a j ą p o j e d y n c z e o d d z i a ł y , a n i e j a k a ś z o r g a n i z o w a n a a r m i a …* (podkr. M.S.). *Miejsce pobytu dowódcy 4. Armii do tej pory nie jest znane, nikt nie kieruje przegrupowaniem sił* (…)*Niemcy mogą bez przeszkód podejść do Łunińca, co stworzyć może*

worek wokół całego kierunku pińskiego (…) *Przeprowadzona w naszym rejonie mobilizacja nie dała efektów. Ludzie tułają się bez celu, nie ma uzbrojenia i nakazu do ich wywiezienia. W mieście pełno dowódców i czerwonoarmistów z Brześcia i Kobrynia, niewiedzących, co mają robić, i nieustannie przemieszczających się samochodami* (nie cała, jak widać, benzyna spaliła się w *„zbombardowanych przez Niemców składach"* — M.S.) *na wschód bez żadnego rozkazu* (…) *W Pińsku sami w panice wysadzili składy armijne, bazy paliw i stwierdzili, że Niemcy zniszczyli je bombami* (pamiętasz, Czytelniku, wspomnienia Bołdina? — M.S.), *a komendant garnizonu i obkom partii uciekli do nas, do Łunińca* (…)*Fakty te podkopują wiarę ludności cywilnej. Pokazują nam jakąś niewyjaśnioną nieporadność"* [114].

Jelnia — 500 km na wschód od Pińska, to już prawdziwa Wielka Ruś. O czym 30 czerwca meldowali do KC WKP(b) członkowie sztabu obrony

Jelni?
„Uważamy za niecierpiącą zwłoki konieczność powiadomić Biuro Polityczne KC, że do sukcesów Niemców (...) *b a r d z o c z ę s t o , j e ś l i n i e z a w s z e* (podkr. M.S.) *przyczyniała się panika, królująca w dowódczej wierchuszce niektórych oddziałów wojskowych, i podszyta paniką bezczynność organów miejscowych*.
Wystarczy, aby nocą przeleciał nad rejonem nieznany samolot (a przy panującym u nich porządku nocą wszystkie samoloty są nieznane), *a już panikują, że to wysadzany desant przeciwnika, wrzeszcząc o pomoc* (bez tych wrzasków o licznych niemieckich desantach lotniczych nie ukazałaby się u nas ani jedna książka poświęcona historii początku wojny — M.S.) (...)
Z 26 na 27 czerwca przez całą noc trwały walki z mitycznym desantem, a gdy przyjechaliśmy ze swoją drużyną bojową złożoną z komunistów i komsomolców, stwierdziliśmy, że strzelają oni nie wiadomo do kogo i w rezultacie ranili dwóch żołnierzy (...)
Od 22 czerwca nie otrzymujemy żadnych rozkazów co do naszej działalności (...) *Ani sekretarz Smoleńskiego Komitetu Rejonowego, ani przewodniczący Obwodowego Komitetu Obrony nie wydali żadnych wytycznych ani wskazówek i nawet nie odpowiadają na zapytania telefoniczne* (...)*Chyba jedyna dyrektywa, którą otrzymaliśmy 27 czerwca, datowana na 23 tego miesiąca, to ta, w której Obwodowy Komitet Obrony żąda meldunku o stanie cerkwi i budynków modlitewnych* (...)
Nawet wąski krąg pracowników na stanowiskach kierowniczych nie posiada choćby przybliżonych informacji o położeniu na pobliskich frontach (...)*ponadto widać, że ze Smoleńska uciekają, a władze obwodowe milczą* (niemiecka 29. Dywizja Piechoty wdarła się do Smoleńska dopiero w 16 dni po napisaniu tego listu— M.S.), *i bardzo trudno się zorientować i oddzielić prawdę od prowokacji* (...) *Jeśli w dalszym ciągu każdy pracownik radzieckiego kierownictwa partyjnego zajmować się będzie ewakuacją swej rodziny, to nie będzie komu bronić Ojczyzny"* [112].
Jelnia znajdowała się w tych dniach bardzo daleko od linii frontu, więc w mieście jeszcze nie *„każdy pracownik kierownictwa radzieckiego i partyjnego zajmował się ewakuacją swej rodziny"*. Ale Witebsk na początku lipca stał się już miastem przyfrontowym. 5 lipca 1941 roku prokurator wojskowy garnizonu witebskiego, prawnik wojskowy 3. rangi towarzysz Glinka przedstawił obszerny meldunek o sytuacji w mieście:
„Nastrój grozy, panika, bałagan, nieskładna i niepotrzebna ewakuacja narastają z każdym dniem i godziną. Sytuacja ta powstała w wyniku nieprawidłowych działań organów okręgowych i obkomu, a w skrajnych przypadkach — braku działań tych organów i obkomu (tutaj prokurator

praktycznie dosłownie powtarza meldunek z Jelni — M.S.)... *Obwodowy Komitet Obrony rozpuścił swoje oddziały. Większość pracowników ze swoimi rodzinami wyjechała. Komitety rejonowe także nie pracują. Teraz w Witebsku nie znajdzie się żadnego wydziału, który by pracował. Zamknięciu i samolikwidacji podlega wszystko, w tym sąd obwodowy i państwowy, prokuratura obwodowa, lecznictwo, rady pracownicze itd. Strach i panikę powiększyło jeszcze i to, że w mieście już wiadomo, iż odpowiedzialni pracownicy organizacji obwodowych ewakuowali swe rodziny wraz z dobytkiem, po otrzymaniu na stacji kolejowej osobnych wagonów, przy czym żony pracowników NKWD, Obwodowego Komitetu Obrony, organów partyjnych i inne zaczęły samowolnie porzucać pracę* (...)*W ten sposób, na przykład, opuściły telegraf, sieć telefoniczną* (!!! — M.S.), *szpitale i inne urzędy* (...)
3, 4, 5 lipca przed Obwodową Komendą Wojskową stały tłumy kobiet po decyzje i przepustki na wyjazd, a gdy im odmawiano, pytały, dlaczego wyjechali komuniści oraz ich żony z dziećmi i dobytkiem (...)*wśród pewnych*

grup robotników, być może odosobnionych, zaczęły pojawiać się wrogie nastroje i naganne okrzyki o tym, że uciekają komuniści, administracja itd."
Dodać należy, że w meldunku witebskiego prokuratora było tyle „*wrogich nastrojów i nagannych okrzyków*", że dokument ten troskliwie skrywano w kurzu archiwum i nikomu nie pokazywano aż do 1992 roku.
„*Formowanie nowych oddziałów idzie źle. Do Witebska codziennie i co godzinę przybywają rozproszone oddziały gru. parni po 5–10 ludzi oraz w pojedynkę, tak z bronią, jak i bez broni.*
Nikt nie może udzielić sensownego wyjaśnienia, co się dzieje z tymi ludźmi i gdzie ich się kieruje (...)
Komitet obwodowy partii w dniu dzisiejszym (...)*przyjął decyzję i ogłosił przez radio, że organizuje się dywizję robotniczą, i wezwał robotników do wstępowania w jej skład. Należało to zrobić 5 dni temu, a nie teraz, kiedy robotnicy znajdują się nie w swoich zakładach pracy, lecz siedzą w domach bez zajęcia* (...)*Dziś także Komitet Miejski Komsomołu nakazał komsomolcom udawać się do swojej siedziby i komitetów rejonowych, gdy w tym czasie większość z nich wyjechała z miasta bez pozwolenia* (...)
Więzienie zlikwidowano. Milicja pracuje słabo, a NKWD także zwija manatki.
Wszyscy myślą, jak by się ewakuować, nie zwracając uwagi na pracę swej instytucji (...)
Przewodniczący witebskiej Rady Miejskiej Azarienko załadował na przygotowany samochód ciężarowy beczkę piwa, aby popijać w drodze,

tak jak robi to zazwyczaj w swoim mieście w czasie służby".
Ale nie wszyscy w tych dniach myśleli o ucieczce. Niektórzy kontynuowali pracę — według tradycji swej instytucji:
„Sierżant bezpieczeństwa państwowego, członek WKP(b) Prijemyszew 24 czerwca wyprowadził z więzienia głubiekskiego w m. Witebsk 916 osadzonych, z których ponad 500 stanowili ludzie znajdujący się w śledztwie. Po drodze ten sam Prijemyszew w różnym czasie dwukrotnie rozstrzelał 55 ludzi, a w miasteczku w pobliżu Uły w czasie ataku samolotu przeciwnika wydał rozkaz konwojowi, w którym znajdowało się 67 ludzi, do rozstrzelania pozostałych (...)*Swoje działania wyjaśnia tym, że jakoby osadzeni chcieli uciekać i krzyczeli «Niech żyje Hitler!»"* [68].

CZŁOWIEK BEZ KARABINU

Tak, tak, szanowny Czytelniku, już słyszę Twój oburzony głos: *„Z jakąż ochotą wygrzebuje on wszelkie draństwo! Cóż za skłonność do kolekcjonowania wszelkiej podłości! Dlaczego autor widzi tylko negatywy? Gdzież heroiczna obrona twierdzy brzeskiej, gdzie wyczyn 28 bohaterskich panfiłowców...?"*

To wzburzenie jest dla mnie zrozumiałe. Ja także urodziłem się w ZSRR. Ale z przeprosinami się nie spieszę. Lepiej jeszcze raz przypomnę, o czym jest ta książka: próbujemy dociekać, dlaczego ogromna, uzbrojona po zęby, wielokrotnie przewyższająca liczebnie przeciwnika Armia Czerwona została w ciągu kilku tygodni rozbita, rozgromiona i odrzucona na setki kilometrów od zachodnich granic Związku Radzieckiego. I oto teraz, kończąc ze wszystkimi *„żywymi obrazami"*, postaramy się przejść od szczegółu do ogółu, od subiektywnych wyobrażeń i wspomnień uczestników do obiektywnych (ale robiących nie mniejsze wrażenie) liczb.

Zaczniemy od rzeczy najprostszej — od stanu ilościowego przedmiotów martwych. Najbardziej wzburzonych czytelników odsyłam na 368 stronę zbioru statystycznego **Grif**..., zestawionego, przypominam po raz kolejny— przez pracowników Sztabu Generalnego Armii Rosyjskiej pod ogólnym kierunkiem zastępcy szefa Sztabu Generalnego generała pułkownika G. F. Kriwoszejewa.

Jeśli popracują oni nad tą stroną z kalkulatorem, to zrozumieją, że w ciągu trzech miesięcy wojny, od 22 czerwca do 26 września, tylko na południowym TDW nasze wojska utraciły 1 934 700 sztuk uzbrojenia strzeleckiego wszystkich typów, tj. karabinów, karabinów maszynowych, automatów i rewolwerów. W sumie w 1941 roku Armia Czerwona utraciła 6 290 000 sztuk uzbrojenia strzeleckiego [35, s. 367].

Każdy na 367 stronie może przeczytać, że na wszystkich frontach w

ciągu sześciu miesięcy 1941 roku utracono 40 600 dział wszystkich typów i 60 500 moździerzy. Te straty są jeszcze, powiedzmy, zrozumiałe. Działo — rzecz ciężka. Nawet najlżejsze (76 mm wzór 1927 roku) ważyło bez mała tonę. A jeśli dowództwo powierzyło wam 152–mm armatę wzór 1935 roku o masie 17

ton? Jak wyciągnąć ją z okrążenia, jeśli ciągnik się zepsuł lub został porzucony w chaosie odwrotu bez paliwa?

I jak przetransportować to cudo przez pierwszą napotkaną rzeczkę? W bród — uwięźnie, przez most — trzeba go jeszcze znaleźć, a nie każdy most wytrzyma 17 ton.

Utratę 20,5 tysiąca czołgów i 17,9 tysięcy samolotów bojowych historycy radzieccy objaśnili już dawno i po prostu: zawodny… beznadziejnie przestarzały… słabo opancerzone *„trumny"*… pracujące na grożącej wybuchem benzynie… O co tu jeszcze się kłócić?

A oto najbardziej rozpowszechnione *„uzbrojenie strzeleckie"* 1941 roku — 7,62–mm karabin Mosina. Broń ta to niedościgniony wzór niezawodności i długowieczności. Mosina można było utopić w bagnie, zakopać w piasku, upuścić do słonej morskiej wody — a on i tak strzelał.

Ciężar tego autentycznego arcydzieła myśli inżynieryjnej — 3,5 kg bez amunicji. Oznacza to, że każdy młody i zdrowy mężczyzna (a z takich właśnie latem 1941 roku składała się Armia Czerwona) mógł bez większego wysiłku wynieść z pola walki 3–4 karabiny. A już najbardziej wychudzona kołchozowa kobyła, zaprzęgnięta do wiejskiej furmanki, mogła wywieźć na tyły setkę mosinów, pozostawionych przez zabitych i rannych żołnierzy.

Poza tym karabinów się *„tak po prostu"* nie rozdaje. Każdy posiada swój numer identyfikacyjny, każdy wydaje się osobiście za podpisem. Każdemu, nawet najmłodszemu wcielonemu, wyjaśnia się, że za utratę broni osobistej pójdzie on pod sąd trybunału.

Jak więc mogło przepaść s z e ś ć m i l i o n ó w karabinów i karabinów maszynowych?
Nie będziemy upraszczać. Na wojnie, jak na wojnie. Nie zawsze uda się zebrać z pola walki wszystkie karabiny. Nie każdy samochód i wagon z uzbrojeniem w sytuacji bojowej dotrze do miejsca przeznaczenia. W końcu jakaś część karabinów i automatów mogła zostać zniszczona przez ogień, wybuch czy polarne zimno.
Czy można ocenić rozmiar takich *„normalnych"* strat uzbrojenia strzeleckiego?
Oczywiście, można. Otwórzmy tę samą książkę **Grif**… i na stronie 352 czytamy.

W ciągu czterech miesięcy 1945 roku utracono 1 040 000 sztuk uzbrojenia strzeleckiego.
W ciągu czterech miesięcy w 1944 roku tracono średnio po 937 000 sztuk.
Czy oznacza to, że w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku *„normalne"* dla Armii Czerwonej straty bojowe w uzbrojeniu strzeleckim powinny wyrażać się liczbą około półtora miliona sztuk? Nie, to nieprawdziwy i zbyt pospieszny wywód. W latach 1944–1945 liczebność armii czynnej była dwukrotnie większa niż w roku 1941 (6,4 mln do 3 mln). Więcej ludzi, więcej broni, większe także straty. Powinniśmy więc przyjąć taki sposób myślenia: w 1944 roku milion żołnierzy *„tracił"* miesięcznie 36 tysięcy sztuk uzbrojenia strzeleckiego, porównywalnie w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku *„normalne"* straty nie powinny były przekroczyć 650–700 tysięcy sztuk. A utracono— 6,3 mln.
Tak więc w 1941 roku *„ponadnormatywna"* utrata wynosiła ponad 5,5 miliona sztuk uzbrojenia strzeleckiego. Zapamiętaj, szanowny Czytelniku, tę liczbę — szybko pojawi się ona ponownie. A teraz postaramy się ocenić *„ponadnormatywne straty"* w innych rodzajach uzbrojenia.
Hitlerowski Blitzkrieg — to, przede wszystkim, wojna pancerna. Głównym środkiem obrony przeciwpancernej w tym czasie były armaty przeciwpancerne. Według stanu na 22 czerwca 1941 roku w Armii Czerwonej znajdowało się ich 14 900 (w istocie jeszcze więcej, ponieważ twórcy zbioru **Grif**... z jakiegoś powodu nie uwzględnili 76–mm i 85–mm dział, znajdujących się na wyposażeniu brygad artylerii przeciwpancernej).
W ciągu sześciu miesięcy 1941 roku przemysł przekazał wojsku jeszcze 2500 armat przeciwpancernych.
W sumie: 17 400 sztuk, z których 70% (12 100 armat) utracono.
W ciągu całego 1943 roku — przez całe 12 miesięcy — utracono 5500 armat przeciwpancernych, co stanowiło jedynie 14,6% ogólnych zasobów. Rok 1943 został wybrany jako przykładowy nie bez powodu. Był to rok potężnych starć pancernych na łuku kurskim; to w tym roku Niemcy zaczęli masowo produkować ciężkie czołgi *„Tygrys"* i *„Pantera"*, przeciwko którym nasze *„czterdziestkipiątki"* (a one właśnie wciąż jeszcze stanowiły 95% ogólnej ilości zasobów w 1943 roku) były całkowicie bezskuteczne.

Niemniej w 1943 roku Armia Czerwona traciła po 460 dział miesięcznie, a w 1941 roku— w czasie, gdy dwa z trzech niemieckich czołgów na Froncie Wschodnim były maszynami lekkimi z lekkim opancerzeniem — po 2000 miesięcznie. To 4,5 raza więcej. Ale i to

wyliczenie jest absolutnie nieprawdziwe. Żadnych równomiernych strat po dwa tysiące dział w każdym miesiącu nie było. Była masowa *„utrata"* wielkiej ilości całego uzbrojenia przeciwpancernego w pierwszych tygodniach wojny— stąd butelki z płynem zapalającym, z którymi rzucali się na czołgi wroga obrońcy Leningradu i Moskwy...
Jeszcze wymowniej przedstawiają się proporcje strat w działach artylerii polowej.
W 1943 roku utracono 5700 dział (9,7% zasobów), w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku— 24 400 (56% z ogólnej ilości zasobów). Umowne *„średniomiesięczne"* straty 1941 roku były o 8,5 raza większe aniżeli w 1943 roku.
Tak więc powstaje pytanie, czy wszystkie te działa (moździerze, karabiny maszynowe, czołgi, karabiny, samoloty) utracone zostały w walce, czy też porzucone przez idących w rozsypkę żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej?
17 lipca 1941 roku znany nam już szef Zarządu Propagandy Politycznej Frontu Południowo–Zachodniego Michajłow meldował:
„W oddziałach frontu było wiele przypadków panicznej ucieczki z pola walki pojedynczych żołnierzy, grup, pododdziałów. Panika nierzadko przenosiła się za sprawą samolubów i tchórzy na inne oddziały, dezorientując wyższe sztaby w rzeczywistym położeniu na froncie, w stanie bojowym i liczebnym oraz we własnych stratach.
Wyjątkowo wielka liczba dezerterów. Tylko w samym 6. Korpusie Strzeleckim w ciągu pierwszych 10 dni wojny zatrzymano i skierowano na front 500 dezerterów (...)
Według niepełnych danych oddziały zaporowe zatrzymały w toku wojny około 54 000 ludzi, którzy zgubili swe oddziały i odstali od nich, w tym 1300 dowódców" [68].
Stwierdzenie *„według niepełnych danych"* odnosi się tylko do tych, których udało się zatrzymać w sytuacji ogólnego załamania się Frontu Południowo–Zachodniego. O liczbie nieujętych dezerterów można sądzić na

podstawie tego, że według danych zbioru statystycznego **Grif**... od 22 czerwca do 6 lipca straty tego frontu wyniosły:
— 65 755 rannych i chorych;
— 165 452 zabitych i zaginionych bez wieści.
Za pomocą literki *„i"* zestawiający zbiór łatwo ukryli dezerterów w ogólnej liczbie strat bezpowrotnych, ale biorąc pod uwagę bardzo stabilny dla wszystkich konfliktów zbrojnych XX wieku stosunek rannych i zabitych jak 3 do 1, można założyć, że około 140 tysięcy ludzi (dziesięć dywizji!) rzuciło się do ucieczki lub dostało do niewoli. I to tylko na jednym froncie i tylko w ciągu dwóch pierwszych tygodni wojny.

Ci, których złapano i w ten czy inny sposób skierowano do szyku, stanowili tylko część (jak wykażemy dalej — niewielką część) ogólnej liczby *„dezerterów"*. Cudzysłów postawiono nieprzypadkowo. Sytuacja Armii Czerwonej latem 1941 roku była taka, że wykorzystanie ogólnie przyjętych słów dla jej opisania jest nadzwyczaj trudne.
Typowy schemat pogromu i zniszczenia jednostek wojskowych Armii Czerwonej (jak wynika to z licznych wspomnień, książek, dokumentów) był następujący:
Punkt pierwszy. Rozlega się krzyk: *„Okrążyli!"* Latem 1941 roku to zwyczajne słowo czyniło cuda. Pisarz–frontowiec W. Astafjew wspomina:
„To jedno jedyne, rzadkie, prawie nieużywane w czasie pokoju, tragiczne słowo zmieniało ludzi w nieprzeliczone tabuny, biegnące jakby w malignie, pełznące gdzieś bez jakichkolwiek rozkazów i zasad".
Punkt drugi. Utrata dowódcy. Przyczyny mogły być najróżniejsze: poległ, ranny,pojechał wyjaśnić sytuację do sztabu nadrzędnego, zastrzelił się, po prostu uciekł.
Punkt trzeci. Któryś z *„obytych"*, wziąwszy na siebie dowództwo nad pozbawionym głowy oddziałem, podejmuje decyzję — przedzierać się na wschód *„małymi grupami"*. Wszyscy. I to już koniec. Po kilku dniach (lub godzinach) niedawny batalion (pułk, dywizja) rozsypuje się w pył i proch.
Punkt czwarty. Ogromna liczba pojedynczych*„tułaczy"*, powłóczywszy się bez celu, bez sensu i bez jedzenia po polach i lasach, wchodzi do wsi, do ludzi. A we wsi — Niemcy. Dalszych wariantów jest już całkiem mało: litościwa wdówka, obóz dla jeńców wojennych, służba w *„policji"*. To wszystko.

Jakim słowem możemy określić takich ludzi? Dezerterzy, zdrajcy ojczyzny, zaginieni bez wieści, poddający się, wzięci do niewoli? Nie wiem — zdecyduj, szanowny Czytelniku, sam. Ale jedną *„podpowiedz"* dać muszę: jeśli wydano rozkaz *„rozejść się i małymi grupami wychodzić z okrążenia"*, jeśli kiedyś ktoś go napisał czarnym ołówkiem na kawałku podartej kartki, to o *„dezercji"* nie może być mowy. Rozkazy w armii należy wykonywać. Tylko kto zdoła dziś znaleźć taki kawałeczek kartki? Postaramy się — choćby orientacyjnie — ocenić rozmiar samego zjawiska.
Otwieramy ten sam zbiór statystyczny. W sumie w czasie wojny za dezercję osądzono 376 tysięcy wojskowych [35, s. 140]. Kolejne 940 tysięcy ludzi zostało *„wcielonych ponownie"* [35, s. 338]. Tym dziwnym terminem określano tych żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej, którzy z różnych przyczyn *„zagubili"* swą jednostkę wojskową i pozostali na terytorium okupowanym przez Niemców, a w latach 1943–1944 ponownie zostali wezwani do szeregów. Przy tym wśród nich

znaleźli się nie tylko mężczyźni z kołchozów w żołnierskich owijaczach, ale i dwaj generałowie: szef artylerii 24. Armii Moszenini dowódca 189. DS Cziczkanow [**WIŻ**, 1992, nr 12]. Nie można zapomnieć i o tym, że początkowa liczba *„zaginionych"* była znacznie wyższa: nie każdy zdołał przeżyć te dwa–trzy lata zniszczenia, głodu, ostrzałów, rozstrzeliwań, obław i bombardowań…
Na stronie 140 zbioru **Grif**… zsumowano wszystkie kategorie ludzi, których armia straciła: zabitych, zmarłych, zaginionych bez wieści, jeńców, osądzonych i wysłanych do gułagu (a nie do batalionu karnego, który jest częścią armii), zdemobilizowanych w wyniku odniesionych ran lub choroby i *„pozostałych"*. Nie zgadza się to z wykazaną na poprzedniej stronie ogólną liczbą *„tych, którzy z różnych przyczyn ubyli ze składu sił zbrojnych"* o 2 343 000 ludzi. Sami autorzy zbioru wyjaśniają tę różnicę *„znaczną liczbą nieschwytanych dezerterów"*.
Oprócz tego do dezerterów należy zaliczyć też ogromną liczbę osób, które uchyliły się od mobilizacji w pierwszych dniach i tygodniach wojny. Niemal do dziś podobna formułka pojmowana była jako złośliwe przekleństwo. I dopiero w 1992 roku pracownicy Sztabu Generalnego— autorzy zbioru **„Rok 1941— lekcje i wnioski"** — pierwsi podali takie oto przerażające dane:

„W sumie na czasowo opanowanym przez przeciwnika terytorium pozostawiono 5 631 600 ludzi z zasobów mobilizacyjnych Związku Radzieckiego… w Nadbałtyckich SOW straty te wyniosły 810 844, w Zach. SOW— 889 112, w KSOW— 1 625 174 i w Odeskim OW— 813 412 ludzi" [3, s. 114].

Rozumie się, że nie każdy z tych 5,6 mln przypadków niestawiennictwa w punkcie zbornym podlegających obowiązkowi służby wojskowej rozumieć należy jako zamierzone uchylanie się od wezwania. Czasami sama komenda wojskowa zniknęła wcześniej, nim zdążyli do niej przybyć wezwani. No i nie należy przeceniać znaczenia szybkiego tempa posuwania się Wehrmachtu, a już tym bardziej — uznawać go za główną przyczynę wielomilionowych strat wezwanego kontyngentu.

Współzależność geografii i arytmetyki w tym procesie jest wyraźna. Zachodni Specjalny Okręg Wojskowy zajmował terytorium całej

Białorusi i obwodu smoleńskiego RFSRR.
Niemcy zajęli większą część tego terytorium dopiero pod koniec lipca 1941 roku.
Kijowski Specjalny Okręg Wojskowy — to cała Ukraina Prawobrzeżna i część Lewobrzeżnej w granicach obwodu kijowskiego.
A Niemcy pojawili się za Dnieprem dopiero we wrześniu.

Odeski Okręg Wojskowy — to nie tylko obwód odeski, ale też mikołajewski, chersoński, dniepropietrowski i zaporoski, Mołdawia i Krym.
Okupacja tych rejonów zakończyła się dopiero późną jesienią 1941 roku. Nie, wcale nie *„zaskakująca napaść"*, ale całkowicie inne przyczyny spowodowały zerwanie mobilizacji na Krymie i w Chersoniu, w Wiaźmie i
Homlu, w Kirowogradzie i Kijowie...
Na koniec zasługuje na poważną uwagę (przynajmniej nie mniejszą niż tłumy wyrostków okupujących moskiewskie komendy wojskowe) także ten
fakt, że *„tylko w Zachodnim i Kijowskim specjalnych okręgach wojskowych
nie stawiło się do oddziałów ponad dwieście tysięcy z liczby objętych mobilizacją"* [3]. Rozumie się, że w tym przypadku już nie można określić ani
ocenić stopnia osobistej winy ani oddzielić następstw powszechnego chaosu
od dezercji poszczególnych osób...

TYLE I JESZCZE RAZ TYLE

Nie ma wojen bez strat, bez zabitych i rannych. I bez jeńców. Nikomu jeszcze nie udało się tak zorganizować działań bojowych, aby ani jeden żołnierz, ani jeden pododdział nie znalazł się w trudnym położeniu, w okrążeniu, bez broni i amunicji.

Także w Wehrmachcie, pomimo niemieckiej organizacji i zamiłowania do porządku, w ciągu pierwszych trzech lat drugiej wojny światowej (do 1 września 1942 roku) ogólna liczba zaginionych bez wieści i jeńców osiągnęła 69 tysięcy. Średnio — dwa tysiące ludzi miesięcznie. I to według niemieckich, prawdopodobnie zaniżonych danych statystycznych. Według danych radzieckiego Sztabu Generalnego, w pierwszym okresie wojny (do 1 lipca 1942 roku) Armia Czerwona wzięła do niewoli 17 285 żołnierzy i oficerów przeciwnika. W ciągu następnego roku (do 1 lipca 1943 roku) wzięto do niewoli 534 tysiące ludzi [35, s. 391]. Co prawda większą część tych jeńców stanowiły okrążone nad Donem i pod Stalingradem armie sojuszników Niemiec (w sumie w toku wojny do niewoli dostało się 765 tysięcy Węgrów, Rumunów i Włochów).

Latem 1944 roku w toku wielkiej i wspaniale przeprowadzonej operacji wojsk radzieckich na Białorusi (operacja *„Bagration"*) praktycznie w pełni rozgromiona została niemiecka Grupa Armii *„Środek"*. W niewoli radzieckiej znalazło się wówczas około 80 tysięcy

żołnierzy Wehrmachtu.

Wszystko poznaje się poprzez porównanie. To, co stało się z Armią Czerwoną latem i jesienią 1941 roku, wykracza poza wszelkie ramy zwykłych przykładów. Historia wojen niczego podobnego dotąd nie znała.

Straty w jeńcach i zaginionych bez wieści w 1941 roku wyniosły (w procentach od *„średniomiesięcznej liczebności stanu osobowego"*) [35, s. 234–244]:
— na Froncie Północno–Zachodnim— 55%;
— na Froncie Zachodnim— 159% (to nie pomyłka: fronty nieustannie otrzymywały uzupełnienie, dlatego sumaryczne straty mogą być większe niż 100% od ich średniomiesięcznej liczebności);
— na Froncie Południowym — 49%.
Przy ocenie stosunkowo *„skromnych"* strat Frontu Południowego nie można zapomnieć o tym, że wyposażenie techniczne armii rumuńskiej po prostu nie pozwalało jej na prowadzenie większych operacji mających na celu oskrzydlenie i okrążenie przeciwnika…
Według twórców zbioru **Grif**… jeńcy stanowili 89% ogólnej liczby jeńców i zaginionych bez wieści [35, s. 338]. Właśnie masowe poddawanie się było główną przyczyną ogromnych strat Armii Czerwonej na początku wojny.
W 1941 roku szczególnie na głównym kierunku strategicznym — Froncie Zachodnim— liczba zaginionych bez wieści i jeńców przewyższyła liczbę zabitych ponad s i e d m i o k r o t n i e [35, s. 236].
Po 32 dniach działalności latem 1941 roku Front Centralny utracił:
— w zabitych— 9199 żołnierzy i dowódców;
— w zaginionych bez wieści i jeńcach — 45 824,
a ponadto jeszcze 55 985 ludzi znalazło się w rubryce *„straty niebojowe"* [35, s. 243].
Innymi słowy, *„straty niebojowe"* oraz straty w jeńcach j e d e n a s t o k r o t n i e przewyższały liczbę poległych w walce z przeciwnikiem. Czy to armia? Czy to wojna? Wielka Ojczyźniana?
W ogóle trzeba się zatrzymać przy tej rubryce — *„straty niebojowe"* — i rozpatrzyć ją bardziej szczegółowo. Za pomocą swej ulubionej literki *„i"* twórcy zbioru połączyli *„zmarłych z powodu chorób i poległych wskutek wypadków"*. A przecież to — *„zasadnicza różnica"*. Jednakże nie tak trudno tę łamigłówkę rozszyfrować.
Na stronie 146 w tabeli 69. podano ogólną liczbę chorych wojskowych. W całej Armii Czerwonej w drugiej połowie 1941 roku było ich 66 169. Niestety nie każda choroba kończy się wyzdrowieniem. Wiadomo, że zmarło 7,5 % rannych i chorych, którzy w czasie wojny znaleźli się w szpitalach [35, s. 136]. Prawdopodobnie nie pomylimy się zbytnio, jeśli przeniesiemy te proporcje na samych tylko chorych. W takim wypadku można założyć, że lekarzom nie udało się wyleczyć 5–6 tysięcy chorych (z ogólnej liczby 66 169).

Ale w rubryce *„Zmarli z powodu chorób i polegli w wyniku wypadków"* widnieje nie 5, ale 235 tysięcy! Więc cóż to za *„wypadki"*, na skutek których liczba poległych okazuje się większa aniżeli liczba wszystkich zabitych i zaginionych bez wieści żołnierzy Wehrmachtu na Froncie Wschodnim?

Cytowane wyżej dziwaczne liczby z pewnością są znacznie zaniżone. Realnie były one jeszcze straszniejsze i bardziej haniebne. Chodzi o to, że według danych zbioru **Grif**...ogólna liczba zaginionych bez wieści i jeńców na wszystkich frontach wynosiła jakoby 2 mln 335 tysięcy ludzi [35, s. 146], gdy w tym czasie źródła niemieckie liczbę samych jeńców, wziętych do niewoli przez Wehrmacht w 1941 roku, określają na 3600–3800 tysięcy ludzi.

Propaganda wojenna wroga? Jak powszechnie wiadomo, Niemcy w tym względzie byli bardzo dokładni i powściągliwi. Hitler, występując 11 grudnia 1941 roku w Reichstagu, stwierdził, że Armia Czerwona straciła 21 tysięcy czołgów, 17 tysięcy samolotów, 33 tysiące dział i 3 806 865 jeńców wojennych [115]. Jak widać, liczby strat sprzętu bojowego nie przewyższają oficjalnych danych współczesnej rosyjskiej historii wojskowości, a straty w artylerii są nawet zaniżone!

O ogromnym zaniżeniu przez autorów zbioru **Grif**... liczby jeńców wojennych świadczy także to, że liczbę zmarłych w niewoli niemieckiej w toku całej wojny ocenili oni na 1,2 mln, gdy tymczasem podczas procesu w Norymberdze główny oskarżyciel ze strony ZSRR oświadczył (i liczba ta nigdy i przez nikogo nie była potem podważana), że naziści w obozach koncentracyjnych wyniszczyli 3,9 mln radzieckich jeńców wojennych...

Już w końcu lipca 1941 roku potok jeńców wojennych przewyższał możliwości Wehrmachtu co do ich ochrony i utrzymania. 25 lipca 1941 roku Generalny Kwatermistrz OKH (generał major E. Wagner — dop. tłum.) wydał Rozkaz nr 11/4590, w związku z którym rozpoczęło się masowe zwalnianie jeńców wielu narodowości (Ukraińców, Białorusinów, Bałtów). W czasie obowiązywania tego rozkazu, tj. do 13 listopada 1941 roku, rozpuszczono do domów 318 770 byłych czerwonoarmistów (głównie Ukraińców — 277 761 ludzi) [35, s. 334].

Także kierownictwo radzieckie uznało za konieczne zareagować jakoś na tak niesłychane postępowanie swoich poddanych. We wszystkich oddziałach i pododdziałach odczytano znany Rozkaz Kwatery Głównej nr 270 z 16 sierpnia 1941 roku. Niepotrzebne są chyba komentarze co do stanu moralnego Armii Czerwonej, jeśli znajdowały się w nim następujące nakazy:

„Dowódców i pracowników politycznych, w czasie walki zrywających z siebie odznaki stopni i dezerterujących na tyły lub poddających się wrogowi, uznawać za złośliwych dezerterów, których rodziny podlegają aresztowaniu (...)

Jeśli oddział czerwonoarmistów, zamiast organizować opór wobec wroga, zaczyna się poddawać — zniszczyć go wszelkimi środkami, tak naziemnymi, jak i powietrznymi, a rodziny oddających się do niewoli czerwonoarmistów pozbawiać zasiłków i pomocy państwowej" [**WIŻ**, 1988, nr 9].

Niestety, nawet takimi środkami nie udało się obudzić opiewanego w swoim czasie przez Woroszyłowa *„zamiłowania ludzi radzieckich do wojny"*. Czerwonoarmiści porzucali broń i tłumnie rozpierzchali się po lasach. Nie minął miesiąc od ukazania się Rozkazu nr 270, gdy 12 września 1941 roku Kwatera Główna wydała Dyrektywę nr 001919 o utworzeniu oddziałów zaporowych, o liczebności co najmniej kompanii na pułk strzelecki. W pierwszych zdaniach tej dyrektywy stwierdzano: *„Doświadczenie walki z niemieckim nazizmem pokazało, że w naszych dywizjach strzeleckich znajduje się niemało panikarzy, a nawet wrogich elementów, którzy już przy pierwszym nacisku ze strony przeciwnika porzucają uzbrojenie, zaczynają krzyczeć: «Okrążyli nas!», i pociągają za sobą pozostałych żołnierzy. W rezultacie tego dywizja rzuca się do ucieczki, porzuca sprzęt, a następnie zaczyna wychodzić z lasu. Podobnie dzieje się na wszystkich frontach"* [5, s. 180].

W momencie ukazania się tej dyrektywy w niewoli niemieckiej znajdowało się już półtora miliona żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej. Taka właśnie liczba figuruje w korespondencji Keitla i Canarisa. Należy przy tym odnotować, że Canaris pisze o półtora miliona *„zdolnych do pracy jeńców wojennych"*, tj. dobrowolnie oddających się do niewoli, a nie wziętych do niej po odniesieniu ciężkiego zranienia.

Ponadto w pierwszych tygodniach wojny Niemcy zetknęli się z masą zdrajców, którzy zdążyli porzucić rejony rozmieszczenia swoich oddziałów i oddać się do niewoli niemieckiej jeszcze przed walką. Do ich utrzymania Wehrmacht musiał utworzyć kilka obozów specjalnych. Co prawda w meldunku Komisji do spraw rehabilitacji ofiar represji politycznych stwierdza się, że liczba zdrajców w Armii Czerwonej była całkiem mała: *„W pierwszym roku wojny nie więcej niż 1,4–1,5% z ogólnej liczby jeńców wojennych"* [74]. Tak, w stosunku procentowym to prawie nic. Ale w liczbach absolutnych— to nie mniej niż 40 tysięcy ludzi. Porównywać tego z liczbą renegatów w szeregach niemieckich po prostu nie można: ich ilość w Wehrmachcie w ciągu pierwszych trzech lat wojny wyraża się liczbą dwucyfrową — 29.

Sam wydźwięk słowa *„zdrajca"* może wywołać w wyobrazni czytelnika obraz człowieka biegnącego przez pole i krzyczącego z wycieńczenia: *„Nicht schissen, Stalin kaput!"* Oczywiście zdarzało się i tak. Na przykład 22 sierpnia 1941 roku przeszedł do Niemców major I. Kononow, członek partii bolszewickiej od 1927 roku, kawaler Orderu Czerwonego Sztandaru, absolwent Akademii imienia Frunzego. Przeszedł wraz z

większą częścią swego 436. Pułku Strzeleckiego (155. DS 13. Armii Frontu Briańskiego), ze sztandarem bojowym, a nawet z komisarzem (!) pułku. Do września 1941 roku sformowany z jeńców wojennych pod dowództwem Kononowa *„102. Dywizjon Kozacki"* Wehrmachtu liczył 1799 ludzi [74, 119].
Dziesiątki pilotów przeleciało do Niemców wraz z samolotami bojowymi. Później z nich oraz znajdujących się w obozach lotników sformowano *„rosyjski"* oddział lotniczy Luftwaffe pod dowództwem pułkownika Malcewa. Byli wśród nich dwaj Bohaterowie Związku Radzieckiego: myśliwiec kapitan Byczków i pilot szturmowca starszy lejtnant Antilewski. A i sam Malcew w swoim czasie był przedstawiony do nagrody Orderem Lenina, ale wpadł pod *„koło"* masowych represji w 1938 roku [120].
Na początku października 1941 roku panika, ogarniająca wyższe dowództwo Armii Czerwonej, osiągnęła już taki poziom, że G. K. Żukow (w tym czasie dowódca Frontu Leningradzkiego) skierował do wojsk szyfrogram nr 4976 o następującej treści:
„(...) wyjaśnić całemu stanowi osobowemu, że wszystkie rodziny poddających się wrogowi zostaną rozstrzelane, a po powrocie z niewoli wszyscy oni także zostaną rozstrzelani" [117, s. 429].
Dzięki Bogu takie rzeczy się nie zdarzały, ale strzelanie do swoich nie ustało ani na jeden dzień. Tylko w ciągu niepełnych czterech miesięcy wojny (od 22 czerwca do 10 października 1941 roku) z wyroków trybunałów wojennych i Oddziałów Specjalnych NKWD rozstrzelano 10 201 wojskowych. W sumie w czasie wojny same trybunały wojenne osądziły ponad 994 tysiące radzieckich wojskowych, z których 157 593 ludzi rozstrzelano [118, s. 139]. Rozstrzelano więc d z i e s i ę ć d y w i z j i!
Niemiecki historyk Fritz Hahn na podstawie dokładnych notatek, które dowództwo Wehrmachtu przekazywało Hitlerowi, podaje następujące liczby [60]. W ciągu trzech lat wojny(od 1 września 1939 roku do 1 września 1942 roku) w wielomilionowym Wehrmachcie orzeczono karę śmierci wobec 2271 wojskowych, w tym 11 oficerów.
2 ludzi na dzień. A w Armii Czerwonej w 1941 roku — 92 ludzi dziennie. W sumie w ciągu trzech lat wojny (od 1.09.1939 roku do 1.09.1942 roku) w Wehrmachcie rozstrzelano 7810żołnierzy i oficerów. O dwadzieścia razy mniej niż w Armii Czerwonej.
A i dezerterzy w szeregach Wehrmachtu się zdarzali. Müller–Hillebrand potwierdza, że w całych siłach zbrojnych Niemiec (armia, lotnictwo, flota) w ciągu czterech ostatnich miesięcy wojny (od stycznia do maja 1945 roku) zdezerterowało 722 ludzi [11, s. 712]. A w latach poprzednich liczba dezerterów w Wehrmachcie zawsze wyrażała się dwucyfrowo.
Nie, to nie są po prostu różne cyfry, różne ilości. To już odmienna

jakość społeczeństwa i władzy.
Należy zauważyć i to, że masowe oddawanie się czerwonoarmistów do niewoli niemieckiej wcale nie zakończyło się na latach 1941–1942. Z meldunków Komisji do spraw rehabilitacji ofiar represji politycznych wynika, że nawet w 1944 roku — w czasie ogólnego natarcia Armii Czerwonej na wszystkich frontach — do niewoli dostało się 203 tysiące żołnierzy i dowódców [74, s. 154].
Teraz przeprowadzimy pewne podsumowania matematyczne. Nie gwarantując absolutnej dokładności tych liczb (sam charakter takich zjawisk jak dezercja i niewola wyklucza możliwość dokładnego, imiennego zestawienia), spróbujmy ocenić ogólną ilość jeńców i dezerterów w 1941 roku.
Otwieramy zbiór **Grif**...i na stronie 152 czytamy, że średniomiesięczna liczebność armii czynnej pod koniec 1941 roku nie tylko się nie zwiększyła, ale nawet spadła (z 3 334 400 do 2 818 500 ludzi). Jedyne wyjaśnienie takiej dynamiki — to że liczebność uzupełnień była mniejsza od rozmiarów strat. Postaramy się ocenić obie te składowe.
Jakie zasoby ludzkie otrzymała Armia Czerwona w drugiej połowie 1941 roku?

W sumie do końca tegoż roku zmobilizowanych zostało 14 mln ludzi [3, s. 109]. Oczywiście nie wszyscy oni wstąpili do armii czynnej. Tak więc na początku wojny służbę w Armii Czerwonej i marynarce wojennej pełniło 4 901 852 ludzi. Kolejne 768 tysięcy ludzi (rezerwistów — dop. tłum.) ściągnięto przed wojną na *„szkolne ćwiczenia w wojskach"*. Razem— 5,67 mln. Ale spośród nich w składzie istniejących 22 czerwca frontów znajdowało się jedynie 3,3 mln ludzi (58% ogólnej liczebności). Później średniomiesięczna liczebność sił zbrojnych Związku Radzieckiego wzrosła do 11,4 mln ludzi (czerwiec 1945 roku), ale skład osobowy armii czynnej pozostał na poprzednim poziomie — 6,5 mln, czyli 57% z ogólnej liczby wojskowych [35, s. 138, 152]. Wychodząc z takiej proporcji (57–58%), możemy założyć, że z ogólnej liczby ściągniętych w ramach mobilizacji w 1941 roku jedynie 8 mln weszło w skład armii czynnej. Trudno uwierzyć, że 6 mln zmobilizowanych w 1941 roku umacniało obronę na głębokich tyłach w czasie, gdy moskiewskie dywizje pospolitego ruszenia wcielały nienadających się do linii profesorów *„okularników"*. Oprócz tego w skład frontów działających latem 1941 roku weszły armie drugiego rzutu strategicznego, następnie — wojska, uważanych wcześniej za tyłowe, okręgów wewnętrznych, a pod koniec roku — oddziały Frontu Dalekowschodniego.
W ten sposób ta (wyjątkowo ważna dla dalszego podsumowania) liczba — 8 mln ludzi, dodana do składu armii czynnej w 1941 roku— nie została zawyżona, raczej — zaniżona. A to oznacza, że armia czynna

straciła w 1941 roku co najmniej 8,5 mln ludzi! (8 000 000 + 3 334 400 — 2 818 500).
A teraz najważniejsze: z jakich części składowych zestawiona została ta koszmarna liczba?
Najbardziej wiarygodne (w mniemaniu autora) są dane o ilości rannych, których skierowano na leczenie do szpitali. Na głębokich tyłach i porządek był większy, i ilości w mniejszej mierze podwójne (liczono i podczas przyjęcia, i przy wypisywaniu). Tak więc wszystkie straty sanitarne armii czynnej (rannych i chorych) autorzy zbioru **Grif**... ocenili na 1314 tys. ludzi. Wychodząc ze stałego dla wszystkich wojen XX wieku stosunku rannych do zabitych jak 3 do 1, można założyć, że ponad 400 tysięcy ludzi poległo na polu walki.

Ściślej biorąc — na podstawie meldunków sztabów oddziałów i związków armii czynnej — liczba zabitych i zmarłych w wyniku odniesionych ran w szpitalach wynosiła 567 tysięcy ludzi [35, s. 1461. Kolejnych 235 tys. ludzi poległo w rezultacie jakichś strasznych *„wypadków"* i zmarło w wyniku chorób.
Nawet jeśli założyć najgorsze — ani jeden ranny w 1941 roku nie wrócił do szeregów — i na tej (oczywiście absurdalnej) podstawie dołączyć do liczby zabitych i zmarłych wszystkie straty sanitarne (1314 tys.), to również wtedy dojdziemy do wniosku, że straty bojowe w 1941 roku (tj. zabici, ranni, zmarli w wyniku chorób) stanowią nie mniej niż 2,1 mln ludzi.
Wniosek— z armii czynnej *„ubyło"* bez śladu co najmniej 6,4 mln ludzi. To tyle, ile znajdowało się w armii czynnej 22 czerwca 1941 roku, i jeszcze raz tyle.
Dziwna sprawa: *„historycy"* radzieccy nigdy nie uwzględniali tego przy analizowaniu tak zwanych*„czasowych niepowodzeń Armii Czerwonej"*.
A kiepski filtr oleju w czołgowych dieslach — to ważna przyczyna klęski, piszą o nim wiele; w silniku AM–35 świece po trzech lotach bojowych trzeba było wymieniać — i o tym napisano tony papieru; w ambrazurach bunkrów Kijowskiego Rejonu Umocnionego znajdowały się osłony karabinów maszynowych starego typu (1930 rok). Wszystko to— ważne tematy do rozważań.
A to, że m i l i o n y żołnierzy Armii Czerwonej rozbiegły się nie wiadomo gdzie, to błahostka, to z drugiej półki, to nie ma odniesienia do historii wojny...
Otrzymany przez nas wynik nie jest dokładny, a najpewniej jest zaniżony. Cały rachunek opiera się na bardzo niepewnym założeniu, że 57% uzupełnień 1941 roku wstąpiło do końca tego roku w szeregi armii czynnej. Oprócz tego znaczna część z 1,3 mln rannych wróciła do szeregów, co także powiększa liczbę *„zaginionych"*.
Niemniej nasza ocena (6,4 mln) nie przeczy podanym liczbom:

— 3,8 mln ludzi wziętych przez Niemców do niewoli;
— 1,0—1,5 mln dezerterów uniknęło i frontu, i niewoli.
Różnica (6,4 — 3,8 — 1,5), czyli milion ludzi, to— chociaż brzmi to strasznie — ranni, porzuceni w czasie panicznej ucieczki i nie uwzględnieni w meldunkach z frontu polegli.

P rzez pięćdziesiąt lat radzieccy historycy płakali nad tym, że *„historia dała nam mało czasu na przygotowanie się do wojny"*. Niestety, wszystko było akurat na odwrót. Zbyt dużo, niedopuszczalnie dużo czasu dała reżimowi stalinowskiemu nieszczęsna *„historia"*. Dwadzieścia lat okrutnego burzenia wszelkich norm moralnych i prawa, wszelkich wyobrażeń o czci i godności wydało, na nieszczęście, swe jadowite płody.

BRZEMIĘ WYBORU

Fanatyczny upór, z jakim tyraliery czerwonoarmistów szł y po pas w śniegu pod zabójczy ogień fińskich karabinów maszynowych, wstrząsnął wyobraźnią zachodnich specjalistów wojennych. Po dziś dzień piszą oni książki o *„zagadkowej słowiańskiej duszy"*, o swoistym dla rosyjskiego chłopa *„fatalizmie"* i inne podobne *„mądrości"*. Syty nie zrozumie głodnego.

W lutym 1940 roku czerwonoarmista na Przesmyku Karelskim (jak i wszyscy ludzie w tym czasie) miał wybór. Można było na wściekły krzyk politruka pójść do ataku. Najpewniej — zabiją. Do rodzinnej wsi wyślą zawiadomienie, że padł śmiercią walecznych w walkach z białofinami. Wdowie dadzą jakiś tam zasiłek. Synowi poległego, Bóg da, pozwolą wyjechać ze wsi do miasta, wstąpi na uniwersytet, zostanie człowiekiem. A jeśli się poszczęści? Jeśli nie zabiją, a tylko ranią? Jeśli sanitariusze dobiegną szybciej, zanim zamarznie w śniegu? Wtedy i medal dadzą, i jako inwalidzie wojennemu pozwolą zająć się szewstwem. Wszystko jest lepsze niż robić w kołchozie za pachołka.

Można *„wysłać"* politruka do diabła i uciec do lasu. Oto las — opodal. Wtedy było łatwo decydować o wszystkim. Czym zakończy się wojna — nie warto mówić. Po wojnie wszystkich, którzy poddadzą się Finom, znajdą i rozstrzelają. Albo w łagrze zgnoją. Wszystkich, którzy ukryli się w lesie — też znajdą i rozstrzelają. Całego życia w lesie przesiedzieć się nie da. To nie Singapur i nie Okinawa. Inny klimat. A przed NKWD nikt cię ukrywać nie będzie. Znajdą i rozwalą. A już o tym, co stanie się z rodziną *„zdrajcy i wroga narodu"*, nawet szkoda myśleć. Taka oto prosta *„alternatywa"*. Gdzież pojąć ją ludziom Zachodu…

W lecie 1941 roku stała się rzecz niebywała. Przed człowiekiem radzieckim otworzyła się możliwość wyboru swego losu bez strachu przed *„ojczystą partią"* i jej sławnymi *„oddziałami zbrojnymi"*…

Nie ma już NKWD, drzwi w rajkomie partii otwarte na oścież, a gipsowa głowa kochanego wodza wala się na ganku. A Niemcy cały czas prą i prą — w meldunku piszą już o *„kierunku wiaziemskim"*. Przecież nawet dureń wie, jaki *„kierunek"* będzie następny. Mądrzy ludzie mówią, że *„wąsaty"* już z

Moskwy uciekł, na Kremlu siedzi jego sobowtór i czeka na Niemców. Co nam, prostym chłopom, robić?

Większość żołnierzy i podoficerów (a w naszym kraju po 1937 roku byli oni szczególnie nieliczni) rozwiązywała ten problem tak, jak

pokazano to w części poprzedniej. Nie było ani mityngów, ani *„komitetów żołnierskich"*. W milczeniu rzucali karabiny, bez słowa wypełzali z obmierzłego stalowego kadłuba czołgu, zrywali naszywki i dołączali do ogromnej kolumny jeńców, która w asyście dziesięciu niemieckich konwojentów brnęła na Zachód. Szkoda, że wielki proletariacki poeta nie dożył tych dni i nie zobaczył, jak materializuje się jego metafora *„gdzie kropla zlewa się z masą..."*

Ale byli — i z każdym miesiącem ich liczba rosła — i tacy, którym nie wystarczało bierne czekanie na rozwiązania. Byli tacy, którzy dążyli do połączenia z obecnymi zwycięzcami.

Jesienią 1941 roku było ich tak dużo, że Niemcy od pospiesznych improwizacji (w rodzaju stworzenia pułku kozackiego Kononowa) przeszli do planowego formowania oddziałów pomocniczych z tak zwanych *„pomocniczych ochotników"* (Hilfswillige, w skrócie *„Hiwi"*). Początkowo służyli oni jako kierowcy, magazynierzy, ładowacze itp. Następnie, w związku ze wzrostem strat Wehrmachtu, rosyjskich *„ochotników"* zaczęto uzbrajać. Wiosną 1942 roku w armii niemieckiej służyło ich kilkaset tysięcy. Można było ich spotkać zwłaszcza w tych oddziałach i związkach Wehrmachtu, które przeszły przez Ukrainę i kozackie rejony Donu i Kubania. Na przykład w okrążonej pod Stalingradem 6. Armii Paulusa w listopadzie 1942 roku znajdowało się 51 800 ochotników, a w 71., 76. i 297. Dywizji Piechoty tej armii *„ruscy"* (jak nazywali Niemcy wszystkich byłych obywateli radzieckich) stanowili połowę stanu osobowego! Następnie włączono ich do etatów standardowych niemieckich dywizji piechoty (po 2 tysiące ludzi na dywizję) [74, 119].

Wraz z *„Hiwisami"*, którzy nosili zwykłe mundury Wehrmachtu, z byłych obywateli radzieckich (jeśli słowo *„obywatel"* można w ogóle zastosować wobec poddanych stalinowskiego imperium) utworzono mnóstwo oddziałów *„narodowych"* — o ogólnej liczebności rzędu 90 *„wschodnich"* batalionów. 26 *„turkiestańskich"*, 13 *„azerbejdżańskich"*, 9 *„krymsko– tatarskich"*, 7 *„wołgo–uralskich"* itd. Co prawda Niemcy zawsze wykorzystywali te *„ost–bataliony"* osobno, bojąc się widocznie ześrodkowania na jednym odcinku frontu zbyt wielu *„obcych"*. Wyjątkiem od tej zasady była 162. Turkiestańska Dywizja Piechoty, która — jak wynika z dokumentów niemieckich, *„była niemal tak dobra jak zwykła dywizja Wehrmachtu"*. Co prawda, połowę tej dywizji stanowili Niemcy z krajów Europy Wschodniej (*„Volksdeutsche"*), i walczyła ona we Włoszech. Bardzo liczne były wojska kozackie. Hitler uznał Kozaków za potomków *„rasowo bliskich"* Gotów (a nie Słowian) i w kwietniu 1942 roku oficjalnie nadał im status *„wojskowych sojuszników Niemiec"*. We wrześniu 1942 roku w Nowoczerkasku odbył się *„kozacki krąg"* i sformowano *„sztab Wojska Dońskiego"*. Do kwietnia 1943 roku w

składzie Wehrmachtu walczyło 20 pułków kozackich o ogólnej liczebności rzędu 25–30 tysięcy ludzi. Latem 1943 roku sformowana została 1. Dywizja Kozacka (co prawda dowodził nią niemiecki pułkownik von Pannewitz, a co trzeci *„kozak"* w tej dywizji był Niemcem). W lipcu 1944 roku na bazie dywizji Pannewitza rozwinięto 15. Korpus Kawalerii Kozackiej SS w składzie około 50 tysięcy szabel.

Jeszcze większym naciąganiem jest nazwanie Bałtów *„byłymi obywatelami radzieckimi"* — czas ich przebywania w*„wielkim obozie"* to okres jednego roku (od 16 czerwca 1940 roku do 22 czerwca 1941 roku). Dlatego ograniczymy się jedynie do krótkiej wzmianki o tym, że w Estonii sformowano 20. Dywizję SS, a na Łotwie — dwie (15. i 19.) dywizje SS.

Po jednej takiej dywizji sformowano z Białorusinów (30. Dywizja SS) i Ukraińców (14. Dywizja SS *„Galizien"*). Ogólnie sytuacja na Białorusi bardzo się różniła od prezentowanej w dawnej literaturze propagandowej, która standardowo przedstawiała ją jako *„kraj partyzancki"*. Na przykład z meldunku generała NKWD Kobułowa wynika, że od września 1944 roku do marca 1945 roku na Białorusi aresztowano około 100 tysięcy *„dezerterów i popleczników okupantów"*.

Całkiem liczne były (jak należało tego oczekiwać) formacje *„rosyjskie"*. Już w grudniu 1941 roku pod Smoleńskiem utworzona została tzw. Rosyjska Narodowa Armia Ludowa[64] (co prawda ze względu na swą liczebność *„armia"* ta nie osiągnęła nawet poziomu standardowej dywizji). Niemcy mianowali dowódcą RNNA pułkownika Bojarskiego — byłego szefa sztabu 31. Korpusu Strzeleckiego (to ten sam korpus, który w czerwcu 1941 roku miał wzmocnić obronę 5. Armii na kierunku łuckim, o czym wspominaliśmy

[64] — Russkaja Nacjonalnaja Narodnaja Armia— RNNA. Liczyła ok. 10 000 ludzi.

w Części 3.). Następnie, od kwietnia 1942 roku, formowała się tak zwana Rosyjska Narodowa Armia Wyzwoleńcza[65]. Pod dowództwem byłego podpułkownika Armii Czerwonej W. Gila–Rodionowa Niemcy utworzyli Rosyjską Narodową Brygadę SS *„Drużyna"*. Pod koniec 1943 roku związki te rozformowano, a na ich bazie utworzono dwie *„rosyjskie"* dywizje SS (29. i 30.) [119].

Oprócz tych czysto wojskowych formacji we wszystkich okupowanych rejonach ZSRR utworzone zostały tak zwane *„służby porządkowe"* i *„drużyny obronne"* (mówiąc prościej — *„policje"*) o ogólnej liczebności 70–80 tysięcy ludzi.

Koniec końców rozmiary tej bezprzykładnej — tak w historii Rosji,

jak i drugiej wojny światowej — współpracy z okupantami stały się tak wielkie, że Naczelne Dowództwo Wehrmachtu utworzyło specjalne stanowisko *„generała inspektora wojsk wschodnich"*. W lutym 1944 roku po stronie Wehrmachtu pod komendą generała Kóstringa służyło około 750 tysięcy ludzi. Taką liczbę podają historycy zagraniczni. W pełni zgodni są z nimi także współcześni historycy rosyjskiego Sztabu Generalnego: *„Liczebność stanu osobowego formacji wojskowych «pomocniczych ochotników», formacji policyjnych i wspomagających w połowie lipca 1944 roku przewyższała 800 tys. ludzi*.

W czasie wojny tylko w wojskach SS służyło ponad 150 tys. byłych obywateli ZSRR" [35, s. 3851.

Liczby te nie są oczywiście dokładne. W krwawym wirze wojny domowej nie prowadzono statystyk. Wszystkie te *„legiony wschodnie"* i *„armie wyzwoleńcze"* nieprzerwanie reorganizowano, a skład osobowy przenikał z jednego związku do drugiego, tak że możliwe, iż liczono go dwu– i trzykrotnie. Niemniej potworna liczba 800 tysięcy zdrajców może być jedynie lekko zawyżona.

W latach 1942–1944 spośród jeńców wojennych znajdujących się w obozach niemieckich zwolniono około 500 tys. ludzi w związku z ich wstąpieniem do *„formacji ochotniczych"* [35, s. 334]. A przecież jeńcy byli ważnym, ale nie jedynym czynnikiem rezerw ludzkich. Na usługach Niemców były także setki tysięcy dezerterów i miliony podlegających obowiązkowi służby wojskowej, którzy uchylili się od mobilizacji na początku wojny.

65 — Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia— RONA. Liczyła ok. 20 000 ludzi.

Jeszcze innym wskaźnikiem rozmiarów *„drugiej wojny domowej"*, faktycznie rozgorzałej w ZSRR, może być i to, ze w sierpniu 1945 roku do wysyłki na *„specosiedlenie"* (zesłanie — dop. tłum.) przeznaczono 145 tysięcy ludzi służących w *„policjach"* i jako*„ochotnicy"* [118, s. 146].

Sto czterdzieści pięć tysięcy aresztowano — a ilu uciekło z Niemcami na Zachód, ilu zabito w walkach?

Nie można też nie zauważyć, że w ostatnich latach w naszej literaturze historycznowojskowej wytworzyła się, delikatnie mówiąc, *„dziwna"* zasada rozpatrywania tego tematu.

U czytelnika próbuje się wycisnąć łzę współczucia rozważaniami o tym, jak to ciężkie warunki niewoli zmuszały ludzi do pójścia na współpracę z okupantem, to znów próbuje się przedstawić stronników nazistów jako *„ideowych bojowników o wyzwolenie Rosji"*.

O *„ideach"*, inspirujących tych *„bojowników"*, jasno i jednoznacznie mówią ich czyny. Głównym rodzajem działań bojowych, w których specjalizowały się te *„bataliony"* i *„legiony"*, były karne rajdy po rejonach partyzanckich, zwierzęce rozprawy z ludnością cywilną,

grabieże, tortury i rozstrzelania. W walkach z regularnymi oddziałami Armii Czerwonej uczestniczyły one bardzo rzadko. Na przykład *„dziarscy kozacy"* Pannewitza zachowywali się jak zwierzęta w Rosji, we Francji, w Jugosławii i dopiero 26 grudnia 1944 roku weszli do walki z wojskami radzieckimi. Jak pokazują liczne świadectwa ludzi, którzy przeżyli okupację niemiecką, *„policjanci"* sadystycznym zacięciem znacznie przewyższali zwykłych niemieckich frontowców. Ilustruje to historia 29. *„rosyjskiej"* Dywizji SS[66], która tak *„wyróżniła"* się w czasie tłumienia powstania warszawskiego latem 1944 roku, że generałowie niemieccy wymogli na Hitlerze ściągnięcie dywizji z frontu i rozstrzelanie jej dowódcy Kamińskiego wraz z całym jego sztabem.
Tak przedstawiało się społeczeństwo *„kraju zwycięskiego socjalizmu"* w obliczu realnego zewnętrznego wroga. W ż a d n y m k r a j u, k t ó r y p a d ł o f i a r ą h i t l e r o w s k i e j a g r e s j i, n i e b y ł o t a k i e g o r o z k ł a d u, t a k i c h r o z m i a r ó w d e z e r c j i, t a k m a s o w e j w s p ó ł p r a c y z o k u p a n t e m, jakie pokazał światu Związek Radziecki. I to pomimo wszystkich zapewnień o niewzruszonej jedności i bezgranicznej miłości do *„ojczystej partii"*. Po nie kończących się aresztowaniach wszystkich podejrzanych, wszystkich mogących być podejrzanymi, ich dalszych krewnych i sąsiadów niepoprawni miłośnicy bata do dziś ze łzami umiłowania w oczach wspominają, *„jaki to za Stalina był w kraju porządek"*.
Oczywiście — wśród miliona kolaborantów spotykało się całkiem różnych ludzi. Byli tacy, którzy w pierwszych dniach wojny uwierzyli w to, że wraz z Hitlerem może przyjść jakieś *„wyzwolenie"*. Byli i tacy, którzy zapisywali się do *„ost–legionów"* w nadziei otrzymania broni i ucieczki do partyzantów. W końcu były także przypadki masowych powstań. Na przykład 23 lutego 1943 roku w rejonie Witebska w pełnym składzie, z bronią w ręku, przeszedł na stronę partyzantów 825. batalion *„tatarski"*. Wiele lat później, w 1956 roku, jednemu z organizatorów powstania — tatarskiemu poecie Musie Dżalili — nadano pośmiertnie tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. 13 września 1943 roku pod Obojaniem (Ukraina) zbuntował się jeden z legionów *„turkiestańskich"*.
Jednym słowem — na wojnie domowej, jak na wojnie domowej ...
Po napisaniu słów *„wojna domowa"* zobowiązani jesteśmy wspomnieć także o drugiej stronie, o innych uczestnikach zbrojnego oporu. Niestety — trudno rzetelnie wypełnić tę powinność. Temat ruchu partyzanckiego po dziś dzień pozostaje ogromną *„białą plamą"* w historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Oryginalne dokumenty do dziś znajdują się w archiwach NKWD–KGB–FSB, a te jak dotąd nie zostały włączone w skład państwowych zasobów archiwalnych. Do czasu ich otwarcia jakiekolwiek badania *„kwestii partyzanckiej"* mogą być uważane jedynie za pierwsze brudnopisy szkicu. Ale i tych *„szkiców"* jest

strasznie mało. Za jedno z najważniejszych źródeł ^formacji można uważać wydaną w 2001 roku, unikatową ze względu na nasycenie materiałem dokumentalnym książkę **Partizany i armija** (**„Partyzanci i armia”**) [151]. Szczególnie cenna, z naszego punktu widzenia, jest i ta okoliczność, że jej autor to nie tylko doktor nauk historycznych, rzeczywisty członek Akademii itp., ale i były pułkownik KGB, a Przedsłowie do książki napisał sam I. G. Starinow — nestor radzieckich dywersantów, weteran co najmniej czterech wojen.
Zamiast mędrkować, zacytujemy kilka fragmentów tej książki:
„To właśnie organy i wojska NKWD odgrywały decydującą rolę w rozwijaniu ruchu partyzanckiego, tworzeniu oddziałów i grup dywersyjnych w pierwszym etapie, tj. do maja 1942 roku.
Większość oddziałów partyzanckich (utworzonych na Białorusi do września 1941 roku — M.S.)*sformowano w całości z pracowników NKWD i milicji, bez włączania miejscowej ludności, ustanowiono łączność z aktywem partyjnym… a i potem, gdy obkomy partii tworzyły oddziały partyzanckie spośród miejscowego aktywu partyjnego, ich jądro kierownicze jak wcześniej stanowili pracownicy NKWD* (…)
Na przełomie lat 1941–1942 kontynuowano tworzenie i konspirowanie związków partyzanckich (…)
Podstawą do formowania oddziałów partyzanckich — tak jak wcześniej — byli żołnierze batalionów niszczycieli, pracownicy operacyjni NKWD i milicji, agentura organów bezpieczeństwa państwowego (…)
Bardzo precyzyjnie określona została podległość: organy NKWD zarządzały organizacją i kierowały działalnością oddziałów partyzanckich, informując jedynie o stanie spraw pierwszego sekretarza obkomu (…)
Ogólny obraz był następujący. Do lutego 1942 roku organy NKWD, wraz z organami partyjnymi, przygotowały i przerzuciły na tyły wroga 1798 o d d z i a ł ó w p a r t y z a n c k i c h i 1 5 3 3 g r u p y d y w e r s y j n e, o ogólnej liczebności 77 939 ludzi (podkr. M.S.). Jeśli wyjść od tego, że w 1941 roku ogólna liczba partyzantów na terytorium okupowanym wynosiła około 90 tys. ludzi, a ilość oddziałów partyzanckich — 2 tysiące, to dojdziemy do tego, że 90% z nich zostało przygotowanych przez organy NKWD.
Także one nimi kierowały” [151, s. 71, 76, 82, 83].
Tak więc, w początkowym okresie wojny (do zimy 1942 roku) oddziały *„mścicieli ludu”* składały się nie z podrostków i staruszków z berdanką, jak przyjęło się pokazywać w całej radzieckiej mitologii, ale głównie z pracowników operacyjnych NKWD–NKGB. Liczba partyzantów spośród miejscowych mieszkańców–ochotników nie przekraczała 10–15 tys. ludzi, tj. było ich d z i e s i ą t k i razy mniej aniżeli *„policjantów”* i *„Hilfswillige”*!
Tak wyglądał początek wojny partyzanckiej. Potem sytuacja znacznie się

zmieniła:
„Kierownictwo NKWD w Obwodzie Leningradzkim skierowało na tyły przeciwnika 287 oddziałów o ogólnej liczebności 11 733 ludzi. Do 7 lutego 1942 roku pozostało 60 oddziałów liczących 1965 ludzi, tj. około 17% (…)
Na Ukrainie organy bezpieczeństwa państwowego pozostawiły na tyłach wroga i przerzuciły tam 778 oddziałów partyzanckich i 622 grupy dywersyjne o ogólnej liczebności 28 753 ludzi. Jednakże według stanu na 25 sierpnia 1942 rokuutrzymywano łączność tylko z 216 oddziałami (…)*działały na większa skalę tylko 22 oddziały, liczące 3310 ludzi. A zatem w ciągu 12 miesięcy wojny ocalało mniej niż 3% oddziałów partyzanckich i grup spośród przerzuconych na tyły w 1941 roku* (…) *Nie lepiej wyglądały sprawy także na Białorusi* (…)*Do stycznia 1942 roku spośród 437 grup i oddziałów, które przerzucono na tyły przeciwnika, przestało istnieć 412, czyli 95%* (…) *Z działających w styczniu 1942 roku 50 oddziałów — 19 zorganizowali żołnierze Armii Czerwonej, którzy pozostali na tyłach przeciwnika, a kolejne 6 oddziałów zorganizowali dowódcy Armii Czerwonej spośród ludności miejscowej"* [151, s. 82, 158].
„W czasie pierwszej wojennej zimy niemal wszystkie większe formacje liczące po kilka setek ludzi zostały zniszczone albo rozpadły się na oddzielne grupy (…)*W połowie 1942 roku liczebność partyzantów wynosiła 65 tysięcy ludzi"* [151, s. 174].
Tragiczna rzeczywistość, jaka zarysowuje się z przedstawionych liczb, daje jasną i konkretną odpowiedź na pytanie o stosunek ludności okupowanych przez Niemców terytoriów
ZSRR do*„mścicieli ludu"* wywodzących się spośród *„agentury organów bezpieczeństwa państwowego"*. Według zamysłu kierownictwa radzieckiego, nieliczne grupy (średnia liczebność, jak pokazano wyżej, wynosiła 20–25 ludzi) spełniać miały rolę *„centrów kondensacji"*, wokół których miały się grupować, mówiąc obrazowo — *„chmury"*. Faktycznie liczebność partyzantów nie tylko nie wzrosła, ale do lata 1942 roku nawet się o półtora raza zmniejszyła, pomimo że po katastrofie charkowskiej i przełamaniu Niemców na Stalingrad obszar okupowanego terytorium znacznie się zwiększył. Należy też odnotować, że autorzy cytowanej książki (w żadnej mierze nie będący dysydentami–antykomunistami) dostrzegają zamierzone prowokowanie przez*„czekistów"* akcji karnych ze strony wojsk niemieckich w odniesieniu do spokojnej ludności [151, s. 233].
Szczególne wrażenie robi *„dynamika"* liczebności formacji partyzanckich na Ukrainie, gdzie zostały one niemal w pełni rozgromione (zob. wyżej). W styczniu 1943 roku sztab Ukraińskiego Ruchu Partyzanckiego posiadał łączność z oddziałami partyzanckimi o ogólnej liczebności 8582 ludzi. Dla porównania odnotujmy, że w 1918 roku, w ciągu kilku miesięcy okupowania Ukrainy przez wojska

niemieckie, powstały oddziały partyzanckie o ogólnej liczebności 200–300 tysięcy ludzi [151, s. 36].
W jednej tylko armii Nestora Machno walczyło 40 tys. partyzantów. Nawet na Białorusi, gdzie warunki naturalne do działań partyzanckich były wyjątkowo dogodne, liczebność partyzantów wiosną 1943 roku była porównywalna z liczebnością policjantów — 68 498 ludzi. Prawdziwego masowego rozmachu ludowa wojna z okupantami nabrała dopiero w latach 1943–1944.
W styczniu 1944 roku liczebność partyzantów na Ukrainie wzrosła do 48 tys., na Białorusi — do 122 tys. bojowników. Ogólna liczebność sił partyzanckich na tyłach wroga w styczniu 1944 roku osiągnęła 200 tys. ludzi [151, s. 174,187]. Ale nawet w tym okresie najwyższego wzrostu liczba uczestników walki zbrojnej z okupantami była znacznie mniejsza od liczby kolaborantów.
Wymowne jest także zestawienie liczebności partyzantów wysadzających niemieckie transporty z liczbą kolejarzy te same transporty obsługujących. Tak więc *„personel kolei na terytoriach okupowanych w dniu 1 stycznia 1943 roku wynosił 615 455 ludzi, z których 510 556 było obywatelami radzieckimi"* [151, s. 100].

66 — Rosyjską 29. Dywizję SS tworzono na bazie Brygady RONA Kamińskiego już po jej niesławnym udziale w tłumieniu powstania warszawskiego. Jej oficjalna nazwa brzmiała *„29. Waffen Grenadier Division der SS (russische Nr 1)"* i nadano ją dopiero 1 października 1944 r. Z drugiej strony, już 1 sierpnia Reichsführer SS wyznaczył na stanowisko dowódcy tej dywizji SS Brigadeführera C. Diehmastąd też rozbieżności, czy przeciwko powstaniu walczyła już 29. Dywizja SS, czy też jeszcze Brygada RONA Kamińskiego, która stanowiła kościec tej dywizji — por. J. Gdański, Brygada Kamińskiego, **„Oblicza Historii"**, nr 2/2005, s. 61.

PRZECIWKO WSZYSTKIM

Jedna z najbardziej dramatycznych i, prawdopodobnie, najmniej znanych stronic historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej związana jest z losem tych ludzi i organizacji, które przyjęły za cel walkę tak przeciwko Hitlerowi, jak i Stalinowi. Aż do ostatnich lat, jeśli nawet w ogóle o tym wspominano, to było to imię zdrajcy ojczyzny, nędznego karierowicza, nieporadnego dowódcy A. A. Własowa. Trudno nawet pojąć, dlaczego właśnie jemu przyznano aż tyle haniebnej sławy. Formowanie osławionej *„armii Własowa"* (ROA[67]) rozpoczęło się dopiero w listopadzie 1944 roku, w działaniach bojowych wzięła udział tylko jedna dywizja ROA, a i to dopiero w kwietniu 1945 roku. Do tego czasu Niemcy po prostu obwozili Własowa po obozach, gdzie mógł przemawiać do jeńców.

Mówiąc o antyradzieckim i antyniemieckim oporze, przede wszystkim powinniśmy wskazać na polską partyzancką Armię Krajową (AK). Armia ta, podporządkowana prawowitemu polskiemu rządowi na

emigracji, w ciągu sześciu lat walczyła z niemieckim okupantem. Po 22 czerwca 1941 roku Armia Krajowa rozszerzyła strefę swoich działań bojowych także na terytorium wschodniej Polski, okupowanej najpierw przez Armię Czerwoną (od września 1939 roku), a następnie przez Wehrmacht.

W szeregach polskich oddziałów na Wołyniu, w Galicji, na zachodniej Białorusi walczyli przeciwko hitlerowcom również obywatele radzieccy różnych narodowości. Moskwa jednak tylko do czasu nie mieszała się do współpracy akowców i partyzantów podporządkowanych dowództwu Armii Czerwonej. Wszystko zmieniło się wiosną 1944 roku, gdy znajdująca się w ofensywie Armia Czerwona wkroczyła na tereny zachodnich obwodów Białorusi i Ukrainy, które — przy otwartej pobłażliwości zachodnich *„demokracji"* — Stalin uznawał za swe prawne zdobycze. Dowódców polskich oddziałów aresztowano i rozstrzeliwano, wielu akowców pognano do gułagu. Według posiadanych informacji, zapewne niepełnych, tylko od kwietnia do lipca 1944 roku aresztowano około 30 tysięcy ludzi [129].

67 — ROA— ros. *Russkaja Oswoboditielnaja Armia* — Rosyjska Armia Wyzwoleńcza.

Kropkę nad *„i"* postawiono 28 marca 1945 roku. Tego dnia generał NKWD I. Sierow (faktycznie — pełniący obowiązki stalinowskiego namiestnika w Polsce) zaprosił kierownictwo AK na rozmowy do Pruszkowa pod Warszawą. Aresztowano 17[68]ludzi, w tym dowódcę Armii Krajowej Leopolda Okulickiego. Patriotów, którzy przez sześć lat walczyli przeciwko okupantowi hitlerowskiemu, osądzono w Moskwie i skazano na wieloletnie więzienie. Na wolność, po śmierci Stalina, wyszli nieliczni. Sam Okulicki zmarł w grudniu 1946 roku w radzieckim więzieniu [129].

Jeśli AK od pierwszego do ostatniego dnia okupacji walczyła przeciwko Niemcom, to o wiele bardziej pogmatwana i tragiczna była historia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Początkowo kierownictwo OUN opierało swoje plany na tym, że armia niemiecka, po pokonaniu ZSRR, stworzy warunki do utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego. To prawda, choć oceniać można ją różnie. Jednak już od pierwszych dni wojny stało się jasne, że *„ounowcy"* potrzebni byli Niemcom tak, jak polskiej szlachcie potrzebny był Griszka Otriepcew — jako*„pretekst do waśni i wojny"*.

Gdy 29 czerwca 1941 roku kierownictwo OUN proklamowało we Lwowie powstanie *„niepodległej Ukrainy"*, rozwścieczony Hitler nakazał aresztować S. Banderę. Większa część kierownictwa spontanicznie ogłoszonej republiki została przez Niemców rozstrzelana. W OUN nasilił się, zarysowany jeszcze w 1940 roku, rozłam na *„banderowców"* i

„mielnikowców". Stronnicy Bandery rozpoczęli wojnę partyzancką przeciwko okupantom, gdy w tym samym czasie Niemcy powierzyli oddziałom Mielnika wkroczenie do Kijowa w pierwszym rzucie nacierających oddziałów Wehrmachtu. Do zimy 1942 roku banderowcy stali się nie tylko główną, ale (jak można sądzić na podstawie meldunków niemieckich władz okupacyjnych) praktycznie jedyną siłą zbrojoną, prowadzącą walkę partyzancką na tyłach Wehrmachtu.

Zaciągnięty krwawy węzeł narodowych i społecznych przeciwieństw pchnął Ukrainę do bezmyślnej, bratobójczej wojny wszystkich przeciwko wszystkim. Banderowcy walczyli przeciwko Niemcom, przeciwko akowcom,

68 — W tym akapicie znajduje się kilka nieścisłości. Po pierwsze — aresztowanie przywódców Polskiego Państwa Podziemnego (J. Jankowskiego, L. Okulickiego, K. Pużaka) nastąpiło 27 marca, a resztę polskiej delegacji aresztowano następnego dnia. Po drugie — w Moskwie — podczas tzw. procesu szesnastu, *„osądzono"* tylko najważniejszych spośród tysięcy aresztowanych polskich patriotów.

przeciwko *„ukraińskiej"* niemieckiej policji, czasami przeciw, a czasem wraz z partyzantami radzieckimi. W końcu wkroczenie Armii Czerwonej w 1944 roku na terytorium Ukrainy Prawobrzeżnej uprościło sytuację. Odtąd utworzona przez stronników Bandery Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) walczyła na jednym, niemal beznadziejnym froncie — przeciwko wielomilionowej armii stalinowskiego imperium. Nigdzie jeszcze siepacze z NKWD nie napotkali tak zorganizowanego oporu jak na Ukrainie i nigdzie nie przejawiali oni takiej zaciętości, podłości i przewrotności. Ale to już historia innej wojny...

Jeśli o banderowcach i akowcach jeszcze gdzieś cokolwiek pisano, to całkowicie niezbadany pozostaje temat zbrojnego antystalinowskiego oporu w samej Rosji. A przecież pole do badań istnieje. Oto, na przykład, autor wspomnianej książki **„Partyzanci i armia"** pułkownik KGB W. I. Bojarski pisze: *„Jesienią 1942 roku w lasach i na bagnach obwodu władimirowskiego działały uzbrojone grupy tak zwanych «torfianików», zlikwidowane przez milicję i NKWD dopiero pod koniec wojny*.

Wzdłuż frontu radziecko–niemieckiego powstało kilka «wolnych» stref partyzanckich, spośród których największą była, istniejąca około dwóch lat, strefa wokół briańskiego miasta Łokoć[69]*. W strefie tej nie było żadnych wojsk — ani niemieckich, ani radzieckich. Na terytorium zamieszkanym przez prawie milion ludzi utworzono organy władzy bez komunistów, a nawet siły zbrojne — 20–tysięczną Rosyjską Narodową Armię Wyzwoleńczą*[70]*. Podobne strefy powstały także pod Pskowem, Połockiem, na północnym Kaukazie"* [151, s. 236].

A już całkiem niezrozumiały epizod (spośród znanych autorowi)

związany był z imieniem czołowego awanturnika XX wieku Iwana Biessonowa. Był on synem robotnika z Permu. Wykształcenie — cztery klasy szkoły podstawowej. Pracował na czarno, po czym został czekistą, pomocnikiem szefa sztabu pułku kawalerii GPU.

69 — Miasteczko Łokoć znajduje się w obwodzie orłowskim, pomiędzy Briańskiem i Kurskiem.
70 — Autor błędnie mówi tu o RNNA, która powstała w obwodzie smoleńskim. O powstaniu wolnej strefy w Lasach Briańskich pod Łokociem zob. szerzej J. Gdański, **Brygada Kamińskiego**, *op. cit.*, s. 53–58.

Na początku lat trzydziestych uczestniczył w tworzeniu Republiki Sinczian–Ujgurskiej w północno–zachodnich Chinach. Po klęsce awantury sinczіańskiej — służba w ochronie Żdanowa. Ocalały w czasie masowego pogromu leningradzkich *„czekistów"*, w 1934 roku od razu został szefem Oddziału Szkolenia Bojowego Wojsk Ochrony Pogranicza NKWD. Przeżył rozpoczęty pod koniec 1938 roku odstrzał zwolenników Jeżowa, a w kwietniu 1941 roku jako kombryg opuścił *„organy"* i rozpoczął wojnę na skromnym stanowisku dowódcy 102. Dywizji Strzeleckiej[71] (21. Armia) Armii Czerwonej.

Dalsze jego losy ściśle związane są z *„zaprzepaszczoną wojną"*, o której mówiliśmy w Części 1. Po wyjściu wojsk fińskich na Pietrozawodsk w strefie zasięgu niemieckich samolotów transportowych znalazły się ogromne *„wyspy"* gułagu w Republice Komi. Były czekista jako pierwszy docenił otwierające się perspektywy i oddawszy się do niewoli w sierpniu 1941 roku, przedstawił Niemcom fantastyczny plan. Sformowana z jeńców radzieckich brygada powietrzno–desantowa miała zostać wysadzona z samolotów Luftwaffe w obozach, zniszczyć ochronę i uzbroić *„zeków"*. Następnie, zgodnie z planem Biessonowa, proces powinien się toczyć jak lawina i zakończyć zdobyciem Moskwy siłami ogromnej armii powstańczej. Biessonow podjął się tworzenia organizacji pod wstrząsającą nazwą: *„Rosyjska Ludowa Partia Realistów"*.

Dowództwu Wehrmachtu propozycja Biessonowa się spodobała, a wśród milionów jeńców nie brakowało ochotników z dobrym przygotowaniem spadochronowym. Trudno powiedzieć, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie wmieszał się Hitler. Perspektywa pojawienia się absolutnie niekontrolowanej *„zauralskiej"* armii powstańczej wystraszyła Führera. W czerwcu 1943 roku Biessonowa aresztowano i wysłano do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, a brygadę natychmiast rozformowano.

W maju 1945 roku *„realista"* Biessonow dobrowolnie powrócił do ZSRR, mimo że Amerykanie wielokrotnie próbowali odwieść go od tego. Spotkanie z ojczyzną zakończyło się dla niego rozstrzelaniem 19

kwietnia 1950 roku. Odpowiedź na pytanie, kim był — zdrajcą, bohaterem czy ofiarą wojny— kombryg Biessonow zabrał ze sobą do grobu [20, 121].

71 — Informacja niepotwierdzona— wg danych rosyjskich dowódcą tej dywizji był pułkownik P. M. Gudź.

BEZ GŁOWY

„Trzeba być nadzwyczaj prymitywnym lub ślepym i zaściankowym patriotą, aby nie przyznać, że wszystkie nasze środki wojenne i nasza osławiona, jakoby niezliczona armia — są niczym w porównaniu z armią niemiecką". Takie oto przepojone rusofobią słowa wypowiedział znany rosyjski anarchista M. Bakunin. Jakież to wielkie walory dostrzegał on w armii niemieckiej?

A oto takie:
„Armia niemiecka w czasie pokoju posiada ogromną przewagę — oficerowie niemieccy przeważają nad wszystkimi oficerami na świecie praktyczną wiedzą o wojnie, gorącym i pełnym pedanterii oddaniem wojennemu rzemiosłu, dokładnością, solidnością, wytrzymałością, cierpliwością, ale także godną szacunku uczciwością. W związku ze wszystkimi tymi cechami organizacja i uzbrojenie armii niemieckich istnieją rzeczywiście, a nie tylko na papierze, jak to się działo we Francji za Napoleona III i jak niemal bez przerwy dzieje się u nas".
Zrozumiałe, że anarchista nie jest dla bolszewika wyrocznią. Ale Engelsa to już trzeba było poczytać:
„Żołnierz rosyjski jest jednym z najbardziej odważnych w Europie (...) *zawsze uważano, że lepiej Rosjan wystrzelać, niż pozwolić im na wycofanie* (...)*Niemniej armia rosyjska nie ma szczególnych powodów do chwały. W całej swej historii Rosjanie nie wygrali ani jednej bitwy przeciwko Niemcom, Francuzom, Polakom czy Anglikom, nie mając nad nimi znacznej przewagi liczebnej. Przy równych siłach zawsze byli bici"* [122, s. 480].
W czasie wojny krymskiej (na podstawie jej doświadczeń Engels napisał cytowany artykuł ***„Armie Europy"***) w gazetach angielskich pojawiły się karykatury armii rosyjskiej.Rosyjskiego żołnierza przedstawiano w nich z głową lwa, a rosyjskiego generała — bez głowy.
Żarty żartami, ale po triumfie lat 1812–1813 ojcowie–dowódcy z przygnębiającą niezmiennością demonstrowali niezdolność do przywrócenia męstwa, cierpliwości, odporności i samozaparcia rosyjskiego żołnierza w imię zwycięstwa Rosji w którejkolwiek z licznych wojen. Tak więc w tym względzie bolszewicy odziedziczyli w spadku sytuację nie do

pozazdroszczenia. Co więcej — sami się napracowali, aby to *„dziedzictwo"* roztrwonić i przepuścić. Tych *„społecznie obcych"* oficerów armii rosyjskiej, którzy nie zdążyli emigrować w latach 1919–1920, zniszczono niemal zupełnie. Nielicznych ocalałych nieustannie osadzano w więzieniu. Na przykład wielkiego uczonego artylerzystę generała P. A. Gelwicha aresztowano cztery razy: CzK w 1919 roku, OGPU — w 1931 roku, NKWD — w 1938 roku i SMIERSZ — w 1944 roku.

Bądźmy sprawiedliwi: Stalin rozpoczął przygotowanie nowego pokolenia kadr dowódczych na długo przed wybuchem Wielkiej Wojny. Gospodarz starał się jak mógł: pielęgnował i pieścił wierchuszkę armii, obsypał ją honorami i przywilejami, pieniędzmi i wielkoksiążęcymi dobrami. *„Inżynierowie ludzkich dusz"* w wierszach i prozie, w pieśniach i filmach budzili w społeczeństwie nastroje uwielbienia wobec *„czerwonych dowódców"*. Wszystko to jest ogólnie znane. O wiele trudniej jest ocenić rezultaty.

Stopień profesjonalnego przygotowania składu dowódczego Armii Czerwonej to temat do osobnego, poważnego zbadania. Ten problem tak dalece wychodzi poza ramykompetencji autora, że nie będziemy rozpatrywać go szczegółowo. Ograniczymy się jedynie do krótkiej wzmianki o tym, co komandarm I. P. Biełow, przebywający na delegacji służbowej w Niemczech, pisał (7 października 1930 roku) do komisarza ludowego Woroszyłowa:

„Kiedy patrzysz, jak okrutnie pracują nad sobą niemieccy oficerowie od podporucznika do generała, jak pracują nad przygotowaniem oddziałów, jakie osiągają rezultaty, to aż we wnętrzu pali od uświadamiania sobie naszej słabości. Aż chce się krzyczeć wniebogłosy o konieczności jak najbardziej wytężonego szkolenia — o rzeczywistym przeobrażeniu wszystkich słabych dowódców" [71, s. 272].

Biełowa rozstrzelano, aby nie krzyczał wniebogłosy o słabości naszych dowódców. I nie tylko jego. Szczegółowe rozpatrzenie przyczyn, intencji i przebiegu Wielkiego Terroru nie mieści się w ramach naszej opowieści. Odnotujmy tylko dwie kwestie, mające bezpośrednie odniesienie do tematu tego rozdziału.

Pierwszy z powszechnie znanych mitów mówi o tym, że *„represje pozbawiły armię dowódców"* i na stanowisku dowódcy dywizji trzeba było postawić sierżanta z kompanii. Spierać się z tym po prostu nie można. Trzeba

znać fakty. W ciągu dwóch lat (1938–1939) Armii Czerwonej przybyło 158 tysięcy dowódców, pracowników politycznych i innych specjalistów wojskowych. W ciągu trzech poprzedzających wojnę lat

szkoły wojskowe ukończyło 48 tysięcy ludzi, a kursy doskonalące — 80 tysięcy. W pierwszej połowie 1941 roku ze szkół i akademii do wojsk trafiło jeszcze 70 tysięcy oficerów. W sumie 1 stycznia 1941 roku liczebność dowódczego i kierowniczego składu osobowego armii i floty wynosiła 579 581 ludzi. Oprócz tego w ciągu czterech lat (1937–1940) wyszkolono 448 tysięcy oficerów rezerwy [150].

Takie były rozmiary przygotowania kadr wojskowych. W pewnym stopniu braki w składzie dowódczym (13% na 1 stycznia 1941 roku) nie były spowodowane represjami, ale trzykrotnym (w ciągu trzech lat) wzrostem liczebności i ogromnym wzrostem ilości wyposażenia technicznego sił zbrojnych.

Represjonowano (według danych różnych autorów) nie więcej niż 10 tysięcy dowódców i pracowników politycznych. Co zaś się tyczy oficerów zamordowanych w latach represji, to ich najpełniejszy wykaz imienny, zestawiony przez O. Suwenirowa, zawiera 1634 nazwiska [149]. Nietrudno policzyć, że jeśliby wszyscy oni pozostali wśród żywych, to liczba dowódców Armii Czerwonej wzrosłaby jedynie o 0,3%.

Niczym, prócz gołosłownych wymysłów, nie jest poparta teza, że *„rozstrzelano najlepszych, a na ich miejsce wyznaczono nieudaczników i łajdaków"*. Jeśli sądzić według tak formalnego kryterium, jak stopień wykształcenia, to od 1937 do 1941 roku liczba oficerów z wyższym i średnim wykształceniem wojskowym znacznie wzrosła! Ze 164 do 385 tys. ludzi. Na początku wojny udział składu dowódczego bez wykształcenia wojskowego na stanowiskach od dowódcy batalionu i wyższych wynosił w sumie tylko 0,1% [1, s. 366]. Oczywiście nauczyć się być wodzem nie można. Wodzem się trzeba urodzić. Czy rozstrzelani dowódcy byli bardziej utalentowani od tych, którzy ich zmienili? Czym i jak udowodnić (lub obalić) tę tezę?

Względnie młodzi dowódcy okręgów Leningradzkiego i Kijowskiego (czyli frontów Północnego i Południowo–Zachodniego) Popow i Kirponos powierzonego im zadania nie wykonali. To fakt.

Ale czyż to oznacza, że ich poprzednicy Dybienko i Jakir rozgromiliby Niemców? Ani jeden, ani drugi niczego (prócz karnej gorliwości w latach wojny domowej) nie prezentował. Do nowej wojny obaj sposobili się głównie w stanie nietrzeźwości, z którego wyciągnęło ich aresztowanie i rozstrzelanie. Nie można zapomnieć i o tym, że niemała liczba tak zwanych doświadczonych dowódców wojskowych, bohaterów wojny domowej, szczęśliwie przeżyła rok 1937, a rok 1941 zastał ich na najwyższych stanowiskach. To marszałkowie Budionny, Woroszyłow, Kulik, Timoszenko, generałowie armii Tiuleniew i Apanasienko, generał pułkownik Gorodowikow. Wszyscy oni — to to samo pokolenie, ta sama polityczna i życiowa *„szkoła"*, którą prezentowali represjonowani Blücher, Jegorow, Tuchaczewski, Fied'ko… W czym jedni byli lepsi od drugich? Dlaczego— wiedząc o tym, z jakiej

strony pokazali się ci, którzy ocaleli — dalej tworzymy iluzję na temat represjonowanych? Dlaczego przyjęło się uważać, że rozstrzelanie Tuchaczewskiego zdemoralizowało armię w większym stopniu aniżeli rozstrzelanie chłopów tambowskich z rozkazu tego samego Tuchaczewskiego?
Największy znak zapytania postawić należy przy tym, czy sam Stalin wierzył, że rozstrzelani dowódcy zawiązali spisek przeciwko jego władzy, czy też po prostu uznał on całą tę rzeź za warunek niezbędny do utrzymania pożądanego *„porządku"* w armii. To jeszcze wielka tajemnica.
Nie ośmielając się odgadnąć tej *„zagadki XX wieku"*, skupimy się jedynie na rezultatach tego niebywałego w historii eksperymentu na podstawie wykształcenia zastraszonych generałów.
Po latach rozmyślań i rozstrzeliwania Stalin osobiście wybrał i skierował do dowodzenia okręgami przygranicznymi, przekształconymi w czerwcu 1941 roku w czynne fronty, pięciu ludzi: M. M. Popowa, F. I. Kuzniecowa, D. G. Pawłowa, M. P. Kirponosa, I. W. Tiuleniewa.
Jedynego z całej piątki, który miał pewne doświadczenie bojowe, bohatera wojny w Hiszpanii — generała armii Pawłowa, Stalin nakazał rozstrzelać już w lipcu 1941 roku. Wszyscy pozostali zaprezentowali się jako zupełni laicy. Nie minęło nawet pół roku, jak pozostałych przy życiu Kuzniecowa i Tiuleniewa Stalin musiał odsunąć od dalszego grzeszenia na głębokie tyły, tam gdzie musiał również wysłać sławnych czerwonych marszałków Kulika, Budionnego i Woroszyłowa. W końcowym, zwycięskim etapie wojny już mało kto w armii czynnej pamiętał jeszcze o tych bohaterskich dowódcach.
Ale do tego czasu zdążyli pokazać, co potrafią.
Front Północny M. M. Popowa na linii żelazobetonowych bunkrów Wyborskiego i Sortawałskiego Rejonu Umocnionego nie wytrzymał natarcia armii fińskiej, złożonej faktycznie z niewyszkolonych ochotników. Nie minęły nawet trzy miesiące od dnia wybuchu wojny, jak towarzysz Stalin (4 września 1941 roku) oświadczył, że Popow *„nie wzbudza naszego zaufania ani pod względem wojskowym, ani politycznym"* [5, s. 1601. Jeszcze wcześniej (29 sierpnia 1941 roku) posłał znajdującemu się w Leningradzie Mołotowowi szyfrówkę o następującej treści:
„Co robią Popow i Woroszyłow? (...) *Zajęli się szukaniem nowych rubieży wycofania, w tym widzą swoje zadanie. Skąd u nich taki bezmiar pasywności i drętwego ulegania losowi? Co za ludzie — niczego nie rozumiem* (...)*Co za człowiek z tego Popowa? Czym właściwie zajmuje się Woroszyłow?* (...) *Piszę o tym, ponieważ jestem zatrwożony niezrozumiałą dla mnie bezczynnością"* [123].
„Co za ludzie — niczego nie rozumiem". Zapomniał, oj, zapomniał towarzysz Stalin, jak zamieniał w *„obozowy pył"* wszystkich

niepokornych...
W proch i pył rozgromiony został Front Północno–Zachodni, którym dowodzenie Stalin powierzył generałowi pułkownikowi F. I. Kuzniecowowi (proszę nie mylić z admirałem N. G. Kuzniecowem i sławnym wodzem, dowódcą 1. Armii Uderzeniowej w bitwie o Moskwę generałem W. I. Kuzniecowem). ;
W Części 1. przedstawiliśmy przykłady niewiarygodnego (nawet na miarę tych dni) chaosu, jaki królował w sztabie Frontu Północno–Zachodniego. Gdy Niemcy w ciągu tygodnia zajęli całą Litwę i sforsowali Dźwinę (według scenariusza gry operacyjno–strategicznej, przeprowadzonej przez Sztab Generalny Armii Czerwonej w lutym 1941 roku na wyjście ku Dźwinie *„zachodnim"* powinien zejść cały miesiąc), F. I. Kuzniecowowi powierzono dowodzenie najpierw 21. Armii, a następnie — Frontu Centralnego (to ten sam front, o którego zadziwiających stratach mówiliśmy wcześniej). Generał S. S. Biriuzow w swoich wspomnieniach tak opisał spotkanie z dowódcą frontu: *„Siedział przede mną znużony człowiek w rozpiętym generalskim mundurze, z chorobliwie wyblakłym licem, z workami pod rozpalonymi oczami* (...) *Spoglądając spode łba niezwykle ciężkim wzrokiem, dodał: — W razie niewykonania zadania dowódców oddamy pod sąd"* [1061. Dobry pomysł i w czasie wojny bardzo aktualny. Szkoda, że samego F. I.

Kuzniecowa jakoś to nie dosięgło. Wygląda to szczególnie dziwnie, jeśli przypomnimy, że i szef sztabu Frontu Północno–Zachodniego generał lejtnant P. S. Klenow, jak i nowy dowódca tego frontu Sobiennikow, któremu 4 lipca 1941 roku postawiono zadanie rozwikłania *„dziedzictwa"* Kuzniecowa, zostali wkrótce aresztowani[72].

Kiedy Front Centralny runął, Stalin powierzył Kuzniec owowi dowodzenie samodzielną 51. Armią, która miała za zadanie obronę Krymu. 14 sierpnia Kuzniecow objął dowodzenie armią, a natarcie Niemców na Pieriekopie rozpoczęło się dopiero 26 września 1941 roku. Czasu na przygotowanie obrony było sporo. W oczekiwaniu na mityczne *„desanty"* przeciwnika (absolutnie niemożliwe z powodu braku u Niemców jakichkolwiek znaczących sił morskich na Morzu Czarnym) Fiodor Isidorowicz rozproszył siły armii po całym półwyspie, a nawet polecił *„terytorium Krymu przekopać, zawalić różnymi przedmiotami, aby uniemożliwić lądowanie samolotów wroga"* [5, s. 373]. Swoje stanowisko dowodzenia Kuzniecow rozmieścił w Symferopolu (140 kilometrów od strefy działań bojowych), a na Pieriekopie i w jego okolicach nie pojawił się ani razu (pisze o tym w swoich wspomnieniach kierujący walkami generał Batów).

Cała ta farsa z desantomanią zakończyła się fatalnie. W ciągu trzech dni (od 26 do 28 września 1941 roku) Niemcy przerwali obronę broniących Pieriekopu dwóch dywizji strzeleckich i wyszli w przestrzeń

operacyjną. 30 września Kwatera Główna podjęła ostatnią rozpaczliwą próbę ratowania położenia — Dyrektywa nr 002454 zalecała poddanie Odessy, a wszystkie zdolne do walki oddziały Odeskiego Rejonu Obronnego miały być przerzucone drogą morską na Krym. Ale czasu było już beznadziejnie mało. Strategicznie ważny *„niezatapialny lotniskowiec"* został utracony, sewastopolska baza Floty Czarnomorskiej okrążona, a Fiodor Isidorowicz otrzymał nowe stanowisko: szefa sztabu 28. Armii Odwodowej na dalekim Zawołżu.

72 — Generał lejtnant Piotr Siemionowicz Klenow (1894–23.02.1942), aresztowany został 10.07.1941 r. Skazany 13.02.1942 r. na karę śmierci, wyrok (podobnie jak w wielu innych wypadkach) wykonano w dniu święta Armii Czerwonej. Pośmiertnie zrehabilitowany. Generał major Piotr Piotrowicz Sobiennikow skazanyzostał w 1941 r. (lecz nie za klęskę Fr. Płn.–Zach., ale za dowodzenie
43. Armią) na 5 lat więzienia z odstąpieniem od wykonania wyroku. Dano mu więc szansę — awansował nawet do stopnia generała lejtnanta 22.02.1944 r. (dzień przed świętem Armii Czerwonej).

O czywiste jest, że dla generała pułkownika to niskie stanowisko. Po pewnym czasie Kuzniecow awansuje ponownie (warto by się dowiedzieć — kto go awansuje?)— na stanowisko zastępcy dowódcy Frontu Zachodniego, ale Żukowowi taki zastępca był niepotrzebny. W kwietniu 1942 roku Fiodor Isidorowicz opuszcza w końcu armię czynną i zostaje Naczelnym Nauczycielem przyszłych wodzów (komendantem Akademii Wojskowej Sztabu Generalnego).

24 czerwca 1941 roku do sztabu GKZ Bołdina przybył pełnomocny przedstawiciel Kwatery Głównej na Froncie Zachodnim, zastępca ludowego komisarza obrony marszałek Związku Radzieckiego towarzysz Kulik.

Ten ulubieniec Stalina, zauważony przez wodza jeszcze w czasie obrony Carycyna w 1918 roku, nie pozostawił wspomnień. Jedynie pożółkłe kartki w tajnych archiwach, zamknięte na siedem spustów, pozostały niemym świadectwem drogi bojowej marszałka.

„Marszałek Kulik rozkazał wszystkim zdjąć odznaki stopni, wyrzucić dokumenty, a następnie przebrać się w chłopskie ubrania i sam się przebrał (...) *Proponował porzucić bron, a mi osobiście — ordery i dokumenty. Jednakże, prócz jego adiutanta, nikt dokumentów i broni nie porzucił"*. Tak oto, krótko i jasno, w meldunku szefa Oddziału 3. (tj. kontrwywiadu) 10. Armii wyglądała kierownicza rola zastępcy ludowego komisarza obrony w działaniach bojowych Frontu Zachodniego [**WIŻ**, 1993, nr 12].

Za wszystko to Grigorija Iwanowicza tylko zrugano. Nawet marszałkowskie gwiazdy, wyrzucone przez niego w krzaki, wróciły. 2 września 1941 roku mianowano Kulika dowódcą samodzielnej 54.

Armii, której zadaniem była deblokada Leningradu. 12 września na pomoc Kulikowi przysłano jeszcze jednego marszałka — Klima Woroszyłowa. Stalin swoim ulubieńcom dodawał sił jak tylko mógł: *„Jeśli jutro uderzycie jak trzeba na Mgę w ten sposób, aby przełamać lub obejść jej obronę, to otrzymacie od nas dwie dobre kadrowe dywizje i, być może, nową brygadę pancerną. Lecz jeśli odłożycie jutrzejsze uderzenie, daję Wam słowo, że nie otrzymacie ani dwóch dywizji, ani brygady pancernej"* [5, s. 187].

Czterydni później Kwatera Główna upominała Kulika, że *„nowe dywizje i brygadę przekazuje się Wam nie do opanowania stacji Mga, ale do dalszych działań po jej zdobyciu. Macie wystarczająco swoich sił, aby stację Mga zdobyć nie raz, lecz dwukrotnie"* [5, s. 194].

Po kolejnych czterech dniach (24 września 1941 roku) do sztabu 54. Armii wpłynęła Dyrektywa Kwatery Głównej nr 002288. Tym razem Stalin nie żartował:

„Po raz trzeci Kwatera Główna NND (Najwyższego Naczelnego Dowództwa — dop. tłum.) *r o z k a z u j e Wam podjąć wszelkie środki do jak najszybszego opanowania Sinjawina i połączenia z wojskami leningradzkimi. Osobistą odpowiedzialność za wykonanie tego* [zadania] *nakłada się na marszałka Kulika"*. Osobista odpowiedzialność sprowadziła się jedynie do tego, że 26 września 1941 roku Stalin rozkazał *„dowodzącego 54. Armią marszałka Kulika odwołać do dyspozycji Kwatery Głównej"*.

Ale na tym biografia wodza Kulika jeszcze się nie skończyła. 8 listopada 1941 roku skierowano go do wzmocnienia obrony Kerczu — ostatniego pozostającego w naszych rękach skrawka Krymu. Po przybyciu na Kubań w charakterze pełnomocnego przedstawiciela Kwatery Głównej (i odnotowaniu, bądźmy sprawiedliwi, dwugodzinnej wizyty w Kerczu) Kulik poważnie zajął się sprawami zaopatrzenia żywnościowego. Samego siebie. Młodej, czwartej z kolei żonie *„czerwonego marszałka"* łatwo psujące się delikatesy wysłane zostały wojskowym samolotem transportowym, a resztę rarytasów (w tym 50 kg słoniny, 200 butelek koniaku, 40 skrzyń mandarynek, 20 kg prasowanego kawioru) załadowano do specjalnego wagonu marszałka i wysłano do Moskwy [81, s. 238].

Dopiero w lutym 1942 roku za to maruderstwo w strefie działań bojowych po raz pierwszy oddano Kulika pod sąd i przykładowo ukarano: obniżono mu stopień wojskowy z marszałka do generała majora, zdjęto z funkcji zastępcy komisarza ludowego i wyrzucono z KC. W partii komunistów — bojowników o powszechną równość i braterstwo — na razie jeszcze zostawiono.

Wiosną 1943 roku Kulik wypłynął ponownie. Za nieznane zasługi podwyższono mu stopień, a nawet oddano dowodzenie 4. Armią Gwardii. Podowodził… Wkrótce trzeba było odsunąć go od dalszego

grzeszenia na stanowisko zastępcy szefa Głównego Zarządu Formowania Armii Czerwonej. W kwietniu 1945 roku za rozkład gotowości bojowej w oddziałach wojsk zapasowych i *„rozkład moralny"* (tj. za ciągłe pijaństwo i k…stwo) odsunięto go od tej pracy, ponownie obniżono stopień do generała majora.
Ale jeszcze nie rozstrzelano.
Drugi, ostatni i decydujący wyrok na dezerterze i maruderze wykonany został dopiero 24 sierpnia 1950 roku. Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego dowiodło, że towarzysz Kulikpodczas pijatyk często lżył partię — tę, która wyniosła i przeztyle lat utrzymywała miernotę na szczytach władzy. Czegoś takiego towarzysz Stalin nikomu nie wybaczał. Nawet ludziom ze swojego awansu.
Niewiarygodne, ale na tym zadziwiająca biografia G. I. Kulika jeszcze się nie kończy!
W kwietniu 1956 roku zrehabilitowano go, a rok później, nie bez wiedzy jego starego towarzysza, potężnego wówczas ministra obrony ZSRR Żukowa, nawet *„przywrócono"* do stopnia marszałka Związku Radzieckiego! Cudzysłów przy słowie *„przywrócono"* jest nieprzypadkowy. W chwili drugiego aresztowania był generałem majorem, tak więc właściwie powinno się mówić o unikatowym, jedynym w swoim rodzaju przypadku pośmiertnego (!) awansu, i to jeszcze o cztery stopnie…
O tym, jak generał pułkownik Kirponos dowodził najsilniejszym w całej Armii Czerwonej Frontem Południowo–Zachodnim i co z tego wyszło, pisaliśmy w szczegółach w Części 3. Dla pełnego obrazu przytoczymy jeszcze jeden dokument — pełny tekst Dyrektywy Kwatery Głównej NND nr 002202, która wpłynęła do sztabu Frontu Południowo–Zachodniego 21 września 1941 roku, na kilka dni przed ostatecznym zamknięciem okrążenia i klęską frontu:
„Kwatera Główna Najwyższego Naczelnego Dowództwa nakazuje jak najszybciej zameldować:
1. Czy nasze wojska opuściły Kijów czy nie?
2. Jeśli Kijów opuszczono, to mosty wysadzono czy nie?
3. Jeśli mosty wysadzono, to kto zaręczy, że mosty rzeczywiście wysadzono?" [5, s. 195].
Komentarze, doprawdy, zbyteczne…
Na początku wojny spośród dowódców frontów najwyższy stopień posiadał dowódca Frontu Południowego generał armii I. W. Tiuleniew — dziarski kawalerzysta pierwszej wojny światowej, nagrodzony za wyjątkowe osobiste męstwo sześciokrotnie (!) Krzyżem św. Jerzego. Niestety! Wojna dowiodła, że dla pomyślnego dowodzenia wojskami frontu jeden taki mistrz szabli to za mało.
Stojąca naprzeciwko Frontu Południowego armia rumuńska nie posiadała niczego: ani bojowych tradycji, ani współczesnego

uzbrojenia, ani utalentowanych generałów. Trzeba się nieźle natrudzić, aby w niesławnej i bezbarwnej historii *„rumuńskiej sztuki wojennej"* znaleźć choćby jedną zwycięską stronę. Tiuleniew się postarał. Klęska Frontu Południowego do dziś pozostaje białą (a właściwie — zbrukaną) plamą w historii tej wojny. Ani oczywista słabość, ani potężne rubieże obronne — rzeki Dniestr, Bug (Boh), Dniepr w ich dolnym biegu— nie ocaliły powierzonych Tiuleniewowi wojsk od kię. ski i niewoli. Rola dowództwa Frontu Południowego w haniebnym załamaniu obrony stała się dla Stalina oczywista już po miesiącu walk.
Dyrektywa Kwatery Głównej NND nr 00565 z 28 lipca:
„Do tej pory działania Frontu Płd. mają charakter niezdecydowanego pasywnego odpierania uderzeń przeciwnika, co stale prowadzi do złożonej sytuacji na licznych odcinkach frontu. Dowództwo frontu nie dąży do zbierania sił i odwodów oraz wykonania potężnych przeciwuderzeń.
Ani jedno przeciwuderzenie, podjęte do tej pory przez Frontu Płd., nie doprowadziło przez to do rozstrzygających rezultatów" [5, s. 96].
Dyrektywa Kwatery Głównej NND (bez numeru) dla Rady Wojennej Kierunku Południowo–Zachodniego z 12 sierpnia:
„Dowódca frontu Tiuleniew okazał się bezsilny. Nie umie nacierać, nie umie także wycofać wojsk. Zmarnował dwie armie w sposób, w jaki nie traci się nawet pułków (...)*Wydaje mi się, że Tiuleniew jest zdemoralizowany i niezdolny do dowodzenia frontem"* [5, s. 114].
Dyrektywa Kwatery Głównej NND nr 001204 z 22 sierpnia:
„Zamiast obrony rubieży rzeki Dniepr, nawet na głównych kierunkach, faktycznie [prowadzi się jedynie] *obserwacje* (...)*Zamiast bronić Chersonia siłami 296. DS, o czym meldowano wielokrotnie, miasto oddano przeciwnikowi bez stawiania twardego oporu"* [5, s. 125].
Dyrektywa KwateryGłównej NND nr 001427 z 30 sierpnia:
„Przeciwnikowi udało się przeprawić pod Dniepropietrowskiem wskutek karygodnej nieodpowiedzialności dowódców. Mostów i wycofania nie osłaniano, co umożliwiło przeciwnikowi wdarcie się na lewy brzeg na plecach wycofujących się wojsk (...)*wiele zgubnych braków: opieszałość działań, utrata dowodzenia przez dowódców armii itp. — wszystko to pochłonęło dodatkowe ofiary"* [5, s. 148].
W końcu 30 sierpnia 1941 roku, gdy wojska niemiecko–rumuńskie praktycznie z marszu sforsowały szeroki jak morze dolny Dniepr od Dniepropietrowska do Chersonia, Stalin odsunął Tiuleniewa od dowodzenia frontem. Ale posłał go, nie wdedzieć czemu, nie do więzienia NKWD (gdzie 11 stycznia 1942 roku dostarczono byłego szefa sztabu Frontu Południowego generała majora F. N. Romanowa), ale na dowódcę formującej się 28. Armii Odwodowej. Tak, tak— tej samej, na której szefa sztabu wyznaczono F. I. Kuzniecowa. Potem drogi obu wodzów się rozeszły.

Tiuleniew pojechał do ciepłych krajów — dowodzić Zakaukaskim Okręgiem Wojskowym. Mam nadzieję, że czytelnik pamięta, iż latem 1942 roku Niemcy wdarli się na północny Kaukaz, ale nie udało im się przeskoczyć przez górskie szczyty i dojść do Gruzji i Armenii. Tak więc, z wyjątkiem kilku miesięcy jesieni 1942 roku, Zakaukazie znajdowało się przez całą wojnę na głębokich tyłach. Tam też, *„skrywając się za ścianą Kaukazu"*, generał armii Tiuleniew czekał pokoju. Po wojnie napisał cztery książki wspomnieniowe i całą pierś wypełniały mu ordery. Szanowny Czytelniku, oczywiście w to nie uwierzysz, ale dowódca frontu Tiuleniew czterokrotnie został nagrodzony Orderem Lenina, Orderem Rewolucji Październikowej, dwa razy Orderem Czerwonego Sztandaru (w uzupełnieniu do tych trzech, które otrzymał za wojnę domową), wodzowskim Orderem Kutuzowa 1. stopnia i licznymi medalami. W końcu w 1978 roku otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego! Wiecie za co? *„Za umiejętne dowodzenie wojskami, osobiste męstwo i odwagę, a także w związku z 60. rocznicą utworzenia Armii Czerwonej"*.

Nagroda długo szukała bohatera. Tiuleniew miał wszelkie podstawy do obrażania się. Klim Woroszyłow został dwukrotnym Bohaterem ZSRR w 50. rocznicę (pierwszą Złotą Gwiazdę, za dobre zachowanie w momencie nowego podziału władzy, podarował mu Chruszczów w 1956 roku). Na święto 23 lutego 1968 roku trzykrotnym Bohaterem ZSRR został także Siemion Budionny. Tak, nie żartuję. Trzykrotnie — tak jak najlepsi, spośród krajów koalicji antyhitlerowskiej, piloci Pokryszkin i Kożedub. Przy tym wszystkich swych bohaterskich czynów, jak można sądzić z Dekretów Prezydium, dokonał w wyjątkowo pokojowym okresie — w latach 1958, 1963 i 1968 [135].

CZĘŚCIEJ STOSUJCIE ROZSTRZELIWANIA, TOWARZYSZE...

Sądząc po tym wszystkim, towarzysz Stalin bardzo szybko zrozumiał, że mocno się pomylił w delikatnej sprawie doboru, rozdziału i wymordowania kadr, i bardzo szybko starał się ten błąd naprawić. Jak mógł. Podobnie jak *„zek"* na zesłaniu, przetrząsający całą izbę w nadziei znalezienia jakiegoś *„kiepa"* z resztkami tytoniu, nasz niedouczony seminarzysta tasował i przetasowywał swych generałów w nadziei znalezienia tego, który dokona cudu, zmieni kamienie w zboże i nauczy naszych kołchoźników walczyć za ojczystą partię i jej wodza.

W ciągu czterech pierwszych miesięcy wojny na głównym kierunku strategicznym dowódcę Frontu Zachodniego zmieniano siedem razy (Pawłow, Jeremienko, Timoszenko, ponownie Jeremienko, Koniew, Żukow). Dowódcę 21. Armii (na tym samym kierunkui w tym samym okresie) zmieniano sześć razy (Gierasimienko, F. I. Kuzniecow, Jefremow, Gordow, W. I. Kuzniecow i znów Gordow).

Nieco lepiej wyglądały sprawy u sąsiadów 21. Armii. Pięciu dowódców miała 20. Armia (Remiezow, Kuroczkin, Łukin, Jerszakow, Własow), czterech 13. Armia (Fiłatow, Remiezow, Gołubiew, Gorodniański), po trzech dowódców w okresie lato—jesień 1941 roku miały 19. i 22. Armia. Dowódcy armii pojawiali się i znikali, nie mając nawet czasu na zapoznanie się z podporządkowanymi sobie związkami.

Cała ta karuzela kadrowa zakończyła się na początku paź dziernika 1941 roku okrążeniem i całkowitą klęską frontów Zachodniego i Odwodowego (dowódcy — Koniew i Budionny) w ogromnych kotłach pod Wiaźmą i Brańskiem. Naczelne Dowództwo Wehrmachtu oświadczyło wówczas, że w ciągu dwóch tygodni walk zniszczono 67 dywizji strzeleckich, 6 dywizji kawalerii i 7 dywizji pancernych, wzięto do niewoli 663 tysiące żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej. Katastrofa październikowa rozmiarami wielokrotnie przewyższała klęskę poniesioną przez Front Zachodni w czerwcu 1941 roku. A wszystko to w czasie, gdy w czwartym miesiącu wojny ani o zaskoczeniu, ani o braku przygotowanych rubieży obronnych nawet mowy być nie mogło.

Jeszcze inną sprawą odróżniającą kocioł wiaziemski od mińskiego, była wielka liczba generałów najwyższego stopnia, którzy znaleźli się w niewoli niemieckiej, w tym: Łukin (dowódca 19. Armii — dop. tłum.), Jerszakow (dowódca 20. Armii — dop. tłum.), dowódca 32. Armii Wiszniewski, komisarz (członek Rady Wojennej) tej armii Żylenkow, szef sztabu 19. Armii Małyszkin, szef artylerii 24. Armii Moszenin, szef artylerii 20. Armii Prochorow.

Losy dowódcy 24. Armii Rakutina i komisarza (członka Rady Wojennej) 19. Armii Szekłanowa w informatorach biograficznych opisywano tak: *„poległ w 1941 roku, miejsce pochówku nieznane"*.

Czy tylko niezdarność, analfabetyzm i brak inicjatywy były przyczyną następujących po sobie klęsk i okrążeń — czy też naprawdę doszło do zdrady, której Stalin z tak niesłychanym uporem szukał zawsze i wszędzie? To jeszcze jeden znak zapytania, jeszcze jedna biała plama w naszej historii. W każdym razie postawienie takiego pytania bynajmniej nie jest wymysłem rozzłoszczonego dyletanta. Powyżej (w Części 2.) odnotowaliśmy już, że 19 września 1941 roku G. K. Żukow skierował do Stalina taki oto meldunek: *„Uważam, że przeciwnik bardzo dobrze zna cały system naszej obrony, całe operacyjno–strategiczne zgrupowanie naszych sił oraz nasze najbliższe możliwości. Widocznie u nas, wśród ważnych pracowników blisko stykających się z sytuacją ogólną, przeciwnik ma swoich ludzi"* [5, s. 361].

Przy czym Stalin i bez podpowiedzi nie tracił czujności. Ani na chwilę. Koło zamachowe bezprawnych represji, wprawione w ruch przez Lenina i jego towarzyszy, z roku na rok toczyło się z narastającą szybkością — w pełnej zgodzie z genialnym przewidywaniem towarzysza Stalina o *„zaostrzaniu się walki klasowej"* na drodze do powszechnej równości i braterstwa.
Aresztowano i rozstrzeliwano bez ustanku. Bez przerwy na wojnę.
Wiosną 1941 roku rozpoczęto rozkręcanie wielkiej sprawy *„z antyradziecką zmową w kierownictwie Sił Powietrznych Armii Czerwonej"*. Aresztowani zostali: szef Zarządu Sił Powietrznych Armii Czerwonej P. A. Ryczagow, szef Zarządu OPL G. M. Sztern, zastępca szefa Sztabu Generalnego ds. lotnictwa J. W. Smuszkiewicz (dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego!), szef sztabu sił powietrznych P. S. Wołodin, dowódca sił powietrznych Moskiewskiego Okręgu Wojskowego P. I. Pumpur, komendant Wojskowej Akademii Lotniczej F. K. Arżenuchin, szef Zarządu Uzbrojenia Lotnictwa I. Sakrier, dowódca sił powietrznych Frontu Dalekowschodniego K. M. Gusiew, szef GRU (wcześniej — dowódca Lotnictwa Dalekiego Zasięgu) I. I. Proskurow… Następnie przyszła kolej na komisarza uzbrojenia B. Wannikowa, zastępcę szefa Głównego Zarządu Artylerii G. Sawczenkę, dowódcę Nadbałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego generała pułkownika A. Łoktionowa.
W pierwszych dniach wojny aresztowano zastępcę komisarza obrony generała armii K. A. Mierieckowa i dowódcę Sił Powietrznych Frontu Południowo–Zachodniego generała lejtnanta J. S. Ptuchina.
Dość niejasne są okoliczności samobójstwa Bohatera Związku Radzieckiego, dowódcy Sił Powietrznych Frontu Zachodniego generała majora I. I. Kopca. W ogólnie przyjętej wersji przyczyn nie bierze się pod uwagę najważniejszego — osoby zmarłego. Iwan Kopiec, 34–letni

generał major lotnictwa, *„był ekspilotem myśliwskim"*. Do ostatniego dnia był on czynnym lotnikiem. W swoich wspomnieniach Skripko z pewnym niedowierzaniem stwierdza, że dowódca lotnictwa okręgu większą część czasu spędzał na lotniskach, na które nie przyjeżdżał zisem, ale lądował na nich myśliwcem I–16. A tytułu Bohatera Związku Radzieckiego dowódca eskadry Kopiec nie otrzymał za sukcesy w dowodzeniu, ale za męstwo i umiejętności, którymi się wykazał na niebie nad Madrytem. Dla człowieka z taką biografią i takim charakterem o wiele naturalniejsze byłoby zakończenie życia w powietrzu, w ka' binie samolotu bojowego, w walce z kilkoma przeciwnikami. Wszystko stanie się jasne, jeśli tylko założymy, że przyczyną samobójstwa nie był wcale szok po klęsce (o czym rankiem pierwszego dnia wojny nikt jeszcze nie wiedział) poniesionej na początku działań bojowych. Po prostu— 22 czerwca 1941 roku po dowódcę lotnictwa frontu przyjechali ludzie zgorącymi sercami, *„przyjaciele narodu"*. Po Ptuchina przyjechali cztery dni później (chociaż decyzję o jego aresztowaniu podjęto już 20 czerwca), Mierieckowa wzięli 23 (według jednych — w pociągu *„Czerwona Strzała"*, według innych — jeszcze na Kremlu), a do Mińska wysłano najbardziej rozgarniętą drużynę. W tym wypadku jedynym sposobem uchylenia się od *„śledztwa"* i bezprawnego sądu była kula w skroń...

Aresztowanie dowódcy Frontu Zachodniego generała armii D. G. Pawłowa o wiele bardziej związane było ze *„sprawą Mierieckowa"* aniżeli z klęską tego frontu. 30 czerwca 1941 roku zdjęto go ze stanowiska dowódcy frontu, wysłano do Moskwy, *„przesączono"* jak trzeba, ale potem, w tym samym stopniu generała armii, skierowano do walki na ten sam Front Zachodni. Są informacje o tym, że Pawłowa wyznaczono na stanowisko zastępcy dowódcy frontu do spraw wojsk pancernych i samochodowych [45]. To zaś nie tak wielka degradacja, jeśli weźmie się pod uwagę, że nowym dowódcą frontu został sam ludowy komisarz obrony marszałek Timoszenko. Pawłowa aresztowano 4 lipca, dosłownie na drodze, pod miastem Dowsk (30– 40 kilometrów od linii frontu, która przechodziła wówczas pod Rogaczewem).

Z protokołów przesłuchań jednoznacznie wynika, że *„konspiracyjne związki z Uborewiczem i Mierieckowem"* interesowały śledczych o wiele bardziej aniżeli wyjaśnienie prawdziwych przyczyn klęski Frontu Zachodniego. W czasie rozprawy Pawłow wycofał się z wyciągniętych z niego fałszywych samooskarżeń i skazano go na rozstrzelanie jedynie za *„bezczynność, nieporadność i rozkład w dowodzeniu wojskami"*. Ale rozkręcano, sądząc z nacisków *„śledczych"*, zupełnie inną sprawę — o zmowie dowództwa Armii Czerwonej.

Aby ułatwić zrozumienie sytuacji w kierownictwie armii, zwróćmy uwagę na następujący fakt. W czasie rozprawy sądowej, uchylając się od bezpodstawnych zarzutów, Pawłow przyznał, że na froncie fińskim,

w styczniu 1940 roku, rozmawiali wraz z Mierieckowem o tym, że *„w wypadku napaści Niemiec na ZSRR i zwycięstwa armii niemieckiej gorzej nam od tego nie będzie"*. Pawłow wyjaśnił, że było to *„w czasie popijawy"* [67, s. 98]. A co w tym czasie lęgło się w umysłach trzeźwych generałów?

Wojna rozgorzała, a wraz z nią nasilały się represje. Aresztowano na froncie i na tyłach, grupami i pojedynczo. Czujność czekistów nie znała ograniczeń. Ani w przestrzeni, ani w czasie. 18 czerwca 1941 roku aresztowano szefa szkolnictwa marynarki wojennej kontradmirała K. I. Samojłowa, *„zwerbowanego w 1922 roku przez perskiego konsula Mirzechana w celu prowadzenia szpiegostwa na rzecz wywiadu francuskiego"* (w chwili jego aresztowania Francja już niemal nie istniała — M.S.).

29 sierpnia 1943 roku w dalekim Taszkiencie aresztowano dowódcę Środkowoazjatyckiego Okręgu Wojskowego generała majora G. A.

Buriczenkowa, który w 1942 roku *„opowiedział w zarządzie żandarmerii we Władywostoku o działalności podziemnej organizacji rewolucyjnej"*. Aresztowanemu 8 sierpnia 1941 roku szefowi Zarządu Łączności Armii Czerwonej generałowi majorowi N. I. Gapiczowi dorzucono do zarzutów nie tylko to, że *„kierowany przezeń Zarząd nie zaspokoił potrzeb frontu i okazał się niegotowy do zapewnienia nieprzerwanej łączności"*. Przypomniano mu także rok 1918, kiedy jako telegrafista stacji kolejowej *„nawiązał łączność szpiegowską z wywiadem japońskim i przekazywał mu meldunki o ruchu partyzanckim w Kraju Chabarowskim"*.

Pod koniec 1941 roku, gdy Niemcy stali już u bram Moskwy, NKWD zdemaskowało *„przestępczą grupę antyradziecką"* złożoną z wykładowców Akademii im. Frunzego. W tej sprawie aresztowano sześciu generałów (N. I. Plunina, F. S. Burłaczkę, G. A. Armadierowa, A. J. Sokołowa, F. K. Kuźmina, G. S. Diakowa). Wszyscy oskarżeni zostali o to, że na swoich ćwiczeniach *„oszczerczo twierdzili, że Rząd poprzez swą politykę wprowadzania kołchozów pozbawił jakoby chłopow, stanowiących podstawę kontyngentu armii, chęci do walki za władzę radziecką"* [124], Dowódca 44. Armii generał major I. F. Daszyczew aresztowany został 4 lipca 1942 roku, po zdemaskowaniu przez felczera wojskowego Żerebcową, która doniosła komu trzeba o tym, że dowódca armii *„wzywał na przykład, jak robi to Hitler, do zniszczenia Żydów, komisarzy i pracowników politycznych; szkalował kierownictwo partyjne wnaszym kraju i deklarował swą niewiarę w wodza narodu"* [124].

W sumie w ciągu wojny jedynie Oddziały Specjalne i SMIERSZ aresztowały czterdziestu trzech generałów (nie licząc tych, których aresztowano po wyzwoleniu z niewoli niemieckiej). W tej liczbie

znajdowali się dowódcy tej rangi, jak zastępca dowódcy Kierunku Południowo– Zachodniego, szef sztabu frontu (2 ludzi), zastępca szefa sztabu (szef Oddziału Operacyjnego — dop. tłum.) frontu (3 ludzi), dowódca okręgu (2 ludzi), szef sztabu lotnictwa okręgu, dowódca armii (2 ludzi), szef sztabu armii, szef artylerii armii (2 ludzi) [124].

A przecież obok SMIERSZ–a, który nominalnie podlegał komisarzowi obrony, były jeszcze NKWD, NKGB, były trybunały, wyżej stojący dowódcy i posiadający wszelkiego rodzaju *„szczególne pełnomocnictwa"*. Wszyscy oni nie siedzieli bezczynnie. Na przykład generał major Jegorow, który *„przybył do sztabu Odeskiego Okręgu Wojskowego i nie przystępując do pracy, oddawał się pijaństwu w sanatorium dla wyższych dowódców"*, został za to aresztowany, ale nie występuje na listach SMIERSZ–a. Nie ma w tym spisie także generała majora Dołmatowa[73], aresztowanego na rozkaz Kwatery Głównej *„za sianie paniki, zniszczenie amunicji i niepodjęcie działań w celu usunięcia bałaganu"* podczas opanowania przez Niemców Rżewa w listopadzie 1941 roku [5, s. 168, 290].

Niemniej jeden tylko SMIERSZ wykonał ogromną pracę. W informacji z 21 grudnia 1945 roku, którą szef SMIERSZ–a Abakumow przekazał Stalinowi, jak w koszmarnym majaku pomieszano zarówno wszystkie możliwe, jak i niemożliwe do wymyślenia grzechy aresztowanych generałów: *„wypowiadał się w obronie platformy Trockiego; oszczerczo twierdził, że żołnierze i dowódcy Armii Czerwonej nie wykazują wytrwałości w walkach oraz nie są zainteresowani wojną, ponieważ przed nią byli robotnicy i kołchoźnicy żyli źle; okazał tchórzostwo i porzucając armię, uciekł z frontu; deklarował konieczność zastąpienia rządu radzieckiego burżuazyjno–demokratycznym;*
miał zamiary terrorystyczne przeciwko wodzowi narodu; od kwietnia do października 1918 roku mieszkał we wsi, która była w tym czasie okupowana przez Niemców;
w 1928 roku głosował za antypartyjną rezolucją;
oszczerczo twierdził, że w wyzwolonych od niemieckich okupantów rejonach chłopi nastawieni są przeciwko odbudowie kołchozów;
porzucił broń osobistą, legitymację partyjną i z pola boju uciekł na tyły do Niemców, porzucając na pastwę losu sprzęt i skład osobowy dywizji" [124].
Ale co dziwne, pomimo tak dokładnego rejestru (a może właśnie dzięki temu?) zdrada kwitła. Tylko w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku w niewoli znalazło się sześćdziesięciu trzech, a w toku całej wojny — 79 generałów (nie wliczamy do tego generałów A. B. Szystera, M. O. Piętrowa, F. D. Rubcowa, I. A. Łaskina, F. A. Siemienowskiego, którzy znajdowali się w niewoli w sumie przez kilka godzin lub dni). Zrozumiałe, że niewola od niewoli się różni. Autor wcale nie zamierza malować wszystkich jednym odcieniem. Wielu generałów (Lukin,

Karbyszew, Tkaczenko, Szepietow, Antiufiejew, Lubowcew, Mielników i inni, w sumie około dwudziestu ludzi) zostali ujęci przez przeciwnika jako pozostawieni bez pomocy ranni.
Wielu z tych, którzy znaleźli się w niewoli, odrzucało wszelkie próby wroga zmierzające do skłonienia ich do współpracy i zostali rozstrzelani lub zamęczeni przez hitlerowców. W ten sposób zginęli generałowie Ławierdow, Jerszakow, Karbyszew, Makarów, Nikitin, Nowikow, Priesniakow, Romanow, Sotienski, Starostin, Tkaczenko, Tchor, Szepietow. Generałowie Aleksiejew, Ogurcow, Sysojew, Cyrulnikow uciekli z niewoli, przeszli linię frontu lub przyłączyli się do oddziałów partyzanckich [20, 124].
Wszystko to prawda. Inna, gorzka część prawdy jest taka, że większa część wziętych do niewoli generałów ewidentnie zapomniała, że osobiste uzbrojenie wydano im nie tylko po to, aby podrywać do ataku podwładnych. Współczesnym humanistom, wzywającym, aby wczuć się w *„trudną sytuację bezbronnych generałów"*, należałoby przypomnieć, że każdy oddający się do niewoli dowódca skazywał na śmierć lub hańbę niewoli tysiące żołnierzy, oddawał na zgubę nazistom setki tysięcy ludności cywilnej. Ale i miara odpowiedzialności za klęskę armii oraz spustoszenie kraju — dla zmobilizowanego kołchozowego chłopa i obsypanego wszelkimi dobrami generała (któremu państwo nadało prawo do dysponowania życiem i śmiercią tysięcy takich chłopów) — powinna oczywiście być zróżnicowana.
Co więcej, d w u n a s t u generałów Armii Czerwonej nie oddało się tak po prostu i dobrowolnie do niewoli, ale przeszło na stronę przeciwnika i aktywnie współdziałało z hitlerowcami.
Wśród nich byli także dowódcy bardzo wysokiego stopnia:
— szef Oddziału Operacyjnego sztabu Frontu Północno–Zachodniego Truchin;
— dowódca 2. Armii Uderzeniowej Własow;
— szef sztabu 19. Armii Małyszkin;
— członek Rady Wojennej (tj. komisarz!) 32. Armii Żylenkow;
— dowódca 4. Korpusu Strzeleckiego (3. Armia) Jegorow; — dowódca 21. Korpusu Strzeleckiego (Front Zachodni) Zakutny.
W sumie po wojnie rozstrzelano lub powieszono za dobrowolne poddanie się i współpracę z okupantem d w u d z i e s t u t r z e c h byłych generałów Armii Czerwonej (i to nie licząc tych, którzy za zdradę w wyroku otrzymali najwyższy wymiarłagru). Co prawda dziesięciu spośród skazanych generałów w końcu lat pięćdziesiątych pośmiertnie zrehabilitowano. Ale i w tym wypadku nie można zapomnieć, że rehabilitacje w tych latach prowadzono według tych samych *„zasad"*, co represje w latach trzydziestych — według listy, bez żadnego obiektywnego rozpoznania, według bezpośrednich wskazówek *„organów dyrektywnych"*. Tak więc, jedno z pierwszych Postanowień KC

KPZR (nr P15/1 z 13 lipca 1953 roku) poświęconych sprawom rehabilitacji represjonowanych dowódców wojskowych rozpoczynało się od takich oto słów:
„Zobowiązać Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR do przeglądania spraw osądzonych generałów i admirałów, mając na względzie zakończenie sprawy i pełną rehabilitację (dalej następuje wykaz nazwisk)" [**WIŻ**, 1994, nr 2].
Więc tak — przejrzeć sprawy, mając na względzie, że wszystkich należy uniewinnić. Mówiąc krótko, wśród tych dziesięciu zrehabilitowanych znalazł się kombryg Biessonow. A właśnie jego uznać za niewinnego wobec stalinowskiego reżimu nie można w żadnym wypadku ...
Mówiąc o losach dowódców stalinowskiej armii, nie można nie wspomnieć o pewnym starszym lejtnancie, dowódcy baterii 14. Pułku Haubic 14. Dywizji Pancernej 7. Korpusu Zmechanizowanego — Jakowie Dżugaszwilim. Jak wiadomo, oddał się on do niewoli w połowie lipca 1941 roku, gdy przeciwuderzenie 5. i 7. Korpusu Zmechanizowanego pod Leplem i Siennem zakończyło się tak samo, jak opisane już trzy przeciwuderzenia Armii Czerwonej. W czasie przesłuchania w sztabie niemieckim rodzony syn Stalina opowiadał: *„Zostaliśmy okrążeni. Spowodowało to taką panikę, że wszyscy pouciekali* (...)*Wszedłem do izby, a chłop powiada: «Idź stąd natychmiast, jeśli nie — doniesiemy na ciebie»* (...)*Nie było wyjścia. Zobaczyłem, że jestem okrążony, nie ma dokąd iść, więc przyszedłem i powiedziałem — poddaję się"* [125].
Szanowny Czytelniku, czy możesz wyobrazić sobie taką sytuację, aby w dniach Wojny Ojczyźnianej w 1812 roku rosyjscy chłopi w ten sposób odpowiedzieli synowi cara, następcy rosyjskiego tronu? Prawda — z całego kontekstu zeznań Jakowa Dżugaszwilego wynika, że po kilku dniach włóczęgi po polach i lasach nikomu nie przyznał się do tego, kim jest jego ojciec.
Ale z marszałkiem Kulikiem wszystko jest całkiem jasne. W materiałach pierwszego procesu sądowego w jego sprawie znajdują się zeznania o tym, jak po przebraniu się w waciak i łapcie wybierał się z okrążenia pod Mińskiem na wschód. Prostodusznie i sprytnie Kulik wspomina, że kiedy to w jakiejś wiosce wydawało mu się, że miejscowy nauczyciel go rozpoznał, *„natychmiast daliśmy drapaka"* [81].
Właśnie tak. Po prostu — radziecki nauczyciel, który rozpoznał czerwonego marszałka, bał się. Trzeba było uciekać, póki jeszcze Niemców nie wezwał. Niestety, właśnie w takiej sytuacji dostał się do niewoli generał Własow i poległ jego komisarz (członek Rady Wojennej 2. Armii Uderzeniowej) I. W. Zujew. I jeden, i drugi wydani zostali Niemcom przez ludność miejscową. Ale tylko Własow podniósł ręce; Zujew ostrzeliwał się do ostatniego naboju...
W całkiem podejrzanych okolicznościach poległ 4 sierpnia 1941 roku

dowódca 28. Armii generał lejtnant W. J. Kaczałow (nikomu nic nie powiedział o swoich zamiarach, wsiadł do czołgu i pojechał w stronę niemieckich pozycji). Niemcy trafili czołg, Kaczałow poległ. Przez wiele lat o jego losie niczego nie wiedziano. Dopiero na początku lat pięćdziesiątych wyjaśniło się, że jakiś niemiecki oficer mówiący czysto po rosyjsku nakazał mieszkańcom wsi Starinka (w obwodzie smoleńskim) pochować ciało generała i postawić tabliczkę, ale ten rozkaz nie zrobił na smoleńskich kołchoźnikach żadnego wrażenia. Obelisk w miejscu prawdopodobnego pochówku Kaczanowa postawiono dopiero w 1967 roku.

Aż do początku lat dziewięćdziesiątych nie znano miejsc pochówku c z t e r d z i e s t u c z t e r e c h [126] generałów Arnui Czerwonej. I to nie licząc tych, którzy zostali rozstrzelani lub zmarli w więzieniach i łagrach, oraz poległych w niewoli — czterdziestu czterech generałów — wśród nich dwudziestu generałów szczebla korpuśnego i armijnego — podzieliło los szeregowych żołnierzy, znikło bez śladu w otchłani strasznej wojny. W sumie w latach wojny tylko w wojskach lądowych (a więc — nie wliczając dowódców lotnictwa, którzy nie powrócili z lotu bojowego) zaginęło bez śladu:

— 163 dowódców dywizji (brygady);
— 221 szefów sztabu dywizji (brygady);
— 1114 dowódców pułków.

Żołnierzy było wielu — w Armii Czerwonej ich ilość szła w miliony. Szeregowy często walczy w pojedynkę i ginie bez świadków. Da się więc wyjaśnić, dlaczego tak ogromnie dużo żołnierzy nie zostało godnie pochowanych, choć w żadnej mierze nie jest to usprawiedliwione. Ale jak mógł zaginąć bez wieści dowódca dywizji? Dowódca nie walczy w samotności. Dowództwo i sztab dywizji liczyły (według etatu z kwietnia 1941 roku) około 75 ludzi. I to nie biorąc pod uwagę sporego oddziału politycznego, trybunału i plutonu porządkowo–ochronnego. W strukturach sztabowych korpusu i armii było jeszcze więcej ludzi. Do jakich więc rozmiarów musiały dojść chaos, panika, dezercja, aby ciało poległego dowódcy korpusu czy dywizji pozostało porzucone w szczerym polu, bez śladu…

73 — Generał major W. N. Dołmatow do wybuchu wojny był dowódcą Karelofińskiego Okręgu Wojsk Ochrony Pogranicza NKWD, a w lipcu 1941 r. przejął po generale K. I. Rakutinie zorganizowaną przez jego *„firmę"* 31. Armię — dlatego w spisach generałów Armii Czerwonej nie występuje (o dziwo, jego poprzednik, który *„poległ na polu chwały"* — tak). Co ciekawe— obaj (jak i wielu innych generałów z NKWD) swe generalskie stopnie otrzymali na podstawie tego samego Postanowienia Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o wprowadzeniu stopni generalskich w ACz z 7.05.1940 r.

DWIE WOJNY

W wielu rodzajach ludzkiej działalności bardzo trudno znaleźć jakieś uogólnienie, kompleksowe wykładniki, które pozwoliłyby zmierzyć jakość w liczbach. Sprawywojskowe nie są wyjątkiem od tej reguły. Jak inaczej bowiem można zmierzyć przygotowanie żołnierzy i kwalifikacje sztabów, jakość uzbrojenia i zdolność do użycia tego uzbrojenia w walce, upór przeciwnika i pracę rozpoznania?

Nie pretendując do dokonywania odkryć w nauce wojennej, autor proponuje jednak, aby w charakterze takiego kompleksowego wskaźnika jakości wykorzystywać stosunek strat przeciwnych stron; nie tempo natarcia, nie liczbę rozgromionych dywizji wroga, nie wykaz zdobytych (wyzwolonych) miast, ale tę cenę, jaką zapłaciła ta lub inna armia za swoje sukcesy. Mam nadzieję, że czytelnik zgodzi się z nami, iż w takim podejściu jest — w najgorszym wypadku — przynajmniej duża doza zdrowego rozsądku.

Tak więc 10 lipca 1941 roku szef Sztabu Generalnego W ehrmachtu F. Halderdokonał w swoim dzienniku pierwszego zapisu o stratach wojsk niemieckich. Takich zapisów w dzienniku Haldera jest więcej, ale zatrzymamy się właśnie na stratach pierwszych dwóch tygodni wojny. Rzecz w tym, że także w radzieckiej historiografii przyjęło się ograniczać okres pierwszych lub przygranicznych starć do pierwszej dekady lipca. Mamy więc możliwość przeprowadzenia wielopłaszczyznowej analizy porównawczej.

Jaką więc cenę zapłacił Wehrmacht za rozbicie pierwszego rzutu strategicznego Armii Czerwonej?
„Ogólne straty naszych wojsk lądowych — pisze Halder— *(nie licząc chorych) do 6.07.1941 roku wynoszą: rannych 42 755 (1 588), zabitych 13 869 (829), zaginionych 5010 (81); razem = 61 634 (2498). Liczby w nawiasach dotyczą strat w składzie oficerskim; nie wliczono ich do ogólnej liczby strat"* [12][74].

[74] — Tłum. z ros. — por. F. Halder, *op. cit*., s. 93.

Jeśli przedstawimy podane przez Haldera liczby w bardziej zrozumiały sposób (sumując żołnierzy i oficerów), to otrzymamy następujące dane obrazujące straty Wehrmachtu: — 15 tysięcy zabitych;
— 44 tysiące rannych;
— 5 tysięcy zaginionych bez wieści;
Razem: 64 tysiące żołnierzy i oficerów.
Czytelnik, który miał dość sił i cierpliwości, aby dotrzeć do tego miejsca, wie bez naszych podpowiedzi, że straty niemieckie były stosunkowo małe jak na operację przeciwko wielomilionowej armii, prowadzoną na tak wielkiej przestrzeni. Pytanie jednak brzmi, na ile

były one małe.

Porównywanie jest bogatym źródłem poznania. My jednak nie będziemy porównywać strat Wehrmachtu ze stratami Armii Czerwonej w tym okresie. Dlaczego? Dlatego, że już w szkole średniej wszystkim nam wyjaśniono, że nie należy zestawiać z sobą ton i kilometrów ani stopni i amperów. Po. równywać można wielkości jednorodne.

Tak więc porównywanie liczb wyrażających poległych w walce Niemców i rozbiegaj ących się po lasach czerwonoarmistów jest absurdalne. Postaramy się znaleźć bardziej sensowną podstawę do porównań.

Na początek zestawmy straty Wehrmachtu z jego liczebnością. Halder wielokrotnie określa liczebność zgrupowania niemieckich wojsk lądowych na Wschodzie na 3,2 miliona ludzi. Z tego wynika, że do 6 lipca straty wyniosły 2% ogólnej liczby. Są to niewątpliwie bardzo małe straty. Nie trzeba kończyć akademii, aby wiedzieć, że wojska, które utraciły w sumie 2% stanu osobowego, nie musiały przełamywać *„zaciętego oporu przeważających sił przeciwnika"*.

Teraz zestawimy straty pierwszych tygodni wojny radziecko – niemieckiej ze stratami Wehrmachtu w Polsce (wrzesień 1939 roku) i Francji (maj– czerwiec 1940 roku).

Wojna w Polsce:
— 11 tysięcy zabitych;
— 30 tysięcy rannych;
— 3 tysiące zaginionych bez wieści.
Wojna we Francji:
— 27 tysięcy zabitych; — 111 tysięcy rannych;
— 18 tysięcy zaginionych bez wieści.
Liczby te zaczerpnięto ze znanej monografii Tippelskircha [127]. Jak

wynika z danych przedstawionych w równie znanej pracy Müllera–Hillebranda, we Francji zaginęło bez wieści w sumie 978 ludzi Wehrmachtu, ale liczba poległych wyniosła 48 tysięcy; w Polsce zaginęło bez wieści 320, a poległo — 16 343 żołnierzy i oficerów Wehrmachtu [11, s. 716].

W zasadzie obraz jest jasny, ale konieczne są pewne wyjaśnienia. Armia polska liczebnością dywizji pięciokrotnie ustępowała wojskom radzieckich zachodnich okręgów wojskowych. Wyposażenie techniczne armii polskiej i radzieckiej było nieporównywalne. Zaatakowana z trzech stron (z zachodu, z Prus Wschodnich i zajętych przez Niemcy Czech) armia polska praktycznie pozostała bez tyłów, a do tego jeszcze otrzymała miażdżący cios w plecy stalinowskiego topora. Straty niemieckie w Polsce były niewiele mniejsze od tych, jakie Wehrmacht poniósł, zadając klęskę wojskom zachodnich okręgów Związku

Radzieckiego.
Straty Wehrmachtu we Francji (tak ogólne, jak i bezpowrotne) w okresie, który nasi historycy do dziś nazywają *„marszem triumfalnym"*, były o 2,5 raza większe aniżeli straty na Froncie Wschodnim poniesione do 6 lipca 1941 roku. Miało to związek z tym, że główne wydarzenia wojny z Francją rozgrywały się na występie Normandii i Flandrii, z maksymalnymi odległościami do 300 kilometrów wzdłuż i 250 kilometrów w głąb frontu. Odpowiada to rozmiarom Litwy, którą jedna z trzech (w dodatku najsłabsza Grupa Armii *„Północ"* opanowała w tydzień.
Najważniejsza rzecz polega jednak na czymś innym. Żaden z radzieckich działaczy państwowych ani późniejszych historyków nigdy nie przyznał, że Polska w czasie odpierania hitlerowskiej agresji osiągnęła jakieś sukcesy. *„Państwo polskie, którego władze przejawiały zawsze tak wielką butę i samochwalstwo*— krzyczał 7 listopada 1939 roku z trybuny mauzoleum komisarz obrony Woroszyłow — *już przy pierwszym starciu zbrojnym rozleciało się jak stara przegniła furmanka"*. Nikt i nigdy nie uważał majowych walk 1940 roku we Francji za przykład pomyślnie przeprowadzonej operacji obronnej. Żadnemu z francuskich polityków, historyków ani pisarzy nawet do głowy nie przyszło nazywać tego *„wielką patriotyczną wojną narodu francuskiego"*. Odwrotnie — słowa *„maj 1940 roku"* stały się dla Francji synonimem katastrofy i największej hańby narodowej. Straty, jakie francuscy, angielscy czy belgijscy żołnierze zadali wtedy Wehrmachtowi, to jedynie minimum, które było osiągalne w warunkach ogólnego chaosu, paniki i paraliżu woli u wyższego kierownictwa kraju. Nikomu z tego*„wyższego kierownictwa"* nie postawiono konnego pomnika w Paryżu, nikogo nie nagrodzono Orderem Legii Honorowej przy żadnym jubileuszu.

Osądzono ich. Pierwszy proces (który tak celnie nazwano: *„sąd nad winnymi klęski"*) odbył się już w lutym 1942 roku przed specjalnie powołanym trybunałem w tzw. strefie wolnej Francji w Riom. Po zwycięstwie nad nazistowskimi Niemcami winnych katastrofy roku 1940 ścigano sądownie z jeszcze większym entuzjazmem. Starego marszałka Petaina (który walnie przyczynił się do zwycięstwa Francji w pierwszej wojnie światowej) skazano na karę śmierci, ale ocaliło go osobiste wstawiennictwo Charles'a de Gaulle'a. Dziewięćdziesięcioletniemu staruszkowi zmieniono litościwie tę karę na dożywotnie więzienie...

Teraz porównamy straty Wehrmachtu ze stratami, które poniosła Armia Czerwona podczas pomyślnie przeprowadzonych operacji zaczepnych.
Chałchyn–goł. Liczebność zgrupowania wojsk radzieckich: trzy dywizje strzeleckie, sześć brygad czołgów i samochodów pancernych, stan osobowy: 57 tysięcy ludzi. Liczebność wojsk japońskich radzieccy

historycy oceniają na 75 tysięcy ludzi [35]. Aktywne działania bojowe trwały siedem dni (od 23 do 30 sierpnia 1939 roku). W porównaniu z wojną, do której dwie ogromne, wielomilionowe armie przystąpiły 22 czerwca 1941 roku, konflikt nad rzeką Chałchyn–goł wygląda jak skromny epizod.
Straty Armii Czerwonej w tej operacji wyniosły jednak:
— 7 tysięcy zabitych;
— 15 tysięcy rannych;
— 1 tysiąc zaginionych bez wieści.
Straty sięgnęły 40% ogólnej liczebności zgrupowania wojsk radzieckich. Straty w zabitych były tylko dwa razy mniejsze niż poniesione przez Wehrmacht na froncie o długości półtora tysiąca kilometrów w walkach ze 150 dywizjami radzieckimi.
Na wydarzeniach wojny fińskiej (w której Armia Czerwona straciła 272 tysiące ludzi w zabitych, rannych i zaginionych bez wieści, nie licząc chorych i tych, u których doszło do odmrożeń) [35, s. 99] zatrzymywać się nie będziemy. Ta wojna na pewno nie jest przykładem *„pomyślnie przeprowadzonej operacji zaczepnej"*. Tym bardziej nie możemy porównywać natarcia (i strat) Wehrmachtu w lecie 1941 roku z koszmarem rżewsko–wiaziemskiej, lubańskiej, diemiańskiej i innych operacji zaczepnych prowadzonych zimą i wiosną 1942 roku przez Armię Czerwoną, podczas których całe dywizje niewyszkolonych rekrutów ginęły w monstrualnych *„maszynkach do mielenia mięsa"* w ciągu kilku dni. Kto może, niech pomodli się do Boga za spokój duszy poległych żołnierzy. Historyk nie ma tu nic do powiedzenia.
Nie. My za przykład weźmiemy najpotężniejsze i miażdżące stalinowskie uderzenia ostatniego lata wojny, gdy ogromna, znakomicie uzbrojona Armia Czerwona, która z półtoratonówek przesiadła się na amerykańskie studebakery i podobna do niszczącego wszystko, co napotka po drodze tsunami ruszyło na zachód.
Aby nasze porównania były jak najbardziej konkretne, z całego mnóstwa operacji zaczepnych 1944 roku wybierzemy tylko te, w których toku wyzwolono terytoria opanowane przez Niemców do 6–10 lipca 1941 roku.
Oczywiście Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej nie konstruowało swoich planów strategicznych dla wygody przyszłych historyków. Niemniej jednak w pełni można je przyjąć w celach porównawczych. Wyzwolenie Łotwy, Litwy, Białorusi, zachodnich obwodów Ukrainy i Mołdawii niemal dokładnie składa się na to, co w radzieckiej historiografii kryje się pod nazwami:
— nadbałtycka strategiczna operacja zaczepna (14 września–24 listopada);
— białoruska strategiczna operacja zaczepna (23 czerwca–29 sierpnia);
— lwowsko–sandomierska strategiczna operacja zaczepna (13 lipca–29

sierpnia);
— jassko–kiszyniowska strategiczna operacja zaczepna (20–29 sierpnia).
Mówiąc poważnie, do tego wykazu koniecznie musimy dorzucić jeszcze dwie operacje zaczepne z wiosny 1944 roku: rowieńsko–łucką i proskurowsko–czerniowicką. Wiarygodnymi danymi o stratach poniesionych w tych operacjach autor niestety, jednak nie dysponuje.

Gdy po raz kolejny przyjrzymy się oficjalnym liczbom ze zbioru **Grif**... stwierdzimy, że Armia Czerwona poniosła w tych operacjach następujące straty:
— 318 tysięcy zabitych i zaginionych bez wieści;
— 1 084 tysiące rannych;
Razem: 1,4 mln ludzi.
Ogólne straty podczas wyzwalania były 22 razy większe od strat, jakie poniósł Wehrmacht podczas okupacji tych samych terytoriów (pamiętajmy przy tym, że straty Armii Czerwonej zostały przez nas zaniżone z powodu nieuwzględnienia strat poniesionych w operacjach mających na celu wyzwolenie zachodniej Ukrainy).
Straty bezpowrotne (zabici i zaginieni bez wieści) były 16 razy większe.
Różnica — jakościowa. Można by się długo spierać o dokładność tych liczb, ale zasadnicza kwestia nie budzi żadnych wątpliwości. To były dwie różne wojny.
Mówią, że ktoś ośmielił się spierać ze Stalinem, które *„odchylenie"* (lewe czy prawe) jest gorsze, na co wielki wódz i nauczyciel powiedział: *„Oba są złe..."*
Czy można znaleźć bardziej jednoznaczną odpowiedź na pytanie o to, co Armia Czerwona przeprowadziła gorzej: obronę latem 1941 roku czy natarcie latem 1944 roku?
Oczywiście można. Bez wątpienia *„dziesięć stalinowskich uderzeń"* 1944 roku było i jest wzorcem pomyślnie przeprowadzonych operacji zaczepnych. Potrzebne dowody? Państwo wybaczą.
Porównajmy więc straty Armii Czerwonej ze stratami przeciwnika lub, co jeszcze bardziej obrazowe, ze stratami naszych sojuszników.
Od 1 czerwca do 31 sierpnia 1944 roku (w tych ramach czasowych mieszczą się trzy spośród wspomnianych wcześniej operacji zaczepnych Armii Czerwonej) ogólne straty niemieckie na Froncie Wschodnim wyniosły 917 tys. ludzi [146, s. 404]. Nasze ogólne straty w ciągu tych trzech miesięcy (liczone jako średnie arytmetyczne strat drugiego i trzeciegokwartału 1944 roku) wyniosły 1683 tys. ludzi [35, s. 147].
Straty bezpowrotne armii wojsk lądowych Niemiec (Wehrmachtu i oddziałów bojowych SS) na Froncie Wschodnim w ciągu pięciu miesięcy (od czerwca do końca listopada 1944 roku) wyniosły 841 tys. ludzi [11, s. 147].

Straty (zabici, zmarli, za ginieni bez wieści i jeńcy) Armii Czerwonej wyniosły w tym samym okresie 575 tysięcy ludzi [35, s. 147] — w sumie to 5/6 strat drugiego półrocza 1944 roku.

Przypomnijmy jedynie, że Armia Czerwona przez cały rok nacierała, przy czym musiała forsować Dźwinę, Niemen, Berezynę, dolny Dniepr, Dniestr, Prut, Bug, Wisłę (przyczółek sandomierski). Niemcy natomiast przez cały ten rok jedynie się bronili, przy czym bronili się na rubieżach, do których przygotowania mieli co najmniej kilka miesięcy.

Straty nieodwracalne Niemców okazały się w tym wypadku nawet w i ę k s z e od strat Armii Czerwonej! Tak, straty ogólne Armii Czerwonej były większe od strat przeciwnika. Chociaż trudno coś takiego mówić — jest to*„normalne"*. Stosunek strat nacierających i broniących się jak 1,8 do 1 przysparza chwały każdemu dowódcy armii nacierającej. Mówią, że nasi marszałkowie nie żałowali ludzi, a całe ich operacyjne mistrzostwo sprowadzało się do tego, aby przeciwnika zasypać trupami. Mówią, że Amerykanie i Anglicy ludzi oszczędzali, wszystko zaś osiągali za pomocą samego sprzętu i bombardowań. Ludzie nie mówią tak bez powodu. Sojusznicy walczyli inaczej. Nikt nie zakrywał swoim ciałem ambrazury DOT–u, nikomu z wielu tysięcy lotników amerykańskich nawet nie przyszło do głowy wykonanie taranu powietrznego, żaden z dowódców nie gnał kompanii karnych na pola minowe. Sposoby prowadzenia działań bojowych różniły się zdecydowanie.

Nie o sposobach tu jednak mówimy, lecz o rezultatach. A rezultaty są szokujące.

Wszystkie działania bojowe sojuszników zmierzające do wyzwolenia (okupacji) Niemiec Zachodnich — od wyjścia ku granicom Rzeszy we wrześniu 1944 roku do *„spotkania na Łabie"* w kwietniu 1945 roku— w kategoriach rozmachu przestrzennego, liczebności zgrupowania przeciwnika i głębi natarcia odpowiadają jednej tylko wiślańsko–odrzańskiej operacji Armii Czerwonej. Jeśli ktoś ma wątpliwości, może wziąć mapę lub globus albo poczytać Tippelskircha, Fullera, Harta Taylora...

Ogólne straty sojuszników w tym okresie (wrzesień 1944–kwiecień 1945) wyniosły 500 tys. ludzi [46], natomiast nasi *„bezlitośni wodzowie"* podczas wspaniałego natarcia od Wisły do Odry stracili 193 tys. zabitych i rannych [35, s. 213]. O 2,5 raza mniej!!!

W całym okresie działań bojowych na europejskim TDW (od lądowania na Sycylii w lipcu 1943 roku do zwycięskiego maja 1945 roku) sami tylko Amerykanie (bez Anglików i Ka. nadyjczyków) stracili 766 tys. zabitych i rannych [144]. Dziwna zbieżność — liczba ta odpowiada dokładnie liczbie ogólnych strat Armii Czerwonej w najkrwawszej operacji 1944 roku — białoruskiej. Pamiętajmy, że na

Białorusi rozgromiono zgrupowanie Wehrmachtu o takiej liczebności (63 dywizje i 3 brygady), z jaką alianci na placu boju nie spotkali się nigdy (w północnej Francji latem 1944 roku Niemcy posiadali w sumie 35 dywizji). Pamiętajmy też, że żołnierze niemieccy o wiele bardziej ochoczo porzucali broń i poddawali się na Zachodzie aniżeli na Wschodzie.

Wszystkie te liczby tak zdecydowanie odstają od naszych wyobrażeń o wojnie na zachodzie Europy (*„lekki spacerek"*, *„Niemcy z nimi nawet sensownie nie walczyli"*), że trudno nam w nie uwierzyć. Do głowy przychodzą od razu *„zbawienne domysły"*: prawdopodobnie zniewieściali Anglicy wszelkie zadrapania uznawali za rany i stąd tak ogromne liczby strat (zabitych i rannych).

Niestety, wszystko to było o wiele bardziej tragiczne. Za wyzwolenie Europy od nazizmu nasi zachodni sojusznicy zapłacili życiem tysięcy swoich żołnierzy.

Sami tylko Amerykanie do 31 stycznia 1945 roku stracili na europejskim TDW 76 tys. zabitych. Do końca wojny (do 30 czerwca 1945 roku) ta straszna liczba wzrosła do 116 tysięcy [145, s. 230]. Zauważmy, że straty Armii Czerwonej w toku operacji wiślańsko–odrzańskiej były znacznie mniejsze — 43 tys. zabitych. W sumie w wojnie z Niemcami i ich sojusznikami Amerykanie stracili ponad 170 tys. zabitych [47, s. 602, 144, s. 418]. Ogólne straty Stanów Zjednoczonych (armia, lotnictwo, flota) w wojnie z Niemcami, Włochami i Japonią wyniosły 265 tys. zabitych i 651 tys. rannych. Ponadto 29 465 ludzi zaginęło bez wieści [145].

Siły zbrojne imperium brytyjskiego na wszystkich frontach drugiej wojny światowej straciły 326 tys. zabitych [47, 116]. Na samym tylko europejskim TDW i jedynie od września 1943 roku do stycznia 1945 roku (podczas wyzwalania Włoch, Francji i Belgii) Brytyjczycy stracili 124 tysiące zabitych [145]. Nawet jeśli uwzględnimy to, że na tę liczbę złożyły się także straty lotników RAF–u, staje się oczywiste, że w tej wojnie zwyciężać bez wielkich strat nie udało się nikomu. Straty nieodwracalne poniesione przez sojuszników podczas wyzwalania Europy wyrażają się liczbami tego samego rzędu co straty bezpowrotne Armii Czerwonej podczas jej największych operacji prowadzonych w lecie 1944 roku.

I jeśli milionom żołnierzy sojuszników udało się jakoś dożyć do zwycięstwa, to ich życia nie ocalili amerykańscy generałowie, ale żołnierze radzieccy, którzy podczas najcięższych walk lat 1943–1944 starli na proch największą i najlepszą część Wehrmachtu. Aliantom pozostało już tylko dobić tych, którzy ocaleli. Ale przy tym *„dobijaniu"* sojusznicy stracili setki tysięcy ludzi. Dlatego autor nie widzi żadnych logicznych podstaw, by zakładać, że Montgomery, Patton czy Eisenhower, gdyby wymagano od nich przeprowadzenia natarcia o

takim rozmachu, jakie prowadziła Armia Czerwona od Bałtyku do Dunaju, straciliby mniej żołnierzy niż Bagramian, Rokossowski, Czerniachowski, Koniew...
Jedynie Wehrmachtowi raz się naprawdę powiodło. Przy niewielkich stratach, na cudzej ziemi udało mu się rozgromić, rozgonić po lasach i wziąć do niewoli ogromną Robotniczo–Chłopską Armię Czerwoną Związku Radzieckiego, opanować ogromne terytorium, sforsować szerokie jak morze rzeki.
Było to możliwe tylko dlatego, że miliony robotników i chłopów odzianych w żołnierskie bluzy nie chciały walczyć.

CZĘŚĆ 5 KIEDY ZACZĘŁA SIĘ WIELKA WOJNA OJCZYŹNIANA

DWADZIEŚCIA LAT Z RZĘDU

Czy Związek Radziecki był przygotowany do wojny? To ulubione pytanie *„historyków"* radzieckich, które z wielkim entuzjazmem przeżuwali w setkach publikacji i przy okrągłych stołach.

Wybacz, Czytelniku, nachalność, ale wydaje mi się, że dyskusję z tego powodu czas już zakończyć. Sojusz Niezłomny był gotów. Podobnie jak śnieżna lawina, gotowa oderwać się po jednym huku wystrzału, stalinowskie mocarstwo było gotowe do tego, aby… runąć po pierwszym silniejszym uderzeniuz zewnątrz. Czyż można dalej toczyć spór o gotowość do wojny, jeśli, według najskromniejszych ocen, ponad połowa składu osobowego armii zdezerterowała lub się poddała?

Niemniej jednak wojna zakończyła się nie we Władywostoku ani nawet w Moskwie, ale w Berlinie. Ten bezsporny fakt stawia przed każdym sumiennym historykiem co najmniej dwa wzajemnie powiązane pytania: — dlaczego latem 1941 roku kadrowa Armia Czerwona okazała się absolutnie nieprzygotowana do stawienia zorganizowanego oporu?
— co było przyczyną tego zasadniczego i jakościowego przełomu w toku działań bojowych, w którego rezultacie Niemcy musieli podpisać akt bezwarunkowej kapitulacji?
Mówiąc poważnie, pierwsze z tych pytań nie jest już pytaniem. Od czasu, gdy odtajniono dokumenty archiwalne dotyczące jeńców i dezerterów, milionów porzuconych karabinów i dziesiątek tysięcy czołgów i dział, bezpośrednia przyczyna klęski nie budzi żadnych wątpliwości. Takie jest przekonanie autora tej książki.
O ile prosta i oczywista jest przyczyna klęski Armii Czerwonej, o tyle złożona i niejednoznaczna wydaje się odpowiedź na pytanie: dlaczego państwo, armia i naród okazały się tak niedołężne? Jak mogło dojść do tego w państwie, które do dziś uważane jest przez wielu za wzór surowego porządku i żelaznej dyscypliny? Dlaczego w tamtych dniach potężna maszyna totalitarnego despotyzmu obróciła się w stertę chaotycznie porozrzucanych kół i śrubek?
Co było przyczyną — cud, szatańskie opętanie, ingerencja sił z zaświatów?

Archiwa Trzeciej Rzeszy znane są od dawna i dokładnie. Nie ma wątpliwości co do tego, że żadnych generatorów promieni X, żadnej broni psychologicznej w arsenałach armii niemieckiej nie było. Tak jak nie było w nich niczego zasadniczo nowego, nieznanego, a co za tym idzie— zdolnego do wzbudzania panicznego strachu.
A jednak w 1941 roku bez cudów się nie obeszło. Cud był jednak wytworem ludzkich rąk. Tak samo jak w 1929 roku, o czym N. I. Bucharin pisał w uniesieniu:
„GPU dokonało największego cudu wszech czasów — zdołało zmienić naturę rosyjskiego człowieka" [125, s. 257].
Dotychczas autor starał się trzymać konsekwentnie faktów i dokumentów. Było to o tyle prostsze, że nasza dyskusja dotyczyła bagnetów, kilometrów, ton, numerów dywizji, godzin, prędkości itp. To wszystko. Dalej — ślepy zaułek. Poważne odpowiedzi na postawione powyżej pytania wymagają przejścia do całkiem innej nauki — do psychologii społecznej. Ponieważ jednak otwarta pozostaje kwestia, czy w dzisiejszych czasach jest to nauka w pełnym tego słowa znaczeniu, tym trudniejsze wydaje się przeprowadzenie analizy społeczeństwa radzieckiego epoki stalinowskiej.
W ZSRR nie było prawdziwych wyborów ani wolnej prasy, ani badań opinii społecznej, ani swobody wyjazdu poza granice *„wielkiej strefy"*. Człowiek radziecki nie mógł wyrażać swego stosunku do władzy ani w biuletynach wyborczych, ani w wolnej i niezawisłej gazecie, ani nawet nogami, czyli poprzez emigrację. Jak możemy dziś zrozumieć to, z jakimi myślami i uczuciami słuchali ludzie radzieccy w niedzielę 22 czerwca 1941 roku głosu towarzysza Mołotowa, który z czarnego talerza głośnika wzywał ich: *„jeszcze mocniej zewrzyjmy szeregi wokół naszej wspaniałej partii bolszewickiej, wokół naszego radzieckiego rządu, wokół naszego wielkiego wodza towarzysza Stalina…"*
Dokładnej, satysfakcjonującej wszystkich odpowiedzi na te pytania nie ma i nie będzie. Nigdy. Możemy tylko dyskutować na temat bardziej lub mniej zasadnych przypuszczeń, mówiąc naukowo — stawiać hipotezy. Tak więc autor proponuje wyjść od natępującej hipotezy roboczej:
N a s i o j c o w i e i d z i a d o w i e n i e b y l i g ł u p s i o d na s.

Podstawę do przyjęcia takiej właśnie hipotezy stanowią nie tylko godny pochwały szacunek dla starszych, ale i pewne argumenty logiczne.
Trzy czwarte ludności przedwojennego Związku Radzieckiego mieszkało na wsi i w małych miastach. Nie czytali oni radzieckich gazet ani przed posiłkiem, ani po nim. Z bardzo prostej przyczyny: ludzie ci w większości byli analfabetami. Wieści o rewolucji kulturalnej przeprowadzonej przez bolszewików są bowiem mocno przesadzone.

Podczas spisu ludności w 1937 roku okazało się, że nawet wśród młodzieży w wieku lat 18–19 było 8,5% niepiśmiennych, a wśród trzydziestolatków analfabetą był już co czwarty.
W 1939 roku wykształcenie obejmujące siedem klas i więcej posiadało 8,2% robotników i zaledwie 1,8% kołchoźników! [74, s. 64]. Wiosną 1936 roku ówczesny dowódca Białoruskiego Okręgu Wojskowego komandami 1. rangi I. P. Uborewiczmówił:
„Z każdym poborem żołnierzy ze wsi przychodzi do koszar 35 półanalfabetów na stu. Ale ci półanalfabeci to w gruncie rzeczy prawdziwi analfabeci: ledwo napiszą nazwisko i w ciągu godziny przeczytają dwie strony. To ludzie, którzy nie wiedzą, kim jest Stalin, kim jest Hitler, gdzie Zachód, a gdzie Wschód, czym jest socjalizm" [**WIŻ**, 1988, nr 10].
Nieco bardziej wykształceni byli ojcowie–dowódcy. Przytoczmy jeden charakterystyczny przykład. W kwietniu 1948 roku spośród 171 komendantów wojskowych we wschodnich Niemczech (możemy się domyślać, że na stanowiska te dobierano najsolidniejszych pod każdym względem oficerów) 108 posiadało wykształcenie podstawowe, 52 średnie, a jedynie 11 oficerów posiadało wyższe wykształcenie [74, s. 65].
Główne urządzenie do mobilizowania narodu znajdowało się w stadium prac laboratoryjnych, a narkotyzujące iglice telewizyjne nie zdążyły jeszcze wystrzelić w niebo. Prawdę mówiąc, chociaż na wszystkich słupach wisiały czarne talerze głośników, to płynęło z nich więcej trzasków i szumów niż pożytku — zarówno z tego powodu, że ludzie byli zajęci przede wszystkim wyczerpującą pracą, jak i na skutek niskiego poziomu profesjonalizmu ówczesnych mówców.
Wszystko to pozwala nam zakładać, że prości ludzie radzieccy kierowali się swoim rozumem. Właśnie tak: nie tym szybko rozwiniętym poprzez czytanie i nauczanie, nie tym wzbogaconym bagażem kulturalnym poprzednich epok, ale swoim. Prostym i jasnym, niezanieczyszczonym przez

mass media. Oto dlaczego autor proponuje wyjść od tego, że stos unek szeregowego radzieckiego kołchoźnika (a właśnie spośród nich została zebrana wielomilionowa armia) do życia, do władzy, do rozpoczętej wojny był w pełni adekwatny do stosunku władzy do jego życia.
Wojownicze wrzaski oficjalnej propagandy tylko potęgowały nastroje przygnębiającego zagubienia. Małe były nadzieje na to, że głupie i wystraszone kierownictwo zdoła wyciągnąć się z biedy, w którą samo wepchnęło kraj. *„Wielki wódz i nauczyciel towarzysz Stalin"* uparcie (do 3 lipca 1941 roku) milczał, a to ogłuszające, dwunastodniowe milczenie wyzwalało najbardziej mroczne przypuszczenia. Albo odwrotnie —

najbardziej tęczowe nadzieje na szybką zmianę tej niebywałej, ludożerczej władzy.
Przypomnijmy, że jeśli dla nas czerwiec 1941 roku to przeszłość odległa o całe sześćdziesiąt lat, to dla tych, którzy w południe 22 czerwca słuchali przemówienia Mołotowa, wszystko zaczęło się jakieś dwadzieścia lat wcześniej...

„11 lipca 1921 roku
m. Tambow

Zarządzenie Komisji Pełnomocnej WCIK nr 171 Aby ostatecznie wyrwać zwierzęco–bandyckie korzenie, Komisja Pełnomocna WCIK rozkazuje:
1. Obywateli, którzy nie chcą ujawnić swego nazwiska, rozstrzeliwać na miejscu bez sądu (...)
4. Rodzina, w której ukrywa się bandyta, podlega aresztowaniu i zsyłce z guberni, jej majątek konfiskuje się, najstarszy pracujący w tej rodzinie zostanie rozstrzelany na miejscu bez sądu.
5. Rodziny, które ukrywają członków rodziny bandyty, rozstrzeliwać jako bandyckie, a najstarszego pracującego w tej rodzinie rozstrzelać na miejscu bez sądu.
Podpisali: Antonow–Owsiejenko, Tuchaczewski".

„12 lipca 1921 roku
m. Tambow

Lasy, w których ukrywają się bandyci, powinny zostać oczyszczone za pomocą gazów duszących. Działania powinny być obliczone tak, aby zasłona gazowa, przenikając do lasu, zniszczyła wszystko, co żyje.

Podpis: Tuchaczewski".

„23 lipca 1921 roku
m. Tambow

Zarządzenie Komisji Pełnomocnej WCIK nr 171 Doświadczenie pierwszego odcinka bojowego pokazuje dużą przydatność do szybkiego oczyszczenia z bandytyzmu znanych rejonów w następujący sposób: czystki. Mieszkańcom daje się 2 godziny na wydanie bandytów i broni, a także rodzin bandytów. Jeśli ludność bandytów i broni nie wyda, po upływie dwóch godzin wziętych zakładników na oczach ludności rozstrzeliwuje się, po czym wybiera się nowych zakładników i zebranym powtórnie nakazuje się wydać bandytów. Każdy powinien złożyć zeznanie, nie wykręcając się niewiedzą. W przypadku uporu kontynuować rozstrzelania.

Podpisali: Antonow–Owsiejenko, Tuchaczewski".

„ 10 lipca 1921 roku
Meldunek Przedstawiciela Pełnomocnej «piątki»
towarzysza Uskonina

3 lipca przystąpiliśmy do operacji we wsi Bogosłowka. Mało gdzie widzieliśmy tak zamknięte w sobie i zorganizowane chłopstwo. Wszyscy, od małego do staruszka przyprószonego siwizną, na pytanie o bandytów zasłaniali się całkowitą niewiedzą.

Zastosowano te same metody co w Osinówce: spośród wziętych zakładników w liczbie 58 ludzi 4 lipca rozstrzelano pierwszą grupę 21 ludzi, 5 lipca— 15 ludzi, zatrzymano 60 rodzin bandyckich — około 200 ludzi. W rezultacie przełom osiągnięto, chłopi zaczęli wyłapywać bandytów i odnaleźli ukrywaną broń.

Co się zaś tyczy wsi Kariejewki, która w związku z dogodnym położeniem była dobrą kryjówką dla bandytów, «piątka» podjęła decyzję o zniszczeniu wioski, wysiedleniu bez wyjątku całej ludności i konfiskacie jej majątku. Po zebraniu cennych materiałów — ram okiennych, siewników itp. — wieś została spalona" [128,129].

„ 19 marca 1922 roku
m. Moskwa

List do członków Biura Politycznego
(...)*teraz, w tym jedynym i wyjątkowo sprzyjającym momencie, mamy niemal stuprocentową szansę na odniesienie pełnego sukcesu i rozbicie nieprzyjaciela oraz zabezpieczenie sobie niezbędnych pozycji na wiele dziesięcioleci. Właśnie teraz i tylko teraz, kiedy w rejonach głodu dochodzi do kanibalizmu, a na drogach walają się setki, jeśli nie tysiące trupów, możemy (i powinniśmy) z najwścieklejszą i bezlitosną energią przeprowadzić konfiskatę dóbr cerkiewnych, nie wahając się zdławić żadnego oporu.*
Im więcej przedstawicieli reakcyjnego duchowieństwa i reakcyjnej burżuazji uda się nam z tego powodu rozstrzelać, tym lepiej: trzeba właśnie teraz dać nauczkę temu towarzystwu, tak aby na kilka dziesięcioleci o żadnym oporze nie śmieli nawet myśleć. Możemy zabezpieczyć sobie fundusze rzędu setek milionów złotych rubli (trzeba pamiętać o gigantycznych bogactwach niektórych klasztorów). Bez tych funduszy nie do pomyślenia jest realizacja żadnych zadań państwowych, w szczególności w zakresie budownictwa gospodarczego i utrzymania pozycji w Genui.
Podpis: Ulianow (Lenin)"
[**„Izwiestia"** KC KPZR, 1990, nr 4, s. 192].

Oto wojna. Bezlitosna, wieloletnia wojna. Wojna bez jakichkolwiek zasad, poza granicami człowieczeństwa. Tysiące (a w rzeczy samej —

miliony) trupów zmarłych z głodu wywołują zachwyt. Zagrabione miliony zamierza się wydać na cokolwiek, tylko nie na ratowanie głodujących (statystyki radzieckie pokazują, że w latach 1922–1923 zakupiono za granicą zboże za 1 milion rubli).

Zwykłe stłamszenie otwartego protestu już bolszewikom nie starcza — chłopi powinni sami wyławiać powstańców i wydawać na zgubę *„członków rodzin bandytów"*, tj. kobiety i dzieci. A wszystkich tych, w których została choćby kropla chrześcijańskiego miłosierdzia, rozstrzelać na miejscu. Bez sądu. Rozstrzelać, oczywiście nie po to, aby zdobyć *„cenne materiały"* w rodzaju ram okiennych i siewników, ale właśnie po to, aby na dziesiątki lat odzwyczaić ludzi od samej myśli o możliwości stawiania oporu wobec nowej władzy. Słowo *„rząd"* kazano pisać dużą literą, a słowo *„Bóg"* — małą.

Potem, kiedy władza umocniła się i napisała potrzebne sobie prawa, rozstrzeliwać i wsadzać do więzienia zaczęto po osądzeniu. 7 sierpnia 1932 roku przyjęto znamienite prawo o zaostrzeniuodpowiedzialności karnej *„za kradzieże i rozkradanie własności kołchozowej"* — naród znał je jako *„prawo trzech kłosków"*. Tylko od sierpnia 1932 roku do grudnia 1933 roku na podstawie tego prawa aresztowano i osądzono 125 tysięcy *„nowych pańszczyźnianych"*, z czego 5400 rozstrzelano.

Wobec rozmiarów bolszewickiego terroru liczba niby niewielka, ale należy przypomnieć, że w autokratycznej, obszarniczej Rosji carskiej w ciągu 80 lat (od 1825 roku do 1905 roku) wydano 625 wyroków śmierci, z których wykonano jedynie 191…

Okrucieństwo stalinowskiego reżimu nie było bynajmniej następstwem złych sadystycznych skłonności nowych wodzów. Nic podobnego. Głowy mieli chłodne, jasne i doskonale rozumieli, że inaczej się nie da. Nawet w najbardziej pomyślnych czasach NEP–u istniejące chłopskie gospodarstwa towarowe stanowiły nie więcej niż 15–20%. Oznaczało to, że jedną rodzinę robotnika miejskiego mogło wyżywić pięć–sześć zagród chłopskich. Czy towarzysza Stalina, rozmyślającego nad stworzeniem ogromnej armii i uzbrojeniem jej w najnowszy sprzęt, mogły zadowolić takie proporcje?

W 1930 roku na Ukrainie państwo zabrało z kołchozów 30% zboża, a na północnym Kaukazie — 38%. W następnym roku — odpowiednio 42% i 47%. Plan na 1932 roku przewyższał ten z 1931 roku o 32%. Co więcej, kiedy jesienią 1932 roku stało się jasne, że planu magazynowania zapasów nie uda się wykonać nawet w drodze pełnej konfiskaty całego zboża (wliczając w to zapasy rodzinne), rozwścieczeni przywódcy kremlowscy nakazali konfiskować w kołchozach nie wykonujących planów magazynowania zboża także *„niezbożowe zapasy*

żywności" — słoninę, ziemniaki, cebulę, buraki, marynaty [129,131].

Wątpliwe jest, aby przy istniejącej wtedy infrastrukturze transportu, ochrony i obróbki produkcji rolnej większa część skonfiskowanej żywności dotarła do robotniczych stołówek.

Był to tak naprawdę terror głodem. Po raz kolejny bols zewicy przypomnieli sobie wezwanie swojego wodza i nauczyciela: *„dać nauczkę, tak aby na kilka dziesięcioleci o żadnym oporze nie śmieli nawet myśleć"*.

Na Ukrainie, nad Donem, a następnie na Powołżu i w Kazachstanie rozpoczął się masowy ś m i e r t e l n y g ł ó d. Byratować się od śmierci głodowej, miliony chłopów wyjechały, poszły i popełzły do miast.

Władza zareagowała szybko. 22 stycznia 1933 roku ukazała się decyzja rządu ZSRR podpisana przez Mołotowa i Stalina:
„Komitet Centralny i Rząd mają dowody na to, że masowe ucieczki chłopstwa organizowane są przez wrogów władzy radzieckiej, kontrrewolucjonistów i polskich agentów (...)*zabronić wszelkimi możliwymi środkami przemieszczania się chłopstwa Ukrainy i północnego Kaukazu do miast"* [129, s. 170].
Skazane na śmierć głodową rejony otoczono wojskiem. Już w pierwszym miesiącu tej *„kwarantanny"* OGPU zameldowały o zatrzymaniu 219 460 ludzi!
Konsul włoski w Charkowie raportował swoim przełożonym w Rzymie [129]:
„W ciągu tygodnia została utworzona służba do chwytania porzuconych dzieci. O północy wywożono je ciężarówkami na dworzec towarowy nad Dońcem Siewierskim, tam znajdował się personel medyczny, który prowadził segregację. Tych, którzy jeszcze nie opuchli od głodu i mogli przeżyć, wysyłano do baraków na Głodowej Górze lub do spichlerza, gdzie na słomie umierało jeszcze 8000 dusz, głównie dzieci. Słabych wysyłano pociągami towarowymi za miasto i pozostawiano, aby umierali z dala od ludzi. Po przybyciu wagonów wszystkich zmarłych wyrzucano do przygotowanych już wielkich rowów.
(...) *każdej nocy w Charkowie zbiera się po 250 trupów zmarłych z głodu i na tyfus. Dostrzega się, że wiele z nich nie ma wątroby, z której przygotowuje się paszteciki (pirożki — dop. tłum.) i handluje nimi na rynku"*.
Głód z 1933 roku w dwóch zasadniczych sprawach różnił się od głodu z 1921 roku.
Po pierwsze — został wywołany sztucznie, natomiast głód z 1921 roku wybuchł z przyczyn *„naturalnych"* (jeśli spustoszenie i upadek gospodarki narodowej w wyniku wojny rozpętanej przez bolszewików nazwać można procesem naturalnym). Plony w roku 1932 roku były zadziwiająco niskie, ale przecież nieurodzaj nie był przyczyną śmierci

milionów ludzi. Tylko na Ukrainie na poczet zapasów państwowych zebrano 36,5 mln cetnarów ziarna [123]. Założywszy, że do przeżycia jednego człowieka wystarczyłyby dwa cetnary ziarna na rok, dochodzimy do wniosku, że samych tylko zapasów państwowych wystarczyłoby, aby zaopatrzyć w kromkę chleba 18 mln głodnych. A ile ziarna po prostu zgniło z braku krytych klepisk i elewatorów, a ile przetworzono na wódkę…

Po drugie — dobry wujek Ilicz wydzielił jakieś drobne sumy na zakup żywności za granicą. Towarzysz Stalin wywiózł z głodującego kraju 17,3 mln cetnarów zboża w 1932 roku i 16,8 mln cetnarów — w 1933 roku [132]. W tym samym roku, gdy w Charkowie pieczono paszteciki z ludzkiego mięsa, z ZSRR odprawiono na eksport 47 tys. ton produktów mięsnych, 54 tys. ton ryb [132]. Kraj ludożerców eksportował mąkę, cukier, kiełbasę, słonecznik…

Dokładne liczby, charakteryzujące rozmiary tej bezprzykładnej w historii ludzkości ofiary, nie zostaną już nigdy określone. Według obliczeń ukraińskiego historyka S. Kulczyckiego (od końca lat sześćdziesiątych pracował nad analizą statystyki demograficznej) tylko w 1933 roku na Ukrainie zmarło z głodu 3–3,5 miliona ludzi [131]. Populacja Kazachstanu zmniejszyła się w tych latach z 6 do 3 milionów ludzi [74]. Na Powołżu konfiskaty produktów niezbożowych nie było (to znaczy ziemniaki i ogórki kiszone kołchoźnikom zostawiono). W rezultacie w wyniku głodu zmarło *„jedynie"* 400 tysięcy ludzi.

Głównym — ze względu na liczebność — wrogiem, z którym walczyli bolszewicy, było chłopstwo, które w 1917 roku stanowiło cztery piąte ludności kraju. Ale i o mieszczuchach nowa władza nie zapominała. Od lutego 1930 roku do grudnia 1931 roku z wielkich miast deportowano ponad 1,8 mln zdeklasowanych elementów oraz ludzi naruszających przepisy meldunkowe [129]. Pod określenie to podpadali nie tylko burżuazyjni profesorowie i inżynierowie, nie tylko bezdomni chłopi, uciekający od kołchozowego głodu do miast, ale i robotnicy miejscy, których obława zastała na ulicy bez dowodu w kieszeni. W dokumentach archiwalnych odnotowano przypadki, gdy łapano ludzi z dowodami — dla zwiększenia liczb w meldunkach; odnotowano epizod, gdy z Moskwy jako *„naruszającego przepisy meldunkowe"* deportowano naczelnika oddziału rejonowego milicji.

Na tych deportowanych, którym się powiodło, czekała praca na wielkich budowach komunizmu. Na przykład w Magnitogorsku we wrześniu 1932 roku mieszkało 42 462 specjalnych zesłańców, co stanowiło dwie trzecie ludności tego *„miasta marzeń"*. Nie wszyscy jednak mieli takie szczęście.

„20 i 30 kwietnia 1932 roku z Moskwy i Leningradu wysłano do pracy na zesłaniu dwa transporty zdeklasowanych elementów, w sumie 6144 ludzi. Po przybyciu do Tomska kontyngent ten przesadzono na barki i

odstawiono na wyspę Nazino. Na wyspie nie było żadnych narzędzi, żadnych budynków ani ziarna, ani odrobiny żywności. 19 maja spadł śnieg, podniósł się wiatr, a następnie przyszedł mróz. Ludzie zaczęli umierać. Po pierwszych dniach brygada grabarzy zdołała zakopać 295 trupów. Dopiero czwartego lub piątego dnia dotarła na wyspę dostawa mąki żytniej, którą wydawano po kilkaset gramów. Po otrzymaniu mąki ludzie biegli do wody i w czapkach, marynarkach i spodniach rozpuszczali ją na papkę i jedli. Przy tym ogromna ich część po prostu zjadła mąkę, padała, dusiła się i umierała. Następnie zastraszająco szerzył się kanibalizm. W rezultacie z 6100 ludzi, którzy przybyli z Tomska (plus 500–700 ludzi przerzuconych z innych komendantur), do 20 sierpnia pozostało przy życiu 2200 ludzi" [129, s. 162].

To fragmenty z meldunku instruktora narymskiego komitetu miejskiego partii w Zachodniosyberyjskim komitecie krajowym WKP(b). Sądząc po tych danych, koszmar na wyspie Nazino nie był niczym wyjątkowym. W toku pierwszego przerejestrowania specjalnych zesłańców, przeprowadzonego w styczniu 1932 roku, ujawniono ubytek 500 tysięcy ludzi, zmarłych i zbiegłych (na pewną śmierć) do tajgi.

Oto dlaczego autor prosi czytelników, których uraziła być może fraza o *„ludożerczej władzy"*, aby nie obrażali się niepotrzebnie. To nie metafora, ale prosta konstatacja faktu. Władza bolszewicka świadomie i z zimną krwią zamieniła kilka milionów istnień ludzkich na amerykańskie fabryki traktorów (czytaj — czołgów), na francuskie silniki lotnicze, na niemieckie walcownie. W tych latach towarzysz Stalin nawet w koszmarze sennym nie mógł zobaczyć 3 lipca 1941 roku, kiedy dzwoniąc drżącą szczęką o brzeg szklanki z wodą, będzie zmuszony zwrócić się do *„braci i sióstr"* i właśnie ich — upokorzonych, ograbionych, oszukanych— nazwać *„obywatelami"* i wezwać do broni.

Masowe represje lat 1929–1933 wraz z prostymi, prozaicznymi zadaniami *„państwowymi"* (zabezpieczyć rozwijający się przemysł supertanią siłą roboczą i darmowymi produktami rolnymi, zebrać złoto i walutę na zakup zachodniej technologii) miały swoje cele i wymagały rozwiązania jednego bardzo złożonego problemu. Nowa klasa rządząca od góry do dołu składała się z ludzi posiadających doświadczenie osobiste. Doświadczenie organizowania powstań, oddziałów partyzanckich, czerwono–zielonych *„gwardii"* itp. To doświadczenie i ci ludzie nie mogli nie trwożyć partyjnej wierchuszki.

Dopiero porozkułaczeniu, kolektywizacji, klęsce głodu Stalin i jego kompania mogli odetchnąć. Teraz wiedzieli: dla aktywistów wydłubujących kaszę–zacierkę z kociołka głodujących już nie ma i nie będzie drogi odwrotu ku ograbionemu narodowi. Powiązani kręgiem bezmiernego złodziejstwa mogli teraz tylko pokornie brnąć w dół po krętej linii partii.

W styczniu 1934 roku tak gorąco kochany przez naszych

„sześćdziesięciolatków" Sergo Ordżonikidze pisał do jeszcze bardziej umiłowanego S. M. Kirowa: *„Kadry, które przeszły sytuację lat 1932–1933 i wytrzymały, zahartowały się jak stal. Myślę, że będzie można z nimi stworzyć Państwo, którego historia jeszcze nie znała"* [129]. Prorocze słowa. Głęboko prawdziwe. Historia Rosji wcześniej niczego takiego nie znała. I takich *„kadr"*, które mogłyby codziennie porzucać opuchłe od głodu dzieci w głuchym stepie, w dawnych czasach, w starej Rosji trzeba by dobrze poszukać. Niestety ani autor listu, ani jego adresat nie dożyli 1941 roku i dlatego nie zobaczyli, jak sprawiły się *„zahartowane kadry"* w obliczu uzbrojonego przeciwnika. Co więcej, w warunkach *„pokojowego wytchnienia"* (które dla prostego narodu okazało się straszniejsze od imperialistycznej wojny) nowa elita proletariackiego państwa nie tylko zahartowała się, ale — mówiąc językiem metalurgii — rozhartowała się.

„Wyszłam za mąż w 1929 roku. Bajeczne życie, bajeczne… Mieszkanie na Placu Manežowym, naprzeciwko Kremla. Sześć pokoi. Jeździłam na obiady. Woziłam w menażkach — nie stygły, to blisko od Kremla, a dla naszego samochodu zawsze było zielone światło. Obiady były pyszne, kucharze znakomici, dziewięciu ludzi najadłoby się takim obiadem dla dwojga. Do obiadu dawano zawsze pół kilo masła i pół kilo czarnego kawioru. Wraz z obiadem można było wziąć produkty garmażeryjne, słodycze, trunki. Wódka czerwona, żółta, biała. W karafkach. Cudowne kotlety schabowe" [130, s. 154].

To wspomnienia żony. Żony nawet nie jakiegoś wysokiego urzędnika, ale syna byłego członka Politbiura, będącego w tym czasie w niełasce Kamieniewa. Kremlowskie bitki, jak rubaszną metaforę swego przyszłego losu, spożywał on w wąskim rodzinnym kręgu. Czynni szefowie *„moralnie gorszyli się"* zbiorowo i z większym splendorem.

„Rozkoszny salon klubu pogrążony był w półmroku. Ogromna obrotowa kula, podwieszona pod sufitem, rozrzucając po sali zajączki, stwarzała iluzję padającego śniegu. Mężczyźni w mundurach i smokingach, damy w długich wieczorowych sukniach lub obcisłych strojach kręciły się w tańcu przy dźwiękach jazzu. Wiele kobiet miało maski i nadzwyczaj barwne stroje, wypożyczone z garderoby Teatru Bolszoj. Stoły uginały się od szampana, likierów i wódki… Jakiś pułkownik wojsk ochrony pogranicza krzyczał w pijanej ekstazie: «To jest życie, chłopcy! Dzięki towarzyszowi Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo!»"

Tak znamienity czekista–odszczepieniec, rezydent NKWD w Hiszpanii Orłów (Feldbin) opisuje bal w klubie NKWD, który odbył się w 1936 roku. Powiedzmy prawdę: towarzysz Stalin w kostiumach z Teatru Bolszoj nie pląsał, a i szczęśliwe dzieciństwo swoich pułkowników widział nieco inaczej. Na przykład 3 lutego 1938 roku Biuro Polityczne podjęło kolejne postanowienie, w którym stwierdzano, że *„wielu aresztowanych spiskowców (Rudzutak, Rozenholz, Antipow, Mieżłauk,*

Karachan, Jagoda i in.) pobudowało sobie majestatyczne dacze–dwory po 15–20 pokoi, gdzie żyli wystawnie i tracili państwowe pieniądze, demonstrując tym swój pełny rozkład moralny i zwyrodnienie".
Niestety, walka Stalina ze zdemoralizowanymi i zwyrodniałymi odpowiadała — co do rezultatów — próbom wyciągnięcia się z bagna za własne włosy. Jeśli nie dacze, nie dwory i nie wódkę, to co innego mógł on zaproponować swym poplecznikom? Marzenie o światowej rewolucji wyjechało wraz z Trockim, a na zaproponowanie wyniesionym *„z chama na pana"* byłym wiejskim lumpenproletariuszom idei powszechnej równości i braterstwa nie mógł pozwolić sobie nawet sam Gospodarz. Pozostało mu tylko rozstrzeliwać jednych *„czerwonych bojarów"*, aby przestraszyć innych. Po wielu latach ocalałe dzieci i wnuki represjonowanej wierchuszki w wierszach i prozie wcisnęły łatwowiernym potomkom myśl o tym, że szczyt terroru bolszewickiego przypadł na 1937 rok, a głównymi ofiarami Wielkiej Rzezi byli komisarze ludowi i dowódcy armii. Gdybyż tak było…
W latach 1937–1938 organy NKWD aresztowały 1345 tys. ludzi, z tego 681 tys. rozstrzelano, 115 tys. zginęło w mękach podczas *„śledztwa"* lub zmarło w więzieniach i łagrach. Gdzie można było znaleźć tylu komisarzy ludowych, bolszewików *„gwardii leninowskiej"* i czekistów ze szkoły Dzierżyńskiego? Niestety, w organach bezpieczeństwa państwowego od października 1936 roku do sierpnia 1938 roku za *„przestępstwa kontrrewolucyjne"* aresztowano 1862 pracowników. Prawdopodobnie mocno się nie pomylimy, jeśli założymy, że na jednego *„wiernego leninowca"* przypadło stu niewinnie zgubionych chłopów, robotników, inżynierów, lekarzy… Ale świat urządzony jest tak, że tragedia rodzin nawet stu tysięcy kołchoźników nie zdoła przyciągnąć tak powszechnej uwagi, jak przyciąga ją jeden spadkobierca członka Biura Politycznego.
Na początku 1939 roku rozstrzeliwanie pracowników na stanowiskach kierowniczych szybko poszło w niepamięć, ale represje przeciwko *„prawdziwym gospodarzom swego kraju"* rosły. Rekordowy według liczby osądzonych był 1940 roku — 2300 tysięcy ludzi, przy czym w roku tym 57% wszystkich znajdujących się w gułagu miało wyroki nie mniejsze niż 5 lat, a *„polityczni"*, tj. sądzeni ze znanego leninowskiego paragrafu 58 KK, stanowili tylko 25–30% ogólnej liczby represjonowanych. Kierując się normalną ludzką logiką, można by założyć, że pozostałe 70% stanowili kryminaliści. Ale to nie tak. Jasne, że byli i kryminaliści, ale ogromną większość więźniów gułagu stanowili ludzie, którzy stali się ofiarami kryminalnych metod kierownictwa, uwięzieni przez stalinowską bandę. Wsadzano za 30–minutowe spóźnienie do walcowni, za złamane z powodu braku doświadczenia (lub z powodu nierealnych norm wydajności) wiertło, za zerwanie na ćwiczeniach gąsienicy nowego czołgu, za to że ktoś urodził się w

„wyzwolonej" wschodniej Polsce lub Besarabii, za toże daleki krewny z zagranicy przysłał kartkę pocztową, za niewykonanie obowiązkowego minimum dniówek obrachunkowych...
Co dziwne, wciąż jeszcze nie postrzegamy jako sensacyjnego odkrycia materiałów ze śledztw represjonowanych w czasach wojny generałów radzieckich, a niemal w każdej z tych spraw jest donos o tym, jak w rozmowach przy kieliszku*„herbaty"* oficerowie *„oszczerczo twierdzili, że żołnierze i dowódcy Armii Czerwonej w walkach nie przejawiają wytrwałości i nie są zainteresowani wojną, ponieważ przed wojną, będąc robotnikami i kołchoźnikami, żyli źle"* [124].
Przed wybuchem wojny, w styczniu 1941 roku, w obozach gułagu znajdowało się 1930 tys. osądzonych, dalsze 462 tys. ludzi znajdowało się w więzieniach, na *„specjalnym zesłaniu"* przebywało ponad 1200 tys. Razem: 3,6 miliona. A ogólny wynik przedwojennej *„siedmiolatki"* — to 6 milionów przebywających za kratami w latach 1934–1941 [129]. Nie w każdym kraju europejskim żyło tyle dorosłej ludności. Napisano o tym nawet pieśń: *„Nie znam drugiego takiego kraju, gdzie człowiek tak swobodnie oddycha"*.
À propos pieśni. Przerwiemy na pewien czas przytłaczające rozważania o niewyobrażalnych okropnościach i wspomnimy o pieśniach i filmach.

NIE SPODZIEWALI SI

Czytelnikowi, który w latach powojennych urodził się i żył na ulicy Pokoju, przy klubie *„Pokój"*, w domu obwieszonym plakatami *„Światu — pokój"*, przy akompaniamencie płynącej z głośnika pieśni ***Czy Rosjanie chcą wojny?***, bardzo trudno uwierzyć w to, że był czas, gdy w Związku Radzieckim w obiegu były całkiem inne pieśni.

Drgawki psychozy wojennej wstrząsały radzieckim społeczeństwem od pierwszych dni jego istnienia. *„Rozpalamy pożar światowy"* — tymi słowami rozpoczynała się bojowa pieśń, w której refrenie twierdzono, że *„od tajgi do brytyjskich mórz Armia Czerwona jest najsilniejsza"*.

„Należy tak zorganizować pracę wyższych sztabów, aby Armia Czerwo na mogła wypełnić swe zadania na dowolnym kierunku operacyjnym i dowolnym kierunku możliwego przyszłego frontu. Granice tego frontu w pierwszej kolejności określa obręb całego kontynentu Starego Świata" — tak oto przedstawiał wiosną 1921 roku doktrynę wojenną Armii Czerwonej M. W. Frunze, ówczesny szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej i przewodniczący Rewolucyjnej Rady Wojennej ZSRR [133]. Czynny członek rady (L. D. Trocki) opracowywał w tym czasie plan marszu 40–tysięcznego korpusu konnego przez Afganistan, Pendżab i Bengal ku brzegom Oceanu Indyjskiego [134].

Bodliwej krowie Bóg rogów nie daje. W latach dwudziestych Armia

Czerwona musiała się ograniczyć do wojowniczych pieśni. Na początku lat trzydziestych, gdy Stalinowi do wskrzeszenia przemysłu wojennego potrzebne były zachodnie technologie, nawet pieśni o takich planach zostały czasowo zmienione. Ale gdy Europa, nie bez wpływu zręcznych intryg kremlowskiego dyktatora, zaczęła się pogrążać w otchłani Wielkiej Wojny, retoryka żądzy krwi ponownie wypełniła wszystkie pory życia.

O wojnie śpiewano, o niej marzono — w wierszach i prozie. *„Gdzieś pod Królewcem o rozświcie / Będziemy ranieni oboje…"*[75] Te strofy K. Simonow napisał w czasie, gdy z Niemcami utrzymywano normalne stosunki dyplomatyczne i gospodarcze, a Związek Radziecki z Prusami Wschodnimi (których centrum stanowił właśnie Królewiec) nie miał jeszcze wspólnej granicy! Najbardziej znana książka lat poprzedzających wojnę — powieść Gajdara **Timur i jego drużyna** zaczynała się od takich słów: *„Minęły już trzy miesiące, a dowódcy pociągu pancernego pułkownika Aleksandrowa nie było w domu. Widocznie był na froncie"*. Czas akcji powieści — lato, początek letnich wakacji. Rok — albo 1939, albo 1940 (w toku akcji komsomolcy obchodzą rocznicę walk nad Chasanem). Żadnego *„frontu"* tamtego lata nie było. Nad Chałchyn–goł pociągu pancernego, którym dowodziłby pułkownik Aleksandrów, nie można było wysłać w żadnym wypadku. Szyn tam nie ma. Ale przedsmak bliskiej wojny był tak silny, że autor książek dla dzieci wymyślił sobie ten pożądany *„front"*. *„Naród radziecki nie tylko umie, ale i — można powiedzieć — lubi walczyć"* — krzyczał z trybuny XVIII Zjazdu Partii ludowy komisarz obrony K. J. Woroszyłow. *„Powinniście zrozumieć, że podstawową myślą nauki marksistowskiej jest ta, by przy wielkich konfliktach wewnątrz ludzkości wyciągnąć maksymalne korzyści dla komunizmu. Kapitalistyczny świat pełen jest świńskich okrzyków, które można zniszczyć tylko rozpalonym żelazem świętej wojny"* — głosił 22 maja 1941 roku towarzysz Kalinin, głowa państwa radzieckiego, na zebraniu pracowników aparatu Rady Najwyższej ZSRR [1, s. 444].
Tak, oczywiście *„wszechzwiązkowy starosta"* o niczym nie decydował i trzymali go tylko*„dla przyzwoitości"*, ale potwierdza to tylko fakt, że słowa Kalinina w pełni odpowiadały zamiarom samego Gospodarza. Główny bohater epokowego obrazu kinowego **Wielki obywatel** (jego pierwowzorem był S. M. Kirow) marzył: *„za dwadzieścia lat, po zwycięskiej wojnie, wyjść i spojrzeć na Związek Radziecki złożony z trzydziestu, czterdziestu republik"*. A skromny major A. I. Samojłow, występując 14 maja 1940 roku na naradzie Zarządu Politycznego RKKA, mówił: *„Nasi dowódcy zajmą w świecie pozycję oficerów brytyjskich. Tak być powinno i tak będzie. Będziemy uczyć cały świat"* [1, s. 425]. Towarzysza Samojłowa nikt do porządku nie przywołał. Nikt nie miał wątpliwości co do tego, że *„będziemy uczyć cały świat"*. Pewna

niejasność dotyczyła innego pytania: od czego i jak powinien się rozpocząć Wielki Marsz?

[75] — Przekład A. Kaski — por. K. Simonow, **Różne dni wojny**, t. 1, MON, Warszawa 1981, s. 37.

„Spokojnie płynie życie radzieckiego miasta. Niespodziewanie siły powietrzne sąsiedniego państwa napadają na ZSRR. Lotnictwo radzieckie otrzymuje zadanie bojowe. Trzy eskadry kierują się na głębokie tyły wroga. Siły powietrzne przeciwnika rozgromione, jego przemysł wojenny sparaliżowany (i wszystko dzięki trzem eskadrom — M.S.?). *Radzieckie siły naziemne, wykorzystując sukces lotnictwa, przerywają front przeciwnika. Radzieckie czołgi i konnica zadają śmiertelny cios wrogowi"*.

To narracja do filmu **Głęboki rajd**. Mostiechfilm. Rok produkcji — 1937.
„Granica radziecka. Zaskakujący nalot wrogiego lotnictwa. Radziecka grupa pancerna otrzymuje zadanie przejścia na terytorium agresora i rozgromienia jego sił głównych, ześrodkowanych pod miastem Ensburg. Wrogimi wojskami dowodzi generał von Buller. Radzieckie czołgi forsują rzekę i wykonują uderzenie na prawe skrzydło nieprzyjaciela. Wojska von Bullera pobite na głowę".
Czołgiści. Lenfilm. Rok produkcji — 1939.
Należy odnotować, że w tamtym roku wzdłuż całej zachodniej granicy ZSRR (wówczas była to granica z Polską, Łotwą i Estonią) nie było i być nie mogło żadnych *„burgów"*, a wśród polskich generałów trudno byłoby znaleźć *„von Bullera"*...
„Organa radzieckiego wywiadu przechwyciły rozkaz wyższego dowództwa (prawidłowo powinno być tak: niczego się nie spodziewamy, póki oni nas nie zaczną bombardować — M.S.)*nazistowskich Niemiec o przejściu granicy radzieckiej*.
Po wysadzeniu na polach minowych czołgów włamującego się przeciwnika nasze wojska przechodzą do natarcia. Na bombardowanie lotnisk hitlerowców wylatują tysiące (o, to rozumiem, a nie — trzy eskadry!— M.S.) *radzieckich samolotów"*.
Eskadra nr 5. Kijowskie Kinostudio. Rok 1939. Lotniska hitlerowców rozniesiono wtedy za jednym zamachem— tak jak i dwa lata wcześniej w filmie**Głęboki rajd**, i tylko wróg w ciągu tych lat stał się bardziej podstępny i wybudował podziemne lotnisko! Z nim to rozprawia się bohaterska Eskadra nr 5...
„No i po co to wszystko?— powie rozgniewany czytelnik. — *Małoż tego nakręcili i czy na tym się opierały militarne plany państwa?"*

Nie doceniać roli najważniejszej ze sztuk nie wypada. Dla

niepiśmiennych wiejskich mas — a właśnie spośród tych środowisk dwa razy w roku do szeregów armii napływały setki tysięcy poborowych — biały prosty ekran kinowy był podstawowym (jeśli nie jedynym) oknem na wielki świat.

Niemniej jednak strategia przyszłej wojny utrwaliła się także w innych dokumentach. Na przykład w ściśle tajnym, nigdy nie przeznaczonym dla przeciętnego widza planie osłony mobilizacji i rozwinięcia Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego [**WIŻ**, 1996, nr 4].

Jak wiadomo, przedwojenne plany osłony okręgów zachodnich przewidywały prowadzenie aktywnych działań bojowych już na etapie mobilizacji, ześrodkowania i rozwinięcia Armii Czerwonej. Przed lotnictwem Kijowskiego SOW stawiano takie oto zadania: *„a) następującymi po sobie uderzeniami lotnictwa bojowego na zlokalizowane bazy i lotniska, a także działaniami w powietrzu zniszczyć lotnictwo przeciwnika i od pierwszych dni wojny wywalczyć panowanie w powietrzu; d) poprzez zniszczenie mostów i węzłów kolejowych w Częstochowie, Katowicach, Krakowie, Kielcach, a także działaniami na zgrupowania przeciwnika załamać i powstrzymać Ześrodkowanie i rozwinięcie jego wojsk"*.

Dokładnie takie same zadania stawiano także w planachosłony innych okręgów. A w dyrektywie komisarza obrony (na podstawie której opracowywano okręgowe plany osłony) określona została także liczba lotów, które zamierzano wykonać w ciągu pierwszych 15 dni wojny: *„myśliwce — 15 wylotów, bombowce bliskiego zasięgu — 10 wylotów, bombowce dalekiego zasięgu — 7 wylotów"* [**WIŻ**, 1996, nr 2].

Oto jak dowództwo radzieckie widziało natężenie sił potrzebnych do tego, aby w wojnie z Niemcami *„od pierwszych dni wywalczyć panowanie w powietrzu"*, a jednocześnie *„załamać i powstrzymać ześrodkowanie i rozwinięcie wojsk przeciwnika"*: — jeden lot bojowy dziennie dla myśliwca;
— dwa loty bojowe w ciągu trzech dni dla bombowców frontowych; — jeden lot bojowy w ciągu dwóch dni dla bombowców dalekiego zasięgu.

Tak to sposobili się oni do ujarzmienia Europy — z wyczuciem, z sensem, z urzutowaniem. W parzyste — bombardujemy, w nieparzyste — idziemy do łaźni parowej.

Jeszcze bardziej godne uwagi detale ujawniono w grudniowym (1940 roku) ***„Planie rozwinięcia Frontu Południowo–Zachodniego"*** [16]:
„1 dzień działań. Dwa następujące po sobie naloty na lotniska

nieprzyjaciela, położone w strefie o głębokości 150–160 km. Siły: 16 pułków lotnictwa bombowego, 30 pułków bombowców szturmowych, 10 pułków lotnictwa myśliwskiego.
W ciągu 5, 6 i 7 dnia działań wykonuje się uderzenie na mosty przez rz. Wisła i węzły kolejowe. Siły: 13 pułków lotnictwa bombowego, 24 pułki bombowców szturmowych i 10 pułków lotnictwa myśliwskiego".
Oceńcie proporcje: już w pierwszym dniu wojny cztery bombowce osłaniać będzie tylko jeden myśliwiec! Innymi słowy — poważnego oporu ze strony Niemców po prostu nie oczekiwano.
Podobnie zaskakujące plany powstały w sztabie Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego. Marszałek lotnictwa Skripko (w tym czasie — dowódca 3. Korpusu Dalekiego Zasięgu) w swoich wspomnieniach opisuje, jak to na początku wiosny 1941 roku wezwano go do Mińska na grę dowódczo–sztabową.
„(...) *gra poświęcona była działaniom sił powietrznych frontu we frontowej operacji zaczepnej.*
Tak ważny problem, jak organizacja współdziałania bombowców dalekiego zasięgu i frontowych z myśliwcami, nie został nawet poruszony. W warunkach gry nie rozpatrywaliśmy także zadań bombowych, a osłonę wysadzenia desantu zabezpieczano zdobyciem panowania w powietrzu" [50].
Należy zauważyć, że w związku z przedwojennymi planami przejście do natarcia sił naziemnych Frontu Południowo–Zachodniego planowano dopiero *„od rana 30 dnia mobilizacji"*. Trzeba podkreślić także, że same plany osłony mobilizacji i rozwinięcia zaczęto opracowywać nie w październiku 1939 roku — od razu po zetknięciu z Wehrmachtem — ale dopiero w maju 1941 roku! Radzieccy*„historycy"* ze szczególną gorliwością uwydatniali tę okoliczność, widocznie nie pamiętając, że fakt ten nie prezentuje szczególnej miłości ZSRR do pokoju, ale szczytową, przesadną pewność siebie wojskowo– politycznego kierownictwa kraju. Na cóż ono liczyło? Na to, że Hitler będzie

czekał cierpliwie do tego samego*„rana 30 dnia mobilizacji"*, czy też, że po dostrzeżeniu ześrodkowania wojsk Armii Czerwonej zacznie pisać listy z prośbą o litość lub prosić o pomoc Ligę Narodów?
Oczywiście na formułowanie takich właśnie wyobrażeń o charakterze przyszłej wojny największy wpływ miało wspólne dla całej bolszewickiej pokojowej egzaltacji samouwielbienie:
— *„nauka Marksa jest wszechpotężna, ponieważ jest ona prawdziwa"*;
— *„przeniesiemy i góry, i rzeki / czas bajek zmienił się w jawę"*;
— *„nie ma takich twierdz, których bolszewicy nie mogliby zdobyć"*.
W tak nierozumnym niedocenianiu przeciwnika bezsporna jest także osobista wina Stalina. Ale uczciwie i sprawiedliwie winę tę powinno się rozdzielić także na innych.

Często porównuje się Stalina z Czyngis–chanem. Toporównanie jest jednak nietrafne. Czyngis–chan nazywał siebie przewodnikiem watahy zaciętych wilków. Otoczenie, które dobrał sobie Stalin, było nieprawdopodobną hybrydą wieprzów i żmij. Czy wilki mogły pisać do siebie takie oto listy: „(...) *z całej głębi mego serca przesyłam ci, kochany przyjacielu i kochany Szefie–Przewodniczący, w dniu Twego jubileuszu najgorętsze pozdrowienia. Wszak na Twoim bojowym i rewolucyjnym szlaku było tak wiele zdarzeń i zjawisk o wyjątkowym znaczeniu, i że one teraz* (tak w tekście — M.S.)*zyskują jeszcze większe znaczenie i powstają jak olbrzymy w alei nadchodzącej przyszłości. Kiedy zauważysz, że historia do rozwiązania swoich zadań potrzebuje ludzi zdolnych do przejawiania wielkiej jakości umysłu, woli, stałości... i wiesz, że takich ludzi w rodzaju Józefa Wissarionowicza i Klimenta Jefriemowicza Związek Radziecki posiada, robi się jeszcze radośniej, a otucha jak żywa struga wypełnia wszystkie komórki organizmu*".
Takie pozdrowienia wysłał były marszałek i szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej Jegorow komisarzowi Woroszyłowowi [71, s. 273]. Nie będziemy na próżno niepokoić pamięci Bagrationa i Rajewskiego. Powiemy prosto: czy można sobie ich wyobrazić, jak ćwiczą wazeliniarstwo z takim pokrętnym językiem?

11 czerwca 1937 roku marszałek Jegorow (wraz z marszałkami Budionnym[76] i Blücherem) skazuje na śmierć Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza, Primakowa i innych. Po roku rozstrzelano i samego Jegorowa[77]. Przy wściekłych okrzykach chwilowo ocalałych: *„Dawać go!"*
Komandarm 1. rangi Jakir z celi więziennej pisał w liście do Stalina: *„Kochany, bliski Towarzyszu Stalin! Umrę ze słowami miłości do Was"*.
Sześć tygodni wcześniej Jakir, jako dowódca Kijowskiego Okręgu Wojskowego, wykreślił wspomnienie o Stalinie z kolejnego pierwszomajowego *„świątecznego"* rozkazu. Stalin, ma się rozumieć, wiedział o tym i na liście Jakira napisał krótką adnotację: *„Łajdak i prostytutka"*. Samouk Kaganowicz, komisarz kolei ZSRR, rozwinął tę myśl Gospodarza: *„Zdrajca, swołocz i k..."* Czyż to nie *„całkiem trafne określenie"*, jak napisał na tym historycznym liście Klim Woroszyłow?
Wśród wielu setek wyższych dowódców armii i NKWD (a każdy z nich miał ochronę, broń osobistą, tajną agenturę) nie znalazł się ani jeden, który zdecydowałby się na choćby mikrobunt lub okazał zbrojny opór przy aresztowaniu. Na bierny opór — próbę ucieczki — zdecydowali się tylko dwaj ludzie: uciekł za kordon szef Dalekowschodniego NKWD Liuszkow, kilka miesięcy ukrywał się w czasie ucieczki główny czekista Ukrainy Uspienski. Wszyscy pozostalipokornie ponieśli głowy na szafot albo sami strzelali sobie w łeb.
2 czerwca 1937 roku, występując na posiedzeniu Wyższej Rady

Wojennej, Stalin powiedział o samobójstwie Gamamika[78]: *„ja na jego miejscu poprosiłbym o spotkanie ze Stalinem i na początek zabiłbym jego, a potem siebie"*. Co się kryło za tymi słowami? Natrząsanie się? Prowokacja? Krzyk umęczonej duszy niepospolitego człowieka, którego wyczerpało obcowanie z nędznymi ludźmi?
Krwawy karzeł Jeżów został zdjęty ze stanowiska szefa NKWD 25 listopada 1938 roku. Przez długich 138 dni pił w nieustannym amoku, skomlał, użalał się na los, czekał na coś, aż w końcu 10 kwietnia 1939 roku został osadzony w strasznym suchanowskim więzieniu specjalnym NKWD. Ulubieniec partii i największy jej teoretyk (przynajmniej tak mówił o nim Ilicz) N. I. Bucharin napisał do Stalina z więzienia 43 listy. Wszystkie o jednym— o miłości. *„Wszystkie moje marzenia w ostatnim czasie zmierzały do tego, aby przykleić się do kierownictwa, do Ciebie w szczególności. Darzyłem Cię takim uczuciem jak Ilicza, uczuciem rodzicielskiej bliskości, ogromnej miłości. Całkowicie uznaję się za Twojego…"* Skazany na rozstrzelanie za przestępstwa, których oczywiście nie popełnił, nasz *„ulubieniec partii"* pisze do Gospodarza: *„Klęczę na kolanach przed Ojczyzną, partią i proszę o litość"* [125].
Czytelniku, czy wydaje ci się, że zbyt daleko zboczyliśmy od głównego tematu? Bynajmniej.
Właśnie wieloletnie obcowanie z jakirami, jeżowami i pozostałymi bucharinami wywołało w końcu u przyszłego najwyższego naczelnego dowódcy ciężką chorobę — tak potępiany przez niego samego zawrót głowy od sukcesów. To znaczy przy tym stopniu świadomości wszystko rozumiał i wiele rzeczy robił prawidłowo: stworzył ogromną, zmotoryzowaną armię, osobiście interesował się problemami jej wyposażenia technicznego, pracował z konstruktorami i dyrektorami fabryk, generałami i wywiadowcami. W głębi duszy rosła w nim jednak wiara w to, że na całym świecie nie ma takiej siły, która mogłaby narzucić swą wolę jemu — ziemskiemu półbogu. Walcząc przez lata z wrogami zdolnymi jedynie do żałosnych skomleń, Stalin mimowolnie przeniósł doświadczenie tej walki na swoje starcie z berlińskim konkurentem. Sądząc po zawartości przedwojennych planów, liczył on (mówiąc dokładnie — spodziewał się bez żadnych wątpliwości) na to, że zawsze pozwolą mu na niepodzielne kierowanie sprawami. Niestety, Hitler był paranoikiem, ale nie masochistą i nie zamierzał ściągać spodni przed przykładną popisową chłostą.
Arogancja i pewność siebie popadających w samozadowolenie parweniuszy nie opuszczały właścicieli Kremla do ostatniej minuty. 16 czerwca 1941 roku oświadczyli oni (ustami pierwszego zastępcy Mołotowa towarzysza Wyszyńskiego) posłowi pełnomocnemu Wielkiej Brytanii w

[76] — Autor wymienia błędnie nazwisko Woroszyłowa, którego — podobnie jak Jegorowa, w składzie Trybunału Specjalnego Sądu Najwyższego nie było. Natomiast z całą pewnością obaj tą farsą kierowali— Jegorow był szefem ochrony tego *„trybunału"*; por. oświadczenie TASS z

12.06.1937 r. (P. P. Wieczorkiewicz: **Sprawa Tuchaczewskiego**, Gryf, Warszawa 1994, s. 132–133). [77] — Aresztowano go 28.04.1938 r., wyrok wydano 22.02.1939 r., a rozstrzelano następnego dnia — w dniu święta Armii Czerwonej.
[78] — J. B. Gamarnik — komisarzarmijny 1. rangi, szef Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, zastrzelił się 31.05.1937 r.

ZSRR, że *„Związek Radziecki nie ma żadnych podstaw do żywienia jakichkolwiek obaw. Niepokoić mogą się inni"* [69, s. 743]. Kilka dni wcześniej inny zastępca Mołotowa S. A. Łozowski dosłownie oświadczył ambasadorowi USA Steinhardtowi, który wtrącał się z propozycjami umocnienia stosunków międzynarodowych na początku *„wielkiego kryzysu, który ZSRR przeżywać będzie w ciągu najbliższych 2–3 tygodni"*. *„Związek Radziecki odnosisię bardzo spokojnie do wszelkiego rodzaju plotek o napaści na jego granice* — wyrecytował towarzysz Łozowski. — *Jeśli nawet znaleźliby się ludzie, którzy spróbowaliby to uczynić, to dzień napaści na ZSRR byłby najbardziej nieszczęśliwym dniem w historii kraju atakującego ZSRR"* [69, s. 727].

Do zgubnych złudzeń całkowicie przyczyniły się także kampanie polska i fińska. Ich szkodliwe oddziaływanie na Armię Czerwoną było tak wielkie, że należy ten temat, jak mówią badacze, odłożyć do osobnego rozpatrzenia.

MOCNYMI OBIEMA NOGAMINA TORY...

Dzięki wysiłkom radzieckiej propagandy partyjnej niemal bezk rwawe *„zwycięstwo"* nad pokonaną przez Niemcy Polską przedstawione zostało jako wzór, według którego później rozwijać się będzie Wielki Marsz. A dokładnie: wyzwolone narody powitają robotniczo–chłopską armię kwiatami, żołnierze przeciwnika *„skierują bagnety przeciwko swoim burżuazyjnym rządom"*, chmury samolotów z czerwonymi gwiazdami przysłonią skrzydłami niebo i tak dalej. Wszystko jak w kinie.

„My nie będziemy walczyć nigdzie / Z tymi, co wzrośli w walce i krzywdzie" — prorokowała ze stron głównej gazety armijnej [**„Krasnaja zwiezda"** z 21.09.1939 roku] Margarita Aligier.

Popularny w tamtych latach Konstantin Simonow marzył o czasach *„niezwykłych wyzwoleń zachodnich, południowych, polarnych, tropikalnych i zamorskich Białorusi i Ukrain"*.

Wsiewołod Wiszniewski w uniesieniu pisał do reżysera filmowego J. Dziana: *„Teraz przed machiną Armii Czerwonej, przewyższającą siły Niemiec ponad trzy, jeśli nie więcej razy, wielu się cofnie"*.

Czego się jednak spodziewać po lekkomyślnych poetach, jeśli sam komisarz obrony Woroszyłow 7 listopada 1939 roku w rozkazie odczytanym we wszystkich oddziałach i pododdziałach tak opisywał

kampanię polską: *„energicznym natarciem oddziały Armii Czerwonej rozgromiły wojska polskie, spłacając w krótkim czasie swój dług wobec radzieckiej ojczyzny"*.

Nie pozostawał w tyle także komisarz kolei. Członek Biura Politycznego Kaganowicz, występując 4 października 1939 roku na kolejnym zebraniu aktywu partyjno–gospodarczego perorował: *„Pomyślcie, ile lat carat walczył o to, aby przyłączyć Lwów — przez cztery lata wojny imperialistycznej pod twierdzą Przemyśl zalegały trzy korpusy, a nasze wojska w ciągu siedmiu dni wzięły to terytorium bez większych strat"* [139].

Trzeba jednak odnotować, że był taki człowiek, który starał się przełamać hurraoptymistyczne nastroje. Występując 17 kwietnia 1940 roku na odprawie składu dowódczego Armii Czerwonej, poświęconej rezultatom wojny z Finlandią, Stalin mówił [140]: *„Strasznie nam zaszkodziła kampania polska, rozpuściła nas. Nasza armia nie od razu zrozumiała, że wojna w Polsce to była wojenna przechadzka, a nie wojna. Z tym nastawieniem, że nasza armia jest niezwyciężona, z samochwalstwem, które strasznie się u nas rozwija, trzeba skończyć"*.

Złote słowa. Problem w tym, że z doświadczeń wojny fińskiej wyciągnięto dla gotowości bojowej armii jeszcze bardziej błędne wnioski. Wbrew szeroko rozpowszechnionej opinii Stalin nastawiony był o wiele bardziej beztrosko i opisał haniebnie zaprzepaszczony marsz na Helsinki w różowych barwach: *„Dlaczego nie trzeba było uderzać ze wszystkich stron, by zdławić Finlandię? Nie stawialiśmy sobie aż tak poważnego zadania, dlatego że wojna z Finlandią jest bardzo trudna. Wiedzieliśmy, że Piotr I walczył 21 lat, aby odbić Szwecji całą Finlandię. Wiedzieliśmy, że Katarzyna II dwa lata prowadziła wojnę i niczego szczególnego nie osiągnęła. Wszystkie te sprawy były nam znane i spodziewaliśmy się, że wojna z Finlandią może się przeciągnąć do sierpnia lub września. Wojna zakończyła się po trzech miesiącach i dwunastu dniach tylko dlatego, że nasza armia dobrze działała"*.

Plany partii, okazuje się, zostały wykonane, a nawet przekroczone. Pamięć kolejny raz zawiodła towarzysza Stalina — zapomniał on, że zgodnie z Dyrektywą komisarza obrony nr 0205 z 17 listopada 1939 roku planowano rozgromienie armii fińskiej w ciągu 10–15 dni siłami samego tylko Leningradzkiego Okręgu Wojskowego [1, s. 149].

Następnie Stalin troskliwie, po ojcowsku, strofował niektórych towarzyszy:*„…tak jak tow. Kowalow — dobry żołnierz, jako bohater wojny domowej, osiągnął sławę w tamtej epoce, jednak bardzo trudno mu wyzwolić się od doświadczeń tamtej wojny, które nie przystają do naszych czasów"*. I pochwalił Armię Czerwoną jako całość: *„Nasza armia stanęła mocnymi obiema nogami na tory nowej, prawdziwej radzieckiej współczesnej armii. W tym zasadniczy plus tego doświadczenia, które*

zdobyliśmy na polach Finlandii".

Konkluzja, którą usłyszeli zebrani dowódcy, była wręcz triumfalistyczna: *„Najważniejsze w naszym zwycięstwie jest to, że rozbiliśmy sprzęt, taktykę i strategię czołowych państw Europy, których przedstawiciele byli nauczycielami Finów. Zwyciężyliśmy nie tylko Finów, zwyciężyliśmy ich europejskich nauczycieli — pokonaliśmy niemiecki sprzęt obronny, pokonaliśmy angielskie wyposażenie obronne, francuskie wyposażenie obronne też pokonaliśmy"*.

Aby takie właśnie wnioski utrwaliły się w świadomości, na armię — przede wszystkim na jej dowództwo — spadł wodospad orderów i medali, nowych stopni i stanowisk.

Właśnie po zakończeniu wojny fińskiej, 4 czerwca 1940 roku, wprowadzone zostały stopnie generalskie. Gazety przez kilka tygodni publikowały długie listy — w sumie 949 świeżo upieczonych generałów! Najwyższe w kraju wyróżnienie — tytuł Bohatera Związku Radzieckiego — otrzymało 412 ludzi (cztery razy więcej niż wyróżnionych zostanie za męstwo w bitwie pod Moskwą!). Wszyscy powinni zrozumieć, że zwyciężyliśmy najsilniejszego przeciwnika i teraz Armia Czerwona już każdego zapędzi w kozi róg. Niepowstrzymane samochwalstwo osiągnęło takie natężenie, że kampanię fińską kazano uważać za najważniejsze wydarzenie wojny światowej, z którym nie mogły się równać żadne potyczki we Francji ani w Afryce Północnej.

„Powinniśmy przygotowywać się nie do takiej wojny, jaka toczy się teraz… przecież to nie wojna, ale gra w bierki — stwierdził 20 maja 1941 roku*«wszechzwiązkowy starosta»* Kalinin*— lecz do takiej wojny jak na przykład ta z Finlandią"* [1, s. 443].

Przecież przygotowywano armię do *„takiej wojny"*, którą ona i zacznie, kiedy zechce, i zakończy, kiedy tylko uzna to za wygodne dla siebie. Czyż nie dlatego spotkanie w czerwcu 1941 roku z Wehrmachtem, który całkowicie różnił się od armii fińskiej i polskiej zarówno pod względem liczebności, jak wyposażenia technicznego, stało się dla żołnierzy i dowódców tak straszną, paraliżującą rozum i wolę niespodzianką?

Z negatywnym następstwem *„polskiego marszu"* związany był jeszcze jeden czynnik, niemal całkowicie pomijany przez rodzimych historyków. Według stopnia wpływu na przebieg działań bojowych miał on jednak o wiele większe znaczenie niż mityczne *„pierwsze rozbrajające uderzenie lotnictwa przeciwnika"*. Otóż wojna rozpoczęła się na *„wyzwolonym"* terytorium. Przypomnij sobie, Czytelniku, nazwy geograficzne, które przemykały podczas opisów działań bojowych w pierwszych trzech częściach naszej książki: Imatra, Sortawała, Ałakurtti, Merecz, Olita, Sidra, Wołpa, Briańsk, Krystynopol, Żółkiew, Radziechów,

Szelwów, Stojanów, Opłucko. Czy w takich miejscach można było poprowadzić do Wojny Ojczyźnianej riazańskich chłopów? Tak, jeśliby tylko riazańskich...

Sandałow w swej monografii mimochodem zauważa, że do uzupełnień 14. KZmech. (tj. wojsk pancernych, elity armii) przybyła *„duża liczba rodowitych mieszkańców republik środkowoazjatyckich, słabo znających język rosyjski lub też nie znających go wcale"* [79].

Jakiej to ojczyzny miały bronić te dzieci gór i stepów, z woli losu rzucone na bagna wschodniej Polski, czasowo (od 1939 do 1945 roku) nazywane Białorusią zachodnią?

Wyzwolone terytorium to nie tylko lasy, pola i rzeki. To wielomilionowa, wielonarodowa ludność, z którą w ciągu niespełna dwóch lat (od września 1939 roku) partia i NKWD zdążyły przeprowadzić ogromną pracę wychowawczą.

Specjalnym postanowieniem Biura Politycznego KC w marcu 1940 roku zostało zaocznie, według listy, *„bez wzywania aresztowanych i bez przedstawiania zarzutów"*, skazanych na śmierć bez mała 25 tys. ludzi: jeńców — oficerów polskiej armii (których większość nie oddała ani jednego wystrzału do czerwonoarmistów), a także urzędników z wschodniej Polski.

Podstawa: *„Znajdując się w obozach, prowadzą oni agitację antyradziecką* (w języku polskim? wśród załogi obozu? — M.S.). *Każdy z nich tylko czeka na uwolnienie, aby mieć możliwość aktywnego włączenia się do walki przeciwko władzy radzieckiej"* [16].

Tych nieszczęśników *„uszanowano"* — przesądzono o ich losie, podejmując specjalną decyzję, podpisaną osobiście przez Stalina, Woroszyłowa, Mołotowa, Mikojana, Kalinina i Kaganowicza. Ponad 300 tysięcy Polaków zesłano na Syberię i do Kazachstanu po prostu na podstawie decyzji miejscowych *„organów administracyjnych"*. Organy NKWD aresztowały 110 tys. ludzi. Czujni czekiści doszli do tego, że nie lenili się z czytaniem tysięcy wypracowań absolwentów polskich szkół — aby ujawnić *„szybko uczących się i piśmiennych"* — ich rodziny pierwsze poszły do wagonów towarowych [129].

Nie zakończyła się jeszcze rozprawa z krnąbrnymi Polakami, a już pod karzący miecz rewolucji wpadli galicyjscy i wołyńscy Ukraińcy, Litwini,

Estończycy, tradycyjnie przywykli do prowadzenia własnych gospodarstw. Inaczej połączyć ich w kołchozy się nie dało.

Rezultaty tej *„czystki"* przeprowadzonej na obszarze przyszłych działań wojennych pokazały już pierwsze — nie, nie dni, lecz godziny

wojny.
Marszałek Moskalenko pisze w swoich wspomnieniach, że pierwszym spotkaniem z wojną były dla niego wystrzały ukraińskich nacjonalistów, którzy o świcie 22 czerwca 1941 roku w Łucku ostrzelali jego samochód. A. T. Ilin (w tym czasie — młodszy lejtnant, 5. Dywizja Pancerna, 3. KZmech.) wspomina, jak rankiem 22 czerwca wysłano go w celu wyjaśnienia sytuacji do sztabu dywizji w Olicie:
„Na spotkanie z nami z miasta szła kolumna mieszkańców cywilnych. Tłum rozszedł się na obie strony i jechaliśmy z pełną prędkością. Gdy już go minęliśmy, z tłumu zaczęto strzelać do nas z automatów i przed samymi koszarami trafili nasz motocykl" [83].
Już w pierwszych minutach wojny bojownicy antyradzieckiego podziemia wysadzili stację telefoniczną w Białymstoku (a przez ten komutator szły podstawowe linie łączności 10. Armii), elektrownię w Kobryniu, wyłączyli światło i wodę w Brześciu [79]. Wszyscy uczestnicy pierwszych walk na Białorusi jednym głosem zaświadczają o tym, że lotnictwo niemieckie wykonywało skuteczne, mierzone naloty na stanowiska dowodzenia, składy, transporty najnowszego sprzętu. Czy trzeba jeszcze udowadniać, że coś takiego było możliwe tylko dlatego, że niemieckiemu wywiadowi pomagały setki informatorów spośród miejscowej ludności?
Powyżej już odnotowaliśmy, że aby 24 czerwca przeciąć z zachodu na wschód pogrążony w chaosie Lwów, 8. Korpus Zmechanizowany potrzebował ponad dziesięciu godzin. W opisie działań bojowych 32. Dywizji Pancernej czytamy: *„Do wieczora 6.07.41 roku dywizja podeszła do Starokonstantynowa, ale do miasta wejść nie zdołała, ponieważ panowały tam panika i bałagan"* [8].
Strzałami z dachów żegnano Armię Czerwoną we wszystkich miastach krajów nadbałtyckich.
Sekretarz KC WKP(b) Łotwy J. Kalnberzin meldował do Moskwy, że *„z powodu niedopuszczalnego i niepojętego postępowania sztabu NSOW rodziny pracowników partyjnych i radzieckich ewakuowano dosłownie w ostatnim*

momencie, gdy wystąpiła już «piąta kolumna», a na ulicach strzelano z karabinów i karabinów maszynowych" [112].
Rodziny dowódców. To jeszcze jedna krwawa — i całkowicie zapomniana — karta historii. Obie strony rozpoczętej o świcie 22 czerwca wojny, która w krajach nadbałtyckich i na zachodniej Ukrainie rozwijała się raczej jako*„mała domowa"* niż *„wielka ojczyźniana"*, były bezlitosne. Terror banderowców zacięciem w niczym nie ustępował terrorowi NKWD. I jedni, i drudzy nie chcieli odróżniać uzbrojonego przeciwnika od małoletniego podrostka. Wśród chaosu i bałaganu pierwszych dni wojny rodziny dowódców znajdowały się w miastach i

osadach opanowanych przez *„nieporządki”* z taką siłą, że dwie dywizje pancerne (przypomnijmy sobie Część 3. i historię 4. i 8. Korpusu Zmechanizowanego) z trudem mogły się przez nie przebić.
Cały ten długi wstęp nie ma bynajmniej usprawiedliwiać łamania przysięgi i faktycznej dezercji — Bóg ich wszystkich osądzi. Stało się jednak tak, że wielu dowódców porzuciło swoich żołnierzy i zajęło się żonami i dziećmi. Powróćmy do wspomnień Popiela. Oto dowództwo 8. KZmech., które pokazało się w tych dniach z jak najlepszej strony, podejmuje decyzję, że musi pozostawić w czasie marszu swe kolumny pancerne i *„podskoczyć do Drohobycza— skontrolować tyły”* [105]. Kontrolę tyłów Riabyszew i Popiel zaczynają od własnych mieszkań (...) Po ludzku wszystko to jest bardzo zrozumiałe, ale walczyć w ten sposób, co chwila *„kontrolując tyły”*, nie można.
W tym przeklętym czasie, przy braku ogólnego i jasnego porządku, każdy dowódca, każdy pracownik partyjny działał na miarę swojego sumienia i swoich możliwości. Ktoś ograniczył się do tego, że *„podskoczył skontrolować tyły”*, wsadził żonę z dzieckiem do odchodzącego na wschód pociągu towarowego i powrócił do jednostki. Ktoś załadował na samochód przeznaczony do dowozu amunicji *„wysoki bufet z czarnego drewna”*. Przedstawiciel witebskiej rady miejskiej, jak pamiętacie, ładował na swój samochód piwo beczkami.
Nie mam wątpliwości — ochoczy adwokaci Stalina i w tym wypadku powiedzą, że ewakuacji rodzin dowódców ze strefy przyszłych działań bojowych nie przeprowadzono, *„aby nie dawać Hitlerowi powodu do napaści”*. Kłócić się z tym głupio i prawdę mówiąc, już mi się znudziło.

Dziesiątki tysięcy wagonów z ludźmi, czołgami, amunicją mkną na zachód, po wszystkich liniach kolejowych Związku Radzieckiego. Jakich jeszcze powodów potrzebował Hitler? Skala rozpoczętego strategicznego rozwinięcia Armii Czerwonej była tak wielka, że Stalinnawet nie próbował jej ukryć. Zamiast tego 13 czerwca 1941 roku w znanym*„oświadczeniu Agencji TASS”* podjęta została niezręczna, obliczona na głupca próba uspokojenia Hitlera:
„Przeprowadzane obecnie letnie ćwiczenia rezerwistów Armii Czerwonej i przewidziane manewry mają na celu wyłącznie szkolenie rezerwistów oraz sprawdzenie pracy aparatu kolejowego”.
W tej sytuacji wyjazd na wschód (a można było także na południe — do kurortów Krymu i Kaukazu) kilku tysięcy kobiet i dzieci niczego by nie dodał i nie umniejszył. Nie, tu objawiła się typowa dla reżimu stalinowskiego obojętność na los i uczucia ludzi. Chociaż Stalina także można zrozumieć: pierwsza żona *„wszechzwiązkowego starosty”* Kalinina i druga żona marszałka Budionnego siedziały w łagrach, rodzony brat Ł. Kaganowicza zmuszony został do samobójstwa — i nic,

pozostający na wolności pracowali, nie załamując rąk. Skoro Stalin nie oszczędzał swoich najbliższych współpracowników, sam pochował dwie przedwcześnie zmarłe żony, to dlaczego miał się martwić o rodziny jakichś tam pułkowników i kapitanów?
Zresztą śmierć czatowała nie tylko na najwyższe kierownictwo, ale i na szeregowych„*wyzwolicieli*". Powróćmy do wspomnień L. W. Irina, kursanta kompanii 9. batalionu artylerii i karabinów maszynowych Grodzieńskiego Rejonu Umocnionego:
„Z nastaniem wiosny 1941 roku sytuacja na granicy w związku z częstymi incydentamiraptownie się zaostrzyła. Bez broni i w pojedynkę nie mogliśmy się nigdzie odłączać. Wielu miejscowych Polaków, szczególnie młode dziewczyny, w czasie wyzwalania zachodniej Białorusi uciekło za granicę. A teraz zaczęli oni potajemnie wracać do swoich rodzin, nierzadko wypełniając przy tym zadania niemieckie. W pierwszej kompanii naszego batalionu pewnego razu znikł patrol złożony z dwóch żołnierzy. Po kilku dniach jednego z nich znaleziono przebitego bagnetem jego własnego karabinu i przybitego do ziemi, adrugiego w ogóle nie znaleźliśmy".
DOT nr 039, w którego garnizonie służył Irin, powitał Niemców ogniem już o świcie 22 czerwca i kontynuował swą wojnę cztery dni. W końcu Niemcom udało się wysadzić i uszkodzić osłony betonowego pudła. Żywy na

zewnątrz zdołał wypełznąć jeden tylko autor tych strasznych w szczerej prostocie wspomnień:
„Znaleźli mnie chłopi pasący krowy. Poprosiłem ich, aby mnie stąd zabrali. Dwóch z nich porozmawiało o czymś między sobą, po czym powiedzieli, że pójdą po konia. Ale zamiast konia usłyszałem wkrótce szum silnika podjeżdżającego samochodu z Niemcami. Zeskoczyli, wytaszczyli mnie z krzaków, wrzucili na samochód, przywieźli do wsi Markowce, gdzie pozostawili mnie na drodze i odjechali. Z ciekawości podeszło kilka kobiet wracających z kościoła" [83].
Kursantowi Irinowi się udało. Jego beznadziejna sytuacja wywołała u ludności jedynie *„ciekawość"*. Bywało gorzej. W Części 2. wspomnieliśmy o szefie artylerii 6. KZmech. Mitrofanowie, który poległ we wsi Klepacze (obwód grodzieński na Białorusi). Do połowy lat dziewięćdziesiątych miejsce pochówku generała uznawano za nieznane. Później wyjaśniło się, że chłopi rozebrali umierającego generała i dlatego jego zwłoki nie zostały rozpoznane podczas przenoszenia do wspólnej mogiły.
Tak więc, dzięki dialektycznemu wzajemnemu oddziaływaniu mądrej polityki wewnętrznej i niezmiennie miłującej pokój zewnętrznej polityki państwa radzieckiego, zajęte w latach 1939–1940 terytoria wschodniej Polski, Litwy, Łotwy stały się dla Armii Czerwonej pułapką.

Nieprzypadkowo we wspomnieniach uczestników pierwszych walk dźwięczy ten sam motyw: *„Wszyscy chcieli jak najszybciej mieć za sobą naszą starą granicę państwową z 1939 roku"*. We wspomnieniach W. I. Olimpijewa pojawia się godne uwagi *„uzasadnienie"* tych dążeń: *„Z jakiegoś powodu wydawało się, że za nią będziemy bezpieczni, ponieważ Niemcy nie zaryzykują posuwania się dalej"*.
Niestety, Niemcy *„zaryzykowali"*, a Armia Czerwona *„przekroczyła naszą starą granicę"*, tracąc niemal połowę dywizji kadrowych, wielką część wojsk pancernych, najlepszą, najbardziej przygotowaną do walki część lotnictwa.

I WY WSZYSCY, G UPCY, P JDZIECIE…

Mówiąc o *„gotowości"*, a dokładniej — o przyczynach psychologicznego nieprzygotowania kraju i armii do wielkiej wojny, trudno nie wspomnieć o dzikich *„serpentynach"* zewnętrznej polityki ZSRR. Na długo przedtem, zanim Orwell napisał swą słynną powieść, kierownictwo stalinowskie bezczelnie zademonstrowało całemu światu takie swoje podstawowe zasady, jak *„pokój — to wojna, prawda — to kłamstwo"* itd.

Po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech temat nazistowskiego zagrożenia stał się dominujący w całej oficjalnej propagandzie. Krótko mówiąc, właśnie *„o związki z gestapo"* obwiniano i partyjnych bossów, i dowódców wojskowych wyprowadzonych przez Stalina na słynne *„procesy moskiewskie"* w latach 1936–1937. Niemniej, kiedy w lipcu 1936 roku rozpoczął się faszystowski bunt generała Franco, propaganda radziecka w ogóle na to nie zareagowała (a do tego Związek Radziecki nie nawiązał nawet z rządem Frontu Narodowego Hiszpanii normalnych stosunków dyplomatycznych!). Raptem, od jesieni 1936 roku, zaczęły się drastyczne przemiany. Wszystkie gazety zachłystywały się wyrazami solidarności z republiką, poeci pisali wiersze o bohaterskich obrońcach Madrytu, w każdej szkole wisiała mapa Hiszpanii z flagami odzwierciedlającymi położenie na froncie.

A po dwóch latach, po rozwiązaniu wielu najpilniejszych zadań (fizycznym zniszczeniu zjeżdżających z całego świata do Hiszpanii trockistów, anarchosyndykalistów i pozostałych społecznie obcych antyfaszystów, wypróbowaniu w warunkach realnej wojny nowych czołgów i samolotów), otrzymując w formie zapłaty za *„bezinteresowną internacjonalną pomoc"* zapasy złota Hiszpanii, Stalin odwołał specjalistów wojskowych, przerwał wysyłkę uzbrojenia i faktycznie porzucił republikanów na pastwę losu.

Mapy z flagami zaraz zniknęły ze szkolnych klas. Żywa antynazistowska retoryka w gazetach na razie jeszcze pozostała. 31 lipca 1939 roku **„Prawda"** pisała: *„Winowajcy i podżegacze drugiej wojny imperialistycznej istnieją. To faszyzm — zbrodniczy i brudny potomek powojennego imperializmu"*.

Zbrodniczy i brudny…
Po 52 dniach od publikacji tych słów, 22 września 1939 roku, w zdobytym przez Niemców Brześciu doszło do wspólnej defilady Armii Czerwonej i Wehrmachtu, którą przyjmowali generał Guderian i kombryg Kriwoszejew (żołnierz brygad międzynarodowych, a do tego Żyd). W. M. Mołotow, szef rządu ZSRR, 31 października 1939 roku z

trybuny Rady Najwyższej powiedział dosłownie: *„Ideologię hitleryzmu, jak każdy inny system ideologiczny, można uznać lub odrzucić, to sprawa względów politycznych. Prowadzenie takiej wojny, jak wojna o zniszczenie hitleryzmu jest nie tylko bezsensowne, ale i przestępcze, osłaniane sztandarem walki o demokrację"*. A więc to tak: bezsensowna i przestępcza jest walka z hitleryzmem. Za oknem była jesień 1939 roku. W tym czasie wszyscy już wiedzieli, co dzieje się z tymi, którzy przestępczo odstępują od linii partii.

7 listopada 1939 roku we wszystkich kompa niach, bateriach i na okrętach odczytano (a we wszystkich gazetach opublikowano) świąteczny Rozkaz ludowego komisarza obrony ZSRR nr 199: *„Angielscy i francuscy agresorzy, nie przejawiając woli pokoju, czynią wszystko w celu nasilenia wojny, rozprzestrzenienia jej na inne kraje. Układ o przyjaźni i granicy między ZSRR a Niemcami zbudowany jest na bazie wzajemnych interesów i na tym polega jego olbrzymia siła"*.

W końcu 30 listopada 1939 roku w formie odpowiedzi na pytania redaktora gazety**„Prawda"** sam Gospodarz wyjaśnił, z kim i przeciwko komu się teraz przyjaźnimy. W swej ulubionej manierze — srodze, z nieustannymi powtórzeniami — Stalin powiedział dobitnie: *„Nie Niemcy napadły na Francję i Anglię, ale Francja i Anglia napadły na Niemcy, biorąc na siebie odpowiedzialność za obecną wojnę. Koła rządzące Anglii i Francji ordynarnie odrzuciły zarówno pokojowe propozycje Niemiec, jak też próby Związku Radzieckiego osiągnięcia możliwie jak najszybszego zakończenia wojny. Takie są fakty"*.

Ludzie pracy Kraju Rad nie zdążyli jeszcze ochłonąć po takich *„piruetach"* w polityce zagranicznej niezmiennie miłującej pokój ojczystej partii, gdy rozpoczęła się nowa wojna.

Od połowy listopada 1939 roku we wszystkich gazetach podniósł się cherlawy skowyt: *„Finlandia usytuowana jest nieprawidłowo! Zbyt blisko Leningradu! Kolebka rewolucji zagrożona!"*

26 listopada w rejonie rozmieszczenia radzieckiej strażnicy granicznej w pobliżu wsi Mainiła wybuchło sześć pocisków artyleryjskich, w rezultacie czterech żołnierzy zginęło, a dziewięciu zostało rannych.

27 listopada strona fińska przekazała kierownictwu radzieckiemu notę z odpowiedzią, w której stwierdzano, że według danych rozpoznania fińskich wojsk ochrony pogranicza, strzelające działo znajdowało się na terytorium radzieckim. W zgodzie z duchem i literą prawa międzynarodowego Finlandia zaproponowała utworzenie wspólnej komisji dwustronnej w celu rozpatrzenia okoliczności tego incydentu.

No i zaczęło się...

„Dać nauczkę rozzuchwalonym wojakom!"
„Diabelskie psy zostaną zniszczone!"
„Zmieść z powierzchni ziemi fińskich awanturników!"
To tytuły z **„Prawdy"** i **„Izwiestii"**. Drukowano także wiersze: *„Wy krwawe błazny! Dość wygłupów!*
Skończony wasz haniebny kram.
Nad trupami robotników i chłopów
Drwić już nie pozwolimy wam!"

30 listopada 1939 roku Armia Czerwona przekroczyła granicę radziecko– fińską. Tego samego dnia lotnictwo radzieckie wykonało uderzenie bombowe na centrum Helsinek. Spłonął dworzec, spłonął stołeczny uniwersytet. Zabito wielu fińskich robotników i wojskowych.

Następnego dnia **„Prawda"** pisała:

„Armia Czerwona potrafi zadać druzgocący cios nie tylko fińskiemu robakowi, ale i tym, za których plecami ten robak się chowa".
2 grudnia ze wstydliwą uwagą — *„przechwyt radiowy, tłumaczenie z fińskiego"* — w tej samej **„Prawdzie"** opublikowana została ogromna na całą stronę *„Deklaracja Ludowego Rządu Fińskiej Republiki Demokratycznej"*. Z deklaracji tej radzieccy ludzie pracy dowiedzieli się, że ich bracia klasowi w Finlandii powstali przeciwko jarzmu *„białofińskich mannerheimowskich band"*. Od tego momentu o obronie Leningradu nikt już nie wspominał. Zadanie bliższe sformułowano tak: *„Wkroczyć do Helsinek ze sztandarem Fińskiej Republiki Demokratycznej i zatknąć go na szczycie Pałacu Prezydenckiego — ku radości pracujących i na postrach wrogom narodu"*.

3 grudnia **„Prawda"** nie wzywała już do bicia *„fińskiego robaka"*. Łgała, że żadnej wojny po prostu nie ma:
„ZSRR nie prowadzi wojny z Finlandią, ale wypełniając układ o pomocy wzajemnej z rządem ludowym Finlandii, walczy z białogwardyjskim rządem w Helsinkach. Armia Czerwona wypełni swą misję wyzwoleńczą i w krótkim czasie pomoże ludziom pracy Finlandii ustanowić pokój w kraju". Rzecz szczególna — fraza ta niemal dokładnie powtarza tekst wspólnego niemiecko–radzieckiego komunikatu z 18 września 1939 roku, w którym stwierdzano, że *„zadanie radzieckich i niemieckich wojsk polega na tym, aby zaprowadzić w Polsce porządek i spokój, zburzone przez rozpad państwa polskiego, i dopomóc ludności Polski"* [**„Prawda"**, 19.09.1939 roku].
Co było dalej — wiadomo. W krótkim czasie — nie udało się. Rozpaczliwy opór fińskiej armii, straszne mrozy, bezwzględna reakcja Zachodu kazały zakończyć przedterminowo działania bojowe. I co? 29 marca 1939 roku towarzysz Mołotow bez mrugnięcia okiem na sesji Rady Najwyższej ZSRR stwierdził:
„W związku z układem pomiędzy ZSRR i Finlandią (tj.*„białogwardyjskim*

rządem w Helsinkach" — M.S.)*powstała sprawa samorozwiązania rządu ludowego, czego też on dokonał*".
Poszczęściło się Mołotowowi z tym „*rządem*". Był potrzebny — proklamowało się, stał się zbędny — sam się rozwiązał. A ludzie? Dziesiątki tysięcy czerwonoarmistów, którzy padli na zaśnieżonych polach pod Wyborgiem, czy„*zmartwychwstali*" po słowach Mołotowa? To nikczemne błazeństwo rozegrało się na oczach całego narodu. Nie będziemy mówić za cały naród, ale niektórzy jego przedstawiciele dobrze już pojęli, do czego się ich przygotowuje.
„*Kiedy ZSRR będzie gotów do wojny, to oznajmiam wam, durniom — pójdziemy wyzwalać braci w Anglii i Niemczech — i wy wszyscy, głupcy, pójdziecie*".
Tak oto— prosto, obrazowo, dosadnie — wyraził swe pojmowanie „*bieżącej chwili*" czerwonoarmista Ziuzin, szeregowy 337. samodzielnego

dywizjonu przeciwlotniczego Archangielskiego OW. Było to trzydzieści siedem dni przed wybuchem wojny, 15 maja 1941 roku [1, s. 450].
I wy wszyscy, głupcy, pójdziecie…
Dlaczego tak się dziwimy, kiedy natrafiamy na fakty świadczące o tym, że nie wszyscy byli głupcami, nie wszystkim było spieszno iść na rzeź, by wyciągnąć maksymalne korzyści dla komunizmu; nie wszyscy marzyli o „*dobrej wojnie*" — mającej na celu wyzwolenie kolejnych „*braci*" od normalnego, ludzkiego życia?
Dlaczego„*prości ludzie radzieccy*" mieliby pewnego dnia zapomnieć o wszystkich gwałtach, zniewagach i szaleństwach reżimu bolszewickiego? Czy tylko dlatego, że rozdział o naruszeniu socjalistycznej praworządności w naszym i waszym podręczniku się zakończył, a rozpoczynająca się w niedzielę o świcie nowa (trzecia w ciągu dwóch lat) wojna zostanie opisana w innym rozdziale, i to jeszcze pod nazwą „*ojczyźniana*", i nie zwyczajna, ale wielka?
Czy więc niewiarygodne wydaje się założenie, że wśród żołnierzy i dowódców Grupy Konno–Zmechanizowanej Bołdina (zob. Część 2.) znajdowali się uczestnicy wrześniowej (1939 roku) „*parady przyjaźni*" w Brześciu? Czyż nie mogły im przyjść do głowy takie oto proste pytania: „*A jaki mamy interes w tej nowej bójce o podział łupów między Hitlerem i Stalinem? I jak długo wróg, którego mamy rozbić w walce o kolejną słuszną sprawę, będzie uważany za wroga — aż Mołotow znów się rozmyśli?*"
Prości ludzie radzieccy nie mogli oczekiwać odpowiedzi na te pytania ani w telewizyjnym talk–show, ani w dyskusji, ani w kabinie do tajnego głosowania. W końcu izolująca się, ogłupiająca samą siebie władza żądała oddania życia. Jedynego i niepowtarzalnego. Oddać

natychmiast i bezzwrotnie. *„I jak jeden umrzemy w walce za to…"* Ale gdzie jest *„to"*?

BECZKA I Op CZE

Przez długie lata jakakolwiek dyskusja o diabelskim podobieństwie reżimów stalinowskiego i hitlerowskiego była absolutnie niemożliwa. Nawet w nielicznych kolorowych filmach *„o wojnie"* nie można było zobaczyć flagi nazistów w jej rzeczywistym, tj. czerwonym kolorze. Następnie od końca lat osiemdziesiątych historyków i publicystów jakby olśniło: przypomnieli i wyliczyli wszystko, aż do powszechnej pieśni, którą w jednym kraju śpiewano *„jeszcze wyżej, wciąż wyżej i wyżej"*, a w drugim*„mein Führer, mein Führer, mein Führer"*.

Najwyższy już czas przypomnieć i osądzić dwie najważniejsze różnice w ustroju tych totalitarnych despotii.
Hitler doszedł do władzy na fali nacjonalistycznego zrywu (przez niego zresztą zorganizowanego). *„Niemcy ponad wszystko"* — to główny slogan, który spełniał rolę genialnego leninowskiego *„grab zagrabione"*. Grabież swoich, pokrewnych Niemców, naziści kategorycznie odrzucali. Dążyli oni do zjednoczenia narodu, gdy tymczasem bolszewicy martwili się tylko o to, aby podjudzić pracujących na pracodawców, żołnierzy — na oficerów, parobków — na chłopów, kozaków — na *„zamiejscowych"*, lewych— na prawych, a prawych— na lewych.
Niemcy nie musieli przeżywać ani rozkułaczania, ani demaskowania milionów *„szkodników"*. Cały konieczny do funkcjonowania totalitarnej dyktatury ładunek masowej nienawiści skierowany był nie do wewnątrz, ale na zewnątrz — na zewnętrznych wrogów Niemiec. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Do ostatnich dni wojny żołnierze niemieccy gotowi byli przelewać krew w imię ratowania Vaterlandu przed *„azjatyckimi ordami bolszewików"* i *„najemników żydowskiej plutokracji Zachodu"*.
Na tym tle ideologia i praktyka bolszewizmu jawi się jako nieprzeciętny idiotyzm.
Uznając konieczność (a może bardziej — celowość) wciąż nowych światowych i europejskich wojen, *„najbardziej ludzki z ludzi"* i jego pieczeniarze uznali patriotyzm za zagrożenie i szkodliwy przeżytek drobnomieszczańskiej świadomości i w czasie wojny światowej (którą propaganda oficjalna nazywała wtedy *„drugą Ojczyźnianą"*) wzywali do bratania się z żołnierzami przeciwnika.
Po zdobyciu władzy bolszewicy nawet z nazwy swojej armii wyrzucili wszelkie ślady czegokolwiek narodowego. Armia stała się nie *„ruską"*, nie *„rosyjską"* ani nawet nie *„radziecką"* (od nazwy państwa). Została nazwana *„robotniczo–chłopską"*, żołnierze stali się *„czerwonoarmistami"*,

a wszyscy wrogowie nazwani zostali *„białymi”*: białopolacy, białochińczycy, białofinowie…
Lenina jeszcze można zrozumieć. Spędzając najlepsze lata życia w emigranckich kawiarniach Paryża i Zurychu, w wąskim gronie sekciarzy–fanatyków, oderwał się od realnego rosyjskiego życia i poważnie uwierzył w to, że rosyjski *„mużyk”* pójdzie na wojnę, *„aby ziemię w Grenadzie oddać chłopom”*. Ale towarzysz Stalin— pozbawiony zasad pragmatyk i chłodny realista — jak on mógł pójść tą drogą? Tak, oczywiście, potem się opamiętał, rozgonił Komintern, wyciągnął z zapasów świetlane przykłady *„carskich generałów”*, Aleksander Newski zajął w *„czerwonym kąciku”* miejsce twórcy Armii Czerwonej Lwa Trockiego… Ale wszystko to potem… A spóźnianie się na wojnę jest śmiertelnie niebezpieczne.
Dla naszych rozważań jeszcze bardziej znacząca wydaje się druga różnica pomiędzy dyktaturą bolszewicką i nazistowską.
Reżim hitlerowski opierał się na kłamstwie i demagogii. I terrorze. Stalin podstawą swej władzy uczynił jedynie terror. O żadnej demagogii (tj. subtelnej, przemyślanej, dokładnie wyważonej mieszance pochlebstw, półprawdy i dozowanej histerii) w Związku Radzieckim lat trzydziestych nie było nawet mowy. Bo czy można podnieść do rangi wielkiego mistrzostwa demagogii sytuację, kiedy wyczerpanym, zubożałym, wygnanym z rodzinnych miejsc ludziom nagle oświadcza się, że życie stało się lepsze, życie stało się weselsze? Czy tępy bełkot towarzysza Mołotowa (otwarcie swych słuchaczy uważał za idiotów, którzy stracili pamięć) można naprawdę nazwać demagogią?
Te fundamentalne różnice w technologii władzy nie były wcale przypadkowe.
Hitler wypełniał większą część swych obietnic. Stalin i bolszewicy oszukiwali wierzących im prostych ludzi dosłownie we wszystkim.

Hitler połączył wszystkich Niemców w jednym państwie, dał każdemu pracującemu pracę i stosowną zapłatę, stworzył wrażenie systemu socjalnego wsparcia macierzyństwa i opieki nad dziećmi, wielokrotnie rozszerzył terytorium Rzeszy, przeprowadził armię niemiecką pod Łukiem Tryumfalnym w Paryżu, nie skrzywdził żadnego z tych przedstawicieli starej elity Niemiec, którzy zdecydowali się pracować dla nowej władzy. Oto dlaczego praca w resorcie Goebbelsa była bardzo prosta: rozdmuchać pod niebiosa realne osiągnięcia reżimu hitlerowskiego. A na dole pozostało tylko izolować tych nielicznych mądrali, którzy zadawali pytanie: czy długo utrzyma się ten *„zamek”*, zbudowany na piasku i krwi ujarzmionych narodów?
Bolszewicy wypełnili tylko jedną z wielu swoich obietnic: obiecali wyciąć wszystkich panów w pień — i wycięli, nawet ponad miarę. We wszystkich pozostałych sprawach — kompletna plama.

Dzielić się wywłaszczonym, a mówiąc prościej — zagrabionym, z nikim nie zamierzali. Pomimo astronomicznych sum odebranych rodzinie carskiej, arystokracji, cerkwi i prawdziwemu kapitałowi, realny poziom życia większości społeczeństwa pozostawał równie nędzny jak przed rewolucją.
Zamiast obiecanej równości pojawiła się nowa magnateria, która w kraju nędzarzy i ludożerców latała samolotami, jeździła lakierowanymi packardami, żyła na dawny wielkoksiążęcy sposób, odpoczywała na carskich plażach, jednym słowem — rozkoszowała się życiem według standardów amerykańskich milionerów.
Obietnice przesiedlenia rodzin robotniczych z baraków do pałaców zakończyły się tym, że nieliczne ocalałe dwory przekształcono w przeludnione, zanieczyszczone baraki.
Obietnice oddania fabryk robotnikom zakończyły się tym, że dawni wolni robotnicy najemni przekształceni zostali w panszczyźnianych, pozbawionych nawet prawa do zwolnienia się z fabryki, w której pracowali na trzy zmiany za marne grosze, a za półgodzinne spóźnienie otrzymywali pełny wymiar łagru.
Dworskie dobra, zdobyte przez chłopstwo w 1917 roku, odebrano.
Wraz z całym dorobkiem zdobytym krwawicą i potem, wraz z wolnością, a dla wielu — wraz z życiem. Nędza, w której wegetował smoleński lub nowogrodzki kołchoźnik, wstrząsała niemieckimi żołnierzami, którzy wprost nie mogli uwierzyć, że ludzie w Europie mogą tak żyć.

Z nielicznymi wyjątkami wszystkich wojskowych, inżynierów, ekonomistów i dyplomatów starej Rosji, którzy dobrowolnie poszli na współpracę z bolszewikami, rozstrzelano lub starto na obozowy pył — do czerwca 1941 roku nie dożyli.
Jakaż więc demagogia mogła wypełnić takie kłamstwo, taki krach nadziei i oczekiwań milionów ludzi?
Dlatego też towarzysz Stalin nie był demagogiem, dlatego w ciągu trzydziestu lat sprawowania władzy nie zajechał do ani jednego kołchozu, nie odwiedził ani jednego wydziału fabrycznego i nie prowadził korowodów z dziećmi. Nie szukał u mas ludowych miłości, bo też chyba nie wierzył w jej istnienie. Potrzebna mu była tylko uległość — absolutna i nie wymagająca myślenia, i zdobywał ją jedynym znanym i dostępnym mu sposobem: terrorem. Masowym i przerażająco okrutnym. Był przekonany, że powszechny strach to ten kamień, na którym spoczywać będzie jego niezachwiana władza, a *„bramy piekieł nie zdołają jej pokonać"*.
I był to jego podstawowy błąd.
Cóż tu dużo mówić — strach przed karą jest silnym instrumentem oddziaływania na postępowanie człowieka. Pominięcie tego aspektu

byłoby absurdem. Ale jeszcze bardziej absurdalne były nadzieje towarzysza Stalina na to, że zastraszony terrorem naród poprowadzić można do Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Niewykształcony syn pijanego szewca nie zdołał uporać się z naprawdę niełatwym zadaniem — określić dokładnych rozmiarów strachu i przymusu. Wystraszeni na całe życie stalinowscy generałowie okazali się po prostu nieprofesjonalni i nieprzydatni. Podniesione ku szczytom władzy bydło — bez czci, bez wiary, bez wstydu i sumienia — okazało się absolutnie niezdolne do podjęcia złożonych zadań kierowniczych.
Przez długie lata niepodzielnych i niekontrolowanych rządów Stalin nie zdołał zrozumieć istoty starego rosyjskiego powiedzenia: *„Klin wybija się klinem"*. Potężne uderzenie, zadane przez Wehrmacht, zniszczyło stary strach nowym strachem, a nagan czekisty jakoś przygasł i zatarł się wśród łoskotu tysięcy dział, wśród zgrzytu gąsienic tysięcy czołgów. Największy problem polegał na tym, że nie wiadomo gdzie podziało się wojskowe, państwowe, partyjne i wszelkie pozostałe kierownictwo.
Od rana 22 czerwca nomenklatura stalinowska znalazła się w ogniu nie dwóch, ale trzech*„pożarów"*.

Z zachodu nacierali hitlerowcy, nie kryjąc swych zamiarów wobec komunistów. Ze wschodu, z Kremla i Łubianki, leciały rozkazy, jedne głupsze od drugich. Ale najliczniejszy wróg był tuż obok: ta nierozważna determinacja, z jaką bolszewicy spalili kiedyś wszystkie mosty pomiędzy sobą a oszukanym, umęczonym narodem, zwróciła się teraz przeciwko nim. I oto przyszło ich żonom chwytać za donicę z fikusem i w panice uciekać gdzie oczy poniosą.
Następstwa masowej ucieczki kadr kierowniczych okazały się fatalne w skutkach. Po zniszczeniu centrum kierowania psuje się każdy system. Każda armia po utracie dowódców czasowo (a czasem na zawsze) traci gotowość bojową. U nas nie był to jednak *„każdy"*, ale bardzo specyficzny system: system zespolony terrorem i terrorem kierowany. Wraz z uciekającym kierownictwem rozwiał się strach — i Armia Czerwona, wielka i przerażająca, zaczęła się szybko i niepowstrzymanie rozpadać. Jak beczka, z której zdjęto obręcze.

NIC NIE JEST PROSTE

Nie b ędziemy upraszczać. Życie wielomilionowej społeczności ludzkiej jest nieskończenie bardziej złożone od wszelkich schematów. Był i entuzjazm, i patriotyczny zryw, i setki tysięcy ochotników. Frazes — *„jak jeden człowiek, cały naród radziecki"* — pasuje wyłącznie do pieśni. Społeczeństwo radzieckie było wielce niejednorodne.

Byli chłopcy — uczniowie starszych klas, którzy marzyli o bohaterskich czynach i bardzo bali się *„spóźnić na wojnę"*. Byli. Właśnie o nich nasi inżynierowie ludzkich dusz napisali sterty książek, delikatnie i niezauważalnie wyrabiających u czytelnika wyobrażenie, że właśnie te nastroje zamroczonych podrostków to *„głos narodu"*.

Byli oficerowie i generałowie (przepraszam — czerwoni dowódcy, oficerami stali się nieco później), którzy dążyli (jak ich koledzy w tym samym czasie i we wszystkich krajach) do sławy, honorów, stopni i orderów. Dla nich wojna — jakakolwiek wojna, choćby z *„fińskim robakiem"*, choćby razem z Wehrmachtem, choćby przeciwko Wehrmachtowi — była zaszczytem.

Istniało różnorodne i posiadające wiele twarzy kierownictwo — działacze partyjni, dyrektorzy, pisarze i prezesi, rady zakładowe i kołchozowe — które Gospodarz nauczył nie tylko prostego wyrażania zgody, ale i szczerej wiary w to, co napisano we wstępniaku kolejnego numeru **„Prawdy"**. A ponieważ w stalinowskim imperium ciepłą posadkę traciło się zazwyczaj wraz z głową, to ci, którzy wyszli *„z błota w książęta"*, wyboru praktycznie nie mieli: tylko kochać ojczystą partię, kochać do śmierci.

W końcu byli u nas także ludzie z awansu. Energiczna, żądna zaszczytów młodzież, dzieci dozorców i stróżów, którym rewolucja otworzyła drogę ku szczytom socjalistycznej piramidy. Do 1940 roku spośród 170 tysięcy studentów, którzy otrzymali wyższe wykształcenie w latach pierwszej pięciolatki, kierownicze stanowiska zajmowało 152 tysiące, z 370 tysięcy inżynierów, którzy ukończyli szkoły w latach drugiej pięciolatki — 266 tysięcy (tj. dwóch na trzech zostało wyznaczonych na stanowiska kierownicze w ciągu trzech lat pracy) [136, 258]. Takie były realia *„mobilności socjalistycznej"* epoki stalinowskiej. Władza radziecka była dla nich — inżynierów, stachanowców, młodych poetów i aktorów — *„naszą ojczystą władzą radziecką"* . Na ciernistej drodze do sukcesu bez cienia konfuzji podrzynali oni gardła jeden drugiemu (mówiąc zwyczajnie i prosto — kreślili donosy i występowali z *„krytyką"* na zebraniach partyjnych) i z tą samą wojowniczością gotowi byli spotkać się z wrogiem zewnętrznym, zamierzającym dokonać zamachu na ich świetlaną przyszłość.

Te cztery kategorie obywateli stanowiły 5–10% dorosłej ludności kraju. To wcale nie tak mało. W średniowieczu w dowolnym kraju Europy liczebność stanu wojowników (rycerzy–dworzan) wyrażała się jeszcze mniejszym odsetkiem. W każdym razie Stalin posiadał ogromne rezerwy do uzupełnienia strat w składzie dowódczym armii i przemysłu.

A to okoliczność bardzo ważna. Autor nie proponuje powiązania całej historii wojny jedynie z opisem psychologicznych efektów i afektów.
„Czy wiesz, czym jesteśmy silni, Basmanow? / Nie wojskiem, nie, nie polską pomocą, / Ale swymi poglądami; tak! poglądami ludowymi" — mówi jedna z postaci Puszkinowskiego **Borysa Godunowa**.Złote słowa, ale nie należy zapominać o tym, że armia trzyma się nie tylko dzięki *„poglądom ludowym"*, lecz jeszcze opiera się na rozkazach i dyscyplinie. Rola dowódcy jest ogromna i tam, gdzie dowódcy i komisarze zdołali zachować porządek i głowę na karku, zdołali uchronić swoich żołnierzy przed paniką — tam wróg napotkał odpowiedni opór już w pierwszych walkach.
Takie dywizje, pułki, bataliony, eskadry, baterie znajdowały się na każdym odcinku frontu. Przypomnijmy z imienia choćby niektórych z wielu tysięcy bohaterów.
Trzykrotnie z granicznego Przemyśla wyrzucała Niemców 99. Dywizja Strzelecka pułkownika N. N. Diemientiewa. Dopiero 28 czerwca, tego samego dnia, gdy Niemcy zajęli już Mińsk i Dyneburg, dywizja Diemientiewa wycofała się znad brzegów granicznej rzeki San.
Na samym ostrzu niemieckiego klina pancernego,przebijającego się na Łuck i Równe, znalazła się 1. Brygada Artylerii Przeciwpancernej generała K. S. Moskalenki — i ani razu wrogowi nie udało się przebić przez jej ugrupowanie bojowe.
Na podejściach do Dubna w pierwszych dniach wojny gnały i gromiły hitlerowców 43. i 34. Dywizja Pancerna pułkowników I. G. Cybina i I. W. Wasiliewa.

Do końca czerwca wróg napotykał ogień garnizonów DO T–ów Grodzieńskiego, Brzeskiego, Strumiłowskiego, Rawsko–Ruskiego RU. Znajdując się na tyłach wroga, bez łączności, bez żywności i wody, walczyły one do ostatniego naboju i ostatniego człowieka.
Na północnych podejściach do Mińska 25 czerwca 1941 roku obronę zajęła 100. Dywizja Strzelecka generała majora I. N. Russijanowa. W przeddzień, w związku z rozgardiaszem panującym wśród wyższego dowództwa, cała artyleria, do batalionowej włącznie, została z dywizji zabrana i przekazana na inny, pasywny odcinek frontu, skąd udało się ją zawrócić dopiero w drugiej połowie dnia 27 czerwca. W takim, faktycznie bezbronnym stanie żołnierze z dywizji Russijanowa wystawieni zostali na uderzenie niemieckiego XXXIX Korpusu Zmotoryzowanego. Trzy dni utrzymywali oni swą rubież obrony, szklanymi flaszkami z benzyną podpalili czołgi wroga, zniszczyli pułk piechoty zmotoryzowanej, w nocnym boju rozgromili sztab 25. Pułków Czołgów Wehrmachtu.
2 lipca 1941 roku pod Borysowem na przeprawiające się przez

Berezynę niemieckie oddziały pancerne uderzyła 1. Moskiewska Proletariacka Dywizja Zmotoryzowana[79]pułkownika J. G. Krejzera. Uderzenie było tak silne, że dwóch dowódców niemieckich grup pancernych, Hoth i Guderian, jednomyślnie odnotowuje ten bój i to, że *„tu po raz pierwszy pojawiły się czołgi T–34"*.
Ta ostatnia uwaga jest podwójnie zadziwiająca. Po pierwsze, w uzbrojeniu dywizji zgodnie z etatem powinny znajdować się jedynie czołgi lekkie (w 1. Moskiewskiej były to najnowsze BT–7M). Żadnych *„trzydziestekczwórek"* w dywizji nie było. Po drugie, w uzbrojeniu 6. i 11. Korpusu Zmechanizowanego Frontu Zachodniego znajdowało się 266 czołgów T–34. A Niemcy nawet ich nie zauważyli? Niemniej Hoth i Guderian w tym przypadku nie kłamią. Rzecz w tym, że w czasie przemarszu dywizji ze Smoleńska ku Berezynie Krejzer odkrył na stacji Orsza 30 bezpańskich *„trzydziestekczwórek"*. To te trzydzieści czołgów, których kierowcy po raz pierwszy w życiu usiedli za dźwigniami T–34, zrobiło na Niemcach o wiele większe *„wrażenie"* niż setki czołgów 6. i 11. KZmech.
Na skrajnym, północnym skrzydle wojny, na Dalekiej Północy, walczyła 14. Armia pod dowództwem generała lejtnanta W. A. Frotowa. Powtórzmy raz jeszcze, że armia ta wykonała zadanie postawione jej w przedwojennych planach, już w pasie przygranicznym zatrzymała natarcie wroga, faktycznie wykrwawiła i rozgromiła elitarny korpus piechoty górskiej Dietla.
To, co przypomnieliśmy wyżej, to tylko kilka epizodów z pierwszych dwóch tygodni wojny. Te epizody związane są z działaniami bojowymi dużych związków (dywizja, armia) i dlatego zostały wystarczająco opisane w literaturze historycznowojskowej. Tysiące bohaterów 1941 roku walczyło niemal w pojedynkę, bez sąsiadów, którzy uciekli w powszechnym chaosie, bez łączności i — bez nadziei na ocalenie życia. Najbardziej tragiczne jest to, że wojna w jednym mocno się różni od innych rodzajów działalności ludzkiej. Jeśli z dwunastu wioślarzy wesołej łodzi dziesięciu odpoczywa, a tylko dwóch wiosłuje, łódka i tak płynie. Kiedy jednak ze stu dwudziestu garnizonów Brzeskiego Rejonu Umocnionego dwadzieścia bije się do ostatniego naboju, a sto — wycofuje się do Bielska, to rejon umocniony jako jednostka operacyjna przestaje istnieć. Dowódcy niemieccy nie byli na tyle głupi, aby zawalić trupami swoich żołnierzy ambrazury walczącego DOT–u, jeśli można było go spokojnie obejść — z lewa lub z prawa. Praktycznie na każdym odcinku ogromnego frontu rozpoczętej 22 czerwca wojny znajdowali się ci, którzy wśród powszechnego chaosu i panicznej ucieczki trwali do śmierci. Ale choć gorzko jest o tym pisać, jeśli *„opór przeciwnikowi stawiały nieliczne oddziały, a nie jakaś zorganizowana armia"*, to i samopoświęcenie bezimiennych bohaterów nie mogło zmienić sytuacji, nie mogło powstrzymać marszu przeciwnika w głąb kraju, nie mogło

nawet ocalić uciekającego tłumu od niewoli i śmierci.

79 — Niech nas nie zmyli jej nazwa— była to dywizja zmechanizowana (jak na standardy radzieckie; dla Niemców byłaby to najpotężniejsza dywizja pancerna) licząca 12 tys. ludzi i dysponująca około 225 czołgami (uzupełniona dodatkowo 30 czołgami T–34 i 10 czołgami KW), 54 haubicami 122 mm, 18 działami 45 mm.

G UPIA POLITYKA HITLERA...

Ratu nek nadszedł stąd, skąd Stalin nawet nie śmiał go oczekiwać. To cudowne wybawienie od niechybnej zagłady wstrząsnęło wodzem narodu do tego stopnia, że nie wytrzymał i powiedział o tym tak, aby wszyscy usłyszeli. Potem jednak oprzytomniał i więcej na ten temat głośno nie mówił. Ale w listopadzie 1941 roku, występując z referatem na uroczystym posiedzeniu poświęconym kolejnej rocznicy przewrotu bolszewickiego, Stalin niespodziewanie powiedział: *„Głupia polityka Hitlera przekształciła narody ZSRR w śmiertelnyc h wrogów dzisiejszych Niemiec"*[80].

W tych słowach prawie dokładnie sformułowana została główna przyczyna tego, dlaczego walka o granice rozbójniczych zdobyczy między dwoma krwawymi dyktaturami przekształciła się w końcu w Wielką Wojnę Ojczyźnianą narodu radzieckiego. Zastrzeżenie *„prawie"* odnosi się do tego, że ludojad Hitler nie mógł działać inaczej. Czyż paranoik, owładnięty bzdurnymi ideami rasowej wyjątkowości, zakochany w sobie fanatyk, uznający samego siebie za oręż *„opatrzności"*, mógł nie popełnić tych głupot, które miał na myśli towarzysz Stalin?

Dlatego nie ma żadnych rozsądnych powodów do rozważania pytania o to, co by było, gdyby hitlerowcy:

— ogłosili niezawisłość Ukrainy, zamiast wysyłać S. Banderę wraz z towarzyszami do obozów koncentracyjnych;

— rozpuścili do domów wszystkich jeńców, a tych, których dom znajdował się jeszcze po drugiej stronie frontu, karmili befsztykami ze *„zdobycznych"* krów trzy razy dziennie;

— utworzyli antybolszewicką ochotniczą armię rosyjską i alternatywny rząd rosyjski.

Generałom Wehrmachtu (którzy sytuację w ZSRR widzieli z bliska) Hitler z początku odpowiadał, że nie potrzebuje sojuszów ze słowiańskimi podludźmi, od swoich generałów żąda zaś rozgromienia Rosji, a nie wyzwalania jej. Potem nawet przestał odpowiadać. Kiedy dowódca Grupy Armii *„Środek"* von Bock wysłał do Berlina projekt utworzenia *„armii wyzwoleńczej"* złożonej z 200 tysięcy ochotników i

utworzenia rządu rosyjskiego w Smoleńsku, to w listopadzie 1941 roku raport mu odesłano z taką oto rezolucją Keitla: *„Takich idei z Führerem rozważać nie można"*.
Jeńców zagnano jak bydło na ogromne, omotane drutem kolczastym polany i morzono tam głodem i dyzenterią. Rannych dobijano na miejscu, często wraz z personelem medycznym szpitali. Rozpoczęte z inicjatywy dowództwa armijnego uwalnianie jeńców wielu narodowości zostało 13 listopada 1941 roku zabronione [35]. Następnie przyszła wczesna i bardzo chłodna tego roku zima, podczas której z zimna, głodu i chorób zmarły dwie trzecie jeńców z 1941 roku.
System kołchozowy, jako formę organizacji pracy niewolniczej, okupanci nawet wzmocnili dyscyplinującą pałą (mówiąc dokładniej — rozstrzeliwaniem). Nowy porządek okazał się prostszy od starego: rozstrzelanie na miejscu za dowolne przewinienie. Z rozbrajającą szczerością ludowi wyjaśniono, że służenie przedstawicielom rasy wyższej stanowi odtąd jedyny cel życia dla tych, którym jeszcze życie jest miłe.
Nie wszystkim to odpowiadało. Koszmarne sceny ludobójstwa Żydów wstrząsały ludnością rejonów okupowanych. Oczywiście byli i tacy, których to cieszyło, znalazły się — w dużej liczbie — wyrodki, które za kilogram soli i czekoladkę donosiły na swoich sąsiadów. Ale byli i inni — ogromna masa ludzi zastanawiała się nad tym, kto będzie następny. Nie ma co kryć — historia Rosji jest równie okropna jak każdego innego kraju europejskiego. Także w złotej Moskwie rąbano ręce i nogi, wbijano na pal, wieszano na murach Kremla. Ale karano przestępców, to znaczy tych, których kolejna władza za takich uznała. Przed kaźnią trybun odczytywał ich *„wielkie winy"*. Czegoś takiego jednak, aby ludzi zabijano tysiącami, wraz z niemowlętami i brzemiennymi kobietami, zabijano po prostu dlatego, że nie podobali się nowej władzy — nie, czegoś takiego na Rusi jeszcze nie widziano. I nawet ci, którzy przed najazdem niemieckim chętnie gderali przeciwko *„Żydom, którzy siedzą wszędzie"*, przerazili się i pomyśleli, że przy takim nowym porządku żyć się nie da.
Tak, w początkowym okresie naziści nie afiszowali się swoim zezwierzęceniem. Przeciwnie, ulotki, które w milionach egzemplarzy spadały z niemieckich samolotów, obiecywały żołnierzom Armii Czerwonej dobre wyżywienie w niewoli i powrót do domu po zakończeniu wojny. Ale *„głuchy telefon"* pogłoski pracował, i to pracował z zadziwiającą efektywnością. Tak więc z każdym dniem i miesiącem coraz to nowe miliony ludzi zaczynały uzmysławiać sobie, że wojna, w której przyszło im walczyć i umierać, toczy się już nie o wyzwolenie kolejnych *„braci klasowych"* w Zanzibarze, już nie o triumfalne zakończenie wiecznie żywej nauki marksistowskiej, ale po prostu dlatego, aby oni, ich rodziny i dzieci mogły żyć i mieć nadzieję

na lepszą przyszłość.
I wtedy rozpoczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana.
Oczywiście nie może być nawet mowy o ustaleniu jakiejś dokładnej daty przejścia od klęski, paniki i masowej dezercji do powszechnej, narodowej Wojny Ojczyźnianej. Głębokie przeobrażenia świadomości ogromnego narodu nie mogły dokonać się w jednej chwili i powszechnie. Jak już wspomnieliśmy w poprzednim rozdziale, dla wielu żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej Wielka Wojna Ojczyźniana rozpoczęła się już 22 czerwca 1941 roku.
„Na świecie nawet śmierć jest piękna". Bezimienni bohaterowie początku wojny nie mieli choćby tego skromnego pocieszenia. Czekała ich śmierć w samotności i nawet nie wiedzieli, czy udało się im za cenę swego życia przybliżyć jedno powszechne zwycięstwo. Większości z nich nie czekały ani ordery, ani sława, ani nawet nagrobne kamienie. Ale to właśnie oni swoim poświęceniem uratowali kraj. Było ich zbyt mało, aby rozgromić armię wroga. Było ich zbyt mało nawet do tego, aby powstrzymać parcie naprzód Wehrmachtu. Ale ten opór, te nie poddające się DOT–y, baterie i bataliony raz po raz zmuszały Niemców do rozwijania się z szyków marszowych w bojowe, obniżały i tempo, i pychę.
Poza tym cios zadany wrogowi nie ograniczał się jedynie do obniżenia poziomu pychy.
Już w pierwszych trzech tygodniach wojny z ZSRR Luftwafife straciła 550 samolotów bojowych, a 336 maszyn wymagało długotrwałych remontów [60]. Dodajmy, że to najniższe spośród znanych autorowi liczb. Stracić 886 samolotów — to bardzo mało. Jeśli porównywać to ze stratami radzieckich sił powietrznych. Dla Niemców jednak takie straty oznaczały, że co trzeci samolot,z którym rozpoczynali wojnę, swoje wylatał. Do końca pierwszego miesiąca walk, do 22 lipca 1941 roku, w eskadrze myśliwskiej JG 54 poległo lub zaginęło bez wieści 37 pilotów spośród tych 112, którzy znajdowali się w szyku rankiem 22 czerwca. Zauważmy, że eskadra JG 54 w ciągu całej wojny wyróżniła się najmniejszymi stratami spośród wszystkich eskadr myśliwskich Luftwaffe.
Straty niemieckich grup pancernych były bardzo małe — w porównaniu z astronomicznymi liczbami porzuconych czołgów radzieckich. Niemniej do 10 lipca 1941 roku Niemcy stracili bezpowrotnie 350 czołgów. Co dziesiąty. To oczywiście za mało, aby powstrzymać napór Wehrmachtu. Jak jednak można domniemywać, okazało się to wystarczające, aby każda z pozostałych dziewięciu załóg popatrzyła na zwęglone trupy swoich kolegów i pomyślała, że zwycięski marsz na Moskwę przestaje być lekką przechadzką. A pod koniec roku straty bezpowrotne wzrosły do 2765 czołgów — pięć z sześciu czołgów, które 22 czerwca 1941 roku przeprawiły się przez pograniczną rzekę, już

zamieniło się w stosy złomu.
W sumie w ciągu pierwszych sześciu miesięcy wojny (do 31 grudnia 1941 roku) Wehrmacht na Froncie Wschodnim stracił zabitych i zaginionych bez wieści 209 595 żołnierzy i oficerów. Ponadto 621 308 ludzi opuściło szyki z powoduran [12, s. 161]. Nie będziemy porównywać tych liczb ze stratami Armii Czerwonej, ale dla Niemców oznaczało to, że co czwarty żołnierz już zakończył swój udział w *„marszu na Wschód"*. Drewnianym krzyżem lub izbą szpitalną.
W końcu nie odrzucajmy także czynników przyrodniczo–geograficznych. Nie należy ich przeceniać (jak się to przyjęło w historiografii zachodniej), ale również nie można zapominać o tym, że ogromne przestrzenie Rosji wchłaniały i rozpuszczały armie okupantów. Napoleon miał łatwo. Jego armia, rozciągnięta w nitkę, szła kolumną na Moskwę. Wehrmacht rozpoczął natarcie na froncie od Kowna do Przemyśla (mniej więcej 700 km w linii prostej), a pod koniec roku walki toczyły się na froncie od Tichwina do Rostowa nad Donem (1600 km w linii prostej). Szlaki komunikacyjne armii niemieckiej nieprzerwanie się rozrastały. Każdy pocisk i każdy litr benzyny, zanim dotarł na linię frontu, pokonać musiał gigantyczne odległości rzędu półtora–dwóch tysięcy kilometrów. Te linie komunikacyjne trzeba było ochraniać, zabezpieczyć obroną przeciwlotniczą, garnizonami, służbami inżynieryjno–budowlanymi.
To, co w Rosji nazywano drogami, wywoływało u Niemców wrażenie specjalnie stworzonych przeszkód. Już 13 lipca 1941 roku dowódca 3. Grupy Pancernej H. Hoth meldował osobistemu adiutantowi Hitlera, że *„na morale przygnębiająco wpływa ogromne i opustoszałe terytorium kraju, a także zły stan dróg i mostów, nie pozwalających na wykorzystanie wszystkich możliwości związków szybkich"* [13]. W suchym i gorącym lipcu, na piaszczystym gruncie rejonów Witebskiego i Smoleńskiego już nie odpowiadał im stan dróg! A przed nimi były dopiero jesienne deszcze, które zmieniały drogi gruntowe środkowej Rosji w jedno wielkie morze błota nie do przejścia.
Dlatego kiedy mówimy, że Niemcy doszli do Moskwy, popełniamy ogromny błąd. Dywizje Wehrmachtu, wymęczone i wykrwawione wielomiesięcznymi walkami, nie doszły, ale wydając z siebie ostatni dech, dopełzły do Moskwy. Tu napotkały trzydziestostopniowe mrozy oraz 40 świeżych dywizji z Syberii i Dalekiego Wschodu.
Tak oto mnóstwo różnych według znaczenia i rodowodu faktów — z których głównym nie była oczywiście jałowa przestrzeń, lecz bohaterski opór całego szeregu oddziałów i związków Armii Czerwonej — doprowadziło w końcu do tego, że Blitzkrieg się nie powiódł. A przewlekła wojna okazała się zgubna dla Wehrmachtu nie tylko dlatego, że zasoby Niemiec nie wytrzymywały porównania z połączoną potęgą trzech największych mocarstw (ZSRR, USA, imperium

brytyjskie), ale przede wszystkim dlatego, że sam upływ czasu sprzyjał wzrostowi bojowego, taktycznego i psychologicznego przygotowania żołnierzy armii koalicji antyhitlerowskiej.
Front Wschodni ustabilizował się (w ciągu sześciu miesięcy od listopada 1941 roku do maja 1942 roku Niemcy praktycznie nigdzie nie posunęli się do przodu, a w centrum musieli się nawet wycofać na 200 km), a Związek Radziecki wygrywał dzięki temu drogocenny czas konieczny do tego, aby dokonać się mogło głębokie przeobrażenie stosunku narodu do wojny.
Nasze rozważania dobiegają końca. Pozostało jeszcze zapoznać się tylko z dwoma dokumentami.
W grudniu 1943 roku wewnątrz Abwehry— wywiadu wojskowego nazistowskich Niemiec — opracowany został dokument o wstrząsającym tytule: ***„O konieczności przekształcenia Marszu na Wschód w wojnę domową"***.

80 — J. Stalin, **O Wielkiej Wojnie Narodowej Związku Radzieckiego**, KiW, Warszawa 1951, s. 29.

Dokument ten zaczyna się po niemiecku — sucho i precyzyjnie: *„Na podstawie przeprowadzonych w czasie Marszu na Wschód przesłuchań jeńców wojennych i zbiegów, a także kontaktów z ludnością cywilną, układa się następujący obraz r o z b u d z a n i a w o l i o p o r u* (podkr. M.S.)*w Armii Czerwonej oraz wśród ludności ZSRR*.
Po nieprzerwanej młócce propagandowej w ciągu ostatnich 25 lat i stosowaniu licznych środków przemocy, wojna przyjęta została jako jedyne istotne zdarzenie, którego nie można uniknąć. Niezliczeni jeńcy i zbiedzy świadczyli o niechęci i obojętności mas, które nie wiedziały, o co walczą. Przesłuchania pokazały także wyraźnie, że wszędzie ukrywają się ludzie śmiertelnie nienawidzący systemu stalinowskiego. Większa część okrążonych w 1941 roku czerwonoarmistów szybko dobrowolnie wyszła z lasów i poddała się. Rozkaz Stalina o organizacji ruchu partyzanckiego w okupowanych rejonach z początku nie spotkał się z oddźwiękiem. Nikt nie wiedział, za co ma walczyć. Ten wewnętrzny kryzys Związku Radzieckiego wyjaśnia też to radosne nastawienie, z jakim duża część ludności wyszła na spotkanie nacierającym wojskom niemieckim. Zmiana w nastrojach Rosjan nastąpiła dzięki sukcesom Armii Czerwonej zimą 1941–1942 roku.
Kremlowi bez trudu udało się pokazać Niemców jako nieświadomych, butnych okupantów, zamierzających przekształcić okupowane rejony w eksploatowaną na wszystkie sposoby kolonię. Klice stalinowskiej udało się przełamać ciężki kryzys wiosny 1942 roku i za pomocą sloganu «Smierć okupantom» rozbudzić i umocnić wolę oporu w Armii

Czerwonej oraz wśród ludności cywilnej. Nasza agentura, zamieszkująca na zajętym przez wojska niemieckie terytorium, oświadcza, że i tutaj wzrastające niezadowolenie sprzyja temu, że ludność z coraz większą ochotą słucha głosu Kremla. Najbardziej wyraźnie świadczy o tym zwiększenie się liczby band (oddziałów partyzanckich — M.S.), *które w chwili obecnej składają się z ludności cywilnej lub też są przez nią wspierane. Okupacja niemiecka postrzegana jest jako obca dominacja, której okazuje się częściowo bierny, a częściowo także wzrastający aktywny opór"* [**WIŻ**, 1994, nr 9].

I jeszcze raz otwórzmy zbiór statystyczny **Grif siekrietnosti sniat**. Tym razem— na stronie 152. Znajduje się tam tabela strat bezpowrotnych i

sanitarnych (ranni i chorzy) składu osobowego armii czynnej z podziałem na kwartały każdego roku wojny.

Smutne doświadczenia licznych konfliktów wojennych XX wieku pokazują, że jest pewien całkiem stabilny stosunek liczby zabitych i rannych w działaniach bojowych. Przypuszczalnie wyraża on jakiś fundamentalny stosunek między wytrzymałością ludzkiego organizmu i porażającym oddziaływaniem broni tej epoki.

Ten stosunek to 1 do 3. Na jednego zabitego przypadało trzech rannych. Mówiąc krótko, właśnie takimi proporcjami wyrażały się straty Wehrmachtu w 1941 roku (patrz wyżej).

Innymi słowy, w sytuacji *„normalnej wojny"* (wybaczcie to cyniczne wyrażenie) udział strat sanitarnych powinien wynosić 75% ogólnej liczby strat. Mówiąc dokładnie, powinien on być nawet większy, ponieważ oprócz rannych byli jeszcze chorzy, a wcale nie tak mało ich było wśród ludzi żyjących miesiącami w zalanych błotem okopach.

A co pokazuje nam tabela nr 72?

W trzecim kwartale 1941 roku (to jest po pierwszych trzech miesiącach wojny) udział strat sanitarnych wynosił zaledwie 24,66% wszystkich strat. To bardzo ponury *„cud"*. Kryje się za tym ogromna liczba jeńców i dezerterów (którzy stanowili główną część strat bezpowrotnych Armii Czerwonej), stoi za tym tragedia porzuconych na pastwę wroga rannych, których nie wywieziono na tyły, a następnie nie ujęto w rubryce *„straty sanitarne"*.

W czwartym kwartale 1941 roku udział strat sanitarnych zwiększył się niemal dwukrotnie — do 40,77%. Takie proporcje są jeszcze bardzo dalekie od sytuacji w normalnej, walczącej armii, niemniej jednak zmiany są oczywiste.

W pierwszym kwartale 1942 roku— już 65,44%.

W drugim i trzecim kwartale — odpowiednio 47,48% i 52,79%. Niemcy przezimowali, odtworzyli siły i ponownie pognali wielotysięczne kolumny jeńców z kotłów na Kerczu i pod Charkowem. Ale odnotujmy, że zadziwiająca sytuacja z lata 1941 roku więcej się nie powtórzyła!

Pod koniec 1942 roku udział strat sanitarnych zwiększył się prawie do *„normalnych”* rozmiarów i wyniósł 67,25%. Dalej niemal do zwycięskiego maja 1945 roku pojawiają się takie liczby: 79, 75, 76, 77, 79, 78…

Wybaczcie! Rozumiem całe bluźnierstwo gry procentami, za którymi kryją się miliony zabitych i okaleczonych ludzi. Ale cóż robić — praca historyka wojskowości jest niewiele atrakcyjniejsza od pracy anatomopatologa. Uwierzcie, historyk i anatomopatolog wykonują swoją pracę nie z powodu niezdrowego zamiłowania do trupiego smrodu, lecz aby postawić ostateczną, zawsze spóźnioną, ale maksymalnie dokładną diagnozę.
Oczywiście wszystkie te liczby można rozpatrywać wyłącznie jako jedno z możliwych podejść do oceny sytuacji. Mimo wszystkich tych zastrzeżeń jednak widoczna i bezsprzeczna jest zasadnicza, jakościowa przemiana w zachowaniu się głównej masy armii.
Pewne orientacyjne ramy czasowe, w których dokonał się ten *„wielki przełom”*, można określić tak: jesień 1942–wiosna 1943 roku. W przekładzie na ogólnie przyjętą chronologię wojny— od bitwy stalingradzkiej do łuku kurskiego.

EPILOG

„Wszechstronne historyczne znaczenie zwycięstwa narodu radzieckiego w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej". Tę sprawę zawsze wśród uczniów i studentów uważano za oczywistą. Właściwą.

Nie trzeba się uczyć dat, zapamiętywać nazw frontów — wystarczy znane nam trajkotanie o *„stworzeniu światowego systemu socjalistycznego"*, *„umocnieniu autorytetu na arenie międzynarodowej"*, *„likwidacji wrogiego okrążenia"*...

Oczywiście wzrost wojs kowo–technicznej potęgi reżimu komunistycznego, ogromne zwiększenie jego możliwości wprawiania w drżenie całego świata były zatrważające. Z pokonanych Niemiec wywieziono setki ton dokumentacji technicznej. Wywieziono całe zespoły naukowo– badawcze i konstruktorskie. U byłych sojuszników wszelkimi prawnymi i nieprawnymi sposobami kupowano, zdobywano i kradziono najnowsze technologie wojskowe.

Zdobycze były ogromne: silniki odrzutowe i turbośmigłowe (jeden z nich do dziś pracuje na niebie), rakiety przeciwlotnicze, radiolokatory, systemy naprowadzania w podczerwieni, strategiczny bombowiec (skopiowano jeden i wprowadzono pod nazwą Tu–4), rakiety skrzydlate i balistyczne, turbiny parogazowe dla okrętów podwodnych, bomby ślizgowe, stopy ognioodporne. I na koniec szczyt wszystkich wysiłków — tysiące stron opisów technicznych amerykańskiej bomby atomowej.

W momencie, gdy umarł Stalin (lub został wysłany na tamten świat przez swoich towarzyszy z Biura Politycznego), Związek Radziecki był uzbrojony i niebezpieczny. Jak nigdy. Nie po to miliony ludzi poniosły śmierć. Nie po to. Nawet w tych niewyobrażalnie ciężkich warunkach, na jakie skazany był przez wieloletnią samowolę reżimu stalinowskiego naród radziecki, właśnie on i jego wielonarodowa Armia Czerwona uratowały Europę przed hitlerowskim jarzmem. Ponownie, jak w latach 1812–1814, zniewolony rosyjski chłop otworzył drzwi do pokoju, wolności i rozkwitu dla innych narodów.

A jakie były głębokie, długofalowe następstwa Wielkiej Wojny Ojczyźnianej dla samej Rosji?

O czym mówi śmierć milionów najlepszych, najuczciwszych, nieugiętych w swych zasadach moralnych, na samym szczycie narodu? Czyż w ciągu tych czterech lat przy nadludzkim napięciu nie osłabły duchowe siły narodu?
Czyż ten najbardziej dobitny wybuch masowego heroizmu, masowego

samopoświęcenia, które zdumionemu światu pokazał naród radziecki, nie był ostatnim przypływem sił umierającego?
Oto pytania, na które odpowiedź dać może tylko samo życie — w ich obliczu historykowi pozostaje jedynie zamilknąć i postawić ostatnią kropkę.

ZA CZNIKI

Nr 1. Struktura sił zbrojnych, przyjęte terminy i skróty **1. Struktura wojsk lądowych** Podstawą sił zbrojnych ZSRR i Niemiec były wojska lądowe. W Niemczech był to Wehrmacht, w przypadku zaś Związku Radzieckiego termin Armia Czerwona można było stosować zarówno do całych sił zbrojnych, jak i do samych wojsk lądowych.

1.1.Związki i oddziały

Podstawową *„komórką"* wojskowej struktury wojsk lądowych jest pułk. Jest to oddział wojskowy, posiadający swój indywidualny numer i sztandar. Strukturalne pododdziały pułku nie mają swoich numerów *„personalnych"* i oznaczane są kolejnymi liczbami porządkowymi, na przykład: *„trzeci pluton drugiej kompanii pierwszego batalionu 486. Pułku Strzeleckiego"* lub*„druga bateria pierwszego dywizjonu 265. Pułku Artylerii"*.

W Armii Czerwonej były pułki strzeleckie (PS), pułki strzelców zmotoryzowanych (PSZmot.), pułki czołgów (PCz.), pułki kawalerii (PKaw.). Pułki artylerii, w zależności od typu posiadanego uzbrojenia, nazywano *„pułkami artylerii armat"* (PAA) lub*„pułkami artylerii haubic"* (PAH).

Kilka pułków łączono w dywizję. W dywizji strzeleckiej (DS) Armii Czerwonej znajdowały się trzy pułki strzeleckie i dwa pułki artylerii — 14 483 ludzi. Kilka dywizji łączono w korpus strzelecki (KS). Korpus strzelecki Armii Czerwonej nie posiadał stałej liczebności i struktury, mógł łączyć od dwóch do pięciu dywizji strzeleckich.

W Wehrmachcie wykorz ystywano te same nazwy i skróty, ale zamiast terminu*„strzelecki"* posługiwano się określeniem *„piechota"*: pułk piechoty (PP), dywizja piechoty (DP). Dywizja piechoty Wehrmachtu liczyła 16 589 ludzi i składała się z trzech pułków piechoty i jednego pułku artylerii oraz kilku samodzielnych batalionów. Analogicznie do korpusu strzeleckiego w Wehrmachcie posługiwano się terminem *„korpus armijny"* (KA).

Kilka korpusów (z zasady dwa– trzy strzeleckie i jeden zmechanizowany) łączono w wielki związek wojskowy — Armię (A). W tekście oznaczono je następująco: 5A, 10A, 23A.

Jeśli na poziomie pułków, dywizji i korpusów strzeleckich (piechoty) Armia Czerwona i Wehrmacht posiadały mniej więcej równą liczebność składu osobowego i uzbrojenia, to w Wehrmachcie, z zasady, armia była dwukrotnie liczniejsza (z powodu większej liczby wchodzących w

jej skład korpusów i samodzielnych dywizji).

1.2. Fronty i grupy armii

W czasie pokoju armia była najwyższym związkiem w składzie Armii Czerwonej. W czasie wojny (lub w przededniu planowanej wojny) kilka armii, samodzielnych dywizji i korpusów łączono w najpotężniejszy związek — front. Przed rozpoczęciem wojny z Niemcami rozwinięto pięć frontów[81]: Front Północny (Fr. Płn.) w rejonie Leningrad–Murmańsk;
Front Północno–Zachodni (Fr. Płn.–Zach.) w krajach nadbałtyckich; Front Zachodni (Fr. Zach.) na Białorusi;
Front Południowo–Zachodni (Fr. Płn.–Zach.) na Ukrainie;
Front Południowy (Fr. Płd.) w Mołdawii i obwodzie odeskim. Fronty te utworzono na bazie oddziałów i związków Leningradzkiego Okręgu Wojskowego (LOW), Nadbałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego (NSOW), Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego (Zach.SOW), Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego (KSOW) i Odeskiego Okręgu Wojskowego (Od.OW).

W Wehrmachcie odpowiednikiem frontu był wielki związek nazywany grupą armii (GA). Do najazdu na Związek Radziecki rozwinięto trzy Grupy Armii: *„Północ"* (z zadaniem natarcia przez kraje nadbałtyckie na Leningrad), *„Środek"* (do natarcia na Mińsk–Smoleńsk) i *„Południe"* (do opanowania Ukrainy i, we współdziałaniu z armią rumuńską, Mołdawii).

1.3. Wojska pancerne (zmotoryzowane)

Odpowiednio dla Armii Czerwonej i Wehrmachtu do oznaczenia tego rodzaju wojsk wykorzystywano terminy *„wojska pancerne"*, *„oddziały szybkie"*, *„oddziały zmotoryzowane"*, *„związki zmechanizowane"*.

Struktura wojsk zmotoryzowanych Armii Czerwonej i Wehrmachtu była zróżnicowana i dlatego proste porównania mogą doprowadzić do błędnych wniosków.

81 — Ponadto istniał jeszcze skierowany przeciwko Japonii Front Dalekowschodni.

Dywizja Pancerna (DPanc.) Armii Czerwonej posiadała w swym składzie dwa pułki czołgów, pułk artylerii haubic i pułk strzelców zmotoryzowanych. Etatowa liczebność czołgów — 375 sztuk.

Dywizja Pancerna Wehrmachtu, przy porównywalnej z dywizją pancerną Armii Czerwonej liczebności stanu osobowego (11 729 i 10 940 ludzi), miała w swoim składzie jeden pułk czołgów, przy czym w niektórych dywizjach pułk ten mógł posiadać strukturę dwubatalionową, a w innych — trójbatalionową. Etatowa liczebność

czołgów w dywizjach pancernych wynosiła od 196 do 258 sztuk, tj. o półtora–dwa razy mniej aniżeli w radzieckiej dywizji pancernej.

W składzie dywizji pancernej Wehrmachtu znajdował się dywizjon artylerii przeciwpancernej i dwa bataliony motocyklowe, czego w radzieckiej dywizji pancernej nie było.

Dywizja Zmotoryzowana (DZmot.) Wehrmachtu nie miała w uzbrojeniu ani jednego czołgu — była to dywizja piechoty, wyposażona w dużą liczbę samochodów i motocykli do przewozu ludzi i uzbrojenia. Dywizja zmechanizowana (DZmech.) Armii Czerwonej według liczebności była znacznie mniejsza od niemieckiej dywizji zmotoryzowanej (11,5 tys. do 16,5 tys.), ale w swoim składzie, wraz z dwoma pułkami strzelców zmotoryzowanych i jednym pułkiem artylerii, miała jeszcze pułk czołgów i według liczebności czołgów (275 sztuk) przewyższała dowolną niemiecką dywizję pancerną.

W kolejnym — korpuśnym— ogniwie różnice w strukturze i uzbrojeniu wojsk zmotoryzowanych Armii Czerwonej i Wehrmachtu były jeszcze bardziej wyraźne. Niemieckie korpusy zmotoryzowane (KZmot.) posiadały bardzo różnorodną strukturę: mogły się w nich znajdować zarówno dwie, jak i cztery dywizje, w tym jedna lub dwie pancerne. Na przykład w składzie XIV KZmot. (Grupa Armii *„Południe"*) była tylko jedna dywizja pancerna (9. DPanc.), w której znajdowały się dwa bataliony czołgów, w sumie 143 czołgi. W tym czasie XXXIX KZmot. (Grupa Armii *„Środek"*) posiadał w swym składzie dwie dywizje zmotoryzowane i dwie pancerne (7. i 20. DPanc.), których pułki czołgów składały się z trzech batalionów każdy. W sumie w XXXIX KZmot. znajdowały się 494 czołgi.

Korpusy zmechanizowane (KZmech.) Armii Czer wonej posiadały ściśle określoną strukturę: dwie dywizje pancerne, dywizja zmechanizowana, samodzielny pułk motocyklowy, dywizjon artylerii przeciwpancernej i inne oddziały wspomagające. Liczebność etatowa — 1031 czołgów i 36 080 ludzi.

Związków wyższego niż korpus stopnia w wojskach pancernych Armii Czerwonej nie było. W Wehrmachcie zaś sformowano cztery grupy pancerne (GPanc.) — 1. GPanc. w składzie Grupy Armii *„Południe"*, 2. i 3. w składzie Grupy Armii *„Środek"* i 4. GPanc. w składzie Grupy Armii *„Północ"*. W ich składzie znajdowały się dwa (4. i 3. Grupa Pancerna) lub trzy (2. i 1. Grupa Pancerna) korpusy zmotoryzowane. Najwięcej czołgów według stanu na 22 czerwca 1941 roku znajdowało się w 2. Grupie Pancernej Guderiana — 994 czołgi.

Tak więc, biorąc pod uwagę liczebność głównego rodzaju sprzętu wojskowego (czołgów), niemiecki korpus zmotoryzowany z zasady ustępował dywizji pancernej Armii Czerwonej, a grupa pancerna

Wehrmachtu odpowiadała radzieckiemu korpusowi zmechanizowanemu. Z drugiej strony, według liczby stanu osobowego, piechoty zmotoryzowanej i artylerii grupa pancerna Wehrmachtu dwu–, trzykrotnie przewyższała korpus zmechanizowany Armii Czerwonej.

2. Lotnictwo wojskowe

Lotnictwo wojskowe (Luftwaffe) hitlerowskich Niemiec prezentowało scentralizowaną strukturę. W skład Luftwaffe wchodziły nie tylko oddziały lotnicze, ale i oddziały terytorialnej OPL (artyleria przeciwlotnicza, oddziały reflektorów itp.). W Związku Radzieckim było, w gruncie rzeczy, kilka rodzajów *„lotnictwa"*: lotnictwo wojskowe (oddziały i związki, które znajdowały się w operacyjnym podporządkowaniu dowódców ogólno wojskowych armii i frontów), lotnictwo marynarki wojennej, lotnictwo bombowe dalekiego zasięgu, które podlegało bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu Armii Czerwonej, lotnictwo obrony przeciwlotniczej (OPL).

Podstawowym ogniwem lotnictwa bojowego był pułk lotniczy (grupa lotnicza w Luftwaffe). Radziecki pułk lotniczy składał się z pięciu eskadr po 12 załóg w każdej i klucza dowódczego, w sumie 62–64 załogi. W składzie grupy lotniczej (Gruppe, dywizjonu— dop. tłum.) Luftwaffe były tylko trzy eskadry (Staffel) po 12 załóg i klucz dowódczy, w sumie — 40 załóg.

W lotnictwie radzieckim, a także w Luftwaffe pułki (grupy) uzbrajano, z zasady, w samoloty jednego typu, aby uprościć obsługę, szkolenie i remont sprzętu. W składzie lotnictwa radzieckiego formowano pułki lotnicze: myśliwskie (PLM), bombowe (PLB), szturmowe (PLSz.) i rozpoznawcze (PLR). Czasami w nazwach pułków bombowych znajdowało się ich *„funkcjonalne"* przeznaczenie: dalekiego zasięgu (PLBDZ), bliskiego zasięgu (PLBBZ), bombowców szybkich (PLBS). Kilka pułków (od 3 do 5) łączono w dywizję lotniczą: myśliwską (DLM), bombową (DLB) i mieszaną (MDL). Pułki lotnictwa szturmowego wschodziły w skład MDL, pułki rozpoznawcze, z zasady, podlegały dowództwu frontów (1–2 pułki w składzie frontu/okręgu).

Związek Luftwaffe, podobny do radzieckiej dywizji lotniczej, nazywał się pułkiem[82] (Geschwader — dop. tłum.). Poza nielicznymi wyjątkami w skład każdego pułku wchodziły jedynie trzy grupy lotnicze. W literaturze przyjęto następujące oznaczenia: JG (Jagd Geschwader — pułk myśliwski), KG (Kampf Geschwader — pułk bombowy), StG (Stuka Geschwader — pułk bombowców nurkujących). Związki wyposażone w uniwersalne myśliwce bombardujące Me–110 oznaczano jako ZG (Zerstórer Geschwader — pułk niszczycieli) lub SKG (Schlacht Kampf Geschwader— pułk szturmowców bombardujących). W lotnictwie radzieckim każdy pułk posiadał swój osobisty numer (na przykład: 123. PLM, 40. PLB), w Luftwaffe zaś każdą grupę lotniczą oznaczano jako

część pułku. Na przykład II/KG 53 — to druga grupa (dywizjon) 53. Pułku Lotniczego (bombowego).

Kilka pułków lotniczych (od 4 do 6) łączono w korpus lotniczy. W związku z tym, że wiele pułków nie przybyło na Front Wschodni w pełnym składzie, korpus lotniczy Luftwaffe łączył od 8 do 16 grup (dywizjonów), a według liczby samolotów i załóg odpowiadał 1–2 radzieckim dywizjom lotniczym.

W sumie na Froncie Wschodnim działało pięć korpusów lotniczych w składzie trzech Flot Powietrznych (Luftflotten— FI. Pow.). Działania Grupy Armii *„Północ"* wspierała 1. FI. Pow. (1. Korpus Lotniczy), 2. FI. Pow. (2. i 8. Korpus Lotniczy) walczyła nad Białorusią, dwa korpusy lotnicze 4. FI. Pow. działały na Ukrainie (5. Korpus) oraz w Mołdawii i nad Morzem Czarnym (4. Korpus).

W lotnictwie radzieckim szczebel korpuśny istniał jedynie w lotnictwie bombowym dalekiego zasięgu, w którego składzie rozwinięto cztery korpusy lotnicze (KLBDZ), po dwie dywizje lotnictwa bombowego (DLBDZ) (i dywizji lotnictwa myśliwskiego — dop. tłum.) w każdej[83]. W pierwszych dniach wojny były one dyslokowane: 1. KLBDZ (40., 51. DLBDZ, 56. DLM) w rejonie Nowogrodu, 3. KLBDZ (42., 52. DLBDZ, 61. DLM) — w rejonie Smoleńska, 2. KLBDZ (35., 48. DLBDZ, 67. DLM) — w rejonie Kurska, 4. KLBDZ (22., 50. DLBDZ, 66. DLM) — w rejonie Zaporoża, samodzielna 18. DLBDZ— w rejonie Kijowa.

82 — Autor nazywa ten związek *„eskadrą"*, co nie ma przełożenia na nazewnictwo stosowane współcześnie, dlatego tłumacz w całym tekście posługuje się terminologią, jaką zastosował M. J. Murawski w książce **Luftwaffe— działania bojowe**, cz. 1, Warszawa 1998, s. 51.

Przed wybuchem wojny (19 czerwca 1941 roku) podjęto decyzję o rozwinięciu trzech korpusów myśliwskich OPL (6. w Moskwie, 7. w Leningradzie i 8. w Baku), przy czym szczebla dywizyjnego miało w nich nie być, a wchodzące w skład korpusu 10–12 pułków podporządkowano bezpośrednio dowództwu korpusu i strefy OPL. Formowanie korpusów myśliwskich OPL zakończono już w toku wojny.

Nr 2. Skład i uzbrojenie wojsk pancernych Wehrmachtu i Armii Czerwonej

Grupa Armii*„Północ"* Front Północno–Zachodni 4. Grupa Pancerna

XXXXI KZmot. (1., 6. 390/90/155/121**12. KZmech.** (23., 28. DPanc.,202. 730/0 DPanc.) DZmech.)
LVI KZmot. 212/49/118/30**3. KZmech.** (2., 5. DPanc., 84. 672/110 (8. DPanc.) DZmech.)
1. KZmech. (3. DPanc., 163. DZmech.) 666/5
21. KZmech. (42., 46. DPanc., 185. DZmech.) 120/0

Razem czołgów: 602 2188

Grupa Armii„*Środek*" Front Zachodni 3. Grupa Pancerna

XXXIX KZmot. (7., 20. 494/128/288/61**11. KZmech.** (29., 33. DPanc., 204. 414/20 DPanc.) DZmech.)
LVII KZmot. (8. DPanc.) 448/150/219/60**6. KZmech.** (4., 7. DPanc., 29. 1131/452 DZmech.)
2. Grupa Pancerna 13. KZmech. (22., 30. DPanc., 205. 282/0 DZmech.)
XXXXVII KZmot. (17., 420/112/99/187**14. KZmech.** (25., 31. DPanc., 208. 518/0 18. DPanc.) DZmech.)
XXXXVI KZmot. (10. 182/45/0/125**7. KZmech.** (14., 18. DPanc., 1. 959/103 DPanc.) DZmot.)
XXIV. KZmot. (10. 392/102/60/207**5. KZmech.** (13., 17. DPanc.) 861/17 DPanc.) **samodzielna 57. DPanc.** 200/0
Razemczołgów: 1936 4365

[83] — Ponadto w składzie Frontu Dalekowschodniego w rejonie Chabarowska znajdował się 5. KLBDZ.

Grupa Armii„*Południe*" Front Południowo– Zachodni i Południowy

1. Grupa Pancerna
III KZmot. (13., 14. 296/90/42/140**22. KZmech.** (19., 41. DPanc., 712/31 DPanc.) 215. DZmech.)
XXXXVIII KZmot. (11., 289/89/47/135 **15. KZmech.** (10., 37. DPanc., 749/136 16. DPanc.) 212. DZmech.)
XIV KZmot. (9. DPanc.) 143/40/11/80 **4. KZmech.** (8., 32. DPanc., 81. 979/414 DZmech.)
8. KZmech. (12., 34. DPanc., 7. 899/171 DZmech.)
9. KZmech. (20., 35. DPanc., 316/0 131. DZmot.)
19. KZmech. (40., 43. DPanc., 453/5 213. DZmech.)
16. KZmech. (15., 39. DPanc., 478/76 240. DZmech.)
24. KZmech. (45., 49. DPanc., 222/0 216. DZmech.)
109. DZmech. (5. KZmech.) 209/0 **2. KZmech.** (11., 16. DPanc., 527/60 15. DZmech.)
18. KZmech. (44., 47. DPanc., 282/0 218. DZmech.)

Razem czołgów: 728 5826
Razem: 3266 12 379
w tym: 895 tankietek 1600 T–34 i KW 1039 czołgów lekkich
1146 czołgów średnich

Uwagi

1. Liczby czołgów w związkach pancernych Wehrmachtu przedstawiono następująco: razem czołgów w korpusie *tankietki* czołgi lekkie / czołgi średnie.

2. Sumaryczna liczba czołgów Wehrmachtu jest większa od liczby tankietek, czołgów lekkich i średnich, ponieważ w każdej dywizji znajdowało się po 10–15 tak zwanych *„czołgów dowódczych"*.

3. Do kategorii *„tankietek"* zaliczono Pz. I i Pz. II, do *„czołgów lekkich"* — czeskie Pz. 38 (t) i Pz. III pierwszych serii z 37–mm działem, do *„czołgów średnich"* — Pz. III z 50–mm armatą i Pz. IV. Szerzej o tym zob. w Części 3.

4. W składzie wojsk pancernych Armii Czerwonej ujęto tylko te związki, które zostały wprowadzone do walki w pierwszych 15–20 dniach wojny.

5. Liczebność 1. KZmech. przedstawiono bez wliczania 1. DPanc,

znajdującej się do końca lipca 1941 roku za kręgiem polarnym.
6. W tabeli nie ujęto 17. i 20. KZmech. Frontu Zachodniego, które znajdowały się w stadium formowania i działały jako związki strzeleckie.
7. Zgodnie z faktycznym przebiegiem działań bojowych 109. DZmech. (5. KZmech.) włączona została do składu wojsk Frontu Południowo–Zachodniego;odpowiednio liczbę czołgów 5. KZmech. przedstawiono bez udziału czołgów 109. DZmech.

Nr 3. Przewidywane i faktyczne ugrupowanie przeciwnika

Marszałek G. K. Żukow (zajmujący od lutego 1941 roku stanowisko szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej) jako jedną z głównych przyczyn klęski wojsk radzieckich wymienia to, że *„zaskakujące przejście do natarcia w takich rozmiarach, a przy tym od razu wszystkimi posiadanymi i wcześniej rozwiniętymi na najważniejszych strategicznych kierunkach siłami* (...) *nie było przez nas rozpatrywane. Ani komisarz obrony, ani ja, ani moi poprzednicy Szaposznikow i Mierieckow nie liczyli się z tym, że przeciwnik ześrodkuje taką masę wojsk pancernych i zmotoryzowanych i rzuci je już w pierwszych dniach potężnymi, zwartymi zgrupowaniami na wszystkich kierunkach strategicznych w celu wykonania miażdżących uderzeń rozcinających"*.

Przez długie lata mogliśmy jedynie rozmawiać o tym, z jakimi siłami przeciwnika (w jakiej *„masie"*, z udziałem jakiej *„masy wojsk pancernych i zmotoryzowanych"*) wyższe polityczno–wojskowe kierownictwo Związku Radzieckiego oczekiwało spotkania już w pierwszych walkach. Po opublikowaniu na początku lat dziewięćdziesiątych niektórych dokumentów radzieckiego planowania wojennego na te pytania można dać już konkretną odpowiedź.

Zakładaną liczebność wojsk, jakie Niemcy mogli wystawić do wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu, przedstawiono w następujących dokumentach:

DP DPanc. DZmot. czołgi samoloty 1. ***„Rozważania na temat podstaw strategicznego rozwinięcia sił zbrojnych*** 145 17 8 10 000 13 000 ***ZSRR"***, 18.08.1940 roku

2. ***„Precyzyjny plan strategicznego rozwinięcia sił zbrojnych ZSRR"***, 165 20 15 10 000 10 00011.03.1941 roku

3. ***„Rozważania do planu strategicznego rozwinięcia sił zbrojnych Związku Radzieckiego na wypadek wojny z*** 141 19 15 — — ***Niemcami i ich sojusznikami"***, 15.05.1941 roku

Faktyczny skład grup armii ***„Północ"***, 91 17 9 3628 2500 ***„Środek"*** i ***„Południe"*** na 22.06.1941 roku.

Najbardziej fantastyczne wizje miało radzieckie rozpoznanie i Naczelne Dowództwo na temat składu bojowego Luftwaffe:

	myśliwce	bombowce	szturmowce
Według danych ***„Meldunku specjalnego Zarządu***	3820	4090	1850
Rozpoznawczego Armii Czerwonej” z 11.03.1941 roku	Faktyczna liczba samolotów znajdujących się w gotowości bojowej na wszystkich frontach według	1151	1059	260
stanu na 22.06.1941 roku			

Uwagi

1. Do ogólnej liczby 91 dywizji piechoty włączono 4 dywizje piechoty lekkiej, 1 kawalerii, 4 strzelców górskich i 5 dywizji SS.
2. Do ogólnej liczby 3628 czołgów włączono 3266 czołgów znajdujących się w uzbrojeniu dywizji pancernych, 246 dział pancernych (szturmowych) i 112 czołgów–miotaczy ognia.
3. Wielozadaniowe Me–110 włączono do liczby myśliwców lub bombowców, co związane jest z przeznaczeniem grup lotniczych, w których składzie się znajdowały.
4. Do liczby*„szturmowców”* włączono jedynie jednosilnikowe Ju–87, a dwusilnikowe Ju–88 ujęto w kategorii *„bombowców”*.

WYKAZ SKRÓTÓW[84]

BAPpanc. — brygada artylerii przeciwpancernej
BCz.— brygada czołgów
CRW— członek Rady Wojennej (komisarz)
CzK (wł. WCzK) — ros. *Wsierusskaja Czeriezwyczajnaja Komissija po Borbie s Kontrrewolucjej* — Wszechrosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją (1917–1922)

DOT — ros. *dolgowriemiennaja ogniewaja toczka* — stały punkt ogniowy (schron żelbetowy)
FSB— Federalna Służba Bezpieczeństwa (od 1991)
GKZ— Grupa Konno–Zmechanizowana
GPU — ros. *Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenije* — Państwowy Zarząd Polityczny (1922–1923) przekształcony następnie w OGPU (1923–1934)
GRU— ros. *Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije* — Główny Zarząd Wywiadowczy Sztabu Generalnego (radziecki wywiad wojskowy)
KGB — ros. *Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* — Komitet Bezpieczeństwa Państwowego (1954–1991)
KGND— Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa
KGNND— Kwatera Główna Najwyższego Naczelnego Dowództwa
komandarm— ros. *komandir armii*— dowódca armii (1. lub 2. rangi — stopień wojskowy wprowadzony w 1935 roku odpowiadający randze generała armii)
kombryg — ros. *komandir brigady* — dowódca brygady (stopień wojskowy wprowadzony w 1935 roku odpowiadający randze generała brygady)
komdyw — ros. *komandir diwizji* — dowódca dywizji (stopień wojskowy wprowadzony w 1935 roku odpowiadający randze generała dywizji)
KPZR— Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego
LKO— Ludowy Komisariat Obrony (ludowy komisarz obrony)
OKW— niem. *Oberkommado der Wehrmacht*— Naczelne Dowództwo Wehrmachtu
OND— Odwód Naczelnego Dowództwa
OPL— obrona przeciwlotnicza
OUN— Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów
RFSRR— Rosyjska Federacyjna Republika Radziecka
RNNA— ros. *Russkaja Nacjonalnaja Narodnaja Armia*— Rosyjska Narodowa Armia Ludowa

ROA — ros. *Russkaja Oswoboditielnaja Armia* — Rosyjska Armia Wyzwoleńcza
RONA— ros. *Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia*— Rosyjska Narodowa Armia Wyzwoleńcza RU — rejon umocniony MPS — materiały pędne i smary
MWD— ros. *Ministierstwo Wnutriennych Dieł* — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (od 1946)
NKGB— ros. *Narodnyj Kommissariat Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* — Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego (luty–lipiec 1941, 1943–1946)
NKWD— ros. *Narodnyj Kommissariat Wnutriennych Dieł* — Ludowy KomisariatSpraw Wewnętrznych (1934–1946)
SD— stanowisko dowodzenia
SMIERSZ— z ros. skrót od *smiert' szpionom* lub *Sowietskij Mietod Rozobłaczenija Szpionow* — radziecki kontrwywiad wojskowy wyłoniony ze struktur NKWD, podległy Komitetowi Bezpieczeństwa Państwa (1943–1946)
TDW— teatr działań wojennych UPA — Ukraińska Powstańcza Armia
WIŻ — **„Wojenno–istoriczeskij żurnał"** — oficjalny organ Ministerstwa Obrony ZSRR i Federacji Rosyjskiej
WKP(b)— Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików)
WWS— ros. *Wojenno–Wozdusznyje Siły* — siły powietrzne
ZSRR— Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich

84 — W wykazie nie ujęto skrótów zawartych w **Załączniku 1** .

SPIS TRE CI

22 CZERWCA 1941 _____ ***1***
OD TŁUMACZA _____ **3**
DO CZYTELNIKA _____ **5**
PRZEDSŁOWIE _____ **7**
JAK POWSTAŁA TA KSIĄŻKA _____ 9
OD CZEGO ZACZNIEMY _____ 17
SENSACJI NIE BĘDZIE _____ 25
CZĘŚĆ 1 ZAPRZEPASZCZONA WOJNA _____ **27**
WTOREK, 17 CZERWCA _____ 29
„WPRAWIAJĄC W DRŻENIE ZIEMIĘ ŁOSKOTEM KOLUMN PANCERNYCH…” _____ 39
„I POSZEDŁ, KOMENDĄ PODERWANY…” _____ 47
O ŚWICIE 25 CZERWCA 1941 ROKU… _____ 57
„KIEDY DO WALKI POŚLE NAS TOWARZYSZ STALIN…” _____ 67
KLĘSKA _____ 75
PIERWSZY MARSZAŁEK _____ 85
CZĘŚĆ 2 BAGNO _____ **93**
ZAMIAR _____ 95
SKAZANI NA SUKCES _____ 99
ANATOMIA KATASTROFY _____ 107
MELDUNEK ODDZIAŁU POLITYCZNEGO _____ 129
MELDUNEK S. W. BORZIŁOWA _____ 143
OGIEŃ Z NIEBA _____ 153
NA SPOKOJNIE ŚPIĄCYCH LOTNISKACH… _____ 171
WSZYSCY — DO BAŁBASOWA _____ 185
GŁUPOTA CZY ZDRADA? _____ 207
DAMA Z FIKUSEM _____ 221
CZĘŚĆ 3 SIEDMIU NIE BIJE JEDNEGO _____ **229**
„JA W NASZYCH PLANACH KOCHAM SIĘ OGROMNIE” _____ 231
„GODZINA TWA OSTATNIA NADCHODZI, BURŻUJU…” _____ 239
„PANCERZ MOCNY I CZOŁGI NASZE SZYBKIE…” _____ 247
FINAŁ _____ 263
O TYM, CZEGO NIE BYŁO _____ 269
RADA WOJENNA _____ 287
23–25 CZERWCA 1941 ROKU _____ 297
PANCERNY POMÓR _____ 319
CZWARTEK, 26 CZERWCA _____ 331
DOWÓDCA _____ 343
DWAJ KOMISARZE _____ 353
27–30 CZERWCA _____ 359
OSTATNI BÓJ _____ 371
CZĘŚĆ 4 BIEG NA GLINIANYCH NOGACH _____ **377**
ZNAKI ZAPYTANIA _____ 379
„NEGATYWNE NASTROJE I ZJAWISKA” _____ 383
CZŁOWIEK BEZ KARABINU _____ 397

TYLE I JESZCZE RAZ TYLE _____ 405
pZEMIĘ WYBORU_____ 415
PRZECIWKO WSZYSTKIM _____ 425
BEZ GŁOWY _____ 429
„CZĘŚCIEJ STOSUJCIE ROZSTRZELIWANIA, TOWARZYSZE…” _____
441
DWIE WOJNY _____ 451

CZĘŚĆ 5 KIEDY ZACZĘŁA SIĘ WIELKAWOJNA
OJCZYŹNIANA_____ 461
DWADZIEŚCIA LAT Z RZĘDU _____ 463
NIE SPODZIEWALI SIĘ _____ 477
„MOCNYMI OBIEMA NOGAMI NA TORY…” _____ 487
„I WY WSZYSCY, GŁUPCY, PÓJDZIECIE…” _____ 495
BECZKA I OpĘCZE_____ 501
NIC NIE JEST PROSTE _____ 507
„GŁUPIA POLITYKA HITLERA…” _____ 511

EPILOG _____ 519
ZAŁĄCZNIKI_____ 521
WYKAZ SKRÓTÓW _____ 531
SPIS TREŚCI_____ 533